

Santa Montefiore

SPOTKAMY SIĘ POD DRZEWEM OMBU

Rozdział pierwszy

Kiedy zamykam oczy, widzę płaskie, żyzne równiny argentyńskiej pampy. Jest to miejsce jedyne w swoim rodzaju. Szeroki horyzont rozciąga się na wiele mil - kiedyś, dawno temu, siadywaliśmy na szczycie drzewa ambu i obserwowaliśmy, jak słońce znika powoli, zalewając równinę miodowozłotym blaskiem.

Jako dziecko nie zdawałam sobie sprawy z politycznego chaosu, który panował wokół nas. Były to dni wygnania generała Perona, burzliwe lata okresu 1955-1973, kiedy to wojskowi rządili krajem jak nieświadome rzeczywistości dzieci, bawiące się w „komórki do

Wynajęcia” w świecie walki o władzę. Mroczne dni terrorizmu i partyzantki... A jednak Santa Catalina, nasze ranczo, była małą oazą spokoju, daleką od buntów, zamieszek, przymusu i przemocy, które szalały w stolicy. Ze szczytu swego magicznego drzewa z miłością patrzyliśmy na świat dawnych wartości i tradycyjnego rodzinnego życia, pełen konnych przejażdżek, rozgrywek polo i długich, leniwych barbecue w oślepiającym letnim słońcu. Jediną oznaką tego, że poza granicami naszej posiadłości dzieje się coś złego, była obecność ochroniarzy.

Mój dziadek, Dermot Odwyer, nigdy nie wierzył w magiczne właściwości drzewa ambu, chociaż w gruncie rzeczy był przesądny i każdego wieczoru chował butelkę z alkoholem w innym miejscu, aby oszukać krasnoludki. Mimo to nie wyobrażał sobie, aby drzewo mogło mieć jakąkolwiek nadprzyrodzoną moc.

- Drzewo to drzewo - mówił z wyraźnym irlandzkim akcentem. - Po prostu drzewo, nic więcej.

Ale dziadek nie był ulepiony z argentyńskiej gliny. Podobnie jak jego córka, a moja matka, był tu obcy i nigdy nie zdołał całkowicie się dopasować. Nie życzył sobie nawet, żebyśmy pochowali go w rodzinnym grobowcu.

- Powstałem z ziemi i do niej powrócę - lubił mawiać.

Tak więc pochowaliśmy go na równinie, z butelką whisky - myślę, że do ostatniej chwili zależało mu na tym, aby okpić krasnoludki...

Nie wyobrażam sobie Argentyny bez krzaczastego drzewa ambu, mądrego i wszechwiedzącego niczym wyrocznia. Dziś wiem, że nie da się dokładnie odtworzyć obrazu przeszłości, ale to stare drzewo zamknęło w swych gałęziach wszystkie ważne wspomnienia i nadzieje na przyszłość, jakie wtedy nosiłam w sercu. Ambu, niczym tkwiąca pośrodku nurtu rzeki skała, po zostało takie samo jak dawniej,

choć wszystko dookoła uległo zmianie.

Opuściłam Argentynę latem 1976 roku, ale dopóki moje serce bije, mimo wszystkiego, co się wydarzyło, echo jego uderzeń będzie rozbrzmiewać nad tymi trawiastymi równinami. Dorastałam na rodzinnym rancho lub campo, jak nazywa się taką posiadłość w języku hiszpańskim. Santa Catarina znajduje się w samym środku równiny, stanowiącej część wielkiego regionu na wschodzie kraju i ogólnie znanej jako pampa. Cały ten obszar jest płaski jak talerz i z każdego punktu roztacza się doskonały widok na wiele kilometrów. Długie, proste drogi przecinają tę ziemię, suchą latem, a wilgotną i żyzną zimą. W okresie mojego dzieciństwa drogi te były jeszcze zwykłymi ubitymi ścieżkami.

Wjazd na naszą farmę przywodził na myśl obraz dróg wjazdowych do miasteczek ze spaghetti westernów - wysoko nad szeroką bramą kołysała się w jesiennym wietrze duża tablica z wypisaną czarnymi literami nazwą: Santa Catalina. Droga była długa i zakurzona, z obu stron otoczona wysokimi klonami, które zasadził mój pradziadek, Hector Solanas. Pod koniec dziewiętnastego wieku Hector zbudował dom, ten, w którym dorastałam.

Była to typowa, biała kolonialna budowla o płaskim dachu, tworząca niepełny kwadrat wokół sporego dziedzińca. W dwóch przednich rogach stały dwie wieżyczki - w jednej znajdowała się sypialnia moich rodziców, w drugiej mojego brata, Rafaela, który jako pierworodny otrzymał najładniejszy pokój.

Mój dziadek, dla utrudnienia także Hector, miał czterech synów: Miguela, Nica, Paca i Alejandra. Każdy z nich po zawarciu małżeństwa zbudował własny dom na terenie posiadłości. Moim ojcem jest Paco. Wszyscy moi stryjowie mają dzieci, ale ja najwięcej czasu spędziłam w domu Miguela i jego żony Chiquity, w towarzystwie ich syna Santiago

oraz córki Marii. Zawsze darzyłam ich największą sympatią, chociaż domy Nica i Valerii, a także Alejandra i Maleny również stały dla nas otworem i bardzo często tam bywaliśmy.

W Santa Catalina domy zbudowane zostały pośrodku równiny, a jedną działkę od drugiej oddzielają potężne drzewa - sosny, eukaliptusy, topole i platany, zasadzone w taki sposób, aby ich skupiska przypominały parki. Przed każdym domem znajdują się tarasy, gdzie codziennie siadywaliśmy, wpatrując się w rozciągające się przed nami bezkresne pola. Pamiętam, że zaraz po przyjeździe do Anglii zachwyciły mnie ogrody i żywopłoty przed wiejskimi domami, tak uporządkowane i świetnie utrzymane. Ciocia Chiquita uwielbiała angielskie ogrody i starała się stworzyć coś na ich podobieństwo, ale w Santa Catalina było to w zasadzie niemożliwe. Pedantycznie wytyczone kwietniki i klomby wydawały się dziwnie nie na miejscu w zestawieniu z otaczającym je ogromnym obszarem. Moja matka zdawała sobie z tego sprawę, sadiła więc tylko tropikalne rośliny pnące i hortensje i wszędzie wieszła doniczki z geranium.

Na polach wokół Santa Catalina kręciło się mnóstwo kucyków, które wuj Alejandro hodował i sprzedawał do różnych krajów. Za gęstą ścianą z drzew i krzewów znajdował się duży basen oraz nasz wspólny kort tenisowy. Szefem wszystkich gauczów, którzy zajmowali się kucami i mieszkali w domach zwanych ranczami, był Jose. Żony i córki gauczów pracowały jako pokojówki w naszych domach, gotując, sprzątając i opiekując się dziećmi. Zawsze niecierpliwie czekałam na długie letnie wakacje, które trwały od połowy grudnia do połowy marca. W ciągu tych kilku miesięcy nigdy nie wyjeżdżaliśmy z Santa Catalina. Moje najukochańsze wspomnienia pochodzą właśnie z tego okresu.

Argentyna jest bardzo katolicka, nikt jednak nie wyznawał katolicyzmu równie żarliwie jak moja matka, Anna Melody Dwyer. Dziadek Dwyer był religijny w rozsądny, spokojny sposób, w przeciwieństwie do matki, której całym życiem kierowała potrzeba podtrzymywania pozorów. Matka manipulowała religią i starała się dopasować ją do siebie. Spory, jakie dziadek i matka całymi godzinami toczyli na temat woli bożej, były dla nas, dzieci, doskonałą rozrywką. Mama wierzyła, że wola boża objawia się we wszystkim - jeżeli jest przygnębiona, to widać Bóg karze ją za jakieś przewinienia, jeżeli jest szczęśliwa i zadowolona, to najwyraźniej zasłużyła na nagrodę. Kiedy sprawiałam jej kłopoty wychowawcze, co w zasadzie działo się na okrągło, twierdziła, że Bóg wymierza jej karę za to, że nie wychowuje mnie w odpowiedni sposób.

Dziadek Dwyer mówił, że mama po prostu usiłuje zrzucić z siebie odpowiedzialność za swoje czyny.

- Nie zwalaj na Boga winy za to, że dziś rano jesteś nie w humorze. Wszystko zależy od tego, jak patrzysz na świat, Anno Melody, i z jakiego powodu próbujesz go zmienić.

Uważał, że zdrowie jest darem bożym, natomiast szczęście zależy od nas samych i naszego sposobu postrzegania świata. Kieliszek z winem może być w połowie pełny lub w połowie pusty, mawiał. Rzecz w tym, aby mieć pozytywny stosunek do życia. Matka twierdziła, że to bluźnierstwo. Ciemnoróżowy rumieniec wypełzał na jej twarz za każdym

razem, kiedy dziadek Dwyer prezentował swoje poglądy, a robił to dość często, ponieważ bardzo lubił się z nią drażnić.

- Mów sobie, co chcesz, Anno Melody, ale im szybciej przestaniesz wkładać własne słowa w usta Pana Boga i nauczysz się brać na siebie odpowiedzialność za własne nastroje, tym będziesz szczęśliwsza - dogryzał jej.

- Niech Bóg ci wybaczy, tato - odpowiadała, a kolor jej policzków potwornie gryzł się z czerwonymi jak zachód słońca włosami.

Mama miała piękne włosy, długie, rude loki, zupełnie jak Wenus Botticellego, tyle że nigdy nie wyglądała na tak spokojną czy poetycko zamyśloną jak tamta. Zwykle była albo zbyt wystudiowana i nienaturalna, albo wściekła. Podobno kiedyś nie miała w sobie cienia sztuczności - dziadek powiedział mi, że biegła boso po Glengariff, ich domu w Irlandii Południowej, podobna do dzikiego zwierzątka o oczach koloru burzowych chmur. Mówił, że chociaż jej oczy są niebieskie, czasami wydawały się szare jak dżdżysty irlandzki dzień, gdy słońce bezskutecznie usiłuje przedrzeć się przez chmury. Brzmiało to naprawdę bardzo romantycznie. Dziadek opowiadał mi, jak mama uciekała w góry.

- W wiosce takiej wielkości nikt i nic nie może nigdy zginąć, a już zwłaszcza ktoś tak pełen życia jak Anna Melody Dwyer, ale pewnego dnia zniknęła na wiele godzin. Przeszukaliśmy okoliczne wzgórza, wołając ją głośno. W końcu znaleźliśmy ją siedzącą pod drzewem, na brzegu strumienia, zajętą zabawą z sześcioma lisiątkami, które znalazła. Wiedziała, że jej szukamy, ale najzwyczajniej w świecie nie mogła oderwać się od tych maluchów. Straciły matkę i garnęły się do rąk Anny, która płakała z żalu nad ich losem.

Zapytałam go, dlaczego tak się zmieniła, a on odparł, że życie bardzo ją rozczarowało.

- Słońce zupełnie zniknęło z jej oczu - powiedział.

Od tamtej pory często zastanawiałam się, co okazało się dla niej tak wielkim rozczarowaniem.

Mój ojciec przypominał bohatera romansu. Oczy miał niebieskie jak niezapominajki i nawet kiedy się nie uśmiechał, kąciki jego warg były lekko uniesione ku górze. Wszyscy na farmie szanowali seniora Paca. Był wysoki, szczupły i mocno owłosiony, chociaż i tak znacznie mniej kudłaty niż jego brat Miguel, który miał tak ciemną karnację, że wszyscy nazywali go El Indio (Indianin). Tata miał dość jasną cerę, podobnie jak jego matka, i był tak przystojny, że Soledad, nasza pokojówka, często oblewała się mocnym rumieńcem, podając do stołu. Kiedyś przyznała mi się, że nie jest w stanie spojrzeć mu prosto w oczy. Ojciec uważał jej zachowanie za oznakę pokory, nie mogłam więc zdradzić mu, że Soledad ma do niego słabość, zresztą ona nigdy by mi tego nie wybaczyła. Soledad rzadko miała okazję rozmawiać z ojcem, ponieważ wszystkie sprawy omawiała bezpośrednio z mamą, lecz była wyjątkowo spostrzegawcza i niewiele rzeczy uchodziło jej uwagi.

Chcąc spojrzeć na Argentynę oczami obcokrajowców, muszę najpierw wrócić myślą do krainy dzieciństwa, do lat, kiedy razem z dziadkiem Dwyerem jeździłam konnym

wózkiem zwanym carro, przysłuchując się komentarzom dziadka dotyczącym spraw, które mnie wydawały się całkowicie zwyczajne, a nawet nudne. Zaczniemy od charakteru mieszkańców mojej ojczyzny. W szesnastym wieku Argentyna została podbita przez Hiszpanów i od tej pory rządziła ją wicekrólowie reprezentujący hiszpańską koronę. 25 maja i 9 czerwca 1816 roku Argentyna zdobyła niezależność. Dziadek mawiał, że dwukrotne świętowanie wybicia się na niepodległość jest typowe dla Argentyńczyków.

- Zawsze muszą robić wszystko lepiej niż reszta świata i mieć wszystkiego więcej - mamrotał drwiąco.

I chyba miał rację - w końcu Avenida 9 de Julio (aleja 9 Czerwca) w Buenos Aires jest najszerszą ulicą na świecie. Jako dzieci byliśmy bardzo dumni z tego faktu.

Pod koniec dziewiętnastego wieku, w rezultacie rewolucji rolniczej, tysiące Europejczyków, głównie z północnej części Włoch oraz z Hiszpanii, wyemigrowało do Argentyny, aby uprawiać żyzną glebę pampasów. Właśnie wtedy przybyli tu moi przodkowie. Hector Solanas był głową rodziny i dzielnym człowiekiem. Gdyby nie on, być może nigdy nie mielibyśmy naszego drzewa ambu i płaskiej jak talerz równiny.

Kiedy przywołuję wspomnienia z lat dzieciństwa i młodości, widzę przede wszystkim surowe, brunatne twarze gauczów, z całą wyrazistością wyłaniające się z mojej mglistej pamięci. Wzdycham wtedy głęboko, z tęsknotą, ponieważ gauczo jest romantycznym symbolem wszystkiego, co wiąże się z Argentyną. Historia określa gauczów jako ludzi krwi indiańsko-hiszpańskiej, dzikich, nieokiełznanych wyrzutków, którzy kiedyś żyli na łonie dzikiej przyrody, łapiąc pasące się na łąkach konie i z ich pomocą zaganiając stada dzikiego bydła. Gauczowie sprzedawali wyprawione bydlęce skóry i łój po bardzo korzystnych cenach i kupowali herbatę matę oraz tytoń. Oczywiście wszystko to działo się w czasach, gdy wołowina nie cieszyła się jeszcze takim popytem jako towar eksportowy. Mate (wymawiaj: matej) to tradycyjna herbata ziołowa, którą gauczowie popijali ze zdobionej, okrągłej gurdy przez srebrną „słomkę” zwaną bombilla. Napój ten uzależnia, a zdaniem naszych pokojówek działa odchudzająco.

Życie gauczów upływa w siodle. Są znakomitymi, niezrównanymi jeźdźcami. W Santa Catalina zawsze stanowili barwny fragment krajobrazu. Strój gauczo jest praktyczny i jednocześnie przyciąga oko - argentyńscy kowboje noszą luźne spodnie bombachas z zapinanymi na guziki mankietami, które wpuszczają w skórzane buty, obwiązują się wełnianym pasem faja, przykrywającym sztywnym skórzonym pasem rastra zdobionym srebrnymi monetami. Rastra podtrzymuje także mięśnie ich pleców podczas długich dni spędzanych na końskim grzbiecie. Zwykle każdy gauczo nosi za pasem facon, nóż używany do kastrowania i obdzierania ze skóry zwierząt, a także do krojenia żywności i samoobrony. Dziadek Dwyer często żartował, że Jose, szef naszych gauczów, powinien występować w cyrku. Ojca bardzo denerwowały takie dowcipy i w takich momentach był zadowolony, że jego teść nie mówi po hiszpańsku.

Gauchowie są niezwykle sprawni fizycznie i dumni. Stanowią ważny element romantycznego wizerunku Argentyny i napisano o nich wiele powieści, pieśni oraz wierszy. Najlepszym przykładem twórczości o tej tematyce jest epicki poemat El Gaucho Martina Fierro, którego długich fragmentów uczyliśmy się w szkole na pamięć. Czasami, kiedy rodzice przyjmowali w Santa Catalina zagranicznych gości, gauchowie przygotowywali dla nich fantastyczne występy, składające się z rodeo, pokazów ujeżdżania koni i prawdziwie mistrzowskiej sprawności jeździeckiej. Pędzili na koniach z karkołomną szybkością, tnąc powietrze długim lassem, podobnym do demonicznego węża.

Jose nauczył mnie grać w polo, a warto zaznaczyć, że w latach mojej wczesnej młodości niewiele dziewcząt grywało w polo. Chłopcom bardzo się to nie podobało, ponieważ byłam lepsza od niektórych z nich, a już na pewno sprawniejsza niż ich zdaniem powinna być dziewczyna.

Ojciec zawsze chlubił się tym, że Argentyńczycy są niewątpliwie najlepszymi graczami polo na całym świecie, chociaż tak na prawdę ta gra narodziła się w Indiach, a do Argentyny przywieźli ją Brytyjczycy. W miesiącach letnich, w Pazdzierniku i listopadzie, moja rodzina zasiadała na trybunach stadionu polo w Palermo w Buenos Aires, gorliwie kibicując zespołom grającym w wielkich turniejach. Pamiętam, że moi bracia i kuzyni wykorzystywali te rozgrywki jako okazję do podrywania dziewczyn, podobnie jak niektóre msze odprawiane w wielkomijskich kościołach, gdzie niewiele osób zwraca uwagę na księdza, gdyż prawie wszyscy zajęci są przyglądaniem się sobie nawzajem. W Santa Catalina w polo grywano niemal przez cały rok. Stajenni (petiseros) szkolili kuce i dbali o nie i wystarczyło powiedzieć, że chcemy rozegrać mecz, by w ciągu godziny osiodlane konie czekały na nas w cieniu eukaliptusów.

W latach sześćdziesiątych Argentynę nękało bezrobocie, inflacja, przestępczość, niepokoje społeczne i represje, lecz nie zawsze było tak źle. Na początku dwudziestego wieku Argentyna była za moźnym krajem, który wzbogacił się na eksporcie mięsa i pszenicy, najbogatszym w całej Ameryce Południowej. Z tego okresu pochodzą pieniądze, które zarobił mój dziadek ze strony ojca. Był to złoty wiek bogactwa i elegancji. Hector Solanas winił za upadek gospodarczy bezwzględną dyktaturę prezydenta Juana Dominga Perona. W 1955 roku władzę przejęli wojskowi, a Peron został zmuszony do ucieczki z kraju. Peron do dziś pozostaje gorącym tematem rozmów, zupełnie jakby okres jego panowania jeszcze się nie skończył. Ten człowiek budzi w ludziach ogromne uwielbienie lub ogromną nienawiść, lecz nigdy obojętność.

Peron, który zdobył władzę dzięki armii i w 1946 roku objął prezydenturę, był przystojnym, bystrym i charyzmatycznym politykiem. Razem z żoną, piękną, lecz bezwzględnie ambitną Evą Duarte, stworzył fascynujący, cieszący się niesłychaną popularnością dwuosobowy zespół, raz na zawsze rozprawiając się z teorią, zgodnie z którą tylko członkowie starych rodów mają szansę zostać "kimś" w Buenos Aires. Peron pochodził z małego miasta, a Eva była nieślubnym dzieckiem, które wychowało się na wsi, w wielkiej biedzie, krótko mówiąc - współczesnym Kopciuszkiem.

Hector powtarzał, że Peron zdobył i długo utrzymywał się przy władzy tylko dzięki ustawicznemu nadszkakiwaniu klasie robotniczej. Narzekał też, iż Peron i jego żona, Evita, zdeprawowali robotników, ucząc ich żyć z zasiłków, nie z pracy własnych rąk. Zabierali pieniądze bogatym i rozdawali je ubogim, w ten sposób pozbawiając kraj zamożności. Znana jest historia o tym, jak to Evita poleciła rozdać biedakom kilka tysięcy par alpargatos (espadryli noszonych przez robotników), a następnie odmówiła zapłacenia rachunku i podziękowała nieszczęsnemu producentowi za tak hojny dar dla ludu.

Wśród klasy robotniczej Evita cieszyła się opinią świętej, była dosłownie uwielbiana przez biednych i ciemniejących. Moja babka, Maria Elena Solanas, opowiedziała nam niesamowitą historię o tym, jak kiedyś wybrała się do kina ze swoją kuzynką Susaną. Bezpośrednio przed filmem na ekranie jak zwykle pojawiła się twarz Evity i wtedy Susana szepnęła Marii Elenie do ucha, że jej zdaniem narodowa bohaterka Argentyny z całą pewnością farbuje włosy na słynny jasny blond. Kiedy film dobiegł końca, kilkanaście rozwścieczonych kobiet zaciągnęło Susanę do damskiej toalety i tam brutalnie obcięło jej włosy do skóry. Tak wielka była potęga Evity Peron, która potrafiła doprowadzić ludzi do całkowitego ogłupienia, wręcz szaleństwa.

Mimo jej władzy klasa wyższa zawsze uważała ją za niewiele lepszą od ulicznej dziewczyny. Przedstawiciele starych argentyńskich rodzin nie ukrywali, że Evita, dzięki kolejnym kochankom, a wreszcie Peronowi, wydobyła się z ubóstwa, aby zostać najbogatszą i najślawniejszą kobietą świata. Należy jednak przyznać, że byli oni w mniejszości. Gdy w 1952 roku Evita umarła, mając trzydzieści trzy lata, dwa miliony ludzi wzięło udział w jej pogrzebie, argentyńscy robotnicy zaś poprosili papieża, aby wyniósł ją na ołtarze. Jej ciało zostało zabalsamowane przez hiszpańskiego specjalistę, doktora Pedra Ara. Przez ponad trzydzieści lat trumnę z przypominającymi woskową figurę zwłokami przewożono z miejsca na miejsce, obawiając się narodzin silnego kultu, i wreszcie w 1976 roku złożono na spoczynek na eleganckim cmentarzu La Recoleta w Buenos Aires, obok „oligarchów”, których tak głęboko nienawidziła.

Kiedy Peron uciekł z kraju, rząd, na skutek interwencji wojskowych, zmieniał się nieustannie. Jeżeli obecny gabinet wydawał się dowództwu armii nieodpowiedni, dochodziło do przewrotu. Ojciec mówił, że wojsko pozbywało się kolejnych polityków, nie dając im szansy. Z zadowoleniem i uznaniem wyrażał się tylko o przewrocie w 1976 roku, kiedy to generał Videla pozbawił władzy niekompetentną Isabelitę, drugą żonę Perona, która w 1973 roku objęła prezydenturę po śmierci męża, wkrótce po jego powrocie do Argentyny.

Gdy zapytałam ojca, jak to się dzieje, że wojsko ma w naszym kraju tyle do powiedzenia, zawahał się. Po chwili namysłu odparł, że prawdopodobnie przyczyną tego stanu rzeczy jest fakt, iż Argentynę podbili hiszpańscy rycerze, ówczesni przedstawiciele jednej z największych i najsilniejszych armii na świecie.

- Argentyńczycy traktują wojskowych jak nauczycieli, tyle że wyposażonych w broń - powiedział kiedyś.

Chodziłam wtedy jeszcze do szkoły, więc bez trudu zrozumiałam, co chciał przez to powiedzieć. Któż może posiadać większą władzę niż nauczyciel? Nie wiem, jak udało się to naszej rodzinie przy tych nieustannych zmianach rządu, ale jedno jest pewne - nigdy nie mieliśmy żadnych problemów natury politycznej.

W tych niebezpiecznych czasach prawdziwym zagrożeniem dla rodziny takiej jak moja były porwania. W Santa Catalina aż roiło się od ochroniarzy, lecz dla nas, dzieci, ludzie wynajęci po to, aby nas chronić, byli zwyczajną częścią naszego życia, podobnie jak Jose czy Pablo, i ich obecność nigdy nam nie przeszkadzała. Przechadzali się po całym terenie, z tłustymi brzuszyskami wylewającymi się ze spodni khaki i obfitymi węsami, które rozwiewał ciepły wiatr. Santi naśladował sposób, w jaki się poruszali, z jedną ręką na kaburze pistoletu, drugą drapiąc się w okolicy krocza lub ocierając spocone czoło mocno przybrudzoną chustką do nosa. Gdyby nie byli tacy grubi, mogliby wyglądać groźnie, lecz nam wydawali się po prostu śmieszni. Robiliśmy sobie z nich żarty i wymyślaliśmy zabawy, w których odgrywali ważną rolę.

Ochroniarze odwozili nas także do szkoły. Dziadek Solanas przeżył próbę porwania, więc mój ojciec dbał, abyśmy nigdy nie wychodzili na miasto bez ochrony. Nie wątpię, że matka byłaby zachwycona, gdyby zamiast dziadka Solanasa porwano wtedy dziadka Dwyera, nie jestem tylko pewna, czy zapłaciliby za niego okup. Poza tym nie sądzę, aby jakikolwiek porywacz po radził sobie z dziadkiem Dwyerem...

Było rzeczą zupełnie naturalną, że dzieci przychodziły do szkół w mieście z ochroniarzami i były przez nich odbierane. W czasie przerwy śniadaniowej często z nimi flirtowałam. Zwykle kręcili się przy wejściu, sapiąc z gorąca i opowiadając sobie smakowite historyjki o dziewczynach i pistoletach. Gdyby rzeczywiście doszło do próby porwania, ci rozleniwieni głupcy najprawdopodobniej w ogóle by nie zareagowali. Uwielbiali ze mną rozmawiać. Maria, siostra Santiiego, zawsze bardzo ostrożna, starała się namówić mnie, żebym odeszła od bramy i bawiła się z nią w głębi dziedzińca, lecz im mocniej nalegała, tym bardziej wyzywające stawało się moje zachowanie. Kiedyś przyjechała po mnie matka, ponieważ Jacinto, nasz szofer, zachorował. O mało nie zemdląła z wrażenia, gdy towarzyszący jej ochroniarze przy witali się ze mną serdecznie, oczywiście zwracając się do mnie po imieniu. Carlito Blanco mrugnął znacząco, a matka prawie eksplodowała. Jej twarz była równie czerwona jak hodowane przez Antonia pomidory. Po tym wydarzeniu przerwa śniadaniowa stała się nudna jak flaki z olejem. Mama odbyła rozmowę z panną Sarah, która solennie zabroniła mi zbliżać się do szkolnej bramy. Powiedziała, że ochroniarze są „prostymi ludźmi” i nie powinnam się z nimi zadawać, ponieważ nie należą do mojej klasy. Kilka lat później dziadek Dwyer opowiedział mi o pochodzeniu naszej rodziny i wtedy zrozumiałam, jak śmieszne były te słowa właśnie w jej ustach.

Tak naprawdę nie miałam pojęcia, czego obawiają się dorośli i co znaczy określenie „brudna wojna”, którego zaczęli używać, gdy w połowie lat siedemdziesiątych, po śmierci Perona, wojskowi przystąpili do walki ze wszystkimi, którzy sprzeciwiali się ich rządowi. Dopiero znacznie później, gdy po wielu latach nieobecności wróciłam do Argentyny, dowiedziałam się, że „brudna wojna” dotarła do Santa Catalina i wdarła się do naszego domu.

Nie było mnie tam, nie widziałam więc cierpienia moich najbliższych i nie mogłam im pomóc.

Jakie dziwne i zaskakujące bywa życie... Ja, Sofia Solanas Harrison, wspominam przygody z okresu dzieciństwa i wczesnej młodości i myślę o tym, jak ogromna odległość dzieli mnie od argentyńskiej farmy, na której dorastałam. Zamiast płaskiej pampy mam dziś przed oczami łagodne, zielone wzgórza Anglii i mimo całego ich piękna nadal tęsknię za tamtym zatopionym w słońcu krajobrazem.

Rozdział drugi

Santa Catalina, styczeń 1972 roku

- Sofia, Sofia! Por Dios\ Gdzież się podziała ta dziewczyna?

Anna Melody Solanas de Dwyer przechadzała się w tę i z powrotem po tarasie, ze znużeniem i irytacją mierząc wzrokiem suchą równinę. Miała na sobie elegancką, długą białą suknię bez rękawów, płomiennie rude włosy zebrała w luźny koński ogon. Trwające od grudnia do marca letnie wakacje stanowiły prawdziwe wyzwanie dla jej cierpliwości. Sofia zachowywała się jak nieoswojone zwierzę, bez słowa znikwała na całe godziny, buntowała się przeciwko matce i traktowała ją w opryskliwy, szorstki sposób, z czym Anna nie bardzo potrafiła sobie poradzić. Czuła się emocjonalnie zgnębiona, wykorzystana i zużyta. Z całego serca pragnęła, aby wreszcie nadeszła jesień, a wraz z nią początek nowego semestru. Dobrze, że przynajmniej w Buenos Aires nad każdym krokiem dzieci czuwała ochrona. Dzięki Bogu za szkołę, pomyślała Anna. Kiedy Sofia wróci do swoich zajęć, odpowiedzialność za zdyscyplinowanie tej pannicy znowu spadnie na nauczycieli. Co za ulga...

- Jezus, Maria, daj dziewczynie trochę swobody, kobieto - warknął dziadek Dwyer, wychodząc na taras z sekatorem w ręku. - Jeżeli nie popuścisz smyczy, pewnego dnia Sofia skorzysta z pierwszej nadarzającej się okazji i ucieknie!

- Po co ci ten sekator, tato? - zapytała podejrzliwie, obserwując go spod zmrużonych powiek.

- Nie mam zamiaru obciąć ci głowy, jeżeli tego właśnie się obawiasz, Anno Melody. - Zachichotał i kilka razy żartobliwie trzasnął sekatorem.

- Znowu piłeś, tato.

- Odrobina alkoholu nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

- Ogrodem zajmuje się Antonio, więc nie wiem, co tam chcesz robić. - Anna bezradnie pokręciła głową.

- Twoja kochana mama kochała swój ogród. Te ostróżki po prostu proszą, żeby je przyciąć, mawiała. Uwielbiała ostróżki, to były jej ulubione kwiatki...

Dermot Dwyer urodził się i wychował w Glengariff, w Irlandii Południowej. Bardzo wczesnie ożenił się ze swoją ukochaną ze szkoły podstawowej, Emer Melody. Jego bliscy powątpiewali nawet, czy jest dość dorosły, aby utrzymać rodzinę, ale Dermot zawsze dokładnie wiedział, czego chce, i nic nie mogło wpłynąć na zmianę raz podjętej przez niego decyzji. Umawiał się na randki z Emer Melody w zrujnowanym opactwie u stóp wzgórz Glengariff i właśnie tam wzięli ślub. Potężna budowla prawie nie miała dachu, a przez dziury w murze wciskały się do środka chciwe, zielone palce powoju i innych pnączy, z pełną determinacją usiłujące wziąć w posiadanie to, co jeszcze nie uległo zniszczeniu.

W dzień ślubu padał tak ulewny deszcz, że panna młoda musiała włożyć kalosze i unosić białą szyfonową suknię aż do kolan. Tuż za nią sunęła jej tęga siostra Dorothy Melody, zaciskając drżące dłonie na rączce dużej białej parasolki. Emer i Dorothy miały ośmioro rodzeństwa. Byłoby ich dziesięcioro, gdyby bliźnięta nie odeszły z tego świata przed ukończeniem pierwszego roku życia. Ojciec Reilly schronił się pod czarnym parasolem i powiedział zgromadzonym krewnym i przyjaciołom młodej pary, że deszcz to szczęśliwy znak i że Bóg najwyraźniej błogosławi ich związek święconą wodą z nieba.

Miał rację. Małżonkowie kochali się do dnia, kiedy Emer zmarła ponurego lutowego poranka w 1958 roku. Dermot nie chciał pamiętać żony bladej i zimnej, leżącej sztywno na kuchennej podłodze, wołał wspominać ją taką, jaka była trzydzieści dwa lata wcześniej, w dzień ich ślubu, z kwiatami kapryfolium wplecionymi w długie rude włosy, z radosnym, odrobinę kpiącym uśmiechem na ustach i z jasnymi, niewielkimi oczami, które błyszczały wyłącznie dla niego. Po jej śmierci wszystko w Glengariff przypominało mu o niej, dlatego spakował rzeczy - album ze zdjęciami, należący do Emer koszyczek do robótek ręcznych, Pismo Święte swojego ojca oraz paczkę starych listów - i kupił bilet w jedną stronę do Argentyny. Jego córka początkowo sądziła, że przyjechał tylko na parę tygodni, ale kiedy tygodnie i miesiące zaczęły powoli mijać, zrozumiała, że zostanie u niej na zawsze.

Anna Melody otrzymała drugie imię po matce. Dermotowi bardzo podobało się „melodyjne” drugie imię żony i proponował nawet, by dziewczynkę nazwać po prostu Melody, lecz Emer doszła do wniosku, że brzmiałoby to trochę nie po chrześcijańsku, dlatego małej nadano imię Anna, po babce.

Po urodzeniu Anny Melody Emer nabrała przekonania, że Bóg uznał, iż nie powinni mieć więcej dzieci. Anna Melody jest tak piękna, że Bóg nie chce dać im następnego dziecka, które niewątpliwie żyłoby w jej cieniu, powtarzała często. Bóg Emer był dobry i wiedział, co jest dobre dla niej i dla jej rodziny, mówiła, ale bardzo pragnęła mieć więcej dzieci. Jej bracia i siostry swoim potomstwem mogliby zaludnić spore miasteczko, tym czasem ona cieszyła się tylko swoją Anną Melody. Na szczęście matka nauczyła ją dziękować Bogu za to, czym w swojej łaskawości ją obdarowywał, dlatego szybko przyjęła do wiadomości, iż powinna Mu być z całego serca wdzięczna za jedyną córkę. Emer przelała całą miłość, jaką była gotowa ofiarować dużej rodzinie, na męża i dziecko, i skutecznie tłumiała zazdrość, jaka ogarniała ją, ilekroć odwiedzała domy swojego rodzeństwa.

Anna Melody miała cudowne, beztroskie dzieciństwo. Rozpieszczana przez rodziców, nigdy nie musiała dzielić się z nikim zabawkami czy czekać na swoją kolej, a podczas zabaw z kuzynkami i kuzynami wystarczyło, by pisnęła, że coś nie układa się po jej myśli, a matka już biegła na ratunek. W rezultacie inne dzieci nie chciały się z nią bawić, narzekały, że Anna psuje każdą zabawę, i błagały rodziców, by jej nie zapraszali. A kiedy jednak pojawiała się, ignorowały ją lub mówiły, żeby sobie poszła, bo nikt jej tu nie chce. Tak więc Anna Melody najczęściej nie brała udziału we wspólnych zabawach i wcale jej to nie przeszkadzało, ponieważ w pełni odwzajemniała antypatię ciotecznego rodzeństwa.

Była dziwnym dzieckiem, które lepiej czuło się w czasie samotnych spacerów wśród wzgórz niż w nieco klaustrofobicznej grupie młodych oberwańców, którzy biegali po ulicach Glengariff jak bezdomne koty. Wysoko nad Glengariff Anna mogła spokojnie marzyć o życiu podobnym do tego, jakie wiodły gwiazdy filmowe, o pięknych sukniach, długich, lśniących rękawach i wspaniałych rezydencjach. Katharine Hepburn, Lauren Bacall, Deborah Kerr... Anna Melody spoglądała z góry na miasto i powtarzała sobie, że pewnego dnia jeszcze im wszystkim pokaże. Zostawi tu swoje okropne kuzynki i nigdy nie wróci...

Kiedy wyszła za Paca i na zawsze opuściła Glengariff, nie poświęciła choćby jednej myśli rodzicom, którzy nagle zostali sami w pustym domu, mogąc jedynie wspominać ukochaną córkę. Bez Anny Melody dom wydawał im się zimny i ciemny. Zabrakło osoby, która rozświeślała go uśmiechem i miłością. Emer bardzo się zmieniła. Dziesięć lat, które przecierpiała bez córki, było pustych i smutnych. Anna Melody często pisała do rodziców i obiecywała, że niedługo ich odwiedzi, lecz z czasem zrozumieli, iż są to tylko słowa, za którymi nie stoi szczerza intencja, i ich nadzieja umarła.

Emer odeszła w 1958 roku. Dermot nie miał najmniejszych wątpliwości, że pękło jej serce z żalu i tęsknoty, ale sam był silniejszy i bardziej odważny od żony. Wyruszając do Buenos Aires, zadawał sobie pytanie, dlaczego, u diabła, nie podjął tej decyzji wiele lat temu. Gdyby to zrobił, być może jego ukochana żona byłaby z nim teraz.

Anna (tylko Dermot nazywał córkę oboma imionami: Anna Melody) przyglądała się, jak jej ojciec grzebie w ziemi, i zastanawiała się, dlaczego nie może być taki, jak dziadkowie innych dzieci. Ojciec Paca, Hector Solanas, podobnie jak jego dziadek, zawsze był elegancko ubrany i gładko ogolony, nawet w zwykłe dni. Nosił wyłącznie kaszmirowe swetry i koszule z Saville Row w Londynie, i zachowywał się niemniej poważnie i dostojnie niż król angielski, Jerzy. W oczach Anny Hector miał wiele wspólnego z przedstawicielami rodów królewskich i nigdy nie spadł z piedestału, który specjalnie dla niego wzniosła w swoim sercu. Nawet po śmierci Hectora nadal przyłapywała się na tym, jak bardzo pragnie jego aprobaty. Minęło już tyle lat od przyjazdu do Argentyny, a wciąż brakowało jej poczucia przynależności. Czasami miała wrażenie, że obserwuje świat z miejsca odgradzonego nie widzialną szybą, miejsca, do którego nikt nie mógł się przedostać.

- Seniora Anna, dzwoni do pani seniora Chiquita.

Anna gwałtownie wróciła do rzeczywistości i do swojego ojca, który z miną szalonego

botanika przycinał wszystko, co zielone.

- Gracias, Soledad - rzuciła. - Nie będziemy czekać na senioritę Sofię. Usiądziemy do stołu o dziewiątej, jak zwykle.

- Como quiera, seniora Anna - odparła pokornie Soledad, z lekkim uśmiechem wracając do rozgrzanej jak piec kuchni.

Z trojga dzieci seniora Anny najmocniej kochała Sofię.

Soledad zaczęła pracować w domu Paca, kiedy miała siedemnaście lat. Była siostrzenicą pokojówki Chiquity i niedawno poślubiła Antonia, który miał doglądać całej posiadłości. Antonio i Soledad byli bezdzietni, chociaż bardzo pragnęli potomstwa. Soledad pamiętała czasy, gdy Antonio wchodził w nią w każdym ustronnym miejscu, za piecem, za krzakiem czy drzewem, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Byli parą namiętnych, młodych kochanków i Soledad myślała o tym z prawdziwą dumą. Niestety, nigdy nie udało im się począć dziecka, więc Soledad usiłowała znaleźć pocieszenie w uczuciu, jakim obdarzyła Sofię.

Seniora Anna prawie cały czas poświęcała synom, natomiast Soledad nigdzie nie ruszała się bez małej Sofii, trzymając ją na biodrze, owiniętą w fartuch lub przytuloną do jej obfitego biustu. Czasami zabierała nawet małą na noc do swego domu - Sofia lepiej spała, otoczona kobiecym zapachem pokojówki i jej miękkimi ramionami. Zaniepokojona, że dziecko nie dostaje dość miłości od matki, wkroczyła do dzieciennego pokoju, aby wynagrodzić Sofii brak matczynej czułości. Seniora Anna nie miała nic przeciwko temu, wręcz przeciwnie, wydawała się nawet wdzięczna. Nigdy nie interesowała się zbyt córką. Soledad kochała Sofię, nie mogła jednak naprawić całego zła tego świata. Napięcie panujące między seniorem Pakiem a seniorą Anną nie było jej sprawą, i jeśli nawet czasami rozmawiała o nich z innymi służącymi, robiła to tylko po to, aby wyjaśnić, dlaczego spędza tyle czasu z małą Sofią. Wyłącznie po to. Soledad nie lubiła plotek i troszczyła się o córkę swoich pracodawców tak chętnie i serdecznie, jakby była jej własnym dzieckiem.

Teraz szybko zerknęła na zegarek. Rzeczywiście, było już późno i wszystko wskazywało na to, że Sofia znowu będzie miała kłopoty. Cóż, nic nowego... Rzadko zdarzało się, aby Sofia nie miała na pieńku z matką. Moje biedne jagniątko, pomyślała Soledad, mieszając sos tuńczykowy i doglądając pieczeni cielęcej. Sofia tak bardzo pragnie zwrócić na siebie uwagę matki, że gotowa jest na wszystko, by osiągnąć ten cel.

Anna weszła do salonu, potrząsnęła ze złością głową i sięgnęła po słuchawkę.

- Witaj, Chiquito - odezwała się, opierając się o ciężką drewnianą komodę.

- Anno, tak mi przykro... Sofia znowu wybrała się gdzieś z Santiagiem i Marią. Powinni zaraz wrócić...

- Znowu! - wybuchnęła Anna. Chwyła leżące na stoliku czasopismo i zaczęła się nim nerwowo wachlować. - Santiago powinien być bardziej odpowiedzialny, w marcu kończy

osiemnaście lat, na Boga! Będzie mężczyzną! Nie mam pojęcia, dlaczego odpowiadają mi zabawy z piętnastoletnim dzieckiem! Tak czy inaczej, to nie pierwszy raz, prawda? Czy nie rozmawiałeś z nim na ten temat w zeszłym tygodniu?

- Oczywiście, że rozmawiałam - odparła cierpliwie szwagierka.

Chiquita bardzo nie lubiła, kiedy Anna wpadała w złość.

- Por Dios, Chiquita, nie rozumiesz, iż porywacze tylko czekają, żeby dopaść naszych dzieci?

- Uspokój się trochę, Anno. Mieszkamy w bardzo spokojnej okolicy, a poza tym ci troje na pewno nie pojechali daleko...

Anna w ogóle jej nie słuchała.

- Santiago ma zły wpływ na Sofię - warknęła. - Dziewczyna jest młoda i nierozsądna, więc patrzy w niego jak w obraz. Szkoda, że przynajmniej Maria nie ma więcej oleju w głowie!

- Zbesztam ich, kiedy wrócą - westchnęła ze znużeniem Chiquita.

- Mam nadzieję.

Zapadło krótkie, kłopotliwe milczenie, potem zaś Chiquita spróbowała zmienić temat.

- Czy mogę ci jakoś pomóc w przygotowaniu przyjęcia przed jutrzejszym meczem? - zapytała trochę sztywno.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała Anna, już znacznie łagodniejszym tonem. - Och, Chiquito, przepraszam cię... Czasami po prostu nie wiem, co zrobić z Sofią... Jest taka uparta i bezmyślna... Z chłopcami nie mam żadnych kłopotów, za to z nią... Nie mam pojęcia, po kim odziedziczyła ten trudny charakterek!

- Ja też nie - rzekła Chiquita, usiłując ukryć rozbawienie.

- Dzisiaj jest najpiękniejsza noc lata - westchnęła Sofia, sadowiąc się wygodnie na jednej z najwyższych gałęzi drzewa ambu.

Żadne drzewo na świecie nie może równać się z ambu. Ma rozłożyste, niskie gałęzie, a obwód jego pnia często przekracza dziesięć metrów. Grube korzenie, podobne do długich, potężnych macek, przebijają ziemię, co sprawia wrażenie, jakby drzewo usiłowało rozlać się po ziemi niczym wosk. Ambu jest jedynym drzewem, które od tysięcy lat rośnie na tych suchych równinach i stanowi stały element prawdziwie argentyńskiego krajobrazu. Rdzenni Indianie widywali swoich bogów w jego gałęziach i ludzie do dziś mówią, że żaden gauczo nie powinien układać się pod nim na spoczynek. Wychowane w Santa Catalina dzieci

uważały, że to magiczne, czarodziejskie drzewo mogło spełniać życzenia, jeśli miało na to ochotę. Bardzo ważne było też to, że z jego najwyższych gałęzi rozpościerał się widok na całą okolicę. Ale przede wszystkimambu miało po prostu tajemniczy urok, którego nikt nie potrafił nazwać, a który stale przy ciągał kolejne pokolenia dzieci.

- Widzę Josego i Pabla. Pospieszcie się, nudziarze! - zawołała niecierpliwie.

- Już idę, chwileczkę! - odkrzyknął Santi, przywiązując kuce do pnia.

- Pomożesz mi, Santi? - zapytała Maria miękkiem, nieco zachrypniętym głosem, przyglądając się, jak Sofia wspina się coraz wyżej, przeskakując z jednej grubej gałęzi na drugą.

Maria zawsze podziwiała odważną, wygadaną i pewną siebie Sofię. Przyjaźniły się od najwcześniejszego dzieciństwa i wszystko robiły razem - razem spiskowały, wymyślały różne figle, bawiły się i dzieliły sekretami. Kiedy były mniejsze, matka Marii i Santiaga, Chiquita, nazywała je Las DOS Sombras, dwa cienie, ponieważ prawie nigdy się nie rozstawały.

Pozostałe dziewczynki na farmie były od nich starsze lub młodsze, nic więc dziwnego, że Sofia i Maria, które były rówieśnicami, stały się naturalnymi sojuszniczkami w rodzinie zdominowanej przez chłopców. Żadna nie miała siostry i już wiele lat temu postanowiły zawrzeć „braterstwo krwi”, kłując się w palce szpilką i łącząc dwie kropelki krwi. Od tej pory miały wspólną, wyjątkową tajemnicę, której nie znał nikt inny. W ich żyłach płynęła ta sama krew i naprawdę czuły się siostrami, były też bardzo dumne z łączącej je szczególnej więzi.

Ze szczytu drzewa Sofia widziała cały świat, a w każdym razie jej świat, ciągnący się aż po horyzont, nasycony barwami różu, złota i czerwieni. Powietrze było lepkie od upału i wilgoci, między gałęziami unosiły się całe chmury groźnie bzyjących komarów.

- Znowu jakiś mnie ugryzł - burknęła Maria, drapiąc się po nodze.

- Proszę bardzo. - Santi schylił się i podstawił splecione dłonie pod stopę siostry.

Szybkim ruchem dźwignął ją w górę, tak wysoko, żeby mogła oprzeć się brzuchem o pierwszą gałąź. Wiedział, że dalej już sobie poradzi.

Sam wspiął się na drzewo z lekkością, która nigdy nie przestawała zdumiewać wszystkich jego krewnych i przyjaciół. Jako małe dziecko spadł z kuca podczas meczu polo i po tym wypadku trochę utykał. Przerażeni rodzice polecieli z chłopcem do Stanów, gdzie odbyli z nim pielgrzymkę po gabinetach wszystkich znanych specjalistów. Okazało się później, że mogli darować sobie ten wysiłek. Santi dowiódł, że przewidywania lekarzy nie zawsze się sprawdzają, i doskonale poradził sobie z nieznacznym kalectwem. Już kilka miesięcy po wypadku biegał szybciej niż wszyscy jego kuzyni, nawet ci kilka lat starsi, i wcale nie przeszkadzało mu, że jedną stopę stawia do środka, a jako młody mężczyzna cieszył się na ranczu opinią najlepszego gracza polo.

- Santiago posiada odwagę, jakiej dziś prawie się nie spotyka, nie ma dwóch zdań - mawiał z dumą jego ojciec. - Chłopak daleko zajdzie i w pełni na to zasługuje.

- Fantastyczny widok, prawda? - Sofia się uśmiechnęła, kiedy kuzyn wreszcie do niej dołączył. - Masz scyzoryk, Santi? Chcę zapisać życzenie.

- Na czym ci tym razem zależy? - zapytał, siadając obok niej i machając nogami w powietrzu. - Zresztą, twoje życzenie i tak się nie spełni - prychnął. - Nie wiem, dlaczego uważasz, że powinnaś je uwiecznić...

Ale Sofia pieszczotliwie dotknęła grubego pnia ambu, palcami szukając na nim śladów przeszłości.

- Och, spełni się na pewno, może nie w tym roku, lecz z pewnością wtedy, gdy będzie to dla mnie naprawdę ważne. Drzewo wie, które życzenie spełnić, a które odrzucić... - Z czułością po klepała gałąź, na której siedzieli.

- Niedługo powiesz mi, że to cholerne drzewo myśli i czuje - mruknął kpiąco, spoconą ręką odgarniając z czoła gęste jasne włosy.

- Jesteś zwykłym ignorantem, Santi, ale mam nadzieję, że pewnego dnia coś jednak do ciebie dotrze. Poczekaj, a zobaczysz... Kiedyś, gdy będziesz czegoś bardzo, bardzo pragnął, zakradniesz się tutaj pod osłoną ciemności i wytniesz w korze swój znak. - Sofia roześmiała się głośno.

- Wolałbym już chyba pojechać do naszej La Vieja Bruja - oświadczył Santi. - Stara wiedźma ma większą szansę, żeby pokierować moim życiem, niż to durne drzewo.

- Jedź do niej, jeśli masz ochotę i potrafisz nie oddychać wystarczająco długo, by nie zadławić się jej smrodem - odparła Sofia. - O, znalazłam jedno! - wykrzyknęła, przesuwając palcami po jednym z ich ostatnich nacięć. Podobnie jak stara rana, zostawiło na korze czysto zarysowaną białą bliznę.

Maria dotarła do nich wreszcie, zaczerwieniona i spocona z wysiłku. Płowobrzowe włosy, opadające na ramiona luźnymi lokami, miejscami przykleiły się do jej błyszczących okrągłych policzków.

- Spójrzcie tylko, co za niesamowity widok! - wydyszała, rozglądając się dookoła.

Sofia straciła już jednak zainteresowanie widokiem i teraz, zgięta w pół, szukała wzrokiem śladów własnej twórczości na pniu.

- To jest chyba moje. - Wdrapała się na gałąź tuż nad Santim, aby z bliska przyjrzeć się korze. - Tak, moje. To mój symbol, widzicie?

- Może sześć miesięcy temu to był jakiś symbol, ale w tej chwili to tylko niewyraźna plama - powiedział Santi i podciągnął się wyżej.

- Wycięłam gwiazdę - oznajmiła z dumą Sofia. - Całkiem nie źle idzie mi rysowanie gwiazdek. A gdzie twój znak, Mario?

Maria niepewnie przesunęła się bliżej pnia, przeszła nad Santim i z westchnieniem ulgi usiadła, obejmując ramieniem gałąź. Dopiero po dłuższej chwili znalazła swoją bliznę i pogłaskała ją z nostalgicznym wyrazem twarzy.

- Moim znakiem był ptak. - Uśmiechnęła się lekko.

- Dlaczego go wycięłaś? - zapytała Sofia, zeskakując bez trudu ze swojej gałęzi i siadając obok Marii.

- Będziecie się śmiać, jeśli wam powiem...

- Skądże znowu - oburzył się Santi. - Czy twoje życzenie się spełniło?

- Naturalnie, że nie i nigdy się nie spełni, ale warto było je wypowiedzieć.

- Co to było za życzenie? - zniecierpliwiła się Sofia, zaintrygowana tajemniczą miną kuzynki.

- Dobrze, powiem wam. Chciałam mieć piękny głos, żeby akompaniować mamie, kiedy gra na gitarze. - Maria podniosła orzechowe oczy i spostrzegła, że brat i kuzynka ledwo tłumią wesołość.

- Ptak miał być symbolem pięknego głosu, tak? - Santi uśmiechnął się szeroko.

Chyba tak, chociaż nie dlatego go narysowałam.

- Więc dlaczego, głuptasie?

- Bo lubię ptaki, a kiedy wypowiadałam życzenie, na drzewie usiadł jakiś ptak, naprawdę bardzo blisko mnie. Był prześliczny. Tata zawsze mówił, że symbol niekoniecznie musi mieć coś wspólnego z życzeniem, wystarczy wyciąć w korze swój znak. Tak czy inaczej, mój ptak wcale nie był taki znowu śmieszny, a poza tym zrobiłam to rok temu, kiedy miałam niecałe czternaście lat. Powiedz, czego ty chciałaś, skoro tak bawi cię moje życzenie.

Sofio!

- Żeby tata pozwolił mi zagrać w Pucharze Santa Catalina - wyniośle odparła Sofia, czekając na reakcję Santiiego.

Tak jak przewidywała, Santi wybuchnął trochę sztucznie głośnym śmiechem.

- W Pucharze Santa Catalina? Chyba żartujesz! - wykrzyknął ze zdumieniem, mrużąc jasnozielone oczy i odpowiednią miną podkreślając swoje niedowierzanie.

- Mówię zupełnie poważnie. - Sofia wyzywająco wysunęła do przodu podbródek.

- A co miała symbolizować ta gwiazda? - zainteresowała się Maria, otrzepując koszulową bluzkę w miejscu, gdzie ubrudziła ją mchem.

- Że chcę być gwiazdą polo - wyznała śmiało Sofia, tak naturalnym tonem, jakby zdradzała im, że zamierza zostać pielęgniarką.

- Gwiazdą polo, też coś! - Santi położył się na gałęzi i zaniósł się drwiącym chichotem. - Zagrać w Pucharze Santa Catalina! Jesteś jeszcze dzieckiem, Sofio!

- Dzieckiem, ty nadęty osle? - powtórzyła, udając złość. - W kwietniu, czyli za trzy miesiące, skończę szesnaście lat i będę kobietą...

- Chofi, nigdy nie będziesz kobietą, bo przecież nie byłaś dziewczynką - rzucił Santi. - Dziewczynka nie zachowuje się jak ostatni łobuz, dziewczynka jest miła, łagodna i spokojna jak Maria. Nie, Sofi, nie masz ani jednej cechy typowej dla dziewczyny.

Sofia nie spuszczała z niego oczu. Dżinsy Santiiego były znoszone, luźne i trzymały się nisko na biodrach. Jego koszulka podjechała wysoko, odsłaniając płaski, brązowy brzuch i wystające kości biodrowe. Ktoś mógłby pomyśleć, że Santi jest permanentnie głodzony, tymczasem nikt w domu nie jadł więcej od niego. Pochłaniał jedzenie z determinacją i żarłocznością człowieka, który od dawna nic nie jadł. Sofia miała ochotę przejechać palcami po jego skórze i połaskotać go. Była gotowa sięgnąć po jakąkolwiek wymówkę, żeby tylko go dotknąć. Większą część dnia zwykle spędzali razem i kontakt fizyczny bardzo ją podniecał, ale w ciągu ostatniej godziny czy dwóch nie miała okazji dotknąć Santiiego. Bardzo tego pragnęła...

- A jakie jest twoje życzenie? - zapytała, znowu skupiając na sobie całą uwagę Santiiego.

- Och, nie wiem i niewiele mnie to obchodzi! Przecież to wszystko są jakieś bzdury!

- Pamiętajcie, jak mój tata zachęcał nas, żebyśmy każdego lata wypowiadali tutaj swoje życzenia? - odezwała się Sofia ze wzruszeniem.

- Nasi rodzice także wycinali swoje znaki w korze ambu, kiedy byli dziećmi - powiedziała pogodnie Maria. - Jestem pewna, że nawet teraz znaleźlibyśmy je, gdybyśmy ich poszukali.

- Dawno zniknęły, Mario - oświadczył Santi. Kora drzewa wchłania blizny po roku, najwyżej dwóch. Zresztą to nieważne. Musisz przyznać, że trzeba by nie lada czarów, żeby Paco pozwolił Sofii zagrać w Pucharze Santa Catalina...

I znowu zaniósł się śmiechem, trzymając się za brzuch, by pokazać, jak bawią go ambicje kuzynki. Sofia zgrabnie zeskoczyła ze swojej gałęzi, przysiadła obok niego i przebiegła palcami po jego brzuchu. Po chwili tych chińskich tortur Santi zaczął błagać o litość.

- Chofi, nie rób mi tego na gałęzi, na miłość boską! Oboje spadniemy i zabijemy się! - wykrztusił między napadami śmiechu, gdy palce Sofii przekroczyły linię dzielącą opaloną skórę od białej, którą ukrywał przed słońcem pod szortami.

Chwycił Sofię za przegub dłoni i ścisnął tak mocno, że aż skrzywiła się z bólu. Santi miał prawie osiemnaście lat, był o całe dwa lata starszy od kuzynki i siostry. Sofię ogarniało dziwne podniecenie, kiedy Santi posługiwał się swą siłą, aby nad nią zapanować, lecz udawanie, że wcale jej się to nie podoba, stanowiło niezbędny element gry.

- Nie wiem, dlaczego uważasz, że to zupełnie niemożliwe - mruknęła, lekko masując przegub dłoni.

- Nie zamierzam ci tego tłumaczyć, ale to naprawdę nierealne. - Santi się uśmiechnął.

- Dlaczego?

- Bo dziewczyny nie grywają w meczach.

- Cóż, kiedyś musi być ten pierwszy raz - rzuciła buntowniczo. - Myślę, że tata w końcu pozwoli mi zagrać.

- Na pewno nie w Pucharze Santa Catalina. Każda drużyna stawia sobie za punkt honoru, żeby zwyciężyć w tym meczu. I w ogóle o czym my rozmawiamy - jako czwarty wystąpi Agustin, przecież to oczywiste.

- Dobrze wiesz, że potrafię grać nie gorzej niż Agustin. - Wcale nie jestem o tym przekonany. Zresztą, jeżeli nawet stryj Paco zdecydowałby się wypuścić cię na boisko, na pewno nie miałyby to nic wspólnego z magią. Manipulacja, zagrania nie fair - oto cechy charakterystyczne twojego stylu działania. Owinęłaś sobie biednego Paca wokół małego palca, a on nawet o tym nie wie.

- Sofia wszystkich owinęła sobie wokół małego palca. - Maria roześmiała się bez śladu zazdrości.

- Wszystkich poza mamą - mruknęła Sofia.

- Może wyszłaś z wprawy, Chofi?

- Sofia nigdy nie miała wprawy w postępowaniu z Anną.

Mecz o Puchar Santa Catalina co roku rozgrywały między sobą reprezentacje dwóch posiadłości - La Paz i Santa Catalina. Oba zespoły rywalizowały ze sobą od wielu lat, nawet pokoleń, a poprzedniego lata Santa Catalina przegrała różnicą jednej bramki. Chłopcy z Santa Catalina prawie każdego letniego po południa grywali w polo, podobnie jak kuzyni Anny w Glengariff z zapalem grali w dwa ognie. Ojciec Sofii, Paco, i jego starszy brat, Miguel, traktowali grę bardzo poważnie i stale namawiali chłopców do treningów. Santi już teraz potrafił zdobyć sześć punktów, gdy najlepsi gracze o sławie międzynarodowej zdobywali najwyżej dziesięć. Miguel był bardzo dumny z syna i nawet nie próbował tego ukryć.

Fernando, starszy brat Santiago, podczas swoich najlepszych występów zdobywał nie więcej niż cztery punkty i nie mógł znieść, że Santiago jest znacznie sprawniejszy na boisku. Jeszcze bardziej upokarzające było dla niego to, że Santi, który przewyższał go jako sportowiec, był kulawy. Fernando doskonale wiedział, że Santi jest oczkiem w głowie rodziców, i dlatego życzył bratu porażki, choćby tylko jednej, ale Santiago wydawał się niepokonany. Fernando przeżywał całą tę sytuację tak mocno, że w nocy, przez sen, z całej siły zgrzytał zębami i niedawno dentysta zalecił mu wkładanie na noc do ust obrzydliwej gumy. Zdaniem Fernanda był to kolejny gwóźdź, który Santi z zadowoleniem wbił w wieko jego trumny.

Sofia miała dwóch starszych braci, Rafaela i Agustina, którzy razem z Santim i Fernandem tworzyli meczową czwórkę. Rafael również potrafił zdobyć cztery punkty, natomiast Agustin tylko dwa. Sofia, ku swojej wielkiej wściekłości, w ogóle nie była brana pod uwagę.

Sofia szczerze żałowała, że nie jest chłopcem. Nienawidziła zabaw dla dziewczynek i wiecznie chodziła za chłopcami w nadziei, że dopuszczą ją do swoich zajęć. Santi zawsze jej na to pozwalał. Często poświęcał wolny czas, aby grać z nią w polo i nalegał, by trenowała razem z chłopcami, nawet jeżeli musiał po konywać twardy opór ze strony swojego brata i kuzynów, którzy za żadne skarby świata nie chcieli wyjeżdżać na boisko z dziewczyną, zwłaszcza że ta dziewczyna potrafiła grać lepiej od nich. Santi powtarzał, że zgadza się na udział Sofii w meczach tylko dla świętego spokoju.

- Jesteś potwornie uparta, więc czasami łatwiej ci po prostu ustąpić - powiedział kiedyś.

Santi był ulubionym kuzynem Sofii. Kochała go, podziwiała i uważała, że jest dla niej lepszym bratem niż Rafael i kłótlivy Agustin.

Teraz Santi rzucił jej scyzoryk.

- Proszę bardzo, uwiecznij swoje życzenie - odezwał się leniwie, wyciągając paczkę papierosów z kieszeni koszuli. - Chcesz jednego, Chofi?

- Jasne, dlaczego nie.

Zapalił, zaciągnął się głęboko i podał papierosa kuzynce. Sofia zręcznie jak małpka wdrapała się na wyższą gałąź i usiadła ze skrzyżowanymi nogami, odsłaniając brązowe kolana, wyraźnie widoczne przez poszarpane dziury w dżinsach.

- Czego mogłabym życzyć sobie tym razem? - westchnęła, otwierając scyzoryk.

- Czegoś w miarę realnego - poradził jej i zerknął na siedzącą w milczeniu siostrę, która z nieukrywanym podziwem wpatrywała się w kuzynkę.

Sofia zaciągnęła się dymem i zaraz z wyraźnym obrzydzeniem wypuściła go z ust.

- Hej, jeżeli nie zamierzasz palić jak należy, oddaj mi papierosa! - Santi się zirytował.

- Nie marnuj go. Nie masz pojęcia, z jakim trudem je zdobywam.

- Nie kłam, Encarnacion kupuje je dla ciebie - rzuciła Sofia i zabrała się do wycinania znaku w korze ambu. Miękkie drewno łatwo ustąpiło pod ostrzem, cienkie drzazgi posypały się na ziemię jak czekoladowe wiórki.

- Kto ci o tym powiedział? - zapytał oskarżycielskim tonem.

- Maria.

- Wcale nie chciałam... - zaczęła Maria niepewnie.

- Daj spokój, kogo to obchodzi, Santi - przerwała jej Sofia. - Nikomu nie zdradzimy twojej tajemnicy, możesz nam wierzyć - dorzuciła, bardziej zainteresowana swoim życzeniem niż nieporozumieniem między rodzeństwem, które sama wywołała.

Santi wciągnął dym głęboko do płuc, trzymając papierosa między palcem wskazującym i kciukiem, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z Sofii, która spokojnie poprawiała kształt swego znaku w korze. Sofia dorastała na jego oczach, dlatego traktował ją jak drugą siostrę. Fernando zupełnie go nie rozumiał i zawsze powtarzał, że Sofia potrafi być wyjątkowo męcząca. Na jej twarzy pojawił się wyraz intensywnego skupienia. Ma piękną skórę, pomyślał Santi, gładką i brązową jak cudowny mus z mlecznej czekolady, który czasami przyrządzała Encarnacion. Jej profil zdradzał pewną arogancję - może decydowała o tym wyraźna linia lekko zadartego nosa, a może zdecydowany zarys podbródka... Santiemu podobało się, że Sofia jest trudna i buntownicza. Jej brązowe oczy o kształcie migdałów w jednej chwili zmieniały barwę z jasnego brązu na głęboki, niepowtarzalny rudobrązowy odcień. Nikt nie ośmieliłby się powiedzieć, że Sofia jest osobą łagodną i ustępliwą. Podziwiał jej upór i zdecydowanie. Miała charyzmę, która przyciągała do niej ludzi, chociaż wiele osób sparzyło się, usiłując zbliżyć się do tej niezwyklej dziewczyny. Santi obserwował ich zabiegi z wyżyn uprzywilejowanej pozycji, jaką zajmował w życiu Sofii, zawsze gotowy wysłuchać jej narzekań na nielojalnych przyjaciół i znajomych.

Po chwili Sofia wyprostowała się i z dumą spojrzała na świeżo wycięty symbol.

- Co to takiego? - Zaciekawiona Maria przysunęła się bliżej pnia,

- Nie widzisz? - oburzyła się Sofia.

- Przykro mi, ale nie...

- To serce.

Maria lekko zmarszczyła brwi.

- Serce? - powtórzyła ze zdziwieniem.

- Straszny banał, nie sądzisz, Chofi? - odezwał się Santi. - Kim jest ten szczęściarz?

Znowu opadł na plecy i zaczął leniwie poruszać ramionami i nogami, zwisającymi z gałęzi.

- Nie powiem - wstydliwie odparła Sofia. - Nie wolno nikomu zdradzać swego życzenia, bo się nie spełni...

Rzadko się czerwieniła, ale w ostatnich miesiącach uczucia, jakimi darzyła kuzyna, uległy zmianie. Kiedy patrzył jej w oczy w ten specjalny, uważny sposób, rumieniec wypełzał na jej policzki, a serce skakało jak świerszcz polny. Sofia podziwiała Santiago, uwielbiała go, ale naprawdę nie rozumiała, dlaczego w jego obecności ogarnia ją czasami dziwna niepewność. Miała wrażenie, że dzieje się to całkowicie bez jej udziału, więcej, wbrew woli. Poskarżyła się Soledad, że rumieni się podczas rozmów z chłopcami, a służąca roześmiała się i oświadczyła, iż wiąże się to z dorastaniem. Sofia miała nadzieję, że szybko z tego wyrośnie. Z dużym zainteresowaniem analizowała swoje nowe uczucia i zastanawiała się, jak skupić na sobie uwagę Santiago, który kopał jak komin i błędził myślami gdzieś daleko. Maria wzięła z jej rąk scyzoryk i wycięła w korze drzewa małe słońce.

- Obym żyła długo i szczęśliwie - powiedziała.

- Dziwne życzenie. - Sofia zabawnie zmarszczyła nos.

- Nigdy nie wolno traktować takich rzeczy jako absolutnie pewnych - odpowiedziała Maria z powagą.

- O Boże, znowu słuchałaś mojej szalonej matki! - Sofia przewróciła oczami, przybrała minę rozmodlonej dewotki i przeżegnała się kilka razy. - Czy teraz będziesz co chwilę całować krucyfiks?

Maria roześmiała się pogodnie.

- A ty nie masz żadnego życzenia, Santi? - zapytała. - Wymyśl jakieś, przecież to tradycja!

- Nie tradycja, tylko dziewczynskie przesady - odparł.

- Jak sobie chcesz - mruknęła Sofia, wygodnie opierając się o gruby pień. - Mmm... Czujecie, jak mocno pachnie eukaliptus? - Lekki wiatr chłodził jej rozpalone policzki, niosąc jedyny w swoim rodzaju aromat. - Ze wszystkich zapachów farmy ten kocham najbardziej. Gdybym znalazła się na bezludnej wyspie i poczuła zapach eukaliptusa, na pewno rozplakałabym się z tęsknoty za domem - westchnęła melodramatycznie.

Santi znowu zaciągnął się papierosem i wypuścił z ust kilka kótek dymu.

- Masz rację - oświadczył. - Zapach eukaliptusa zawsze kojarzy mi się z latem.

- Nie czuję eukaliptusa, tylko dym z marlboro - burknęła Maria, wachlując się dłonią.

- Więc się przesiądź.

- Nie, Santi, to ty się przesiądź!

- Mujeres! Ach, te kobiety!

Jasne włosy okalały jego głowę niczym tajemnicza aura, o której czasami opowiadała stara wiedźma z wioski. Jej zdaniem aurę miał każdy, wyjątek stanowili tylko ludzie naprawdę źli. Trójka młodych ułożyła się wygodnie na gałęziachambu, podobna do rozleniwionych, śpiących kotów. W milczeniu wypatrywali pierwszych gwiazd.

Kuce parskwały, od czasu do czasu tupały, znużone bezczynnością, i rzucały głowami, odganiając chmary unoszących się nad nimi komarów. W końcu Maria zaproponowała, żeby ruszyli w drogę powrotną do domu.

- Niedługo zrobi się całkiem ciemno - zauważyła niespokojnie, wskakując na grzbiet kuca.

- Mama mnie zabije - westchnęła Sofia.

- Ciotka Anna na pewno znowu powie, że to wszystko moja wina - jęknął Santi.

- Cóż, Santiago, przecież jesteś już dorosły i powinienes się nami opiekować.

- Nie lubię wkraczać na ścieżkę wojenną przeciwko twojej matce, Chofi...

Trudno byłoby znaleźć osobę, która nie obawiała się wściekłości Anny. Sofia wsunęła stopy w strzemiona i ujęła wodze, sprawnie kierując kucem w ciemności.

Po powrocie na ranczo oddali konie staremu Josemu, szefowi wszystkich gauczów, który czekał na nich oparty o ogrodzenie, spokojnie sącząc herbatę mate przez pięknie zdobioną srebrną słomkę, z cierpliwością człowieka nie liczącego się z czasem. Na widok całej trójki pokręcił głową z łagodną dezaprobatą.

- Seniorita Sofia, mama panienki wydzwaniała do nas przez cały wieczór - skarcił dziewczynę. - Trzeba uważać, mała, czasy są niebezpieczne...

- Och, kochany Jose, nie powinienes się martwić! - zaśmiała się Sofia. - Wiesz przecież, że i tak ujdzie mi to bezkarnie!

I pobiegła za Marią oraz Santim, którzy już poszli w kierunku jaśniejących w ciemności światła.

Anna była wściekła, zgodnie z przewidywaniami. Obrzuciła córkę ostrym spojrzeniem i zerwała się z krzesła, gestykulując gwałtownie.

- Gdzie byłaś, na miłość boską? - wybuchnęła.

Jej zarumienione policzki w zestawieniu z rudymi włosami wydawały się płomiennie czerwone.

- Wybraliśmy się na przejażdżkę - wyjaśniła Sofia. - Zupełnie straciłam poczucie czasu. Przepraszam.

Agustin i Rafael siedzieli rozparci na sofach i uśmiechali się ironicznie.

- Co was tak bawi? - warknęła dziewczyna. - Nie podsłuchuj, Agustin! To nie twoja sprawa!

- Jesteś kłamliwą ropuchą, Sofio - odgryźł się Agustin.

- Rafael, Agustin, nie róbcie sobie żartów. - Anna jeszcze bardziej się zdenerwowała.

- Lepiej zmykaj do swojego pokoju, senora Sofia - mruknął Agustin.

Anna nie miała najmniejszej ochoty słuchać jego uwag. Odwróciła się do męża, szukając u niego poparcia, ale Paco zaczął już rozmawiać z synami o Pucharze Santa Catalina. Dziadek Dwyer, który i tak nie pomógłby jej w tej sytuacji, pochrapywał głośno w fotelu pod oknem. Dlatego musiała znowu odegrać rolę surowej matki. Spojrzała na córkę i z westchnieniem ciężko doświadczonej przez życie cierpiętnicy kazała jej pójść do siebie, oczywiście bez kolacji.

Jej słowa nie zrobiły na Sofii najmniejszego wrażenia. Wyszła z salonu i skierowała się prosto do kuchni. Soledad nie zawiodła jej oczekiwań i czekała już na nią z kanapkami i talerzem gorącej zupy zapallo.

- Paco, dlaczego nigdy mnie nie popierasz? - zapytała ze znużeniem Anna. - Dlaczego zawsze bierzesz jej stronę? Sama nie zdołam jej wychować...

- Jesteś zmęczona, mi amor. Może chciałabyś wcześniej się położyć? - odrzekł Paco, z niepokojem wpatrując się w jej ponurą, pełną napięcia twarz.

Szukał w niej delikatnej młodej dziewczyny, którą poślubił wiele lat temu, i zastanawiał się, gdzie się podziała. Dlaczego bała się odsłonić swoją prawdziwą twarz? Anna, którą pamiętał, zgubiła się gdzieś i czasami miał wrażenie, że nigdy jej nie odzyska.

Kolacja przebiegła w dziwnej, nienaturalnej atmosferze. Anna milczała w proteście przeciwko zachowaniu Paca, Rafael i Agustin nadal rozmawiali z ojcem o meczu polo, zachowując się tak, jakby matki nie było przy stole. Nikt nie zwracał uwagi na nieobecność Sofii. Jej miejsce przy stole było tak często puste, że wszyscy zdążyli się już do tego przyzwyczaić.

- Musimy bardzo uważać na Roberta i Francisca Lobito - zauważył Rafael, mówiąc z pełnymi ustami.

Anna rzuciła mu karcące spojrzenie, lecz się nie odezwała. Rafael miał już dwadzieścia trzy lata, uważała więc, że nie bardzo może zwracać mu uwagę.

- Będą pilnować Santiago - rzekł Paco. - Santi jest naszym najlepszym graczem, więc oznacza to, że wy dwaj będziecie obciążeni dodatkowymi zadaniami. Rozumiecie mnie, chłopcy? Agustin, musisz się skoncentrować, skupić wyłącznie na grze.

- Nie martw się, tato - odezwał się Agustin, przenosząc wzrok z brata na ojca, aby podkreślić swoją całkowitą szczerość. - Nie zawiodę cię.

- Mam nadzieję, bo w przeciwnym razie zdejmę cię z boiska i pozwolę zagrać twojej siostrze - oświadczył Paco.

Agustin ściągnął brwi i pochylił głowę nad talerzem z pieczenią cielęcą. Anna westchnęła ciężko, a gdy Paco nie zareagował, odęła wargi i dalej jadła w milczeniu. Już dawno przyjęła do wiadomości fakt, że Sofia gra w polo ze swoimi braćmi i kuzynami, i przestała tracić energię na bezskuteczne protesty, bo przecież w końcu wszystko to działo się wśród rodziny. Ale mecz z La Paz to zupełnie co innego... Nie pozwolę, aby Paco wypuścił ją na boisko w obecności rodziny Lobito, pomyślała. Po moim trupie...

Tymczasem Sofia leżała w wannie pełnej ciepłej wody z błyszczącymi białymi bąbelkami i z odchyłoną do tyłu głową rozmyślała o Santim. Dobrze wiedziała, że nie powinna pozwalać sobie na tego rodzaju marzenia o kuzynie. Gdyby powiedziała ojcu Juliowi, jakie to nieskromne, pożądliwe myśli i tęsknoty przepełniają jej umysł i rozpalają ciało, kazałby jej natychmiast od mówić co najmniej dwadzieścia Zdrowaś Mario. Anna przeżegnałaby się ze zgorzeniem i oświadczyła, że takie zauroczenie jest dewiacją, lecz dla Sofii była to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem.

Wyobraziła sobie, że Santi całuje ją, i nagle zrozumiała, iż na prawdę bardzo chciałyby dowiedzieć się, jak smakuje jego usta. Nigdy dotąd nie całowała żadnego chłopca. Co prawda kiedyś w szkole pospiesznie musnęła wargi Nacha Estady, ponieważ przegrała zakład, ale to nie był prawdziwy pocałunek. Nie miało to nic wspólnego z tym, jak całuje się dwoje zakochanych. Za mknęła oczy i wyobraźnia podsunęła jej obraz jego twarzy o skórze koloru dojrzałego miodu, zobaczyła, jak jego pełne, uśmiechnięte usta rozchylają się lekko, by po chwili spocząć na jej wargach. Wyraźnie widziała jasnozielone oczy Santiago... Wpatrywał się w nią z czułością i pożądaniem... Ponieważ nie wiedziała, co w takich sytuacjach dzieje się dalej, przewinęła taśmę wyobraźni do tyłu, odegrała wszystko od początku, a potem jeszcze raz i jeszcze, aż wreszcie woda zupełnie wystygła, a jej skóra na palcach i dłoniach upodobniła się do pomarszczonej skóry starej iguany.

Rozdział trzeci

Sofia obudziła się, gdy pierwsze promienie świtu przedostały się do jej pokoju przez szparę między zasłonami. Chwilę leżała bez ruchu, wsłuchując się w odgłosy poranka. Ptaki

przeskakiwały z gałęzi na gałąź wysokich platanów i topoli, zanosząc się śpiewem. Nie musiała sięgać po zegarek i sprawdzać, która godzina, ponieważ zawsze budziła się o szóstej. Uwielbiała wczesne poranki, kiedy reszta rodziny i większość służby pogrążona była jeszcze w głębokim śnie. Szybko wciągnęła dżinsy i koszulkę, związała długie ciemne włosy czerwoną wstążką i wsunęła stopy w płócienne espadryle.

Kiedy wyszła z domu, słońce dopiero podnosiło się z porannej mgły. Sofia przemknęła między drzewami i ruszyła w kierunku boiska polo. Jej stopy prawie nie dotykały ziemi. Jose czekał już na nią, jak zwykle ubrany w szerokie bombachas, buty z czekoladowobrązowej skóry i ciężki pas rastra, ozdobiony dużymi srebrnymi monetami. Pod doświadczonym okiem starego gauczo Sofia miała wraz z jego synem, Pablem, przez dwie godziny, które pozostały do śniadania, trenować prowadzenie i sposób uderzania piłki. Dziewczyna czuła się w siodle jak ryba w wodzie. Tylko na końskim grzbiecie, galopując po boisku, z dala od krytycznych spojrzeń matki i braci, potrafiła cieszyć się prawdziwą wolnością.

O ósmej oddała klacz pod opiekę Josego. Idąc do domu, zerknęła w kierunku domu Santiago, częściowo ukrytego za drzewami. Rosa i Encarnacion, pokojówki pracujące u Miguela i Chiquity, nakrywały stół na tarasie do śniadania, ubrane w olśniewająco białe fartuszki. Santiago nie było nigdzie widać - lubił spać i rzadko wstawał przed jedenastą. Parterowy, rozległy dom Chiquity w niczym nie przypominał domu Anny. Jego ściany pomalowane były na różowy kolor, który zdążył już nieco wyblaknąć. Wyglądał bardzo miło i przytulnie, lecz Sofii mimo wszystko najbardziej podobał się jej własny dom, z białymi ścianami i ciemnozielonymi okiennicami, częściowo zasłoniętymi ozdobnym powojem i dużymi, okrągłymi donicami z geranium i zawciągciem.

Paco i Anna już wstali i siedzieli na tarasie pod dużym parasolem, popijając poranną kawę. Dziadek Dwyer demonstrował karciane sztuczki jednemu z chudych psów, który nie spuszczał wzroku z jego rąk i twarzy, ponieważ liczył na skrawki wędliny ze stołu. Paco, ubrany w różową koszulkę polo i dżinsy, przeglądał codzienną prasę, co jakiś czas poprawiając tkwiące na końcu garbatego nosa okulary. Kiedy Sofia podeszła, odłożył gazetę i dołączył do kawy.

- Tato... - zaczęła dziewczyna.

- Nie.

- Co, nie? - roześmiała się i pochyliła, żeby go pocałować. - Jeszcze nie zdążyłam cię o nic poprosić!

- Wiem, o co ci chodzi, Sofio, i odpowiedź brzmi: nie.

Sofia usiadła i sięgnęła po jabłko. Zauważyła, że kąciki warg ojca uniosły się w uśmiechu i utkwiała w jego twarzy porozumiewawcze, rozbawione spojrzenie, trochę dziecinne i psotne, lecz absolutnie czarujące. Tego rodzaju spojrzenia rezerwowała tylko dla Paca i dziadka.

- Kochany tato, nigdy nie mam okazji naprawdę zagrać w polo! - poskarżyła się. - To niesprawiedliwe! Przecież to ty nauczyłeś mnie grać!

- Wystarczy, Sofio! - odezwała się Anna ostrym tonem. Nie mogła zrozumieć, dlaczego jej mąż zawsze daje się nabrać na te sztuczki. - Tata już ci odpowiedział, więc daj mu spokój, z łaski swojej, i zjedz śniadanie jak należy! Jabłko kroi się nożem, moja droga!

Rozdrażniona Sofia bez słowa wbiła nóż w nadgryziony owoc. Anna postanowiła ją zignorować i z wystudowanym spokojem zaczęła przerzucać kartki czasopisma. Czuła, że córka obserwuje ją spod oka, i nieświadomie zacisnęła usta, przez co jej twarz nabrała nieprzyjemnego, twardego wyrazu.

- Dlaczego nie chcesz mi pozwolić grać w polo, mamó? - zapytała Sofia po angielsku.

- Ponieważ to nie przystoi młodej damie, Sofio. Jesteś dziewczyną, nie urwisem.

- Wiem, że nie cierpisz koni, ale to jeszcze nie znaczy...

- Moja antypatia do koni nie ma z tym nic wspólnego - przerwała jej Anna.

- Ależ ma! Chcesz, żebym stała się taka jak ty, lecz ja jestem inna, jestem podobna do taty! No es cierto, Papa?

- O czym rozmawialiście? - z roztargnieniem odezwał się Paco, który nie przysłuchiwał się ich wymianie zdań, ponieważ zwykle tracił zainteresowanie, gdy mówiły po angielsku.

W tej chwili na tarasie pojawili się Rafael i Agustin. Obaj mrużyli oczy i nie ulegało wątpliwości, że blask słońca nie sprawia im najmniejszej przyjemności. Do białego rana bawili się w nie wielkim klubie nocnym w mieście.

- Jest zdecydowanie zbyt jasno - jęknął Agustin. - Głowa mi pęka...

Anna odłożyła gazetę i obdarzyła synów czułym spojrzeniem.

- O której wróciliście? - zagadnęła współczująco.

- Koło piątej, mamó - odparł Rafael, całując matkę w policzek. - Najchętniej nie budziłbym się do południa... Co się dzieje, Sofio?

- Nic - warknęła dziewczyna. - Idę popływać.

Kiedy odeszła, Anna westchnęła znacząco i uśmiechnęła się do synów.

- Czeka nas trudny dzień - oznajmiła. - Sofia jest w fatalnym humorze, ponieważ nie może zagrać w meczu.

- Por Dios, ojczec, chyba nie wypuścisz jej na boisko? - wybuchnął Rafael.

- Nie bierzesz tego poważnie pod uwagę, prawda, tato? - wykrztusił Agustin.

Anna była bardzo zadowolona, że przynajmniej tym razem jej kapryśna córka nie zdołała nakłonić ojca, aby spełnił jej życzenie. Uśmiechnęła się z wdzięcznością do Paca i na chwilę położyła dłoń na jego ręce.

- Teraz myślę wyłącznie o tym, czy posmarować sobie rogalik masłem i zjeść jeszcze grzankę z konfiturą, czy też poprzestać na kawie. Jest to jedyna decyzja, na której podjęcie mam ochotę tego ranka - odparł Paco i znowu schował się za gazetą.

- O co chodzi, Anno Melody? - zapytał dziadek Dwyer, który nie rozumiał ani słowa po hiszpańsku.

Dermot Dwyer należał do pokolenia, które uważało, że wszyscy powinni mówić po angielsku. Mieszkał w Argentynie od szesnastu lat, ale nie zrobił najmniejszego wysiłku, by nauczyć się języka. Nie przyswoił sobie nawet najbardziej potrzebnych i najczęściej używanych zwrotów, więc służba w Santa Catalina musiała interpretować jego gesty lub starać się zrozumieć pojedyncze hiszpańskie słowa, które wypowiadał bardzo powoli i głośno.

- Można by się spodziewać, że czegoś się w końcu nauczą! - mamrotał z rozdrażnieniem, gdy bezradnie rozkładali ręce i wzruszali ramionami.

- Sofia chce zagrać w meczu - wyjaśniła mu Anna.

- Cholernie dobry pomysł. Mogłaby pokazać tym chłopakom parę sztuczek.

Chłód wody przeniknął Sofię aż do kości, kiedy skoczyła do basenu, przecinając jego gładką powierzchnię. Zaciskając usta ze złości, pokonała parę długości, aż wreszcie znieruchomiała na chwilę, czując, że ktoś ją obserwuje. Na brzegu stała Maria.

- Cześć! - zawołała Sofia, z trudem łapiąc oddech.

- Co ci jest?

- Nawet nie pytaj. Jestem po prostu wściekła.

- Chodzi ci o mecz? - zapytała Maria, zdejmując białe płócienne szorty i wyciągając się na leżaku. - Ojciec nie pozwolił ci zagrać?

- Jak zgadłaś?

- Możesz to przypisać intuicji. Nie należysz do bardzo skrytych osób. Sofio.

- Czasami chętnie zadusiłabym moją matkę, wiesz?

- Myślisz, że nie znam tego uczucia? - odparła Maria i zaczęła wyjmować z kwiecistej kosmetyczki mleczka i olejki do opalania.

- Och, oczywiście, że go nie znasz, bo twoja matka jest święta, aniołem z nieba. Chiquita jest taka cudowna! Gdybym była jej córką...

- Wiem, wiem, jestem szczęściarą - przyznała Maria, która bardzo sobie ceniła łączącą ją z matką przyjaźń.

- Chciałabym tylko, żeby mama wreszcie dała mi święty spokój - jęknęła Sofia, wychodząc na brzeg i siadając obok przyjaciółki. - Chyba zachowuje się tak dlatego, że jestem dziewczyną, i to w dodatku najmłodszą w rodzinie...

- Wychowanie Panchita pochłania prawie całą uwagę naszej mamy, więc może rzeczywiście coś w tym jest - zgodziła się Maria.

- Dużo bym dała, żeby zamiast tych dwóch osłów mieć młodszego brata. Agustin jest po prostu koszmarny, ciągle się mnie czepia! I jeszcze patrzy na mnie w ten swój pogardliwy sposób...

- Za to Rafael jest dla ciebie dobry.

- Rafa ujdzie w tłoku, ale Agustin nadaje się do odstrzału - oznajmiła Sofia. - Może wyjedzie na jakieś zagraniczne studia? Oszalałabym ze szczęścia, mówię ci!

- Nigdy nie wiadomo - powiedziała Maria. - Każde życzenie może się spełnić.

- Jeśli masz na myśli drzewo ambu, to nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby marnować życzenia na Agustina - parsknęła Sofia.

- Więc co zamierzasz zrobić w sprawie meczu? - Maria zajęła się rozsmarowywaniem olejku na swoich pulchnych udach. - Quemada, no?

- Tak, jesteś czarna, zupełnie jak Indianka! Daj mi trochę olejku, dobrze? Dzięki Bogu, że nie odziedziczyłam rudych włosów i jasnej cery mamy. Biedny Rafa, wystarczy, że chwilę posiedzi na słońcu i zaraz robi się czerwony jak tyłek pawiana...

- Co planujesz, pytam?

Sofia westchnęła głęboko.

- Poddaję się - rzekła dramatycznie, unosząc ręce.

- To do ciebie niepodobne. - Maria spojrzała na nią z wyraźnym rozczarowaniem.

- No, dobrze, więc powiedzmy, że jeszcze nie opracowałam żadnego planu. Poza tym nie jestem przekonana, czy sprawa jest warta zachodu, chociaż oczywiście bardzo chciałabym zobaczyć wyraz twarzy mamy i Agustina...

W tej samej chwili para silnych ramion podniosła ją wysoko. Zanim zdążyła się połapać, co się z nią dzieje, znalazła się w wodzie i zaczęła walczyć o swobodę ruchów.

- Santi! - krzyknęła, na sekundę wychylając głowę z wody - Ty draniu!

Parsknęła śmiechem, wyrwała się z jego uścisku i wepchnęła go pod wodę. Ku jej zachwytowi Santi otoczył jej talię ramionami i pociągnął za sobą. Szamotali się jak dwójka szczeniaków, lecz wreszcie musieli wychynąć z wody i zaczerpnąć powietrza. Sofia żałowała, że walka na niby trwała tak krótko, ale bez słowa skargi wdrapała się z Santim na brzeg.

- Dzięki za kąpiel - wydyszała. - Już myślałam, że się tu usmażę...

- Mnie też wydawało się, że wyglądasz jak kiełbaska na ruszcie - odparł. - Zrobiłem ci uprzejmość, nie uważasz?

- Ładna mi przysługa!

- I jak, Sofi, nie wyjedziesz na boisko dziś po południu? - zagadnął kpiąco. - Muszę przyznać, że nieźle podkręciłaś swoich braci...

- Wcale tego nie żałuję.

- Daj spokój, Chofi! Nie sądziłaś chyba, że Paco pozwoli ci na taki wybryk?

- Jeśli musisz wiedzieć, to... To naprawdę miałam nadzieję, że uda mi się przekonać tatę...

Santi prychnął z rozbawieniem i ledwo widoczne linie wokół jego oczu i ust pogłębiły się w charakterystyczny dla niego sposób. Jest taki przystojny, kiedy się uśmiecha, pomyślała Sofia.

- Jeżeli ktoś potrafi do czegoś takiego przekonać starego Paca, to na pewno właśnie ty. Co przeszkodziło ci osiągnąć cel, Chofi?

- Przeliteruję ci, dobrze? M-A-M-A.

- Och, rozumiem. Wobec tego sytuacja jest beznadziejna, tak?

- Tak.

Santi usiadł na rozgrzanych kamieniach na brzegu basenu. Jego pierś i ramiona były pokryte miękkimi, jasnymi włosami, które bardzo fascynowały Sofię.

- Sofi, musisz udowodnić ojcu, że umiesz grać równie dobrze jak Agustin - powiedział, odgarniając mokre włosy z czoła.

- Doskonale wiesz, że umiem grać nie gorzej od niego, a nawet lepiej. Jose także o tym wie - możesz go zapytać.

- Nie ma znaczenia, co myślę ja czy Jose.

Musisz zrobić wrażenie na twoim lub na moim ojcu, bo tylko to może przeważać szalę na twoją korzyść.

Sofia się zamyśliła.

- Co teraz knujesz? - zapytał z rozbawieniem.

- Nic - odparła.

- Nie zapominaj, że cię znam, Chofi...

- Och, spójrzcie, inwazja! - zawołała Maria na widok Chiquity i swojego najmłodszego brata, trzyletniego Panchita, którzy zbliżali się do basenu, otoczeni przez pięcioro lub sześcioro kuzynów.

- Chodź, Santi - mruknęła Sofia, podnosząc się i ruszając w stronę schodów.

- Chodźmy stąd.

W połowie drogi przypomniała sobie o przyjaciółce i odwróciła się do niej.

- Idziesz z nami, Mario? - zapytała. Ale Maria potrząsnęła głową i pomachała matce, wskazując jej wolny leżak obok siebie.

O dwunastej w południe nad ranczem zawisł intensywny zapach palącego się węgla drzewnego. Całe grupki wychudzonych psów zaczęły zbierać się w okolicy domu Anny i Paca, licząc na okrawki mięsa z barbecue. Jose doglądał ognia już od dziesiątej, żeby pieczone mogło być gotowe w porze lunchu. Soledad, Rosa, Encarnacion i pokojówki z pozostałych domów nakrywały stoły przed tradycyjnym sobotnim spotkaniem. Białe obrusy i kryształowe lśniły w słońcu,

Seniora Anna co jakiś czas odkładała swoje czasopismo i przechadzała się między stołami w dużym kapeluszu ze słomki i w długiej białej sukni. Pokojówki zawsze uważały ją za swego rodzaju curiosum - nigdy nie widziały osoby o tak jasnej skórze i płomiennych włosach, dlatego wydawała im się równie daleka i odmienna od nich jak Dziewica Maryja z małego kościołka Nuestra Señora de la Asuncion w mieście. Jej znajomość hiszpańskiego była zaskakująco ograniczona jak na kogoś, kto spędził tyle lat w Argentynie, nic więc dziwnego, że czasami naśladowały ją i wykpiwały.

Natomiast seniora Paca darzyli sympatią wszyscy mieszkańcy Santa Catalina. Hector Francisco Solanas, nieżyjący już ojciec Paca, był twardym, dystyngowanym mężczyzną, który mocno wierzył, że rodzina jest ważniejsza od interesów i polityki, a dom jest miejscem, z którym żadne inne nie może się równać. Jego żona, Maria Elena, była matką jego dzieci i za to bardzo ją szanował, można też powiedzieć, że na swój sposób podziwiał i kochał. Nigdy jednak nie byli w sobie zakochani. Ich małżeństwo uzgodnili zaprzyjaźnieni z sobą rodzice, którzy doszli do wniosku, że taki związek przyniesie korzyść obu stronom, i w pewnym sensie mieli słuszność. Maria Elena była piękna i uzdolniona, natomiast Hector przystojny, niezwykle atrakcyjny i po prostu stworzony do prowadzenia interesów. Wydawali mnóstwo przyjęć, w swoim czasie byli najpopularniejszą parą w Buenos Aires i żaden bal nie mógł się bez nich obyć. Nie darzyli się takim uczuciem, jakim darzą się kochankowie, lecz czasami, w nocy, kochali się tak namiętnie, jakby na chwilę zapomnieli, kim są. Następnego ranka budzili

się i odkrywali, że intymna czułość zniknęła bez śladu, a w jej miejsce pojawiła się zwykła formalność.

Maria Elena zdawała sobie sprawę, że Hector ma w mieście kochankę. Wszyscy o tym wiedzieli, poza tym w tamtych czasach mężowie często wnikali się w pozamałżeńskie związki, więc Maria Elena pogodziła się z tą sytuacją i nigdy nie poruszała z nikim tego tematu. Aby wypełnić pustkę w swoim życiu, całkowicie poświęciła się dzieciom. Było tak do chwili, kiedy na horyzoncie pojawił się Aleksiej Szachowski. Fascynujący, rozmarzony Szachowski uciekł z Rosji po rewolucji 1905 roku i uczył Marię Elenę gry na fortepianie, ale nauczył ją także cenić operę, sztukę. Jeżeli nawet Maria Elena odwzajemniała uczucie, które mu dawał wyraz w każdej wydobytej z fortepianu nucie i każdym spojrzeniem, to nigdy nie zdradziła męża. Czerpała wielką radość z towarzystwa i wiedzy Rosjanina, lecz odrzucała jego zaloty z godnością kobiety, która dokonała już życiowego wyboru i zawsze kieruje się honorem. Zrezygnowała z miłości, lecz w pełni doceniła otrzymany od artysty dar muzyki. W każdym utworze odkrywała krainę, którą warto zwiedzić, zachód słońca, którego piękno wywołuje łzy, horyzont, ku któremu pragnie się ulecieć... Dzięki muzyce mogła żyć innym życiem, choć czasami uwolnić się od dławiących więzów swego świata i doznawać prawdziwej radości. Paco nie zapomniał miłości swojej matki do muzyki i jej pięknych białych rąk, tańczących nad klawiszami fortepianu.

O pierwszej z wieży rozległ się gong, wzywający wszystkich na obiad. Z każdego zakątka Santa Catalina członkowie rodziny Solanas spieszyli ku domowi Paca i Anny, kierując się mocnym aromatem lomo i chorizo. Rodzina Solanas była naprawdę duża. Miguel i Paco mieli jeszcze dwóch braci, Nica i Alejandra. Nico i Valeria mieli czworo dzieci, Niquita, Sabrinę, Leticję i Tomasa, natomiast Alejandro i Malena mogli się poszczycić piątką - Angelem, Sebastianem, Martiną, Vanesą i Horaciem. Przy wielkim stole panował zwykle wesoły gwar, a pysznego jedzenia było aż za dużo. Kiedy wszyscy usiedli, okazało się, że jedno miejsce nadal jest wolne.

- Gdzie jest Sofia? - szepnęła Anna do Soledad, kiedy ta przechodziła obok niej z misą sałatki.

- Nie wiem, seniora Anna, nie mam pojęcia - odpowiedziała służąca i nagle zamarła w bezruchu, z wzrokiem utkwionym w boisko do gry w polo. - Que horror! - wykrzyknęła.

- Oto i ona!

Wszyscy odwrócili głowy w kierunku boiska i przy stole zapadła całkowita cisza. Pewna siebie, bezwstydną Sofia galopowała ku nim, swobodnie wymachując kijem i sprawnie prowadząc przed sobą piłkę. Na jej twarzy malował się upór i determinacja. Anna zerwała się na równe nogi, czerwona z gniewu i rozpaczy.

- Jak mogłaś, Sofio! - krzyknęła, rzucając serwetkę na stół. - Niech Bóg ci wybaczy - dodała już znacznie ciszej, po angielsku.

Ogarnięty poczuciem winy Santi skulił się na krzesło, natomiast pozostali krewni nadal wpatrywali się w pędzącą po boisku dziewczynę, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. Tylko Paco i dziadek Dwyer, który zawsze siedział przy końcu stołu i pocieszał się dużymi porcjami jedzenia, ponieważ nikt nawet nie próbował z nim rozmawiać, wymienili porozumiewawcze, pełne dumy uśmiechy.

- Pokażę wam, że umiem grać w polo lepiej od Agustina - syknęła Sofia przez mocno zaciśnięte zęby. - Patrz na mnie, tato. Powinieneś być ze mnie dumny, w końcu to ty wszystkiego mnie nauczyłeś...

Mknęła naprzód, mocno siedząc w siodle, i bez najmniejszego trudu kierowała jednocześnie kucem i piłką. Czuła spojrzenia dwudziestu par utkwionych w niej oczu i uśmiechała się z wyraźnym zadowoleniem. Sofia uwielbiała takie chwile.

W ostatnim momencie ściągnęła parsającego kuca tuż przed stołem i zatrzymała się, otoczona obłokiem kurzu.

- Widzisz, tato? - odezwała się triumfalnym tonem.

Wszyscy patrzyli teraz na Paca, ciekawi, co zrobi. Ku zdumieniu rodziny Paco uśmiechnął się spokojnie i podniósł kieliszek z winem.

- Doskonale, Sofio - powiedział. - A teraz zsiądź z konia i zjedz z nami lunch, dobrze?

Zachwycona jego reakcją, zeskoczyła z siodła i poprowadziła spoconego konia wzdłuż stołu.

- Przepraszam za spóźnienie, mamó - rzuciła, mijając Annę, która osunęła się na krzesło, pewna, że za chwilę zemdleje.

- Nigdy nie widziałam, żeby ktoś w tak bezwstydnym sposobie usiłował zwrócić na siebie uwagę - warknęła po angielsku Anna.

Ledwo wydobyła z siebie te słowa, ponieważ całym jej ciałem wstrząsały dreszcze. Sofia uwiązała kuca do drzewa, otrzepała dzinsy i zbliżyła się do stołu.

- Masz natychmiast przebrać się i umyć ręce! - rozkazała Anna, z zawstydzieniem spoglądając na rodzinę męża.

Sofia wymamrotała coś pod nosem, ale poszła do domu, aby spełnić polecenie matki.

Kiedy zniknęła, wszyscy znowu zajęli się rozmową, przy czym teraz głównym tematem było jej zachowanie. Anna siedziała w milczeniu, z zaciśniętymi w wąską linijkę wargami, ukrywając swoje upokorzenie pod szerokim rondem kapelusza. Dlaczego Sofia zawsze przynosiła jej wstyd w obecności całej rodziny? Mogła tylko dziękować Bogu, że Hector nie żyje i nie widzi okropnych wybryków swojej wnuczki. Anna nie miała wątpliwości, że byłby oburzony jej brakiem umiaru. Zerknęła na ojca, który mruczał coś do

kilku psów, śliniących się u jego stóp w oczekiwaniu na jakiś przysmak. Wiedziała, że podziwiał Sofię i jej pomysły wcale go do niej nie zniechęcały. Maria chichotała cicho, zasłaniając się dłonią, i uważnie obserwowała wszystkich, aby później szczegółowo opisać Sofii ich reakcje. Agustin odwrócił się do Rafaela i Fernanda.

- Ta dziewczucha bez przerwy się popisuje - szepnął, dbając o to, aby ojciec nie usłyszał jego uwagi. - To tata jest temu winny, bo bez wahania puszcza jej wszystko płazem.

- Nie przejmuj się - odparł spokojnie Fernando. - Sofia i tak nie zagra w meczu. Mój ojciec nigdy się na to nie zgodzi.

- Sofia jest prawdziwą ekshibicjonistką - rzekła Sabrina do kuzynki Martiny. Obie były trochę starsze od Sofii. - Ja nigdy nie pozwoliłabym sobie na taki występ...

- Cóż, Sofia po prostu nie wie, kiedy przestać. No i jest strasznie dziecinna. Chyba już czas, żeby przestała entuzjasmować się polo i zaczęła zachowywać się jak dziewczyna.

- Spójrz na Annę - szepnęła Chiquita do Maleny. - Biedaczka jest taka zażenowana, szczerze jej współczuję...

- A ja nie - odrzekła chłodno Malena. - Sama jest sobie winna, zawsze miała czas tylko na to, żeby podziwiać synów. Powinna była bardziej zainteresować się Sofią, a nie zwalić całą odpowiedzialność za córkę na młodą Soledad. Kiedy Sofia przyszła na świat, Soledad sama była jeszcze dzieckiem, nie pamiętasz?

- Pamiętam, pamiętam. Trzeba jednak przyznać, że teraz Anna stara się nią zająć. Niestety, Sofia nie należy do łatwych dzieci...

Chiquita rzuciła współczujące spojrzenie Annie, która usiłowała zachowywać się naturalnie i właśnie podjęła rozmowę z Miguelem oraz Alejandrem, Na jej twarzy malowało się bolesne napięcie, żyły na szyi nabrzmiały i wyglądało na to, że siłą powstrzymuje łzy.

Sofia wróciła do stołu ubrana w czyste, chociaż postrzępione dzinsy i białą koszulkę. Nałożyła jedzenie na talerz i zajęła miejsce między Santim i Sebastianem.

- Coś ty zrobiła, na miłość boską? - szepnął jej do ucha Santi.

- To ty podsunąłeś mi ten pomysł - zaśmiała się cicho.

- Ja?

- Oczywiście. Powiedziałeś, że muszę wywrzeć wrażenie na moim lub twoim ojcu, więc zdecydowałam się na obu - parsknęła triumfalnie.

- Nie wydaje mi się, żeby mój ojciec był szczególnie zachwycony - rzekł Santi, spoglądając na Miguela prowadzącego ożywioną rozmowę z Anną i Alejandrem.

Miguel podniósł wzrok, popatrzył na syna i powoli pokręcił głową. Santi wzruszył ramionami i lekko rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć, że nie ponosi żadnej winy za wybryk kuzynki.

- I co, uważasz, że teraz pozwolą ci zagrać w dzisiejszym meczu? - zapytał.

- Jasne - odparła Sofia, odrywając się na chwilę od jedzenia.

- Byłbym bardzo zdziwiony...

- Ja nie. Zasłużyłam na to - oświadczyła, celowo zgrzytając nożem po talerzu.

Po lunchu Maria i Sofia ukryły się za domem i wybuchnęły głośnym śmiechem. Obie próbowały coś powiedzieć, ale śmiech tak je dusił, że przez parę chwil nie mogły wydobyć z siebie ani słowa. Sofia była bardzo z siebie zadowolona.

- Myślisz, że to zadziała? - zapytała, z trudem chwytając po wietrze.

- Och, tak - przytaknęła Maria. - Stryj Paco był pod wrażeniem...

- A mama?

- Ciocia Anna o mały włos nie pękła ze złości!

- O Boże!

- Tylko nie udawaj, że cię to obeszło!

- Och, Mario, jestem taka podekscytowana! Lepiej bądźmy cicho, bo mama nas usłyszy i przybiegnie tu, żeby zmyć mi głowę. Mówmy szeptem, dobrze? - Sofia położyła palec na wargach.

- Dobrze - odszepnęła posłusznie Maria. - Tata był pod wrażeniem, tak? - Oczy Sofii błyszczały z radości.

- Naprawdę?

- Moim zdaniem stryj pozwoli ci wyjechać na boisko. Było by okropnie niesprawiedliwe, gdyby się nie zgodził. I to tylko dlatego, że jesteś dziewczyną?

- Może otrułybyśmy Agustina? - parsknęła Sofia.

- Czym?

- Soledad mogłaby zamówić jakąś trutkę u tej wiedźmy. Albo same przygotowujemy oszałamiający napój...

- Po co nam napój? Wystarczy skuteczne zaklęcie.

- Masz rację - przyznała Sofia. - To chyba jedyny sposób. Chodźmy do ambu.

- Do ambu! - powtórzyła Maria i służbiście zasalutowała.

Sofia odpowiedziała równie dziarskim salutem i obie pobiegły przez pola, wołając do siebie dźwięcznymi głosami i przygotowując plan działania.

Anna była zrozpaczona. Natychmiast po zakończeniu posiłku powiedziała, że bardzo boli ją głowa, i pobiegła do swojego pokoju, gdzie z jękiem padła na łóżko i zaczęła gorączkowo wachlować się otwartą książką. Chwyciła stojący na nocnym stoliku krucyfiks, przycisnęła go do ust i wymamrotała krótką modlitwę, prosząc Boga o pomoc i ukazanie właściwej drogi.

- Czym zasłużyłam na takie trudne dziecko? - zapytała głośno. - Dlaczego pozwalam jej się sprowokować? Przecież dobrze wiem, że za wszelką cenę usiłuje zrobić mi na złość... Jak to się dzieje, że Paco i tata są ślepi na jej wady? Czy nie mają oczu? Nie widzą, jaka naprawdę jest? Może tylko ja potrafię zobaczyć w niej tego potwora, w którego czasami się zamieniam? Już wiem, to na pewno kara za to, że nie wyszłam za Seana O'Marę. Ale czy nie odpokutowałam tej winy, Panie? Czy jeszcze nie dosyć się na cierpiałam? Boże, daj mi siłę. Nigdy nie potrzebowałam jej bardziej niż teraz. I błagam, nie dopuść, żeby zagrała w tym okropnym meczu. Nie zasłużyła na to.

Mecz o Puchar Santa Catalina zaczął się punktualnie, co w Argentynie nie zdarza się zbyt często, czyli dokładnie o piątej po południu. Było jeszcze gorąco, kiedy chłopcy w białych dżinsach i wysokich butach z lśniącą brązowej skóry wyjechali na boisko, ogarnięci gorączką współzawodnictwa. Czterej zawodnicy z La Paz nosili czarne koszule, natomiast reprezentanci Santa Catalina różowe. Najlepszymi graczami La Paz byli Roberto i Francisco Lobito; poziom gry ich kuzynów Marca i Davica, nie odbiegał od poziomu Rafaela i Agustina. Roberto Lobito był najlepszym przyjacielem Fernanda, lecz podczas meczu tej rangi przyjaźń nie odgrywała żadnej roli. Wszyscy wiedzieli, że aż do ostatniej minuty ci dwaj będą zaciętymi wrogami.

Fernando, Santi, Rafael i Agustin grali razem od wczesnego dzieciństwa. Dzisiaj wszyscy byli w formie, z wyjątkiem Agustina, który jeszcze nie wyleczył się z kaca. Santi grał jak zawodowiec, lekko i sprawnie zwieszając się z siodła, ale nikt nie mógł zaprzeczyć, że zespół Santa Catalina ma słaby punkt. Agustin reagował zbyt wolno, aby akcje pozostałych graczy mogły przy nieść pożądany skutek. Mecz składał się z sześciu chukka - sześciu rund po siedem minut.

- Masz jeszcze pięć chukka, żeby wziąć się w garść, Agustin - warknął Paco podczas przerwy po pierwszej części meczu. - Gdybyś nie błąkał się bez celu na środku boiska, Roberto Lobito na pewno nie zdobyłby dwóch punktów - dodał z naciskiem, zupełnie jakby Agustin ponosił całą winę za niekorzystny wynik.

Kiedy gracze wymieniali zmęczone, spienione kuce na wypoczęte, chłopak z niepokojem zerknął na siostrę.

- Na twoim miejscu sam czułbym się nieswojo - pokiwał głową Paco. - Wierz mi, synu, jeżeli nie zaczniesz grać lepiej, twoje miejsce na boisku zajmie Sofia.

Była to tak poważna groźba, że Agustin zmobilizował wszystkie siły na drugą część. Niestety, Santa Catalina nadal przegrywała dwoma bramkami.

Wokół boiska skupili się wszyscy mieszkańcy Santa Catalina oraz La Paz. Zwykle siedzieli razem, ale dziś było inaczej. Ranga meczu sprawiła, że rodziny podzieliły się i podejrzliwie obserwowały nawzajem. Chłopcy z La Paz i Santa Catalina stali w dwóch grupach, nerwowo przestępując z nogi na nogę i zerkając to na boisko, to na dziewczyny. Dziewczeta z La Paz, ubrane w krótkie spódniczki o linii rambu oraz kolorowe bluzki i szale, porozsiadały się na maskach dżipów i zajęły rozmową o chłopcach. Ich ciemne okulary maskowały pożądlive spojrzenia, jakimi często obrzucały chłopców z Santa Catalina. W tym samym czasie dziewczyny z Santa Catalina - Sabrina, Alanina, Pia, Leticia i Vanesa - z przyjemnością obserwowały przystojnego Roberta, który galopował po boisku, a jasne włosy opadały mu na piękną twarz za każdym razem, gdy się pochylał, żeby uderzyć piłkę. Sofia i Maria trzymały się na uboczu. Siedziały na płocie razem z Chiquitą i małym Panchitem, uzbrojonym w miniaturową piłeczkę i kij z młotkiem.

- Nie mogą przecież przegrać! - powtarzała namiętnie Sofia, obserwując, jak Santi w pędzie przejmuje piłkę i podaje ją Agustinowi, który oczywiście chybił. - Co za kretyn! - wrzasnęła z rozpaczą.

Maria skrzywiła się i przygryzła dolną wargę.

- Sofio, nie wyrażaj się tak o bracie, to nieładnie - odezwała się cicho Chiquita, otaczając ramieniem synka.

- Nie mogę patrzeć na tego idiotę! - zołdkowała się dziewczyna. - Taki wstyd!

- Kletyn, kletyn - zaśmiał się Panchito, celując piłką w nic nie podejrzewającego psa.

- Nie, Panchito - skarciła go matka. - Nie rzucaj w pieska i nie używaj tego słowa, tym bardziej że nie potrafisz go jeszcze wymówić...

- Nie denerwuj się, Sofio - powiedziała Maria. - Czuję, że za raz powieje wiatr pozytywnych zmian...

- Mam nadzieję, że masz rację. Jeżeli Agustin nie skoncentruje się, możemy być pewni przegranej - westchnęła, mrugając do kuzynki za plecami Chiquity.

W czwartej części meczu, mimo wysiłków Santiago i Fernanda, którzy zdobyli po jednym голу, Santa Catalina nadal przegrywała różnicą dwóch punktów. Gracze La Paz, prawie pewni zwycięstwa, wyraźnie rozluźnili się w siodłach. Nagle Agustin pojawił się przy piłce, zupełnie jakby wyrósł spod ziemi, i przez nikogo nie zatrzymywany, runął ku bramce. Dopingowany głośnymi okrzykami, dopadł bramki i umieścił w niej piłkę.

- O, mój Boże! - wykrzyknęła Sofia. - To niesamowite! Agustin strzelił gola!

Kibice Santa Catalina z radości omal nie pospadali z masek swoich samochodów. Niestety, kuc Agustina nie zatrzymał się po udanej akcji, lecz pogalopował dalej i gwałtownie

zarył się kopytami w ziemię dopiero za linią boiska. Wyrzucony w powietrze Agustin ciężko gruchnął o ziemię, jęknął głośno i znieruchomiał. Miguel i Paco w jednej sekundzie znaleźli się obok niego, a po chwili wokół nieprzytomnego gracza zgromadził się cały tłum. Po kilku minutach, które oszalałej z niepokoju Annie wydawały się wiecznością, Paco podniósł się z kolan i oświadczył, że ich synowi nic nie dolega, nabił sobie tylko guza i ma kaca. Potem, ku zaskoczeniu wszystkich obecnych, rozejrzał się i przy wołał Sofię.

- Wchodzisz na boisko.

Dziewczyna spojrzała na niego ze zdumieniem. Anna już miała zaprotestować, lecz jęki i narzekania Agustina odwróciły jej uwagę od córki.

- Jak to? - wyjąkała Sofia.

- Wchodzisz na boisko, pospiesz się - powtórzył Paco. - I lepiej zdobądź punkt, mała - dodał poważnie.

- Mario, Mario! - zawołała Sofia. - Naprawdę podziałało!

Maria potrząsnęła głową z niedowierzaniem i podziwem -ambu rzeczywiście okazało się magicznym drzewem. Sofia szybko włożyła różową koszulkę i wskoczyła na kuca. Zauważyła, że chłopcy z La Paz pokazują ją sobie palcami i śmieją się drwiąco. Roberto Lobito rzucił jej pogardliwe spojrzenie. Przysięgła sobie, że pokaże im, na co ją stać. Nie miała czasu porozmawiać z Santim i pozostałymi graczami Santa Catalina, ledwo zdążyła wjechać na boisko, a gra już została wznowiona. Po paru sekundach dostała piłkę i została zastopowana przez Marca, który swoim kucem zepchnął ją z otwartej drogi ku bramce. Sofia patrzyła bezradnie, jak piłka przelatuje między nogami jej wierzchowca i ląduje po przeciwnej stronie boiska. Rozwścieczona do granic możliwości, najpierw mocno popchnęła Marca, a potem jeszcze Francisca. Szybko się zorientowała, że Rafael i Fernando nie chętnie podają jej piłkę. Tylko Santi nie wahał się wykorzystać jej dobrej pozycji, lecz jego przez cały czas pilnował Roberto Lobito. Chwilami Sofia miała wrażenie, że Roberto i Santi toczą między sobą prywatną walkę. Raz po raz taranowali się brutalnie, stukali podbijakami i obrzucali się wyzwiskami.

- Fercho, podawaj z lewej! - krzyknęła do Fernanda, kiedy dostrzegła możliwość zdobycia punktu.

Fernando spojrzał w jej kierunku, zawahał się i podał piłkę Rafaelowi, który natychmiast został wzięty w dwa ognie przez Marca oraz Davica.

- Następnym razem podaj mnie, Fercho! - wrzasnęła ze złością. - Miałam szansę na bramkę!

- Jasne! - warknął Fernando i odjechał, nawet na nią nie spojrzawszy.

Sofia zauważyła, że Roberto Lobito złamał niepisaną zasadę i rzucił przyjacielowi pełne współczucia spojrzenie.

Sabrina i Martina nie kryły oburzenia, że Sofia w ogóle została dopuszczona do gry.

- Zepsuje im mecz - powiedziała z irytacją Sabrina.

- Ona ma dopiero piętnaście lat, na miłość boską! - prychnęła Martina. - Naprawdę nie powinna grać z dużymi chłopcami!

- To wina Santiago - dorzuciła złośliwie Pia. - On jej na wszystko pozwala.

- Ma do niej słabość - burknęła Sabrina. - Zupełnie nie wiadomo dlaczego. Sofia jest potwornie rozpuszczona. Patrzcie, kręci się na środku i nic nie robi. Nikomu nie jest tam potrzebna. Równie dobrze mogłaby opuścić boisko.

Pod koniec piątej części zespół Santa Catalina przegrywał jedną bramką.

- Wykorzystajcie Sofię, na Boga! - wybuchnął Santi, zeskakując z kuca. - Tworzymy zespół i naszą jedyną szansą na zwycięstwo jest praca zespołowa!

- Jeżeli zaczniemy do niej podawać, na pewno przegramy - oświadczył Fernando, zdejmując dzokejkę i odrzucając do tyłu mokre od potu czarne włosy.

- Daj spokój, Fercho, nie bądź dziecinny - wtrącił Rafael. - Sofia weszła do gry i nic na to nie poradzisz. Ci z La Paz nie spodziewają się, że będziemy podawać jej piłkę, więc wykorzystajmy to.

- Jedno jest pewne: jako drużyna skłócona nie mamy żadnych szans! - krzyknął Santi, nie kryjąc zniecierpliwienia. - Więc lepiej zaczynajcie z nią współpracować!

Fernando rzucił bratu pełne nienawiści spojrzenie.

- Pokażę wam, że potrafię grać lepiej od tego idioty Agustina, tępi szowiniści - powiedziała Sofia. - Schowajcie dumę do kieszeni i grajcie ze mną, zamiast przeciwko mnie. Chyba zapomnieliście, że naszym wspólnym przeciwnikiem jest La Paz, prawda?

Odwróciła się spokojnie i wjechała na boisko.

Fernando wymamrotał coś przez zaciśnięte zęby, Rafael wzniósł oczy do nieba, a Santi roześmiał się z podziwem.

Pierwsze sekundy ostatniej części meczu były pełne niezwykłego napięcia. Kiedy drużyny rozpoczęły grę, wokół boiska za padła martwa cisza. Gracze nie cofali się przed brutalnymi zagraniami, które miały im przynieść upragnione zwycięstwo. Santi, niewątpliwie najlepszy zawodnik Santa Catalina, był bardzo pilnowany, natomiast Sofia wcale. Czas mijał.

Mimo rozmowy podczas przerwy Sofia nadal nie dostawała piłek i przez parę minut bezskutecznie usiłowała sygnalizować swoją pozycję pozostałym członkom zespołu. W końcu Santiemu udało się strzelić bramkę i wyrównać.

Widzowie poderwali się, nie mogąc usiedzieć na miejscach podczas ostatnich minut. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że jeśli któraś strona nie zdobędzie przewagi, czeka ich dogrywka, potem jeszcze jedna i jeszcze jedna. Wokół rozbrzmiewały ostre, rozkazujące okrzyki i polecenia. Roberto usiłował zapanować nad drużyną, natomiast Santi przekonywał swego brata, żeby jednak współpracował z Sofią. Maria podskakiwała w podnieceniu, z całej siły zaciskając spocone dłonie, Miguel i Paco spacerowali z boku boiska, nie spuszczać oczu ze swoich graczy. Paco spojrzął na zegarek. Została im ostatnia minuta. Może jednak nie trzeba było wpuszczać Sofii na boisko, po myślał ponuro.

Nagle Rafael zdobył piłkę i przekazał ją do Fernanda, który natychmiast podał mu ją z powrotem. Santi jakimś cudem wyprzedził pilnujących go Roberta i Marca i zostawił ich daleko w tyle. Rozległy się gorączkowe okrzyki. Rafael zdołał podać do Santiega, a ten pomknął środkiem boiska do bramki. Na jego drodze znalazła się Sofia i Francisco Lobito, który usiłował go zatrzymać. Santi musiał błyskawicznie podjąć decyzję - mógł spróbować wyminąć Francisca i dotrzeć do bramki lub wykonać podanie do Sofii. Francisco, przekonany, że Santi nie zaryzykuje podania do dziewczyny, ruszył prosto na niego, chcąc odebrać mu piłkę. Santi spojrzął kuzynce w oczy. Zrozumiała go bez słów i przesunęła się na dogodną pozycję. Zaczekał, aż Francisco znajdzie się tuż obok niego i dopiero wtedy celnym uderzeniem podał piłkę Sofii.

- Strzelaj, Sofi! - krzyknął.

Sofia nie zamierzała zmarnować takiej szansy. Popędziła za piłką, mocno przygryzając wargę. Uderzyła raz, drugi i wreszcie, pięknym, płynnym ruchem, którego nauczyli ją Jose, ojciec i Santi, posłała piłkę między słupki. Dwie sekundy później zabrzmiał ostatni gwizdek. Zespół Santa Catalina wygrał mecz.

- Nie do wiary! - zapiszczała Sabrina.

- Mój Boże, udało się jej! - wykrzyknęła Martina, z całej siły bijąc brawo. - Sofia, jesteś bohaterką, kochanie!

- W ostatniej chwili! - huknął Miguel, waląc Paca po plecach. - Masz szczęście, bracie, bo gdyby nie trafiła, kazałbym cię upiec na ruszcie razem z baranem!

- Dobrze zagrała - orzekł z dumą Paco. - Chociaż połowa drużyny zawiodła... Nikt nie może kwestionować umiejętności mojej Sofii.

Rafael podjechał do Sofii i poklepał ją po ramieniu.

- Brawo, dziewczyno! - Roześmiał się serdecznie. - Właśnie zostałeś gwiazdą!

Fernando bez uśmiechu skinął jej głową. Był bardzo zadowolony ze zwycięstwa, ale nie mógł zdobyć się na to, żeby pogratulować Sofii. Santi chwycił kuzynkę za kark i prawie ściągnął z konia, całując ją w zakurzony policzek.

- Wiedziałem, że sobie poradzisz, Chofi - powiedział, zdejmując dżokejkę i odgarniając z czoła mokre włosy. - Nie zawiodłem się na tobie.

Gdy Sofia zsiadała z kuca, podszedł do niej Roberto Lobito.

- Nieźle grasz jak na dziewczynę - rzucił z uśmiechem.

- Nieźle grasz jak na chłopaka - odparła arogancko. Roberto wybuchnął śmiechem.

- Czy od dziś częściej będę miał okazję grać przeciwko tobie? - zapytał, z zainteresowaniem wpatrując się w jej twarz.

- To niewykluczone.

- Nie mogę się już doczekać. - Mrugnął do niej porozumiewawczo.

Sofia zadarła nos do góry, roześmiała się i pobiegła do swojej drużyny.

Późnym wieczorem tego samego dnia, kiedy na mrocznym niebie zajaśniały pierwsze srebrzyste gwiazdy, Santi i Sofia usiedli pod poskręcanyimi gałęziami drzewa ambu i zapatrzili się na horyzont.

- Naprawdę dobrze dziś zagrałaś, Chofi.

- Dzięki tobie, bo ani na chwilę nie przestałeś we mnie wierzyć. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni, prawda? Ach, ci moi bracia... - Zachichotała, przypomniawszy sobie upadek Agustina.

- Ignoruj ich. Wyprowadzają cię z równowagi tylko dlatego, że im na to pozwalasz.

- Nic na to nie poradzę. Są tacy rozpuszczeni, zwłaszcza Agustina...

- Matki często rozpuszczają synów. Poczekaj trochę, a sama zobaczysz, jak to jest.

- Obym czekała jak najdłużej.

- Może krócej, niż myślisz. Życie rzadko daje nam to, na co liczymy.

- Ja zmuszę życie, żeby dało mi dokładnie to, czego chcę, Santi. Tak czy inaczej, dziękuję za zaufanie i wsparcie. Pokazałam im, co? - W głosie Sofii zabrzmiała prawdziwa duma.

Santi spojrzał w pogodną twarz i z czułością położył dłoń na jej karku.

- Wiedziałem, że cię na to stać. Nikt nie ma w sobie tyle uporów, co ty. Nikt...

Przerwał i zamyślił się głęboko.

- Nad czym się zastanawiasz? - zapytała.

- Nie jesteś jak inne dziewczyny, Chofi.

- Nie? - zapytała z zadowoleniem.

- Nie. Jesteś o wiele bardziej zabawna, jesteś... Jak to ująć? Jesteś kimś, masz charakter.

- Skoro uważasz, że ja jestem kimś, to muszę ci powiedzieć, że ty jesteś dla mnie ideałem, bohaterem! Wiesz o tym?

- Nie stawiaj mnie na piedestale, bo łatwo mogę z niego spaść - zaśmiał się.

- To prawdziwe szczęście, że mam takiego przyjaciela jak ty - wyznała niepewnie, czując coraz szybsze bicie serca. - Jesteś moim ulubionym kuzynem, Santi.

- Kuzynem... - westchnął głęboko i trochę smutno. - A ty jesteś moją ulubioną kuzynką, Chofi.

Rozdział czwarty

- Dziewczeta osiągnęły w sporcie nie gorsze wyniki niż chłopcy - oświadczyła Sofia, z roztargnieniem przeglądając jedno z czasopism Chiquity.

Agustin przerwał rozmowę, którą prowadził z Fernandem i Rafaelem, i obrzucił siostrę gniewnym spojrzeniem. Zareagował na jej słowa dokładnie tak, jak wygłodniały pstrąg na widok przynęty.

- Głupstwa! - powiedział głośno.

- Nie zwracaj na nią uwagi - zirytował się Fernando. - Do diabła. Sofio, może byś tak poszukała Marii i zostawiła nas w spokoju, co?

Sofia była o cztery i pół roku młodsza od Fernanda, który zawsze powtarzał, że nie ma cierpliwości do dzieci.

- Nudzi mi się - mruknęła dziewczyna, poruszając brązowymi palcami wyciągniętych daleko nóg.

Padalo. Duże krople letniego deszczu mocno uderzały o parapety. Lało od rana, wciąż tak samo, nieustępliwie. Santi pojechał do miasta z Sebastianem, Angelem i Niquitem, natomiast Maria siedziała w domu Paca i Anny razem z Chiquitą, Panchitem oraz ciotką Valerią i jej najmłodszym synem Horaciem. Sofia nie po dzielała upodobania Marii do zabaw z dziećmi, więc zostawiła kuzynkę samą sobie. Przeciągnęła się leniwie. Nie miała nic do roboty, kompletnie nic. Rozejrzała się po pokoju i westchnęła. Chłopcy znowu podjęli rozmowę.

- Gram w polo równie dobrze jak Agustin i tata doskonale o tym wie - oznajmiła, czekając na reakcję brata. - W końcu pozwolił mi zagrać w meczu o Puchar Santa Catalina, prawda?

- Zamknij się, Sofio - warknął Fernando.

- Straszna z ciebie nudziara - dorzucił Rafael.

- Mówię prawdę, nic więcej. Siedzicie i dyskutujecie o sporcie w taki sposób, jakby tylko wasza płęć miała w tej sprawie coś do powiedzenia, tymczasem dziewczęta wcale nie są gorsze od was, trzeba tylko dać im szansę. Jestem żywym dowodem słuszności tej teorii.

- Nie dam się sprowokować - oznajmił Agustin, tym samym zadając kłam własnym słowom. - Powiem ci tylko, że jestem o wiele silniejszy od ciebie, więc nawet nie próbuj nas porównywać.

- Nie mówię o sile, ale o inteligencji i umiejętnościach. - Sofia zaśmiała się pogardliwie, zadowolona, że udało jej się wywołać taką reakcję. - Nie musisz mnie informować, że mężczyźni są silniejsi od kobiet, dobrze o tym wiem, a tu nie o to chodzi. To typowe dla ciebie, że w ogóle nie rozumiałeś, o czym mówię...

- Sofio, jeżeli natychmiast nie zamkniesz buzi, osobiście wyrzucę cię na deszcz i wtedy zobaczymy, kto będzie płakał jak dziewczyna - warknął Fernando, który miał już dosyć wiecznych sprzeczek między Agustinem i siostrą.

W tej samej chwili do pokoju wpadł zupełnie mokry Santi, a za nim Sebastian, Angel i Niquito. Wszyscy głośno narzekali na pogodę i ocierali krople spływające im po twarzach.

- Z trudem przedarliśmy się drogą - powiedział Santi, ciężko dysząc. - O mało nie ugrzęźliśmy w tym niesamowitym błocie.

- To prawdziwy cud - przytaknął Sebastian, mocno potrząsając włosami, z których kapła woda.

- Co w taką pogodę wyprawia twój dziadek? - zapytał Santi, zwracając się do Sofii.

- Nie mam pojęcia. Co robi?

- Spaceruje sobie, zupełnie jakby na dworze świeciło słońce.

- To do niego podobne - zachichotała Sofia. - Hej, Santi, czy dziewczyny gorzej radzą sobie w sporcie od chłopców?

- Ta dziewczyna dręczy nas od samego rana - westchnął Rafael. - Zrób nam uprzejmość, Santi, i zabierz ją stąd, dobrze?

- Nie zamierzam opowiadać się po żadnej stronie, Sofi, jeżeli do tego zmierzasz.

- Nie chodzi mi o siłę czy coś takiego, Santi, tylko o zdolności, spryt, przebiegłość...

- Jesteś sprytniejsza i bardziej przebiegła od większości chłopców - zgodził się Santi, przesuwając nogi dziewczyny i siadając obok niej na sofie.

- Powiedziałam tylko, że nie jestem gorsza od Agustina - wyjaśniła Sofia.

Wyraźnie zdenerwowany Agustin wzruszył ramionami i wymamrotał coś do Fernanda i Rafaela.

- Więc dowiedz tego. - Santi rozłożył ręce. - Wiem, że potrafisz o tym mówić, a teraz najwyraźniej usiłujesz także wszystkich zirytować.

- W porządku. Agustin, chcesz przegrać ze mną w trik-traka?

- Zagraj z Santim, ja nie mam ochoty. - Agustin zmarszczył brwi.

- Nie chcę grać z Santim.

- Bo wiesz, że dostałabyś w skórę - spokojnie powiedział Santi.

- Nie w tym rzecz. Nie udaję, że jestem lepsza od Santiego, Rafaela czy Fercha - mówię tylko, że Agustin na pewno sobie ze mną nie poradzi.

Jej brat nagle zerwał się z miejsca.

- No, dobrze. Sofio, widzę, że bardzo zależy ci na przegranej. Przynieś planszę, zagram z tobą. Zaraz okaże się, kto jest lepszy.

- Daj spokój, Agustin - mitygował go Rafael, serdecznie znudzony ich sprzeczkami.

Fernando z dezaprobatą potrząsnął głową. Sofia bywała bardzo męcząca, ale kiedy czuła się znudzona, stawała się nieznośna.

- Zagram, dlaczego nie, ale pod jednym warunkiem - rzekł Agustin.

- Jakim? - zapytała Sofia, wyjmując planszę do trik-traka z szuflady, w której Miguel przechowywał gry.

- Jeżeli wygram, zgodzisz się, że jestem lepszy we wszystkich grach.

- W porządku.

- Przygotuj planszę i zawołaj mnie. Idę zrobić sobie drinka - rzekł Agustin, wychodząc z pokoju.

- Jesteś naprawdę gotowa spełnić warunek, jaki postawił? - zapytał Santi, gdy Sofia ustawiała pionki.

- Nie przegram.

- Nie bądź taka pewna. Wiele zależy od szczęścia, a tym razem możesz mieć pecha, Sofi.

- Wygram niezależnie od tego, czy szczęście będzie mi sprzyjać, czy nie - odparła uroczystym tonem.

Kiedy Agustin i Sofia rzucili kostką, aby rozpocząć grę, wszyscy pozostali z wyjątkiem Fernanda zgromadzili się wokół nich. Fernando usiadł przy stoliku do kart ojca, zapalił papierosa i zaczął uzupełniać leżącą na blacie niedokończoną układankę.

- Santi, nie możesz pomagać Sofii - powiedział poważnie Rafael.

Santi uśmiechnął się pod nosem, gdy Sofia dwa razy z rzędu wyrzuciła szóstkę.

- Nie do wiary, ty cholerna szczęściaro - parsknął ze złością Agustin, przyglądając się, jak siostra buduje szczelny mur z pionków, skutecznie blokując jego następny ruch.

Sofia targała równie gwałtowne emocje i ambicje jak bratem, lecz starała się tego nie okazywać. Z obojętnym wyrazem twarzy rzucała kostką, robiąc zabawne uwagi i uśmiechając się arogancko. Wiedziała, że jej wymuszony spokój może wyprowadzić Agustina z równowagi, i właśnie na to liczyła.

Wygrała pierwszą rundę, ale to nie usatysfakcjonowało ani jej, ani nikogo z obecnych. Wszyscy byli zdania, że we wszystkich grach decyduje wynik z trzech rund, nie z jednej. Po pierwszej wygranej Sofia nie zdołała jednak powstrzymać się od ironicznych uwag.

- Widzisz, jak to jest? - Nie kryła radości. - Biedny Agustin, pokonany przez dziewczynę, i to w dodatku młodszą od niego!

- Zobaczymy, jaki będzie wynik po trzech rundach - odrzekł, siląc się na spokój. - Mam jeszcze mnóstwo czasu.

Sofia zerknęła na Santięgo i mrugnęła do niego znacząco. Santi powoli pokręcił głową. Uważał, że wszystkie te przechwałki mogą stać się pośrednią przyczyną bolesnej klęski.

Rozpoczęła się druga runda. Sofia straciła ochotę do wygłaszania śmiesznych komentarzy, ponieważ wyrzucała teraz głównie trójki i dwójki, podczas gdy Agustinowi sypały się piątki i szóstki. Uśmiech zniknął z jej twarzy, a w jego miejsce pojawił się dosyć nieprzyjemny grymas. Santi obserwował ją z rozbawieniem. Parę razy zauważył, że wykonała złe posunięcie, i usiłował porozumieć się z nią wzrokiem, ale oczy Sofii utkwione były w planszy. Czuła, że gra wymyka się jej spod kontroli. Poczwała na po liczkach ognisty rumieniec, kiedy Agustin zbił jeden z jej pionków i rzucił kostką drugi raz z rzędu, ponieważ ona nie miała możliwości wykonania żadnego ruchu. Widziała zadowolony uśmiech brata i miała wrażenie, że to od niego piecze ją skóra na twarzy.

- Pospiesz się - rzuciła ze złością. - Zwalniasz tempo specjalnie po to, żeby mnie rozdrażnić.

- Patrzcie, patrzcie, ktoś tu zaczął inaczej śpiewać - zakpił Agustin. - Nie jesteś już taka zachwycona, prawda? No, dobrze, ta runda należy do mnie. Jesteś gotowa na decydującą rozgrywkę, kochana siostrzyczko?

Fernando nie słuchał dobiegających z przeciwnego kąta pokoju okrzyków, starał się w ogóle nie zwracać uwagi na to, co się tam działo. Układanka go zainteresowała, a papieros okazał się naprawdę dobry. Sięgnął po paczkę i wyjął następnego. Właśnie wtedy usłyszał podniesiony, nieco piskliwy głos Sofii i pomyślał, że sprawy przybrały chyba ciekawy obrót. Wrzucił zapałkę do pustego kominka i podszedł do dużego stołu, aby zobaczyć, jak przedstawia się sytuacja.

- Ach, więc Sofia jednak przegrywa z chłopakiem, tak? - Roześmiał się.

Jego kuzynka bez słowa zwiesiła głowę. Fernando pochylił się nad nią, rzucając cień przypominający wielkiego nietoperza. Sebastian, Niquito i Angel wymieniali żarty za każdym razem, gdy Sofia rzucała kostką. Agustin, który teraz zdecydowanie prowadził, śmiał się serdecznie. Rafael początkowo kibicował bratu, lecz po drugiej rundzie w typowy dla siebie sposób zmienił zdanie i opowiedział się po stronie słabszego zawodnika, czyli Sofii. Zawsze zresztą był gotów iść na ustępstwa, gdy siostra wpadała w złość. Santi oczywiście pragnął zwycięstwa Sofii, za którą czuł się odpowiedzialny i którą darzył uczuciem starszego brata. Widział, jak cierpi z powodu przegranej, i nie wątpił, że teraz mocno żałuje wcześniejszej pewności siebie. Wreszcie pochwycił jej smętne spojrzenie i wyczytał z niego, że wyzwala Agustina tylko po to, aby zwrócić na siebie uwagę i dokuczyć wszystkim chłopcom. Santi znał Sofię, znał ją o wiele lepiej niż ktokolwiek inny.

- Wygrałem! - dumnie obwieścił Agustin, odkładając pionki do skórzanego pojemnika z boku planszy.

- Oszukiwałeś - warknęła Sofia.

Santi się roześmiał i wznosił oczy do sufitu.

- Zamknij się! - wściekł się Agustin. - Wygrałem uczciwie i mam na to pięciu świadków!

- A właśnie, że oszukiwałeś - powtórzyła z obrażonym wyrazem twarzy.

- Sofi, powinnaś z godnością przyjąć porażkę - rzekł poważnie Santi, wychodząc z pokoju.

- Nigdy! - wykrzyknęła. - Nie z rąk Agustina!

Zerwała się od stołu i pobiegła za Santim.

- Dobra robota, Agustin - ucieszył się Fernando, klepiąc kuzyna po plecach. - To zatka jej buzię, przynajmniej na trochę. Teraz możemy cieszyć się spokojnym popołudniem.

- Wy możecie cieszyć się spokojnym popołudniem, a nas czeka straszny wieczór - westchnął Rafael. - Sofia będzie się dąsać przez parę dni.

- Nikt nie umie robić tego z takim przejęciem jak nasza siostra - potwierdził Agustin. - Ale moja wygrana warta jest każdej awantury. Nawet nie wiecie, jaką mi to sprawiło radość.

Może ktoś jeszcze ma ochotę na partyjkę?

Sofia poszła korytarzem za Santim.

- Dokąd idziesz? - zapytała, ciągnąc dłońią po ścianie.

- Musisz nauczyć się przegrywać, Sofi.

- Nie dbam o to.

- A szkoda! Naburmuszony zwyciężony to bardzo nieatrakcyjny widok! - Santi wiedział, że taka uwaga na pewno wywoła jakąś reakcję, ponieważ Sofia była wyjątkowo próżna.

- Wcale się nie nadełam - powiedziała. - Byłam tylko zła na Agustina. Wiesz, jak on mnie drażni.

- Wydawało mi się, że to ty wyzwalaś go na pojedynek.

W tej chwili drzwi otworzyły się szeroko i do środka wpadły Chiquita i Maria pod wielkim czarnym parasolem. Maria trzymała na rękach małego Panchita.

- Na dworze jest po prostu okropnie! - poskarżyła się Chiquita. - Ach, Santiago, bądź tak dobry i przebierz Panchita, bo zupełnie przemókł! Encarnacion!

- Co Dermot robi na deszczu? - zapytała Maria, obiema rękami wyciskając wodę z włosów.

- Idę do dziadka - rzuciła nagle Sofia. - Do zobaczenia później.

- Leje przez cały dzień. - Chiquita potrząsnęła głową. - Przecież jest lato, na miłość boską! To nienormalne!

Sofia biegła między drzewami, głośno wołając dziadka. Rzeczywiście lato jak z cebra i nie miała pojęcia, dlaczego wybrał się na spacer przy takiej pogodzie. Z pewnym rozbawieniem zobaczyła go po drugiej stronie równiny, gdzie uderzał kijem piłki do krykieta, otoczony stadkiem mokrych psów z ogonami smętnie zwieszonymi ku ziemi.

- Dziadku, co ty wyprawiasz, na Boga? - zapytała, zbliżając się.

- Niedługo wyjdzie słońce. Sofio Melody - odparł. - Ach, świetny strzał, Dermot! Mówiłem wam, że mi się uda - zwrócił się do kręcących się wokół niego psów.

- Cały ociekasz wodą, dziadku.

- Ty też.

- Całe popołudnie mokniesz na dworze. Wszyscy się dziwią.

- Zaraz wyschnę. Słońce już wyziera zza chmur, czuję jego promienie na karku...

Sofia poczuła zimne krople, spływające jej po plecach, i zadygotała. Podniosła głowę i spojrzała w górę, pewna, że zobaczy jedynie szare niebo i mgłę, lecz ku jej wielkiemu zdumieniu chmury rozsunęły się, ukazując pasmo różowopomarańczowego blasku. Zmrużyła oczy, otarła je i w tej samej chwili policzki musnęły ciepłe promienie.

- Masz rację, dziadku. Chyba naprawdę wyjdzie słońce.

- Oczywiście, dziewczyno. A teraz weź pobijak, dobrze? Zobaczymy, czy uda ci się przeprowadzić żółtą przez tamtą bramkę.

- Nie mam ochoty na grę. Agustin właśnie pobił mnie w trik-traka.

- No, ładnie, - Dermot zachichotał. - Założę się, że nie przegrałaś z godnością.

- Nie było znowu tak źle.

- Znam cię trochę. Sofio Melody, i dam sobie rękę uciąć, że wypadłaś z pokoju z miną obrażonej księżniczki.

- Nie da się ukryć, że nie byłam zadowolona - przyznała uczciwie, wierzchem dłoni ocierając kroplę deszczu, która za wisła na czubku nosa.

- Wdzięk to tylko połowa sukcesu - oświadczył Dermot i ruszył w kierunku domu.

- Gdzie idziesz? Przecież właśnie wyszło słońce!

- Czas na drinka.

- Dopiero czwarta, dziadku.

- Właśnie. - Mrugnął do niej zabawnie. - Tylko nie mów nic matce.

Chodź ze mną, Sofio Melody.

Wziął ją za rękę i po chwili weszli do domu tylnymi drzwiami, żeby nie wpaść na Annę. Ostrożnie przekradli się wykładanym terakotą korytarzem, zostawiając za sobą mokre ślady. Przy końcu korytarza rozejrzał się czujnie i otworzył schowek z bielizną pościelową.

- Więc to tu trzymasz alkohol! - syknęła Sofia, kiedy Dermot wsunął rękę głęboko między ręczniki i wyciągnął butelkę whisky. - Nie boisz się, że Soledad cię nakryje?

- Soledad jest moją współniczką - odparł. - To kobieta o wyjątkowej dyskrecji. Jeżeli i ty chcesz współuczestniczyć w tym przestępstwie, to chodź ze mną.

Wrócili do kuchni i przez dziedziniec ruszyli w kierunku kępy drzew.

- Dokąd idziemy?

- Do mojej kryjówki.

- Twojej kryjówki? - Sofia uwielbiała tajemnice i intrygi. - Ja również mam kryjówkę...

Ale dziadek nie słuchał.

Szybkim krokiem parł prosto przed siebie, z matczyną czułością tuląc do piersi butelkę.

- Często chowam się wśród gałęzi drzewa ambu - powiedziała. - To moja kryjówka.

- Jasne, jasne - wymamrotał nieuważnie Dermot, prawie biegnąc.

Wreszcie zatrzymali się przed małą drewnianą szopą. Sofia mijala ją setki razy i nigdy nie zwróciła na nią uwagi. Dermot otworzył drzwi i weszli do środka. Wnętrze szopy było mroczne i przesiąknięte zapachem wilgoci. Przez malutkie okienko dostawało się tu bardzo niewiele światła, a dach przypominał ogromne sito, z którego co chwilę spadały na podłogę i kilka sprzętów ciężkie krople. Całe umeblowanie stanowił przegnity stół, zniszczona ławka i parę opartych o ścianę półek.

- Ta szopa należała do Antonia - rzekł Dermot, siadając na ławie. - Rozgość się, Sofio Melody, usiądź, proszę. Oto skuteczny lek na przeziębienie, zalecany przez doktora Dermota.

- Z uśmiechem podał jej butelkę, z której wcześniej sam pociągnął duży łyk. - Ach, to był strzał w dziesiątkę! - Zaśmiał się z zadowoleniem. - Nie wachaj, dziewczyno, to nie perfumy! Napij się!

Sofia podniosła butelkę i spełniła jego polecenie. Kiedy kula ognia przemknęła przez gardło, całe jej ciało zeszywniało, a usta otworzyły się szeroko niczym paszcza smoka, wydała przy tym odgłos zdławionego krztuszenia się.

- Dzielna dziewczyna. - Dziadek z uznaniem pokiwał głową i poklepał ją po plecach.

Przez chwilę Sofia nie była w stanie złapać tchu, lecz potem ogień przeniknął do żył i cudownie rozgrzał całe ciało, sprawiając, że ból stał się przyjemnością. Odetchnęła głęboko. Z płonącymi policzkami odwróciła się do dziadka, uśmiechnęła trochę nieprzytomnie i wyjęła butelkę z jego ręki.

- To niezły sekret, dziadku - parsknęła śmiechem. - Niezły sekret, słowo daję!

Po paru łykach nie czuła już chłodu ani wilgoci, a jej złość na Agustina rozwiała się jak dym. To wszystko bzdury, pomyślała. Tak naprawdę kocham Agustina, Rafaela i mamę. Kocham ich wszystkich...

Kręciło się jej w głowie i była szczęśliwa, nieprzytomnie szczęśliwa, zupełnie jakby nic na świecie nie miało znaczenia. Śmiała się bez powodu, bo nagle wszystko wydawało jej się zabawne. Dermot zaczął opowiadać historyjki ze swojej irlandzkiej przeszłości, a ona słuchała go z szerokim uśmiechem na rozpalonej twarzy. Potem Dermot postanowił nauczyć ją kilku irlandzkich piosenek.

- Spotkałem ją na polu, gdzie rosną ziemniaki... - zaintonował z szerokim gestem.

Pijana Sofia miała wrażenie, że nigdy nie słyszała równie pięknego głosu.

- Śpiewasz jak anioł, dziadku - oznajmiła, ocierając załzawione oczy. - Jesteś aniołem...

Żadne z nich nie miało pojęcia, jak długo siedzieli w szopie, ale kiedy Dermot wysuszył butelkę do końca, zdecydowali się wrócić do domu.

- Ciii... - syknęła Sofia, usiłując przytknąć palec do ust i trafiając na nos. - Och... - Ze zdziwieniem zerknęła na swoją dłoń i cofnęła ją.

- Nie hałasuj tak - powiedział pełnym głosem Dermot. - Cicho bądź. Sofio Melody - dodał, wybuchając śmiechem. - Dobry Boże, dziewczyno, wypijaś zaledwie parę kropelek, a popatrz, co się z tobą dzieje!

- Ciii... - powtórzyła i przytrzymała się jego ramienia, żeby nie stracić równowagi. - Za to ty wypijeś całą butelkę! Całą butelkę! Nie mogę uwierzyć, że jeszcze trzymasz się na nogach!

Chwiejnym krokiem zmierzali przez zmrok w kierunku domu.

- Spotkałem ją na polu, gdzie rosną ziemniaki... - zaśpiewał znowu Dermot.

Sofia podjęła melodię, powtarzając za nim słowa. Właśnie za częli szamotać się z klamką kuchennych drzwi, gdy te otworzyły się szeroko.

- Otwórz się, Sezamie! - wykrzyknął Dermot, wznosząc w górę ramiona.

- Na Boga, senior Dwyer! - jęknęła Soledad. - I seniorita Sofia!

Załamana ręce na widok czerwonej, idiotycznie uśmiechniętej Sofii. Pospiesznie wciągnęła ich oboje do kuchni, objęła Sofię ramieniem i poprowadziła korytarzem do jej pokoju. Dermot po toczył się w przeciwnym kierunku. Kiedy wszedł do salonu, do uszu Soledad dobiegły pełne przerażenia okrzyki seniory Anny.

- Słodki Jezu! To tata!

Potem rozległ się głośny trzask - najprawdopodobniej to pusta butelka rozbiła się na posadzce. Nie czekając na dalszy ciąg, Soledad cicho zamknęła za sobą drzwi.

- Co ty narobiłaś, dziecko? - westchnęła ciężko.

Sofia odpowiedziała jej nieprzytomnym uśmiechem.

- Spotkałem ją na polu, gdzie rosną ziemniaki... - zaśpiewała.

Soledad pomogła jej się rozebrać, napuściła ciepłej wody do wanny i zmusiła swoją podopieczną do wypicia szklanki wody ze sporą ilością soli. Sofia natychmiast wymiotowała, uwalniając organizm od wspaniałego ognia, który przecież spowodował, że widziała świat w zupełnie innych barwach. Teraz czuła się fatalnie i użalała nad sobą. Po ciepłej kąpieli Soledad podała jej szklankę gorącego mleka i zapakowała do łóżka.

- Co ty sobie właściwie myślałaś? - zapytała, surowo marszcząc brązowe czoło.

- Nie wiem - jęknęła Sofia. - Tak się jakoś stało i już...

- Masz szczęście, że upiłaś się już po paru łykach, bo biedny senior Dwyer będzie trzeźwił przez całą noc. - Soledad powiedziała to ze współczuciem. - Pójdę i powiem seniorze Annie, że źle się czujesz, tak?

- Myślisz, że uwierzy?

- A dlaczego nie? Nie cuchniesz już alkoholem. Naprawdę możesz uważać się za szczęściarę, dziecko. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby matka nakryła cię w tym stanie?

- Dziękuję, Soledad - szepnęła Sofia, kiedy opiekunka szła już do drzwi.

- Przywykłam do zacierania śladów po drobnych przestępstwach twojego dziadka, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że tobie też będę musiała spieszyć z pomocą w podobnej sytuacji. - Zaśmiała się cicho, a jej obfite piersi zakołysały się pod czystym fartuchem.

Sofia zdążyła już prawie zapaść w głęboki sen, kiedy drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Anna.

- Co ci jest. Sofio? - odezwała się cicho. Zbliżyła się do łóżka i dotknęła czoła córki.

- Hmm... Masz trochę gorączki, biedactwo...

- Rano na pewno poczuję się lepiej - mruknęła Sofia, dręczona wyrzutami sumienia.

- W przeciwieństwie do dziadka, który rano będzie ledwo żywy - zauważyła Anna.

- On też jest chory?

- Chory? Założę się, iż wiele by dał, żeby to była choroba - Anna oparła dłonie na biodrach i westchnęła. - Nie, dziadek znowu się upił.

- Och...

- Nie mam zielonego pojęcia, gdzie ukrywa te swoje butelki. Co jakiś czas udaje mi się jakąś znaleźć, ale on zaraz chowa następną. Pewnego dnia alkohol go zabije...

- Gdzie on jest?

- W swoim pokoju. Siedzi na krześle i chrapie jak wieprz.

- Mamo! - pisnęła Sofia.

Bardzo żałowała, że Soledad nie zdążyła doprowadzić do porządku także i Dermota.

- No, co? Przecież to jego wina, prawda? Nie mam już siły bez końca powtarzać mu, żeby nie pił. Zresztą on i tak nie słucha, więc po co mam prawić mu kazania?

- I zostawisz go tak?

- Zostawię go tak - powtórzyła ostro Anna.

- A co mam zrobić, twoim zdaniem?

- Nie wiem, może położyć go do łóżka i podać szklankę gorącego mleka - powiedziała Sofia z nadzieją. Matka wybuchnęła śmiechem.

- Będzie miał szczęście, jeżeli dostanie jakieś śniadanie - rzuciła. - Agustín mówił mi, że nie byłaś dziś dla niego zbyt uprzejma - dodała zmienionym tonem.

Sofia skrzywiła się pod kocem.

- Nie byłam dla niego uprzejma? Graliśmy w trik-traka i Agustín wygrał, więc chyba powinien być zadowolony...

- Wiesz dobrze, że nie o to mi chodzi. Osoba, która nie umie pogodzić się z porażką, zasługuje na pogardę, Sofio. Podobno wybiegłaś z pokoju wściekła i nadęta. Nie chcę więcej słyszeć o takim zachowaniu, rozumiesz?

- Agustín przesadza. Co powiedział Rafa?

- Nie zamierzam roztrząsać tej sprawy. Sofio, zależy mi tylko, żeby więcej się to nie powtórzyło. Nie życzę sobie, by ludzie mówili, że nie wychowałam cię jak należy, słyszysz?

- Słyszę - odpowiedziała automatycznie Sofia.

Agustín jest oszustem i donosicielem, pomyślała. Miała ochotę poinformować o tym matkę, ale była zbyt śpiąca, żeby się z nią kłócić. Gdy Anna zamknęła za sobą drzwi, Sofia odetchnęła z ulgą, dziękując Bogu, że nie została przyłapana. Pomyślała o dziadku, przemokniętym, pijanym i śpiącym na niewygodnym krześle. Chciała pobiec do jego pokoju i zająć się nim, lecz najzwyczajniej nie miała siły wstać z łóżka. Parę minut później, kiedy Soledad bezszelestnie uchyliła drzwi i zajrzała do środka, Sofia mocno spała i śniła, że razem z Santim wędruje między chmurami.

Londyn, 1947 rok

Był zimny, pochmurny ranek, lecz mimo złej pogody młoda Anna Melody Dwyer była po prostu zachwycona Londynem. Szeroko otworzyła wielkie francuskie okno w swoim pokoju w hotelu i wyszła na niewielki balkon. Otuliła się szlafrokiem i wyobraziła sobie; że hotel jest pałacem, a ona angielską księżniczką. Spojrzała na ledwie widoczną we mgle ulicę, nagie drzewa po obu stronach, skulone i powykręcane z zimna, i pomyślała, że wiele by dała, by móc na zawsze opuścić Glengariff i zamieszkać w romantycznym Londynie. Asfalt lśnił w żółtym świetle ulicznych latarni. Pod balkonem przejechało kilka samochodów, które jak szare duchy bez śladu zniknęły we mgle. Było jeszcze bardzo wcześnie, ale podekscytowana Anna nie mogła spać. Na palcach wróciła do pokoju i cicho zamknęła balkonowe drzwi, starając się nie obudzić matki i grubej ciotki Dorothy, która przewracała się na łóżku w sąsiednim pokoju, podobna do wyrzuconego na brzeg potężnego morsa. Podeszła do stołu z marmurowym blatem i wzięła z misy piękne jabłko. Nigdy w życiu nie widziała takiego luksusu, chociaż często o nim marzyła. Pomyślała, że w takim właśnie hotelu na pewno zatrzymują się hollywoodzkie gwiazdy.

Matka Anny wynajęła dla nich apartament składający się z salonu, sypialni i łazienki. Sypialnia przeznaczona była dla dwóch osób, lecz kiedy recepcjonista dowiedział się, że chodzi o specjalny, wyjątkowy weekend, kazał wstawić do pokoju łóżko polowe, żeby mogły tam spać we trzy. Matka już zamierzała się zwierzyć sympatycznemu młodzieńcowi, że po prostu nie stać ich na większy apartament i że cała rodzina złożyła się, aby zafundować córce wyprawę do Londynu, ale Anna powstrzymała ją. Był to jedyny weekend jej życia, który mogła spędzić jak prawdziwa księżniczka, i nie chciała, by to cudowne uczucie zepsuły protekcyjne spojrzenia jakiegoś snoba.

Anna Melody Dwyer miała wkrótce wyjść za mąż. Znała Seana O'Marę od najwcześniejszych lat, więc uważała za całkowicie naturalne, że go poślubi. Jej rodzice byli zadowoleni, ale ona nie kochała Seana, w każdym razie nie darzyła go takim uczuciem, jakim jej zdaniem powinno się darzyć narzeczonego. Sean w niczym nie przypominał pana Darcyego z powieści Jane Austen, a serce Anny nigdy nie biło szybciej na jego widok. Myśl o nocy poślubnej nie wywoływała rumieńca na jej twarzy. Nie spodziewała się po tym szczególnym wydarzeniu niczego specjalnego, podejrzewała nawet, że może się ono okazać średnio przyjemne. Odkładała termin ślubu jak najdalej, lecz rodzice pragnęli dla niej tego małżeństwa, więc nie sprzeciwiała się. W Glengariff nie było innego mężczyzny, którego mogłaby poślubić, dlatego nie miała wyboru - musiała wyjść za Seana O'Marę. Wszyscy krewni i znajomi od lat dzieciństwa uważali ich za przyszłe małżeństwo. Nie było sposobu, żeby uciec przed tą przyszłością, czyli uciec z Glengariff. Po ślubie młodzi mieli za mieszkać z rodzicami Anny i ciotką Dorothy, a później, kiedy Sean zarobi trochę pieniędzy, planowali kupić własny dom. Anna miała nadzieję, że nie stanie się to zbyt szybko, nie chciała wyprowadzać się z ciepłego, przytulnego domu, który stworzyła jej matka. Szczerze mówiąc, myśl o codziennym gotowaniu dla męża czasami doprowadzała ją do łez. Niemożliwe, aby życie sprowadzało się tylko do tego, myślała wtedy.

Teraz stała pośrodku salonu w apartamencie hotelu De Vere, otoczona tak pięknymi i eleganckimi przedmiotami, że nie mogła powstrzymać się od myśli, jak by wyglądało jej życie, gdyby wyszła za jakiegoś hrabiego albo księcia. Napuściła wody do wanny i wlała do niej połowę olejku kąpielowego. Kiedy łazienka wypełniła się ciężkim aromatem róż, Anna weszła do gorącej wody i leżała w niej tak długo, aż lustro zasnuło się gęstą mgiełką, a para zaczęła ją dusić. Podczas kąpieli jak zwykle marzyła o wspaniałym, niezwykłym życiu u boku ukochanego mężczyzny, który poprosiłby ją o rękę i zabrał do swojego domu w odległym kraju. Wreszcie wyszła z wanny, namaściła całe ciało mleczkiem, stojącym w pozłacanej butelce obok soli do kąpieli i perfum, starannie przeczesała grzebieniem piękne, rude włosy i spięła je w węzeł u nasady długiej białej szyi. Czowała, że jest fascynująca, elegancka i wyrafinowana. Po raz pierwszy w życiu miała wrażenie, że jej uroda mogłaby kogoś zachwycić i serce dosłownie skakało jej w piersi z radości. Kiedy matka i ciotka Dorothy obudziły się, Anna czekała już na nie, ubrana w swój najlepszy kostium, z paznokciami pomalowanymi czerwonym lakierem.

Emer nie lubiła malowanych paznokci i makijażu, toteż gdy zobaczyła córkę, miała ochotę powiedzieć jej, żeby natychmiast zmyła to świństwo z twarzy i palców. Na szczęście w tej samej chwili przypomniała sobie, że ten weekend ma być wyjątkowym podarunkiem dla Anny Melody i nic nie powinno go zepsuć. Później, kiedy Anna mierzyła suknie w przymierzalni sklepu Marshall Snelgrove na słynnej Oxford Street, przyciszonym głosem zapewniła swoją siostrę, że w Glengariff wszystko wróci do normy. Przyjechały do Londynu, by zapewnić Annie wspaniały, godny zapamiętania przedślubny weekend, i sprawić jej jak najwięcej przyjemności.

- Spójrzmy prawdzie w oczy, Dorothy - powiedziała Emer. - Kiedy Anna już wyjdzie za mąż i urodzi dzieci, jej życie nie będzie łatwe, możemy więc przynajmniej teraz trochę ją porozpieszczać...

- Przynajmniej teraz? - syknęła z oburzeniem ciotka Dorothy. - Ty i Dermot rozpieszczacie ją od urodzenia, moja droga!

Emer i ciotka Dorothy starannie dobrały stroje na wyprawę do Londynu. Obie spacerowały ulicami stolicy w solidnych pantoflach, kostiumach z mięsistych tweedów i w zamszowych rękawiczkach. Dorothy upiększyła swój żakiet odrobinę wyliniałym kołnierzem z lisa, z uzbrojonymi w pazury łapami i głową, który wyszukała w sklepie z używaną odzieżą w Dublinie. Udrapowała futerko na swych szerokich ramionach, głowę lisa ułożyła na obfitym biuście, który cudem wtłoczyła pod opięty żakiet. Obie panie nosiły małe kapelusiki, przytwierdzone do włosów wieloma szpilkami, spod których opadały im na oczy krótkie woalki.

- Nie możemy zawieść Anny Melody - oświadczyła Emer, kiedy ubierały się tego ranka.

Ciotka Dorothy, malując wargi krwistą czerwoną szminką, pomyślała, że słyszy tę uwagę co najmniej dziesiąty raz, ale nie zaprotestowała. Mimo wszystko rzeczywiście miał to być wyjątkowy weekend w życiu Anny, postanowiła więc wstrzymać się od komentarzy. Nie

oznaczało to jednak, że będzie milczała zawsze, o nie! Zaraz po powrocie do Glengariff powie, co myśli o zachowaniu Anny i zaślepieniu jej rodziców.

Zmęczona zakupami, lecz nadal przyjemnie podniecona pierwszym w życiu pobylem w Londynie, Anna usiadła na kanapie w holu hotelu Browns, czekając na matkę i ciotkę, które poszły do toalety, aby „przypudrować sobie nosy”. Za parę minut miały wypić herbatę w słynnej hotelowej kawiarni.

I właśnie wtedy Anna poznała Paca Solanasa. Siedziała na brzegu fotela, układając torby z zakupami, kiedy wszedł do holu. Paco posiadał charyzmę i zawsze przyciągał spojrzenia kobiet, więc i teraz głowy wszystkich pań natychmiast zwróciły się w jego stronę. Miał bardzo krótko ostrzyżone włosy koloru piasku i tak intensywnie błękitne oczy, że Anna przestraszyła się ostrości ich spojrzenia, które na niej spoczęło.

Paco uważnie rozejrzał się po holu i utkwiał wzrok w uderzająco pięknej młodej kobiecie, siedzącej w kącie przy oknie i pogrążonej w lekturze jakiegoś czasopisma. Długo nie odrywał od niej oczu. Anna poczuła, jak pod jego spojrzeniem gorący rumieniec zalewa jej policzki. Nigdy nie wyglądała najlepiej, kiedy się czerwieniła - jej twarz i szyję pokrywały wtedy jaskraworóżowe plamy, których nie mógł zamaskować nawet najstaranniej nałożony makijaż. Mimo to Paco wpatrywał się w nią z zaciekawieniem. Wyglądała jak dziewczynka, która udaje dorosłą kobietę. Makijaż nie pasował do jej świeżej, niewinnej twarzy, a sukienka robiła wrażenie zbyt eleganckiej, lecz dziewczyna była piękna i pełna godności niczym młoda angielska arystokratka.

Podszedł bliżej i usiadł obok w skórzanym fotelu. Nie podniosła głowy, ale wyczuła jego obecność i ręce jej zadrżały. Zakręciło jej się w głowie od wyraźnego, korzennego zapachu jego wody kolońskiej. Paco dostrzegł, jak kartki magazynu, który czytała, poruszają się lekko, i nagle zrozumiał, że jeszcze chwila, a zakocha się w niej bez pamięci.

Powiedział coś w nieznanym jej języku, a jego głos był głęboki i rozkazujący. Wstrzymała oddech i złożyła gazetę. Czyżby mówił do niej? Spojrzała na niego dużymi, niebieskoszarymi oczami. W ich wyrazie kryła się jakaś dzikość i Paco z całego serca zapragnął oswoić ją i okiełznać, jak kuca, których hodowlę prowadził w Santa Catalina. Dziewczyna nadal milczała, patrząc na niego spod lekko zmrużonych powiek.

- Jest pani zbyt piękna, żeby siedzieć tu samotnie - przemówił po angielsku, z wyraźnym obcym akcentem.- Czekam na znajomego, który się spóźnia, z czego teraz bardzo się cieszę. Mam nadzieję, że w ogóle nie przyjdzie. Czy pani też ma tu się z kimś spotkać?

Anna spojrzała na jego pełną nadziei twarz i odparła, że czeka na matkę i ciotkę, z którymi wybiera się na herbatę.

Paco odetchnął z ulgą.

- Więc nie czeka pani na męża? - powiedział z żartobliwym błyskiem w oczach i szybko zerknął na jej lewą dłoń. - Nie, nie jest pani mężatką. Bardzo mnie to cieszy...

Roześmiała się i spuściła oczy. Zdawała sobie sprawę, że nie powinna rozmawiać z obcym mężczyzną, lecz twarz tego młodego człowieka była otwarta i uczciwa. A poza tym przyjechałam przecież do Londynu, najbardziej romantycznego miasta na świecie, pomyślała. Miała nadzieję, że matka i ciotka nie będą się spieszyć i podarują jej jeszcze kilka minut. Nigdy w życiu nie widziała tak przystojnego mężczyzny...

- Mieszka pani tutaj? - zapytał.

- Nie, spędzam tu tylko weekend. Chcę zrobić zakupy i... - przerwała, zastanawiając się, co jeszcze mogą robić w Londynie dziewczęta z bogatych rodzin. - I zwiedzić muzea i kościoły - dodała.

Miała wrażenie, że jej odpowiedź wzbudziła w nim odpowiedni szacunek.

- Skąd pani pochodzi?

- Z Irlandii. Jestem Irlandką.

- Ja również jestem daleko od domu.

- To znaczy?

- Moja ojczyzna to kraj wybrany przez Boga - Argentyna - odrzekł z promiennym uśmiechem. - Tam słońce przypomina gigantyczną pomarańczę, a niebo jest tak wielkie i wspaniałe, że przywodzi na myśl raj...

Anna uśmiechnęła się, zachwycona tak poetyckim opisem. Paco patrzył jej w oczy poważnie i głęboko, a ona nie była w stanie odwrócić wzroku. Nagle się przeraziła, że nieznajomy odejdzie i nigdy już nie stanie na jej drodze.

- Więc co pan robi w Anglii? - odezwała się, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego gardła.

Proszę, Boże, nie pozwól mu odejść, pomodliła się gorąco. Daj nam trochę więcej czasu, błagam.

- Studiuję. Jestem tutaj od dwóch lat i przez cały ten czas ani razu nie pojechałem do domu, nawet na krótkie wakacje. Imagine! Ale Londyn bardzo mi się podoba - rzekł cicho, ani na chwilę nie przestając patrzeć jej w oczy. - Chciałbym, żeby zobaczyła pani mój kraj - dodał impulsywnie.

Anna zaśmiała się nerwowo i odwróciła wzrok, lecz kiedy znowu na niego spojrzała, napotkała jego gorące, niebieskie oczy.

Emer Melody i Dorothy weszły do holu, szukając wzrokiem Anny. Dorothy bardzo szybko wypatrzyła siostrzenicę i zamarła. Anna Melody siedziała w odległym kącie, pogrążona w ważnej rozmowie z obcym młodym człowiekiem.

- Jezus, Maria, co ona znowu wyprawia, Emer? Co by powiedział biedny Sean O'Mara, gdyby zobaczył ją swobodnie rozmawiającą z nieznanym mężczyzną? Popatrz tylko na wyraz jej twarzy! Boże, ani na chwilę nie można spuścić tej dziewczyny z oka!

- Idź i przyprowadź ją, zanim całkiem się skompromituje, Dorothy! - wykrzyknęła Emer.

Anna zobaczyła ciotkę, sunącą w jej stronę niczym czołg, i z rozpaczą w oczach odwróciła się do nowego znajomego. Paco ujął jej dłoń i ścisnął ją lekko.

- Proszę spotkać się tu ze mną o północy - powiedział, a ton Jego głosu sprawił, że Annie krew napłynęła do twarzy. W odpowiedzi szybko skinęła głową. Paco wstał z fotela, uprzejmie uklonił się ciotce Dorothy i odszedł.

- Na miłość boską, Anno Melody Dwyer, co ty sobie wyobrażasz? - jęknęła Dorothy, patrząc w ślad za Pacem, który właśnie zniknął za obrotowymi drzwiami. - Dlaczego rozmawiałaś z tym mężczyzną, przecież w ogóle go nie znamy? Jest bardzo przystojny, nie przeczę, ale...

Anna z trudem zapanowała nad podnieceniem.

- Nie przejmuj się, ciociu Dorothy, przecież jesteśmy w Londynie. Nie ma takiego prawa, które zabraniałoby dotrzymywania towarzystwa siedzącej samotnie dziewczynie - powiedziała ze spokojną pewnością siebie, chociaż jej nerwy były napięte jak struny gitary.

Podczas podwieczorku w zamyśleniu drapała srebrną łyżeczką elegancką filiżankę.

- Doskonałe ciasteczka - oświadczyła ciotka Dorothy, grubo smarując masłem trzeci rogalik. - Przepyszne. Anno, czy musisz jeździć łyżeczką po spodku? Ciarki chodzą mi po grzbiecie od tego dźwięku...

Anna westchnęła i odłożyła łyżeczkę.

- Co się z tobą dzieje? - dociekała ciotka. - Może za długo byliśmy na zakupach?

- Jestem zmęczona, nic więcej - odparła Anna i utkwiała wzrok w oknie z nadzieją, że może ujrzy przechodzącego ulicą Paca.

Może... Oczyma wyobraźni zobaczyła jego twarz i usiłowała zatrzymać ten obraz, obawiając się, że jeśli pozwoli mu odpłynąć w głąb pamięci, straci go na zawsze.

- No, no, kochanie... - Emer łagodnie poklepała córkę po ręce. - Wypijemy tylko herbatę i zaraz wracamy do hotelu. Spróbuj tego herbatniczka z masłem, jest naprawdę świetny.

- Nie mam ochoty iść wieczorem do teatru - kapryśnie po wiedziała Anna, przenosząc spojrzenie na swoją filiżankę. - Czuję się zbyt zmęczona.

- Nie chcesz zobaczyć Oklahomy? - ciotka Dorothy ze zdziwieniem uniosła brwi. - Coś takiego! Większość dziewcząt w twoim wieku nie może liczyć na wycieczkę do Londynu, nie mówiąc o wyprawie do teatru! Bilety na to przedstawienie były przeraźliwie drogie! - dodała, poprawiając lisi łeb, który zsunął się między jej wielkie piersi.

- Jeżeli Anna Melody nie ma ochoty, to przecież nie musi iść do teatru, Dorothy - rzekła Emer, kładąc rękę na ramieniu Anny. - Nie zapominaj, że to jej weekend.

Dorothy wyduła wargi i parsknęła głośno, zupełnie jak rozwścieczony byk.

- I na pewno ty będziesz chciała dotrzymać jej towarzystwa - rzuciła ze złością.

- Nie zostawię jej przecież samej w hotelowym pokoju w obcym mieście. Czująby się okropnie.

- Och, tak, oczywiście, czująby się okropnie, biedactwo! Daj spokój, Emer! Wydałyśmy mnóstwo pieniędzy na te bilety, a po za tym od dawna marzyłam o tym, żeby pójść na Oklahomę!

- Wrócimy teraz do hotelu, odpoczniemy trochę i zastanowimy się, co robić - powiedziała Emer, starając się załagodzić sytuację. - Może po krótkiej drzemce Anna poczuje się lepiej...

- Przykro mi, Emer, jestem w stanie dużo znieść, ale nie zamierzam pozwolić, żeby Anna Melody zmarnowała nasze pieniądze tylko dlatego, że nie chce jej się ruszyć z hotelu. To jakieś idiotyczne kaprysy! Ty i Dermot rozpuściliście ją jak dziadowski bicz, ale możecie być pewni, że nie przyniesie jej to szczęścia!

Anna założyła ręce i znowu wbiła wzrok w okno, całkowicie obojętna na zły humor ciotki, którego stała się przyczyną. Dałaby wszystko, żeby już była północ. Nie chciała iść ani do teatru, ani gdziekolwiek indziej. Chciała tylko siedzieć w holu hotelu Browns i czekać na niego.

Poszła jednak na przedstawienie. Musiała. Ciotka Dorothy zagroziła, że jeśli odmówi, natychmiast odeśle ją do Glengariff. Anna nie miała wyjścia, bo w końcu połowa sumy, którą jej rodzina przeznaczyła na ten weekend, pochodziła z kieszeni Dorothy. Z obojętną miną przesiadła cały spektakl, ignorując wpadające w ucho melodie, które jej matka i ciotka wesoło nuciły jeszcze przez parę dni, i zastanawiając się, jak w środku nocy dojedzie z South Kensington do hotelu Browns, skoro nie ma ani grosza. Paco najwyraźniej doszedł do wniosku, że ona mieszka w Browns, ale to wszystko razem nie miało najmniejszego znaczenia. Liczyło się tylko to, że Anna musi jakoś dotrzeć przed północą do centrum.

Po powrocie do hotelu Emer i Dorothy zasnęły prawie natychmiast. Ciotka zaczęła przeraźliwie chrapać przez nos, ponieważ ułożyła się na plecach. Raz czy dwa szczególnie głośne chrapnięcia o mały włos jej nie obudziło - przez sekundę balansowała na granicy nieświadomości, lecz zaraz znowu pogrążyła się we śnie. Emer, znacznie delikatniejsza od siostry, spała spokojnie, zwinięta w kłębek.

Anna ubrała się cicho, ułożyła poduszki na swoim łóżku w taki sposób, żeby przypominały ludzką sylwetkę, na wypadek gdyby matka lub ciotka jednak się obudziły, i wygrzebała parę banknotów z torebki Dorothy. Recepcjonista, zbyt uprzejmy i dyskretny, aby okazać zaskoczenie jej nocną wyprawą, na jej prośbę wezwał taksówkę, Anna spokojnie podziękowała, usiadła na tylnym siedzeniu i patrzyła na przemykające za oknem samochodu światła wielkiego miasta.

Za piętnaście dwunasta znowu siedziała w kącie hotelowego holu. Pod płaszczem miała na sobie nową sukienkę, którą matka kupiła jej u Harrodsa, a włosy nadal były zebrane w ciężki węzeł. W hotelu panował duży ruch jak na tak późną porę. Zaraz za Anną weszła spora grupka modnie ubranych i głośno zachowujących się młodych ludzi. Na pewno dobrze się bawili przez cały wieczór, pomyślała z zazdrością. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Położyła rękę na poręczy sąsiedniego fotela i pogładziła ją, wyobrażając sobie, że jest jeszcze ciepła od jego dłoni. Był prawdziwym dżentelmenem, pachniał drogą wodą kolońską i przyjechał do Londynu z egzotycznego, dalekiego kraju... Świetnie wychowany, wykształcony, przystojny i niewątpliwie bogaty... Był księciem, o którym marzyła. Wiedziała, że życie musi sprowadzać się do czegoś więcej niż nudne Glengariff i Sean O'Mara, i okazało się, że miała rację.

Ze zdenerwowaniem wpatrywała się w drzwi. Powinna wyglądać na pełną nadziei, czy obojętną? Doszła do wniosku, że ośmieszy się, jeżeli będzie się starała zrobić wrażenie zupełnie niewzruszonej, bo w końcu sytuacja, w jakiej się znalazła, nie była całkowicie naturalna. Niecodziennie przesiaduje się w holu w londyńskim hotelu o północy, prawda? Zaczęła się zastanawiać, co zrobi, jeżeli Paco nie przyjdzie. Może po prostu sobie z niej zażartował... Może od początku w ogóle nie zamierzał się z nią spotkać... Niewykluczone, że teraz siedział gdzieś z przyjaciółmi i śmiał się z niej, tak jak zawsze śmiali się z niej kuzyni w Glengariff...

Kiedy zegar wybił północ. Paco Solanas stanął w drzwiach hotelu. Od razu zobaczył Annę i jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Podeszedł do niej, rozpinając granatowy kaszmirowy płaszcz, i wziął ją za rękę.

- Jestem szczęśliwy, że pani przyszła - powiedział, a jego oczy zalśniły pod rondem kapelusza.

- Ja także - odparła i poczuła, jak jej palce drżą w jego dłoni.

- Proszę pójść ze mną... - zaczął Paco i nagle uderzył się w czoło. - Por Dios! Przecież ja jeszcze nie zapytałem o pani imię!

- Nazywam się Anna Melody Dwyer - rzekła z uśmiechem.

- Anna.

Jej uśmiech zupełnie go zniewolił i rozgrzał serce.

- Ana Melodia - que lindo... To piękne imię, takie jak pani.

- Dziękuję. A jak pan się nazywa?

- Paco Solanas. Po prostu Paco.

- Paco... - powtórzyła nieśmiało. - Miło mi cię poznać.

Paco pociągnął ją w stronę drzwi i razem wyszli w noc. Pod koniec wieczoru pogoda wyraźnie się poprawiła i teraz Anna i Paco szli ulicami pod bezchmurnym, rozgwieżdżonym niebem. Było bardzo zimno i ich oddechy tworzyły białe obłoczki w mroźnym powietrzu, ale żadne z nich nie czuło chłodu. Małymi uliczkami zmierzali w kierunku Soho, śmiejąc się i rozmawiając jak para starych przyjaciół, potem zaś skręcili na Leicester Square. Paco przez cały czas trzymał Annę za rękę i po pewnym czasie przestało jej się to wydawać dziwne. Czuła się przy nim znacznie swobodniej niż w towarzystwie Seana O'Mary. Opowiadał jej o Argentynie, z entuzjazmem i naturalnością urodzonego gawędziarza malując obrazy ze swojego kraju. Ona niewiele potrafiła powiedzieć mu o Irlandii. Pomyślała, że gdyby dowiedział się, iż nie jest bogata, mógłby przestać się nią interesować, a ponieważ sama myśli o tym sprawiała jej fizyczny ból, musiała udawać, że pochodzi z uprzywilejowanej rodziny. Nie miała pojęcia, że Paco zakochał się w niej, ponieważ była inna niż dziewczęta, które znał w Argentynie, i inna niż eleganckie młode damy, które przedstawiano mu podczas podróży po europejskich miastach. Była naturalna i beztroska, i kiedy wreszcie ją pocałował, zrobił to między innymi dlatego, aby zetrzeć z jej warg tę ohydą szminkę.

Nikt nie całował dotąd Anny w ten sposób. Usta Paca były ciepłe i wilgotne, jego twarz zimna od nocnego chłodu. Przytulił ją do siebie i przycisnął wargi do jej warg z namiętnością, jaką dotąd widywała jedynie na ekranie prowincjonalnego kina. Gdy po długiej chwili podniósł głowę i spojrzał jej w twarz, zobaczył, że scałował całą szminkę. Bez makijażu była jeszcze piękniejsza.

Usiedli na skraju fontanny na Trafalgar Square i tam Paco po całował ją znowu. Potem delikatnie wyjął szpilki z jej włosów i przecesał je palcami, aż opadły na ramiona i plecy, skręcone w dzikie, lśniące loki.

- Dlaczego spinasz włosy? - zapytał, ale zanim zdążyła mu odpowiedzieć, jego usta ponownie spoczęły na jej wargach, a język zaczął badać wnętrze jej ust z namiętnością, która sprawiła, że Anna zadrżała i oparła się o niego całym ciężarem.

- Przykro mi, że tak źle mówię po angielsku - powiedział po chwili, jedną ręką gładząc jej policzek, drugą zaś przytrzymując ciężkie, rude włosy. - Wszystko brzmiałoby znacznie romantyczniej, gdybym mógł mówić do ciebie po hiszpańsku...

- Mówisz bardzo dobrze po angielsku. Paco - rzekła i zaczerwieniła się, słysząc swój głos wypowiadający jego imię.

- Nie znam cię, ale wiem, że cię kocham - szepnął, muskając palcami jej zimny policzek i wpatrując się w nią badawczo, z nie dowierzaniem, jakby za wszelką cenę pragnął odkryć charakter uroku, którym go zniewoliła. - Kiedy wracasz do Irlandii?

Annie zrobiło się zimno na samą myśl o powrocie do Glengariff. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby nigdy więcej go nie zobaczyć.

- Pojutrze, w poniedziałek - odpowiedziała ze smutkiem, wtulając twarz w jego ciepłą dłoń.

- Już w poniedziałek! - wykrzyknął. - Czy jeszcze się spotkamy?

- Nie wiem - odparła, mając nadzieję, że on wpadnie na jakiś pomysł.

- Często przyjeżdżasz do Londynu?

- Nie - potrząsnęła głową.

Wypuścił ją z objęć i usiadł z łokciami opartymi na kolanach, pocierając twarz palcami. Przeraziła się, że powie jej, iż wobec tego ich spotkanie nie ma żadnego sensu. Westchnął ciężko. W żółtym blasku latarni i neonów jego twarz miała melancholijny, smutny wyraz. Zapragnęła objąć go i przytulić, ale powstrzymał ją lęk przed odrzuceniem, więc nadal siedziała sztywno, nie śmiejąc się poruszyć.

- Wyjdź za mnie - odezwał się nagle. - Nie zniosę życia bez ciebie.

Nie, musiała się przesłyszeć. Spędzili przecież ze sobą zaledwie parę godzin...

- Wyjść za ciebie? - wyjąkała.

- Tak, wyjdź za mnie, Anno - powiedział poważnie. Ujął jej rękę w obie dłonie i ścisnął mocno.

- Ale przecież ty nic o mnie nie wiesz! - zaprotestowała.

- Zrozumiałem, że chcę cię poślubić w chwili, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Nigdy dotąd nie czułem czegoś takiego... Umawiałem się na randki z wieloma dziewczętami, ale żadna z nich nie była do ciebie podobna. Jesteś zupełnie inna, Anno. Nie potrafię tego wyjaśnić, zresztą, jak można wytłumaczyć coś, co kryje się w sercu? - Rozłożył ręce, patrząc na nią błyszczącymi oczami. - Nie chcę cię stracić...

- Słyszysz muzykę? - zapytała Anna, wstając i pospiesznie odsuwając od siebie myśl o Seanie i łączących ich zaręczynach.

Oboje wsłuchiwali się w ciche dźwięki muzyki, dobiegające z któregoś z pobliskich klubów.

- Ti voglio bene... - mruknął Paco, powtarzając słowa piosenki.

- Co to znaczy? - zainteresowała się, gdy wziął ją w ramiona i zaczął tańczyć dookoła fontanny.

- Kocham cię. To znaczy, że cię kocham, Ana Melodia, i pragnę, żebyś została moją żoną.

Tańczyli w milczeniu, zasłuchani i zamyśleni. Anna nadal nie mogła uwierzyć w to, co ją spotkało. Jej myśli były splątane jak włóczka do robótek ręcznych ciotki Mary i nie była w stanie ich rozwikłać. Czy Paco naprawdę poprosił ją o rękę?

- Zabiorę cię do Santa Catalina - powiedział cicho. - Za mieszkasz w pięknym białym domu z zielonymi okiennicami i będziesz spędzała wszystkie dni w słońcu, patrząc na pampę.

I wszyscy pokochają cię tak mocno jak ja...

- Ależ ja cię nie znam, Paco! - przerwała mu, wyobrażając sobie reakcję ciotki Dorothy na taką nowinę. - Moi rodzice nie zgodzą się na nasze małżeństwo.

- Porozmawiam z nimi, powiem im, co do ciebie czuję - oświadczył i spojrzał w jej przerażone oczy. - Czy nic do mnie nie czujesz? Zupełnie nic?

Zawahała się. Ona także zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, była pełna podziwu i uwielbienia dla człowieka, który odmienił całe jej życie i nadał mu nowy sens, lecz matka zawsze powtarzała, że miłość rodzi się i rozwija powoli. Gwałtowna "miłość" dwojga ludzi, którzy nawzajem się przyciągali, była podobno zupełnie odmiennym uczuciem...

- Kocham cię - powiedziała, ze zdziwieniem słysząc, że głos jej drży. Nigdy nie mówiła tego nikomu, nawet Seanowi O'Marze. - Mam wrażenie, że znam cię od bardzo dawna - dodała, aby wyjaśnić jemu i sobie, iż jej miłość nie ma nic wspólnego z instynktownym pożądaniem, że jest czymś o wiele poważniejszym, głębszym i bardziej rzeczywistym.

- Więc na czym polega problem? Możesz przecież zostać w Londynie i wtedy poznamy się lepiej, jeżeli ci na tym zależy.

- To nie takie proste - westchnęła ze szczerym żalem.

- Sprawy są skomplikowane jedynie wtedy, gdy na to pozwalamy. Napiszę do moich rodziców, że spotkałem piękną, niewinną dziewczynę, z którą zamierzam spędzić resztę życia.

- I rozumieją? - zapytała niespokojnie.

- Zrozumieją, kiedy cię poznają - odparł z przekonaniem, znowu ją całując. - Wydaje mi się, że nie do końca rozumiesz, co nam się przydarzyło, Ana Melodia. Kocham cię. Kocham twój uśmiech, nerwowy ruch, którym poprawiasz włosy, strach w twoich oczach, kiedy mówię, co do ciebie czuję. Kocham spontaniczność, z jaką zdecydowałaś się dziś ze mną umówić. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty. Przyznaję, że cię nie znam. Nie wiem, jaka jest twoja ulubiona potrawa, ulubiony kolor, ja kie lubisz książki i jaka byłaś jako dziecko. Nie mam pojęcia, czy masz rodzeństwo i szczerze mówiąc, niewiele mnie to wszystko obchodzi. Wiem tylko, że każde uderzenie serca mówi mi o tym, jak bardzo cię kocham. - Położył dłoń Anny na swojej piersi. - Czujesz, jak bije?

Roześmiała się i spróbowała odszukać miejsce, w którym znajdowało się jego serce, ale czuła tylko szybką galopadę tętna w swoim kciuku.

- Ożenię się z tobą, Ana Melodia. Ożenię się z tobą, bo wiem, że jeśli wypuszczę cię z ramion, to będę tego żałował przez resztę życia...

Kiedy Paco ją pocałował, zrozumiała, że z całego serca pragnie szczęśliwego zakończenia ich wspólnej historii, takiego, jakie często widywała w kinie. Objął ją i przycisnął do piersi, a ona nagle nabrała przekonania, że jej ukochany osłoni ją przed całym złem tego świata. Jeżeli wyjdzie za Paca, na zawsze opuści Glengariff i będzie żyła u boku mężczyzny, którego kocha. Zostanie panią Solanas. Będą mieli dzieci tak urodziwe jak Paco i będą bardzo, bardzo szczęśliwi. Pocałował ją znowu. Przy pomniała sobie chłodne, beznamętne muśnięcie warg Seana, swój lęk przed nocą poślubną, szarą przyszłością, trudem, nudą i stagnacją, ale przede wszystkim strach przed przyszłością bez prawdziwej miłości. Z Pacem jej życie na pewno będzie inne. Nie pragnęła niczego poza tym, by do niego należeć, oddać mu siebie, pozwolić mu pojąć swoje ciało, aby mógł kochać ją całą...

- Tak, Paco, wyjdę za ciebie - szepnęła, poddając się potężnemu uczuciu.

Objął ją tak mocno, że nagle odkryła, iż śmieje się z ustami przyciśniętymi do jego szyi. On także śmiał się głośno i radośnie, z ulgą.

- Jestem taki szczęśliwy, że chce mi się śpiewać! - zawołał, podnosząc ją wysoko.

- Paco, postaw mnie na ziemi! - zachichotała, lecz on okrążył całą fontannę, nie wypuszczając jej z ramion.

- Dam ci tyle szczęścia, Ana Melodia, że nigdy nie będziesz żałować swojej decyzji! - oznajmił, stawiając ją na mokrych kamieniach. - Chciałbym jutro poznać twoich rodziców. Muszę poprosić ich o twoją rękę.

- Obawiam się, że nie pozwolą nam się pobrać - powiedziała z niepokojem.

- Zostaw to mnie, mi amor - rzekł, gładząc jej zatroskaną twarz. - Zostaw wszystko mnie, dobrze? Umówmy się w herbaciarni Gunthera.

- W herbaciarni Gunthera? - powtórzyła bezradnie.

- Tak, na Park Lane. O piątej - zdecydował i znowu ją pocałował.

Anna została z nim do świtu, kiedy niebo na wschodzie rozjaśniło się złotem i zapierającymi dech w piersiach odcieniami różu. Rozmawiali o swojej wspólnej przyszłości, planowali i tkali z marzeń dywan przeznaczenia. Anna martwiła się teraz tylko tym, jak wytłumaczy wszystko matce i ciotce Dorothy.

- Jezus, Maria! Czyś ty zupełnie oszalała, Anno Melody? - wybuchnęła ciotka Dorothy, usłyszawszy wielką nowinę.

Emer westchnęła ciężko i drżącą ręką podniosła do ust filiżankę.

- Opowiedz nam o nim - poprosiła słabo.

Anna natychmiast spełniła prośbę matki. Opowiedziała, jak poznała Paca i jak przez całą noc spacerowała z nim ulicami Londynu, ale nie wspomniała o pocałunkach, ponieważ uznała, że byłoby to niewłaściwe wobec ciotki Dorothy, która była przecież panną.

- Spędziłaś z nim noc na ulicy? - oburzyła się Dorothy. - Dobry Boże, co ludzie na to powiedzą, dziewczyno? Biedny Sean O'Mara! Żeby wykraść się z sypialni i całą noc włóczyć się po mieście, jak jakaś latawica! - Dorothy przytknęła koronkową chusteczkę do spoconego czoła. - Och, Anno! Przecież poznałaś tego człowieka zaledwie kilkanaście godzin temu i nic o nim nie wiesz! Jak możesz mu ufać?

- Ciocia ma rację, kochanie - przyznała ze łzami Emer. - Nie znasz tego mężczyzny. Dzięki Bogu, że cię nie skrzywdził...

Ciotka Dorothy parsknęła z aprobatą, zadowolona, że siostra chociaż raz myśli rozsądnie i zgadza się z nią.

- Paco miałby mnie skrzywdzić? - zdziwiła się gniewnie Anna. - To niemożliwe, mammo! Tańczyliśmy dookoła fontanny i trzymaliśmy się za ręce. Powiedział mi, że jestem piękna i że zakochał się we mnie, kiedy zobaczył mnie w holu w hotelu Browns. Paco nigdy nie wyrządziłby mi najmniejszej krzywdy, mammo! Zdobył moje serce, tylko za to można go winić - dodała melodramatycznie.

- Co powie twój ojciec? - Emer bezradnie pokręciła głową. - Nie wyobrażaj sobie, że zgodzi się na wszystko i pozwoli ci uciec do obcego kraju. Oboje chcemy, żebyś zamieszkała blisko nas, w Irlandii. Jesteś naszym jedynym dzieckiem, Anno Melody, i bardzo cię kochamy...

- Ale może jednak zgodzisz się z nim spotkać, mammo? - W głosie Anny zabrzmiała nuta desperackiej nadziei.

- Spotkać się z nim? Kiedy?

- Dzisiaj, w herbaciarni Gunthera na Park Lane - wyrecytowała Anna.

- No, no, nieźle sobie to wszystko zaplanowałaś, młoda damo! - oświadczyła z dezaprobatą ciotka Dorothy, dolewając sobie kawy. - Ciekawa jestem, co na to jego rodzice...

- Paco mówi, że będą uszczęśliwieni.

- Oczywiście - mruknęła Dorothy, kiwając głową i wciskając swoje potrójne podbródki w szyję. - Nie wątpię, że oszaleją z radości, ponieważ ich syn zakochał się w jakiejś dziewczynie z Irlandii, która nie ma grosza przy duszy. W dziewczynie, której oświadczył się po paru godzinach znajomości...

- I co z tego? - warknęła Anna.

- Zobaczysz. Powinien się wstydzić i jak najszybciej pogonić za kobietą z własnej sfery i kultury.

- Może lepiej będzie, jeżeli mimo wszystko z nim porozmawiamy, Dorothy - zasugerowała Emer, uśmiechając się do córki, która z wściekłością zacisnęła usta i rzuciła ciotce zjadliwe spojrzenie.

- Typowe - burknęła z westchnieniem Dorothy. - Wystarczy, że Anna Melody raz pociągnie nosem, a ty już jesteś gotowa dać jej gwiazdkę z nieba, jak zawsze. Wydaje ci się, że jego rodzina przyjmie cię z otwartymi ramionami, prawda, Anno? I tu się mylisz. Dam głowę, że mają nadzieję, iż poślubi jakąś Argentynkę, dziewczynę z ich klasy, z odpowiednimi koneksjami. Potraktują cię podejrzliwie, ponieważ nic o tobie nie wiedzą. Twoi kuzyni i kuzynki bardzo ci dokuczali, ale ciekawa jestem, jak się poczujesz, kiedy ktoś nazwie cię naciągaczką. O, tak, na pewno uważasz, że jestem twarda i niesprawiedliwa, ale ja tylko próbuję dać ci lekcję, którą za jakiś czas życie boleśnie wbije ci do głowy. Zastanów się nad tym, Anno Melody, i przy okazji przypomnij sobie przysłowie: "Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma".

Anna skrzyżowała ręce i rzuciła matce błagalne spojrzenie. Ciotka Dorothy siedziała sztywno na krześle i bez zwykłego entuzjazmu popijała kawę. Emer wbiła wzrok w filiżankę i zastanawiała się, co robić. - A gdybyś tak została na trochę w Londynie... - zaczęła. - Może znalazłabyś jakąś pracę i wtedy poznalibyśmy go lepiej... Albo może on przyjechałby do Irlandii i spotkał się z Dermotem...

- Nie! - zaprotestowała pospiesznie Anna. - Paco nie może pojechać do Irlandii. Nie może, to wykluczone. Ale tata mógłby przyjechać tutaj i poznać Paca w Londynie.

- Boisz się, że kiedy zobaczy, skąd pochodzisz, szybko się odkocha, co? - Dorothy uśmiechnęła się złośliwie. - Cóż, jeżeli darzy cię prawdziwym uczuciem, taki drobiazg na pewno niczego między wami nie zmieni.

- Och, nic już nie wiem, Anno! - jęknęła Emer. - Nie mam pojęcia, co robić!

- Więc spotkaj się z nim dzisiaj. Kiedy go zobaczysz, zrozumiesz, dlaczego go pokochałam - powiedziała Anna, kierując słowa wyłącznie do matki i celowo ignorując ciotkę.

Emer doskonale wiedziała, że kiedy Anna raz coś postanowi, nic i nikt nie skłoni jej do zmiany decyzji. Odziedziczyła upór po ojcu.

- Dobrze - zgodziła się. - Spotkamy się z nim dziś po południu.

Usiadły przy stoliku w kącie sali, ponieważ ciotka uznała, że lepiej będzie usiąść jak najdalej od innych gości.

- Nigdy nie wiadomo, kto może przysłuchiwać się naszej rozmowie.

Anna była bardzo zdenerwowana. Bawiła się sztuczkami i w ciągu dziesięciu minut dwa razy poszła do toalety. W końcu oświadczyła, że poczeka na Paca przed wejściem.

- W żadnym razie! - prychnęła Dorothy.

Emer doszła jednak do wniosku, że w propozycji Anny nie ma nic złego.

- Idź, jeżeli masz ochotę, kochanie - powiedziała.

Anna stała więc na zewnątrz, wypatrując Paca i zastanawiając się, czy zauważy go w tłumie przechodniów. I wreszcie go zobaczyła - szedł wysoki, wyprostowany i niezwykle przystojny, a jego błękitne oczy patrzyły na nią spod lekko zagiętego randa kapelusza. Oto mężczyzna, którego mam poślubić, pomyślała Anna i uśmiechnęła się z dumą. Szedł zdecydowanym krokiem, pełen fascynującego uroku hiszpańskiego wicekróla, który jest pewien, że jego władza nigdy nie zostanie podważona. Pieniądze rzuciły mu świat do stóp, życie było dla niego łaskawe i oczekiwał od losu jedynie dobrych rzeczy.

Uśmiechnął się do Anny, ujął jej dłonie i pocałował ją w policzek. Powiedział, że nie powinna była czekać na niego na zimnie w takiej cienkiej sukience, i razem weszli do ciepłego, wypełnionego aromatem herbaty pomieszczenia. Anna wyjaśniła, że jej ojca nie ma w Londynie, ponieważ musiał pozałatwiać jakieś sprawy w Irlandii. Paco nie krył rozczarowania. Miał nadzieję, że od razu poprosi o rękę ukochanej, bo czekał na to z ogromną niecierpliwością.

Emer i Dorothy obserwowały ich, kiedy szli w stronę stolika, omijając krzesła i stoliki zastawione srebrnymi dzbankami do herbaty, porcelanowymi filiżankami oraz stosami ciasteczek i rogalików, wokół których przyciszonymi głosami rozmawiali eleganccy, dobrze wychowani ludzie. Emer natychmiast zwróciła uwagę na dumną postawę Paca i jego nieco wyniosłe spojrzenie. Młody człowiek emanował spokojną pewnością siebie i naturalnym urokiem, co, zdaniem Emer, musiało mieć wiele wspólnego z zaczarowanym światem, z którego pochodził. Nagle się przestraszyła, że córka rzuciła się na zbyt głęboką wodę i będzie miała poważne trudności z utrzymaniem się na powierzchni. Ciotka Dorothy pomyślała, że Paco jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała, i poczuła mocne ukłucie zazdrości, iż jej siostrzenica, mimo wszystkich swoich kaprysów, bez trudu zdobyła serce takiego dżentelmena, podczas gdy ona nigdy nie dostała i niewątpliwie już nie dostanie od losu podobnej szansy.

Po wymianie zwyczajowych uprzejmości oraz krótkiej pogawędce na temat marnej pogody i spektaklu, który panie widziały poprzedniego wieczoru, Paco opowiedział im trochę o swojej rodzinie.

- Rozumiem, że cała ta sytuacja może być dla pań pewnym zastraszaniem, ale zapewniam, że nie jestem zauroczonym kowbojem. Pochodzę z porządnej rodziny i moje zamiary są jak najbardziej uczciwe.

Powiedział, że wychował się w Argentynie, a oboje rodzice urodzili się w Hiszpanii, chociaż babka ze strony matki była Austriaczką. Właśnie jej zawdzięczał jasne włosy i niebieskie oczy.

- Mój ojciec ma tak ciemną cerę i włosy, że w ogóle nie jesteśmy do siebie podobni. -
Roześmiał się z nadzieją, że atmosfera spotkania stanie się bardziej swobodna.

Emer uśmiechnęła się miło, ciotka Dorothy siedziała nasrożona, z zaciśniętymi w cienką linijkę ustami, natomiast Anna chłonęła każde jego słowo z takim podziwem i zachwytem, jakby słuchała homilii Ojca Świętego. Pewność siebie i zdecydowanie, jakie okazywał Paco, stanowiły w jej oczach gwarancję, że po ślubie będzie się nią dobrze i czule opiekował. Widziała w nim prawdziwego mężczyznę, twardego, lecz dobrze wychowanego i gdy trzeba - delikatnego, kogoś w rodzaju filmowych bohaterów, granych przez Caryego Granta.

Paco mówił dalej. Skończył angielską szkołę średnią z internatem w Argentynie, biegle władał angielskim, francuskim i włoskim. Jego rodzina należała do najbogatszych i najbardziej szanowanych w Argentynie. Poza rodzinną posiadłość Santa Catalina, Solanasowie posiadali także kamienicę w centrum Buenos Aires. Ojciec Paca miał własny mały samolot. Młody człowiek oświadczył, że po ślubie oboje z Anną zamieszkają w osobnym mieszkaniu w kamienicy w Buenos Aires, natomiast weekendy spędzać będą w domu jego rodziców na terenie Santa Catalina.

- Mogę panią zapewnić, seniora, że pani córka znajdzie się pod troskliwą opieką i będzie bardzo szczęśliwa. Kocham Anę Melodię. Nie umiem opisać, jak mocno ją kocham, ponieważ sam jestem zaskoczony siłą tego uczucia. Wierzę, że ona także darzy mnie miłością. Czasami ludzi spotyka takie szczęście, można je porównać z gwałtownym uderzeniem pioruna. Nie wszyscy potrafią to zrozumieć. Byłem jednym z tych, którzy na własną rękę szukają uczucia i starają się przełożyć je na język rozsądku, ale dziś już wiem, o czym piszą poeci. Miłość do Any spadła na mnie jak grom z jasnego nieba i uczyniła mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie...

Emer doskonale wiedziała, o czym mówi Paco. Patrzył na Annę takim samym wzrokiem, jakim Dermot wpatrywał się w nią wiele lat temu, gdy szli do ołtarza. Bardzo żałowała, że w tej nie zwykle ważnej chwili nie ma przy sobie męża, lecz jednocześnie obawiała się jego reakcji. Czuła, że Dermot nigdy się nie zgodzi, by jego ukochana córka wyszła za cudzoziemca.

- Nie dbam o majątek, panie Solanas, podobnie jak mój mąż - odezwała się łagodnie. Wyprostowała przygarbione plecy i spojrzała prosto w uczciwe, niebieskie oczy Paca. - Troszczymy się jedynie o szczęście i zdrowie naszej córki. Widzi pan, nie mamy nikogo poza Anną, więc sama myśl o tym, że Anna mogłaby zamieszkać bardzo daleko od nas, w obcym kraju, jest już dla nas nie do zniesienia. Zawsze jednak dawaliśmy Annie Melody sporo swobody. Jeżeli rzeczywiście pragnie tego małżeństwa, nie możemy jej przeszkadzać. Oczywiście, poczulibyśmy się nieco pewniej, gdybyście przed ślubem spędzili ze sobą trochę

więcej czasu i lepiej się poznali. To wszystko. I naturalnie musi się pan spotkać z moim mężem, aby poprosić go o rękę Anny.

- Ależ mam... - zaczęła Anna.

Wiedziała, że rodzice nie mają żadnych znajomych w Londynie i nie stać ich na opłacenie jej dłuższego pobytu w hotelu. Paco intuicyjnie zrozumiał ten problem.

- Czy mógłbym zaproponować, aby pani córka zatrzymała się w domu mojego kuzyna Antoinea La Rivierea i jego żony Dominique? - zapytał. - Antoine i Dominique niedawno się pobrali i w tej chwili mieszkają w Londynie. Czy otrzymamy państwa błogosławieństwo, jeżeli po sześciu miesiącach nadal będziemy pragnęli zostać małżeństwem?

- Będę musiała omówić to z mężem - powiedziała ostrożnie Emer. - Jutro Anna Melody wróci z nami do Irlandii i wtedy zobaczymy, co on na to powie.

Anna rzuciła matce przerażone spojrzenie.

- Nie powinniśmy podejmować tej decyzji w takim pośpiechu - ciągnęła Emer, poklepując córkę po ręce i ze zrozumieniem uśmiechając się do Paca. - Ojciec będzie chciał z tobą po rozmawiać, kochanie, i chyba nie ma w tym nic dziwnego.

- Więc może przynajmniej pozwolisz nam spędzić razem dzisiejszy wieczór - odezwała się Anna. - Chcesz przecież, żebyśmy się lepiej poznali, prawda?

Paco ujął jej dłoń i podniósł do ust, jakby chciał powiedzieć, by zostawiła te sprawy jemu.

- Byłbym zaszczycony, gdyby wolno mi było zaprosić wszystkie trzy panie na kolację - rzekł uprzejmie.

Emer zignorowała swoją siostrę, która znacząco kopnęła ją pod stołem. Anna otworzyła usta, by zaprotestować, lecz matka uprzedziła jej reakcję.

- Bardzo to miło z pańskiej strony, panie Solanas - odparła, chowając stopy pod krzesło. - Sądzę jednak, że lepiej będzie, jeżeli wybierze się pan na kolację tylko z Anną. Moja córka ma słuszość - jeśli macie się pobrać, powinniście lepiej się poznać. Może pan przyjść po nią do hotelu o siódmej trzydzieści.

- I odprowadzić ją przed północą - wtrąciła ciotka Dorothy.

Po herbacie Anna i Paco pożegnali się przy wyjściu, podczas gdy Emer i Dorothy czekały na okrycia w szatni.

- Słodki Jezu, myślisz, że dobrze zrobiliśmy, Emer?

- Mogę tylko powiedzieć, że Anna Melody dobrze wie, czego chce. Z tym młodym człowiekiem czeka ją o wiele lepsze życie niż u boku Seana O'Mary, tego jestem absolutnie pewna. Nie mogę myśleć o tym, że zamieszka na drugim końcu świata, ale nie wolno mi

stawać jej na drodze. Jak mogłabym zabronić jej małżeństwa z tym mężczyzną, jeżeli tego rzeczywiście pragnie? Nie mogę skazywać jej na życie w Glengariff, skoro los podarował jej taką szansę...

- Mam nadzieję, że Paco Solanas wie, jaką upartą i kapryśną młodą kobietą jest Anna Melody - burknęła ciotka Dorothy - Jeśli jest tak przebiegła, jak podejrzewam, sprytnie rozegra tę partię i za sześć miesięcy będzie nosiła na palcu jego obrączkę.

- Czasami jesteś strasznie zjadliwa, Dorothy.

- Wcale nie jestem zjadliwa, Emer. Po prostu jako jedyna widzę, jaka naprawdę jest Anna Melody. - Dorothy obrzuciła siostrę poważnym, nieco ponurym spojrzeniem i wyszła na ulicę.

Rozdział szósty

Ostatnia noc w Londynie upłynęła w bardzo nerwowej atmosferze. Emer i Dorothy nie położyły się spać, dopóki Anna o pół nocy nie wróciła do pokoju. Dziewczyna do tej pory nie zdecydowała się wyznać ukochanemu, gdzie naprawdę mieszka, musiała więc znowu jechać taksówką do hotelu Browns, ponieważ tam, zgodnie z umową, miał się po nią zjawić. Paco zabrał ją na kolację do niewielkiej restauracji nad Tamizą, a potem długo spacerowali brzegiem rzeki, rozmawiali, całowali się i patrzyli w lśniące nad nimi gwiazdy.

Paco był zrozpaczony z powodu wyjazdu Anny do Irlandii, zwłaszcza że nie do końca rozumiał, dlaczego musi tam wrócić, i liczył, że mimo wszystko zostanie w Londynie. Obawiając się, że na zawsze straci ją z oczu w oparach celtyckiej mgły, starannie zapisał jej adres i numer telefonu i zapowiedział, że będzie codziennie dzwonił. Chciał odprowadzić ją do hotelu Browns, lecz ona nalegała, by pożegnali się na ulicy, przy taksówce, ponieważ, jak go przekonywała, atmosfera hotelowego holu wcale nie jest romantyczna.

- Pragnę, żebyś pocałował mnie w tej mżawce, o, tu, pod latarnią - powiedziała. - Nie chcę potem wspominać, jak rozstajemy się w publicznym miejscu.

Paco uwierzył jej, a jego pocałunek był długi i głęboki. Kiedy wróciła do hotelu De Vere w South Kensington, jej serce biło mocno i szybko, a wargi drżały. Była zbyt podniecona, żeby zasnąć, więc długo leżała, wpatrując się w ciemność i przewijając w pamięci taśmę, na której uwieczniła pocałunki Paca. W końcu tuż przed świtem zapadła w niespokojny, zmysłowy sen.

Przez cały ranek kręciła się po apartamencie niczym nakręcana lalka, nieprzytomna z radości i wzruszenia. Los Seana O'Mary niespecjalnie ją interesował, myślała wyłącznie o przystojnym Pacu Solanasie i chociaż ciotka Dorothy starała się uprzytomnić jej powagę sytuacji, Anna po prostu nie chciała się nad tym zastanawiać.

- Usiądź na chwilę, Anno Melody, bo kiedy na ciebie patrzę, kręci mi się w głowie - jęknęła Dorothy.

- Ale ja jestem taka szczęśliwa, że chce mi się tańczyć - oświadczyła dziewczyna, tanecznym krokiem sunąc między meblami. - On jest taki romantyczny, zupełnie jak gwiazdor z Hollywood...

Westchnęła i wykonała wdzięczne pas na dywanie.

- Anno, naprawdę powinnaś dokładnie to wszystko przemyśleć - odezwała się poważnie Emer. - Małżeństwo to nie tylko namiętne uczucie. Ten młody człowiek mieszka w dalekim kraju i możliwe, że po ślubie już nigdy nie ujrzysz Irlandii.

- Nie lubię Glengariff. Świat otwiera przede mną swoje po dwoje, mammo. Co dobrego czekałoby mnie w Irlandii?

Matka spojrzała na nią z wyrzutem i z trudem powstrzymała łzy. Nie mogła pozwolić, aby jej własne uczucia miały wpływ na decyzję Anny, chociaż tak naprawdę pragnęła upaść przed nią na kolana i błagać, aby została.

- W Irlandii jest twoja rodzina, ot, co - wtrąciła ciotka Dorothy gniewnym tonem. - Rodzina, która kocha cię na śmierć i życie. Nie lekceważ tego, dziewczyno. Zdobycie bogactwa nie może być najważniejszym życiowym celem, wcześniej czy później nauczysz się tego, i nie będzie to łatwa lekcja...

- Spokojnie, ciociu - powiedziała Anna wyniośle. - Kocham go i nic mnie nie obchodzi, czy jest bogaty, czy nie. Kochałabym go nawet wtedy, gdyby był żebrakiem.

- Miłość dorasta razem ze związkiem, w którym się rozwija, kochanie - westchnęła Emer z czułością. - Dlatego nie chcę, żebyś pochopnie podejmowała jakiegokolwiek decyzje. Nie wyjedziesz do Londynu czy Paryża, Anno, ale do kraju, który znajduje się po drugiej stronie kuli ziemskiej. Ludzie używają tam innego języka, ich kultura jest zupełnie odmienna... Będziesz tęskniła za domem...

Głos Emer załamał się nagle, lecz szybko wzięła się w garść.

- Mogę nauczyć się hiszpańskiego. Już nawet trochę znam! Posłuchajcie - te urno, te amo... To znaczy - kocham cię.

- Sama podejmiesz decyzję, skarbie, ale musisz przekonać do niej ojca - rzekła ze smutkiem Emer.

- Dziękuję ci, mammo. Ciocia Dorothy jest starą cyniczką - zażartowała Anna.

- Oczywiście w ogóle nie myślisz o biednym Seanie, prawda? - Dorothy pokręciła głową. - Na pewno uważasz, że w każdej chwili będziesz mogła do niego wrócić, jeżeli ten Argentyńczyk cię zostawi, tak?

- Nie, ciociu, wcale tak nie uważam! - oburzyła się Anna. - I nawet nie mów, że Paco mnie zostawi! To niemożliwe!

- Sean jest dla ciebie za dobry.

- Przestań, Dorothy - skarciła ją siostra łagodnie. - Anna sama wie, co powinna zrobić i jak będzie dla niej najlepiej.

- Wcale nie jestem tego pewna, Emer. Żadna z was nie zastanawia się nad losem tego biednego młodego człowieka, który okazał Annie tyle dobroci. Czy naprawdę nie obchodzi was, co się z nim stanie? Sean ma nadzieję, że spędzi życie z kobietą, którą kocha, a tymczasem Anna zamierza go brutalnie porzucić. Mówię ci, Emer, że ty i Dermot rozpuściliście swoje dziecko do tego stopnia, iż potrafi myśleć wyłącznie o sobie. Nie wpoiiliście jej, że trzeba myśleć też o innych.

- Proszę cię, Dorothy... Anna jest zakochana i szczęśliwa...

- Natomiast Sean O'Mara będzie głęboko nieszczęśliwy - mruknęła Dorothy, zdecydowanym ruchem zakładając ręce.

- Nic nie poradzę na to, że się zakochałam. Czego właściwie ode mnie oczekujesz, ciociu? Żebym podeptała swoje serce i wróciła do człowieka, którego już nie kocham? - zapytała Anna z teatralnym patosem.

- Dajże spokój, Anno Melody, wszystko jest w porządku. Ciocia chce dla ciebie jak najlepiej, podobnie jak ja i ojciec. Chodzi tylko o to, że ta sytuacja zupełnie nas zaskoczyła. Oczywiście, rozsądniej będzie, jeżeli zerwiesz z Seanem teraz, zamiast później żałować, że za niego wyszłaś. Małżeństwo to związek na całe życie, nie zapominaj o tym. - Emer delikatnie pogładziła długie rude włosy córki.

Ciotka Dorothy westchnęła ciężko. Nic nie mogła zrobić. Ile razy była świadkiem podobnych scen... Nie można bez przerwy naprawiać świata, pomyślała. Życie samo pokaże, czy miałam rację.

- Staram się być realistką, nic więcej - oświadczyła znacznie łagodniejszym głosem. - Jestem starsza od ciebie i chyba jednak trochę mądrzejsza, Anno. Twój ojciec często powtarza, że wiedzę można osiągnąć, ale mądrość przychodzi wraz z doświadczeniem, i ma całkowitą słusność. Z czasem zrozumiesz, o czym mówię. Nie zamierzam więcej cię pouczać.

- Kochamy cię z całego serca, Anno - dodała Emer. - Nie chcemy, żebyś popełniła błąd. Och, jakżebym chciała, żeby twój ojciec był tutaj! Co on na to wszystko powie?

Policzki Dermota Dwyera robiły się coraz bardziej czerwone, a duże szare oczy o mało nie wyszły mu z orbit. Zdenerwowany i całkowicie zaskoczony, przechadzał się w tę i z powrotem po pokoju, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie zamierzał pozwolić, aby jego jedyna

córka wyjechała do jakiegoś zapomnianego przez Boga i ludzi kraju na drugim końcu świata i wyszła za człowieka, którego poznała zaledwie dwa dni wcześniej.

- Jezus, Maria, Józefie święty, co w ciebie wstąpiło, dziewczyno? - wybuchnął gniewnie. - To chyba jakaś londyńska gorączka! Wyjdiesz za Seana, choćbym sam miał zawlec cię do ołtarza!

- Nie wyjdę za Seana, nawet jeśli przystawisz mi rewolwer do skroni, tato! - zawołała Anna buntowniczo. Po jej zaróżowionych policzkach spływały łzy.

- Paco Solanas to bardzo przystojny i dojrzały młody człowiek - próbowała interweniować Emer. - Na pewno zrobiłby na tobie pozytywne wrażenie, Dermot.

- Może sobie być nawet królem cholernego Buenos Aires, jeśli o mnie chodzi! - powiedział Dermot. - Nie pozwolę, żeby moja córka wyszła za obcokrajowca! Po moim trupie! Urodziłaś się w Irlandii i tutaj pozostaniesz!

Nalał sobie pół szklaneczki whisky i wychylił całą porcję jednym haustem. Emer zauważyła, że ręce mu drżą, i serce ścisnęło się jej z bólu. Dermot zachowywał się jak ranne zwierzę - zgrzytał zębami i atakował każdego, kto się do niego zbliżał.

- Jeżeli spróbujesz mnie zatrzymać, popłynę do Argentyny wplaw, zobaczysz! Wiem, że Paco jest stworzony dla mnie, tato! Nie kocham Seana, nigdy go nie kochałam. Zgodziłam się na to małżeństwo tylko dlatego, że chciałam zrobić wam przyjemność, no i nie było nikogo innego, to prawda... Ale teraz spotkałam człowieka, który jest mi przeznaczony! Nie rozumiesz, to Bóg chciał, żebyśmy się poznali. Tak miało być, tato! - Anna wzrokiem błagała ojca o zrozumienie.

- Kto wymyślił całą tę wycieczkę do Londynu? - Dermot oskarżycielsko spojrzał na żonę.

Ciotka Dorothy postanowiła wyjść wcześniej, zostawiając rodziców i córkę samych.

- Powiedziałam już wszystko, co miałam do powiedzenia - oświadczyła i zamknęła za sobą drzwi.

Teraz Emer wzniosła oczy do nieba i bezradnie potrząsnęła głową.

- Nikt nie mógł przecież przewidzieć, że to się stanie - szepnęła. - Równie dobrze mogło się to wydarzyć w Dublinie...

Wargi jej drżały, ponieważ wiedziała, że Dermot w końcu ustąpi. Zawsze ustępował i spełniał wszystkie prośby Anny Melody.

- Dublin to co innego - wymamrotał. - Nie pozwolę ci uciec do Argentyny z mężczyzną, którego w ogóle nie znasz. - Podniósł butelkę whisky do ust i pociągnął spory łyk. - W Dublinie moglibyśmy przynajmniej mieć cię na oku.

- Dlaczego nie miałabym poszukać sobie jakiejś pracy w Londynie? - spytała z nadzieją w głosie Anna. - Kuzyn Peter pracował tam przez kilka miesięcy...

- A gdzie będziesz mieszkała? No, proszę bardzo, odpowiedz mi! Nie znam nikogo w Londynie, a na hotel po prostu nas nie stać.

- Paco ma kuzyna, który niedawno się ożenił i teraz mieszka w Londynie. Mówił, że mogłabym się u nich zatrzymać. Znajdę sobie pracę, tato, przekonasz się. Daj mi sześć miesięcy, proszę. W tym czasie lepiej poznam Paca i zdecyduję, co dalej. Czy zgodzisz się, żebym za niego wyszła, jeżeli po sześciu miesiącach nadal będę go kochała?

Dermot bezradnie osunął się na krzesło. Anna uklękła na podłodze i przytuliła mokry policzek do jego dłoni.

- Proszę cię, tato... Pozwól mi sprawdzić, czy Paco jest tym, który jest mi przeznaczony, proszę... Nie każ mi żałować przez resztę życia, że nie wykorzystałam takiej szansy... Nie chcesz przecież, żebym wyszła za człowieka, którego nie kocham, którego pieśzczyty będą budziły we mnie obrzydzenie...

Ostatnie zdanie wypowiedziała szczególnie dobitnie, ponieważ doskonale zdawała sobie sprawę, że myśl o skazaniu córki na nieudane życie małżeńskie osłabi jego gniew i determinację.

- Idź zobacz się z kuzynami, Anno Melody - powiedział cicho, cofając rękę. - Chcę spokojnie porozmawiać z mamą.

Kiedy Anna wyszła, Emer się rozplakała.

- Ja też nie chcę, żeby wyjeżdżała, kochany - zaszlochała. - Ale ten młody człowiek jest zamożny, kulturalny i inteligentny, i rzeczywiście bardzo przystojny, chociaż to najmniej ważne. Zapewni jej lepsze życie niż Sean, nie mam co do tego cienia wątpliwości.

- Pamiętasz, jak modliliśmy się o dziecko? - zapytał Dermot ze smutkiem.

Kąciki jego ust opadły, zupełnie jakby nie miały siły lub chęci pozostać na swoim miejscu. Emer usiadła na podłodze, tam, gdzie przed chwilą klęczała jej córka, i pocałowała bezwładnie zwisającą z poręczy krzesła dłoń męża.

- Dała nam tyle radości - wykrztusiła. - Nie możemy jednak zapominać, że pewnego dnia nas zabraknie i Anna będzie musiała poradzić sobie sama. Nie powinniśmy zatrzymywać jej tutaj tylko ze względu na nasze widzimię...

- Nasz dom będzie pusty bez niej. - Dermot nie zdawał sobie sprawy, że to whisky rozwiązała jego język i splątane emocje.

- To prawda, ale pomyśl o jej przyszłości. Zresztą, wcale niewykluczone, że po sześciu miesiącach Anna dojdzie do wniosku, iż Paco Solanas jednak jej nie odpowiada. Możliwe, że jeszcze tu wróci.

- Możliwe - powtórzył Dermot bez przekonania.

- Dorothy mówi, że to my wychowaliśmy ją na taką egoistkę i uparciucha. Może to faktycznie nasza wina... Powtarzaliśmy jej, że stać ją na wiele, więc nic dziwnego, że Glengariff przestało jej wystarczać...

- Może i tak... - westchnął. - Sam już nie wiem, co o tym myśleć...

Oboje myśleli o domu, w którym nigdy nie zabrzmiał wesoły śmiech wnuków, i ich serca ścisnęły się wielkim zalem.

- Dobrze, dam jej sześć miesięcy. Potem spotkam się z nim, ale nie chcę go widzieć ani o jeden dzień wcześniej. Jeżeli Anna wyjdzie za niego, to trudno. Pożegnamy ją raz na zawsze, bo przecież nigdy nie wybierzemy się do Argentyny, żeby ją odwiedzić. - Jego oczy wypełniły się łzami. - Nigdy tam nie pojedziemy, nie ma mowy...

Anna szła grzbietem wzgórza, a mgła kłębiła się wokół niej jak dym z niebieskich kominów. Nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę z kuzynami i kuzynkami. Nienawidziła ich. Ani razu nie zrobili wysiłku, aby poczuła się wśród nich dobrze. Teraz wreszcie miała szansę wyjechać i zostawić ich wszystkich daleko za sobą. Możliwe, że już nigdy nie wróci do Glengariff. Po myślała, że bardzo chciałaby zobaczyć ich reakcję na wieść o jej wspaniałej przyszłości. Poczwała na plecach dreszcz podniecenia. Ciaśniej otuliła się płaszczem i uśmiechnęła do siebie. Paco zabierze ją do kraju, gdzie zawsze świeci słońce...

- Anna Solanas - powiedziała. - Anna Solanas... - powtórzyła głośno, raz, drugi i trzeci, aż wreszcie echo odpowiedziało jej zza wzgórz.

Nowe imię na początek nowego życia. Wiedziała, że będzie tęskniła za rodzicami. Będzie jej brakowało ciepłego, przytulnego domu i czułości matki, ale Paco uczyni ją szczęśliwą. Jego po całunki sprawią, że tęsknota przestanie ją dręczyć.

Zanim wróciła z długiego spaceru, Emer zamknęła drzwi do gabinetu Dermota, który prosił, aby zostawić go samego z jego smutkiem. Matka powtórzyła Annie, że może jechać do Londynu, ma jednak natychmiast po przybyciu zadzwonić do domu, żeby rodzice wiedzieli, jak przyjęli ją krewni Paca i czy wszystko układa się zgodnie z jej oczekiwaniami.

Anna mocno objęła matkę.

- Dziękuję, mamo. Wiem, że to ty namówiłaś tatę, by zgodził się na mój wyjazd. Byłam pewna, że ci się uda - powiedziała z radością, całując miękki policzek Emer, pachnący mydłem i pudrem.

- Kiedy Paco zadzwoni, przekaz mu, że ojciec zgodził się na twój sześciomiesięczny pobyt w Londynie. Jeżeli po tym okresie nie zmienicie zamiarów, tata pojedzie do Londynu, żeby się z nim spotkać. Czy tego pragnęłaś, kochanie? - Emer gładziła długie, rude włosy córki. - Jesteś dla nas bardzo ważna i twój wyjazd z pewnością nas nie uszczęśliwi, ale Bóg

będzie z tobą, a On wie, co jest dla ciebie najlepsze... - Głos Emer zadrżał. - Wybacz, że nie potrafię nad sobą zapanować... Jesteś słońcem naszego życia, Anno...

Anna jeszcze raz objęła matkę, nie mogąc wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. Chciało jej się płakać nie dlatego, że wyjeżdża, lecz dlatego, że jej szczęście miało przynieść smutek i ból rodzicom.

Dermot siedział w gabinecie aż do zachodu słońca. Obserwował, jak wydłużające się cienie wkradają się przez okna do kuchni i jak powoli przesłaniają całą podłogę, pożerając ostatnie promienie światła. Widział, jak jego mała dziewczynka tańczy w swojej najlepszej niedzielnej sukience, lecz po chwili jej wesołość zniknęła bez śladu i Anna osunęła się na podłogę, cała we łzach. Chciał podbiec do niej, ale kiedy dźwignął się na nogi, zrzucił z biurka pustą butelkę po whisky i ostry brzęk szkła przestraszył dziewczynę. Kiedy Emer przyszła, aby zaprowadzić go do łóżka, Dermot chrapał donośnie w swoim fotelu, a na jego twarzy malował się ogromny smutek.

Przed wyjazdem do Londynu Anna musiała spełnić jeszcze jeden obowiązek. Poszła do miasta, aby powiedzieć Seanowi OMarze, że nie może za niego wyjść. Gdy przekroczyła próg jego domu, matka Seana, pogodna kobieta o twarzy i posturze przypominającej radosną ropuchę, zawołała z holu do syna, że jego narzeczona zrobiła im wielką niespodziankę i pojawiła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Jak udała się wycieczka, moja droga? - zapytała. - Założę się, że było wspaniale, naprawdę wspaniale. - Zaśmiała się, wycierając białe od mąki ręce w fartuch.

- Było bardzo przyjemnie, Moiro - odparła Anna i uśmiechnęła się niepewnie, patrząc zza ramienia kobiety na schody, po których szybko zbiegał Sean.

- Powiem ci jedno, naprawdę się cieszę, że już wróciłeś - powiedziała Moira. - Nasz Sean przez cały weekend chodził z kąta w kąt i nie mógł znaleźć sobie miejsca. Jak to dobrze, że teraz znowu się uśmiecha... No, cóż, zostawię was samych, zakochani.

Moira cofnęła się do kuchni, a Sean dość niezgrabnie pocałował Annę w policzek. Po chwili, trzymając się za ręce, wyszli na ulicę.

- Jak było w Londynie? - zapytał.

- Dobrze - odpowiedziała, skinieniem głowy, witając Paddyego Nyhana, który minął ich na rowerze.

Szli w stronę wzgórz. Co krok spotykali kogoś znajomego i przystawali, aby zamienić przynajmniej parę słów. W końcu Anna poczuła, że nie zniesie tego napięcia ani chwili dłużej.

- Sean, muszę porozmawiać z tobą w jakimś spokojnym miejscu - powiedziała; marszcząc brwi.

- Nie martw się, Anno - odrzekł. - We dwoje na pewno uda nam się rozwiązać problem, który cię niepokoi.

W milczeniu wspinali się stromą ścieżką. Sean próbował podtrzymać rozmowę i wypytywał narzeczoną o spędzony w Londynie weekend, ale Anna odpowiadała półsłówkami, więc po paru chwilach się poddał. Wreszcie znaleźli się z dala od oczu i uszu ciekawskich, i usiedli na wilgotnej ławce nad doliną.

- A teraz powiedz mi, co cię dręczy - odezwał się Sean.

Anna spojrzała w jego bladą, prostokątną twarz i naiwne zielone oczy. Nagle przestraszyła się, że nie znajdzie w sobie dość odwagi, by powiedzieć mu prawdę, nie mogła przecież zrobić tego, nie raniąc go do głębi.

- Nie mogę wyjść za ciebie, Sean - szepnęła w końcu.

Pobladał jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle było możliwe.

- Nie możesz za mnie wyjść? - powtórzył z niedowierzaniem. - O czym ty mówisz, Anno?

- Po prostu nie mogę, to wszystko - powiedziała głośniej i odwróciła wzrok.

Sean zaczerwienił się i z trudem przełknął ślinę,

- Nic nie rozumiem - wykrztusił. - Co ci się stało? Denerwujesz się przed ślubem, prawda? Ja także, ale to nie znaczy, że mamy przełożyć ceremonię.

Kiedy się pobierzemy, wszystko się ułoży, zobaczysz - dodał uspokajająco.

- Nie mogę za ciebie wyjść, ponieważ zakochałam się w kimś innym - powiedziała szybko i wybuchnęła płaczem.

Sean wstał, oparł ręce na biodrach i parsknął ze złością.

- Kto to jest? - krzyknął. - Zabiję go! Kto to?

Spojrzała na niego i zrozumiała, że wściekłością maskuje głęboki ból.

- Tak mi przykro... - zaszlochała. - Nie chciałam cię skrzywdzić...

- Kim on jest, Anno? - powtórzył Sean, siadając obok niej i odwracając ją twarzą do siebie. - Chyba mam prawo wiedzieć, co?

- Nazywa się Paco Solanas - odpowiedziała i szybko wyrwała się z jego uścisku.

- Co to za nazwisko? - Roześmiał się pogardliwie.

- Hiszpańskie. Paco pochodzi z Argentyny, poznałam go w Londynie.

- W Londynie? Więc spotkałaś go dopiero trzy dni temu? To chyba jakieś żarty!

- Nie - odparła drżącym głosem i otarła łzy rękawem płaszcza. - Pod koniec tygodnia wyjeżdżam na dłużej do Londynu...

- Co za bzdury! Jak możesz wygadywać takie głupstwa?

- Och, Sean, naprawdę bardzo żałuję, że tak się stało - powiedziała łagodnie, kładąc rękę na jego dłoni. - Widać jednak nie byliśmy sobie przeznaczeni.

- Myślałem, że mnie kochasz! - wybuchnął, chwytając ją za rękę i wpatrując się w jej chłodne oczy, zupełnie jakby podejrzewał, że jego ukochana Anna tylko na chwilę się przed nim ukryła.

- Bo to prawda, Sean. Kocham cię jak siostra...

- Jak siostra, tak?

- Tak. Nie potrafiłabym obdarzyć cię takim uczuciem, jakie powinna dać ci żona - wyjaśniła.

- Więc to tak? - Sean bezradnie potrząsnął głową. - Żegnasz się ze mną i koniec?

- Na to wygląda - szepnęła.

- I wolisz uciec z człowiekiem, o którym nic nie wiesz, zamiast wyjść za mnie? Znasz mnie od tylu lat, Anno, i mimo to jesteś gotowa wyrzucić mi taką krzywdę? Nie rozumiem ciebie!

- Przepraszam... Tak mi przykro...

- Nie powtarzaj, że jest ci przykro, bo to nieprawda! Gdybyś rzeczywiście czuła żal, na pewno byś mnie nie rzuciła! - Sean zerwał się gwałtownie. Anna zauważyła, że mięsień w jego policzku drga spazmatycznie, jakby walczył ze łzami, ale mimo wszystko zdołał nad sobą zapanować. - Cóż, nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Żegnaj. Mam nadzieję, że będziesz cieszyła się długim i szczęśliwym życiem, chociaż bez wahania zrujnowałaś moje!

Spojrzał w jej załzawione niebieskie oczy i odwrócił się.

- Nie rozstawajmy się w gniewie! - zawołała.

Ruszyła za nim, ale po chwili przystanęła. Sean najwyraźniej nie chciał, żeby go dogoniła, bo szedł bardzo szybko i wkrótce zniknął między domami.

Zawróciła, usiadła na ławce i ponownie zalała się łzami. Płakała, ponieważ sprawiła mu ból, lecz doskonale wiedziała, że nie miała innego wyjścia. Kochała Paca i nic nie mogła na to poradzić. Pomyślała, że Sean na pewno znajdzie sobie inną dziewczynę i to ją trochę pocieszyło. Codziennie wiele osób cierpi z powodu miłosnego zawodu... Sean zapomni o niej po pewnym czasie i zacznie nowe życie, nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Następne parę dni spędziła w domu, prawie nie wychodząc. Rozmawiała z Pacem przez telefon i unikała swoich kuzynów oraz znajomych, którzy obwiniali ją za to, że zniszczyła przyszłość Seana O'Mary. Nie śmiała spojrzeć im w oczy.

Wreszcie wyjechała z Glengariff, ani razu nie oglądając się za siebie. Gdyby to zrobiła, ujrzałaby bladą twarz Seana, który patrzył w stronę jej domu z okna swojego pokoju.

Anna spędziła w Londynie sześć miesięcy. Mieszkała u Antoinea i Dominique La Riviere w ich przestronnym mieszkaniu w Kensington. Dominique była początkującą pisarką, a Antoine miał zupełnie niezłą pracę w City. Paco nie krył przerażenia, kiedy usłyszał, że jego narzeczona zamierza znaleźć sobie jakieś płatne zajęcie w Londynie, i zaproponował, aby zamiast tego podjęła naukę na różnych kursach, między innymi hiszpańskiego. Anna była zbyt zażenowana, aby powiedzieć rodzicom, jak naprawdę wygląda jej sytuacja, dlatego wolała okłamać ich, że pracuje w bibliotece.

Paco napisał do rodziców i poinformował ich o swoich planach. Jego ojciec wyraził niepokój z powodu niespodziewanej decyzji syna w wyjątkowo długim liście. Poprosił, aby, jeśli do końca studiów jego uczucie się nie zmieni, przywiózł Annę do Argentyny. „Bardzo szybko się zorientujesz, czy Twoja ukochana pasuje do naszego środowiska”, napisał. Matka Paca, Maria Elena, oświadczyła, że w pełni ufa opinii syna i nie ma wątpliwości, iż Anna dopasuje się do życia w Santa Catalina, a nowa rodzina pokocha ją równie mocno jak jej przyszły mąż.

Po sześciu miesiącach Anna powiedziała ojcu, że ona i Paco nadal się kochają i zamierzają wziąć ślub. Kiedy Dermot zasugerował, aby Paco przyjechał do Irlandii, zaprotestowała gorąco. Wtedy się zorientował, że dziewczyna wstydzi się swego domu, i zaczął się martwić, jaka będzie przyszłość młodej pary, skoro już teraz brak między nimi całkowitej szczerości, lecz mimo to zgodził się przyjechać do Londynu.

Dermot zostawił żonę i córkę w Hyde Parku, a sam spotkał się z Pakiem w hotelu Dorchester. Emer szybko spostrzegła, że w ciągu półrocznego pobytu w Londynie Anna dorosła i spoważniała. Nowe, niezależne życie dobrze jej zrobiło. Wyglądała kwitnąco, a kiedy towarzyszył jej Paco, ze sposobu, w jaki uśmiechali się do siebie i trzymali za ręce, jasno wynikało, że są ze sobą bardzo szczęśliwi.

Dermot zadał przyszłemu zięciowi kilka normalnych w tej sytuacji pytań oraz powiedział mu, że ufa, iż jest uczciwym młodym człowiekiem i troskliwie zaopiekuje się Anną.

- Mam nadzieję, że wiesz, co bierzesz sobie na głowę, młodzieńcze - rzekł poważnie. - Anna Melody jest uparta i rozpieszczona. Jeżeli rodzice mogą zbyt mocno kochać swoje dziecko, to trzeba przyznać, że dopuściliśmy się tego grzechu. Nasza córka nie jest łatwa, ale życie z nią nigdy ci się nie znudzi. Wiem, że ty stworzysz jej lepsze warunki egzystencji niż te, na jakie mogłaby liczyć w Irlandii, lecz nie będzie jej tak łatwo, jak sądzi... Proszę tylko, żebyś zawsze się nią opiekował. Jest naszym oczkiem w głowie...

Paco zauważył, że oczy starszego mężczyzny zwilgotniały. Mocno uściśnął dłoń Dermota, wzruszony jego smutkiem.

- Mam nadzieję, że na naszym ślubie w Santa Catalina sami państwo zobaczą, iż Ana Melodia jest naprawdę szczęśliwa - powiedział.

- Nie wybieramy się na ślub - oświadczył Dermot.

Paco spojrział na niego ze zdumieniem.

- Nie przyjedziecie na ślub córki? - zapytał.

- Napiszecie do nas i wszystko nam opowiecie - odparł Dermot z uporem. Jak miał wyjaśnić wykształconemu, obytemu w świecie młodzieńcowi, że obawia się tak dalekiej podróży oraz spotkania z obcym krajem i obcymi ludźmi, którzy nie mówią jego językiem? Nie umiał się na to zdobyć. Był zbyt dumny.

Anna czule uściśkała rodziców. Obejmując Emer, odniosła wrażenie, że jej matka zmaląta i schudła od chwili, kiedy sześć miesięcy wcześniej żegnała się z nią przed wyjazdem z Glengariff. Emer się uśmiechała, chociaż jej sercem szarpał wielki smutek. Z trudem wydobyła ze ściśniętego gardła słowa miłości i życzenia wszystkiego, co najlepsze. Starła się opanować, lecz łzy pociekły po jej upudrowanych policzkach, skapując z czubka nosa i podbródka. Wcześniej przyrzekła sobie, że zachowa spokój, lecz nagle zrozumiała, że najprawdopodobniej minie dużo czasu, zanim znowu będzie mogła wziąć córkę w ramiona. Otarła rozgorączkowaną twarz koronkową chusteczką, która trzepotała w jej drżącej dłoni niczym biała gołębica, szykująca się do odlotu.

Dermot z zazdrością obserwował żonę. On sam musiał przełknąć ból i powstrzymać łzy, ale ten wysiłek o mało go nie zabił. Trochę zbyt mocno poklepał Paca po plecach i zbyt energicznie potrząsnął jego dłonią. Kiedy chwycił Annę w objęcia i przygarnął do piersi, zrobił to z takim przejęciem i wzruszeniem, że dziewczyna aż syknęła z bólu, i musiał ją zaraz puścić.

Anna także płakała. Płakała nad cierpieniem rodziców, serdecznie żałując, że nie może rozerwać się na dwoje, aby Emer i Dermot nie musieli zostawać sami. Obok wysokiego, imponującego Paca wyglądali dziwnie krucho. Płakała, że nie przyjadą na jej ślub, ale też cieszyła się, iż jej nowa rodzina ich nie pozna. Nie chciała, aby Solanasowie dowiedzieli się, skąd pochodzi, bo przecież mogliby ją uznać za osobę niewystarczająco dobrą dla Paca. Czuła się też winna, że takie myśli przemknęły jej przez głowę w chwili pożegnania z rodzicami. Dobrze, że nie wiedzieli, co dzieje się w jej sercu, bo cierpieliby jeszcze bardziej...

Pomachała im ręką i z daleka przesłała ostatnie pocałunki. Z pewnością siebie, która znacznie lepiej pasowałaby do bajki niż do rzeczywistości, pożegnała przeszłość i powitała nieznaną przyszłość.

Kiedy Anna po raz pierwszy zobaczyła Santa Catalina, uznała od razu, że w wysokich drzewach o rozłożystych koronach, w domu w stylu kolonialnym i szerokiej, płaskiej równinie jest zapisana jej przyszłość. Była pewna, że będzie tu szczęśliwa. Glengariff wydawało jej się odległe o całe lata świetlne, a poza tym czuła się zbyt podekscytowana i zajęta, żeby tęsknić za rodziną czy rozmyślać o nieszczęsnym Seanie O'Marze.

Opuściła Londyn opromieniony złocistym blaskiem jesieni i przybyła do Buenos Aires, gdzie właśnie rozkwiatały wiosenne kwiaty. Na lotnisku zapach wilgoci i ludzkiego potu mieszał się z silnym aromatem konwalii, bijącym od jednej z pasażerek, która najwyraźniej tuż przed lądowaniem odświeżyła się perfumami.

Na Annę i Paca czekał krępy mężczyzna o brązowej twarzy, z małymi, lśniącoymi oczkami i trochę krzywym uśmiechem. Zajął się ich bagażem i bocznym wyjściem wyprowadził prosto w gorące listopadowe słońce. Kiedy czekali na samochód. Paco ani na chwilę nie wypuścił z zazdrosnego uścisku drobnej dłoni Anny.

- Esteban, to jest moja narzeczona, seniorka Dwyer - przedstawił Annę, gdy niski mężczyzna układał ich walizki w bagażniku.

Anna nie знаła jeszcze zbyt dobrze hiszpańskiego, uśmiechnęła się więc nieśmiało i wyciągnęła rękę do Estebana, który po trząsnął nią mocno, z zaciekawieniem badając bystrymi, brązowymi oczami twarz dziewczyny. Już w samochodzie Anna zapytała, dlaczego wszyscy tak się jej przyglądają.

- To z powodu twoich rudych włosów - odparł Paco. - W Argentynie bardzo niewiele osób ma rude włosy i jasną karnację.

Podczas jazdy z lotniska Anna trzymała głowę zwróconą w kierunku wpadającego przez otwarte okno prądu powietrza, aby choć trochę ochłodzić rozpaloną twarz.

W oczach Anny Buenos Aires miało leniwy urok starych miast. Bardzo przypominało te europejskie miasta, których zdjęcia oglądała w albumach, w każdym razie takie było jej pierwsze wrażenie. Gustownie zdobione budynki mogłyby równie dobrze znaleźć się w Paryżu lub Madrycie. Skwery i placówki wysadzone były wysokimi jaworami i palmami, parki mieniły się barwami kwiatów i krzewów. Wydawało się, że kwitną także chodniki i wybetonowane ścieżki, ponieważ pokrywały je fioletowe kwiaty, opadające z rozłożystych drzew jacaranda. Anna była zachwycona. W całym mieście panowała atmosfera miłego, zmysłowego rozleniwienia i spokoju. Na każdym kroku można było napotkać malutkie kawiarenki z ustawionymi na chodnikach parasolami, krzesłami i stolikami, przy których mieszkańcy Buenos Aires popijali kawę lub grali w karty, nie przejmując się duchotą. Paco wyjaśnił narzeczonej, że Europejczycy, masowo emigrujący do Argentyny w dziewiętnastym wieku, starali się odtworzyć w architekturze i zwyczajach dobrze znany sobie świat, za którym bardzo tęsknili. Właśnie dlatego teatr Colon prawie do złudzenia przypomina

mediolańską La Scalę, stacja Retiro - dworzec Waterloo, a ocienione jaworami ulice - szerokie aleje miast na południu Francji.

- Jesteśmy beznadziejnie nostalgicznym narodem - powiedział Paco. - I nieuleczalnie romantycznym...

Anna się roześmiała i pochyliwszy się ku niemu, z czułością musnęła wargami jego policzek. Z prawdziwą przyjemnością wdychała powietrze przesiąknięte intensywnym zapachem eukaliptusa i jaśminu, przyglądała się eleganckim kobietom o gładkich, jasnobrązowych twarzach i długich lśniących włosach oraz mierzającym je odważnymi spojrzeniami mężczyznom o ciemnych oczach i niespiesznych ruchach. A więc tak wygląda tu życie... Przed jej oczami rozgrywał się oszałamiający taniec zalotników - zakochane pary trzymały się za ręce w kawiarniach lub siadały na parkowych ławkach, całując się w blasku słońca. Nigdy dotąd nie widziała tylu całujących się ludzi... Naprawdę można było pomyśleć, że pocałunki zastępują zakochanym słowa.

Samochód wjechał do podziemnego garażu na wysadzonej drzewami Avenida Libertador i uśmiechnięta pokojówka o karnacji koloru mlecznej czekolady podeszła szybko, aby pomóc im z bagażami. Na widok Paca jej duże brązowe oczy napełniły się łzami. Objęła go mocno, chociaż głową sięgała mu zaledwie do piersi. Paco ze śmiechem odwzajemnił uścisk, otaczając ramionami jej pulchne ciało.

- Ach, senior Paco, świetnie pan wygląda! - wykrzyknęła służąca, przyglądając mu się z zachwytem. - Pobyt w Europie wyszedł panu na dobre, wystarczy spojrzeć! Och, a to musi być pańska narzeczona! - Przeniosła spojrzenie na Annę. - Wszyscy są tacy podnieceni, nie mogą się już doczekać, kiedy ją poznają.

Wyciągnęła do Anny rękę, którą dziewczyna uścisnęła z uczuciem całkowitego zamętu w głowie. Argentynka mówiła zbyt szybko, by mogła zrozumieć choć parę słów.

- Amor, to jest nasza kochana Esmeralda, służąca. Cudowna, prawda? - Paco mrugnął do Anny z rozbawieniem. - Kiedy wyjeżdżałem, miałem dwadzieścia cztery lata. - Gdy byli już w windzie, dodał: - Esmeralda nie widziała mnie przez całe dwa lata, więc możesz sobie wyobrazić, jaka jest przejęta.

- Czy w domu nie ma nikogo z twojej rodziny? - zapytała Anna niespokojnie.

- Oczywiście, że nie. Dzisiaj sobota, a my nigdy nie spędzamy weekendów w mieście - odparł. - Zabierzemy ze sobą tylko trochę rzeczy, które mogą nam się przydać na wsi, a resztę zostawimy pod opieką Esmeraldy.

Mieszkanie było duże, słoneczne i bardzo ładne. Lśniące okna wychodziły na zielone parki, w których rozmarzeni kochankowie patrzyli sobie w oczy, śmiali się do siebie i wymieniali pieszczoty. Był ranek i powietrze pachniało wiosną. Z cienistej ulicy dochodził śpiew ptaków, wesołe okrzyki dzieci i głośne szczekanie jakiegoś upartego psa. Paco zaprowadził Annę do niewielkiego, jasnobłękitnego pokoju urządzonego w angielskim stylu. Były tu zasłony w drobne, urocze kwiatki, a narzutę na szerokie łóżko, poszewki na poduszki

i obicia krzesel i fotela uszyto z tego samego materiału. Z okna widać było dachy domów i toczącą swe brunatne wody wielką rzekę.

- To Rio de La Plata - rzekł Paco, podchodząc do Anny od tyłu i obejmując ją mocno.
- Na drugim brzegu znajduje się już Urugwaj. La Plata jest najszerszą rzeką świata. A tam - wskazał miejsce za wysokimi budynkami - rozciąga się La Boca, stara portowa dzielnica, zasiedlona głównie przez Włochów. Zabiorę cię tam, ponieważ mają cudowne restauracje, myślę też, że spodoba ci się domy w La Boca, pomalowane na jasne, wesołe kolory. Potem wybierzemy się do San Telmo, najstarszej części miasta, gdzie ulice są brukowane, a domy mimo nie najlepszego stanu wyglądają wyjątkowo romantycznie. Tam zatańczę z tobą tango... Później pójdziemy na spacer nadbrzeżem, które nazywa się Costanera, trzymając się za ręce i całując... A później...

- A później? - powtórzyła z kokieteryjnym uśmiechem.

- Później zabiorę cię do domu i będę się z tobą kochał w naszym małżeńskim łóżu, powoli i zmysłowo - dokończył.

Anna zachichotała gardłowo, przypominając sobie długie, pełne pocałunków noce, podczas których z wielkim trudem powstrzymywała obezwładniające pożądanie. Paco całował jej skórę i wsuwał ręce pod bluzkę, dotykając podniecającej wypukłości jej piersi... Zawsze w takim momencie przerywała pieszczoty, chociaż jej twarz płonęła z żądy i wstydu. Posłuszna radom matki, postanowiła zaczekać z ostatecznym spełnieniem do nocy poślubnej, bo przecież żadna uczciwa dziewczyna nie może pozwolić, aby nawet najbardziej kochany mężczyzna zniszczył jej reputację.

Paco był doskonale wychowany, zgodnie ze starymi dobrymi zasadami, więc choć cierpiał, opanowując podniecenie i starając się nie przekroczyć granicy przyzwoitości, szanował wolę Anny, która pragnęła do ślubu pozostać dziewicą. Jednak, aby ognisty temperament nie wziął góry nad rozsądkiem i szczerym szacunkiem, chodził często na długie spacerunki i brał zimny prysznic.

- Po ślubie będziemy mieli dosyć czasu, żeby odkryć się nawzajem - powiedział jeszcze w Londynie.

Anna wyjęła z walizki letnie rzeczy, natomiast resztę, zgodnie z radą Paca, zostawiła do odprasowania i odświeżenia Esmeraldzie. Wzięła kąpiel w wykładanej marmurem łazience i włożyła długą sukienkę w kwiaty. Korzystając z wolnej chwili, ponieważ Paco szykował się do wyjazdu, obejrzała rozłożone na dwóch piętrach mieszkanie i przyjrzała się oprawionym w srebrne ramki rodzinnym fotografiom. Szczególnie długo zatrzymała się przed tą, która przedstawiała rodziców narzeczonego. Hector Solanas był wysokim, ciemnowłosym mężczyzną, o chłodnym spojrzeniu i dość ostrych, szlachetnych rysach, które nadawały mu władczy wygląd. Maria Elena była drobna i jasnowłosa, miała jasne, melancholijne oczy i szerokie, skłonne do ciepłego uśmiechu usta. Oboje imponowali elegancją i godnością. Anna miała nadzieję, że zdołają ją polubić. Dobrze pamiętała uwagi ciotki Dorothy, że rodzice Paca woleliby zapewne, aby ich syn poślubił dziewczynę ze swojej klasy i środowiska. W

Londynie Anna była pewna siebie i pogodna, lecz teraz myśl o wejściu do tego nowego świata bardzo ją przestraszyła. W gruncie rzeczy ciotka Dorothy miała rację - Anna była prostą dziewczyną z małego irlandzkiego miasteczka, snującą dziecinne marzenia o wspaniałym życiu.

Usłyszała głos Paca, który rozmawiał na schodach z Esmeraldą i pospiesznie zeszła na dół. Spakowana walizka stała już przy drzwiach.

- Tylko tyle ze sobą zabierasz? - zapytał, gdy ujrzał niewielką brązową torbę, którą ścisnęła w rękę.

Kiwnęła głową. Nie miała zbyt wielu letnich strojów.

- W porządku. - Paco lekko wzruszył ramionami. - W takim razie jedziemy.

Anna uśmiechnęła się do Esmeraldy, która wręczyła jej koszyk z rzeczami do zabrania na farmę.

- Adios - wymamrotała nieśmiało, starając się dokładnie naśladować akcent, jakiego uczono ją na kursie w Londynie.

Paco odwrócił się i rzucił jej nieco rozbawione spojrzenie spod uniesionych brwi.

- Mówisz jak prawdziwa Hiszpanka - zażartował, wrzucając torby do bagażnika. - Brawo, kochanie!

Samochód Paca był to mercedes, jasnoniebieski kabriolet za mówiony specjalnie dla niego w Niemczech. Kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce, silnik wydał basowy pomruk. Po chwili wyjechali z garażu. Anna przyglądała się przemykającym za oknem ulicom Buenos Aires i miała wrażenie, że siedzi w tnącym fale oceanu ślizgaczu. Wiele by dała, żeby właśnie teraz zobaczyli ją jej okropni kuzyni. Oszałeliby z zazdrości, pomyślała z zadowoleniem. Rodzice byłiby ze mnie dumni... Po raz pierwszy od chwili opuszczenia Londynu ujrzała przed sobą twarze matki i ojca, i na moment ogarnęła ją fala tęsknoty za domem, trwało to jednak bardzo krótko, ponieważ zaraz znaleźli się za miastem, wiatr rozwał jej włosy, słońce ciepłymi promieniami dotknęło twarzy i w jednej sekundzie zapomniała o wszystkim, co nie było terazniejszością.

Wiedziała, że Paco ma trzech braci. Najstarszy, Miguel, najbardziej podobny do ojca pod względem fizycznym, ożenił się z Chiquitą, którą Paco darzył szczerą sympatią. Drugi brat, Nico, odziedziczył po ojcu ciemne włosy i karnację, natomiast jasnoniebieskie oczy po matce. Jego żoną była energiczna, chłodna Valeria, która w niczym nie przypominała łagodnej, słodkiej Chiquity, lecz Paco wierzył, że Anna z czasem zaprzyjaźni się również z tą szwagierką. Po trzecim w kolejności Pacu był jeszcze najmłodszy Alejandro, kawaler, który bardzo poważnie myślał o poślubieniu Maleny, jednej z najpiękniejszych dziewcząt w Buenos Aires, jak wynikało z listów Miguela.

- Niczym się nie przejmuj - powiedział Paco serdecznie. - Po prostu bądź sobą, a wszyscy na pewno pokochają cię tak jak ja.

Zaskoczona zmianą scenerii za oknem, Anna zaniemówiła z zachwytu. Zielone wzgórza Irlandii zostały daleko, teraz otaczała ją sucha, płaska argentyńska równina - pampa.

Tu i ówdzie wypasały się stada bydła lub koni, tak liczne, że wydawały się podobne do lśniącego brązowego morza, rozciągającego się aż po granice intensywnie błękitnego nieba, którego odcień przypominał chabry. Santa Catalina czekała na nią niczym żyzna oaza, pełna drzew i błyszczących zielonych traw, na samym końcu długiej, zakurzonej drogi. Słyszac znajomy odgłos samochodu, Maria Elena wyszła z przyjemnie chłodnego domu, aby powitać syna. Ubrana była w szerokie spodnie z białego, plisowanego jedwabiu z guziczkami przy mankietach, które, jak Anna wkrótce się zorientowała, były stylizowaną kopią tradycyjnych bombachas, noszonych przez gauczów, oraz białą, rozpiętą pod szyją bluzkę koszulową z podwiniętymi do łokci rękawami. Wokół talii zapięła szeroki skórzany pas, zdobiony srebrnymi monetami, które połyskiwały w słońcu. Jasne włosy upięła w kok na karku, tak że fryzura podkreślała jej delikatne rysy.

Maria Elena czule uściskała syna, ujęła jego twarz w smukłe dłonie o długich palcach i spojrzała mu w oczy, wykrzykując hiszpańskie słowa, których Anna nie rozumiała, lecz czuła bijącą z nich radość. Potem odwróciła się do Anny, podeszła do niej, musnęła wargami jej policzek i po angielsku powiedziała, że bardzo się cieszy z jej przyjazdu. Anna weszła za swą przyszlą teściową do domu, gdzie czekała reszta rodziny, gotowa powitać Paca i poznać jego narzeczoną.

Gdy Anna ujrzała piękny salon, pełen obcych ludzi, nagle zrobiło jej się słabo z wrażenia. Wszyscy mierzyli ją uważnymi, krytycznymi spojrzeniami, sprawdzając, czy jest dość dobra dla Paca. Paco puścił jej dłoń i zniknął w ramionach członków rodziny, którzy nie widzieli go od dwóch lat. Przez chwilę, która przestraszonej Annie wydawała się wiecznością, dziewczyna była sama, jak mała łódka, rzucona na fale pośrodku morza. Stała nieruchomo, zmieszana i zagubiona, bezradnie rozglądając się dookoła. W końcu, gdy pomyślała, że nie znieśie tego ani chwili dłużej, podszedł do niej Miguel i wziął na siebie obowiązek przedstawienia jej całej rodzinie. Miguel miał dobre serce i uśmiechnął się ze zrozumieniem, pragnąc dodać jej odwagi.

- Przeżyjesz teraz chwile grozy, więc weź głęboki oddech i po staraj się jakoś to wytrzymać - powiedział po angielsku, z wyraźnym akcentem i pocieszającym gestem położył dłoń na jej ramieniu.

Nico i Alejandro uśmiechali się uprzejmie, ale kiedy odwróciła się od nich, nadal czuła na plecach ich taksujące spojrzenia i słyszała, jak rozmawiają o niej po hiszpańsku. Niestety, mimo wszystkich lekcji, jakie wzięła w Londynie, nie rozumiała ani słowa. Mówili tak szybko...

Na widok dostojnej urody Valerii, która bez uśmiechu pocałowała ją w policzek, poczuła skurcz w żołądku. Przyszła szwagierka spojrzała na nią chłodno, z wielką pewnością siebie. Dopiero w ramionach uśmiechniętej, serdecznej Chiquity Anna się odprężyła.

- Paco pisał w listach prawie wyłącznie o tobie - rzekła Chiquita i pokraśniała. - Bardzo się cieszę, że wreszcie przyjechałaś.

Anna była jej tak wdzięczna, że o mało się nie rozplakała, lecz w tej samej chwili zobaczyła zbliżającego się Hectora i poczuła, jak kolana uginają się pod nią z przerażenia. Skuliła się w sobie pod przytłaczającym ciężarem dostojności wysokiego i władczego pana domu. Kiedy nachylił się, żeby pocałować ją w policzek, poczuła korzenny zapach wody kolońskiej, który utrzymywał się na jej skórze jeszcze przez parę godzin. Pomyślała, że Paco jest bardzo podobny do ojca. Miał te same szlachetne rysy, ten sam garbaty nos, na szczęście jednak odziedziczył łagodny wyraz twarzy matki.

- Witam cię w Santa Catalina - powiedział Hector doskonałą, prawie zupełnie wolną od obcego akcentu angielszczyzną. - I w Argentynie. To twoja pierwsza wizyta w naszym kraju, prawda?

Anna przytaknęła bez słowa.

- Chciałbym zamienić parę słów z moim synem, Anno - ciągnął Hector. - Mam nadzieję, że nie będzie ci przykro, jeśli na chwilę zostawimy cię z moją żoną?

Potrząsnęła głową, w dalszym ciągu nie mogąc wydobyć głosu z gardła. Jej milczenie się przeciągało.

- Oczywiście, że nie - wykrztusiła w końcu.

Nagle z całego serca zapragnęła, aby Paco zabrał ją z powrotem do Buenos Aires, gdzie byliby sami, ale Paco z zadowoloną miną poszedł za ojcem, z całą pewnością ufając, że ona sobie po radzi.

- Wyjdźmy na taras, moja droga - odezwała się Maria Elena.

Spojrzała na oddalających się męża i syna, i w jej jasnych oczach pojawił się wyraz niepokoju. Anna nie miała wyboru - musiała wyjść wraz z całą rodziną na zalany słońcem taras, gdzie wszyscy mogli ją jeszcze dokładniej obejrzeć.

- Por Dios, Paco! - zaczął Hector poważnym głosem, ze zniecierpliwieniem kręcąc głową. - Jest piękna, to prawda, ale spójrz na nią obiektywnie - zachowuje się jak przestraszony królik! Uważasz, że dobrze zrobiłeś, przywożąc ją tutaj?

Twarz Pacy poczerwieniała gwałtownie, a jego niebieskie oczy zabłyśły odcieniem fioleto. Od początku czekał na tę konfrontację. Był prawie pewny, że ojciec nie wyrazi aprobaty dla jego wyboru.

- Dziwisz się, że jest przestraszona, tato? Bardzo słabo mówi po hiszpańsku, a w dodatku cała moja rodzina zgromadziła się tutaj, aby poddać ją oględzinom i orzec, czy nadaje się na moją żonę. Na szczęście sam wiem, co jest dla mnie dobre, i nie pozwolę, żeby ktokolwiek usiłował wpłynąć na moje decyzje! - Paco rzucił ojcu buntownicze spojrzenie.

- Synu, wiem, że jesteś zakochany, i bardzo się z tego cieszę, ale małżeństwo niekoniecznie musi się łączyć z miłością...

- Nie mów w ten sposób o mojej matce! - warknął Paco. - Ożenię się z Anną - dodał spokojnym, zdecydowanym tonem.

- Paco, ta dziewczyna to prowincjuszka, nigdy dotąd nie wyjeżdżała z Irlandii. Czy będzie się dobrze czuła, kiedy umieścisz ją w środku naszego świata? Jak sobie poradzi, na miłość boską?

- Poradzi sobie, bo jej pomogę. I ty także. Więcej, powiesz wszystkim, żeby przyjęli ją serdecznie i miło.

- To nie wystarczy. Żyjemy w konserwatywnym społeczeństwie, więc siłą rzeczy nasi przyjaciele i znajomi będą ją oceniać. W Argentynie mieszka tyle pięknych dziewcząt, dlaczego nie mogłeś wybrać jednej z nich? - Hector uniósł ręce w bezradnym geście. - Twój bracia zdołali znaleźć sobie odpowiednie partnerki w kraju, więc dlaczego ty nie?

- Kocham Annę, ponieważ jest inna od tutejszych dziewczyn. Dobrze, masz rację, jest prowincjuszką, brak jej obycia i nie pochodzi z naszej klasy. I co z tego? Kocham ją taką, jaka jest i wy także ją pokochacie, kiedy poznacie ją trochę lepiej. Pozwól jej złapać oddech, tato. Wystarczy, że zapomni o strachu, a zrozumiecie, dlaczego ją pokochałem.

Paco wpatrywał się w ojca twardym, nieprzejednanym wzrokiem, który złagodniał, gdy młody człowiek zaczął mówić o Annie, lecz wyraz twarzy Hectora świadczył, że słowa syna bynajmniej go nie przekonały. Powoli pokręcił głową i ciężko westchnął.

- W porządku - powiedział. - Nie mogę cię powstrzymać, synu, mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz, bo ja nie wiem...

- Daj jej trochę czasu, tato - poprosił Paco, wdzięczny, że ojciec ustąpił.

Nie przypominał sobie, aby Hector kiedykolwiek wycofał się z dyskusji, nie będąc całkowicie przekonany o słuszności argumentów drugiej strony.

- Jesteś już mężczyzną. Paco, i możesz sam decydować o swoim życiu. To twoja sprawa, mój drogi. Mam tylko nadzieję, że przyszłość nie pokaże, iż miałem rację.

- Na pewno nie, tato - odparł Paco. - Wierz mi, naprawdę wiem, czego chcę.

Hector skinął głową. Potem mocno objął syna i pocałował go w wilgotny od potu policzek, tak jak zawsze po wszelkiego rodzaju nieporozumieniach.

- Chodźmy do nich - rzekł i obaj skierowali się ku drzwiom.

Anna od razu polubiła Chiquitę i Miguela, którzy tak serdecznie przyjęli ją w Santa Catalina.

- Nie przejmuj się Valerią - poradziła Chiquita, oprowadzając Annę po farmie. - Zacznie się inaczej zachowywać, kiedy cię lepiej pozna. Widzisz, wszyscy liczyli, że Paco ożeni się z Argentyńką, i jeszcze nie zdążyli otrząsnąć się z zaskoczenia. Myślę, że wkrótce poczujesz się tu szczęśliwa...

Chiquita pokazała Annie grupę kwadratowych białych domów, w których mieszkali gaučowie, boisko do gry w polo, kort tenisowy między eukaliptusami i platanami oraz duży basen na specjalnie usypanym pagórku, z którego widać było zieloną łąkę i pasące się na niej jasnobrażowe krowy.

Z pomocą Chiquity Anna szybko zaczęła mówić po hiszpańsku. Chiquita wytłumaczyła jej gramatyczne różnice między hiszpańskim, jakim posługiwano się w Hiszpanii i jakiego Anna uczyła się w Londynie, a nieco inną odmianą tego języka używaną w Argentynie. Przyszła szwagierka cierpliwie słuchała, jak Anna nerwowo duka zdania, i poprawiała błędy.

W ciągu tygodnia Anna i Paco mieszkali w Buenos Aires z Hectorem i Marią Eleną, i chociaż początkowo posiłki upływały w trochę napiętej i sztywnej atmosferze, w miarę jak dziewczyna robiła postępy w hiszpańskim, jej stosunki z przyszłymi teściami stawały się coraz serdeczniejsze. W poprzedzających ślub miesiącach Anna ze wszystkich sił starała się nie mówić o swoich lękach, wyczuwała bowiem, że narzeczonemu bardzo zależy na tym, aby poradziła sobie w nowej sytuacji. Paco zaczął pracować w firmie ojca, zostawiając Annę samą na całe dni. Poświęcała wolny czas na naukę hiszpańskiego i studiowanie historii sztuki.

Była zajęta i czas mijał jej szybko, ale nie pokonała jeszcze strachu przed weekendami, które cała rodzina spędzała razem w Santa Catalina. Głównym powodem jej obaw było zachowanie Valerii.

Valeria zawsze dawała Annie odczuć, że uważa ją za gorszą od siebie. Widok zgrabnej sylwetki pięknej Argentyнки, ubranej w niezwykle eleganckie letnie stroje, lub jedno spojrzenie na jej urodziwą twarz o arystokratycznych rysach sprawiało, że Anna w jednej chwili traciła całą pewność siebie. Valeria siadywała w kręgu swoich przyjaciół na brzegu basenu i prowadziła z nimi przyciszoną rozmowę, której głównym tematem - co do tego Anna nie miała nigdy cienia wątpliwości - była ona, ta obca. Przyjaciółki Valerii paliły papierosy i leniwie obserwowały ją spod oka, podobne do stada pięknych, pełnych wdzięku panter, które tylko czyhają na potknięcie upatrzonej ofiary. Anna z goryczą wspominała swoje irlandzkie kuzynki i zastanawiała się, czy przypadkiem nie wpadła z deszczu pod rynnę. W Glengariff mogła przynajmniej uciec na wzgórze, natomiast tutaj nie miała się gdzie ukryć. Nie mogła zwierzyć się narzeczonemu, ponieważ nie chciała, aby wątpił, że uda jej się dopasować do nowych warunków. Jediną przyjaciółką i sojuszniczką była Chiquita, ale Anna nie mogła przecież stale chować się za jej spódnicą. Zwykle umiejętnie ukrywała uczucia. Ojciec

powiedział jej kiedyś, aby nigdy nie odsłaniała swoich słabości przed ludźmi, którzy mogą je wykorzystać, postanowiła teraz trzymać się tej wskazówki. Gotowa była zrobić wszystko, żeby nikt nie widział jej cierpienia. Nie mogła dać im tej satysfakcji.

- Ona jest dokładnie taka sama jak Eva Peron! - powiedziała ze złością Valeria, kiedy Nico zapytał, dlaczego tak wrogo traktuje Annę. - Zwykła parweniuszka, która usiłuje zdobyć lepszą pozycję, wychodząc za człowieka z dobrej rodziny, nie widzisz tego?

- Widzę, że Anna kocha Paca - odparł Nico niechętnie, próbując bronić narzeczonej brata.

- Mężczyźni są absolutnymi idiotami, gdy chodzi o kobiety! - parsknęła Valeria. - Dobrze chociaż, że Hector i Maria Elena widzą, o co naprawdę chodzi tej dziewczynie!

W tym czasie Peron znajdował się u szczytu władzy. Wspierany przez wojsko, podporządkował sobie całe argentyńskie społeczeństwo oraz prasę, radio i wyższe uczelnie. Nikt nie śmiał zbroczyć z linii wytyczonej przez jego partię. Przy swojej wielkiej popularności Peron mógł śmiało wprowadzać w życie zasady demokracji, wolał jednak rządzić sam, z wojskową precyzją planując kolejne posunięcia i ani na chwilę nie przestając kontrolować sytuacji. To prawda, że w Argentynie pod panowaniem Perona nie było obozów koncentracyjnych, do których wysyłano by przeciwników rządu, a przedstawiciele prasy zagranicznej mogli bez przeszkód przyjeżdżać do kraju, lecz gdzieś pod powierzchnią czaił się cień strachu. Eva, przez miliony żarliwych wielbicieli zwana Evitą, nie wahała się korzystać ze swej pozycji i władzy, aby odgrywać rolę współczesnego Robin Hooda. W poczekalni przed jej gabinetem zawsze kłębiły się tłumy oczekujących na rozmowę i spragnionych jej łaski. Prosilili o nowe domy, emerytury, pracę, Eva zaś podnosiła czarodziejską różdżkę i spełniała ich życzenia. Z poczuciem osobistej misji dążyła do ulżenia doli najbiedniejszych, spośród których sama się wywodziła, i z prawdziwą przyjemnością zabierała bogatym, by dać swoim ubogim, descamisados, żebrakom bez koszuli na grzbiecie, jak nazywał ich Peron. Wielu zamożnych ludzi opuściło wtedy Argentynę, obawiając się, że dyktatura Perona doprowadzi do komunizmu.

- Tak, Anna niczym nie różni się od Ewy Peron - powtórzyła Valeria zjadliwym tonem.

- Ma wielkie ambicje i chce za wszelką cenę wdrzeć się do lepszego świata, a ty i twoja rodzina zamierzacie jej na to pozwolić.

- Daj dziewczynie szansę - westchnął Nico. - Postaw się w jej sytuacji i postaraj się być dla niej trochę miłsza...

Valeria przygryzła wargę i ze zniechęceniem pomyślała, że mężczyźni stają się beznadziejnie naiwni, kiedy na horyzoncie pojawia się piękna kobieta. Wszyscy są tacy sami jak Juan Peron.

Decydujący moment nadszedł pewnego popołudnia, kiedy cała rodzina rozsiadła się na rozgrzanych kamiennych płytach wokół basenu, ciesząc się cudownym słońcem i popijając

wspaniałe soki owocowe, które pokojówki w jasnoniebieskich fartuszkach stale donosiły z domu. Anna rozmawiała spokojnie z Chiquitą i swoją przyszlą teściową, gdy nagle przyjaciel Miguela, Diego Braun, oczarowany celtycką urodą narzeczonej Paca, postanowił zwrócić na siebie jej uwagę.

- Anna, por que no te banas? (Anno, dlaczego się nie kąpiesz?) - zapytał z nadzieją, że dziewczyna wskoczy do basenu, co pozwoliłoby mu lepiej ocenić jej figurę.

Anna bezbłędnie zrozumiała pytanie, była jednak bardzo zdenerwowana, ponieważ wyczuła, że wszyscy czekają na jej odpowiedź, i dlatego przetłumaczyła wypowiedziane zdanie słowo w słowo z angielskiego.

- Porque estoy caliente - odparła.

Chciała powiedzieć, że nie ma ochoty na kąpiel w zimnej wodzie, bo wcale nie jest jej za gorąco. Ku jej zdumieniu wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem i po chwili prawie tarzali się po ziemi, trzymając się za brzuchy. Anna bezradnie spojrzała na Chiquitę, która w przerwach między atakami chichotu wyjaśniła jej, co naprawdę powiedziała.

- Bo jestem pożądliva, tak brzmiałoby chyba najtrafniejsze tłumaczenie...

I Chiquita zanosła się głośnym śmiechem, wtórując reszcie rodziny i przyjacielom.

Anna zastanawiała się chwilę, co robić, lecz nagle śmiech Chiquity wydał jej się tak zaraźliwy, że i ona roześmiała się serdecznie. Teraz wszyscy razem ryczeli ze śmiechu i po raz pierwszy Anna poczuła, że należy do klanu. Podniosła się i z silnym irlandzkim akcentem, nie przejmując się, czy mówi poprawnie pod względem gramatycznym, czy nie, oświadczyła, że jednak musi się wykąpać, żeby się trochę ochłodzić.

Od tej chwili Anna nauczyła się śmiać z samej siebie i zrozumiała, że właśnie dzięki poczuciu humoru uda jej się zaskarbić sympatię nowej rodziny. Mężczyźni przestali podziwiać ją z daleka i zaczęli razem z nią kpić z jej marnego hiszpańskiego, natomiast dziewczęta postanowiły pomóc jej w nauce języka, a także radzić sobie z chłopcami. Wyjaśniły, że Latynosi są bardzo pewni siebie i zachowują się bezpośrednio, a nawet prawie bezwstydnie wobec kobiet, co znaczyło, że Anna musi posiąść sztukę odpierania ich ataków, gdyż nawet jako mężatka nie będzie przed nimi bezpieczna. Była Europejką, i to piękną Europejką, a to utrudniało jej zadanie, ponieważ w Ameryce Południowej Europejki cieszyły się opinią łatwych kobiet. Na szczęście Anna nigdy nie miała trudności z mówieniem „nie”, a wraz z odzyskaną pewnością siebie odnalazła również dawne zdecydowanie i skłonność do stawiania na swoim.

Kiedy charakter Anny zaczął wreszcie wyłaniać się z mgły strachu, a nieśmiałość spowodowana barierą językową powoli znikła, Valeria zdała sobie sprawę, że przybyła z Irlandii dziewczyna wcale nie jest słaba i beznadziejnie głupia. Przeciwnie - Anna posiadała żelazną determinację i siłę woli oraz niezwykle ostry język. W czasie dyskusji nie ustępowała nawet na milimetr, a raz podczas lunchu otworzyła punkt widzenia Hectora i ku

absolutnemu zachwyтови Paca obroniła własny. Można powiedzieć, że jeśli nawet do dnia ślubu Anna nie zaskarbiła sobie przyjaźni i sympatii wszystkich członków nowej rodziny, to z pewnością zdobyła ich szacunek.

Ceremonia ślubna odbyła się pod błękitnym niebem w letnim ogrodzie Santa Catalina. Otoczona tłumem trzystu w większości nieznanym jej gości, Anna Melody Dwyer rozkwitła wielką urodą pod leciutkim jak mgiełka welonem, wyszywanym cekinami. Gdy szła środkowym przejściem, wsparta na ramieniu dostojnego i wyniosłego Hectora, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wkroczyła na karty książki z bajkami, po którą z radością sięgała jako dziecko. Przeistoczyła się w księżniczkę z bajki, wspomagana własnym uporem i siłą osobowości. Wszyscy patrzyli na nią, kiwali głowami i zachwycali się, czuła się podziwiana i uwielbiana. Zrzuciła skórę przerażonej dziewczyny, która trzy miesiące wcześniej przybyła do Argentyny, stając się przepięknym motylem- Kiedy złożyła przysięgę małżeńską i włożyła obrączkę na palec swojego księcia, uwierzyła, że jej historia znalazła prawdziwie szczęśliwe zakończenie, że ona i Paco pójdą teraz w kierunku słońca, że będą żyli długo i szczęśliwie...

W dzień ślubu otrzymała telegram od swojej rodziny:

**ŻYCZENIA SZCZĘŚCIA I WSZELKIEJ POMYŚLNOŚCI STOP DLA NASZEJ
NAJDROŻSZEJ ANNY MELODY STOP OD KOCHAJĄCYCH RODZICÓW I CIOCI
DOROTHY STOP WSZYSCY BARDZO ZA TOBĄ TĘSKNIMY STOP.**

Anna przeczytała depeszę, czekając, aż Encarnacion wplecie kwiaty jaśminu w jej ciężkie włosy, a później ukryła kartonik w szufladzie biurka ze świadomością, że nieodwołalnie zamyka pewien rozdział swojego życia.

Noc poślubna nie zawiodła jej oczekiwań. Była tak namiętna i wzruszająca, jak tylko Anna mogła sobie wymarzyć. Kiedy w końcu została sam na sam ze świeżo poślubionym mężem, pozwoliła mu odkrywać swoje ciało. Drżała, gdy ją rozbierał i pokrywał pocałunkami każdy centymetr ciała. Paco delektował się jej perłowobiałą skórą, która lśniła w sącącym się do pokoju blasku księżycy. Cieszyła go ciekawość żony i spontaniczna radość, z jaką oddała mu siebie. Każda pieszczota, każdy dotyk dawał Annie pewność, że nie tylko ich dusze, ale także ciała tworzą jedność, a jej uczucia do Paca należą do innego świata, świata poza granicami doznań zmysłowych. Nie wątpiła, że Bóg błogosławi ich związkowi.

Początkowo w ogóle nie tęskniła za rodziną i ojczyzną, ponieważ jej życie nagle stało się niezwykle ekscytujące. Jako żona Paca Solanasa mogła mieć wszystko, czego zapragnęła, a jej nowe nazwisko budziło ogólny szacunek. Pozycja, jaką zdobyła, przy ómiła wszystko dobre, co przydarzyło jej się w przeszłości. Z wielką przyjemnością grała rolę pani domu w pięknym mieszkaniu w Buenos Aires, lekkim krokiem przechadzając się po wielkich, wspaniale urządzonej pokojach z pełną świadomością, że skupia na sobie uwagę wszystkich obecnych. Ludzie byli oczarowani jej nie zawsze udanymi próbami porozumiewania się po

hiszpańsku, ponieważ czyniła to w niezwykle wdzięczny, wzbudzający sympatię sposób. Anna wiedziała, że skoro zaakceptowała ją rodzina Solanas, może również liczyć na aprobatę wszystkich ważnych klanów z Buenos Aires. Jako cudzoziemka budziła szczerą ciekawość i mogła sobie na wiele pozwolić. Paco był ogromnie dumny z żony. Anna wydawała mu się zupełnie inna niż mieszkańcy Buenos Aires, kierujący się sztywnymi zasadami życia towarzyskiego.

W pierwszych miesiącach po ślubie Annie nie udało się jednak uniknąć kilku poważnych błędów. Nieprzyzwyczajona do służby, miała skłonność do niezbyt uprzejmego traktowania pokojówek i innych służących, sądząc, że w taki właśnie sposób odnoszą się do swoich pracowników ludzie z wyższych sfer. Pragnęła stworzyć wrażenie, że wyrosła w domu pełnym pokojówek, lecz przyjęła całkowicie błędną taktykę i jej stosunek do służących bardzo raził nową rodzinę. Paco starał się początkowo udawać, że nie zauważa tych potknięć, liczył bowiem, że z czasem Anna nauczy się wszystkiego, obserwując postępowanie swoich szwagierek, w końcu musiał jednak przeprowadzić z nią rozmowę i łagodnie poprosić, aby zaczęła okazywać służbie więcej szacunku. Nie chciał jej powiedzieć, jak Angelina, kucharka Solanasów, stanęła w drzwiach jego gabinetu i łamiąc ręce, poskarżyła się, że żaden członek rodziny nigdy dotąd nie potraktował jej w tak obcesowy sposób jak seniora Anna. Anna poczuła się niesłusznie skarcona, upokorzona i przez parę dni dąsała się na męża, który bezskutecznie usiłował poprawić jej humor. Paco był zaskoczony, bo te humory i kaprysy zupełnie nie pasowały do Any Melodii, którą pokochał w Londynie.

Potem Anna odkryła, że ma do dyspozycji więcej pieniędzy niż hrabia Monte Christo i pewnego dnia, chcąc pokazać, że nie jest skromną dziewczyną z małego miasteczka w Irlandii Południowej, wybrała się na Avenida Florida, aby kupić sobie jakąś kreację na przyjęcie z okazji urodzin swego teścia. W niewielkim butik na rogu Avenida Florida i Avenida Santa Fe znalazła wspaniałą sukienkę, a sprzedawczyni okazała się tak miła, że do zakupu dodała w prezencie buteleczkę perfum. Zachwycona Anna czuła, że świat padnie jej do stóp, kiedy w nowej sukience wkroczy do salonu w mieszkaniu Hectora i Marii Eleny.

Wydarzenia potoczyły się jednak niezgodnie z jej planami. Gdy zobaczyła, jak ubrane są inne kobiety, uświadomiła sobie z zażenowaniem, że dokonała złego wyboru. Oczy wszystkich obecnych zwróciły się na nią, a uprzejme uśmiechy skrywały dezaprobatę. Sukienka Anny miała bardzo odważny dekolci i była zbyt wymyślna jak na tę skromną okazję.

Ku jej przerażeniu Hector natychmiast podszedł do niej i zasłonił ją przed wzrokiem pozostałych gości. Czarne włosy, lekko siwiejące na skroniach, i wysoka postać czyniły z niego imponującego i budzącego szacunek mężczyznę. Teś z uśmiechem podał Annie piękny szal.

- Boję się, że zmarzniesz - rzekł uprzejmie. - Maria Elena nie pozwala włączyć ogrzewania w domu, ponieważ przy wyższej temperaturze zaczyna ją boleć głowa...

Anna podziękowała mu, powstrzymała cisnące się do oczu łzy i szybko wychyliła kieliszek wina. Paco powiedział jej później, że wprawdzie ubrała się trochę nieodpowiednio, ale i tak była najpiękniejsza.

Zimą 1951 roku przyszedł na świat Rafael Francisco Solanas, zwany później Rafa, Anna zaś, jego matka, poczuła, że wreszcie dopasowała się do nowego świata. Chiquita, teraz nie tylko jej przyjaciółka, ale i szwagierka, zabierała ją na zakupy, dzięki czemu Anna zaczęła pokazywać się w bardzo szykownych, dyskretnie eleganckich strojach prosto z Paryża. Przede wszystkim jednak cała rodzina była zachwycona faktem, że żona Paca urodziła chłopca. Rafael był jasnowłosy i bardzo blady, wyglądał jak mała tłusta małpka albinos. Niemniej Anna uważała go za ósmy cud świata.

Jeszcze w szpitalu Paco wyznał, że uczyniła go najszczęśliwszym z ludzi. Ujął szczupłą dłoń Anny i ucałował z ogromną czułością, a potem wsunął jej na palec pierścionek z brylantem i rubinem.

- Dałaś mi syna. Ano Melodio - powiedział. - Jestem niezmiernie dumny z mojej pięknej żony...

Miał nadzieję, że dziecko pomoże jej odzyskać równowagę i wypełni życie czymś bardziej istotnym niż zakupy.

Maria Elena podarowała synowej złoty wisior ze szmaragdami, który kiedyś należał do jej matki, natomiast Hector spojrzał na chłopca i oświadczył, że choć mały jest podobny do matki, to krzyczy tak donośnie, jak przystało na Solanasa.

Gdy Anna zadzwoniła do matki, Emer rozplakała się i nie przestała ronić łez do końca rozmowy. Bardzo pragnęła być w tym czasie z córką i serce pękało jej na myśl, że może nigdy nie zobaczy wnuka. Po paru minutach słuchawkę przejęła ciotka Dorothy, która zaczęła tłumaczyć przerywane szlochami wypowiedzi swojej siostry i powtarzać wszystkim zebranym w pokoju słowa siostrzenicy.

Dermot chciał wiedzieć, czy Anna jest szczęśliwa i czy nowi krewni dbają o nią tak jak najbliższa rodzina. Zamienił też parę słów z Pacem, który powiedział mu, że cała jego rodzina darzy Annę serdecznym uczuciem. Gdy odkładał słuchawkę, był więcej niż zadowolony, lecz ciotka Dorothy nie sprawiała wrażenia usatysfakcjonowanej.

- Jej głos brzmiał jakoś dziwnie, jeśli chcecie znać moje zdanie - oświadczyła ponuro, odkładając robótkę.

- Co masz na myśli? - zapytała Emer, ocierając łzy.

- Mnie się wydaje, że jest całkiem szczęśliwa - mruknął Dermot.

- Och, tak, jest całkiem szczęśliwa, ale chyba trochę ją tam wzięli do galopu - powiedziała Dorothy po chwili namysłu. - Właśnie tak, wzięli ją do galopu... Najwyraźniej wyjazd do Argentyny wyszedł na dobre naszej Annie Melody.

Anna miała wszystko, o czym mogła zamarzyć, z wyjątkiem jednej rzeczy, z powodu której jej duma nieustannie cierpiała - choć bardzo starała się obserwować i naśladować osoby ze swego najbliższego otoczenia, nie potrafiła pozbyć się poczucia niższości. Pod koniec września, kiedy pampa pokryła się wysoką, gęstą trawą i dzikimi kwiatami, Anna odkryła istnienie kolejnej przeszkody, która miała jej utrudnić przystosowanie do życia w nowej rodzinie - konie.

Nigdy nie lubiła koni, można nawet powiedzieć, że miała na nie uczulenie. Uwielbiała większość zwierząt: złośliwe mzcachas, duże gryzonie, podobne do zajęcy, które kopały sobie nory na całej równinie, dzikie kozy i koty, często przemykające między krzewami oraz armadillo, przykuwające uwagę swym absurdalnym kształtem. Hector trzymał na biurku skorupę armadillo i używał jej jako przycisku, co bardzo denerwowało Annę. Jednak szybko odkryła, że życie w Santa Catalina kręci się wokół polo. Wszyscy jeździli tu konno, samochody były właściwie zbędne w miejscu, gdzie drogi łączące farmy przypominały nie zbyt szerokie ścieżki, ledwo widoczne wśród wysokich traw.

Właściciele Santa Catalina prowadzili bardzo bogate życie towarzyskie, często urządzali prozowane podwieczorki i przyjęcia lub jeździli na wielkie barbecue do sąsiadów. Anna zorientowała się, że praktycznie rzecz biorąc, tylko ona wsiada do terenowego samochodu i poświęca mnóstwo czasu na dotarcie do celu, gdy tymczasem inni po prostu wskakują na konia i w mgnieniu oka są na miejscu. Tematem większości rozmów było polo, mecze rozgrywane między drużynami z poszczególnych posiadłości, niedociągnięcia graczy, zalety ich koni oraz sprzętu. Mężczyźni prawie co wieczór wyjeżdżali na boisko. Argentynscy entuzjastomali się tą rozrywką. Kobiety siadały na trawie razem z dziećmi i obserwowały, jak ich mężowie i synowie galopują za piłką. Tylko po co to wszystko, pytała w duchu Anna. Żeby trafić piłką między dwa słupki? Wydawałoby się, że szkoda wysiłku... Kiedy widziała małe dzieci, ledwo dźwigające się na nóżki, które już bawiły się piłką do polo na obrzeżach boiska, z rozpaczą wznosiła oczy do nieba. Wszystko wskazywało na to, że w tym kraju od polo nie ma ucieczki.

Agustin Paco Solanas urodził się jesienią 1954 roku. W przeciwieństwie do swego brata miał ciemną cerę i był mocno owłosiony. Paco orzekł, że jego młodszy syn to skóra zdarta z dziadka Hectora. Tym razem podarował żonie pierścionek z brylantem i szafirem, lecz ich wzajemne stosunki wydawały się naznaczone piętnem chłodu, którego wcześniej między nimi nie było.

Anna całkowicie skoncentrowała się na synkach. Zatrudniła jako opiekunkę młodą siostrzenicę Encarnacion, Soledad, ale większość obowiązków przy dzieciach wolała wykonywać sama. Synowie jej potrzebowali, byli od niej uzależnieni. Anna była dla nich całym światem, ich miłość była pełna i bezwarunkowa. Matka odpowiadała na synowskie uczucie ślepym poświęceniem. Im więcej zajmowała się dziećmi, tym bardziej oddalał się od

niej Paco, który w końcu stał się mglistą postacią, tylko od czasu do czasu pojawiającą się na peryferiach jej życia. Paco coraz częściej i dłużej przebywał poza domem, wracał z pracy bardzo późno, a wyjeżdżał wcześniej, jeszcze zanim Anna się budziła. Podczas spędzanych wspólnie w Santa Catalina weekendów odzywali się do siebie z chłodną uprzejmością, która wkradła się między nich cicho i niepostrzeżenie, niczym stąpająca na miękkich łapach puma. Anna jedynie przelotnie myślała, co się stało z radością, która zawsze towarzyszyła im, gdy przebywali razem, ze wspólnym śmiechem i rozrywkami... Dlaczego przestali się bawić i spędzać wieczory w romantycznych restauracyjkach i kinach? Teraz rozmawiali wyłącznie o dzieciach.

Paco nie śmiał się nikomu przyznać, że być może jednak popełnił błąd, może nie powinien był wymagać od Anny, aby zaaklimatyzowała się w kulturze i środowisku, które były jej całkowicie obce. Z bólem obserwował, jak Anna Melodia, w której zakochał się do szaleństwa, powoli znika pod maską kobiety udającej kogoś, z kim tak naprawdę nie miała nic wspólnego. Bezradnie przyglądał się, jak jej nieokiełznana natura i buntownicza niezależność przeistaczają się w drażliwość i wieczne niezadowolenie. Anna prawie na wszystko reagowała agresją i prawie wszystko uważała za atak na swoją osobę. Walczyła, aby odnaleźć samą siebie, lecz w rezultacie podejmowała tylko kolejne próby naśladownictwa osób, wśród których żyła. Bez wahania poświęcała te wyjątkowe, niepowtarzalne cechy swego charakteru, które Paco tak kochał i podziwiał, w zamian za zupełnie do niej nie pasujące sztuczne wyrefinowanie i sztywną elegancję. Paco wiedział, że Anna jest zdolna do wielkiej namiętności, ale chociaż bardzo się starał rozgrzać ją pocałunkami i pieszczotami, w ich nocnych spotkaniach zaczęło brakować gorącej, spontanicznej czułości. Nieraz miał ochotę zwierzyć się ze swych kłopotów matce, był jednak zbyt dumny, aby przyznać, że gdyby zostawił Annę Melody Dwyer w zatopionym we mgle Londynie, najprawdopodobniej oszczędziłby im obojgu sporo cierpienia.

Kiedy jesienią 1956 roku Sofia Emer Solanas powitała świat wielkim wrzaskiem, chłód między małżonkami zmienił się już w prawdziwy mróz. Paco i Anna prawie się do siebie nie odzywali. Maria Elena zastanawiała się, czy jej synowa nie padła jednak ofiarą wyniszczającej tęsknoty za rodziną, zaproponowała więc, aby Paco zrobił jej niespodziankę i w tajemnicy zaprosił do Santa Catalina Emer i Dermota. Początkowo Paco się nie zgodził, nie był bowiem pewny, czy Anna będzie miło zaskoczona ich przyjazdem, ale Maria Elena nie ustąpiła.

- Jeżeli chcesz ratować swoje małżeństwo, powinieneś mniej myśleć, a szybciej działać - powiedziała poważnie.

W końcu Paco się poddał i zadzwonił do Dermota, aby poinformować go o planie wizyty. Podczas rozmowy ostrożnie dobierał słowa, starając się nie zranić dumy teścia. Dermot i Emer z wdzięcznością przyjęli jego zaproszenie, natomiast ciotka Dorothy nie kryła rozczarowania, że nie objął nim także i jej.

- Dokładnie wszystko zapamiętaj, Emer Melody, bo inaczej nigdy więcej się do ciebie

nie odezwę! - przykazała siostrze. - Po powrocie opowiesz mi, jak wygląda Argentyna i życie Anny Melody!

Dermot nigdy wcześniej nie wyjeżdżał dalej niż do Brighton, a Emer bała się podróży samolotem, chociaż wszyscy zapewniali ją, że Swissair to bardzo dobre i godne zaufania linie lotnicze. Koniec końców myśl o spotkaniu z ukochaną córką i poznaniu wnuków pomogła im przezwyciężyć wszystkie lęki. Bilety nadeszły specjalną przesyłką, zgodnie z obietnicą Paca, i starsi państwo wyruszyli w męczącą, trwającą czterdzieści osiem godzin podróż z Londynu do Buenos Aires, z postojami w Genewie, Dakarze, Recife, Rio oraz Montevideo. Przetrwali ją jakoś, chociaż zgubili się na lotnisku w Genewie i o mały włos nie spóźnili się na samolot.

Gdy Anna wróciła do Santa Catalina z dwutygodniową Sofią, owiniętą w koronkowy szal, zastała całkowicie wyczerpanych rodziców, czekających na nią na tarasie. Wręczyła dziecko podekscytowanej Soledad i objęła oboje rodziców. Emer i Dermot przywieźli prezenty dla sześciolatniego Rafaela i małego Agustina oraz album ze starymi zdjęciami dla Anny. Paco i jego rodzina taktownie pozostawili całą trójkę samą na kilka godzin. Przez cały ten czas Dwyerowie rozmawiali bez chwili wytchnienia, płakali bez zahamowań i śmiali się tak, jak robią to tylko Irlandczycy.

Dermot zauważył, że jego córka ma „wspaniałe życie”, a Emer z prawdziwym podziwem przejrzała stroje w jej szafach i obeszyła wszystkie pokoje w domu.

- Gdyby ciotka Dorothy mogła cię zobaczyć, kochanie, była by z ciebie bardzo dumna - powiedziała. - Zresztą ona i tak zawsze powtarza, że jesteś w czepku urodzona...

Emer była wzruszona, kiedy Anna zapytała, co dzieje się z Seanem O'Marą i z przyjemnością pomyślała, że z czystym sumieniem będzie mogła przekazać Dorothy, iż jej dziecko wcale nie jest pozbawioną serca egoistką. Powiedziała Annie, że Sean się ożenił i przeprowadził do Dublina, a ze słów jego rodziców wynika, że całkiem nieźle mu się powodzi. Emer nie była tego do końca pewna, ale niedawno chyba urodziła mu się córeczka, a może synek... Anna uśmiechnęła się trochę smutno i powiedziała, że bardzo ją to cieszy.

Emer i Dermot od pierwszego wejrzenia zakochali się w dzieciach, które również szybko się do nich przywiązały. Odwiedziny rodziców sprawiły Annie wielką radość, ale kiedy początkowe podniecenie minęło, zaczęła żałować, że nie są bardziej eleganccy i obcy w świecie. Oboje nosili ubrania mocno trące prowincją i wyglądali nieco dziwnie na tle egzotycznego krajobrazu. Maria Elena często piła herbatę z Emer i Anną przy płonącym w kominku ogniu, ponieważ po zachodzie słońca robiło się teraz dość chłodno, a Hector obwoził Dermota po całej posiadłości w bryczce zaprzężonej w dwa lśniące kuce. Raz cała rodzina zasiadła z nimi do kolacji. Kiedy Dermot wypił kilka szklaneczek dobrej irlandzkiej whisky, zaczął snuć przesadzone opowieści o życiu w Irlandii oraz nieco żenujące historyjki z dzieciństwa Anny. Jego gładko przyczesane włosy wzburzyły się i skręciły w szare loki, a policzki pokryły wesołym rumieńcem. Po kolacji ochrypłym, pełnym przejęcia głosem zaśpiewał piosenkę Danny Boy do akompaniamentu Marii Eleny i wtedy w głowie Anny po

raz pierwszy zaświtała myśl, że może jednak lepiej by było, gdyby jej rodzice w ogóle nie przyjechali.

Cztery tygodnie później uściskała matkę na pożegnanie. Nie mogła wiedzieć, że nigdy więcej nie zobaczy jej łagodnej, kochanej twarzy, ale Emer była o tym głęboko przekonana. Czasami ludzie przeczuwają przyszłość, a Emer Melody odziedziczyła nieomylną intuicję po babce. Jej przecucie się sprawdziło - dwa lata później umarła.

Wyjazd Emer i Dermota zasmucił Annę, lecz nie wzbudził w jej sercu głębokiego żalu. Lata rozstania osłabiły łączące ich więzi. Anna czuła, że odniosła duży życiowy sukces, natomiast pozycja jej rodziców nie uległa zmianie. Cieszyła się, że ich widzi, ale równocześnie nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że w jakiś sposób ją zawiedli. Od chwili poznania Paca starała się dowieść, że jest damą, dlatego teraz gniewała ją myśl, iż rodzina męża wreszcie pozna prawdę o jej pochodzeniu. Nie zauważyła, że Paco i jego rodzice bardzo polubili łagodną Emer o czarującym irlandzkim uśmiechu, a wszyscy argentyńscy krewni i znajomi byli zachwyceni jej ekscentrycznym ojcem. Cień upokorzenia, istniejący tylko w umyśle Anny, rósł i rósł, aż w końcu prawie przesłonił ludzi, których przecież kochała.

Dwa lata później Anna znalazła rachunek za hotel w kieszeni marynarki Paca i nagle uświadomiła sobie, że mąż odebrał jej swą miłość. Zrozumiała, że Paco ją zdradza, i uznała, że zawiniło jej poczucie obcości w Argentynie i kompleks niższości, którego wciąż nie mogła się pozbyć. Nie przyszło jej do głowy, że powinna się zastanowić, kto pchnął go w ramiona innej kobiety.

Rozdział ósmy

Santa Catalina, luty 1972 roku

- Mario, nie przeszkadza ci, kiedy ktoś mówi, że musisz kogoś polubić i koniec? - jęknęła Sofia, zrzucając buty do tenisa i siadając na trawie obok kuzynki.

- O co ci chodzi? - zdziwiła się Maria.

- O tę całą Evę. Mama wciąż mi powtarza, że muszę się nią zająć i być dla niej miła. Nienawidzę takich obowiązków.

- Przecież Eva przyjechała tylko na dziesięć dni.

- Dla mnie to o dziesięć dni za długo - mruknęła Sofia.

- Podobno jest bardzo ładna...

- Hmm... - Sofia już burzyła się na myśl o konkurencji.

W ciągu ostatnich miesięcy stale słyszała hymny pochwalne na cześć urody i nienaganych manier Evy, miała jednak nadzieję, że rodzice przesadzają.

- To właściwie nieważne, ale nadal nie mam pojęcia, dlaczego mama uznała, że powinna ją zaprosić.

- No, dlaczego?

- Eva jest córką przyjaciół rodziców z Chile.

- Oni też przyjeżdżają?

- Niestety nie. Eva przyjedzie sama i właśnie dlatego muszę się nią zająć.

- Pomogę ci. - Maria się uśmiechnęła. - Możliwe, że okaże się całkiem miła, może nawet się z nią zaprzyjaźnimy. Nie bądź taką pesymistką. Ile Eva ma lat?

- Jest w naszym wieku. Piętnaście albo szesnaście, nie pamiętam.

- Kiedy tu będzie?

- Jutro. - Sofia westchnęła.

- Możemy razem oprowadzić ją po Santa Catalina. Mam nadzieję, że nie jest nudziarą, bo dopiero wtedy miałybyśmy prawdziwy problem...

Sofia nie podzielała nadziei Marii, przeciwnie, liczyła, że Eva okaże się nudna, bardzo nudna i bardzo brzydka. Może udałoby się zostawić ją pod opieką Marii? Maria była taka wyrozumiała i serdeczna, więc właściwie dlaczego nie miałyby uwolnić Sofii od ciężkiego obowiązku i sama zająć się zapewnieniem Evie odpowiednich rozrywek... Maria ma złote serce, z zadowoleniem pomyślała Sofia, i zawsze chce wszystkim dogodzić... Nagle ujrzała nadchodzący tydzień w zupełnie innych, jaśniejszych barwach. Niewykluczone, że będzie mogła spędzić większość czasu z Santim, zostawiając Marię i Evę same sobie.

Następnego ranka Sofia i jej kuzyni leżeli w cieniu wysokich traw, rozmawiając z ożywieniem i słuchając fascynującego głosu Neila Diamonda, kiedy przed wejściem do domu zatrzymał się błyszczący samochód. Wszyscy przerwali rozmowę i z zaciekawieniem odwrócili głowy. Z wozu wyskoczył szofer, Jacinto, podszedł do tylnych drzwi i otworzył je. Jego uśmiechnięta twarz płonęła rumieńcem. Gdy po paru sekundach z samochodu wysiadła piękna Eva, młodzi ludzie zrozumieli przyczynę jego ekscytacji. Sofia skrzywiła się lekko i zerknęła na kuzynów, którzy w jednej chwili podnieśli się i przykucnęli na trawie, po dołbie do stada piesków preriowych.

- Matko Boska! - wykrzyknął Agustin.

- Boże, tylko spójrzcie na te włosy! - syknął Fernando.

- Nigdy nie widziałem klaczki z lepszymi nogami - wymamrotał Santi.

- Och, chłopcy, zamknijcie się, na miłość boską - zirytowała się Sofia. - Ma jasne włosy, i co z tego? Dużo dziewcząt ma jasne włosy! Wytrzymaj sobie brodę, Agustin, bo się zaśliniłeś. - Wstała i ruszyła w kierunku samochodu.

Anna, która siedziała na tarasie z Chiquitą i Valerią, podeszła do wyraźnie onieśmiałonej Evy, stojącej obok zahipnotyzowanego Jacinta.

- Jak się masz, Evo? - odezwała się z uśmiechem.

Eva popłynęła ku niej nad ziemią. Tak to właśnie wyglądało - nie szła i nie kroczyła, lecz poruszała się płynnie, z wdziękiem, prawie nie dotykając ziemi. Jej długie jasne włosy były rozpuszczone i opadały luźno, tworząc piękną ramę wokół twarzy o wyraźnych rysach i dużych, niebieskozielonych oczach, które mrugały trochę nerwowo, spoglądając na Annę spomiędzy gęstych ciemnych rzęs.

Sofia za wszelką cenę starała się znaleźć jakąś wadę u tej cudownej istoty, która pojawiła się niczym demon w przebraniu, gotowa ukraść jej Santiago, ale Eva była po prostu doskonała. Sofia pomyślała, że nigdy dotąd nie widziała tak uroczej dziewczyny. W milczeniu patrzyła, jak jej matka obejmuje Evę, pyta o zdrowie rodziców i instruuje Jacinta, aby zaniósł walizkę gościa do przygotowanego pokoju.

- Evo, to jest Sofia - powiedziała Anna, lekko popychając córkę w kierunku Evy.

Sofia musnęła wargami policzek dziewczyny i natychmiast poczuła świeży, cytrusowy zapach jej wody toaletowej. Eva była wyższa od Sofii i bardzo smukła. Wyglądała poważnie jak na piętnaście lat. Kiedy uśmiechała się nieśmiało, od razu podbijając wszystkie serca, jej policzki pokrywał lekki rumieniec, przy którym oczy nabierały jeszcze intensywniejszej barwy.

- Cześć... - wymamrotała niechętnie Sofia.

Anna poprowadziła nowo przybyłą na taras, a Sofia poszła za nimi, nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą zrobić. Przelotnie zerknęła na chłopców, którzy nadal siedzieli na trawie, i spostrzegła, że oczy ich wszystkich, co do jednego, utkwione są w Evie. Nie ulegało wątpliwości, że każdy z osobna wyobrażał sobie właśnie, jak by to było, gdyby udało mu się ją zdobyć...

Eva poczuła na sobie ich gorące spojrzenia, ale nie ośmieliła się podnieść wzroku. Usiadła i założyła nogę na nogę, starając się nie zwracać uwagi na duże krople potu, gromadzące się pod jej kolanami i na udach.

Sofia bez słowa zajęła miejsce obok matki, Chiquity i Valerii, które usiłowały skupić na sobie uwagę Evy, podniecone jak uczennice. Sofia była pewna, że gdyby w tej chwili wstała i odeszła, żadna z nich nawet by tego nie zauważyła. Nie obchodziło Je, czy Sofia się odezwie, czy nie, w ogóle na nią nie patrzyły. Równie dobrze mogłyby być cieniem. Soledad przyniosła dzban soku cytrynowego z lodem i zaczęła podawać szklanki. Kiedy dotarła do Sofii, zmierzyła ją pytającym spojrzeniem. W odpowiedzi Sofia uśmiechnęła się niewyraźnie,

a Soledad bez słów zrozumiała, co czuje jej dziewczynka. Szeroki, nieco kpiący uśmiech mówił wyraźnie: „Jesteś zbyt rozpuszczona, moja panienko”. Sofia przełknęła trochę zimnego soku i zatrzymała w ustach kostkę lodu, którą ssała z niezadowoloną miną. Nagle Eva spojrzała na nią i uśmiechnęła się lekko. Sofia odpowiedziała zawstydzonym uśmiechem, lecz nadal po wtarzała sobie w myśli, że nigdy nie polubi tej dziewczyny. Po spiesznie przeniosła wzrok na chłopców, którzy niespokojnie kręcili się pod drzewem, bezskutecznie próbując zamaskować wysiłki, zmierzające do tego, aby jak najdokładniej obejrzeć Evę. W końcu z całej grupy podniósł się Santi, Przez chwilę rozmawiał z pozostałymi, żywo gestykułując, potem ruszył w kierunku tarasu.

Chiquita przywołała go ruchem ręki.

- Evo, to jest mój syn, Santiago - powiedziała z dumą, obserwując, jak jej przystojny chłopiec pochyła się, aby złożyć lekki pocałunek na policzku ślicznej dziewczyny, i przysuwa sobie krzesło.

Uśmiechnęła się na widok błysku zainteresowania w przejrzystych oczach Ewy.

- Jesteś z Chile? - odezwał się Santi, odsłaniając w uśmiechu duże, białe zęby.

Sofia przewróciła oczami z bezsilną złością. Ten głupek też dał się nabrać, pomyślała.

- Tak, z Chile - odparła Eva z jedwabistym chilijskim akcentem.

- Mieszkasz w Santiago?

- Tak.

- Witaj w Santa Catalina. Jeździsz konno?

- Oczywiście. - Eva się rozpromieniła. - Kocham konie.

- Chętnie pokażę ci farmę, jeżeli masz ochotę - zaproponował Santi.

Sofia miała już zamiar zatonać w rozpacz, gdy Santi sięgnął po jej szklankę z mrożonym sokiem, zupełnie automatycznie wyjął ją z jej dłoni, przytknął do ust i pociągnął duży łyk. Sofia pomyślała z nadzieją, że Eva zauważy, w jak naturalny sposób Santi skorzystał z jej szklanki, i zrozumie, do kogo należy ten chłopak.

Santi wyraźnie się rozluźnił. Oparł nogę na nodze, postawił szklankę z sokiem na udzie i zaczął nią lekko kołysać. Dalej rozmawiał z Evą o koniach, letnim domu jej rodziców na plaży w Cachagua oraz uporczywych mgłach, które latem w Chile utrzymywały się czasem aż do południa. Sofia pochyliła się w jego stronę, żeby odzyskać sok. Jej palce lekko dotknęły dłoni Santięga, ale on w ogóle tego nie spostrzegł. Wszystko wskazywało na to, że nie był w stanie oderwać oczu od fascynującej Ewy, która uśmiechała się do niego z wdziękiem.

Kiedy pozostali chłopcy spostrzegli, że Santi bez trudu przyłączył się do kobiet, zdecydowali się także przystąpić do akcji. Eva ujrzała nagle przed sobą grupę opalonych, wygłodniałych drapieżców i jej blade wargi zadrżały niepewnie. Santi uśmiechnął się jednak pocieszająco i dzięki temu dziewczyna zdołała spokojnie znieść oględziny, jakim ją poddano.

Spomiędzy drzew wynurzyła się Maria z Panchitem i małym Horaciem, a zaraz potem na tarasie pojawili się Paco, Miguel, Nico, Alejandro oraz Malena i jej dwie córki, Martina i Vanesa. Wkrótce Eva poznała prawie wszystkich mieszkańców Santa Catalina i nawet psy chciały znaleźć się w zasięgu jej niezwykłego uroku. Chłopcy marzyli, żeby się z nią przespać, dziewczęta pragnęły być takie jak ona, wypytywały ją o różne rzeczy i próbowały zdobyć jej sympatię. Sofia stłumiła ziewnięcie i miała właśnie zamiar wymknąć się z tarasu, gdy na progu stanął dziadek Dwyer.

- Kim jest ta młoda ślicznotka, która zaszczycła nas swą obecnością? - zapytał, wbijając wzrok w piękną Evę.

- To Eva Alarcon, tato - odpowiedziała po angielsku Anna, usiłując się zorientować, czy starszy pan jest na rauszu. - Przyjechała do nas na tydzień.

- Znasz angielski, Evo? - zwrócił się do dziewczyny dziadek Dwyer i podszedł do niej, podobny do wielkiej ćmy, lgnącej do pięknego kwiatu.

- Trochę - odparła z bardzo wyraźnym akcentem.

- Nie przejmuj się nim, Evo - odezwała się Anna po hiszpańsku. - Mieszka tutaj dopiero od trzynastu lat.

- I w ogóle nie mówi po hiszpańsku - dorzucił Agustin, któremu bardzo zależało, żeby Eva wreszcie poświęciła mu odrobinę uwagi. - Zignoruj go, wszyscy tak robimy. - Roześmiał się i z zadowoleniem zauważył, że jego żart wywołał uśmiech na twarzy dziewczyny.

- Może ty tak robisz - przemówiła nagle Sofia. - Ale ja nigdy go nie ignoruję...

Santi rzucił jej szybkie spojrzenie i zmarszczył brwi, jakby chciał zapytać, dlaczego straciła humor, lecz Sofia odwróciła wzrok i uśmiechnęła się do dziadka.

- A więc przyjechałaś z Chile, co? - ciągnął Dermot, biorąc krzesło z rąk Soledad, która uprzedzała jego myśli, i zmuszając wszystkich, żeby się przesunęli, rozsiadł się wygodnie.

Zrobili to niechętnie, szurając krzesłami po kafelkach posadzki, lecz już po chwili Dermot mógł usiąść tuż obok Ewy. Anna ze znużeniem pokręciła głową, natomiast Sofia przyglądała się wszystkiemu z rozbawieniem. Zobaczmy, jak piękna Eva poradzi sobie z dziadkiem, pomyślała złośliwie.

- Co robisz w Chile? - zagadnął starszy pan. - Dziękuję, moja droga - wymamrotał do Soledad, która przyniosła mu szklankę mrożonego soku. - Nie sądzę, aby w tym płynie kryła się jakaś miła niespodzianka, co? - mruknął, zbliżając nos do brzegu szklanki.

Soledad, która i tak nie rozumiała po angielsku, cofnęła się w głąb domu.

- Jeździmy konno po plaży - odparła Eva.

- Konno, tak? - powtórzył Dermot, z aprobatą kiwając głową. - W Irlandii także jeździmy konno. Powiedz mi lepiej, co takiego robicie w Chile, czego my nie robimy w Irlandii!

- Pokonujemy wodospady - powiedziała Eva z uprzejmym uśmiechem.

- Pokonujecie wodospady? No, no, naprawdę? A jak to robicie?

- W gumowych pontonach - wyjaśniła Eva, z trudem powstrzymując nerwowy chichot.

Zarumieniła się i nieśmiało spojrzała na Santiago, który teraz już ani na chwilę nie odrywał od niej wzroku.

Po lunchu Anna zaproponowała, żeby Sofia i Maria zabrały Evę na basen, więc obie kuzynki poszły z piękną dziewczyną do jej pokoju, żeby pomóc rozpakowywać rzeczy. Evie bardzo podobał się pokój. Był duży i jasny, z dwoma szeroko otwartymi francuskimi oknami, które wychodziły na pełen jabłoni i śliw sad. Powietrze pachniało kwitnącym jaśminem i gardenią. Naprzeciwko drzwi stały dwa bliźniacze łóżka, przykryte narzutami w białoniebieskie kwiaty, które Anna kazała spryskać lawendową wodą toaletową, a po prawej stronie znajdowała się ładna toaletka, gdzie Eva ułożyła swoje szczotki i grzebienie oraz kosmetyki. Drzwi po lewej prowadziły do łazienki z głęboką emaliowaną wanną i chromowanymi kranami, którą sprowadzono aż z Paryża.

- Śliczny pokój - westchnęła Eva, otwierając walizkę.

- Bardzo podoba mi się twój akcent - zachwyciła się Maria. - Uważam, że Chilijczycy cudownie mówią po hiszpańsku, tak delikatnie, prawda, Sofio?

Jej kuzynka obojętnie kiwnęła głową.

- Dziękuję, Mario - odparła Eva. - Pierwszy raz w życiu widzę pampę, wiesz? Wiele razy byłam w Buenos Aires, ale nigdy na wsi. Nie przypuszczałam, że może tu być tak pięknie...

- Co sądzisz o naszych kuzynach? - zapytała Sofia, wyciągając się na jednym z łóżek i krzyżując opalone nogi w kostkach.

- Są czarujący - odpowiedziała niewinnie Eva.

- Chodzi mi o to, czy ci się podobają. Oni wszyscy oszaleli na twoim punkcie, więc możesz wybierać...

- Jesteś strasznie miła. Sofio, ale naprawdę nie wydaje mi się, żeby oszaleli na moim punkcie. Po prostu jestem dla nich kimś nowym, to wszystko. A jeśli już o nich mówimy, to nie miałam czasu im się przyjrzeć.

- Za to oni mieli wystarczająco dużo czasu, żeby przyjrzeć się tobie - oznajmiła Sofia, mierząc dziewczynę uważnym wzrokiem.

- Daj Evie spokój, Sofio, przecież biedaczka dopiero przyjechała! - wtrąciła Maria.

- Pospiesz się, Evo, dobrze? Włóż kostium i chodźmy na dwór, bo w domu można po prostu skonać z duchoty...

Nad basenem czekali już chłopcy, którzy rozłożyli się na słońcu niczym stado młodych lwów. Pragnęli jak najszybciej zobaczyć Evę w kostiumie kąpielowym i spod zmrużonych powiek wpatrywali się w ścieżkę między drzewami, oddychając szybko i płytko. Nie musieli czekać zbyt długo. Kiedy dziewczęta się zbliżyły, przyciszonymi głosami wymienili parę lubieżnych uwag, kilka razy parsknęli śmiechem i zaczęli udawać, że interesuje ich zupełnie co innego. Eva nieśmiało zrzuciła szorty i koszulkę, odsłaniając ciało kobiety o dużych, krągłych piersiach, płaskim brzuchu, pełnych biodrach i gładkiej, brązowej skórze. Poczowała, że spojrzenia młodych mężczyzn odzierają ją ze wstydlivej skromności i drżącą ręką dotknęła kostiumu, jakby chciała się upewnić, że jest na miejscu. Sofia rzuciła swoje ubranie na ziemię i podeszła do leżaków, wypinając pupę, wciągając brzuch i stawiając nogi jak kaczką. Santi usadowił się na najbliższym leżaku i obserwował Evę cierpliwym wzrokiem mężczyzny, który doskonale wie, że ukochana kobieta wcześniej czy później do niego przyjdzie. Sofia zauważyła wyraz jego twarzy i urażona odęła wargi.

- Może chcesz, żebym posmarował ci plecy olejkim? - zawołał z wody Agustin.

- Nie, dziękuję! - odrzyknęła Eva, która poczuła się trochę pewniej, zdobywszy sympatię Marii, i, jak jej się wydawało, również Sofii. - Nie takimi zimnymi, mokrymi rękami!

- Nie ufaj Agustinowi - poradził Fernando. - Jeżeli będziesz chciała, żeby ktoś posmarował ci plecy, poproś mnie. Ja jestem godny zaufania.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Na razie niczego mi nie trzeba, dziękuję - powiedziała Eva.

- Usiądź na moim leżaku, Evo - rzekł Santi, wstając.

Sofia zauważyła, że na drugim ułożyła się już Maria.

- Nie, naprawdę dziękuję...

- Mnie i tak jest tu za gorąco. - Santi nie ustępował. - Później przyniosę jeszcze kilka z magazynu, a tymczasem usiądź na tym, dobrze?

- No, jeżeli jesteś pewny... - Eva z uśmiechem przykryła leżak swoim ręcznikiem i wyciągnęła się wygodnie.

Santi usiadł na kamiennej płycie chodnika obok niej i zaczął rozmawiać, jakby znali się od bardzo dawna. W towarzystwie kobiet zawsze zachowywał się całkowicie naturalnie i dlatego budził ich zaufanie. Sofia poczuła, jak fala zazdrości podpływa jej do gardła niczym żółć, i szybko zasłoniła ciemnymi okularami oczy i część twarzy. Starła się nie zwracać uwagi na to, co dzieje się obok.

Fernando przypatrywał się, jak jego brat podrywa piękną blondynkę, i modlił się, aby Santi nie przypadł jej do gustu. Dla czego wszystkie dziewczyny leciały na Santiago? Czym im imponował? Fernando miał nadzieję, że Eva zauważy, iż Santi utyka na jedną nogę i przestanie się nim interesować. Postanowił poczekać na brzegu i sprawdzić, co z tego wyniknie. Wcześniej czy później zrobi się jej gorąco i będzie chciała popływać, a wtedy ja znajdę się przy niej, pomyślał.

Rafael szybko znudził się całą sytuacją i zasnął w cieniu, z twarzą zasłoniętą czasopismem. Agustin zanurkował kilka razy, co zawsze wychodziło mu bardzo dobrze, i wykonał udane salto. Eva obdarzyła go uśmiechem. Nie wątpił, że zrobił na niej duże wrażenie, ale teraz jej uwagę znowu zmonopolizował Santi, który wyraźnie nie zamierzał zrezygnować z walki o uroczą blondynkę. W tej sytuacji Agustin, podobnie jak Fernando, powiedział sobie, że musi zaczekać na odpowiedni moment i zanurzył się w wodzie z nadzieją, iż Eva niedługo zdecyduje się na kąpiel. Angel, Niquito i Sebastian także mieli ochotę przystąpić do gry, ale zorientowawszy się, jak wygląda konkurencja, poddali się, ponieważ doszli do wniosku, że nie mają szans. Wszyscy trzej oddalili się w kierunku kortu tenisowego i tam zaczęli przerzucać piłkę przez metalową siatkę, rozgrzaną w słońcu prawie do białości.

Kiedy upał stał się nie do zniesienia, Eva namówiła Sofię i Marię, aby popływały razem z nią. Wstała, a wtedy wszyscy nagle oprzytomnieli, jakby orzeźwiło ich tchnienie chłodnego wiatru. Agustin znowu nurkował, Fernando pokonywał czałkiem jedną długość basenu za drugą, Sebastian, Niquito i Angel wrócili odpocząć po pierwszym gemie, a Santi usiadł na brzegu basenu i zanurzył nogi w wodzie. Tylko Rafael nadal pochrapywał spokojnie w cieniu, poruszając oddechem kartki czasopisma. Sofia nachmurzyła się i utknęła w rogu basenu, podczas gdy Maria i Eva popłynęły w odwrotnym kierunku.

- Co ci jest? - zapytał Santi, wskakując do wody i podpływając do kuzynki.

- Nic - odparła obronnym tonem.

- Za dobrze cię znam - rzekł z uśmiechem.

- Nieprawda.

- Ależ tak, znam cię jak zły szeląg. - W zielonych oczach Santiago zabłysło rozbawienie. - Jesteś zazdrosna, bo nikt nie zwraca na ciebie uwagi. Obserwuję cię przez cały dzień.

- Nie wygłupiaj się. Źle się czuję, to wszystko.

- Daj spokój, Chofi. Jesteś kłamczuchą i potwornie rozpuszczonym bachorem, ale nigdy nie przestaniesz być moją ulubioną kuzynką.

- Dziękuję - mruknęła, mimo wszystko odrobinę szczęśliwsza.

- Nie zawsze musisz znajdować się w centrum uwagi - powiedział Santi. - Spróbuj dać szansę innym.

- Wcale nie o to chodzi, Santi. Naprawdę boli mnie głowa, chyba z upału - oświadczyła niezdecydowanym tonem. - Może pójde odpocząć trochę w cieniu...

Miała nadzieję, że Santi będzie jej towarzyszył.

- Jak chcesz - odrzekł i odwrócił się, aby spojrzeć na Evę, która pływała z wdziękiem, spokojnie, niczym łabędź wśród stada kaczek.

Tego wieczoru trzy dziewczyny postanowiły, że spędzą noc w pokoju Ewy. Soledad wstawiła tam rozkładane łóżko i powiedziała Sofii, że to ona powinna na nim spać, ponieważ jest gospodynią. Typowe, pomyślała niechętnie Sofia, żałując, że w ogóle przystała na ten pomysł, ale kiedy potem zaczęły plotkować w bladoniebieskim świetle księżyca, które przedostawało się do pokoju przez szeroko otwarte okna wraz z zapachem zwilżonej rosą ziemi, jej nastrój uległ znacznej poprawie.

Pomyślała nawet, że może jednak polubi Evę.

- Kiedy wracałam do domu, Agustin wyskoczył zza drzewa i przyparł mnie do pnia - zachichotała Eva. - Poczułam się taka zażenowana...

- Nie do wiary! - wykrzyknęła Sofia, zdumiona bezwstydnym zachowaniem brata. - I co zrobił?

- Powiedział, że jest we mnie zakochany.

- Oni wszyscy zadurzyli się w tobie! - Maria się zaśmiała. - Uważaj, wkrótce w całej Santa Catalina nie będzie ani jednego bezpiecznego drzewa...

- Pocałował cię? - zapytała Sofia z nadzieją w głosie, chociaż dobrze wiedziała, że Agustin nie zdołał zainteresować sobą dziewczyny.

- Próbował.

- Boże, co za wstyd! - jęknęła Sofia.

- Później, gdy graliśmy w tenisa, nim podał mi piłkę, najpierw ją pocałował.

- No, nie!

- Nie powinnam ci tego opowiadać, Sofio. Przecież to twój brat!

- Niestety. Maria nie ma powodu narzekać na swoich braci, ale ja...

- Tak, Santi jest bardzo atrakcyjny - przerwała jej Eva z entuzjazmem.

Niebieskozielone oczy Chilijki błyszczały gorączkowo, jakby jej młode ciało padło ofiarą nieznanej choroby.

- Santi? - powtórzyła Sofia, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że jej serce nagle przestało bić.

- Tak, Santi.

- Ten, który kuleje? Wysoki, z jasnymi włosami?

- Tak, właśnie ten - odpowiedziała Eva. - Jest przystojny, ale wcale nie zarozumiały, a to, że utyka, tylko dodaje mu uroku...

Sofia o mało się nie rozpląkała. Nie chce, żeby podobał ci się Santi, nie mój Santi, miała ochotę krzyknąć. Dopiero po paru minutach odzyskała równowagę. Doszła do wniosku, że musi wymyślić jakiś plan, sposób, dzięki któremu nie dopuści do rozkwitu romansu między Evą i Santim. Wiedziała, że musi stłumić to uczucie teraz, w początkowym stadium. Musiała postarać się, żeby ta piękna kusicielka nie zatopiła swoich długich, różowych paznokietków w sercu Santiiego. Szkoda, bo chyba mogłabym ją polubić, pomyślała bez wielkiego żalu.

Rozdział dziewiąty

Przez następne trzy dni Sofia nie szczędziła sił, aby zdobyć przyjaźń i zaufanie Ewy. Matka chwaliła ją, że jest taką dobrą gospodynią i tak dba o dobre samopoczucie ich gościa. Wszędzie chodziły razem i Sofia nie potrzebowała nawet szpiegować Ewy, gdy ta była z Santim, ponieważ Chilijka z własnej woli mówiła jej o wszystkim, co się między nimi dzieje.

Nagle się okazało, że Sofia też cieszy się wielką popularnością - chłopcy szybko zrozumieli, że poprzez nią mogą się zbliżyć do Ewy. Sofia nie miała nic przeciwko temu. Chętnie wyszła z cienia i z entuzjazmem przystąpiła do odgrywania nowej roli. Niestety, Eva nie zdradzała najmniejszego zainteresowania Agustinem, Fernandem czy którymś z pozostałych chłopców. Interesował ją Santi i tylko Santi. Opowiadała Sofii o wszystkich jego posunięciach. Santi zabrał Ewę na konną przejażdżkę po równinie. Sofia odrzuciła zaproszenie, wymawiając się, że obiecała pomóc dziadkowi w przemeblowaniu pokoju.

Potem Santi zaprosił Evę do gry w tenisa. Dziewczyna przyznała, że na widok Santiiego kręci jej się w głowie, lecz on na razie nie powiedział nic, co mogłoby świadczyć, że czuje do niej coś więcej niż przyjaźń.

- Nie martw się - rzekła Sofia. - Santi to mój kuzyn i wydaje mi się, że uważa mnie za najbliższą osobę z całej rodziny. Zwierza mi się ze wszystkiego, wiem o nim dużo więcej niż Maria. Dowiem się, co o tobie myśli, oczywiście bardzo dyskretnie, i powtórzę ci, co powiedział. Tylko pamiętaj - jeżeli chcesz, żebym to zrobiła, nie mów nic Marii, bo ona nie potrafi trzymać języka za zębami - skłamała.

- Dobrze, ale bądź bardzo ostrożna - zgodziła się Eva. - Nie chcę wyjść na idiotkę.

- Nie ma obaw - zapewniła ją Sofia.

Postarała się zostać sam na sam z Santim, który na trawniku przed domem ćwiczył kijem golfowym uderzenia. Maria i Eva siedziały w tym samym czasie na tarasie wraz z Anną, Chiquitą i Maleną.

- Dobry zamach, Santi - zauważyła Sofia, gdy chłopak posłał piłkę wysoko w powietrze.

- Dzięki, Sofi.

- Jesteś bardzo miły dla Ewy. Zabrałeś ją na przejażdżkę, po kazałeś jej całą posiadłość...

- To urocza dziewczyna - odparł, kładąc nową piłkę na trawie.

- Masz rację, urocza i śliczna. Chyba nigdy nie widziałam piękniejszej osoby.

- Rzeczywiście jest bardzo piękna - przytaknął Santi z pewnym roztargnieniem, więcej uwagi poświęcając uderzeniu, do którego właśnie brał zamach, niż rozmowie z kuzynką.

- Wiesz, kto się jej naprawdę podoba? - zagadnęła od nie chcenia Sofia, dobierając słowa i ton z ostrożnością godną węża, czyhającego w trawie na niczego nie podejrzewającą ofiarę.

- Kto? - Santi opuścił kij i spojrzał na nią uważnie.

- Agustin.

- Agustin? - prychnął chłopak.

- Tak.

- Chyba żartujesz!

- Dlaczego tak uważasz? Agustin jest bardzo atrakcyjny. To czarny koń...

- Nie wierzę ci. - Santi ze zniecierpliwieniem potrząsnął głową.

- Wczoraj ją pocałował. Eva nie chce, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

- Akurat, pocałował ją!

- Słowo daję, Santi. Tylko nie sygnij się, bo Eva by mnie zabiła. Zaprzyjaźniłyśmy się i za nic nie chcę tego zniszczyć, ale wiesz, że przed tobą niczego nie potrafię ukryć...

- Jestem ci ogromnie wdzięczny, Sofi - powiedział sarkastycznie. Uniósł kij i z całej siły uderzył nim w trawę, chybiając celu. - Cholera jasna!

- Chybiłeś, Santi! To do ciebie zupełnie niepodobne! - Sofia zmartwiła się fałszywie, usiłując ukryć pełen satysfakcji uśmiech. - Co się z tobą dzieje? Mam nadzieję, że nie sprawiłam ci przykrości? Może Eva jednak ci się podoba?

- Nie - mruknął. - Skąd ten pomysł? A teraz idź już, bo mnie rozpraszasz.

- W porządku, zobaczymy się później.

I oddaliła się swoim aroganckim kaczym chodem, uśmiechając się pod nosem.

Santi nie mógł uwierzyć, że piękna Eva zwróciła uwagę na Agustina, był zaskoczony i wściekły. Agustin! Wydawało mu się, że to zwyczajnie niemożliwe. Zmrużył oczy i spojrzał na taras, gdzie Sofia, Maria i Eva siedziały teraz ze skrzyżowanymi nogami, podobne do trzech knujących coś straszego czarownic. Sofi kłamie jak z nut, pomyślał, doskonale wiedząc, że w tej kwestii nie może ufać kuzynce.

- Santi nic nie chciał mi powiedzieć - zwierzyła się Sofia Evie, kiedy w czasie kolacji nakładały sobie na talerze sałatki. - Nic nie zdołałam z niego wydusić. Na twoim miejscu zaczekałabym, aż sam zrobi pierwszy krok. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Santiemu na pewno by się nie spodobało, gdybyś przejęła inicjatywę. Wiesz, jacy są mężczyźni.

- Cóż, nie powiedział, że mnie nie lubi - westchnęła Eva. - Przynajmniej tyle...

- Nie, tego nie powiedział.

- Dziękuję ci, Sofio, jesteś dobrą przyjaciółką. - Eva pocałowała ją w policzek.

Sofię ogarnęły wyrzuty sumienia, ale ta chwila szybko minęła i dziewczyna z apetytem przekroiła leżący na jej talerzu soczysty owoc lomo.

W ciągu następnych kilku dni Sofia obserwowała, jak Eva lekkim krokiem spaceruje po Santa Catalina, podobna do Królowy Śnieżki. Za piękną dziewczyną nieodmiennie podążał orszak krasnoludków pod postaciami Fernanda, Agustina, Sebastiana, Niquita oraz Angela. Ku wielkiej uldze Sofii Santi najwyraźniej stracił całe zainteresowanie, jakim darzył fascynującą Chilijkę, i właściwie całkowicie ją ignorował. Eva także przestała o nim wspominać, zupełnie jakby zrozumiała, że tej bitwy nie zdoła już wygrać. Sofia pławiła się w satysfakcji i poczuciu zasłużonego sukcesu.

Dni mijały i Sofia coraz mniej czasu spędzała w towarzystwie Evy. Śliczna dziewczyna zniknęła na długie godziny, zabierając konia, lub jeździła do miasta z Chiquitą. Dość dobrze poznała już Santa Catalina i zaczęła sama wynajdywać sobie rozmaite rozrywki.

Sofia była zachwycona. Udało się! Nie tylko skutecznie zniechęciła Evę do ugania się za Santim, ale jeszcze pozbyła się jej, przynajmniej częściowo, i nie musiała zajmować się nią przez całe dni. Byłaby zupełnie szczęśliwa, gdyby Santi poświęcał jej choć trochę więcej czasu, ale on codziennie powtarzał, że musi jechać do sąsiadów, żeby pograć w polo. Sofia przypuszczała, że jest na nią zły, bo przecież to ona przyniosła mu wiadomość o romansie Evy i Agustina. Nie szkodzi, myślała z uśmiechem. Przejdzie mu.

Ostatni dzień pobytu w Santa Catalina Eva spędziła nad basenem i na korcie tenisowym. Po południu pożegnała się ze wszystkimi kuzynkami i kuzynami Sofii, poszła się spakować i przebrać. Gdy odeszła, Santi usiadł obok Sofii i dyskretnie wsunął jej do ręki złożoną na pół białą kopertę.

- Sofi, proszę cię, żebyś dała to Evie przed jej wyjazdem - poprosił.

- Co to jest? - zapytała, z zaciekawieniem oglądając kopertę.

- Moja ostatnia szansa. Uważaj tylko, żeby Agustín tego nie zobaczył. Zabiłby mnie, gdyby się dowiedział.

Sofia wzruszyła ramionami.

- W porządku, jeśli chcesz, dam jej to, ale i tak nic ci nie po może. - Uśmiechnęła się współczująco.

- Kto wie... - odparł z nadzieją.

Sofia pobiegła do domu. Miała tylko chwilę czasu, żeby otworzyć list nad parą przed wyjazdem Evy na lotnisko. Wpadła do kuchni i postawiła czajnik na fajerce. Biedny Santi, pomyślała. Nie ma pojęcia, co się stało. Sofia nie wyobrażała sobie, aby jakakolwiek kobieta mogła zainteresować się Agustinem, jeśli w pobliżu był Santi. To było po prostu nie do pomyślenia. A jednak udało jej się przekonać Santię, że tak właśnie jest... Zachichotała z zadowoleniem, przytrzymując zaklejoną stronę koperty nad bijącym w górę strumieniem pary. Po chwili ostrożnie podważyła sztywny papier, wyjęła starannie złożoną kartkę i przeczytała kilka nakreślonych na niej słów:

„Następnym razem pilnuj własnego nosa, Sofi”.

Zamarła. Rumieniec oblał jej twarz, policzki zapłonęły ze wstydu. Jeszcze raz powoli przeczytała wiadomość. I jeszcze raz. Nie potrafiła uwierzyć w to, co widzi. Potem podarła kartkę i kopertę na drobne kawałeczki i wrzuciła je do paleniska. Zaczęła chodzić po kuchni, nie mając pojęcia, co powinna zrobić. Wiedziała jedno - za żadne skarby świata nie chciała teraz stanąć twarzą w twarz z Santim lub Evą.

W końcu zrozumiała, że musi wyjść na zewnątrz z wysoko podniesioną głową i zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Eva żegnała się właśnie z Marią, która ze łzami obejmowała nową przyjaciółkę, wymieniając z nią karteczki z numerami telefonów i adresami. Sofia rozejrzała się dookoła i odetchnęła z ulgą, ponieważ Santiago nie było nigdzie w pobliżu. Uśmiechnęła się jak dobra aktorka i uściskała Evę, jeszcze raz wciągając w nozdrza świeży zapach jej cytrusowej wody toaletowej. Obiecała, że będzie do niej często pisała, a część następnych letnich wakacji na pewno spędzi w Cachagua.

Nagle spomiędzy drzew wyłonił się Santi. Szybkim, zdecydowanym krokiem minął Sofię, podszedł do Ewy, chwycił ją w ramiona i tak namiętnie pocałował jej śliczne różowe wargi, że obie kuzynki odwróciły się z zażenowaniem. Obejmowali się mocno, gorąco, jak kochankowie, którzy z całego serca pragną pozostać razem, całowali się czule, z zapamiętaniem, jak kobieta i mężczyzna, którzy doskonale znają swoje ciała. Sofia poczuła, jak cała krew odpływa jej z głowy do nóg, świat zawirował wokół niej. Wreszcie Santi i Eva oderwali się od siebie, dziewczyna wsiadła do samochodu i odjechała. Santi stał na środku alei i machał, dopóki wóz nie zniknął w oddali. Potem odwrócił się twarzą do Sofii.

- Nigdy więcej mnie nie okłamuj - powiedział twardo. - Zrozumiałaś?

Sofia otworzyła usta, lecz nie wydobyło się z nich nic poza powietrzem. Napięła mięśnie, żeby powstrzymać łzy, i nie śmiała mrugnąć, przerażona, że jednak rozplacze się i pokaże, jak bardzo się wstydzi. Santi uśmiechnął się i powoli pokręcił głową.

- Niezły z ciebie numer, Chofi - westchnął, pieszczotliwie obejmując ją za kark. - I co ja mam z tobą zrobić?

Rozdział dziesiąty

Kiedy Santi pod koniec letnich wakacji oznajmił, że wyjeżdża na studia do Stanów Zjednoczonych i wróci dopiero za dwa lata, Sofia ze łzami wybiegła z pokoju. Santi ruszył za nią i chociaż krzyknęła, żeby zostawił ją w spokoju, odnalazł ją na tarasie.

- Wyjeżdżasz za miesiąc? - parsknęła ze złością. - Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

- Ponieważ początkowo zamierzałem jechać we wrześniu, tuż przed rozpoczęciem roku akademickiego, i dopiero niedawno doszedłem do wniosku, że chciałbym wcześniej poznać przynajmniej część Stanów. Poza tym doskonale wiedziałem, jak zareagujesz.

- Więc dowiaduję się ostatnia, tak? - wyszłochała.

- Tak, chyba tak. Sam nie wiem, bo nie dostrzegłem, by ktoś jeszcze był specjalnie poruszony moim wyjazdem. - Santi wzruszył lekko ramionami.

- Spędzisz tam dwa lata? - Sofia otarła łzy, które wytyczyły błyszczące ścieżki na jej zakurzonych policzkach.

- Prawie.
- Ile dokładnie miesięcy? - Żałośnie pociągnęła nosem.
- Nie wiem.
- Kiedy wrócisz?
- W Pazdzierniku lub listopadzie za niecałe dwa lata. Jeszcze nie jestem pewny...
- Dlaczego nie możesz studiować tutaj, jak wszyscy?
- Tata uważa, że każdy powinien spędzić trochę czasu za granicą. Będę miał szansę popracować nad angielskim i zdobyć po trzebae kwalifikacje.
- Mogłabym pomóc ci w angielskim - powiedziała nieśmiało, patrząc na niego przez łyzy.

Santi się roześmiał.

- To by było interesujące - zauważył.
 - Będziesz przyjeżdżał na wakacje? - zapytała z nadzieją w głosie.
 - Nie mam pojęcia. - Znowu wzruszył ramionami. - Chcę podróżować i zobaczyć trochę świata. Myślę, że w czasie wakacji będę zwiedzał Stany.
 - Nie przyjedziesz nawet na Boże Narodzenie? - wykrztusiła z rozpaczą, uświadamiając sobie nagle, jak puste będą dwa lata bez Santiiego.
 - Chyba nie. Mama i tata wybierają się do Stanów, żeby mnie odwiedzić.
- Sofia osunęła się na ziemię, nie próbując już powstrzymać łez.
- Chofi, przecież wrócę... - odezwał się Santi, zaskoczony gwałtownością jej reakcji. - Dwa lata to nie wieczność.
 - Wieczność! - Pokiwała głową. - A co będzie, jeżeli zakochasz się w jakiejś Amerykance i zechcesz się z nią ożenić? Może już nigdy cię nie zobaczę!

Roześmiał się i objął ją ramieniem, przyciągając do swego boku. Sofia zamknęła oczy.

Och, gdyby tylko kochał ją tak jak ona jego... Wtedy nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby ją zostawić...

- Mam dopiero osiemnaście lat, więc w najbliższym czasie raczej się nie ożenię - powiedział. - Po co wygadujesz takie bzdury, Sofi? Wybiorę Argentynkę, nie martw się. Nie sądzisz chyba, że byłbym w stanie na zawsze wyjechać z Argentyny?

- Nie wiem. - Westchnęła ciężko. - Nie chcę cię stracić, Santi. Zostanę tu sama, z Agustinem i Ferchem, bez nikogo, kto zechce się za mną ująć. Kiedy wyjedziesz, nie pozwolą mi nawet grać w polo...

Rozpląkała się znowu i ukryła twarz w jego szyi. Pachniał koźmi i tym charakterystycznym męskim, piżmowym aromatem, który sprawiał, że miała ochotę wysunąć język i polizać jego skórę.

- Będę do ciebie pisał - powiedział.

- Słowo?

- Słowo. Długie, bardzo długie listy. Będę ci w nich o wszystkim opowiadał, a ty będziesz mi odpisywała i przekazywała wszystkie nowiny.

- Będę pisała co tydzień - oświadczyła z determinacją,

Siedząc tak, objęta ramieniem Santiiego i przytulona do jego boku, uświadomiła sobie nagle, że jej uczucie do niego już od dawna nie jest jedynie uczuciem do ukochanego brata. Już dawno przeistoczyło się w coś znacznie głębszego, zakazanego. Kochała go. Nigdy dotąd nie zastanawiała się nad tym, ale teraz, czując zapach jego ciała i dotykając skóry, zrozumiała swoją za borczość i zazdrość. Kochała go, wcale sobie tego nie wyobraziła, o, nie. Kochała go całym sercem i duszą. Teraz wiedziała już, czym jest miłość.

Przez jeden przerażający moment wydawało jej się, że nie zniesie napięcia i powie mu o wszystkim, ale natychmiast uświadomiła sobie, że w żadnym razie nie powinna tego robić. Santi kochał ją jak brat siostrę, nie było więc sensu obarczać go jej mrocznymi tęsknotami, ponieważ wiedza o nich mogłaby wzbudzić w nim tylko strach i poczucie zagubienia. Siedziała nieruchomo, przytulona do jego boku, a on nadal nie wiedział, jaka to wielka siła sprawia, że jej serce tłucze się o żebra niczym ptak, który rzuca się na kraty klatki, opętany pragnieniem wolności.

Santi wrócił do domu blady i zmartwiony i opowiedział Marii, jak Sofia przyjęła wiadomość o jego wyjeździe.

- Płakała - rzekł. - Nie mogłem uwierzyć, że aż tak ją to po ruszyło... Była załamana.

Wiedziałem, że się zdenerwuje, ale ona wybuchnęła płaczem i nie mogła się uspokoić. Kiedy wreszcie ją zostawiłem, pobiegła gdzieś przed siebie.

Maria natychmiast zaczęła szukać kuzynki i niedaleko domu natknęła się na Dermota, który właśnie rozgrywał partię krykieta z Antoniem, mężem Soledad i zarządcą Santa Catalina. Gdy powiedziała mu, dlaczego jego wnuczka uciekła, odłożył młotek i zapalił fajkę. Dermot kochał Sofię równie mocno i głęboko, jak kiedyś córkę. Sofia była jego słońcem i całym światem. Kiedy przyjechał do Argentyny po śmierci żony, mała Sofia stłumiła narastające w jego sercu pragnienie, żeby jak najszybciej połączyć się z Emer.

- Moja wnuczka jest aniołem, chociaż nie zawsze to widać - mawiał. - Jednym z aniołków, które Bóg zsyła na ziemię.

Dziadek Dwyer przyjechał pod drzewo ambu bryczką, którą powoził Antonio. O wiele swobodniej i lepiej czuł się w towarzystwie Antonia i Josego niż rodziny męża swej córki i zupełnie nie przeszkadzało mu, że może się z nimi porozumiewać wyłącznie językiem gestów. Sofia siedziała na czubku drzewa, z głową ukrytą w dłoniach. Na widok dziadka, niepewnie wysiadającego z bryczki, zasłoniła twarz palcami i rozplakała się jeszcze głośniejsze.

Dermot stanął u stóp drzewa i kazał jej natychmiast zejść na dół.

- Płacz nic nie da. Sofio Melody - powiedział, pykając fajką.

Sofia ociągała się chwilę, ale posłuchała go. Oboje usiedli na trawie, grzejąc się w łagodnych promieniach porannego słońca.

- A więc młody Santiago wyjeżdża do Ameryki... - zaczął Dermot.

- Zostawia mnie samą - jęknęła Sofia. - Dowiedziałam się o tym jako ostatnia!

- Ale przecież wróci.

- Dziadku, on wyjeżdża na dwa lata! Dwa lata, rozumiesz? Jak ja to przeżyję?

- Przeżyjesz - powiedział ze smutkiem, wspominając swoją cudowną żonę. - Przeżyjesz, bo nie masz innego wyjścia.

- Och, dziadku, umrę bez Santiago...

Dermot Dwyer zaciągnął się dymem, wypuścił go z płuc i przez chwilę patrzył, jak szary obłoczek wzbija się w górę i rozplywa w powietrzu.

- Mam nadzieję, że twoja matka nic o tym nie wie - stwierdził poważnie.

- To chyba jasne.

- Nie sądzę, żeby była zachwycona. Jeżeli się dowie, znajdziesz się w dużych kłopotach, młoda damo.

- Co w tym złego, że się kogoś kocha? - zapytała Sofia zbuntowanym tonem.

Kąciki ust jej dziadka podniosły się lekko.

- Santiago to nie "ktoś", Sofio Melody, lecz twój stryjeczny brat.

- I co z tego?

- Dużo - odparł po prostu.

- Teraz to nasza tajemnica, dziadku.

- Jak moja whisky. - Roześmiał się, oblizując blade wargi.

- Właśnie. Och, dziadku, chciałabym umrzeć!

- Kiedy byłem w twoim wieku, zakochałem się w pięknej dziewczynie, podobnej do ciebie. Była dla mnie najważniejsza na świecie, ale wyjechała na trzy lata do Londynu. Twój Santiago wyjeżdża tylko na dwa. Wiedziałem, że jeżeli będę cierpliwie czekał, ona do mnie wróci. Chcesz dowiedzieć się czegoś ważnego, Sofio Melody?

- Czego? - zapytała niechętnie.

- Cierpliwe czekanie zawsze prowadzi do spełnienia.

- Nieprawda.

- A próbowałaś czekać?

- Nigdy nie musiałam.

- Otóż to. A ja musiałem. I wiesz, co się stało?

- Wróciła, zakochała się w tobie i została twoją żoną, tak?

- Nie.

Sofia z zaciekawieniem podniosła głowę.

- Wróciła i wtedy nagle zrozumiałem, że już jej nie chcę - wyjaśnił Dermot.

- Naprawdę, dziadku? - Sofia się uśmiechnęła. - Jak to powiedziałeś? Co dostają ci, którzy czekają?

- Wielki dar - mądrość. Czas daje nam szansę spojrzeć na wszystko z perspektywy, choć trochę bardziej obiektywnie. Mądrość nie zawsze przynosi to, czego oczekiwaliśmy, ale tak musi być, bo przecież gdybyśmy wiedzieli, co nam powie, nie byłoby warto czekać. Tamte trzy lata dały mi mądrość. Gdy wróciła, po stanowilem, że nie będę o nią zabiegał, zrozumiałem, że ta dziewczyna nie jest dla mnie. Masz szczęście, że się z nią nie ożeniłem, bo wtedy nie poślubiłbym twojej babci...

- Bardzo żałuję, że nie znałam babci - powiedziała Sofia.

Dermot westchnął głęboko. Nie było dnia, żeby kwiat, śpiew ptaka czy chmura na niebie nie przypominały mu jego ukochanej Emer Melody. Była wszędzie, we wszystkich rzeczach, na których zatrzymywało się jego spojrzenie, a wspomnienie jej czulej, łagodnej twarzy pomagało mu przetrwać kolejny dzień.

- Ja też żałuję, że jej nie znałaś - wymamrotał, przełykając łzy. - Byłabyś jej oczkiem w głowie. Sofio Melody.

- Jestem do niej podobna?

- Jeśli chodzi o wygląd, to raczej twoja matka odziedziczyła jej rysy i sylwetkę, ty za to masz urok i charyzmę mojej Emer...

- Tęsknisz za nią, prawda?

- Tak. Ciągle o niej myślę. Była dla mnie wszystkim.

- Dla mnie wszystkim jest Santi - Sofia westchnęła, przywołując Dermota do rzeczywistości. - Dopiero dziś zdałam sobie sprawę, że go kocham, dziadku.

- Teraz tak to odczuwasz, ale jesteś jeszcze bardzo młoda.

- Nie chcę nikogo innego i to nigdy się nie zmieni.

- Wyrośniesz z tego uczucia. Sofio. Za parę lat w twoim życiu zjawi się jakiś zabójczo przystojny Argentyńczyk i zdobędzie twoje serce, tak jak kiedyś Paco zdobył serce Anny Melody...

- Nie. Kocham Santiiego.

Dermot Dwyer zaśmiał się cicho, nie wyjmując fajki z ust. Zajrzał w nadąsaną, pełną uporu twarz Sofii i skinął głową.

- Skoro tak, to czekaj na niego. Sofio. On wróci, nie wyjeżdża przecież na zawsze, prawda?

Jak zwykle nie potrafił niczego odmówić wnuczce. Teraz czuł, że musi pocieszyć ją w cierpieniu, które przyniosła jej miłość.

- Nie, nie wyjeżdża na zawsze.

- Więc okaż trochę cierpliwości. Cierpliwy kot ma dużą szansę na złapanie myszy.

- Nie, to szybki kot ma dużą szansę na złapanie myszy! - Uśmiechnęła się.

- Może i tak, kochanie. Może i tak.

Na początku marca, kiedy liście zaczęły powoli żółknąć, a dni długich letnich wakacji, trwających od grudnia, przesyłały się w klepsydrze czasu, Sofia przyszła przed dom Chiquity i Miguela, aby pożegnać się z Santim. Obserwując wydłużające się cienie letniego wieczoru, starała się pamiętać o tym, co powiedział dziadek Dwyer. Będzie czekała na Santiiego, jak cierpliwy kot na mysz. Nawet nie spojrzy na żadnego innego chłopca. Dochowa wierności Santiemu, na zawsze.

Ostatnie tygodnie wakacji były dla niej bardzo trudne. Często zdarzało się, że w obecności Santiiego rumieniec oblewał jej twarz, a dłonie pokrywał pot. Miała wtedy ochotę zapaść się pod ziemię. Czasami przestawała myśleć i nagle odkrywała, że wyznanie miłości

ma dosłownie na końcu języka. Musiała ukrywać swoje uczucia przed resztą rodziny i zachowywać spokojny wyraz twarzy nawet wtedy, gdy miała ochotę wybuchnąć płaczem, przerażona pustką, która czyhała, by ogarnąć ją po wyjeździe Santiago.

Santi starał się nie wspominać przy niej o wyjeździe. Rozpacz Sofii głęboko go wzruszyła. Był dumny i czuł się trochę jak bo hater dawnych sag, który wyrusza na kolejną bitwę, gdy tymczasem jego kobiety zostają w domu, tonąc we łzach i rwąc sobie włosy z głowy. Wiedział, że nie będzie tęsknił za Sofią. Oczywiście, będzie do niej pisywał, była przecież jego ukochaną młodszą kuzynką, ale mniej więcej to samo znajdzie się w jego listach do matki i Marii. Ameryka uśmiechała się do niego, obiecując mnóstwo przygód i długonogich, łatwych kobiet. Santi nie mógł się już doczekać wyjazdu. A Sofia? Cóż, Sofia zostanie w Santa Catalina i z radością przywita go, gdy wróci.

Wreszcie Santi wyszedł z domu, przytulił zapłakaną Marię i uściśnął dłoń Fernanda, który w głębi serca bardzo cieszył się z wyjazdu brata. Wszyscy kochają Santiago, myślał z zazdrością. Santi był dobry we wszystkim, każdego potrafił oczarować i rozbawić. Płynął przez życie z łatwością i wdziękiem pięknego statku liniowego, podczas gdy Fernando czuł, że jemu samemu przypadła rola holownika. Musiał ciężko pracować i mimo usilnych wysiłków osiągał niewiele, dlatego w miarę upływu czasu starał się coraz mniej. Tak, był zadowolony, że Santi wyjeżdża, więcej, był zachwycony. Bez Santiago, który zawsze go przyćmiewał, może uda mu się w końcu poczuć na twarzy promienie słońca. Panchito siedział na rękach starej Encarnacion, zbyt mały, aby rozumieć, co się dzieje. Santi objął Sofię i jeszcze raz obiecał, że będzie pisał.

- Chyba nie jesteś już na mnie zła, co? - zapytał z uśmiechem.

- Owszem, jestem, ale przebaczę ci, gdy wrócisz - odparła, z trudem przełykając łzy.

Santi nie miał pojęcia, co do niego czuła. Nie podejrzewał nawet, że jej żołądek ściska się boleśnie, kiedy ich ręce stykają się przypadkiem, że jej serce galopuje radośnie, kiedy on się do niej uśmiecha, że krew napływa jej do policzków, gdy ją całuje. Dla Santiago Sofia była młodszą siostrą, nikim więcej. Dla Sofii Santi był wszystkim i teraz, kiedy odjeżdżał, traciła chęć do życia. Oddychała tylko dlatego, że nie miała wyboru. Było tak, jak powiedział dziadek Dwyer - będzie żyła, ponieważ żyć musi. Miguel i Chiquita wsiedli do samochodu i zawołali, by Santi się pospieszył. Robiło się późno. Santi zatrzasnął za sobą drzwiczki i pomachał wszystkim z tylnego siedzenia. Fernando cofnął się do domu, lecz Maria i Sofia patrzyły w ślad za samochodem, dopóki nie zniknął im z oczu.

Następne dni mijały powoli. Sofia chodziła ponura jak gradowa chmura i nawet dowcipy dziadka Dwyera nie były w stanie poprawić jej nastroju. Maria starała się ją rozbawić, ale jej po godny uśmiech i żarty irytowały tylko Sofię, która wolałaby przeżywać swój ból w samotności. Wakacje dobiegały końca, a tym samym długie letnie dni i wszystko, co się z nimi wiązało. W końcu Maria doszła do wniosku, że ma dosyć humorów kuzynki.

- Weź się w garść i przestań się dąsać, na miłość boską - powiedziała ostro, kiedy Sofia oświadczyła, że nie zagra z nią w tenisa, bo nie ma ochoty.

- O co ci chodzi? - warknęła Sofia.

- O to, że zachowujesz się zupełnie tak, jakby ktoś umarł.

- Jestem smutna, to wszystko. A co, nie mogę?

- Santi to tylko twój kuzyn - rzuciła Maria. - Tymczasem można by pomyśleć, że jesteś w nim zakochana.

- Bo jestem - oznajmiła bezwstydnie Sofia. - I mam w nosie, kto się o tym dowie.

Maria była wstrząśnięta.

- Santi jest twoim stryjecznym bratem! - zawołała. - Nie możesz być w nim zakochana!

- Nie mogę? To ciekawe. Masz coś przeciwko temu?

Maria długą chwilę siedziała w milczeniu, lecz potem pozwoliła ogarnąć się zazdrości, której sama nie rozumiała, i ze złością zerwała się na równe nogi.

- Powinnaś wreszcie spoważnieć! - krzyknęła na Sofię. - Jesteś już za stara na cielecą miłość! Zresztą Santi i tak cię nie kocha! Gdyby było inaczej, nie zwróciłby uwagi na Evę, nie sądził? Nie widzisz, że robisz z siebie idiotkę? Nie wolno kochać się w bliskim krewnym, nie wiesz o tym? To kazirodztwo, rozumiesz? Kazirodztwo! - powtórzyła zajadle.

- Kazirodztwo to miłość między rodzeństwem - odparowała Sofia. - Santi jest moim stryjecznym bratem, nie rodzonym. Widzę, że nie chcesz się już ze mną przyjaźnić!

Maria patrzyła bezradnie, jak kuzynka wybiega z pokoju, zatraskując za sobą drzwi z takim rozmachem, że wiszący na ścianie po prawej stronie obrazek spadł na podłogę i roztrzaskał się na drobne kawałki.

Rozpłakała się, zdając sobie sprawę, że płacze ze złości. Jak Sofia mogła zakochać się w Santim, który był jej kuzynem, więc to uczucie było złe, musiało być złe! Długo zastanawiała się nad całą sytuacją, usiłując także rozeznąć się we własnych emocjach i zrozumieć, skąd bierze się jej zazdrość i poczucie osamotnienia. Sofia, Santi i ona zawsze trzymali się razem, a teraz nagle po jąła, że tamci dwoje mogą stworzyć osobny świat, w którym za braknie miejsca dla Marii.

Po powrocie do Buenos Aires obie dziewczyny rozpoczęły nowy rok szkolny i w normalnej sytuacji jak zwykle miałyby mnóstwo wspólnych tematów, lecz teraz Sofia nadal nie chciała rozmawiać z Marią. Kiedy Jacinto odwoził je do szkoły, siedziały obok siebie w lodowatym milczeniu, a podczas zajęć Sofia udawała, że nie dostrzega kuzynki. Maria przeżyła już kilka kłótni z Sofią, ale w żadnej nie miała ostatniego słowa. Sofia starannie pielęgnowała wrogą atmosferę i nigdy się nie poddawała. Potrafiła wyłączać swoje emocje jak urządzenie elektryczne, lecz umiała też delektować się napięciem i aranżować dramaty.

Podczas przerw między lekcjami celowo unikała Marii, głośno śmiała się ze swoimi przyjaciółkami i obrzucała kuzynkę złośliwymi spojrzeniami.

Maria postanowiła walczyć. W końcu przecież to nie ona zaczęła kłótnię. Doszła do wniosku, że nie pozwoli, aby i tym razem Sofii wszystko uszło na sucho. Przez kilka pierwszych dni usiłowała ignorować kuzynkę, ale nocami płakała bezradnie, nie mogąc zrozumieć cierpienia, które na nią spadło. W szkole spokojnie zajmowała się swoimi sprawami, nie zwracając uwagi na to, że Sofia zdążyła już nastawić przeciwko niej pozostałe dziewczęta. Sofia posiadała urok i charyzmę, które przyciągały do niej ludzi, kiedy więc reszta klasy dowiedziała się o konflikcie między nią i Marią, wszystkie dziewczyny jak przerażone króliki szybko przeszły na stronę Sofii.

Po tygodniu Maria nie była już w stanie znieść dzielącego je chłodu. Schowała dumę do kieszeni i napisała kartkę: „Sofio, proszę Cię, bądźmy znowu przyjaciółkami”. Sofia z perwersyjną przyjemnością obserwowała cierpienie kuzynki. Maria, nie otrzymawszy odpowiedzi, napisała drugi liścik: „Nie powinnam była mówić tego wszystkiego. Postąpiłam źle i przepraszam. Proszę, bądźmy znowu przyjaciółkami”.

Sofia, która uwielbiała skupiać na sobie uwagę, długo obracała kartkę w palcach, zastanawiając się, co zrobić. W końcu, kiedy Maria rozplakała się na lekcji historii, zrozumiała, że posunęła się za daleko. W czasie przerwy znalazła zapłakaną kuzynkę na schodach przed szkołą.

- Nie Kocham już Santiogo - powiedziała, siadając obok.

Nie chciała, żeby Maria zdradziła komuś jej tajemnicę. Maria podniosła zażawioną twarz, uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością i oświadczyła, że to i tak nie ma żadnego znaczenia.

Rozdział jedenasty

Buenos Aires, 1958 rok

Soledad usłyszała płacz Sofii i pobiegła do jej pokoju. Chwyliła dwuletnią dziewczynkę w ramiona i mocno przytuliła do piersi jej wstrząsane szlochem drobne ciało.

- To tylko zły sen, skarbie - powiedziała pocieszająco.

Sofia natychmiast oplótła ją ciepłutkimi ramionami i nóżkami, Soledad spojrzała na okrągłą oliwkową buzię dziecka i jej mokre od łez gęste, ciemne rzęsy, okalające orzechowe oczy.

- Jesteś prawdziwą pięknoscią, wiesz o tym? - mruknęła, całując wilgotny policzek dziewczynki. - Nawet kiedy płaczesz.

Anna interesowała się córeczką tylko wtedy, gdy mała spała. Na początku nie była w stanie znieść jej przenikliwego, donośnego krzyku i chyba dlatego tak często powierzała ją opiece Soledad. Natomiast Paco, który nigdy specjalnie nie zajmował się synami, dopóki trochę nie podrośli, nie mógł oderwać oczu od córki. Natychmiast po powrocie z pracy pędził na górę, żeby powiedzieć jej dobranoc lub przeczytać bajkę. Sofia zasiadała na jego kolanach, opierała się o niego z ufnością i wreszcie związała się w kłębuszek, z policzkiem opartym o pierś ojca i z kciukiem w buzi. Soledad nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia. Senior Paco nie należał do mężczyzn, którzy rozczulają się nad małymi dziećmi. No, ale Sofia nie była zwykłym dzieckiem. Była jego maleńką córeczką i w wieku dwóch lat potrafiła bez trudu owinąć go sobie wokół paluszka.

Soledad lubiła tygodnie, które spędzała w Buenos Aires. Wychowała się na wsi i wielkie miasto wydawało się jej fascynującym, cudownym miejscem, chociaż niezbyt często miała okazję spacerować ulicami. Opieka nad Sofią pochłaniała ją prawie bez reszty, lecz czasami znajdowała chwilę, by wymknąć się do sklepów, zostawiając na straży Loretę, pokojówkę, która na stałe mieszkała w apartamencie rodziny Solanas. Paco poprosił Soledad, żeby zajmowała się małą także i w nocy, ponieważ Sofia często się budziła z płaczem, wołając nianię.

- Moja córka potrzebuje twojej opieki, Soledad - powiedział. - Jesteś niezbędną osobą w naszym domu. Martwimy się, kiedy Sofia jest niespokojna.

Oczywiście Soledad zgodziła się bez wahania, mimo iż oznaczało to, że czasami nie widywała Antonia przez tydzień albo i dłużej. Tak czy inaczej, na prawie wszystkie weekendy wracała z całą rodziną do Santa Catalina i wtedy starała się wynagrodzić mężowi swoją nieobecność.

- Chcesz spać u mnie? - zapytała teraz zaspane dziecko.

Sofia kiwnęła głową, oparła czoło o obfitą pierś opiekunki i spokojnie zamknęła oczy.

Soledad ostrożnie zeszła po schodach, trzymając dziewczynkę w ramionach. Senior Paco wrócił dziś bardzo późno, pomyślała, zauważywszy leżącą na krześle w holu skórzaną teczkę i kaszmirowy płaszcz. Nie zdążył pocałować na dobranoc swojej małej królowy... Kiedy przechodziła przez hol, usłyszała dobiegające z za zamkniętych drzwi salonu głosy i przystanęła niepewnie, wbrew instynktowi, który podpowiadał jej, by nie podsłuchiwała. Rodzice Sofii rozmawiali po hiszpańsku.

- Więc co to za rachunek? - zapytała gniewnie Anna.

- Z całą pewnością nie ma to żadnego związku z tym, o czym myślisz - odparł chłodno

Paco. - To sprawy biznesowe.

- Biznesowe? Dlaczego musiałeś wynajmować pokój w hotelu w sprawach biznesowych, skoro masz reprezentacyjne mieszkanie? Nie jestem aż taką idiotką, na miłość boską!

Zapadło ciężkie milczenie. Soledad nie śmiała drgnąć, stała cicho i nieruchomo jak mebel, prawie nie oddychała, lecz jej serce biło mocno, coraz szybciej. Świetnie zdawała sobie sprawę, że przysłuchuje się prywatnej rozmowie i że w gruncie rzeczy powinna się odwrócić, zanieść Sofię do swojego pokoju i udawać, że o niczym nie wie. Niestety, nie była w stanie tego zrobić. Była zbyt ciekawa - musiała się dowiedzieć, o czym mówili Paco i Anna. Zza drzwi dobiegł ją odgłos kroków. Senior Paco przechadzał się po pokoju, słyszała ciche szuranie podeszew butów po drewnianej podłodze i dywanie, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem... I pociąganie nosem... Seniora Anna chyba płakała... Wreszcie z piersi Paca wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Masz rację - odezwał się ze smutkiem.

- Kim ona jest?- zaszlochała Anna.

- Nie znasz jej, możesz być absolutnie pewna, że to nikt z naszych wspólnych znajomych.

- Dlaczego?

Soledad usłyszała, jak Anna zerwała się z miejsca. Jej wysokie obcasy szybko zastukały po podłodze. Musiała podejść do okna. W pokoju znowu zapadła pełna napięcia cisza.

- Mężczyzna potrzebuje miłości, Anno - rzekł Paco ze znużeniem.

- Ale przecież my się kochaliśmy, prawda? Na początku na prawdę kochaliśmy się z całego serca...

- To prawda. Nie wiem, co poszło nie tak... Zmieniłaś się.

- Zmieniłam się? - wybuchnęła. - Ja się zmieniłam? I na pewno to wszystko moja wina, tak? To ja popchnęłam cię w jej ramiona?

- Niczego takiego nie powiedziałem.

- Więc co się stało? Ty też się zmieniłeś, Paco, chociaż najwyraźniej nie zdajesz sobie z tego sprawy!

- Wcale nie uważam, że to twoja wina, Anno. Oboje ponosimy odpowiedzialność za to, co się wydarzyło. Nie mówię, że jestem niewinny... Chciałaś wiedzieć, więc...

- Chcę wiedzieć dlaczego.

- Nie wiem dlaczego. Zakochałem się w niej, ona także mnie kocha. Ty już dawno przestałaś okazywać mi uczucie, więc czego właściwie się spodziewałaś?

- Zaraz mi powiesz, że to jakiś zboczony argentyński zwyczaj! Kiedy mężowie są znudzeni żonami, biorą sobie kochanki, co?

- Anno!

- Więc może taka zasada obowiązuje tylko w twojej rodzinie? - parsknęła pogardliwie.

- Może to dziedziczne?

- O czym ty mówisz? - zapytał powoli.

Soledad zauważyła, że ton jego głosu się zmienił, stał się jeszcze chłodniejszy i wyraźnie przycichł.

- O twoim ojcu i jego... jego kochance - Anna miała zamiar użyć słowa „dziwka”, ale instynkt ostrzegł ją, aby nie posuwała się za daleko.

- Nie mieszaj do tego mojego ojca! - Paco nie potrafił ukryć zaskoczenia. Nie miał pojęcia, w jaki sposób Anna dowiedziała się o romansie Hectora. - Ta sprawa dotyczy tylko ciebie i mnie, nie ma nic wspólnego z życiem moich rodziców!

- Mam nadzieję, że nie zapoznasz z tym „zwyczajem” Rafaela i Agustina. Nie chciałabym, żeby któryś z moich synów złamał serce jakiejś nieszczęsnej kobiecie!

- Nie mogę z tobą rozmawiać, kiedy jesteś w takim stanie.

Soledad usłyszała jego szybkie kroki, odwróciła się i ruszyła truchtem w stronę swojego pokoju, lecz on wyszedł z salonu i zatrzasnął za sobą drzwi, zanim zdążyła zniknąć.

- Soledad! - odezwał się surowo.

Zaczerwieniła się i ze spuszczoną głową zwróciła się twarzą ku niemu. To koniec, pomyślała. Dlaczego jestem taka głupia? Teraz będę musiała spakować rzeczy i odejść. Żałośnie pociągnęła nosem.

- Podejdź tu z Sofią - polecił.

Zbliżyła się, starannie unikając jego wzroku.

- Moja kochana Sofia... - powiedział miękko, łagodnym głosem i pocałował córeczkę w ciepłe czoło. Kąciki ust dziewczynki uniosły się lekko, jakby nawet we śnie reagowała na jego dotyk. - Kochasz mnie, prawda? - szepnął. - ja cię kocham, nie wiesz nawet, jak bardzo...

Na jego twarzy pojawił się wyraz czułości, Soledad zauważyła też, że jego oczy zalśniły podejrzeniem. Stała bez słowa, a on delikatnie głaskał Sofię po twarzy. Czekwała na reprimendę. Dopiero po chwili w głowie zaświtała jej myśl, że chyba ma szczęście i kara nie nadejdzie. Paco przesunął palcem po policzku dziecka, sięgnął po płaszcz i skierował się do drzwi.

- Wychodzi pan? - zapytała Soledad i natychmiast pożałowała, że to zrobiła. Nie powinna interesować się planami swego pracodawcy.

Spojrzał na nią i poważnie kiwnął głową.

- Tak. Nie wróćę na kolację. Posłuchaj, Soledad...
- Tak, senior Paco?
- Nikomu nie wspominaj o tym, co usłyszałaś dzisiaj wieczorem, rozumiesz?
- Tak, senior Paco - odparła, znowu się czerwieniąc.
- Dobrze - powiedział i cicho zamknął za sobą drzwi.

Soledad zerknęła na drzwi do salonu, westchnęła i przez kuchnię poszła do swojego pokoju. Wiedziała, że nie powinna podsłuchiwać, ale teraz, kiedy odzyskała równowagę ducha, zaczęła się zastanawiać nad rozmową swoich państwa. Więc senior Paco ma romans, pomyślała. Wcale jej to nie zdziwiło. Wielu mężczyzn co jakiś czas wdawało się w tego rodzaju związki i niby dlaczego mieliby tego nie robić? Sęk w tym, że ta sprawa wydawała się związana nie tyle z seksem, co z uczuciem. Jeżeli senior Paco przestał kochać seniorem Annę, to sytuacja była poważna. Soledad bardzo współczuła Annie i było jej szczerze żal obojga państwa.

Anna została w salonie, skulona w fotelu, zbyt zmęczona i zrozpaczona, aby się poruszyć. Nie wiedziała, co robić. Paco przyznał się, że ma kochankę, ale wcale nie obiecał, że przerwie romans. Słyszała, jak wychodził. Na pewno pobiegł prosto do tamtej, kimkolwiek była. Wcale nie chciała tego wiedzieć. Nie ufała sobie, podejrzewała nawet, że w ataku gniewu i zazdrości mogłaby zabić tę kobietę... Pomyślała o ciotce Dorothy. Czyżby właśnie teraz spotkała ją kara za porzucenie Seana? Może jej ciotka miała rację, może rzeczywiście byłaby szczęśliwsza, gdyby wyszła za Seana i nigdy nie opuściła Glengariff...

Następne tygodnie były ponure i mroczne. Paco i Anna nie wrócili do tamtej rozmowy i pozornie wszystko było tak jak dawniej, gdyby nie to, że w ogóle przestali się ze sobą porozumiewać. Anna z goryczą obserwowała, jak więź łącząca Paca i Sofię staje się coraz silniejsza. Każda pieszczota, każdy czuły gest, jaki wymieniali ci dwoje, była dla niej torturą.

Miała wrażenie, że nie tylko obca kobieta, ale także własna córka zabrała jej męża. Paco spędzał z Sofią więcej czasu niż z nią i otaczał dziecko miłością, całkowicie odgradzając się od żony. Anna z kolei poświęcała się całkowicie synom, chłonąc ich uczucie jak pustynna roślina spragniona deszczu. Odkryła, że coraz trudniej jej kochać Sofię, którą kojarzyła teraz wyłącznie z mężem i tym, co ich dzieliło. Dziecko zaczęło nawet popłakiwać i wyrwać się, gdy trzymała je w ramionach, jakby wyczuwało niechęć, natomiast nie zmiennie chętnie tuliło się do ojca. Kiedy bawili się razem i Sofia okazywała radość z jego obecności, Anna nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że każdy jej uśmiech mówi: „Kocham tatę, nie ciebie”. Cierpiała coraz bardziej, lecz nic nie potrafiła na to poradzić.

Kilka miesięcy przed bolesną rozmową z mężem dostała od ojca telegram z wiadomością o śmierci matki. Potem Dermot przyjechał do Argentyny i Anna, być może wbrew zdrowemu rozsądkowi, spodziewała się, że w ramionach ojca odnajdzie miłość matki,

lecz on także uległ fascynacji małą czarodziejką, którą stała się Sofia. Okazało się wtedy, że Anna i Dermot są sobie prawie zupełnie obcy. Łączącą ich kiedyś więź mocno nadwątlili, a zdaniem Anny zupełnie zniszczyły lata oddalenia.

Matki brakowało jej znacznie bardziej niż ojca, który chodził po Santa Catalina jak zagubiony pies. Doskonale pamiętała miękki śmiech Emer i blask w jej łagodnych oczach oraz otaczający ją zawsze zapach mydła i lawendy. W wyobraźni wyniosła matkę na piedestał, który zupełnie do niej nie pasował. Wyławiała z pamięci tylko to, co przyjemne i podtrzymujące na duchu, dlatego nie kojarzyła Emer ze smutną starszą kobietą, która rozpaczliwie płakała tamtego jesiennego wieczoru, kiedy zegnały się po raz ostatni. Potrzebowała teraz matki, która ocierała łzy małej dziewczynce, rozżalonej, że jej kuzyni i kuzynki nie chcą się z nią bawić, matki gotowej zrobić absolutnie wszystko, byle tylko na twarzy jej dziecka znowu zajaśniał uśmiech. Tęskniła za bezwarunkową miłością Emer, ponieważ okazało się, że w świecie dorosłych miłość trudno jest zdobyć, a jeszcze trudniej za trzymać.

Pozwoliła, aby Soledad zajęła jej miejsce przy małej Sofii. Chłopcy mieli teraz siedem i pięć lat. Zaczęli już chodzić do szkoły i Anna miała więcej czasu dla siebie. Potrzebowała tego czasu, bo musiała spokojnie zastanowić się, co zrobić ze swoim życiem. Czasem nękały ją niewyraźne wyrzuty sumienia, ale zawsze potrafiła przekonać samą siebie, że Sofia jest całkiem szczęśliwa z Soledad. Zainteresowała się malarstwem i urządziła sobie małe studio w jednym z wolnych pokoi w mieszkaniu w Buenos Aires. Wiedziała, że nie maluje dobrze, ale nowe zajęcie pozwalało jej oderwać się od codziennych zmartwień, przy najmniej na chwilę, mogła też spędzać więcej czasu sama, nie budząc ciekawości rodziny. Paco nigdy nie zaglądał do studia, które stało się jej sanktuarium, własnym miejscem, gdzie znajdowała schronienie.

Paco poczuł się głęboko zraniony, kiedy Anna wspomniała o romansie jego ojca z Clarą Mendoza. Zaskoczyło go nie to, że wiedziała o tym związku, ponieważ w gruncie rzeczy wiedziało o nim wiele osób, lecz to, iż zniżyła się do tego, aby wykorzystać tę wiedzę przeciwko niemu. Zaczął obserwować ją z coraz większym dystansem i zadawać sobie pytanie, czy miłość, która połączyła ich w Londynie, naprawdę istniała. Wydawało mu się, że zakochał się w cudownej młodej dziewczynie, lecz do Argentyny przez pomyłkę przywiózł zgorzkniałą kobietę o ostrym spojrzeniu. Czasami wyobrażał sobie, że Ana Melodia, ta z jego wspomnień; nadal siedzi obok fontanny na Trafalgar Square i czeka na niego, smutna i stęskniona. On także tęsknił za nią, bo przecież nadal ją kochał.

Pewnego wiosennego dnia Anna wybrała się na spacer po równinie z Agustinem. Było bardzo ciepło i dzikie kwiaty zaczynały ubarwiać pampę świeżymi kolorami. Z zachwytem dostrzegli w pobliżu parę młodych mzcachas o lśniącym brązowym futrze, które obwachiwały się w słońcu. Anna usiadła w wysokiej trawie i wzięła pięcioletniego synka na kolana.

- Spójrz, kochanie - powiedziała po angielsku. - Widzisz te króliczki?

- Widzę - odparł Agustin. - Całują się.

- Musimy zachowywać się bardzo spokojnie i cicho, żeby ich nie przestraszyć.

Długo przyglądali się pełnym uroku zwierzętom, które wesoło skakały wokół siebie, od czasu do czasu rozglądając się czujnie, jakby podejrzewały, że ktoś je obserwuje.

- Ty nie całujesz już tatusia, mamó - odezwał się nagle Agustin. - Przestałaś go lubić?

Anna zamarła, zaskoczona pytaniem i wyraźnym niepokojem w głosie dziecka.

- Skądże znowu, skarbie - powiedziała. - Nadal go lubię i Kocham.

- Ale teraz ciągle kłócicie się i krzyczycie na siebie, a mnie wcale się to nie podoba. - Chłopiec się rozplakał.

- Popatrz, przestraszyłeś króliczki - rzekła szybko Anna, starając się skupić uwagę synka na czymś innym.

- Nic mnie to nie obchodzi! - wybuchnął Agustin. - Nie chcę dłużej patrzeć na te króliki!

Anna objęła małego i zaczęła się gorączkowo zastanawiać, jak go uspokoić.

- Tata i ja kłócimy się czasami, tak jak ty, Rafael albo Sebastian. Pamiętasz, jak posprzeczałeś się z Sebastianem?

Chłopiec powoli skinął głową.

- No, właśnie - ciągnęła Anna. - Ale była to tylko mała sprzeczka, nic więcej, i szybko się pogodziliście.

- Pogodziliśmy się i znowu jesteśmy przyjaciółmi - przytaknął Agustin. - A ty i tata wcale się nie pogodziliście...

- Przrzekam ci, że to zrobimy, zobaczysz. Daję ci słowo honoru. Teraz otrzyj buzię i chodźmy trochę dalej. Może zobaczymy jakiegoś armadillo i będziesz mógł opowiedzieć o nim dziadkowi?

W drodze powrotnej do domu Anna doszła do wniosku, że nie może dłużej tak żyć. Było to nie do wytrzymania dla niej i dla rodziny. Nie mogła pozwolić, aby nieszczęście, które dotknęło ją i Paca, rzuciło cień na życie ich dzieci. Spojrzała na pogodnie uśmiechniętą buzię Agustina i zrozumiała, że nie może go zawieść.

Gdy byli już blisko domu, frontowe drzwi otworzyły się i z holu wybiegła na ich spotkanie zapłakana Soledad. O Boże, tylko nie Rafael, pomyślała Anna w panice, z całej siły ściskając małą łapkę Agustina. Tylko nie Rafael, błagam...

- Co się stało? - krzyknęła zachrypniętym głosem.

- Seniora Maria Elena! - zaszlochała Soledad.

Po policzkach Anny popłynęły łzy ulgi.

- Co się stało? - powtórzyła słabo.

- Nie żyje! Seniora Maria Elena nie żyje!

- Nie żyje? Dobry Boże! Gdzie jest mój mąż? Gdzie Paco?

- U seniora Miguela.

Anna zostawiła Agustina pod opieką Soledad i alejką między drzewami pobiegła do domu Miguela i Chiquity. W salonie zgromadziła się już prawie cała rodzina. Anna rozejrzała się dookoła, szukając wzrokiem Paca. Nie było go tu. Chiquita dostrzegła ją i podeszła pospiesznie. Twarz miała zapuchniętą od płaczu.

- Gdzie Paco? - zapytała Anna łamiącym się głosem.

- Na tarasie, z Miguelem - odpowiedziała Chiquita, wskazując francuskie drzwi.

Anna przecisnęła się między krewnymi, nie patrząc na ich za smucone twarze, i wyszła na taras. Paco stał przy barierce, pogrążony w rozmowie z Miguelem. Był odwrócony do niej plecami, więc jej nie zauważył. Dopiero kiedy Miguel skinął jej głową i ruszył w stronę drzwi, Paco spojrzał w bladą twarz żony.

- Och, Paco, tak mi przykro... - powiedziała, nie starając się wycierać gorących łez.

- Jak to się stało?

Paco patrzył na nią chłodno.

- Wypadek samochodowy - rzekł sucho. - Jechała do domu i zderzyła się z ciężarówką.

- To straszne! Biedny Hector... Gdzie on jest?

- W szpitalu.

- Musi być nieprzytomny z rozpaczy... - szepnęła Anna.

- Tak. - Paco odwrócił wzrok. - Wszyscy jesteśmy zrozpaczeni.

- Paco, proszę cię...

- Co mam zrobić? - zapytał obojętnie.

Anna powstrzymała szloch.

- Nie odsuwaj mnie od siebie - poprosiła.

- Dlaczego?

- Chcę cię pocieszyć.

- Chcesz mnie pocieszyć... - powtórzył z niedowierzaniem.

- Tak. Wiem, co czujesz.

- Nie masz o tym najmniejszego pojęcia - rzucił ostro.

- To ty masz romans. Paco. Ja jestem gotowa zapomnieć o tym i zacząć od nowa.

Paco zmierzył ją pytającym spojrzeniem spod zmarszczonych brwi.

- Dlatego, że umarła moja matka?

- Nie. Dlatego, że nadal obchodzi mnie, co się z tobą dzieje - odparła, mrużąc oczy.

- Nie zamierzam puścić w niepamięć tego, co powiedziałaś o moim ojcu - rzekł gniewnie.

- O twoim ojcu? - Anna nie ukrywała zaskoczenia. - Co takiego powiedziałam o Hectorze? Kocham twojego ojca. Paco.

- Jak mogłaś zniżyć się do tego, żeby wypomnieć mi jego romans i powiedzieć, że to nasza rodzinna tradycja? - zapytał z goryczą.

- Och, Paco... Zrobiłam to tylko dlatego, że chciałam cię zranić...

- I udało ci się. Jesteś zadowolona?

Anna milczała długą chwilę.

- Agustin zapytał mnie dziś, dlaczego cię już nie lubię - odezwała się miękko. - Jego mała buzia była ściągnięta i pobladła ze strachu... Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć, ale zastanowiłam się nad jego słowami i zrozumiałam, że mimo wszystko nadal cię lubię. Zapomniałam, jak cię kochać, to prawda, ale przecież ta miłość jest gdzieś we mnie...

Paco spojrzał w jej załzawione, pełne żalu oczy i jego serce zmiękło.

- Ja też zapomniałem, jak cię kochać - powiedział. - I wcale nie jestem z siebie dumny...

- Nie moglibyśmy spróbować tego naprawić? - zapytała z westchnieniem. - Przecież nie wszystko przepadło, prawda? Czy nie możemy wrócić do tamtych chwil, do tego wszystkiego, co połączyło nas na samym początku, jeszcze w Londynie, i odzyskać czar tamtych dni? Czy nie moglibyśmy przypomnieć sobie, jak to było? - Jej blade wargi zdrząły.

- Przepraszam cię, Anno - rzekł Paco. - Przepraszam, że cię zraniłem.

- Ja także cię przepraszam. - Uśmiechnęła się słabo, patrząc na niego ze współczuciem.

- Chodź do mnie, Ano Melodio. - Paco delikatnie wziął ją w ramiona. - Masz rację, bardzo potrzebuję twojego pocieszenia...

- Czy tamto już się skończyło? - odezwała się po długiej chwili. - I naprawdę możemy spróbować jeszcze raz?

- Tak, skończyło się bezpowrotnie - powiedział i pocałował ją w czoło z dawno zapomnianą czułością. - Nigdy nie przestałem cię kochać. Ano Melodio. Straciłem cię tylko z oczu, nic więcej.

Maria Elena została pochowana w rodzinnym grobowcu w mieście po smutnym i wzruszającym nabożeństwie żałobnym w kościele pod wezwaniem Nuestra Señora de la Asuncion. Wszyscy bliscy kochali ją szczerze i serdecznie, o czym najlepiej świadczył fakt, że w kościele zabrakło miejsc i wiele osób stało na dziedzińcu. Było ciepło i słońce świeciło tak mocno i jasno, jakby nie wiedziało o śmierci Marii Eleny.

Anna widziała, jak drżą dłonie Paca, zaciśnięte na Piśmie Świętym, z którego fragment odczytywał, i nie mogła powstrzymać łez. Dziękowała Bogu, że pozwolił im odnaleźć drogę do siebie i znowu obdarzyć się miłością. Patrzyła na obrazy świętych, umieszczone wokół głównego ołtarza, i szukała w nich po cieszenia dla siebie i dla wszystkich, którzy cierpieli po śmierci Marii Eleny. Gdybym była głęboko nieszczęśliwa, przysłabym do Boga, obecnego w tym kościele, i On by mnie uratował, pomyślała. Śmierć Marii Eleny była szokiem dla całej rodziny, ale nikt nie cierpiał tak bardzo jak Hector, który w ciągu kilku dni po śmierci żony bardzo się postarzał. Anna miała wrażenie, że ojciec Paca niknie w oczach. Był niepokieszony, nie miał siły, aby dalej żyć. Rozpacz zniszczyła go i uczyniła pustą skorupę z jego złamanego serca.

Hector Solanas nigdy nie odzyskał równowagi i rok później zmarł.

Życie Anny i Paca wróciło do normy. Oboje patrzyli, jak ich dzieci dorastają, i cieszyli się ich sukcesami. Znowu rozmawiali ze sobą i chociaż nigdy nie odnaleźli Londynu w Argentynie, starali się cierpliwie odbudowywać swoją miłość. Paco zerwał romans, a Anna ze wszystkich sił starała się być dobrą żoną. Drzewo ich wspólnego życia wydawało się silne i zdrowe, lecz korzenie problemów, które ich kiedyś rozdzieliły, nadal tkwiły mocno w ziemi.

Rozdział dwunasty

Santa Catalina, 1973 rok

Było już późno, kiedy Sofia wśliznęła się do pokoju dziadka. Blask zimowego księżycza przyprószył ciemność bładoniebieskim światłem. Dziewczyna przystanęła w nogach łóżka i spojrzała na starego człowieka. Chrapał głośno, lecz dla niej było w tym coś dziwnie kojącego, wspomnienie dzieciństwa i trwałego poczucia bezpieczeństwa. Powietrze w pokoju pachniało słodkavo tytoniem, jego aromat zdążył już na dobre zadomowić się w zasłonach i obiciach mebli. Przez otwarte okno wpadał łagodny wiatr.

Sofia nie chciała budzić dziadka, ale wiele by dała, żeby sam się ocknął. Wiedziała, że nie powinna przebywać w jego pokoju w środku nocy i że matka ostro by ją za to skarciła. Tego dnia Anna była po prostu okropna dla Sofii. Bardzo nie lubiła, kiedy Dermot rozpieszczał wnuczkę, i zawsze dawała temu wyraz, a tym razem oskarżyła go o podważanie jej autorytetu. Poszło o to, że dziadek Dwyer obiecał Sofii skórzany pasek ze srebrną klamrą, ozdobioną jej inicjałami. Anna oświadczyła, że jest to strata pieniędzy, ponieważ Sofia i tak nie doceni prezentu. Powiedziała, że dziewczyna zupełnie nie dba o swoje rzeczy, rzuca je na podłogę i czeka, aż Soledad podniesie je i odłoży na miejsce.

Skoro dziadek koniecznie chce kupić coś wnuczce, niech to będzie coś stosownego i przydatnego, na przykład książki lub nuty. Paco odziedziczył fortepian po swojej matce, ale Sofia prawie na nim nie grywa. Najwyższy czas, żeby dziewczyna zajęła się w końcu czymś na poważnie. Nie ma za grosz koncentracji, zaczyna tysiąc rzeczy i żadnej nie kończy. Tak, nauka gry na fortepianie przyniosłaby jej znacznie więcej korzyści niż przesiadywanie na tym idiotycznym drzewie. Wszystkie panienki z klasy Sofii uczą się malować i grać na jakimś instrumencie, czytają dobrą angielską literaturę, gotują i poznają tajniki prowadzenia domu. Młode dziewczęta nie powinny całymi dniami uganiać się na kucach i łązić po drzewach.

- Zachęć ją lepiej, żeby zaczęła robić coś rozsądnego, tato - powiedziała Anna.

Ale cóż, skoro dziadek Dwyer chciał kupić Sofii pasek, zgodnie z obietnicą...I właśnie dlatego Sofia zakradła się w nocy do jego pokoju. Pragnęła powiedzieć mu, że bardzo ucieszy ją ten prezent i że będzie o niego dbała, ponieważ kocha dziadka i pasek będzie jej go zawsze przypominał. Anna nigdy nie mogła zrozumieć mocnej, żywej miłości, która łączyła jej ojca i córkę.

Sofia niepewnie zaszurała nogami. Zakasłała, znowu zaszurała. W końcu Dermot Dwyer przewrócił się na plecy. Otworzył oczy i zaraz je zmrużył, podnosząc rękę w obronnym geście, ponieważ wydawało mu się, że niewyraźna postać jest krasnoludkiem lub jakimś innym duszkiem.

- To ja, dziadku, Sofia! - szepnęła.

- Jezus, Maria, Józef! Dlaczego stoisz w nogach mojego łóżka, dziewczyno? Wydaje ci się, że jesteś moim aniołem stróżem, czy co?

- Twój anioł stróż już dawno uciekł, dziadku! - Roześmiała się cicho. - Przestraszyło go twoje chrapanie!

- Co tu robisz. Sofio Melody?

- Chcę z tobą porozmawiać - powiedziała i znowu niepewnie przestąpiła z nogi na nogę.

- Więc nie stój tam, dziewczyno. Nie wiesz, że na podłodze aż roi się od krokodyli, które tylko czekają, żeby obgryźć ci stopy? Włóż do łóżka!

Sofia weszła do łóżka dziadka, doskonale wiedząc, że jest to kolejna rzecz, która spotkałaby się z dezaprobatą matki. Anna powiedziała z oburzeniem, że ma już siedemnaście lat i nie powinna wchodzić do łóżka starego mężczyzny. Sofia oparła głowę o poduszkę. Leżymy obok siebie jak kamienne rzeźby na nagrobku, pomyślała. Poczuła ciepłą dłoń dziadka obok swojej i nagle ogarnęła ją fala wielkiej miłości i czułości do tego człowieka.

- O czym chciałaś ze mną porozmawiać. Sofio Melody? - za pytał.

- Dlaczego zawsze tak mnie nazywasz?

- Widzisz, twoja babka nazywała się Emer Melody. Kiedy twoja matka przyszła na świat, chciałem nadać jej imię Melody, ale Emer stanęła okoniem. Czasami potrafiła być potwornie uparta, więc nazwaliśmy naszą córeczkę Anną Melody. Anna Melody Dwyer...

- Tak jak Maria Elena Solanas.

- Właśnie. Tak jak Maria Elena Solanas, niech Bóg ma w opiece jej duszę...

- Ale ja mam na drugie imię Emer, nie Melody - powiedziała Sofia.

- Dla mnie zawsze będziesz Sofią Melody.

- Bardzo mi się to podoba.

- To dobrze, bo jesteś Sofią Melody, i koniec.

- Dziadku...

- Tak?

- Pamiętasz o tym pasku?

- Oczywiście.

- Mama mówi, że zaraz rzucę go w ką, ale to nieprawda. Będę o niego dbała, obiecuję.

- Twoja mama nie zawsze ma rację. Wiem, że będziesz o niego dbała.

- Więc mogę go dostać?

Dermot mocno ścisnął jej dłoń i zachichotał, aż zaświszczało mu w piersiach.

- Możesz go dostać, Sofio Melody.

Leżeli, wpatrując się w tańczące na suficie cienie.

Chłodny wiatr podnosił zasłony i lodowatymi palcami dotykał ich gorących twarzy.

- Dziadku...

- Co znowu?

- Na tym pasku zależy mi ze względów uczuciowych - powiedziała nieśmiało.

- Ze względów uczuciowych?

- Tak. Dlatego, że cię kocham, dziadku.

Sofia nigdy dotąd nie powiedziała nikomu, że go kocha. Dermot długo milczał, głęboko wzruszony. Dziewczyna zamrużyła nerwowo, zastanawiając się, jak dziadek zareaguje na to niespodziewane wyznanie.

- Ja też cię kocham, Sofio Melody - rzekł w końcu, trochę drżącym głosem. - Kocham cię z całego serca. A teraz idź spać.

Sofia była jedyną osobą, która potrafiła poruszyć sentymentalnym sercem starszego pana.

- Mogę tu zostać?

- Żeby tylko twoja matka się nie dowiedziała... - szepnął.

- Och, wstaję znacznie wcześniej niż ona - mruknęła Sofia.

Obudził ją dziwny chłód. Całym jej ciałem, od stóp do głów, wstrząsnął dreszcz, więc szybko przytuliła się do dziadka, żeby się rozgrzać. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to od niego wieje lodowatym chłodem. Był zimny i sztywny jak martwa ryba. Sofia usiadła na łóżku i zajrzała w jego ozdobioną zarostem twarz. Malował się na niej wyraz radości. Gdyby nie był taki zimny i nieruchomy, można by pomyśleć, że zaraz wybuchnie skrzypliwym śmiechem, ale jego twarz przypominała maskę, a szeroko otwarte oczy wpatrywały się w sufit.

Przycisnęła gorącą twarz do jego policzka. Grube łzy popłynęły jej z oczu, spadając na jego czoło, nos i brodę. Cała trzęsła się od płaczu. Nigdy nie czuła takiego bólu. Dziadek odszedł. Ale dokąd? Czy niebo naprawdę istniało? Czy dziadek był tam teraz razem z Emer Melody? Dlaczego umarł? Był zdrowy, energiczny i żywotny. Nie znała nikogo, kto miałby w sobie więcej życia. Zakotyła się bezradnie, trzymając go w ramionach. Mięśnie brzucha i szczęki bolały ją dotkliwie. Ogarnęło ją przerażenie, bo nie mogła przytomnie sobie jego ostatnich słów. Pasek, rozmawiali o pasku... Potem ona powiedziała, że go kocha... Zapłakała żałośnie na myśl o tamtej chwili. Zaczęła zawodzić i nie mogła się już powstrzymać. Jej zawodzenie obudziło domowników. Paco przez moment myślał, że słyszy skowyt jakiegoś zwierzęcia, które pod jego oknem zagryza krwiożerczy pies, lecz po chwili rozpoznał głos córki.

Kiedy rodzice oraz Rafael i Agustin wpadli do pokoju dziadka, spiesząc jej na pomoc, Sofia przypominała sobie ostatnie słowa Dermota. „Żeby tylko matka się nie dowiedziała”. Zawsze był jej współnikiem i zawsze stawał po jej stronie.

Musieli siłą wyrwać Dermota z ramion Sofii. Potem przywarła do ojca. Szok wywołany śmiercią dziadka był jak uderzenie lodowatej fali. Sofia drżała na całym ciele i nie mogła się uspokoić.

Anna nie starała się powstrzymać łez, które płynęły jej po twarzy. Usiadła na brzegu łóżka i smukłą dłonią odgarnęła włosy z czoła ojca. Zdjęła z szyi złoty krzyżyk i przycisnęła go do warg zmarłego.

- Niech Bóg czuwa nad twoją duszą, ojcze, i niech ją pobłogosławi - szepnęła. - Boże, przyjmij go do swego Królestwa...

Podniosła wzrok i powiedziała swojej rodzinie, że chce zostać sama z ojcem. Rafael i Agustin wyszli bez słowa, Paco pocałował córkę w czoło i łagodnie wyprowadził ją z pokoju.

Anna Melody Dwyer przytuliła zimną rękę ojca do policzka. Musnęła wargami jego pomarszczoną dłoń i rozpłakała się głośno. Płakała nie nad spoczywającym obok niej martwym ciałem, ale z tęsknoty za ojcem, którego pamiętała z Glengariff. Kiedyś jego serce należało do jej matki i do niej, dopiero później Sofia zajęła w nim jej miejsce, wyrzuciła ją, jakby miała do tego prawo... Prawdopodobnie Dermot nigdy nie wybaczył córce, że wiele lat temu wyjechała z Irlandii, aby wyjść za Paca, i nigdy nie wróciła. Nigdy, nawet na grób matki...

Stracił córkę i dlatego wpuścił do swego serca wnuczkę, która miała w sobie wszystko, co kochał w jednej i w drugiej. Anna widziała, jak to się stało. Najpierw Paco, potem ojciec... Sofia ukradła ich obu. Anna nigdy nie zadała sobie pytania, dlaczego Sofii się to udało, ponieważ bała się odpowiedzi. Bała się przyznać, że Paco być może miał rację. Może rzeczywiście to ona się zmieniła... Chyba tak, bo inaczej jak mogłaby odsunąć od siebie dwóch mężczyzn, których kochała nad życie?

Ale Anna nawet teraz nie miała ochoty zastanawiać się nad tym, co się z nią stało. Wpatrywała się w twarz kłótliwego starego człowieka i szukała w niej ojca, którego straciła dawno temu. Było już za późno, by go odnaleźć. Za późno... Kiedyś matka po wiedziała jej, że "za późno" to najsmutniejsze dwa słowa, jakie można znaleźć w każdym języku. Teraz Anna rozumiała, co Emer miała na myśli. Gdyby ojciec ożył na chwilę, mogłaby powiedzieć mu, jak bardzo go kocha. Mimo upływu lat, który osłabił łączące ich więzi, mimo życia i jego problemów, które ich rozdzieliły, naprawdę kochała go całym sercem. A jednak nigdy mu o tym nie powiedziała... Wydawał jej się kłopotliwy jak źle wychowany, stary pies, za którego stale musiała wszystkich przeproszać. Teraz wiedziała, że po prostu się go wstydziła. Tymczasem Dermot był rozdartym cierpieniem człowiekiem, który wolał pogрузić się w szaleństwo, niż spojrzeć w twarz rzeczywistości pozbawionej gorącej miłości jego żony. Szaleństwo było lekiem, który miał znieczulić go na rozpacz i ból. Gdyby tylko po święciła mu trochę czasu i spróbowała zrozumieć, co czuł... Gdyby postarała się zrozumieć jego cierpienie...

- O Boże, daj mi powiedzieć mu, że go Kocham! - wybuchnęła, mocno zaciskając powieki. - Pozwól, żeby się o tym dowiedział!

Pragnąc pokazać ojcu, jak bardzo go kochała, Anna zdecydowała się pochować go na równinie, wśród kucyków i ptaków, pod drzewem eukaliptusowym i wysoką dziką trawą. Antonio i stajenni pomogli wykopać grób, a ojciec Julio, jękając się, wygłosił parę modlitw oraz wzruszające kazanie, stojąc na tle ponurego zimowego nieba. Jego jękanie się zawsze bawiło Dermota, więc Anna była zadowolona.

Cała rodzina Solanas przysłała na pogrzeb, aby okazać szacunek zmarłemu. Z pochylonymi głowami mamrotali modlitwy i przyglądali się, jak trumna powoli zjeżdża na pasach w głąb ziemi. Gdy mogiła została już usypana, chmury rozstały się nagle i wystrzelił spomiędzy nich jasny promień słońca, zalewając pampę dziwnie ciepłym światłem. Wszyscy ze zdumieniem i zachwytem podnieśli wzrok. Anna przeżegnała się i podziękowała Bogu, że otworzył przed jej ojcem bramy Niebios. Sofia z ciężkim sercem popatrzyła na słońce i pomyślała, że cały świat stał się szary i ponury. Bez dziadka Dwyera nawet promienie słońca wydawały się bledsze i chłodniejsze niż zwykle.

Rozdział trzynasty

Uniwersytet Brown, 1973 rok

Santi wsunął rękę pod sukienkę Georgii, aby przekonać się, czy nosi pończochy. Koniuszkami palców wyczuł nierówności koronki, a potem gładką, jedwabistą skórę uda. Serce zabiło mu mocniej. Przycisnął wargi do jej warg, smakując słodko-ostrą miętową gumę do żucia, którą poczęstował ją, kiedy wychodzili z dyskoteki. Był pod wrażeniem bezpośredniości Georgii. Nie miała w sobie ani odrobiny zahamowań, typowych dla dziewcząt z Argentyny, i sporo wulgarności, która wydała mu się fascynująca.

Jej pocałunek był gorący i zachęcający. Najwyraźniej pragnęła jego silnego młodego ciała. Orała skórę Santiiego długimi, czerwonymi paznokciami i zlizywała z niej słoną wilgoć, pachnącą potem i jego własnym zapachem. Sama Georgia roztaczała aromat drogich perfum, a kiedy Santi lizał jej skórę, czuł smak pudru. Jej brzuch był miękki i zaokrąglony. Próbował rozpiąć pas do podwiązek, lecz chłodno odsunęła jego rękę, niskim, słodkim jak czekolada głosem powiedziała, że woli kochać się w pończochach, i szybko zsunęła majtki.

Santi rozsunał jej nogi, które ona natychmiast rozłożyła jeszcze szerzej, i uklął między nimi, gładząc biodra i uda. Georgia była blondynką, naturalną blondynką, jak zauważył, patrząc na równy trójkąt włosów. Patrzyła na niego śmiało, bez śladu za wstydu, ciesząc się jego podziwem. W ciągu następnych dwóch godzin pokazała mu, jak należy pieścić kobietę, powoli i zmysłowo, i dała mu więcej przyjemności, niż wydawało się to możliwe. Do drugiej nad ranem Santi przeżył orgazm wiele razy, co dowodziło ponad wszelką wątpliwość, że Georgia jest fantastyczną kochanką, a ona sama szczytowała z łatwością typową dla kobiety doskonale znającej potrzeby własnego ciała.

- Jesteś dziewczyną nie z tej ziemi - powiedział Santi. - Chcę trzymać cię w ramionach przez całą noc, żeby mieć pewność, że nie znikniesz o świcie.

Roześmiała się, zapaliła papierosa i przyrzekła, że przez cały weekend będą się kochać, z krótkimi przerwami jedynie na sen i posiłki.

- Długo, powoli i namiętnie - oświadczyła. Powiedziała mu, że uwielbia jego akcent, i nalegała, by mówił do niej po hiszpańsku.- Mów mi, że mnie pragniesz, że mnie kochasz... Poudawajmy trochę... Santi spełniał wszystkie jej zachcianki.

- Te quiero, te necesito, te adoro - powtarzał.

Kiedy wreszcie się zmęczyli, a ciała bolały ich z nadmiaru rozkoszy, zapadli w sen. Światła przejeżdżających od czasu do czasu samochodów oblewały ich złocistym blaskiem, wydobywając z mroku fragmenty nagich, splecionych ze sobą ciał.

Santi śnił.

Był na wykładzie profesora Schwartzbacha z historii starożytnej i nagle zobaczył Sofię. Jej długie, ciemne włosy splecione były w warkocz i związane wstążką z czerwonego jedwabiu. Miała na sobie dzinsy i fioletową bluzkę koszulową, która podkreślała jej cudowną opaleniznę. Była piękna, ciemna i połyskliwa. Sofia odwróciła się i mrugnęła do niego, a jej brązowe oczy rozjaśnił kapryśny uśmiech. Nagle przeistoczyła się w Georgię. Siedziała naga na ławce i patrzyła na niego spod lekko zmrużonych powiek. Santi czuł się zażenowany tą nagością, ale jej wcale to nie przeszkadzało. Wzrok miała coraz bardziej senny i rozleniwiony. Santi zapragnął, aby wróciła, lecz jej już nie było.

Kiedy się ocknął, Georgia leżała między jego udami. Spojrzał na nią uważnie, aby się upewnić, że nie jest Sofią. Rozluźnił się, gdy podniosła na niego pełne pożądania niebieskie oczy.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha, skarbie - roześmiała się.

- Bo zobaczyłem - odparł i pozwolił, aby zmysłowy dotyk jej języka pomógł mu uciec do magicznej krainy spełnienia.

Pierwsze sześć miesięcy dwuletniego pobytu za granicą Santi spędził na podróżowaniu po całym świecie w towarzystwie przy jaciela, Joaquina Baranby. Najpierw wyruszyli do Tajlandii, odwiedzili tam zakazaną dzielnicę stolicy w poszukiwaniu rozrywki i dziwek. Santi czuł obrzydzenie i fascynację, widząc, co kobiety potrafią robić ze swoimi ciałami - z całą pewnością były to rzeczy, jakie nie przyśniłyby mu się nawet w najbardziej ociekających seksem snach. Palili konopie indyjskie na wyżynie Cameron w Malezji i obserwowali zachód słońca, który powlekał wzgórze złotem. Potem pojechali do Chin, gdzie przemierzyli cały Chiński Mur, zwiedzili Salę Najwyższej Harmonii w Zakazanym Mieście i z wielkim obrzydzeniem odkryli, że Chińczycy naprawdę jadają psie mięso. Wracali przez Indie. Tam Joaquín wymiotował tuż pod Tadź Mahal, a następne trzy dni spędził w łóżku,

odwodniony i rozgorączkowany z powodu ciężkiego zatrucia. Obaj jeździli na słońcach w Indiach, na wielbłądach w Afryce i na pięknych arabskich koniach w Hiszpanii.

Z każdego kraju Santi wysyłał pocztówki do rodziny. Chiquita narzekała, że nie może się z nim skontaktować, ponieważ przez pół roku co kilka dni zmieniał miejsce pobytu i nigdy nie potrafił powiedzieć, gdzie zatrzyma się następnym razem. Wszyscy poczuli ulgę, kiedy pod koniec zimy otrzymali wiadomość, że Santi jest już na Rhode Island, szuka mieszkania i zapisuje się na zajęcia w nowym semestrze, między innymi z zarządzania i historii starożytnej.

Przez pierwsze dni na uniwersytecie Santi mieszkał w hotelu. Na wykładzie inauguracyjnym poznał dwóch przyjaźnie nastawionych do świata Amerykanów z Bostonu, którzy poszukiwali kogoś do wspólnego mieszkania na Bowen Street. Pod koniec wykładu, wygłaszanego przez starego profesora o małych ustach, ukrytych pod gęstą siwą brodą, i słabym głosem, dowiedzieli się o sobie wszystkiego, co chcieli wiedzieć, i zostali przyjaciółmi.

Frank Stanford był niski i krępy, o szerokich ramionach i wyraźnie zarysowanych mięśniach. Należał do tych młodych ludzi, którzy usiłują uwolnić się od kompleksu marnego wzrostu, regularnie ćwicząc na siłowni oraz grając w tenisa, golfa i polo. Celem tych wszystkich zabiegów miało być zdobycie podziwu i popularności u płci przeciwnej. Frank bardzo się ucieszył z poznania Santiiego, nie tylko dlatego, że nowy kolega pochodził z Argentyny, co samo w sobie było dość interesujące, ale także dlatego, że Santi grał w polo, a znawcy tego sportu doskonale wiedzieli, że nikt nie gra w polo lepiej od Argentyńczyków.

Frank i jego przyjaciel Stanley Norman, który nad aktywność fizyczną przekładał palenie marihuany oraz brzdąkanie na gitarze, zaprosili Santiiego na Bowen Street, aby pokazać mu dom. Santi był zachwycony. Zobaczył typowy dla Wschodniego Wybrzeża budynek o oknach z podwiązywanymi zasłonami, z pięknym gankiem, stojący przy wysadzonej drzewami ulicy, gdzie przed prawie każdym domem zaparkowane były drogie, eleganckie samochody. Świeżo odnowiony dom Franka i Stanleya urządzony był meblami z sosnowego drewna, obitymi tkaniną w granatowo-białe pasy.

- Moja mama uparła się, że sama zajmie się dekoracją domu - powiedział Frank niedbałym tonem. - Jest trochę nadopiekuńcza, ale czasami nieźle na tym wychodzę. Spójrzcie tylko na ten dom - jego zdjęcia powinny znaleźć się w jakimś modnym czasopiśmie. Sądzę, że należą do najlepiej zaprojektowanych przy tej ulicy.

- Nie ustaliliśmy żadnych zasad, dotyczących wspólnego mieszkania - rzekł Stanley, który mówił z charakterystycznym bostońskim akcentem, odrobinę rozwlekając samogłoski. - Nie mamy nic przeciwko zapraszaniu dziewczyn.

- Tak jest - przytaknął Frank z entuzjazmem i porozumiewawczo mrugnął do Santiiego. - Mamy tylko jedną prośbę - jeżeli spotkasz jakiegoś przyjemnego kociaka, nakłoń ją, żeby przyprowadziła do nas swoje siostry...

- Wyobrażam sobie, że nie brakuje tu przyjemnych kociaków - rzekł Santi.

- Z pewnością - przytaknął Stanley. - W każdym razie ty, chłopie, z twoim południowoamerykańskim akcentem, na pewno nie będziesz miał żadnych problemów z podrywem. Dziewczyny będą lecieć na ciebie jak ćmy do światła.

Nie mylił się.

Santi rzeczywiście stał się obiektem zainteresowania najładniejszych dziewcząt na uniwersytecie, ale szybko spostrzegł, że zależy im nie na małżeństwie czy na trwałym związku, ale na spędzonej w jego łóżku nocy. W Argentynie te sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Mężczyźni nie zmieniali tak często partnerek, ponieważ kobiety żądały od nich szacunku, podziwu i małżeństwa. Na uniwersytecie Santi poczynił sobie jak fachowy zbieracz na polu truskawek - niektóre wkładał do koszyka i zostawiał na później, inne zjadał od razu. We wrześniu i październiku spędził kilka weekendów z Frankiem i jego rodziną w Newport, grając w tenisa i polo. Szybko awansował na bohatera w oczach młodszych braci Franka, którzy nigdy dotąd nie widzieli prawdziwego argentyńskiego gracza w polo, oraz w oczach Josephine Sianford, matki Franka, która co prawda znała wielu grających w polo Argentyńczyków, ale żaden z nich nie był tak wybitnie przystojny.

- A więc „Santi” to skrót od „Santiago”, czy tak? - odezwała się Josephine, wręczając Santiemu szklanekę coli i ocierając twarz białym ręcznikiem.

Oboje właśnie skończyli trzeciego seta w deblu przeciwko Frankowi i jego młodszej siostrze, Maddy. Santi skinął głową.

- Frank mówił mi, że będziesz tu studiował tylko przez rok - ciągnęła pani domu.

- Tak, kończę zajęcia w maju - odparł, siadając na jednym z ogrodowych krzeseł i wyciągając długie, mocno opalone nogi.

Białe szorty, które miał na sobie, podkreślały głęboki, miodowy odcień jego skóry i Josephine musiała się bardzo starać, aby nie przyglądać mu się zbyt natrętnym wzrokiem.

- Później wracasz do Argentyny? - zagadnęła, usiłując okazać chłopcu serdeczne, matczyne zainteresowanie.

Usiadła naprzeciwko niego i smukłymi palcami wygładziła na udach krótką białą spódniczkę.

- Nie, nie od razu. Chciałbym zwiedzić jeszcze parę krajów i wrócić do domu dopiero pod koniec roku.

- Och, to wspaniale. Chcesz skończyć studia w Buenos Aires, prawda? - westchnęła. - Ale jednak nie do końca rozumiem, dla czego nie zdecydowałeś się zrobić dyplomu tutaj...

- Nie chcę być tak długo z dala od kraju - powiedział poważnie. - Tęsknię za Argentyną.

- Rozumiem. - Uśmiechnęła się miło. - Zostawiłeś w domu dziewczynę? Założę się, że tak... - Roześmiała się i mrugnęła do niego zalotnie.

- Nie, nie zostawiłem dziewczyny - odrzekł, podnosząc szklankę do ust i wychylając ją chciwie.

- Zaskakujesz mnie, Santi... Taki przystojny chłopiec jak ty... Cóż, tym lepiej dla moich młodych krajanek...

- Santi jest prawdziwym idolem dziewczyn z naszego roku, mam - zażartował Frank,

- Nie mam pojęcia, dlaczego one wszystkie tak lecą na Latynosów. Ja dostaję tylko okruchy z pańskiego stołu...

- Bzdury, Frank - zdenerwował się Santi. - Proszę mu nie wierzyć, pani Stanford!

- Mów do mnie po imieniu, Santi - poprosiła, obdarzając go uroczym uśmiechem. - Pani Stanford pachnie mi dyrektorką szkoły albo kimś w tym rodzaju, a taki wizerunek wcale mi się nie podoba. - Josephine na chwilę ukryła zarumienioną twarz w ręczniku. - Gdzie jest Maddy? Maddy!

- Tu jestem, mam, robię sobie drinka. Może przygotować coś dla ciebie, Santi?

- Jeszcze jedną szklankę coli, jeżeli możesz. Bardzo dziękuję.

Ciemnowłosa Maddy odziedziczyła rysy i sylwetkę niezbyt przystojnego ojca. Los nie dał jej gęstych kasztanowych włosów matki ani jej brzoskwińowej cery i ślicznej, pełnej kociego uroku twarzy. Maddy miała duży nos, małe oczy o ciężkich powiekach i oliwkową, usianą ropnymi wypryskami skórę nastolatki żywiącej się hamburgerami, frytkami, pizzą i słodyczami. Josephine cieszyłaby się, gdyby Santi zabrał jej córkę do kina lub do restauracji, była jednak mądrą kobietą i wiedziała, że Maddy nie może wydawać się atrakcyjna tak przystojnemu młodemu mężczyźnie. Och, gdybym tylko była o dwadzieścia lat młodsza, po myślała. Natychmiast zaprowadziłabym go na górę i pozbawiła tego nadmiaru energii.

Santi obserwował Josephine spod zmrużonych powiek i szczerze żałował, że ta piękna kobieta jest matką jego przyjaciela. Nic go nie obchodziło, ile ma lat. Czuł, że by łąby fantastyczna w łóżku.

- Santi, może przedstawiłbyś Franka jakiejś miłej dziewczynie z Argentyny? - Josephine uśmiechnęła się i założyła jedną długą nogę na drugą. - Masz siostry?

- Mam jedną siostrę, ale nie jest w typie Franka. Nie jest wybitnie inteligentna.

- Więc może kuzynki? - Zachichotała. - Bardzo chciałabym, żebyś w jakiś sposób wszedł do naszej rodziny...

- Mam kuzynkę, nazywa się Sofia. Ona byłaby znacznie odpowiedniejsza.

- Jaka jest Sofia?

- Energiczna, trudna, uparta, rozpuszczona, ale bardzo piękna. I gra w polo lepiej od Franka.

- Taką dziewczynę chciałbym poznać - oświadczył Frank. - Jest wysoka?

- Mniej więcej twojego wzrostu. Ma wielką charyzmę, urok i zawsze dostaje to, na czym jej zależy. Miałbyś z nią pełne ręce roboty, to nie ulega wątpliwości - powiedział z dumą, przywołując z pamięci obraz zbuntowanej twarzy Sofii.

- To dopiero laska! - Frank się rozochocił. - Kiedy mógłbym ją poznać?

- Musiałbyś pojechać do Argentyny. Sofia chodzi jeszcze do szkoły.

- Masz jej zdjęcie?

- Mam, ale w domu.

- Może naprawdę warto wybrać się do Argentyny! Czuję, że spodobałaby mi się twoja kuzynka... Nie pamiętam, jak ma na imię?

- Sofia.

- Sofia... - powtórzył Frank. - Ładnie... Czy jest łatwa?

- Łatwa? - Santi nie rozumiał.

- Poszłaby ze mną do łóżka?

- Frank, kochanie, nie przy starej matce! - skarciła go Josephine, machając dłonią, jakby chciała pozbyć się brzydkiego zapachu wulgarnych słów.

- Tak czy nie? - Frank nie ustępował, ignorując skrupuły matki.

- Nie - powiedział Santi.

Czuł się bardzo nieswojo, rozmawiając w ten sposób o Sofii.

- Założę się, że przy odrobinie perswazji w końcu by się zgodziła - Frank się roześmiał. - Wy, Latynosi, macie mnóstwo uroku osobistego, natomiast nam nie brak uporu.

Santiemu nie podobał się błysk w oczach przyjaciela. Żałował, że w ogóle wspomniał o Sofii.

- Szczerze mówiąc, znam dziewczynę, która o wiele lepiej by do ciebie pasowała - zauważył z nadzieją, że uda mu się odwrócić uwagę Franka od Sofii.

- O, nie! Nie wyobrażaj sobie, że tak łatwo zrezygnuję z twojej pięknej kuzynki!

Kiedy Maddy wróciła z następną szklanką coli, Santi bez entuzjazmu pociągnął mały łyk. Nagle odechciało mu się pić. Zaczął się zastanawiać, jak odwieść Franka od pomysłu podróży do Argentyny. Wiedział, że impulsywny chłopak rzeczywiście mógłby polecieć do Buenos Aires, by poznać Sofię - był wystarczająco bogaty, żeby pozwolić sobie na taką wyprawę, i dość śmiały, by podjąć ryzyko. Santi wcale nie miał ochoty sprawdzać, na co stać Franka.

Po powrocie na Bowen Street znalazł w skrzynce kolejny list od Sofii. Zgodnie z obietnicą pisała do niego co tydzień.

- Od kogo ten list? - zapytał z zaciekawieniem Stanley, cicho grając na gitarze utwór Boba Dylana. - Dostajesz więcej korespondencji niż poczta...

- Od kuzynki.

- Chyba nie od mojej Sofii? - Z kuchni niespodziewanie wynurzył się Frank z talerzem pełnym obwarzanków i plastrów wędzonego łososia.

- Myślałem, że jeszcze nie wróciłeś - zdziwił się Santi.

- Wróciłem. Masz ochotę na łososia? Jest pyszny, zwłaszcza z obwarzankiem...

- Nie, dziękuję. Idę na górę. Mama pisuje zwykle bardzo długie listy.

- Mówiłeś przecież, że to od kuzynki - rzucił Frank.

- Naprawdę? To list od mamy, widać się przejęczyłem.

Santi nie miał pojęcia, dlaczego kłamie. Nie wątpił przecież, że Frank szybko zapomni o Sofii, mając pod ręką dziewczyny z uniwersytetu.

- Hej, Jonathan Sackville robi dziś imprezę - przypomniał sobie Frank. - Macie ochotę pójść?

- Jasne - odparł Stanley.

- Pewnie - odpowiedział Santi, wychodząc do holu.

W zaciszu własnego pokoju pośpiesznie otworzył list.

Kochany ulubiony kuzynie Santi!

Dziękuję za Twój ostatni list, chociaż trudno nie zauważyć, że był krótszy od poprzedniego. W ogóle listy od Ciebie stają się coraz krótsze i bardzo mi się to nie podoba. Zasluguję chyba na więcej. Sama pisuję przecież do Ciebie często i dużo, a z nas dwojga to ja jestem bardziej zajęta.

Pamiętaj, że nie masz takiej matki jak moja i nikt nie zmusza Cię, żebyś się bez przerwy uczył. Jestem zdrowa i chyba wszystko u mnie w porządku. Wczoraj obchodziliśmy urodziny taty i byliśmy na kolacji u Twoich rodziców. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak jest gorąco. W zeszłym tygodniu Agustin mnie uderzył. Pokłóciliśmy się o coś, oczywiście z jego winy, ale zgadnij, kto został ukarany?

Z zemsty wrzuciłam wszystkie jego ubrania do basenu, razem z ukochanymi skórzanymi oficerkami i sprzętem do gry w polo. Pękłbyś ze śmiechu, gdybyś zobaczył jego minę. Musiałam ukryć się u Marii, bo naprawdę się bałam, że mnie zabije. Tęsknisz za mną, Santi?

Och, muszę kończyć, idzie tu mama i wygląda na strasznie wściekłą. Jak myślisz, co tym razem zbroiłam? Zgadnij! Potrzymam Cię trochę w napięciu, ale oczywiście w następnym liście wszystko Ci opowiem, chyba że nie napiszesz w ciągu najbliższego tygodnia.

Całuję Cię bardzo mocno,

Sofia.

Santi zaśmiał się cicho i przeczytał list jeszcze raz. Kiedy odkładał go do szuflady z innymi listami od Sofii, rodziców i Marii, nagle poczuł lekkie ukłucie tęsknoty. Na szczęście trwało ono sekundę i zaraz jego myśli skupiły się na przyjęciu u Jonathana Sackvillea.

Sackville mieszkał niezbyt daleko, przy Hope Street. Cały uniwersytet znał go jako organizatora najlepszych imprez z udziałem najbardziej atrakcyjnych dziewcząt. Santi, który czuł się dziwnie przygnębiony, nie miał wielkiej ochoty na tę zabawę, ale wolał nie zostawać w domu i nie rozmyślać o pozostawionych w Argentynie bliskich. Wziął prysznic, ubrał się i zszedł na dół, żeby poczekać na przyjaciół.

Gdy Santi, Frank i Stanley dotarli na miejsce, Jonathan stał w progu, obejmując dwie rude dziewczyny o głupiutkich uśmiechach, i popijał wódkę prosto z butelki.

- Witajcie, przyjaciele! - rozczulił się. - Wchodźcie, wchodźcie, impreza dopiero się rozkręca.

W ogromnym domu rozbrzmiewała dudniąca muzyka i tupot nóg około stu pięćdziesięciu osób. Weszli do korytarza i cudem przecisnęli się przez gęsty tłum, zagradzający im drogę do bufetu. Chłopcy się popychali, wpadali na siebie i przekrzykiwali wydobywający się z głośników łomot.

- Hej, Joey! - zawołał Frank. - Santi, znasz Joey'a, prawda?

- Cześć, Joey - powiedział Santi.

- Jak leci, Joe'y? - zapytał Frank. - Gdzie piękna Caroline?

Caroline była siostrą Joeya.

- Zanurkuj tam, jeżeli masz dość odwagi. Frank. Caroline jest gdzieś w środku.

- Wchodzę, chłopaki! Nie czekajcie na mnie!

Santi patrzył, jak Frank znika w rozkołysanej masie spoconych ciał.

- Głowa mnie boli od tego hałasu - mruknął Stanley, który sprawiał wrażenie naćpanego, nawet gdy był zupełnie trzeźwy. - Wracam do domu, do Dylana i Bowiego. Życie nie powinno przypominać jakiegoś pieprzonego diabelskiego młyna. Dla mnie jest tu o wiele za głośno. Wychodzisz ze mną, stary?

- Tak, chodźmy stąd - rzekł Santi, żałując, że przyszedł.

Po co mi to było, pomyślał. Kompletna strata czasu... Na zewnątrz głęboko odetchnął chłodnym październikowym powietrzem. Noc była pogodna i gwiazdzista. Nie wiedział dla czego, ale nagle przypomniały mu się wszystkie upalne, duszne noce, podczas których obserwował niebo, siedząc pod drzewem ambu. Do tego dnia ani razu nie tęsknił za domem, więc skąd teraz ta nostalgia...

- Wy też wychodzicie? - usłyszał niski, trochę zachrypnięty głos.

Obaj odwrócili się szybko.

- Tak, wychodzimy - powiedział Stanley, z nieukrywanym podziwem mierząc dziewczynę wzrokiem. - Idziesz z nami?

- Nie - odparła i uśmiechnęła się do Santiago.

- Znamy się? - zapytał, wpatrując się w jej bladą twarz, wyraźnie widoczną w świetle ulicznej latarni.

- Ja znam ciebie - odrzekła. - Widziałam cię kilka razy. Jesteś tu nowy.

- To prawda - przytaknął.

Zastanawiał się, czego od niego chciała. Była otulona w krótki czerwony płaszcz, odsłaniający długie, smukłe nogi w błyszczących skórzanych butach do kolan. Kuliła się z zimna i przytupywała.

- Ta impreza jest dla mnie za hałaśliwa. Mam ochotę schronić się w jakimś cichym, spokojnym i ciepłym miejscu.

- To znaczy? - odezwał się Santi.

- Zamierzałam wrócić do domu, ale nie chcę być sama - wyznała z rozbrajającą szczerością. - Dotrzymasz mi towarzystwa?

- Czuję, że mnie to zaproszenie nie obejmuje - westchnął Stanley. - Do zobaczenia, Santi... - dorzucił i wolnym krokiem oddalił się w górę ulicy.

- Jak się nazywasz? - zapytał Santi.

- Georgia Miller, jestem na drugim roku. Widziałam cię w kampusie. Przyjechałeś z Argentyny, prawda?

- Tak.

- Tęsknisz za domem?

- Trochę - odparł szczerze.

- Tak mi się wydawało. Wyglądałeś tam na trochę zagubionego. - Wsunęła dłoń pod jego ramię. - Chodź ze mną, nie będziesz żałował. Pomogę ci zapomnieć o Argentynie.

- To miła propozycja. Dziękuję.

- Nie dziękuj mi, Santi. Ty także robisz coś dla mnie. Chciałam pójść z tobą do łóżka od chwili, gdy pierwszy raz zobaczyłam cię w kampusie...

Dopiero w ciepłym świetle domu Georgii Santi mógł się jej dokładnie przyjrzeć. Nie była piękna. Miała bardzo pociągłą, wręcz długą twarz i za szeroko rozstawione niebieskie oczy o ostrym spojrzeniu, lecz mimo tych wad była bardzo seksowną dziewczyną. Jej wargi były asymetryczne, ale zmysłowe, chociaż uśmiechała się tylko połową ust. Na ramiona spływała jej masa gęstych, jasnych loków, które podskakiwały jak sprężynki, kiedy się poruszała. Gdy zdjęła płaszcz, Santi z trudem zapanował nad podnieceniem, jakie ogarnęło go na widok jej pełnych, obfitych piersi, wąskiej talii i długich, wyjątkowo zgrabnych nóg. Georgia miała ciało gwiazdy filmów porno i doskonale o tym wiedziała.

- Moja figura ciągle wpędza mnie w kłopoty - westchnęła, czując na sobie jego gorące spojrzenie. - Czego się napijesz?

- Whisky.

- Jest aż tak źle? - zapytała.

- Co masz na myśli?

- Aż tak tęsknisz?

- Nie, wcale nie tak bardzo. W sumie całkiem nieźle sobie radzę.

- Ale jednak tęsknota dopada cię czasami, zwłaszcza wtedy, gdy się tego nie spodziewasz?

- Tak.

- Wystarczy list z domu, czasami zapach albo kilka dźwięków znajomej melodii, prawda? - powiedziała ze smutkiem.

- Skąd wiesz?

- Ja też pochodzę z Południa, Santi.

- Z Południa? - powtórzył ze zdziwieniem.

- Z Georgii.

- Ach, tak... Przepraszam, nie zorientowałem się. Obawiam się, że w moich uszach twój akcent niczym nie różni się od akcentu innych Amerykanów...

- Nie szkodzi, przystojniaku. Twój akcent nie przypomina żadnego innego i jest najprzyjemniejszy ze wszystkich, jakie słyszałam, możesz więc mówić i mówić, a ja będę słuchała i omdlewała z rozkoszy. - Georgia zaśmiała się gardłowo. - Chciałam tylko, byś wiedział, że mniej więcej rozumiem, co czujesz. Przy mnie nie musisz udawać, bo ja też tęsknię za domem. Proszę, twoja whisky. Rozpalimy ogień w kominku, włączymy jakąś miłą muzykę i oboje zapomnimy, co nam dolega, dobrze?

- Dobrze - zgodził się, patrząc, jak Georgia schyla się, żeby poprawić drewno w kominku.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Spódniczka dziewczyny podjechała wyżej, ukazując koronkowy brzeg pończoch i fragment czarnych majteczek.

- Dajmy sobie spokój z ogniem, Georgio z Georgii - powiedział nagle i jednym łykiem opróżnił szklaneczkę. - Chodźmy na górę. Istnieje tylko jeden sposób, aby zapomnieć o domu - musimy zatracić się w sobie.

- Dobrze - rzekła. - Ja też nie mogę się już doczekać, żeby to zrobić...

Wzięła go za rękę i zaprowadziła do sypialni.

Rozdział czternasty

Santa Catalina, grudzień 1973 roku

Chiquita prawie nie spała. Noc była wilgotna i duszna, a ona przewracała się z boku na bok, słuchając rytmicznego pochrapywania Miguela, który leżał obok niej, zwalisty i mocno owłosionego. Zadawała sobie sprawę, że przyczyną jej bezsenności nie jest ani duchota, ani koszmarny sen, który koło północy obudził małego Panchita, każąc mu domagać się obecności matki. Powodem dręczącego ją niepokoju były myśli dotyczące jej syna, Santiego, który następnego dnia miał wrócić do domu po dwuletniej nieobecności.

Santi często pisywał z Ameryki. Chiquita z podnieceniem czekała na jego cotygodniowe listy i czytała je z mieszkanką radości i smutku, ponieważ bardzo za nim tęskniła. Od czasu wyjazdu widziała go tylko raz, podczas przerwy semestralnej w marcu. Santi z dumą oprowadził wtedy rodziców po kampusie, pokazał im dom na Bowen Street, w którym mieszkał z dwoma przyjaciółmi, i na kilka dni pojechał z nimi na wybrzeże, do Newport, gdzie zaprosili ich czarujący rodzice Franka Stanforda. Miguel był zachwycony, ponieważ także i w tamten weekend udało mu się zagrać w polo. Santi miał teraz dziewiętnaście lat, właściwie prawie dwadzieścia. Był już dorosły i tylko chwilami

przypominał chłopca, którego Chiquita ze łzami pożegnała w tamten gorący wieczór w marcu dwa lata temu.

Chiquita i Anna często wieczorami siadywały razem na tarasie, wpatrywały się w dal i rozmawiały o swoich dzieciach. Anna bardzo się martwiła złym zachowaniem córki. Miała nadzieję, że z czasem Sofia się uspokoi, spoważnieje, lecz ostatnio nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jest coraz gorzej. Dziewczyna stała się beczelna i zbuntowana, niegrzecznie reagowała na krytyczne uwagi, a w napadach złości obrzucała nawet matkę wyzwiskami.

Sofia skończyła siedemnaście lat i była bardziej niezależna i harda niż kiedykolwiek przedtem. W szkole spadła na ostatnie miejsce w klasie i regularnie oblewała testy ze wszystkich przedmiotów z wyjątkiem kreatywnego pisania, ponieważ pisząc, znajdowała schronienie w świecie wyobraźni. Nauczyciele skarżyli się na jej brak koncentracji i celowe próby zakłócania lekcji. Nikt nie wiedział, jak poradzić sobie z rozhukaną dziewczyną. W czasie spędzanych w Santa Catalina weekendów o świcie siodłała konia i wracała dopiero późnym wieczorem, nigdy nie mówiąc matce, dokąd jedzie.

Panujące w domu napięcie jeszcze się nasiliło, kiedy Anna się dowiedziała, że Sofia przekupiła szofera, aby zamiast do szkoły zawiózł ją do San Telmo, najstarszej dzielnicy Buenos Aires, gdzie przez prawie tydzień brała lekcje tanga u starego hiszpańskiego marynarza imieniem Jesus. Nie odkryłaby sekretu córki, gdyby wychowawczynie klasy Sofii nie zadzwoniła do niej, życząc dziewczynie szybkiego powrotu do zdrowia po zapaleniu węzłów chłonnych.

Gdy Anna oskarżyła Sofię o oszustwo i wagarowanie, ta oświadczyła spokojnie, że wyrosła już ze szkoły i postanowiła zostać tancerką. Anna wpadła we wściekłość, lecz Sofia już dawno przyzwyczaiła się do wybuchów gniewu matki i teraz nie robiły na niej żadnego wrażenia. Anna zrozumiała, że musi znaleźć jakiś inny sposób na podporządkowanie córki swojej woli. Sofia była piękna i czarująca, częściowo właśnie dzięki temu wszystko uchodziło jej na sucho. Chiquita próbowała łagodnie wytłumaczyć szwagierce, że Sofia jest po prostu bardzo do niej podobna i to podobieństwo charakterów wywołuje stałe konflikty między nimi, ale Anna z rozpaczą potrząsała głową i nie chciała słuchać głosu rozsądku.

- Sofia ma w sobie za dużo uroku, aby mogło jej to wyjść na dobre - powtarzała z uporem. - Każdego potrafi owinąć sobie wokół palca, a zwłaszcza ojca. Paco bardzo rzadko staje po mojej stronie w sporach z Sofią i w rezultacie czuję się jak potwór, bo jestem jedyną osobą, która ją karci. Muszę uważać, żeby w końcu mnie nie znienawidziła.

- Może gdybyś dała jej więcej wolności, popuściła trochę cugli, nie gryzłaby tak mocno wędzidła - podsunęła myśl Chiquita.

- Och, Chiquito, mówisz zupełnie jak mój ojciec! - Anna westchnęła ciężko.

Co za rodzina, pomyślała na wpół z desperacją, na wpół z rozbawieniem. Czy oni nawet w normalnych rozmowach muszą wszystko sprowadzać do „końskiej” perspektywy?

- Twój ojciec był bardzo mądry.

- Czasami, chociaż najczęściej bywał po prostu irytujący.

- Brakuje ci go, prawda? - zapytała nieśmiało Chiquita. Nigdy dotąd nie rozmawiała ze szwagierką o jej rodzicach. Anna bardzo niechętnie wspominała swoje dzieciństwo i Irlandię.

- W pewien sposób tak. Tęsknię jednak nie za tym ojcem, który przyjechał do Argentyny, ale za tym, który kiedyś bawił się ze mną w Glengariff. Potem nasz wzajemny stosunek zmienił się, może zresztą to ja się zmieniłam, sama już nie wiem...

Spuściła oczy. Chiquita spojrzała na jej twarz, oświetloną ciepłym blaskiem wieczoru.

Anna nadal była niewiarygodnie piękna, chociaż w ciągu lat spędzonych w Argentynie stała się dziwnie zgorzkniała.

- Mnie też go brakuje - wyznała Chiquita.

- To, że Sofia jest taka rozpuszczona, jest w dużej mierze jego winą. Ja nigdy jej tak nie pobażałam. Ani Paco, ani mój ojciec nie dostrzegali niczego poza jej wdziękiem.

- Typowym wdziękiem Solanasów!

- Przeklętym wdziękiem Solanasów! - powtórzyła Anna i roześmiała się. - Moja matka także posiadała mnóstwo uroku i wszyscy ją uwielbiali. Biedna ciotka Dorothy była gruba i brzydka, natomiast mama budziła ogólny zachwyt. Ciotka Dorothy nigdy nie wyszła za mąż.

- Co się z nią stało? - zapytała Chiquita.

- Nie wiem. Wstydzę się do tego przyznać, ale zupełnie straciłam z nią kontakt.

- Och, rozumiem...

- Wiem, że to paskudnie z mojej strony, ale Irlandia jest tak daleko... Anna zamilkła.

Czuła się winna. Nie wiedziała nawet, czy ciotka jeszcze żyje. Powinna była napisać do niej zaraz po śmierci ojca, ale nie mogła się na to zdobyć. Uznała, że lepiej nie wiedzieć. To, czego się nie wie, nie boli, pomyślała, pospiesznie spychając sprawę ciotki Dorothy w zakamarki pamięci.

Chiquita miała ochotę zapytać ją o inne ciotki i wujów. Anna pochodziła przecież z licznej i mocno ze sobą związanej rodziny, w każdym razie tak zawsze utrzymywał Dermot Dwyer. Chiquita była ciekawa, co się z nimi wszystkimi dzieje, ale w ostatniej chwili zabrakło jej odwagi i wróciła do tematu Sofii.

- Jestem pewna, że Sofia wyrośnie z tego zachowania - powiedziała. - To tylko trudna faza okresu dorastania, zobaczysz.

- Nie jestem o tym przekonana. - Anna nie chciała się przyznać, że dostrzega w Sofii coraz więcej własnych cech. - Wiesz, Chiquito, najbardziej martwi mnie to, że gdybym

zgodnie z twoją radą popuściła Sofii cugli, dziewczyna mogłaby kompletnie zdziczeć. Nie życzę sobie, aby reszta rodziny mówiła potem, że wychowałam dzikuskę.

Chiquita roześmiała się pogodnie. Jak zwykle nie była w stanie negatywnie osądzać kogokolwiek ze swoich bliskich.

- Ależ, kochanie, wszyscy uwielbiają Sofię! Ona jest jak powiew świeżego wiatru. Mój Santi i Maria są do niej głęboko przywiązani i zawsze wszystko jej wybaczą. To tylko ty tak ostro ją oceniasz, natomiast reszta rodziny uważa, że Sofia nie robi nic złego, możesz mi wierzyć. A zresztą, jakie to ma znaczenie, co myślą inni!

- Dla mnie ma to ogromne znaczenie. Wiesz, jacy są ludzie - kochają plotki...

- Niektórzy tak, ale przecież nimi nie musisz się przejmować - rzekła Chiquita, obserwując Annę spod oka.

Mimo upływu lat Anna nadal czuła się w Argentynie trochę obco. Nie pozbyła się też kompleksu niższości i chyba właśnie dlatego tak przejmowała się opinią obcych ludzi o swoich dzieciach. Bardzo pragnęła być z nich dumna i uważała, że ich sukcesy i porażki ukazują ją samą w dobrym lub złym świetle. Za wszelką cenę usiłowała dowieść swojej wartości i nigdy nie po trafiła się rozluźnić.

Chiquita chciała jej powiedzieć, że nie powinna się niczym martwić. Urodzenie i klasa nie miały przecież znaczenia. Wszyscy Solanasowie kochali Annę taką, jaką była, razem z jej kompleksami i zahamowaniami. Wiele lat temu, bezpośrednio po jej przyjeździe do Santa Catalina, część rodziny uważała, że młoda Irlandka chce wyjść za Paca dla jego majątku i pozycji społecznej, kiedy jednak Anna przywykła do nowego otoczenia, z nie śmiałej sarny przeistoczyła się w dumną tygrysykę, która bez trudu zdobyła szacunek nowych krewnych.

Zdaniem Chiquity źródłem buntu Sofii był zdecydowanie odmienny stosunek Anny do synów i do córki. Anna kochała Rafaela i Agustina ślepą miłością i żyła dla nich. Chiquita nie miała cienia wątpliwości, że gdyby któryś z chłopców zachował się tak jak Sofia, jej szwagierka byłaby dumna z jego niezależności i wcale nie zamierzałaby go zdyscyplinować. Cieszyłaby się, widząc w jego postępowaniu swój własny upór i siłę woli, a być może nawet dodawałaby mu odwagi. Chiquita podejrzewała, że Anna zazdrości córce pozycji w rodzinie oraz wielkiej osobowości. Ludzie kochali Sofię lub nienawidzili jej, lecz nikt nie mógł pozostać wobec niej obojętny. Kiedyś próbowała wytłumaczyć to wszystko Annie, zauważyła jednak, że jej uwagi tylko podsycają tłące się w niej rozgoryczenie i poczucie nieprzystosowania.

- No, ale dosyć już o Sofii - odezwała się Anna, a Chiquita powitała jej słowa z prawdziwą ulgą. - Na pewno ma czerwone uszy, więc lepiej dajmy jej spokój. Spójrz, Chiquito, jakie to dziwne, że Rafael i Agustin są tak zupełnie inni... Wydaje mi się, że Rafael chodzi z Jasińską Peną, wiesz, córką Ignacia Peny. To dopiero byłaby świetna partia! - Anna uśmiechnęła się z dumą. - Rafael sądzi, że o niczym nie wiem, ale ja często słyszę, jak rozmawia z nią przez telefon. Oczywiście, nie zamierzam się z tym zdradzać, zresztą wiem, że sam powie mi o tym w swoim czasie. Rafael mówi mi o wszystkim, w przeciwieństwie do

swojej siostry, która zachowuje się jak złodziej, planujący kolejny napad... - Parsknęła ze zniechęceniem, ponieważ przyłapała się na tym, że znowu wraca do tematu Sofii. - Wyobrażam sobie, jaka jesteś podekscytowana powrotem Santiago. - Stłumiła chęć kontynuowania tyrady o córce. - Nie mam pojęcia, jak przeżyłaś bez niego Boże Narodzenie...

Chiquita ze smutkiem potrząsnęła głową.

- To było okropne. Naturalnie, starałam się nie okazywać przygnębienia ze względu na innych, ale ty musiałaś zauważyć, co się ze mną działo. Święta bez Santiago to żadne święta. Najlepiej czuję się wtedy, gdy wszyscy jesteśmy razem. Cóż, kiedy Santi chciał pojechać do Tajlandii i zwiedzić ten kraj. Był już chyba wszędzie, na wszystkich kontynentach, wiesz? Z pewnością podróże i studia w Ameryce pomogły mu zdobyć cenne doświadczenia. Myślę, że od razu zauważysz, jak się zmienił. Jest już mężczyzną, nie chłopcem. Po prostu nie mogę uwierzyć, że wreszcie wraca do domu...

Chiquita przypomniała sobie wizytę w Stanach podczas wiosennej przerwy semestralnej. Zrozumiała wtedy, że dziecko, jakim był jej syn przed wyjazdem z Argentyny, bezpowrotnie zniknęło. Santi mówił teraz niskim, nieco zachrypniętym głosem, jego podbródek był ciemny od zarostu, oczy miały głębszy wyraz, a ciało stało się silne i muskularne. Zwróciła też uwagę, że prawie nie utykał.

Santi miał wrócić w połowie grudnia, tuż przed trwającymi do marca letnimi wakacjami. Potem zamierzał rozpocząć pięcioletnie studia na uniwersytecie w Buenos Aires. Poprzednie Boże Narodzenie spędził poza domem i Chiquita bardzo nie chciała, aby to się powtórzyło. W głębi duszy liczyła dni do powrotu syna, nie mogąc się go doczekać.

Wczesnym rankiem w sobotę, 12 grudnia, po praktycznie nie przespanej nocy, Chiquita wstała z łóżka z radością w sercu. Rozsunęła zasłony i stwierdziła, że świat wydaje jej się piękniejszy niż zwykle, słońce jaśniejsze, a kwiaty bardziej kolorowe i delikatne. Poszła do pokoju Santiago i postawiła wazonik z różami na nocnej szafce. W całym domu panowała atmosfera wielkiego podniecenia. Panchito biegał wesoło po ranczu ze swoimi kuzynami i dziećmi gauczów, Fernando pojechał gdzieś konno, czując, że bliski powrót brata budzi w jego sercu uśpioną na krótko zazdrość, a Miguel bardzo wcześnie wyprowadził dżipa z garażu i udał się na lotnisko, zostawiając żonę w trakcie dyskusji o lunchu z kucharką. Maria, nie chcąc płatać się pod nogami matki, zaraz po śniadaniu pobiegła do Sofii.

Zastała kuzynkę z rodziną na tarasie, przy stole zastawionym filiżankami herbaty i kawy oraz półmiskami ze świeżymi rogalikami i bułeczkami.

- Cześć, Mario, jak się czujesz? - zawołała Sofia.

- Dzień dobry, ciociu Anno i stryju Paco - powiedziała Maria z radosnym uśmiechem, całując wszystkich obecnych.

- Mama na pewno umiera z podniecenia, co? - zapytała Anna, która doskonale wiedziała, jak czułaby się na miejscu Chiquity.

- Och, nawet sobie nie wyobrażacie, jaka jest podekscytowana! Przez całą noc nawet nie zmrużyła oka, a od świtu już co najmniej tuzin razy zaglądała do pokoju Santiago, żeby sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu.

- Santi nie przywiązuje wagi do takich drobiazgów - zauważył Agustin, smarując rogalik masłem i maczając go w herbacie.

- Przywiązuje, przywiązuje i na pewno zależy mu, żeby zastać pokój w takim stanie, w jakim go zostawił - oświadczyła Anna.

Maria przysunęła sobie krzesło i usiadła.

Po chwili na tarasie pojawiła się Soledad, niosąc dla niej filiżankę ze spodeczkiem i talerzyk.

- A Miguel? - zagadnął Paco, nie przerywając lektury gazety.

- Z samego rana popędził na lotnisko.

- To dobrze - mruknął Paco. - Chyba wpadnę na mały koktajl do Alejandra i Maleny...

- Nie za wcześnie na drinka, tato?

- U Alejandra i Maleny każda pora dnia jest dobra na drinka, Sofio.

Kiedy odchodził. Sofia zauważyła, że jego włosy połyskują srebrem w słońcu.

- Sofio, ty też pewnie nie możesz się doczekać spotkania z Santim - odezwała się Maria, nalewając sobie herbaty. - Ciekawe, jak on teraz wygląda... Myślisz, że się zmienił?

- Jeżeli zapuścił brodę albo zrobił coś równie idiotycznego, zabiję go - powiedziała Sofia z radosnym uśmiechem.

- Założę się, że Santi nie pozna Panchita. Mały strasznie wyrósł, jeszcze trochę i będzie grał w polo z dorastającymi chłopcami.

- I dziewczętami - dorzuciła Sofia, zerkając na matkę. Sofia wiedziała, jak Anna się irytuje, kiedy widzi, że córka ugania się za piłką razem z mężczyznami, lecz czasami z rozmysłem sprawiała jej przykrość. - Hej, Rafa, Santi na pewno będzie chciał od razu wyjechać na boisko - zwróciła się do brata. - Może zorganizujemy mecz, żeby zrobić mu frajdę?

Anna w milczeniu odwróciła głowę. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Sofia jest takim łobuziakiem, dlaczego nie zachowuje się tak jak pełna dziewczęcego wdzięku i dystygowana Maria...

- Drażnisz mamę, Sofio - mruknął Rafael z roztargnieniem, bardziej zainteresowany artykułem w gazecie niż gadaniną siostry i kuzynki. - Daj jej spokój, dobrze?

Anna westchnęła i lekko wzruszyła ramionami.

- Sofio, postaraj się nie planować Santiemu pierwszego dnia po powrocie - powiedziała. - Zobaczymy, co sam zechce robić. Z pewnością najpierw opowie nam wszystkim o swoich przygodach... - Nagle przypomniała sobie rady Chiquity i przyszło jej do głowy, że może jednak powinna spróbować wprowadzić je w życie. - Chociaż właściwie dlaczego nie mielibyście zagrać w polo? - dodała słabo. - Santi nie będzie przecież siedział z nami przez całe popołudnie przy stole...

- Naprawdę tak uważasz? - zapytała Sofia powoli i obrzuciła matkę zdziwionym spojrzeniem.

Oczekiwała paru ostrych słów, ale Anna tylko uśmiechnęła się do niej i sięgnęła po napoczętą bułeczkę. Po chwili obie dziewczyny wstały od stołu i pobiegly do domu, zostawiając sprzątaną wyrozumiałej Soledad.

W różowym pokoju Sofii padły na duże łóżko, gniotąc świeżo wykrochmaloną narzutę i zrzucając espadryle na podłogę.

- Aż trudno uwierzyć, nie sądzisz? - zachichotała Sofia.

- W co?

- W to, że mama powiedziała, iż nie ma nic przeciwko temu, bym zagrała w polo!

- Zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz.

- To prawda. Ciekawa tylko jestem, dlaczego tak zmiękła...

- Nie zastanawiaj się nad tym. Sofio. Ciesz się.

- Taki mam zamiar. - Sofia westchnęła. - Oczywiście ta od miana nie potrwa długo... Powiem o tym Santiemu, ciekawe, czy uwierzy...

- Jak długo musimy jeszcze na niego czekać? - Maria ze zniecierpliwieniem spojrzała na zegarek. - Ojej, tyle godzin!

- Jestem tak podniecona, że po prostu nie mogę spokojnie usiedzieć. - Opalona, wyrazista twarz Sofii pokryła się lekkim rumieńcem. - Co mam na siebie włożyć?

- A co masz do wyboru?

- Niewiele. Wszystkie moje eleganckie rzeczy są w Buenos Aires, tutaj zawsze noszę dżinsy lub bombachas. - Sofia z rozmachem otworzyła szafę. - Sama popatrz!

W szafie były właściwie wyłącznie porządnie poskładane koszulki i swetry, obok wisiało kilkanaście par spodni.

- Cóż, zróbmy porządną przeglądnę - zaproponowała Maria. - Masz na myśli coś konkretnego? Co chciałabyś włożyć?

- Coś w rodzaju twojej sukienki - odrzekła Sofia po chwili namysłu.

Maria miała na sobie ładną, długą sukienkę, wykończoną koronką i wstążką tego samego koloru co wstążka w jej ciemnych włosach.

- Chcesz włożyć sukienkę? - zdziwiła się Maria, marszcząc nos. - Ale ja nigdy nie widziałam cię w sukience...

- Kiedyś zawsze jest pierwszy raz. - Sofia się uśmiechnęła. - Santi wraca po dwóch latach nieobecności, więc chciałabym wprowadzić go w zachwyt.

- Lepiej wprowadź w zachwyt swojego Roberta! - zaśmiała się Maria.

Roberto Lobito był wysoki, opalony, jasnowłosy i wystarczająco atrakcyjny, aby móc umówić się na randkę z każdą dziewczyną. Był bliskim przyjacielem Fernanda i należał do klanu Lobitów z sąsiedniej posiadłości, La Paz. Jako doskonały gracz w golfa zawsze przyciągał tłumy widzów, szczególnie dziewcząt, ze wszystkich okolicznych farm, które chętnie odrywały się od romantycznych powieści, aby obejrzeć Roberta w akcji na boisku.

Sofia nigdy nie była nim specjalnie zainteresowana. Przyjęła obojętnie nawet to, że po meczu o Puchar Santa Catalina Roberto wyraźnie zwrócił na nią uwagę i że przy jakiejś innej okazji podjechał do niej na swoim kucu i lekko stuknął młotkiem do gry w pośladek. W oczach Roberta uczyniło to ją inną od pozostałych dziewczyn, które rumieniły się i jękały, kiedy je zagadywał. One były łatwą zwierzyną, Sofia znacznie trudniejszą. Rozmawiała z nim i żartowała, ale Roberto widział, że nie robi na niej wielkiego wrażenia, a to tym bardziej go pociągało.

Po kłótni z Marią Sofia doszła do wniosku, że powinna zacząć umawiać się z jakimś chłopcem, aby zmylić kuzynkę. Nikt poza Marią nie podejrzewał jej o uczucie do Santiago, postanowiła więc przekonać ją, że jest bez pamięci zakochana w kim innym. Żaden chłopiec jej się nie podobał, dlatego nie miało znaczenia, kogo wybierze, ale duma podpowiadała jej, że powinien to być najprzystojniejszy i najbardziej atrakcyjny spośród jej znajomych. W ten sposób Sofia wybrała Roberta Lobita.

Sprawa okazała się wyjątkowo mało skomplikowana. Któregoś dnia, zamiast mówić "nie" i wykpiwać zaloty Roberta, pozwoliła mu się pocałować. I oczywiście przeżyła rozczarowanie. Nie oczekiwała wprawdzie, że pampa zadrży pod jej stopami, ale kiedy wilgotne wargi Roberta zetknęły się z jej ustami, a jego język zaczął pieścić wnętrze ust, cofnęła się z obrzydzeniem. Na szczęście w tej samej chwili przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Zamknęła oczy i pozwoliła mu się całować. Tym razem wyobraziła sobie, że to wargi Santiago pieszczą jej usta, jego dłonie obejmują talię, zarośnięty podbródek drapie szyję... Nagle serce dziewczyny zabiło szybciej i pampa zadrżała, no, w każdym razie prawie zadrżała. Tak czy inaczej, było to lepsze rozwiązanie niż wpatrywanie się w rozpaloną twarz Roberta Lobita, oddaloną zaledwie o centymetr od jej twarzy.

W ciągu minionych dwudziestu miesięcy nie było ani jednej godziny, żeby nie myślała o Santim i nie pragnęła jego powrotu. Kiedy wyjechał, miała wrażenie, że cały jej świat legł w gruzach. Santa Catalina bez niego była zupełnie innym, obcym miejscem. W oczach świata Sofia stała się dziewczyną Roberta Lobita, lecz w głębi serca nadal była ukochaną Santiago i codziennie wyobrażała sobie, jak ukochany zamyka ją w ramionach. Nigdy nie spała z Robertem, natomiast w marzeniach namiętnie kochała się z Santim. Wkraczając powoli w kobiecość. Sofia rozumiała, że jej uczucia także ulegają zmianie i stają się o wiele bardziej niebezpieczne. Coraz częściej zdarzało się, że w nocy nie mogła zasnąć i niespokojnie przewracała się z boku na bok, oblewając się gorącym rumieńcem z powodu zmysłowych myśli, jakie ciągle ją nawiedzały. Kiedy indziej budziła się nad ranem i całe ciało bolało ją z pożądania. Leżała wtedy, nieszczęśliwa i podniecona, nie wiedząc, w jaki sposób uwolnić się od pragnienia. Zdawała sobie sprawę, że dręczące ją myśli są grzeszne, ale po pewnym czasie przywykła do nich i przestała się obawiać, przyjmowała je nawet jako pewnego rodzaju pociechę i ukojenie w tęsknocie za Santim.

Na początku miała wyrzuty sumienia i wciąż miała przed oczami łagodną, lecz pełną dezaprobaty twarz ojca Julia, lecz wkrótce pozbyła się poczucia winy. Starannie strzegła swej tajemnicy i nauczyła się czerpać prawdziwą przyjemność z nocnych przeżyć. W głębi serca czuła, że mimo dzielącej ją od Santiago odległości, znajduje się bardzo blisko niego. Jego listy, pełne wspomnień o domu i opisów nowego świata, dodawały jej energii i siły do życia.

Teraz wyciągnęła z szafy białą letnią sukienkę i przyłożyła do siebie.

- Może ta? - zapytała. - Mama kupiła mi ją z nadzieją, że uda się jej zniechęcić mnie do polo i dzinsów. Ani razu jej nie włożyłam...

- Więc przymierz! Zobaczmy, jak będziesz w niej wyglądała. Zabawne, ale ani rusz nie mogę sobie wyobrazić ciebie w sukience!

Sofia włożyła białą bawełnianą sukienkę przez głowę, ostrożnie naciągając ją na biust i pupę. Mocno dopasowana kreacja trzymała się na dwóch cienkich ramiączkach i opadała prawie do ziemi. Była może trochę zbyt obcisła w biodrach, za to wspaniale uwydatniała wąską talię dziewczyny i jej szerokie, mocne ramiona. Pełne piersi napierały na tkaninę, sprawiając wrażenie, jakby lada chwila miały wyzwolić się z więzienia. Odrzuciła długi, lśniący warkocz i z pełnym nadziei spojrzeniem stanęła przed lustrem.

- Och, Sofio, wyglądasz przepięknie - westchnęła Maria ze szczerym podziwem.

- Tak uważasz? - zapytała Sofia niepewnie, wyginając szyję, żeby zobaczyć, jak sukienka układa się z tyłu.

Rzeczywiście wyglądała pięknie, chociaż było jej dosyć niewygodnie. Nie przywykła do sukienek i czuła się dziwnie onieśmielona. Wydawało jej się śmieszne, że zmiana wyglądu może tak poważnie wpłynąć na nastrój, lecz mimo wszystko była bardzo zadowolona.

- Nie mogę wyjść tak uczesana, zawsze noszę ten nudny warkocz - rzekła, nagle podekscytowana nieznanym uczuciem i zdecydowana na całkowitą, dramatyczną odmianę. - Mogłabyś mi jakoś upiąć włosy?

Zaskoczona transformacją kuzynki, Maria posadziła ją przy toalecie i zabrała się do układania długich, ciemnych loków na czubku głowy.

- Santi cię nie pozna! - Roześmiała się, przytrzymując szpilki zębami.

- Ani Santi, ani nikt inny. - Sofia nie śmiała głębiej odetchnąć w obcisłej sukni.

Nerwowo bawiła się pudełeczkiem szpilek i wstążkami, razem z Marią śmiejąc się na myśl o reakcji rodziny, chociaż tak na prawdę interesowało ją tylko to, co na jej widok poczuje ukochany kuzyn, którego nie widziała przez dwa boleśnie długie lata.

Teraz, gdy w końcu nadszedł dzień jego powrotu, tęsknota i cierpienie zniknęły w jednej chwili. Maria skończyła upinać jej włosy. Sofia po raz ostatni zmierzyła wzrokiem swoje odbicie w lustrze i obie wyruszyły do domu Chiquity i Miguela, aby tam oczekiwać na przybycie młodego bohatera.

- Co będziemy robić do południa? - zapytała Maria, kiedy szły między drzewami.

- Bóg jeden wie. - Sofia wzruszyła ramionami. - Może pomożemy twojej mamie?

- Mamie? Dam sobie rękę uciąć, że zrobiła już wszystko, co było do zrobienia!

Chiquita spacerując między kwietnikami, nadzorowała operację podlewania i usiłowała opanować zniecierpliwienie. Stoły na tarasie zostały już nakryte przez Rosę, Encarnacion i Soledad, napoje chłodziły się w ustawionych w cieniu wiaderkach z lodem. Kiedy dziewczyny się zbliżyły, podniosła wzrok i uśmiechnęła się szeroko. Chiquita była smukłą, elegancką kobietą o do skonałym guście, co znajdowało odbicie we wszystkim, czym się zajmowała. Od razu dostrzegła zmianę w wyglądzie Sofii, odstawiła małą konewkę i podeszła do bratanicy.

- Sofio, kochanie, nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty! - zawołała. - Wyglądasz fantastycznie! Doskonale ci w tej fryzurze! Anna na pewno jest zachwycona, że włożyłaś sukienkę, którą ci kupiła. Chyba wiesz, że razem wybrałyśmy ją w Paryżu...

- Naprawdę? - Sofia się ucieszyła. - Więc to dlatego jest taka ładna!

Ta aprobata ukochanej ciotki znacznie poprawiła nastrój dziewczyny. We trzy usiadły na tarasie, pod dwoma wielkimi parasolami, i zaczęły rozmawiać o wszystkim i o niczym. Od czasu do czasu któraś z nich spoglądała na zegarek, żeby sprawdzić, jak długo jeszcze muszą czekać. Po godzinie dołączyła do nich Anna, eterycznie piękna w bladoniebieskiej sukni i kapeluszu z dużym rondem. Ze swoimi włosami i delikatną twarzą wyglądała, jakby zeszła z obrazu któregoś z prerafaelitów. Niedługo po niej zjawili się Paco oraz Malena i Alejandro z dziećmi, a potem Fernando, Rafael i Agustin. Ostatni dwaj z zaciekawieniem przyjrzeni się siostrze i natychmiast zaczęli z niej bezlitośnie drwić.

- Sofia jest dziewczyną! - zakpił Agustin.

- Niemożliwe! - odpaliła Sofia. - Jak to odgadłeś, idioto?

- Przestańcie jej dokuczać, chłopcy! - wtrąciła się nagle Anna, zadowolona, że przynajmniej raz Sofia wygląda ładnie i kobieco.

Wkrótce cała rodzina zebrała się na tarasie, popijając wino i czekając na przybycie Miguela i Santiago. Wokół paleniska jak zwykle kręciły się grupki wychudzonych psów, łakomie węszących przesiąknięte zapachem piekącego się mięsa powietrze. Panchito i jego mali kuzyni biegali za zwierzętami, piszcząc z zachwytu, gdy udało im się pociągnąć któregoś psiaka za ogon lub poklepać po kudłatej głowie. Ich matki były zbyt zajęte rozmową, żeby je strofować.

Wreszcie Sofia dostrzegła w oddali zbliżającą się powoli chmurę kurzu.

- Hej, już jadą! - zawołała. - Już jadą!

Wszyscy zamilkli, w skupieniu wpatrując się w odległy punkt. Chiquita wstrzymała oddech i modliła się, aby samochód nie skręcił na drogę do La Paz lub jakiejś innej posiadłości. W ogólnym poruszeniu nikt nie zwrócił uwagi, że jeden z psów ukradł kawałek kiełbasy ze stolika, a sześciolatek Panchito pognął za nim, niewzruszony przyjazdem brata, którego ledwo pamiętał. Sofia poczuła, że serce tłucze się jej o żebra, jakby chciało zerwać się z uwięzi i wyswobodzić, podobnie jak spętane mocno dopasowaną sukienką piersi. Zacisnęła mokre od potu dłonie i nagle pożałowała, że nie włożyła zwykłych dżinsów i koszulki, w których Santi mógłby ją bez trudu rozpoznać.

Chmura kurzu rosła z każdą chwilą, aż w końcu z szarego pyłu wyłoniła się błyszcząca w słońcu krata dżipa i cały samochód, który skręcił już w aleję i zmierzał w kierunku domu. Kiedy za hamował w cieniu eukaliptusa, drzwi po stronie pasażera otworzyły się, pchnięte silną ręką, i z wozu wyskoczył wyższy, mocniej zbudowany i o wiele przystojniejszy Santi, ubrany w jasne płócienne spodnie, błękitną, rozpiętą pod szyją koszulkę polo i brązowe skórzane buty.

Młody Amerykanin wrócił do domu.

Rozdział piętnasty

Santiago Solanas nie spodziewał się takiego przyjęcia. Nagle otoczyli go kuzyni, bracia, ciotki i wujowie i wszyscy chcieli go uściskać, ucałować na powitanie i zadać mu mnóstwo pytań na temat jego przygód za granicą. Matka uśmiechała się do niego przez łzy radości i ulgi, że syn wreszcie bezpiecznie wrócił na łono rodziny.

Sofia obserwowała, jak Santiago idzie w kierunku tarasu charakterystycznym, niemożliwym do naśladowania krokiem, z nogami lekko ugiętymi w kolanach, po tylu latach

spędzonych w siodle, odrobinę utykając. Santi z czułością objął matkę, która z płaczem zatonała w jego ramionach. Był szerszy w ramionach i masywniejszy niż dwadzieścia miesięcy temu, kiedy wyjeżdżał do Ameryki. Wrócił jako mężczyzna, nikt nie mógł mieć co do tego najmniejszych wątpliwości. Sofia przygryzła dolną wargę i zmrużyła oczy. Wcześniej nigdy nie denerwowała się w obecności Santiiego, lecz teraz była bardzo onieśmielona. W nocnych marzeniach przeżywała miłosne uniesienia u boku Santiiego i chociaż te wyobrażenia nie miały nic wspólnego z rzeczywistością, nie mogła się teraz od nich uwolnić. Nie potrafiła patrzeć na Santiiego i nie czerwienić się. Oczywiście, on nie miał o tym wszystkim pojęcia i jak zwykle uściskał ją z braterską miłością.

- Bardzo tęskniłem za moją ukochaną kuzynką, Chofi - szepnął, przytulając twarz do jej delikatnie uperfumowanej szyi. - Wyglądasz zupełnie inaczej, z trudem cię poznałem! Sofia pospiesznie spuściła wzrok i Santi, zaskoczony jej za chowaniem, lekko zmarszczył brwi. - Widzę, że w czasie mojej nieobecności Sofi rozkwitła i stała się kobietą - dodał, usiłując zajrzeć jej w twarz.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Rafael i Agustin odsunęli ją na bok i zaczęli serdecznie poklepywać kuzyna po plecach.

- Dobrze, że już wróciłeś! - wykrzyknął Rafael.

- Ja też bardzo się z tego cieszę - powiedział Santi. Rozejrzał się dookoła, szukając w tłumie Panchita.

Chiquita natychmiast wyczuła, kogo syn pragnie zobaczyć, i także poszukała chłopca wzrokiem. W tej samej chwili zza rogu domu wyłonił się Miguel, niosąc przewieszzonego przez ramię piszczącego radośnie i wijącego się Panchita.

- Ach, tu jesteś, ty mały łotrze - z czułością odezwała się Chiquita. - Przywitaj się z bratem.

Chłopiec uspokoił się, wetknął sobie kciuk do ust i pozwolił matce zaprowadzić się za rękę do Santiiego.

- Panchito! - Chłopak schylił się i chwycił zawstydzone dziecko w ramiona. - Tęskniłeś za mną? - zapytał, burząc dłonią jasne włosy małego.

Panchito, który był bardzo podobny do starszego brata, szeroko otworzył zielone oczy i z wielkim zainteresowaniem wpatrzył się w twarz Santiiego.

- O co chodzi, Panchito? - Santi pocałował gładki, opalony policzek braciszka.

Chłopiec roześmiał się i szepnął mu coś do ucha.

- Ach, rozumiem! - powiedział Santi. - Uważasz, że jestem tak zarośnięty jak tata?

Panchito pogładził jego pokryty krótką szczecina podbródek.

- Ejże, Panchito, pozwolisz mi uściskać Santiago? - zapytała Maria, obejmując obu braci jednocześnie.

Fernando zbliżył się dopiero po dłuższej chwili. W jego sercu szalała burza zazdrości, lecz robił, co mógł, żeby to ukryć. Przyglądał się, jak wszyscy witają brata niczym bohatera, i po prostu nie mógł tego znieść. Robiło mu się niedobrze. Santi spędził przecież tylko trochę czasu na studiach za granicą, więc o co ten cały hałas... Odgarnął z czoła atramentowoczarne włosy, spojrzał na Santiago spod ściągniętych brwi i zdobył się na chłodny uśmiech. Santi uściskał go i poklepał po ramieniu jak starego przyjaciela. Starego przyjaciela? Nigdy nie byli przyjaciółmi.

- Nie potrafię wam powiedzieć, jak brakowało mi naszego barbecue! - Santi westchnął, z przyjemnością smakując krwawą kiszkę i mięso. - Nikt nie piecze mięsa tak dobrze jak Argentyńczycy.

Chiquita spojrzała na niego z dumą i radością. Nie żałowała czasu i sił, żeby przygotować wszystko dokładnie tak, jak lubi Santi.

- Pokaż wszystkim, że mówisz po angielsku jak Amerykanin - poprosił Miguel.

Kiedy razem z Chiquitą parę miesięcy wcześniej odwiedził Santiago w Stanach, był pod dużym wrażeniem, słysząc, jak syn rozmawia z Frankiem Stanfordem i jego rodziną. Zdaniem Miguela Santi mówił równie dobrze i płynnie jak tamci.

- Cały czas posługiwałem się angielskim. - Santi pokiwał głową. - Wszystkie wykłady prowadzone były w tym języku.

- Więc powiesz coś do nas po angielsku, czy nie? - niecierpliwił się dumny jak paw Miguel, dolewając sobie wina z kryształowej karafki.

- Co chcesz, żebym powiedział? - Santi się roześmiał. - Im glad to be home with my folks and I missed you all - rzekł szybko, z doskonałym akcentem.

- Och, Boże, zupełnie jak rodowity Amerykanin! - westchnęła jego matka, z zachwytem składając drobne dłonie.

Fernando o mało nie zakrtusił się kawałkiem pieczeni.

- Anno, na pewno się cieszysz, że teraz możesz porozmawiać z kimś w swoim ojczystym języku - powiedział Paco, podnosząc kieliszek i mierząc bratanka pełnym aprobaty spojrzeniem.

- Jeżeli amerykański angielski można nazwać moim ojczystym językiem - odparła Anna z udawaną pogardą.

- Mama mówi irlandzkim angielskim, który też różni się od brytyjskiego. - Sofia nie zdołała powstrzymać się od drobnej uszczypliwości pod adresem matki.

- Sofio, jeżeli nie wiesz, co powiedzieć, najlepiej jest milczeć - zauważyła chłodno Anna.

- Za czym jeszcze tęskniłeś w Ameryce? - zapytała Maria.

Santi zamyślił się ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni, wspominając długie noce, podczas których śnił o argentyńskiej pampie, zapachu eukaliptusu i szerokim niebieskim horyzoncie, tak odległym, że trudno było określić, gdzie kończy się ziemia i zaczyna niebo.

- Tęskniłem za Santa Catalina i wszystkim, co jest związane z naszym domem - wyznał w końcu.

Chiquita spojrzała na niego ze wzruszeniem.

- Brawo, Santi - powiedział poważnie Miguel. - Wzniesmy toast za Santa Catalina, za nasz dom...

Wszyscy poszli za jego przykładem, z wyjątkiem Fernanda, który milczał zajadle, siedząc ze spuszczoną głową.

- Oby Santa Catalina nigdy, przenigdy się nie zmieniła - do rzucił Santi i przelotnie zerknął na obcą, piękną młodą kobietę w białej sukni, która patrzyła na niego ciepłymi, brązowymi oczami.

Nie miał pojęcia, dlaczego czuje się przy niej taki skrępowany

Potem lunch co chwilę przerywały emocjonalne mowy, wygłaszane przez rozgrzanych winem członków rodziny. Chłopcy uważali, że ta demonstracja rodzinnych uczuć jest zdecydowanie przesadzona, i z trudem powstrzymywali śmiech. Ich samych ciekawiło głównie, jakie są amerykańskie dziewczyny i z iloma przespał się Santi, ale te pytania taktownie postanowili zadać mu później, kiedy zostaną z nim sami na boisku do gry w polo.

Zrozpaczona i rozczarowana Sofia wpadła do swojego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi. Mało brakowało, by podarła sukienkę, zdzierając ją z siebie. Santiemu nie podobał się jej nowy wygląd, więc doszła do wniosku, że jej także nie. Kompletnie ją zignorował! Kogo próbowała udawać? Bardzo się teraz wstydziła. Zrobiła z siebie idiotkę, i to na oczach całej rodziny...

Zwinęła sukienkę w kulę i wepchnęła ją do szafy, pod swetry i koszulki. Pospieszenie wciągnęła dzinsy oraz bluzkę polo, wyjęła z włosów szpilki i rzuciła je na podłogę, jakby to one były winne obojętności Santiiego. Usiadłszy przed lustrem, zaczęła szczotkować włosy tak gwałtownie, że rozboleła ją głowa. Zaplotła warkocz i jak zwykle związała go czerwoną wstążką. Dopiero teraz czuje się jak Sofia, pomyślała, wierzchem dłoni wycierając mokre od łez policzki. Potem zdecydowanym krokiem wyszła na słońce i ruszyła w kierunku zagrody dla kucyków. Postanowiła, że nigdy więcej nie będzie udawała kogoś, kim nie jest.

Santi zauważył ją z daleka i odetchnął z ulgą, widząc, że dawna, nieco chłopięca Sofia

zmierza ku niemu swoim charakterystycznym kaczym chodem. Uśmiechnął się do siebie, pozwalając ogarnąć się fali nostalgii. Poczł się nieswojo, kiedy po przyjeździe zobaczył Sofię w białej sukience i w dorosłej fryzurze, chociaż nie do końca rozumiał, co było powodem takiej reakcji. Dziewczyna wyglądała jak dojrzała, tryskająca sokiem zmysłowości brzoskwinia, lecz równocześnie dostrzegał w niej coś, co umieszczało ją poza zasięgiem jego ramion. Nie była już jego dawną przyjaciółką, ale kimś nowym i nieznanym. Nie mógł nie zauważyć jej świeżo zaokrąglonej figury pod lekko przejrzystą sukienką i brązowych piersi, które wyraźnie świadczyły o nie dawno osiągniętej dorosłości i oddaleniu od niego. Nowa Sofia w niczym nie przypominała Sofii, którą zapamiętał sprzed wyjazdu.

Zanim zdążył się nad tym wszystkim porządnie zastanowić; Sofia podbiegła do niego, nie kryjąc radości. Santi czuł, że jej kobiecość bardzo go niepokoi, i tęsknił za dzieckiem, które pozostawił w Santa Catalina niecałe dwa lata wcześniej. Dopiero kiedy zaczęli rozmawiać, w oczach dziewczyny pojawił się znajomy błysk i Santi z ulgą odkrył, że wewnątrz tego cudownego, kuszącego ciała kryje się jego ukochana kuzynka.

- Papa pozwala mi regularnie grać w polo - pochwaliła się, gdy ramię w ramię zmierzali w kierunku zagrody.

- A ciocia Anna? Jak udało ci się ją przekonać?

- Może nie uwierzysz, ale dziś rano sama zaproponowała, żebym z tobą zagrała.

- Chyba jest chora...

- Na pewno, w każdym razie nie jest przy zdrowych zmysłach. - Sofia parsknęła śmiechem.

- Twoje listy sprawiały mi wielką radość. - Santi uśmiechnął się do niej, wspominając setki długich epistoł, zapisanych nieporządnym charakterem pisma na jasnoblękitnym papierze, sprzedawanym w kompletach razem z lotniczymi kopertami. - Mnie twoje również.

Odniosłam wrażenie, że świetnie się bawiłeś, i bardzo ci zazdrościłam. Ja też chciałabym wyjechać.

- Pewnego dnia na pewno zrealizujesz to marzenie.

- Czy w Ameryce miałaś dużo dziewczyn? - zapytała z masochistyczną szczerością.

- Mnóstwo - odparł swobodnie i czule położył rękę na jej karku. - Wiesz, Sofi, naprawdę bardzo się cieszę, że wróciłem. Gdyby teraz ktoś mi powiedział, że nigdy więcej nie opuszczę Santa Catalina, byłbym najszcześliwszym człowiekiem na świecie.

- Nie podobała ci się Ameryka? - zapytała, przypominając sobie ton jego listów, z których wyraźnie wynikało, że Stany bez reszty podbiły jego serce.

- Bardzo mi się podobała i świetnie się tam bawiłem, ale człowiek uświadamia sobie, jak bardzo kocha swój kraj, dopiero wtedy, gdy go na jakiś czas opuszcza. Kiedy wracasz, widzisz go w zupełnie innym świetle, ponieważ jesteś w stanie spojrzeć na niego z nową

perspektywy. Wszystko, co wcześniej wydawało ci się oczywiste, teraz darzysz wielką miłością, bo już wiesz, jak to jest być daleko. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Sofia kiwnęła głową.

- Chyba tak - odparła, choć rozumiała, że nie może tego do końca pojąć, ponieważ nigdy nie opuszczała Santa Catalina.

- Uważasz, że zawsze tu będziesz i nic się nigdy nie zmieni, prawda, Sofi? Czy kiedykolwiek zatrzymujesz się chociaż na chwilę, żeby podziwiać piękno Santa Catalina?

- Tak - powiedziała, trochę niepewna, czy rzeczywiście tak jest.

Santi spojrział na nią z lekkim uśmiechem, a drobne zmarszczki w kącikach oczu pogłębiły się i wydłużyły.

- W Ameryce nauczyłem się czegoś bardzo ważnego. Tę mądrość przekazał mi mój przyjaciel, Stanley Norman.

- Stanley Norman?

- Tak. Chcesz posłuchać?

- Oczywiście.

- To krótka opowieść o „cennym darze”.

- Słucham, Santi.

- Jest to prawdziwa historia z życia małego chłopca, który mieszkał z dziadkami. Jego dziadek był spokojnym, mądrym człowiekiem, który często opowiadał małemu rozmaite historyjki. Jedna z nich mówiła właśnie o „cennym darze”.

Sofia pomyślała nagle o dziadku Dermocie i ogarnął ją smutek.

- Mały ciągle pytał, czym właściwie jest ten „cenny dar”. Dziadek odpowiadał, że sam się dowie we właściwym czasie, do dawał jednak, że jest to coś, co przyniesie mu trwałe, nieprzemijające szczęście. Chłopiec czekał cierpliwie i kiedy na kolejne urodziny dostał rower, na którym bardzo mu zależało, doszedł do wniosku, że to właśnie jest cenny dar. Po pewnym czasie znudził się jednak nową zabawką i zrozumiał, że dziadkowi nie o to chodziło, ponieważ rower nie dał mu przecież trwałego szczęścia,

Mały chłopiec dorósł, stał się młodym mężczyzną i pewnego dnia spotkał piękną dziewczynę, w której się zakochał. Oto mój cenny dar, który zapewni mi nieprzemijające szczęście, pomyślał. Lecz wkrótce zakochani zaczęli się kłócić, nie mogli dojść do porozumienia i w końcu się rozstali. Młody człowiek wyruszył w wielką podróż, zwiedził wiele krajów, w każdym z nich wydawało mu się, że właśnie tam czeka na niego cenny dar, i w każdym przeżywał rozczarowanie. Odkrył, że uczucie szczęścia, jakiego czasami doznaje, nie jest trwałe. Jego życie stało się poszukiwaniem czegoś nieosiągalnego i kiedy to pojął,

zasmucił się. Potem ożenił się i spłodził dzieci, ale nawet to nie dało mu nieprzemijającego szczęścia. W końcu jego dziadek zmarł, zabierając z sobą tajemnicę cennego daru, w każdym razie tak się wydawało jego wnukowi. Po pogrzebie zaczął wspominać wszystkie szczęśliwe chwile, które dzielił z mądrym, dobrym dziadkiem, i wreszcie zrozumiał, o czym mówił starzec. Co takiego sprawiało, że dziadek zawsze był taki zadowolony, spokojny i pogodny? Dlaczego każdy, kto z nim rozmawiał, czuł, że jest dla niego najważniejszą osobą na świecie?

Dlaczego dziadek roztaczał wokół siebie atmosferę spokoju i obdarzał spokojem wszystkich, których spotykał na swojej drodze? Cenny dar nie był namacalnym darem, był terażniejszością, życiem chwilą. Dziadek młodego człowieka żył chwilą, cieszył się każdą sekundą. Nie myślał o jutrze, bo po co tracić energię na coś, co może nigdy nie nadejść? Nie zastanawiał się nad minionym dniem, bo ten należał już do przeszłości i nic nie mogło tego zmienić. Teraźniejszość jest jedyną rzeczywistością, więc aby osiągnąć trwałe szczęście, należy żyć chwilą i nie martwić się tym, czego już albo jeszcze nie ma.

- Hej, bierzcie się do roboty! - zawołał podniecony Agustin, który wjechał już na boisko i lekkimi pchnięciami prowadził przed sobą piłkę,

- Wspaniała historia - powiedziała Sofia i pomyślała, że dziadek Dwyer przyklasnąłby każdemu słowu Santiiego. Życie terażniejszością stanowiło część jego życiowej filozofii.

- Chodź, Sofi, zagrajmy razem - odezwał się Santi. - Zawsze dobrze nam to wychodziło, prawda?

Wsiadł na kuca i pogalopował na boisko. Sofia patrzyła za nim, zamyślona i trochę wzruszona. Jego opowieść zrobiła na niej głębokie wrażenie.

Santi był szczęśliwy, że znowu gra w polo z bratem i kuzynami na farmie, którą tak mocno kochał. Tryskał energią i radością życia, absolutnie przekonany, że potrafi pokonać wszystkie przeszkody i wszystkich przeciwników. Objechał boisko dookoła, świadomy każdego zapachu, koloru i wszystkiego, co składało się na Santa Catalina, głęboko oddychając cudownym, wilgotnym powietrzem. Kochał Santa Catalina tak, jak kocha się osobę. Kiedy mecz się zaczął, Santi żył i cieszył się chwilą. Nie chciał przyspieszać nadejścia następnego dnia i nie myślał o tym, który minął.

Sofia grała z Santim, Agustinem i Sebastianem, po przeciwnej stronie boiska zaś znaleźli się Fernando, Rafael i Angel. Był to przyjacielski mecz, chociaż oczywiście każdy zespół pragnął zwycięstwa. Okrzyki młodych ludzi niesły się daleko, gdy pędzili na kucach za piłką, zlanymi potem, zmęczonymi, lecz szczęśliwymi.

Paco z przyjemnością obserwował grę córki. Dostrzegał w niej swoją własną agresywną miłość do polo i był dumny z Sofii. Nie znał żadnej innej dziewczyny, której umiejętności mógłby ocenić równie wysoko. Sofia posiadała wszystkie cechy, które kiedyś widział w Annie, chociaż jego żona uważała, że córka w ogóle nie jest do niej podobna.

Twierdziła, że nigdy nie była tak śmiała i pozbawiona zahamowań jak Sofia, która te cechy mogła odziedziczyć jedynie po ojcu.

Kuzyni byli przyzwyczajeni do obecności Sofii na boisku i nie mieli nic przeciwko jej udziałowi w grze. Dwa lata wcześniej nie protestowali, kiedy wyjechała na boisko w czasie starcia z drużyną La Paz, lecz później już nigdy nie zgodzili się na jej występ w meczu z obcą drużyną. Sami doskonale wiedzieli, że mogą traktować ją jak chłopaka, lecz inni gracze, nieprzywykli do obecności dziewczyny na boisku, nie potrafili zachowywać się naturalnie w takiej sytuacji. Dlatego Paco zdecydował, że Sofia będzie grała wyłącznie z kuzynami. Dla Sofii nie miało to większego znaczenia, zależało jej tylko na tym, by grać. W jej pojęciu polo było czymś więcej niż grą - było wyzwoleniem ze wszystkich ograniczeń, narzucanych jej przez matkę. Na boisku była traktowana dokładnie tak samo jak pozostali zawodnicy, mogła robić, co chciała, krzyczeć i dawać wyraz wściekłości. Ważne było też to, że ojciec wspierał ją i okazywał uznanie.

Popołudniowe słońce rzucało długie, przerażające cienie, które wydawały się żyć własnym życiem. Zawodnicy walczyli zażarcie, podobni do średniowiecznych rycerzy.

Fernando raz czy dwa o mały włos nie zrzucił brata z siodła, ale Santi uśmiechnął się tylko pogodnie i odjechał w przeciwną stronę. Ten uśmiech jeszcze bardziej rozdrażnił Fernanda. Czy Santi nie zdawał sobie sprawy, że jego wściekłość nie miała nic wspólnego z grą? Postanowił, że następnym razem popchnie go mocniej. Po zakończeniu meczu oddali lśniące od potu i spienione kuce stajennym, którzy siedzieli na ogrodzeniu, ubrani w szerokie spodnie i berety.

- Idę popływać - oświadczyła Sofia, ocierając wilgotne czoło i zdejmując dżokejkę.

- Świetny pomysł - ucieszył się Santi. - Dołączę do ciebie. Grasz teraz znacznie lepiej niż wtedy, gdy ostatni raz widziałem cię na boisku. Nie dziwię się, że Paco na stałe włączył cię do drużyny.

- Tylko w meczach rodzinnych.

- I tak powinno być - odpowiedział Santi.

Rafael i Agustin serdecznie pokleпали kuzyna po plecach i zaczęli jak zwykle żartować. Wszyscy zdążyli już zapomnieć, że Santiiego nie było z nimi przez prawie dwa lata, i życie potoczyło się dalej.

- Do zobaczenia na basenie! - zawołał Fernando, zbierając swój sprzęt i wrzucając go na tylne siedzenie dżipa. Chwilę patrzył, jak jego brat odchodzi razem z kuzynami, i pożałował, że za pomocą czarów nie może odesłać go z powrotem do Ameryki. Kiedy Santiiego nie było, wszystko świetnie się układało, lecz teraz rodzina i znajomi znowu zaczną okazywać Santiemu uwielbienie i postawią go na przeklętym piedestale. Fernando przełknął złość i usiadł za kierownicą. Sebastian, Niquito i Angel ruszyli w stronę swoich domów, po drugiej stronie parku, głośno umawiając się na spotkanie nad basenem.

Sofia rozebrała się w chłodnej, ciemnej sypialni, otuliła ręcznikiem i aleją między drzewami poszła w stronę basenu otoczonego wysokimi platanami i topolami, położonego na szczycie niewielkiego wzgórza. W wilgotnym powietrzu wisiał zapach eukaliptusa i świeżo skoszonej trawy. Sofia przypomniała sobie opowieść Santiago i uważnie rozejrzała się dookoła, ciesząc się pięknem krajobrazu. Odrzuciła ręcznik i zanurkowała nago, przebijając lśniąca jak lustrzana tafla powierzchnię, nad którą unosiły się chmury komarów i małych muszek. Po chwili usłyszała głębokie, niskie głosy kuzynów i braci, którzy właśnie zbliżali się do basenu. Sebastian ryknął coś głośno i nagle spokój, którym się delektowała, zniknął bezpowrotnie.

- Hej, Sofia jest naga! - oznajmił wszem i wobec Fernando, zauważywszy jasną plamę ciała kuzynki pod powierzchnią wody.

Rafael rzucił jej pełne dezaprobaty spojrzenie.

- Jesteś już trochę za duża na kąpanie się nago - skarcił siostrę.

- Och, nie psuj miłej atmosfery! - odrzyknęła Sofia, bynajmniej nie zawstydzona. - Jest cudownie! Wiem, że sam miałbyś ochotę popływać nago!

I roześmiała się złośliwie.

- Jakie to ma znaczenie, przecież wszyscy jesteśmy kuzynami - powiedział Agustin, zdejmując szorty i bez kąpielówek rzucając się do wody. - Zresztą Sofia i tak nie jest warta uważnej obserwacji... - dodał, kiedy wypłynął na powierzchnię.

- Mam na uwadze honor mojej siostry - rzekł Rafael.

- Straciła go dawno temu, z Robertem Lobitem! - Fernando zaśmiał się, podskakując na brzegu. Jego białe pośladki zabawnie kontrastowały z brązowymi nogami i plecami.

- Jak sobie chcesz. Sofio - westchnął Rafael. - Tylko nie narzekaj, kiedy mama zrobi ci awanturę!

- A kto poleci do niej z jęzorem? - parsknęła i zaczęła ochlapywać chłopców wodą.

Santi zdjął szorty i stanął na krawędzi basenu zupełnie nagi. Sofia nie mogła oderwać od niego wzroku, kiedy trwał tak nie ruchomo, z dłońmi opartymi na biodrach. Jej spojrzenie z zaciekawieniem spoczęło na tej części jego ciała, którą zawsze sobie wyobrażała, lecz której nigdy dotąd nie widziała. Widziała ojca, braci i kuzynów bez ubrania, ale w nagości Santiago było coś, co budziło jej podziw. Jego penis zwisał przed jej oczami, był trochę większy, niż się spodziewała. Potem przeniosła wzrok na twarz Santiago i zorientowała się, że on ją obserwuje. W jego oczach dostrzegła gniew. Zmarszczyła brwi, usiłując odgadnąć, o co mu chodzi. Santi skoczył do wody, aby jak najszybciej wyrzucić z myśli obraz nagiej Sofii w ramionach Roberta Lobita.

Sofia pływała spokojnie, udając, że nie zauważa Santięgo, i od czasu do czasu bez entuzjazmu ochlapwała kuzynów. Zupełnie nie rozumiała, co może być przyczyną jego złości. Co takiego zrobiła? Niepokój stłumił jej radość i pogrążył w dziwnym przygnębieniu.

Nagle Rafael dał znak, że do basenu zbliża się Anna.

- Lepiej schowaj się pod wodą. Sofio - szepnął. - Spróbuję się jej pozbyć, ale nie pokazuj się...

- Nie do wiary! - jęknęła Sofia. - Ta kobieta jest strasznie uciążliwa!

Przywarła do ściany basenu i ukryła głowę pod powierzchnią.

- Halo, chłopcy, nie widzieliście Sofii? - zapytała Anna, badając wzrokiem ich twarze.

- Grała z nami w polo, a potem poszła do domu - poważnie odparł Agustin. - Nie widzieliśmy jej, mamo.

- Tutaj jej nie ma - dodał Sebastian.

Anna zauważyła, że wszyscy są nadzy i jej blade policzki za płonęły rumieńcem.

- Mam nadzieję, że nie - odrzekła ostro, chociaż w gruncie rzeczy wcale nie byłaby zaskoczona, gdyby zastała Sofię wśród chłopców.

Zaraz jednak uśmiechnęła się do nich spod szerokiego ronda kapelusza i poleciła, by kazali Sofii wracać do domu, jeśli ją zobaczą. Kiedy odeszła, dziewczyna wychynęła na powierzchnię, prychając i z trudem łapiąc oddech.

- Mało brakowało, głupia! - zdenerwował się Rafael. - Nigdy nie wiesz, kiedy przestać, co?

Sofia wybuchnęła śmiechem.

Santi obserwował ją z drugiego końca basenu, przepełniony niezrozumiałą dla niego samego zazdrością. Przyszło mu do głowy, że wcale nie chce, aby Sofia pływała nago w obecności wszystkich chłopców. Miał ochotę uderzyć ją za to, że umawiała się z Robertem Lobitem. Dlaczego ze wszystkich mężczyzn wybrała akurat tego, na miłość boską?

Rozdział szesnasty

Następnego dnia Santi obudził się z wrażeniem, że przestając kontrolować swoje uczucia, zrobił coś niewybaczalnie głupiego. Co mnie obchodzi, z kim umawia się Sofia, pomyślał i zaraz wytłumaczył sobie, iż wpadł w złość, ponieważ zawsze traktował dziewczynę jak siostrę i uważał, że powinien się nią opiekować. W tej samej chwili znowu

wyobraził sobie nagą Sofię w objęciach Roberta i ogarnęła go fala mdłości tak silnych, że musiał usiąść. Do cholery, niech umawia się, z kim chce, byle nie z Robertem Lobitem...

Roberto był dwa lata starszy od Santiiego i uważał się za najlepszą partię od czasów Retta Butlera. Przechadzał się po farmie z miną feudalnego władcy i na domiar złego jeździł imponującym wozem sprowadzonym z Niemiec. Cło importowe było tak wysokie, że prawie nikt nie mógł pozwolić sobie na zakup takiego samochodu, ale ojca Roberta najwyraźniej było na to stać. Santi nienawidził Roberta Lobita. Dlaczego ten nadęty drań przyczepił się właśnie do Sofii?

Zanim wstał z łóżka, było już gorąco i duszno. Jego podniecenie z powodu powrotu do Santa Catalina opadło i pozostał tylko gorzki smak nowiny o związku Roberta i Sofii. Niechętnie wyszedł na taras, gdzie Maria jadła śniadanie w promieniach słońca. Niby od niechcenia zapytał ją, od jak dawna Sofia widuje się z Robertem, udając, że uważa ich za doskonałą parę.

- Wyjątkowo do siebie pasują - powiedział swobodnie, chociaż w gardle ścisnęło go z wściekłości. - No i obydwójce dobrze grają w polo... Sądzę, że niewielu mężczyzn może się pochwalić taką dziewczyną.

Maria, która zupełnie nie wyczuła nastroju brata, przytaknęła z entuzjazmem i poinformowała go, że w ciągu ubiegłych ośmiu miesięcy Sofia i Roberto większość weekendów spędzili razem w Santa Catalina. Rzeczywiście stanowili niezwykle dopasowaną parę...

Santi pospiesznie zmienił temat. Nie mógłby znieść dłuższej rozmowy o Sofii i Robercie, a poza tym zupełnie stracił apetyt na śniadanie. Postanowił pójść do stajni i pogadać z Josem o kucach, może nawet wybrać się na przejażdżkę. Gotów był zrobić wszystko, byle tylko nie myśleć o tamtych dwojgu, a jednocześnie nie mógł się powstrzymać, aby nie wyobrazić sobie, jak śmieją się razem i - nie daj Boże! - całują. Czuł się naprawdę fatalnie. Miał ochotę wracać do Ameryki, uciekać od zazdrości, której nie potrafił nawet zdefiniować.

Rozmowa z Josem pomogła mu oderwać się na chwilę od tych przeklętych myśli, kiedy jednak wskoczył na siodło i wyjechał na boisko, aby poćwiczyć prowadzenie białej piłki, oczami wyobraźni znowu ujrzał twarz Sofii. Z całej siły uderzył piłkę, wyobrażając sobie, że to głowa Roberta Lobita, ale niezależnie od tego, jak mocno walił w nią kijem, nie był w stanie jej roztrzaskać.

Dopiero po paru chwilach zorientował się, że ktoś go obserwuje. Na płocie siedziała Sofia i nie spuszczała z niego oka. Postanowił nie zwracać na nią uwagi i przez jakiś czas udawało mu się to, ale w końcu podjechał do niej truchtem, starając się uspokoić gorączkowe bicie serca. Doszedł do wniosku, że powie jej, co myśli o Robercie Lobicie.

Sofia uśmiechnęła się niepewnie. Wiedziała, że Santi jest na nią zły, i przez całą noc przewracała się z boku na bok, usiłując odgadnąć dlaczego. Kiedy się zbliżył, nerwowo przełknęła ślinę, czując, jak żołądek ścisną się jej boleśnie.

- Witaj - odezwała się i umilkła.

- Co robisz? - zapytał chłodno, nie zsiadając z kuca, który parsknął kilka razy i poderwał do góry głowę.

- Patrzę na ciebie.

- Dlaczego?

Westchnęła cicho.

- Co się stało? - zapytała żalnym tonem.

- Nic, zupełnie nic. Dlaczego uważasz, że coś się stało? Kuc przestąpił z nogi na nogę i znowu parsknął ze zniecierpliwieniem. Santi wyprostował się w siodle i zmierzył Sofię wyniosłym spojrzeniem.- Nie udawaj przede mną, Santi. Za dobrze się znamy na takie gierki.

- Nie bawię się z tobą w żadne gierki. Jestem wkurzony, to wszystko.

- Co takiego zrobiłam?

Santi uderzył językiem o podniebienie, jakby chciał powiedzieć, że to Sofia prowadzi z nim jakąś dziwną grę.

- Gniewasz się, że chodzę z Robertem Lobitem? - zapytała powoli.

- Dlaczego miałyby mnie to obchodzić? - W jego oczach po jawił się twardy błysk.

- Nie wiem, ale widzę, że tak jest.

- To twoja sprawa, z kim chodzisz, nie moja - oświadczył.

- Wygląda na to, że twoja także - odparła i szybko zeskoczyła z ogrodzenia. - Ale masz rację, rzeczywiście nie powinno cię to obchodzić...

Wzruszyła ramionami, jakby nagle zupełnie przestała się nim przejmować. Santi zsiadł z konia i chwycił ją za ramię, gdy odwróciła się, żeby odejść. Rzucił cugle, lekko popchnął Sofię na pień drzewa, ujął dłonią jej szyję i przycisnął gorące wargi do jej ust. Stało się to tak szybko, że kiedy oderwał się od niej, mamrocząc przeprosiny, nie była pewna, czy rzeczywiście ją pocałował. Chciała po wiedzieć, iż nie ma mu tego za złe i że ponad wszystko na świecie pragnie, aby pocałował ją jeszcze raz.

Gdy znowu znalazł się w siodle, przytrzymała cugle, przestraszona, że zostawi ją samą.

- Za każdym razem, kiedy Roberto mnie całuje, zamykam oczy i wyobrażam sobie, że to ty - powiedziała drżącym głosem.

Spojrzał na nią niespokojnie. Gniew zniknął z jego twarzy, a zamiast niego pojawił się wyraz zagubienia. Potrząsnął głową, żałując, że usłyszał jej słowa.

- Boże, nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłem! - rzekł cicho, po czym zawrócił kuca i odjechał.

Sofia nadal stała pod drzewem, nieruchoma jak przerażony królik. Santi nawet się nie obejrzał. Podniosła rękę i przesunęła palcem po wargach, jakby pragnęła się upewnić, że naprawdę ją pocałował. Delikatna skóra była jeszcze wilgotna. Miała wrażenie, iż nogi uginają się pod nią, dziwnie bezwładne i słabe. Chciała pobiec za Santim, ale zabrakło jej odwagi. Pocałował ją... Marzyła o tej chwili, tyle że w snach trwała ona o wiele dłużej. Ale jednak był to pocałunek, jakiś początek...Kiedy odzyskała siły i mogła się poruszyć, niepewnym krokiem ruszyła w kierunku domu. Jej serce przepełniała nadzieja. Santi był zazdrosny o Roberta Lobita! Roześmiała się pogodnie, nie mogąc w to uwierzyć. Czy to możliwe, że Santi także ją kocha? Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie, wiedziała jednak, że musi jak najszybciej zerwać z Robertem.

Natychmiast po przyjeździe do domu zadzwoniła do La Paz i po wiedziała Robertowi, że nie może dłużej być jego dziewczyną. Po drugiej stronie zapadło ciężkie milczenie. Dla Roberta było to zupełnie nowe doświadczenie - dotąd żadna dziewczyna go nie rzuciła, więc po prostu nie mógł tego zrozumieć. Zapytał, czy Sofia dobrze się czuje, ponieważ był przekonany, że bredzi w gorączce, ona jednak odparła chłodno, iż nic jej nie jest, ale między nimi wszystko skończone.

- Popelniasz ogromny błąd - odezwał się Roberto. - Zapamiętaj moje słowa - kiedy oprzytomniejesz i zechcesz do mnie wrócić, nie zgodzę się. Rozumiesz? Nie zgodzę się.

- W porządku - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Myślała, że jej zerwanie z Robertem uszczęśliwi Santię, lecz tak się nie stało. Santi nadal ją ignorował i wszystko wskazywało na to, że ich przyjaźń należy do przeszłości. Czyżby zapomniał o pocałunku? Ona nie zapomniała, nigdy o nim nie zapomni. Wystarczyło, że zamknęła oczy i już czuła dotyk jego warg. Nie mogła zwierzyć się Marii, więc poskarżyła się Soledad, która zawsze była gotowa ją wysłuchać. Oczywiście, jej rady nie mogły w niczym pomóc, ale słuchała uważnie, w skupieniu, pełna współczucia i miłości do swojej dziewczynki. Sofia powiedziała jej, że Santi traktuje ją jak powietrze, zupełnie inaczej niż kiedyś, i wylała mnóstwo łez, przytulona do piersi pokojówki. Soledad kołysała ją łagodnie w ramionach i cierpliwie powtarzała, że chłopcy w wieku Santię wolą zadawać się z kolegami lub dziewczynami, w których są zadurzeni. Ponieważ Sofia nie na leżała do żadnej z tych dwóch kategorii, mogła tylko czekać.

- Kiedy dorosnie, znowu zaczniesz zachowywać się normalnie. Nie martw się, skarbie, znajdziesz sobie innego chłopca i przestaniesz przejmować się seniorem Santię.

Ostatnie wydarzenia sprawiły Fernanda w najprawdziwszą furję. Jak Sofia śmiała zerwać z Robertem Lobitem, jego najlepszym przyjacielem? Jeżeli zniszczyła ich przyjaźń, nigdy jej tego nie wybaczy. Czy ta dziewczyna nie zdawała sobie sprawy, że wszystkie kobiety uganiały się za Robertem? Czy wiedziała, co traci? Samolubna suka! Jak zwykle myślała tylko o sobie.

Fernando zaczął częściej niż zwykle zapraszać Roberta do Santa Catalina, a robił to z dwóch powodów. Po pierwsze, niepokoił się, że to, co zrobiła Sofia, może zaszkodzić jego przyjaźni z Robertem, a po drugie, lubił patrzeć, jak Sofia z wyraźnym skrępowaniem unika jego przyjaciela. Złośliwie oprowadzał Roberta po całej farmie, zdecydowany pokazać Sofii, jak głupio postąpiła. Obraziła Roberta, a więc tym samym i jego, Fernanda. Roberto wykorzystywał lojalność Fernanda i flirtował z innymi dziewczętami na oczach Sofii, chcąc jej pokazać, że już o niej zapomniał. W rzeczywistości było zupełnie inaczej - wcale nie zapomniał o Sofii, nadal o niej myślał.

Zmęczona tym wszystkim, Sofia szukała schronienia we własnym świecie. Często całymi godzinami jeździła konno lub chodziła na długie spacerunki po pampie. Maria towarzyszyła przyjaciółce, kiedy tylko ta jej pozwalała, miała jednak świadomość, że Sofia coś przed nią ukrywa. Smuciło ją to i bezskutecznie usiłowała wkupić się w jej łaski. Uśmiechała się pogodnie, chociaż czuła się odrzucona i niepotrzebna. W przeszłości Sofia nieraz się dąsała, ale nigdy nie trwało to długo. Maria zawsze była jej współniczką, sojuszniczką w walce z całym światem, lecz teraz Sofia najwyraźniej chciała być sama.

Początkowo Santiemu dość łatwo przychodziło unikać Sofii. Zażenowany, że pozwolił swoim uczuciom wyrwać się spod kontroli, doszedł do wniosku, iż nie powinien jej widywać.

Wolał uwierzyć, że raczej jest chory niż zakochany w Sofii. Nie mógł przecież jej kochać, bo była jego siostrą, tak jak Maria... Takie uczucie prowadziłyby do kazirodztwa, był o tym głęboko przekonany. Kiedy przypominał sobie tamten pocałunek, skręcał się z poczucia winy.

Czy naprawdę ją pocałowałem? - pytał siebie podczas bezsennych nocy. Boże, dlaczego to zrobiłem? Co ona teraz o mnie myśli?

Liczył, że z czasem wszystko się jakoś ułoży. Sofia była za młoda, żeby wiedzieć, czego naprawdę chce, to on powinien być odpowiedzialny za nich dwoje. Wiedział, że Sofia patrzy w niego jak w obraz. Był od niej starszy i znał ewentualne konsekwencje takiego związku. Raz po raz powtarzał sobie, że musi dorosnąć i przestać myśleć o niej w ten sposób.

Trzymał się teraz z chłopcami. Chodzili po farmie w grupie, jak stado psów, bezustannie szukając jakiejś nowości. Mimo to Santi ciągle miał nadzieję, że zobaczy Sofię nad basenem albo na korcie tenisowym, i stale walczył z rozczarowaniem. Czuł się spokojniejszy, kiedy Sofia znajdowała się w pobliżu, bo wtedy przynajmniej mógł mieć ją na oku. Wiedział, że rodziny nigdy nie zgodzą się na ich związek. Już słyszał przemowę ojca, tę zaczynającą się od słów: „Masz przed sobą jasną przyszłość...” Wyobraźnia podstępnie podsuwała mu obraz wstrząśniętej twarzy matki, lecz jego ciało mimo wszystko tęskniło za Sofią, a ta tęsknota powoli podkopywała jego siły.

W końcu Santi zrozumiał, że nie jest już w stanie walczyć i że musi porozmawiać z Sofią, wyjaśnić jej wszystko, powiedzieć, iż tamten pocałunek był szaleństwem. Wyzna, że wziął ją za kogoś innego, zrobi, co w jego mocy, by ukryć przed nią prawdę...

Maria siedziała na tarasie i bawiła się z Panchitem oraz jednym z jego małych przyjaciół, kiedy Santi zapytał ją, czy nie widziała Sofii. Przecząco pokręciła głową i wymamrotała, że Sofia od paru dni zachowuje się jak obca osoba. W tej samej chwili Chiquita wyszła na taras z koszem pełnym zabawek i poprosiła Santię, by pogodził się z Sofią.

- Ależ my się wcale nie pokłóciliśmy! - zaprotestował chłopak.

Matka spojrzała na niego z mocno niedowierzającym wyrazem twarzy.

- Ignorujesz ją od swojego przyjazdu, a ona tak na ciebie czekała... Może denerwuje się z powodu tej historii z Robertem Lobitem, kto wie. Idź i rozmów się z nią, Santi.

Maria wzięła kosz z rąk matki i wysypała jego zawartość na podłogę. Panchito zapiszczał z zachwytem.

Santi znalazł Sofię, zaczytaną, pod gałęziami ambu. Jej kucyk drzemał w cieniu. Było parno. Zasnuwające część nieba ciemne chmury wędrowały w kierunku linii horyzontu. Kiedy Sofia usłyszała kroki Santię, odłożyła książkę i podniosła wzrok.

- Byłem przekonany, że cię tu znajdę - powiedział.

- Czego chcesz? - zapytała agresywnie i natychmiast pożałowała, iż odezwała się do niego takim tonem.

- Przyszedłem porozmawiać.

- O czym?

- Nie możemy zachowywać się tak w nieskończoność, prawda? - Usiadł obok niej.

- Chyba nie...

Długą chwilę siedzieli w milczeniu. Sofia wspominała pocałunek Santię i myślała, że dałaby wszystko, by znowu ją pocałował.

- Tamtego dnia... - zaczęła.

- Wiem - przerwał jej, usiłując pochwycić uciekające słowa, które wcześniej sobie przygotował.

- Chciałam, żebyś to zrobił.

- Mówiłaś już. - Otarł z czoła krople chłodnego potu.

- Dlaczego wtedy odjechałeś?

- Bo to niemożliwe, Chofi. Nic z tego nie będzie. Jesteśmy stryjecznym rodzeństwem, to zbyt bliskie pokrewieństwo. Co powiedzieliby nasi rodzice?

Ukrył twarz w dłoniach. Gardził sobą za tę słabość. Dlaczego nie mógł powiedzieć jej zdecydowanym tonem, że darzy ją jedynie braterskim uczuciem, a tamta chwila była pomyłką?

- Nie dbam, co powiedzą - mruknęła. - Nigdy nie dbałam. Zresztą, kto miałby im o nas donieść?

Nagle niemożliwe stało się możliwe, bo Santi wcale nie powiedział, że jej nie chce. Objęła go ręką i oparła głowę na jego ramieniu.

- Santi, od tak dawna cię kocham...

Słowa, które tak często powtarzała sobie w myśli, zostały teraz wypowiedziane szczerze i z głębi serca. Santi podniósł głowę i otoczył ją ramionami, wtulając twarz w jej włosy. Długo siedzieli bez ruchu, wsłuchani w swoje oddechy, nie wiedząc, co mają teraz zrobić.

- Próbowałem sobie wmówić, że nic do ciebie nie czuję - odezwał się w końcu i natychmiast zrozumiał, że powinien był wcześniej ulżyć swemu sumieniu.

- Ale czujesz - powiedziała z radością.

- Niestety tak, Chofi. - Bawił się jej warkoczem. - W Ameryce dużo o tobie myślałem...

- Naprawdę? - wyszeptała.

- Tak. Sądziłem, że wcale nie będę za tobą tęsknił, lecz to był tylko dowód, jak mało znałem samego siebie. Zupełnie nie rozumiałem swoich uczuć...

- Kiedy pojąłeś, że mnie kochasz? - zapytała nieśmiało.

- Dopiero wtedy, gdy cię pocałowałem. Nie miałem pojęcia, dlaczego nie mogę znieść myśli o tym, że spotykasz się z Robertem Lobitem. Chyba nie chciałem się nad tym zastanawiać, bo obawiałem się odpowiedzi...

- Byłam bardzo zaskoczona, że mnie pocałowałeś. - Uśmiechnęła się lekko.

- Nie bardziej ode mnie, możesz mi wierzyć.

- Wstydziliście się tego, co czujecie?

- Bardzo.

- I gdybyś pocałował mnie jeszcze raz, też byś się wstydził? - Zabawnie zmarszczyła nos, modląc się w duchu, żeby spróbował to zrobić.

- Nie wiem. To... To skomplikowane.

- Nie lubię prostych sytuacji.

- To dla mnie żadna nowina, Chofi. Tak czy inaczej, chyba nie zdajesz sobie sprawy, jakie znaczenie może mieć nasz pocałunek.

- Mylisz się.

- Jesteś córką mojego stryja - rzekł z żalem.

- I co z tego? - zapytała beztrząsco. - Co z tego? Liczy się tylko to, że nie jesteśmy sobie obojętni, możemy dać sobie szczęście i uczymy się, jak żyć terazniejszością. Co może być lepszym sprawdzianem?

- Masz rację, Sofi.

Sofia zauważyła, że znowu spoważniał. Uwolniła się z jego ramion, odsunęła trochę i spojrzała na niego uważnie, szukając w jego twarzy wyjaśnienia. Santi podniósł rękę i lekko pogładził policzek dziewczyny, dotykając kciukiem jej drżących warg. Wpatrywał się w brązowe oczy, usiłując po raz ostatni pokonać kierujący nim impuls, lecz w końcu poddał się pożądaniu, które było o wiele potężniejsze od rozsądku. Gwałtownym ruchem przyciągnął ją do siebie i przycisnął miękkie, wilgotne wargi do jej ust. Sofia spazmatycznie wciągnęła powietrze, jakby ktoś nagle wepchnął jej głowę pod wodę. Wiele, wiele razy wyobrażała sobie tę scenę, a jednak nie przewidziała dziwnego uczucia, które zmieniło całe jej ciało w jakąś pianistą substancję. Pocałunek Santiiego w niczym nie przypominał pieszczot Roberta Lobita, którego wysiłki wydały jej się teraz śmiesznie prymitywne i nie naturalne. Cofnęła się na chwilę, żeby złapać oddech, zaskoczona tak silnymi emocjami, zaraz jednak rozpoznała tęsknotę w jego oczach i w gorączkowym biciu swego serca i znowu ofiarowała mu usta. W tej chwili zrozumiała, o czym mówiła opowiedziana przez Santiiego historia, i pojęła, że naprawdę żyje terazniejszością, z radością smakując każde nowe doznanie. Santi czule całował jej skronie, powieki i czoło. Trzymał drobną twarz w dłoniach i pieścił skórę palcami.

Sofia miała wrażenie, że jego ramiona otaczają ją całą, że tonie w fascynującym zapachu jego skóry. Żadne z nich nie zwracało uwagi na ciemne chmury, zbierające się nad głowami. Całkowicie pochłonięci sobą, nie poczuli pierwszych kropli deszczu, który wkrótce zmienił się w ulewę, bezlitośnie chłuszczącą ich ciała, kiedy przywarli do pnia.

Rozdział siedemnasty

Następnych kilka dni spowijała cudowna mgiełka zakazanych, kradzionych chwil. Życie na farmie toczyło się zupełnie normalnie, lecz dla Santiiego i Sofii każda minuta była święta, każdą chwilę samotności wykorzystywali na pospieszne pocałunki, kryjąc się za zamkniętymi drzwiami, za drzewami lub krzewami, a także w basenie. Czuli, że Santa Catalina nigdy do tąd nie wibrowała tak intensywnym pięknem i życiodajną siłą.

Często oboje o świcie siodłali konie i jechali do drzewa ambu. Kładli się w cieniu rozłożystych gałęzi i świętowali poranek swojej miłości pocałunkami i delikatnymi pieszczotami.

Santi wyjmował scyzoryk i godzinami zabawiali się wycinaniem swoich imion oraz zakodowanych wiadomości w zielonej korze. Wspinali się na najwyższe gałęzie starego drzewa, które dla nich było symbolem Argentyny, i obserwowali stada kucyków, pasących się na suchych łąkach. Czasami widzieli podróżujących konno gauczów, którzy niespiesznie podążali wąskimi drożynami, ubrani w tradycyjne szerokie bombachas, wysokie buty i zdobione srebrnymi monetami pasy. Wieczorami, w swojej ulubionej porze dnia, siadali na pachnącej trawie, wpatrywali się w ogromny horyzont i pozwalali, by ogarnęła ich melancholijna atmosfera zachodu słońca.

Teraz wszystko nappełniało Sofię radością, cieszyły ją nawet takie drobiazgi, jak wysypywanie na trawę przygotowanych przez Soledad okruchów dla ptaków. Rozkwitała, ponieważ Santi ją kochał i chwilami miała wrażenie, że jej serce aż do bólu wypełnia miłość, jaką do niego czuła. Niepokoiła się, że ktoś zauważy, co się z nią dzieje, ponieważ nie chodziła, lecz tańczyła, i nie mówiła, lecz śpiewała. Całe jej ciało wibrowało miłością. Teraz rozumiała, dlaczego ludzie dla miłości są gotowi zrobić wszystko, nawet zabić.

Najważniejsze było to, że stosunki Sofii z matką bardzo się poprawiły. Dziewczyna stała się nową osobą, zawsze chętną do pomocy, uważną i mniej skupioną na sobie.

- Można by pomyśleć, że Sofia jest zakochana - zauważyła Anna pewnego dnia przy śniadaniu, zaraz po tym, jak jej córka z niezwykłą u niej cierpliwością i wyrozumiałością zgodziła się udzielić małemu Panchicie dodatkowych lekcji angielskiego.

- Ona jest zakochana, mamó - rzucił nonszalancko Agustin, mieszając kawę.

- Naprawdę? - ucieszyła się Anna. - Ale w kim, na Boga?

- W sobie - wtrącił szybko Rafael.

- Nie bądź złośliwy! W tej chwili Sofia bardzo się stara być miła, więc nie zepsujcie tego, ciągle jej dogryzając, dobrze?

O wiele bardziej niż Sofia interesowała ją w tej chwili piękna Jasmina, dziewczyna Rafaela, której ojciec, stawny Ignacio Pena, był najlepiej zarabiającym adwokatem w Buenos Aires. Anna uważała, że dziewczyna z tak znakomitej rodziny będzie idealną żoną dla jej syna, a ich związek stanie się powodem do dumy dla niej i dla męża. Znała seniorę Penę, która była zagorzałą katoliczką - w czasie spędzanych w mieście weekendów czasami spotykała ją na mszy. Anna doszła nawet do wniosku, że powinna częściej chodzić do kościoła, ponieważ nawiązanie bliższej znajomości z seniora Peną może mieć wpływ na przyszłość syna.

- Na miłość boską, co ty sobie myślisz, Agustin? - wybuchnął Rafael, kiedy matka skończyła śniadanie i udała się do siebie. - Dlaczego powiedziałeś jej, że Sofia jest zakochana? Oszalałeś?

- Uspokój się. Rafa - zaprotestował Agustin. - Przecież to szczerą prawdą...

- Czasami lepiej jest skłamać.

- Nie przejmuj się tak. Sofia przeżywa cielecą miłość, nic więcej. - Być może, ale wiesz, jaka jest mama. Nie pamiętasz, jak zareagowała na wiadomość o ślubie Joaca Santa Cruz z jego cioteczną siostrą?

- Sofia na pewno nie wyjdzie za Santię - mruknął Agustin. - Biedaczka! Santi po prostu stara się sprawić jej przyjemność, jak szczeniakowi, który ciągle patrzy w oczy i popiskuje...

- Nieważne. - Rafael machnął ręką. - W każdym razie zastanów się trochę, zanim następnym razem otworzysz jadaczkę!

Miłosna historia między Santim a Sofią rozwijała się niepostrzeżenie. Nawet ci, którzy coś podejrzewali, jak Rafael i Agustin, lekceważyli sytuację, przypisując to, co dostrzegali, cielecemu zauroczeniu. Santi i Sofia spędzali ze sobą dużo czasu, ale w gruncie rzeczy nie było w tym nic nadzwyczajnego. Nawet kiedy wymieniali spojrzenia i gesty, nikt nie zwracał na to uwagi, ponieważ ich znaczenie znali tylko oni dwoje. Żyli w świecie marzeń, istniejącym równolegle do realnego świata, lecz wibrującym zupełnie odmiennym rytmem. Wydawało im się, że nic nie może ich dotknąć, a już z całą pewnością nic i nikt nie może zniszczyć ich miłości. Dla nich liczyła się tylko teraźniejszość.

Nadszedł sezon meczów polo, ale Sofia przestała się już zamartwiać, czy ojciec pozwoli jej wyjechać na boisko. W styczniu i lutym prawie zupełnie zarzuciła treningi pod okiem Josego, natomiast coraz więcej czasu spędzała z Soledad, piekąc ciasta, które później z dumą zanosila do domu Chiquity na podwieczorek. Nie walczyła już z matką i zaczęła prosić ją o radę w sprawie makijażu i strojów. Uszczęśliwiona Anna nabrała przekonania, że córka ma już za sobą trudny etap dorastania. Sofia nie pływała nago w basenie, nie manifestowała złych nastrojów i nie kaprysiła, nic więc dziwnego, że nawet Paco, zawsze niezwykle pobłażliwy wobec córki, zauważył, że Sofia wyraźnie zmienia się na lepsze.

- Sofio! - zawołała Anna z sypialni.

Łał deszcz, gęsty i nieustępliwy. Anna skrzywiła się, zamknęła okna i westchnęła z irytacją na widok sporej kałuży wody na podłodze.

- Soledad! - krzyknęła.

Sofia i Soledad weszły do jej pokoju w tej samej chwili.

- Soledad, wytrzymaj tu podłogę, proszę. Przy takiej ulewie trzeba zamykać okna w całym domu. Boże, zrobiło się tak ciemno, jakby zbliżał się koniec świata...

Soledad bez pośpiechu poszła do kuchni po wiadro i gąbkę, natomiast Sofia padła na łóżko matki i wyjęła z kieszeni buteleczkę różowego lakieru do paznokci.

- Podoba ci się ten kolor? - zapytała po angielsku.

- Moja matka nie znosiła, kiedy malowałam sobie paznokcie. - Anna uśmiechnęła się lekko na to wspomnienie. - Uważała, że polakierowane wyglądają wulgarnie...

- Bo to prawda. - Sofia się roześmiała. - I dlatego jest to takie seksowne!

- Jeżeli pomalujesz je szybko i nieuważnie, będą do niczego, dziewczyno! Zaczekaj, daj mi ten lakier! Pamiętaj, najlepiej poprosić kogoś o tę przysługę.

Sofia przyglądała się, jak matka przytrzymuje jej dłoń i starannie pokrywa paznokcie warstwą lakieru. Nie pamiętała, aby Anna kiedykolwiek poświęciła jej tyle uwagi.

- Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobiła. Sofio - odezwała się Anna.

- Co takiego? - zapytała Sofia niechętnie, mając nadzieję, że spełnienie tej prośby nie będzie oznaczało choćby najkrótszego rozstania z Santim.

- Antonio przyjeżdża dziś z Buenos Aires autobusem o czwartej po południu. Może zapytasz Santiago, czy mógłby po niego wyjechać? Wiem, że to nic przyjemnego, ale ani Rafa, ani Agustin nie mogą tego zrobić...

- Och, to żaden problem. Santi nie będzie miał nic przeciwko temu. - Sofia powiedziała to niedbałym tonem, starając się ukryć podniecenie. - Możemy pojechać we dwoje. Po co Antonio wybierał się do Buenos Aires?

Może uda nam się spędzić popołudnie nad jeziorem, tylko we dwoje, pomyślała. Mam nadzieję, że Maria nie będzie chciała z nami jechać...

- Musiał zgłosić się do szpitala, biedny staruszek. Biodro znowu mu dokucza.

- Ach, tak... - mruknęła Sofia z roztargnieniem.

W myślach była już razem z Santim nad jeziorem.

- Dziękuję ci. Sofio, jesteś kochana. Robi mi się zimno na myśl, że musiałabym wyjść w ten deszcz.

- Ja uwielbiam taką pogodę!

- Chyba dlatego, że nie musiałaś znosić jej przez większą część życia.

- Tęsknisz za Irlandią?

- Nie. Wyjeżdżałam stamtąd z radością, a teraz... Cóż, mieszkam tu od tak dawna, że nawet gdybym kiedyś tam wróciła, na pewno czułabym się obco.

- Ja na pewno bardzo tęskniłabym za Argentyną. - Sofia podniosła rękę i podziwiała świeżo pomalowane paznokcie.

- To zrozumiałe - odparła Anna, zaskakując samą siebie. - Santa Catalina jest wyjątkowym miejscem i twoim domem...

Zawsze zazdrościła córce poczucia przynależności, ponieważ sama musiała o nie walczyć. Spojrzała na promienną twarz Sofii i nagle zrozumiała, że jest z niej dumna.

- Wiem o tym - westchnęła Sofia. - Kocham nasz dom, mamó. Szkoda, że muszę wracać do Buenos Aires.

- Czasami wszyscy robimy rzeczy, na które nie mamy ochoty, ale najczęściej wychodzi nam to na dobre. - Anna uśmiechnęła się lekko i zakręciła buteleczkę z lakierem. - Kiedyś sama się o tym przekonasz. No, proszę bardzo! Wyglądasz teraz jak stuprocentowa panienka lekkich obyczajów! - zażartowała.

- Dziękuję, mamó!

- Nie rozmaż lakieru!

- Muszę znaleźć Santiago i powiedzieć mu, że mamy jechać po Antonia. - Dziewczyna zeskoczyła z łóżka i otworzyła drzwi.

Po drodze minęła zasapaną Soledad, objuczoną przyniesionymi z dołu szczotkami i wiadrem.

Santi był zachwycony perspektywą popołudnia z Sofią. Mieli pewne wyrzuty sumienia, postanowili jednak nie mówić nic Marii, która w salonie bawiła się z Panchitem, dotrzymując towarzystwa matce i jej przyjaciółce Lii. Pobiegli przez deszcz i podekscytowani, a także przemoczeni do suchej nitki, bez tchu dopadli do terenowego samochodu. Wyjechali o wpół do trzeciej, aby mieć trochę czasu dla siebie przed odebraniem

Antonia z przystanku autobusowego. Koła samochodu rozpryskiwały błoto, deszcz padał, Santi włączył radio i obydwoje zaczęli podśpiewywać razem z Johnem Denverem. Sofia położyła rękę na wilgotnym kolanie Santiago. Żadne nie czuło potrzeby rozmowy, woleli w milczeniu cieszyć się wzajemną bliskością.

Pueblo było wyludnione. Jakiś przerdzewiały samochód bardzo powoli brnął przed nimi dookoła skweru. Kilka sklepów, między innymi z artykułami metalowymi i spożywczymi, były zamknięte na czas popołudniowej sjeisty. Stary człowiek w brązowym, znoszonym kapeluszu siedział na ławce pośrodku skweru, jakby nie zauważył, że pada. Nawet psy pochowały się gdzieś przed ulewą. Kiedy mijali kościół Nuestra Señora de la Asuncion, mimo woli poszukali wzrokiem rozplotkowanych staruszek, ubranych na czarno, które dziadek Dwyer zawsze nazywał „wronami”, lecz one także nie odważyły się opuścić domów.

Powoli przejechali przez miasteczko. Drogę dookoła skweru pokryto asfaltem kilka lat temu, lecz wszystkie inne uliczki nie były nawet wybrukowane. Minąwszy skwer, wkrótce

znaleźli się na otwartej drodze, biegnącej wzdłuż jeziora. Santi zwolnił i wreszcie zatrzymał się w ustronnym miejscu pod drzewami.

- Chodźmy na spacer w deszczu - zaproponowała Sofia, wysiadając z samochodu.

Trzymając się za ręce, ze śmiechem wybiegli spod drzewa prosto w deszcz, lecz zaraz ukryli się pod następnym, ponieważ znowu rozpętała się ulewa. Rozejrzeli się dookoła, świadomi, że w tak małej miejscowości członkom dobrze wszystkim znanej rodziny Solanas trudno jest nie zwrócić na siebie uwagi, ale w pobliżu nie było żywego ducha. Santi lekko popchnął Sofię na pień drzewa i zaczął całować jej szyję. Po chwili cofnął się i spojrzał na nią z czułością. Jej włosy ociekały wodą, policzki były zaróżowione, a kąciki ust unosiły się w pogodnym uśmiechu. Miała duże, szerokie wargi. Santi uwielbiał ich kształt i zmienność wyrazu, gdy w ciągu jednej sekundy wydawały się to lekko odęte, to sarkastycznie skrzywione. Były piękne nawet wtedy, gdy drżały w gniewie. Deszcz skapywał z liści dużymi, ciężkimi kroplami, lecz powietrze było ciepłe i parne. Santi otoczył dłońmi talię Sofii i przyciągnął ją do siebie. Czuła, jak napina się materiał jego dżinsów, i wiedziała, że jest bardzo podniecony.

- Chcę się z tobą kochać, Sofii - powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

- Nie możemy - zaśmiała się gardłowo. - Nie tutaj. Nie teraz...

Nieco sztuczną wesołością usiłowała zamaskować lęk, który sprawiał, że wargi jej drżały i krew odpływała z policzków. Pragnęła, by Santi kochał się z nią od chwili, gdy dwa lata temu uświadomiła sobie, że go kocha, ale teraz, kiedy wreszcie miało się to zdarzyć, przestraszyła się.

- Nie, nie tutaj. - Ujął jej rękę i przycisnął wilgotne wargi do otwartej dłoni, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z twarzy dziewczyny. - Postaram się być bardzo delikatny. Kocham cię, Sofii.

- Dobrze... - szepnęła, zarumieniona i zdenerwowana tym, co miało nastąpić.

Santi zaprowadził ją do starego magazynu na łodzi, stojącego na brzegu laguny, wśród wysokiej trawy i kęp niskich krzewów, gdzie wily sobie gniazda czaple i warzęchy. Schronili się przed deszczem i śmiejąc się z własnego pośpiechu, opadli na stos pustych płóciennych worków. Światło przenikało do środka przez szczeliny między deskami, kładąc się lśniącymi pasmami na zakurzonej łodzi, która leżała na burcie, podobna do wyrzuconego na brzeg wieloryba. Słuchali stukotu kropli, uderzających o blaszany dach, i wdychali duszne powietrze, pachnące olejem silnikowym i słodką, gnijącą trawą. Sofia przytuliła się do Santiiego, drżąc nie z zimna, lecz ze zdenerwowania.

- Będę kochał cię bardzo, bardzo powoli, Sofii - odezwał się, całując jej skroń i czując sól na wargach.

- Nie wiem, co robić - powiedziała cicho.

Santi był wzruszony jej lękiem. Oto miał przy sobie dziewczynę, którą kochał mocniej niż kogokolwiek innego, odartą ze zwykłej arogancji i pewności siebie, onieśmiałoną i łagodną, taką, jaką była naprawdę. Sofię, której nie znał nikt poza nim.

- Nie musisz tego wiedzieć, kochanie - odparł głębokim, uspokajającym głosem i uśmiechnął się do niej. - To ja będę kochał ciebie, najdroższa.

Pragnąc zmniejszyć jej obawy, oparł się na łokciu, pogładził ją po twarzy i czubkiem palca obrysował kontur drżących warg.

Uśmiechnęła się nerwowo, zawstydzona intymnością jego gestów i siłą spojrzenia, które wydawało się przenikać aż do serca i duszy. Milczała. Nie wiedziała, co powiedzieć, wołała zresztą, aby ta wielka chwila nastąpiła w ciszy.

Santi pochylił głowę i czule ucałował jej powieki, nos, skronie, a w końcu usta. Przejechał językiem po wewnętrznej stronie jej warg i po dziąsłach. Potem ich usta złączyły się w głębokim pocałunku. Sofia westchnęła lekko, kiedy ręka Santiiego znalazła drogę pod jej mokrą koszulkę i rozpoczęła podróż przez brzuch w kierunku delikatnych piersi. Powoli zdjął z niej koszulkę i odsłonił nagi tors, jasny i drżący w mglistym świetle. Pokrywał pocałunkami szyję i ramiona, podczas gdy palce muskały puszyste, drobne włosy na jej podbrzuszu, stwardniałe, naprężone sutki i biodra, które uniosły się lekko w odpowiedzi na jego pieszczoty. Językiem drażnił piersi tak długo, aż przyjemność zmieniła się w ból, który odezwał się echem w odległym, sekretnym miejscu między udami. Mimo to Sofia wcale nie chciała, by przestał, ponieważ ten szczególny ból przeszywał ją rozkoszą.

Santi odnalazł guziki jej dzinsów i rozpiął je, Sofia zdjęła je szybko, razem z cienkimi białymi figami. Leżała teraz przed nim zupełnie naga. Pieścił ją delikatnie, czujnie obserwując wyraz twarzy. Policzki miała zaczerwienione i błyszczące, powieki zmysłowo ociężałe. Stała na progu kobiecości. Przekroczenie cienkiej granicy między światem dziecka a kobiety przydało Sofii niezwyklej urody, która przeświecała przez skórę jak złoty blask jesieni. Ręka Santiiego spoczęła między jej udami, w miejscu, którego tajemnicę odkryła sama podczas gorących nocy, kiedy tęsknota za nim popchnęła ją do samotnego doświadczenia seksualności. W tamtych chwilach Sofia wyobrażała sobie, że pieszczą ją palce ukochanego. W rzeczywistości jednak była to tylko marna namiastka wyśniewanej namiętności, która pomagała jej zwalczyć tęsknotę. Teraz, gdy ręce Santiiego w końcu ją odnalazły, z jej piersi wyrwało się głębokie westchnienie.

Na moment zatraciła się w przyjemności. Santi widział drobne krople potu gromadzące się w dolince między piersiami i na dumnym nosie. Sofia zamknęła oczy i wiedzioną instynktem, rozsunęła nogi. Nie mogąc dłużej znieść wielkiego napięcia, Santi usiadł, ściągnął koszulkę i zdjął dzinsy. Sofia wróciła z dalekiego miejsca, w którym przed sekundą przebywała, i szeroko otworzyła oczy na widok męskości, innej niż wtedy, nad basenem, bo rozbudzonej i zniecierpliwionej. Santi ujął jej dłoń i położył na swoim członku. Nie opierała się. Przyjrzała mu się badawczym spojrzeniem naukowca, przesuwając palcami po gorącej skórze, podnosząc lekko penis i dziwiąc się jego ciężarowi.

- Więc to właśnie rządzi życiem mężczyzn, tak? - zapytała, wypuszczając go z dłoni.

Santi zaśmiał się cicho. Potrząsnął głową, ponownie ujął jej rękę i pokazał, jak go pieścić. Potem sięgnął do kieszeni dżinsów i wyjął kwadratowy pakiecik. Wyjaśnił, jak ważne jest stosowanie odpowiednich środków zapobiegających. Nie chciał, aby zaszła w ciążę. Sofia ze śmiechem pomagała mu założyć prezerwatywę.

- A co, jeżeli ten biedaczek boi się ciemności? - zażartowała, widząc, że ze swoim brakiem doświadczenia bardziej mu przeszkadza, niż pomaga.

- Jesteś beznadziejną uczennicą - poskarżył się, z rozbawieniem odsuwając jej dłonie.

Zamknęła oczy w oczekiwaniu na ostry ból, lecz gdy Santi wszedł w nią, poczuła tylko wypełniające ją ciepło i nagły spokój. Przywarła do ciała kochanka i odrzuciła niewinność z entuzjazmem osoby nawróconej na nową wiarę. W Ameryce Santi kochał się z wieloma dziewczynami, ale z Sofią czuł się tak, jak by robił to pierwszy raz w życiu.

Kiedy wyszli na zewnątrz, deszcz już nie padał i słońce przeświecało przez chmury, sprawiając, że tafla jeziora lśniła jak dobrze wypolerowane srebro.

- Antonio! - Sofia nagle przypomniała sobie cel ich wyprawy. - Musimy odebrać go z przystanku!

Santi spojrział na zegarek. Mieli jeszcze piętnaście minut.

- Chcę całować cię przez cały czas, jaki możemy tu spędzić - powiedział, ponownie zamykając ją w objęciach.

Sofia spróbowała zakazanego owocu i jej pragnienia nabrały nowego wymiaru. Chciała kochać się z Santim jak najczęściej. Niełatwo było znaleźć ustronne, ukryte przed ludzkim wzrokiem miejsca, do których nie zaglądaliby gauczowie, krewni czy znajomi, ale, jak mawiał dziadek Dwyer, „dla chcącego nic trudnego”. Sofia i Santi pragnęli być ze sobą tak bardzo, że gdyby było trzeba, znaleźliby nawet wodę na pustyni.

Był luty, ostatni miesiąc długich letnich wakacji, więc cały czas spędzali na farmie. Szybko się przekonali, że w ciągu dnia prawie nie mają szans na intymne spotkania, których nie zakłócałby lęk przed przyłapaniem na gorącym uczynku. Od czasu do czasu, kiedy dorośli udawali się na popołudniową drzemkę w chłodnych pokojach, wykradali się na strych w domu Sofii, położony wystarczająco daleko od sypialni jej rodziców. Tam kochali się w rozleniwiającym upale, oddychając powietrzem przesiąkniętym zapachem jaśminu i siana. Na zewnątrz, w gałęziach rosnących tuż przy domu drzew, śpiewały ptaki, zwabione obietnicą okruchów, które prawie codziennie wysypywała dla nich Soledad. Najczęściej jednak Sofia i Santi kochali się w nocy - wymykali się ze swoich sypialni, gdy reszta rodziny pogrążona była w głębokim śnie, i cieszyli się sobą pod rozgwieżdżonym niebem, z którego zerkała na nich wszystkowiedzący księżyc.

Gdy fala namiętności opadała, rozmawiali o przyszłości, wspólnej przyszłości, która wydawała im się całkowicie poza ich zasięgiem, podobnie jak sunące po niebie chmury. Młodzi kochankowie nie przejmowali się tym jednak i patrzyli na świat przez różowe okulary miłości. Wiedzieli, że jako mąż i żona nie będą mogli mieszkać i żyć w Santa Catalina, lecz ani przez chwilę nie wątpili, iż ich uczucie jest niezniszczalne i wieczne.

Rozdział osiemnasty

Pewnego dnia pod koniec lutego Sofię zaraz po przebudzeniu ogarnęły mdłości, pomyślała jednak, że może zaszkodziło jej coś, co zjadła poprzedniego wieczoru. Szybko poczuła się lepiej i za pomniała o niedyspozycji aż do następnego ranka, kiedy mdłości znowu dały o sobie znać.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje, Mario - poskarżyła się kuzynce, mieszając w misce roztopione masło i mąkę na tort urodzinowy dla Panchita. - Teraz nic mi nie dolega, ale rano wydawało mi się, że zaraz skonam...

- Wygląda mi to na poranne mdłości - zażartowała Maria i mrugnęła do kuzynki, nie zauważając jej nagłej bladości.

- Byłby to drugi przypadek niepokalanego poczęcia - odparła Sofia z niewyraźnym uśmiechem. - Chyba nie jestem wystarczająco świętobliwa.

- Na pewno zjadłaś coś nieświeżego.

- Wczoraj wieczorem i przedwczoraj - zaśmiała się Sofia, chociaż chciało jej się płakać na myśl, że mogłaby być w ciąży.

Romans Sofii i Santiago trwał już osiem tygodni, lecz chłopak zawsze używał prezerwatywy. Sofia była tego pewna, ponieważ nabrała wprawy we wkładaniu kondonów i zwykle to ona zajmowała się tą czynnością. Zepchnęła przerażającą myśl w głąb podświadomości, pewna, że przesadza.

- Najprawdopodobniej zaszkodził mi ryżowy pudding Soledad - powiedziała zdecydowanym tonem.

- Jedliście ryżowy pudding? - zapytała z zazdrością Maria, smarując masłem foremki do pieczenia ciasta. - Encarnacion! - zawołała.

Stara służąca weszła do kuchni, niosąc kosz pełen rzeczy do prania.

- Si, seniorita Maria?

- Na jak długo wkładamy ciasto do piekarnika?

- Myślałam, że seniorita Sofia wie już wszystko o wypiekach. Proszę piec ciasto dwadzieścia minut, potem zajrzeć do niego, a gdyby jeszcze nie było gotowe, zostawić na dziesięć minut. Nie, nie, Panchito! - krzyknęła, kiedy chłopiec wbiegł za nią do kuchni. - Idziemy stąd! Daj mi rączkę, dziecko. Pójdziemy sobie na taras i sprawdzimy, czy nie ma tam smoka.

Encarnacion mrugnęła do dziewcząt i wyprowadziła Panchita na słońce.

- Smok na tarasie? - zdziwiła się Sofia.

- Jaszczurka. Panchito uważa, że jaszczurki są smokami.

- Ach, rozumiem. I chyba ma rację, bo rzeczywiście są smokami, tyle że małymi.

Maria przez chwilę uważnie przyglądała się kuzynce, która zajęła się wylizywaniem resztek płynnego ciasta z miski. Sofia wyglądała cudownie. Drobne pasma ściągniętych gumką i upiętych na czubku głowy włosów opadały jej na spoconą szyję i przyklejały się do skóry, co chyba jeszcze przydawało jej uroku.

- Co się tak gapisz, głuptasie? - Sofia uśmiechnęła się do niej szeroko.

Maria odpowiedziała jej równie serdecznym uśmiechem.

- Jesteś w tej chwili bardzo szczęśliwa, prawda? - zapytała.

- Tak. Jestem zadowolona, że mogę piec z tobą ciasto w twojej kuchni.

- Zauważyłam, że znacznie łatwiej przychodzi ci teraz porozumieć się z Anną...

- To fakt. Wcale nie jest taka zła, chociaż przypomina wysuszoną modliszkę.

- Jak możesz, Sofio! - oburzyła się Maria. - Ciotka Anna jest piękna!

- Za chuda - mruknęła Sofia, podając kuzynce miskę. - Chciałabym być za chuda - jęknęła Maria, bohatercko postanawiając, że jednak nie pomoże Sofii w wylizywaniu miski.

Sofia wzruszyła ramionami i wstawiła miskę do zlewu.

- Mario, jesteś idealnie piękna. Nie możesz być za chuda. Jesteś kobieca, fascynująca, krągła, tryskasz zdrowiem i urodą! Jesteś prawdziwą kobietą, dziewczyno!

Obie wybuchnęły głośnym śmiechem.

- Śmieszna jesteś, Sofio!

- Nie, jestem uczciwa. Zawsze powiem ci prawdę, pamiętaj. Jesteś śliczna taka, jaka jesteś.

Maria rzuciła jej pełen wdzięczności uśmiech.

- Twoja przyjaźń dużo dla mnie znaczy.

- Podobnie jak twoja dla mnie.

Uściskały się mocno, trochę rozbawione i wzruszone tą niespodziewaną demonstracją uczuć.

- Wstawimy ciasto do piekarnika? - zapytała Sofia, uwalniając Marię. Sięgnęła po formę pełną gęstej, brązowej masy i po wachała ją z zachwytem. - Mmmm... Bosko pachnie!

- Dios! Jeżeli zaraz się tym nie zajmujemy, tort nie będzie gotowy na czas!

Chiquita zrobiła niespodziankę Panchicie i zaprosiła na urodzinowe przyjęcie wszystkich jego małych przyjaciół z sąsiedztwa. Gdy popołudniowe słońce oblało taras ciepłym, różowawym blaskiem, zaczęła się zabawa. Dzieci biegały dookoła z buziami umazanymi czekoladą i lepiącymi się od słodczych rękami, a za nimi podążały psy, które wykorzystywały każdą chwilę nieuwagi maluchów i wrywały im z palców kawałki ciasta.

Fernando, Rafael, Agustin, Sebastian, Angel oraz Niquito wpadli na chwilę, żeby poczęstować się tortem i ciasteczkami, po czym poszli do parku grać w piłkę. Santi został dłużej. Obserwował Sofię, która w cieniu akacji rozmawiała z jego matką i ciotkami. Uwielbiał jej dramatyczną gestykulację oraz sposób, w jaki zerkała spod gęstych brązowych rzęs, zupełnie jakby zamierzała ujawnić nikomu nieznaną tajemnicę i tylko czekała na odpowiedni moment, by wzbudzić największe zainteresowanie. Zorientowała się, że na nią patrzy, ponieważ kąci jej ust raz po raz drgały w uśmiechu. W końcu podniosła wzrok i spojrzała na niego. Santi mrugnął dwa razy, nie zmieniając wyrazu twarzy. Odpowiedziała w identyczny sposób i uśmiechnęła się tak radośnie i szeroko, że musiał rzucić jej ostrzegawcze spojrzenie. Przestraszony, że ktoś się zacznie czegoś domyślać, odwrócił się i miał nadzieję, iż ona zrobi to samo, ale kiedy zerknął na nią ponownie, nadal wpatrywała się w niego z głową lekko przechyloną na bok, łagodnie uśmiechnięta. Maria nakładała dzieciom kanapki i słodczyce na talerzyki, kroiła ciasto, podnosiła porzucone na ziemi kubeczki po soku pomarańczowym i przeganiała psy, kiedy zanadto przysuwały się do jedzenia, była więc zdecydowanie zbyt zajęta, aby dostrzec czułe spojrzenia, które wymieniali jej brat i kuzynka.

Później tego samego wieczoru Santi i Sofia siedzieli na ławce tuż pod werandą jego domu i trzymali się za ręce. Kiedy któreś z nich dwukrotnie ścisnęło dłoń drugiego, oznaczało to wyznanie miłości, podobnie jak dwukrotne mrugnięcie. Drugie odpowiadało wtedy w ten sam sposób, aż w końcu oboje zaczęli się świetnie bawić, ciekawi, komu pierwszemu znudzi się ta tajemna gestykulacja. Cała rodzina Santiiego udała się już na spoczynek i w domu panowała zupełna cisza. Powietrze było znacznie chłodniejsze niż za dnia. Jesień zbliżała się powoli, przeganiając upalne, duszne noce świeżym, chociaż melancholijnym wiatrem.

- Powietrze pachnie już jesienią - odezwała się Sofia, przytulając się do boku Santiiego.

- Nie znoszę końca lata.

- A mnie to w ogóle nie przeszkadza. Nawet dosyć lubię ciemne wieczory przy kominku...

Jej ciałem wstrząsnął lekki dreszcz. Santi przygarnął ją i czule pocałował w czoło.

- Pomyśl tylko, jak miło będzie grzeszyć przed kominkiem w salonie mojej mamy - zamruczał.

- Właśnie! Więc sam widzisz, zima wcale nie jest taka zła.

- Nie z tobą. Z tobą nic nie jest złe, Chofi.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy spędzę z tobą zimę, wiosnę i następne lato - powiedziała rozmarzonym głosem. - Chcę się z tobą zestarzeć, Santi...

- Ja także tego pragnę.

- Nawet jeżeli będę tak samo zwariowana jak mój dziadek?

- No, cóż, są pewne granice... - Santi udał, że się waha i z powagą pokręcił głową. - Mam w sobie dużo irlandzkiej krwi - ostrzegła go.

- Wiem - przyznał z ciężkim westchnieniem. - I to mnie właśnie martwi.

- Och, ty! - Sofia się roześmiała. - Kochasz mnie dlatego, że jestem inna niż wszystkie dziewczyny, sam mi to powiedziałeś!

Potarła nosem o jego podbródek, a on delikatnie podniósł jej głowę i pogładził ciepły policzek.

- Kto by cię nie kochał? - szepnął, zbliżając wargi do jej ust.

Sofia zamknęła oczy i z radością przyjęła ciepły, znajomy dotyk ust ukochanego i korzenny aromat jego wody kolońskiej.

- Chodźmy pod ambu - zaproponowała.

Santi uśmiechnął się żartobliwie.

- I pomyśleć, że zaledwie dwa miesiące temu byłeś niewinnym dzieckiem - rzekł, całując czubek jej nosa.

- Ale uległam podstępnemu uwodzicielowi!

- Więc winisz mnie za wszystko, czy tak, Chofi?

- Tak, bo jesteś mężczyzną i jako szlachetny, dobrze wychowany młodzieniec powinieneś wziąć na siebie winę za moje niewłaściwe zachowanie. Musisz bronić mojego honoru, Santi.

- Twojego honoru, też mi coś! - parsknął. - Dobrze wiesz, że nic z niego nie zostało, moja droga!

- Zostało mi całe mnóstwo honoru - zaprotestowała z szerokim uśmiechem.

- Jak mogłem nie dopilnować tak ważnej sprawy? Natychmiast chodźmy pod ambu, żebym mógł raz na zawsze pozbawić cię tego zbędnego ciężaru!

Wziął ją za rękę i po chwili obydwójce zniknęli w ciemności.

Następnego ranka Sofia znowu obudziła się z ostrymi mdłościami. Zerwała się z łóżka i popędziła do łazienki, gdzie wymiotowała kolację, którą poprzedniego wieczoru z takim staraniem przygotowała Encarnacion. Potem umyła zęby i pobiegła do pokoju matki.

- Jestem chora, mamó! - oznajmiła, dramatycznie padając na duże białe łóżko. - Wymiotowałam!

Anna położyła rękę na czole córki i potrząsnęła głową.

- Nie wydaje mi się, żebyś miała gorączkę, ale na wszelki wypadek wezwę doktora Higginsa. Najprawdopodobniej złapałaś jakąś infekcję.

I Anna pospieszyła do telefonu.

Wygodnie wyciągnięta na pachnącej narzucie, Sofia poczuła nagle, jak jej serce ścisną paniczny strach. A jeżeli rzeczywiście jest w ciąży? Ale zaraz pomyślała, że to absolutnie niemożliwe, i trochę się uspokoiła. Przecież ani razu nie kochali się bez prezerwatywy. Badania na ukowe dowodzą, że stosowanie kondomów zapewnia dziewięćdziesięcdziewięcioprocentową ochronę przed ciążą, więc nie ma się czego bać. Nie, z całą pewnością nie jest w ciąży... Prawie udało jej się przekonać samą siebie, choć w głębi duszy wciąż tłukła się obawa, że może jednak należy do nieszczęsnego jednego procenta kobiet, które głupio wpadły.

Doktor Ignacio Higgins od lat był rodzinnym lekarzem Solanasów i z powodzeniem radził sobie z wszystkimi ich przypadłościami, od zapalenia wyrostka robaczkowego Rafaela po ospę wietrzną małego Panchita. Przywitał Sofię pocieszającym uśmiechem, porozmawiał z nią chwilę o wakacjach i dopiero potem przystąpił do badania. Zadał jej kilka pytań i mądrze kiwał głową, kiedy udzielała odpowiedzi. W pewnym momencie jednak uśmiech zniknął z jego starej, pomarszczonej twarzy. Pojawił się na niej wyraz głębokiego zatroskania, a Sofii mocno zabiło serce i zachciało jej się płakać.

- Och, panie doktorze, proszę nie mówić mi, że to coś poważnego! - powiedziała błagalnie.

Jej duże orzechowe oczy napełniły się łzami, ponieważ domyśliła się już, jaką diagnozę poda lekarz. Nie pytałby ją o ostatni okres, gdyby nie podejrzewał, co jej jest.

Doktor Higgins wziął ją za rękę i delikatnie pogłaskał kciukiem.

- Obawiam się, że jesteś w ciąży. Sofio - powiedział powoli.

Wiedział, że jest niezamężna, i doskonale zdawał sobie sprawę, jak rodzina Solanas zareaguje na wiadomość o romansie i ciąży siedemnastoletniej dziewczyny.

Jego słowa były dla Sofii jak uderzenie obuchem w głowę. Poczuli, że żołądek podchodzi jej do gardła, zupełnie jak podczas bardzo szybkiej jazdy samochodem. Ojciec pytał ją wtedy, czy już znalazła swój brzuch... Och, ile by teraz dała, żeby zgubić go i nigdy już nie znaleźć... Opadła na poduszki, ledwo żywa ze strachu. To ten przeklęty jeden procent, pomyślała.

- W ciąży! O Boże, czy jest pan pewny? Co ja teraz zrobię? - Zakrzuszyła się łzami, zasłaniając usta dłonią. - Co ja zrobię?

Doktor Higgins bezskutecznie starał się ją pocieszyć. Sofia miała wrażenie, że jej przyszłość znika za czarną zasłoną, a ona nie może zrobić nic, by powstrzymać ten proces.

- Musisz powiedzieć matce - poradził lekarz, kiedy trochę się uspokoiła.

- Mamie? Chyba pan żartuje! - odparła, znowu gwałtownie błędąc. - Przecież pan wie, jaka ona jest!

Doktor Higgins ze współczuciem pokiwał głową. Wielokrotnie był już w tej sytuacji i często widywał młode dziewczyny zrozpaczone na myśl o tym, co dzieje się we wnętrzu ich ciała. Nie zdawały sobie wtedy sprawy z tego, że uczestniczą w cudzie, który powinien być powodem wielkiej radości. Stary lekarz, potomek irlandzkich emigrantów, świetnie wiedział, że Sofia szaleje z niepokoju, ale nie potrafił jej pomóc. W takich chwilach jak ta szczerze żałował, że naukowcy nie wynaleźli pigułki usuwającej ciążę.

- Nie poradzisz sobie z tym sama, Sofio - powiedział. - Musisz szukać oparcia w rodzicach.

- Rodzice będą wściekli i nigdy mi tego nie wybaczą! - Sofia była bliska hysterii. - Mama mnie zabije! Nie, nie mogę jej o tym powiedzieć!

Jej zwykle uśmiechnięte usta wygięły się w drżącą podkówkę.

- Więc co chcesz zrobić? Oni i tak dowiedzą się o twoim stanie. Nie ukryjesz dziecka, które rośnie w tobie i z każdym tygodniem jest coraz większe...

Sofia instynktownie położyła rękę na brzuchu i zamknęła oczy. Noszę w sobie dziecko Santiago, pomyślała, część jego samego... Był to najgorszy moment jej życia, a jednak poczuła, jak powoli ogarniają ją rozchodzące się od wewnątrz fale kojącego ciepła. Bała się myśleć o reakcji rodziców, ale nie miała wyboru.

- Czy mógłby pan im to powiedzieć? - zapytała nieśmiało.

Doktor Higgins skinął głową. Często podejmował się tego nie wdzięcznego zadania, które było jednym z najsmutniejszych obowiązków lekarza. Miał nadzieję, że państwo Solanas nie za pomną, iż nie jest jedynie zwiastunem złych wieści.

- Nie martw się, Sofio, wszystko będzie dobrze - rzekł serdecznie, podnosząc się z krzesła. - Nie możesz wyjść za tego człowieka, moja droga?

Natychmiast skarcił się za to bezsensowne pytanie. Gdyby Sofia mogła poślubić ojca swojego dziecka, na pewno nie byłaby taka nieszczęśliwa.

Dziewczyna z rozpaczą potrząsnęła głową i wybuchnęła łzami. Bardzo bała się reakcji matki i zupełnie nie wiedziała, co robić. Dlaczego miała takiego pecha?

Robili przecież wszystko, żeby nie doszło do tego nieszczęścia. Leżała nieruchomo, nieprzytomna z przerażenia. Często celowo dokuczała matce, wagarując czy bez jej pozwolenia wykradając się do nocnego klubu z kolegami, ale tamte sprawy były niczym w porównaniu z tą. Tym razem gniew jej matki będzie zasłużony i straszny. Gdyby dowiedziała się, że ojcem dziecka jest Santi, mogłaby zabić ich oboje...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju weszła Anna, z twarzą białą jak twarz Chrystusa na budzących lęk obrazach El Greca. Jej wargi drżały z wściekłości, a w oczach malował się wyraz bolesnego rozczarowania.

- Jak mogłaś? - krzyknęła ostrym, wysokim głosem, a jej blade policzki w jednej chwili zaalał krwawy rumieniec. - Jak mogłaś, po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy! Co pomyśli reszta rodziny? Co za wstyd! Dlaczego do tego dopuściłaś? Nie dość, że... Że romansujesz... - zająknęła się i zamilkła, z trudem chwytając oddech. - Nie dość, że wdałaś się w romans, to jeszcze zaszłaś w ciążę! Bardzo mnie zawiodłaś, Sofio!

Osunęła się na krzesło i utkwiała oczy w dywanie, jakby widok zhańbionej córki budził w niej wstręt.

- Wychowałam cię w domu, gdzie wszyscy szanują boże przykazania - dodała. - Niech Bóg ci przebaczy...

Sofia nie odpowiedziała. Obie siedziały w milczeniu.

Krew znowu odpłynęła z twarzy Anny, a jej oczy wypatrywały czegoś w oddali, za oknem, zupełnie jakby spodziewała się, że Bóg ukaże się na zamglonym niebie nad suchą równiną. Z rozpaczą potrząsnęła głową.

- Gdzie popełniliśmy błąd? - odezwała się, załamując ręce. - Czy za bardzo cię rozpuściliśmy? Wiem, że tata traktował cię jak księżniczkę, ale ja starałam się tego nie robić...

Sofia z napięciem przyglądała się wzorom na narzucie, próbując odszukać powtarzające się motywy. Sytuacja była zbyt nierzeczywista, by mogła potraktować ją całkowicie poważnie. Nie wierzyła, że coś takiego spotkało właśnie ją.

- Byłam zbyt surowa, tak? - ciągnęła matka. - Chyba rzeczywiście. Czujesz się osaczona, dlatego chciałaś łamać wszystkie zasady. To wyłącznie moja wina. Twój ojciec zawsze mnie ostrzegał, że powinnam traktować cię łagodniej, ale ja nie mogłam się na to zdobyć... Nie chciałam oskarżeń rodziny o zbytnią pobłażliwość wobec ciebie...

Sofia z niesmakiem słuchała wynurzeń matki. Gdyby to Maria znalazła się w takiej sytuacji, Chiquita byłaby łagodna i wyrozumiała. Co więcej, natychmiast pospieszyłaby córce z pomocą, jej matka natomiast rozczulała się nad sobą i rozwodziła nad własnymi porażkami.

Typowa irlandzka katoliczka - tylko patrzeć, a włoży włosiennicę i posypie głowę popiołem!

Sofia miała ochotę powiedzieć jej, żeby wreszcie zeszła ze swego krzyża, ale wiedziała, iż nie jest to najlepszy moment na tego rodzaju uwagi.

- Kim jest ojciec dziecka? - zapytała Anna. - Kto to jest? Dios, kto? Nie spotykałaś się z nikim poza kuzynami...

Dziewczyna obserwowała z przerażeniem, jak matka powoli dochodzi do prawdy. Wyraz jej twarzy stopniowo się zmieniał - najpierw malowała się na niej litość nad sobą, potem niedowierzanie, wreszcie obrzydzenie.

- O, mój Boże, to Santi, tak? Santi... Boże, powinnam to była przewidzieć! Jak mogłam być taka naiwna? Jesteście obrzydliwi, wstrętni! Co za brak odpowiedzialności! Santi jest już przecież dorosły, więc jak miał sumienie uwieść siedemnastoletnie dziecko?

Anna rozpląkała się histerycznie. Sofia patrzyła na nią obojętnie i myślała tylko o tym, że matka wygląda wyjątkowo nieatrakcyjnie, kiedy płacze.

- Powinnam była zgadnąć! Powinnam była zauważyć, że skradacie się po domu z tym swoim brudnym sekretem! Nie mam pojęcia, co zrobimy! Dziecko będzie prawdopodobnie niedorozwinięte umysłowo, bo jesteście blisko spokrewnieni. Jak mogłaś być tak fałszywa. Sofio? Muszę powiedzieć o wszystkim ojcu. Nie wychodź stąd, dopóki nie wrócę!

Drzwi zatrzasnęły się za nią z hukiem. Sofia chciała pobiec na poszukiwanie Santiiego i uprzedzić go, ale tym razem po prostu nie miała siły sprzeciwić się matce. Leżała posłusznie, czekając na ojca. Ponieważ był to środek tygodnia, Paco musiał przyjechać z Buenos Aires. Anna nie chciała wyjaśniać mu niczego przez telefon, pędził więc do Santa Catalina w wielkim napięciu, z żołądkiem boleśnie ściśniętym z niepokoju. W domu żona natychmiast go poinformowała, co się stało, i przez następne dwie godziny siedzieli w salonie, omawiając sytuację. Po twardej walce Paco musiał ustąpić. Anna zdołała przekonać samą siebie, że dziecko przyjdzie na świat umysłowo chore, więc Sofia musi usunąć ciężę. Gdy Paco w końcu wszedł do pokoju córki, leżała zwinięta w żaloszny kłębek, pogrążona w płytkim śnie. Serce mu o mało nie pękło. W jego oczach Sofia nadal była małą dziewczynką, która najbardziej na świecie kochała właśnie jego. Usiadł na brzegu łóżka i łagodnie pogładził jej wilgotne od potu włosy.

- Sofio... - szepnął.

Natychmiast się obudziła i widząc miłość i żal w jego oczach, zarzuciła mu ręce na szyję i rozplakała się gorzko.

- Przepraszam, tato, przepraszam - szlochała, drżąc ze wstydu i strachu.

Paco trzymał ją mocno i kołysał, próbując ukoić nie tylko jej cierpienie, ale i własne.

- Wszystko w porządku, kochanie, wcale nie jestem na ciebie zły. Nie gniewam się.

Wszystko będzie dobrze, mój skarbie.

Jego ciepłe, silne ramiona dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Westchnęła ciężko i z ulgą przerzuciła całą odpowiedzialność na jego barki.

- Ja go kocham, tato.

- Wiem o tym, ale to twój kuzyn, Sofio...

- Przecież zawieranie małżeństw przez rodzeństwo cioteczne czy stryjeczne jest dopuszczalne!

- Nie o to chodzi, kochanie. Żyjemy w ciasnym świecie, gdzie ślub ze stryjecznym bratem w oczach większości jest związkiem kazirodczym. To powód do wstydu, Sofio. Nie możesz wyjść za Santiego, zresztą jesteś za młoda na małżeństwo. Zauroczenie minie, kochanie...

- To nie zauroczenie, tatusiu. Kocham Santiego.

Paco spojrzał na nią poważnie i ze smutkiem pokręcił głową.

- Nie możesz wyjść za Santiego, Sofio - powtórzył.

- Mama mnie nienawidzi - zaszlochała. - Zawsze mnie nienawidziła!

- To nieprawda, Sofio. Mama jest rozżalona i rozczarowana, i przyznasz, że nie bez powodu. Bardzo długo rozmawialiśmy o twojej sytuacji. Wybierzemy najlepsze dla ciebie wyjście, możesz mi wierzyć.

- Tak mi przykro, tato - wyszeptała bezsilnie.

Sofia nieśmiało weszła do salonu, gdzie czekali już rodzice, aby poinformować ją o swojej decyzji, i ze spuszczonej oczami usiadła na pokrytej wzorzystym płótnem sofie. Anna stała sztywno, oparta o parapet, z nogami skrzyżowanymi pod długą suknią. Była blada i wyczerpana. Paco niecierpliwie spacerował po pokoju. Bruzdy na jego twarzy pogłębiły się po pełnej napięcia, źle przespanej nocy. Wyglądał starzej niż poprzedniego dnia. Prowadzące na korytarz i do jadalni drzwi były zamknięte. Rafael i Agustin, którzy koniecznie chcieli poznać przyczynę panującej w domu lodowatej atmosfery, otrzymali od ojca polecenie, aby trzymać się z dala od salonu, więc niechętnie udali się na telewizję do domu Chiquity.

- Sofio, twoja matka i ja doszliśmy do wniosku, że po prostu nie możesz zatrzymać tego dziecka - zaczął Paco z powagą.

Sofia przełknęła ślinę, usiłując przemówić, ale ojciec uciszył ją ruchem ręki.

- Za kilka dni wyjedziesz do Europy - ciągnął. - Kiedy będzie już po... - Zawahał się, zmagając się z myślą o aborcji, która miała na zawsze zaciążyć na jego sumieniu, jako czyn całkowicie sprzeczny z wiarą i zasadami moralnymi. - Kiedy wrócisz do zdrowia, rozpoczniesz studia, także w Europie, nie na uniwersytecie w Buenos Aires. To da wam obojgu, tobie i Santiemu, czas na otrząśnięcie się z tego zauroczenia. Potem będziesz mogła wrócić do domu. Nikt nie może się o tym dowiedzieć, rozumiesz? Pozostanie to naszą tajemnicą.

Paco celowo nie podzielił się z Sofią wiadomością, że zamieszka w Genewie, u jego kuzyna Arnoinea i jego żony Dominique, potem zaś podejmie naukę w Lozannie, nie chciał bowiem, aby Santi pojechał tam za nią.

- Nie pozwolimy, abyś zhańbiła dobre imię naszej rodziny - wycodziła Anna, której ani na chwilę nie opuszczała myśl o tym, jak bardzo taki skandal mógłby zaszkodzić jej synom.

Z rozgoryczeniem przypomniała sobie szczęśliwe dni, które ostatnio spędziła w towarzystwie córki, i dumę, jaką czuła, patrząc na Sofię. Te wspomnienia sprawiły, że rozczarowanie było tym silniejsze.

- Chcecie, żebym poddała się aborcji? - zapytała powoli Sofia. Położyła rękę na brzuchu i kiedy spojrzała na nią, zobaczyła, że gwałtownie drży.

- Twoja matka... - zaczął Paco.

- Ach, więc to ty! - wybuchnęła Sofia, ze złością zwracając się twarzą do Anny. - Trafisz za to do piekła, wiesz? Podobno jesteś dobrą katoliczką, więc gdzie podziały się twoje zasady? Nie mogę uwierzyć, że jesteś aż taką hipokrytką! Kpisz ze swojej religii!

- Nie odzywaj się tak do matki, Sofio - powiedział Paco tonem, którego używał tylko w wyjątkowych sytuacjach.

Dziewczyna spojrzała na niego, przeniosła wzrok na matkę i znowu popatrzyła na ojca. Wydawało jej się, że ma przed sobą zupełnie obcych ludzi. Nie wiedziała, na co jeszcze ich stać.

- Dziecko będzie nienormalne. Sofio - rzekła Anna z wymuszonym spokojem. - Gdybyś zdecydowała się je urodzić, postąpiłabyś źle, niesprawiedliwie. - Jej głos złagodniał. - Robimy to dla twojego dobra - dodała.

- Nie usunę ciąży - oświadczyła Sofia twardo. - Moje dziecko nie urodzi się nienormalne. Interesuje cię tylko opinia rodziny, zdrowie dziecka nie ma z tym nic wspólnego. Myślisz, że nikt się nie dowie? Chyba żartujesz! - Roześmiała się pogardliwie.

- Sofio, w tej chwili jesteś na nas zła, ale z czasem zrozumiesz, przed czym cię uchroniliśmy.

- Nigdy wam tego nie wybaczę - Sofia obronnym gestem skrzyżowała ramiona na piersi.

- Myślimy wyłącznie o tobie - odezwał się Paco. - Jesteś naszym dzieckiem, kochamy cię. Zaufaj mi...

- Jeszcze niedawno wierzyłam, że mogę ci ufać - odparła chłodno.

Aborcje były dobre dla dziwek, kojarzyły się z grzechem i nie bezpieczeństwem. Co powiedziałyby na to wszystko ojciec Julio? Czy nie ostrzegłby Sofii, że jej dusza stoi na progu piekła? Nagle pożałowała, że zamiast marzyć o seksie i Santim, nie słuchała z większą uwagą jego kazań. Zawsze uważała, że religia jest ucieczką ludzi słabych, potrzebujących wskazówek, jak Soledad, lub podobnych do Anny fanatyków, którzy podpierają się wiarą tylko wtedy, gdy jest im przydatna, lecz teraz nagle zaczęła obawiać się, że Bóg naprawdę istnieje i ukarze ją za popełnione grzechy. Ten lęk wyływał z samej głębi jej podświadomości i dręczył właśnie teraz, gdy najbardziej potrzebowała wsparcia wiary.

- Muszę pożegnać się z Santim - powiedziała wreszcie, wpatrując się we wzór na posadzce.

- Chyba nie możemy się na to zgodzić. Sofio - odparła chłodno matka.

- Zupełnie nie rozumiem dlaczego, mamó. Przecież już jestem w ciąży!

- Nie pora na żarty, moja droga - zdecydowanym tonem oświadczyła Anna, wyglądając suknię. - To poważna sprawa. Nie, przed wyjazdem nie możesz z nikim rozmawiać.

- Tato, to niesprawiedliwe! - zawołała Sofia błagalnie. - Dlaczego nie pozwalacie mi zobaczyć się z Santim? To niczego nie zmieni!

Paco zastanawiał się chwilę. Podszedł do okna i zapatrzył się na pampę, jakby szeroki horyzont mógł udzielić odpowiedzi na nękające go pytania. Nie był w stanie spojrzeć córce w oczy, miał zbyt wielkie poczucie winy. Wiedział, że powinien sprzeciwić się żonie, lecz czuł także, że jeżeli to zrobi, straci ją raz na zawsze. Od pewnego czasu układało się między nimi zupełnie dobrze. Zdawał sobie sprawę, że Anna myśli teraz nie tylko o tym, co zrobiła Sofia, ale i o jego romansie. Oboje zawiedli zaufanie Anny, zranili ją do głębi. Obecna sytuacja była nierozzerwalnie związana z uczuciem wyobcowania, na jakie cierpiała jego żona. Paco nie miał wyboru, musiał przystać na wszystko, co proponowała.

- Twoja matka ma rację, Sofio - rzekł wreszcie, nie odwracając się od okna. - Jutro rano Jacinto zawiezie cię do Buenos Aires, więc teraz lepiej idź do siebie i spakuj rzeczy. Nie będzie cię tu dosyć długo...

Sofia usłyszała, jak jego głos załamuje się lekko, ale nie czuła litości.

- Nie wyjadę bez pożegnania z Santim! - krzyknęła, a jej twarz poczerwieniała ze złości. - Wcale nie myślicie o mnie, tylko o reputacji rodziny i tak dalej. Jak możecie stawiać to ponad uczuciami własnej córki? Nienawidzę was, nienawidzę was obojga!

Wybiegła z pokoju na taras i zatrzymała się dopiero między drzewami. Oparła się o pień platanu i rozplakała nad niesprawiedliwością tego świata. Patrzyła na swoją ukochaną Santa Catalina i nie czuła nic prócz nienawiści.

Wróciła do kuchni, skąd dość wyraźnie słyszała, jak rodzice kłócą się w salonie. Matka szlochała głośno i krzyczała na ojca po angielsku. Sofia nie chciała wiedzieć, jakie zarzuty stawiają sobie nawzajem.

- Soledad! - syknęła.

Kobieta podniosła wzrok znad garnka i ujrzała stojącą w progu zapłakaną Sofię.

- Co się stało? - przeraziła się, rzucając wszystko i biegnąc na pomoc dziewczynie, którą zawsze traktowała jak własne dziecko. - Co się stało, skarbie?

Mocno objęła Sofię i przytuliła do siebie, chociaż dziewczyna była już sporo wyższa od niej.

- Och, Soledad, mam straszne kłopoty! Zrobisz coś dla mnie? - Oczy Sofii, jeszcze przed chwilą zmatowiałe ze zniechęcenia, teraz zaślniły podnieceniem i nadzieją.

Szybko wyjęła z szuflady kredensu kartkę i ołówkiem napisała na niej krótki list.

- Przekaż to Santiemu, tylko jak najszybciej. Nie mów nic nikomu i nikomu tego nie pokazuj, dobrze?

Soledad mrugnęła znacząco, zachwycona, że jej pupilka dopuściła ją do sekretu, i wsunęła kartkę do kieszeni brudnego fartucha.

- Już biegnę, seniorita Sofia, proszę się nie martwić! Ten list za parę sekund trafi do ręki seniora Santiaga!

Z tymi słowami wypadła z kuchni.

Kiedy Rafael i Agustin przybyli do domu Chiquity, natychmiast z wielkim podnieceniem opowiedzieli rówieśnikom, że Sofia znowu ma kłopoty i rodzice wezwali ją na poważną rozmowę.

- Pracowała na to od wielu tygodni - zachichotał Agustin.

- To nieprawda! - zaprotestowała Maria. - Wasza mama zaledwie parę dni temu opowiadała, jak dobrze się obie rozumieją. Nie bądź niemiły.

- Jak długo może potrwać ta rozmowa? - zapytał niespokojnie Santi.

- Niedługo - odparł Rafael, włączając telewizor i padając na sofę. - Jeśli znam Sofię, to wkrótce zmęczy rodziców. Mario, bądź aniołem i przynieś mi coś do picia, dobrze?

- Dobrze - westchnęła Maria. - Co ci podać?

- Piwo.

- Jedno piwo. Ktoś jeszcze chce złożyć zamówienie?

Santi stał przy oknie, widział jednak tylko niewyraźne odbicie swojej zaniepokojonej twarzy. Wszyscy pozostali rozsiedli się przed telewizorem, ale on nie miał ochoty na żaden program. Po półgodzinie, nie mogąc dłużej wytrzymać, pospiesznie wyszedł z domu. Kiedy zbiegał ze stopni tarasu, zobaczył czerwoną i spoconą Soledad, zmierzającą prosto ku niemu.

- Co tu robisz, Soledad? - zapytał, gdy była już blisko.

Instynkt podpowiadał mu, że wydarzyło się coś złego.

- Gracias a Dios, dzięki Bogu! - odpowiedziała, szybko wykonując znak krzyża. - Oto list od seniority Sofii. Kazała oddać go panu, nikomu innemu. To sekret, rozumie pan? Sofia jest okropnie zdenerwowana, cały czas płacze, muszę do niej natychmiast wracać. - Nerwowo otarła czoło białą chusteczką do nosa.

- Co jej jest? - Santi nie miał już wątpliwości, że sytuacja jest poważna.

- Nie wiem, senior Santiago. Nic nie wiem, nic. Na pewno napisała o tym w liście.

I zanim Santi zdołał się odezwać, już biegła w kierunku wysadzonej drzewami alei. Santi rozprostował kartkę. „Czekaj na mnie o północy pod ambu”, przeczytał.

Rozdział dziewiętnasty

Sofia już dawno przestała płakać. Leżała na łóżku i z cierpliwością skazańca czekała na następne wydarzenia. Czas mijał po woli, wiedziała jednak, że północ w końcu nadejdzie. Patrzyła, jak rosnące pod jej oknem rośliny chwieją się na wietrze. Ich ruch, jakby hipnotyczny, wpływał na nią uspokajająco. Wreszcie wstała, zabrała z kuchni latarkę i czujna jak uciekający z obozu jeniec, wymknęła się z domu. Cicho i ostrożnie niczym puma skradała się przez ciemność do drzewa ambu. Ze ściśniętym sercem przebiegła przez park, w pełni świadoma, że od powodzenia tej wyprawy zależy jej życie i przyszłość. Była absolutnie zdeterminowana, lecz też bezsilna wobec nieuniknionego przeznaczenia. Czuła się trochę tak, jakby odgrywała rolę w wystawianej w szkole sztuce i chociaż dramatyzm sytuacji jak zwykle działał na nią podniecająco, nie mogła uwierzyć, że przeżywa to wszystko na jawie.

Dzieląca ją od drzewa odległość wydawała się większa niż zazwyczaj. Przyspieszyła kroku. Kiedy była już blisko, dostrzegła błyski latarki. Światło tańczyło w powietrzu, podobne do gigantycznego świetlika, gdy chłopak niecierpliwie spacerował dookoła pnia.

- Santi! - zaszlochała, wpadając w jego ramiona. - Santi, oni wiedzą o nas! Dowiedzieli się, że się kochamy, i zmuszają mnie do opuszczenia domu!

Przerwała, bo zabrakło jej tchu. Bała się, że nie zdąży powiedzieć mu wszystkiego, zanim ktoś odkryje ich obecność pod drzewem.

- Co takiego? Kto wie? Skąd? - wybuchnął Santi. Z tonu jej króciutkiego listu wynikało, że coś jest nie tak, ale nie spodziewał się czegoś podobnego. - Uspokój się, nikt nas tu nie znajdzie. Wszystko w porządku, nie denerwuj się tak. - Starał się mówić zdecydowanie i bez podniecenia, chociaż w rzeczywistości czuł, że los go zmiażdżył.

- Nie, nic nie jest w porządku! Wysyłają mnie do Szwajcarii, daleko stąd! Nienawidzę ich!

- Jak się dowiedzieli?

Sofia już chciała powiedzieć, że jest w ciąży, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Rodzice kazali jej nikomu o tym nie mówić, poza tym obawiała się, że Santi nie zdoła się opanować. Najprawdopodobniej wkroczyliby do jej domu i zaczął domagać się praw należnych mu jako ojcu dziecka. Nie miała pojęcia, co mogliby wtedy zrobić jej rodzice. W oczach prawa, jako nieletnia, nadal musiała spełniać ich polecenia. Niewykluczone, że uniemożliwiliby jej powrót do Santa Catalina. Dopóki przebywała w Argentynie, była na ich łasce. Nie, nie może mu teraz powiedzieć, zdecydowała szybko. Napisze do niego z Genewy, kiedy rodzice będą zbyt daleko, by wpływać na jej poczynania. Z trudem pokonała silne pragnienie podzielenia się z nim swoim smutkiem i postanowiła na razie sama dźwigać ciężar prawdy.

- Dowiedzieli się i tyle - powiedziała. - Są wściekli. Wysyłają mnie do Szwajcarii, żebym o tobie jak najszybciej zapomniała...

Zaniosła się żalonym płaczem. Podniosła głowę, szukając w jego oczach potwierdzenia uczucia, lecz widziała jedynie dwie ciemne dziury.

- Ależ, Sofi, pozwól mi z nimi porozmawiać! Nie mogą zmusić cię do wyjazdu! Nie pozwolę na to! - wyszeptał gorączkowo, zdecydowany wypowiedzieć walkę złym mocom, które próbowały ich rozdzielić.

- Oni nie zechcą cię nawet wysłuchać! Są wściekli nie tylko na mnie, na ciebie także! Nie uwierzyłbyś, co nagadała mi matka! Myślę, że w gruncie rzeczy jest zadowolona, bo wreszcie może się mnie pozbyć!

- Nie dopuszczę, żeby ktokolwiek mi ciebie zabrał! - powtórzył Santi, a jego głos był jak rozpaczliwy krzyk w ciemności. - Co miałbym bez ciebie robić? Nie mogę bez ciebie żyć!

- Och, kochany, spróbuj się z tym pogodzić... Oboje musimy to zrobić...

- To śmieszne! - warknął. - Nie mają żadnego dowodu! Skąd ich przeświadczenie, że jesteśmy ze sobą? Kto nas widział?

- Nie wiem, nie powiedzieli mi - rzekła Sofia, wstydząc się, że kłamstwo przychodzi jej tak łatwo.

- Pojadę z tobą. Wyjedźmy razem. Zaczniemy nowe życie, daleko stąd. Spójrzmy prawdzie w oczy - wcześniej czy później i tak musielibyśmy się na to zdecydować. Tutaj nie ma dla nas przyszłości.

- Opuściłbyś dla mnie Santa Catalina? - wykrztusiła, zaskoczona siłą jego poświęcenia.

- Oczywiście. Wyjeżdżałem stąd już wcześniej, a teraz po prostu bym tu nie wrócił - powiedział poważnie.

- To niemożliwe. Kochasz Argentynę tak samo jak ja. Nie możesz wyjechać i nigdy więcej nie wrócić! A twoi rodzice? Oboje umarliby z rozpacz i tęsknoty.

- Ta sprawa dotyczy nas obojga. Nie pozwolę, żeby za wszystko winili tylko ciebie. Na miłość boską, żeby się kochać, trzeba dwojga, więc niech mnie także skażą na wygnanie.

- A twoi rodzice? - powtórzyła Sofia, wyobrażając sobie ból Chiquity.

- Mogę robić, co zechcę. Nie potrzebuję już zgody rodziców na wyjazd z kraju.

- Ale ja tak - powiedziała bezradnie.

- Nic nie szkodzi. Pozwolimy im uwierzyć, że wszystko ułożyło się zgodnie z ich planem. Ja wyjadę trochę później i znajdę cię. - Tak mocno zacisnął palce na jej przedramionach, że lekko skrzywiła się z bólu.

- Naprawdę zostawiłbyś wszystko dla mnie, Santi?

- Nie ma takiej rzeczy, której nie zrobiłbym dla ciebie.

- Ale twoja przyszłość... Twoja przyszłość jest tutaj. Jeżeli wyjedziesz za mną, prawdopodobnie nigdy tu nie wrócimy. Porzucisz nie tylko Santa Catalina, ale także swoją rodzinę

- Wiem. Kocham cię, Chofi. Moja przyszłość to ty, nie rozumiesz? To, co do ciebie czuję, nie jest przelotne i nietrwałe, ja cię naprawdę kocham. Jesteś moim życiem.

Wypowiadając te słowa, Santi chyba po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że Sofia rzeczywiście jest najważniejszą osobą w jego życiu. Dopiero teraz uświadomił sobie głębię i potęgę swojej miłości do dziewczyny. Bez niej wszystko, co cenił i kochał w Santa Catalina, rozsypałoby się w proch jak ciało pozbawione życiodajnego oddechu. Sofia była siłą napędową jego istnienia, nie mógł więc pozwolić, by zniknęła mu z horyzontu.

- Dobrze. - Sofia poczuła, że jej serce znowu zaczyna normalnie bić. - Skoro mówisz poważnie, zastanówmy się, co robić... Po przyjeździe do Szwajcarii dam ci znać, gdzie jestem. Wtedy będziesz mógł do mnie przyjechać.

Oboje uśmiechnęli się, zachwyceni prostotą planu.

- Mogą zatrzymać twój list - zauważył Santi. - Musimy być przygotowani na każdą ewentualność. A gdybym dopuścił do tajemnicy Marię? Mogłabyś wtedy napisać do niej.

- Nie - odpowiedziała szybko i dodała po chwili, nieco łagodniejszym tonem. - Nie, nie możemy ufać nikomu poza sobą. Poproszę kogoś, żeby zaadresował kopertę i nikt nie rozpozna mojego charakteru pisma. Będę pisała codziennie, nie martw się. Nie będą w stanie zatrzymać wszystkich listów, prawda?

- Kocham cię - wymamrotał.

Sofia nie widziała wyrazu jego oczu, wyczuwała jednak emocje, zupełnie jakby to były fosforyzujące wibracje, wydobywające się z każdego poru skóry.

- Ja też cię kocham. - Rozpłakała się, padając w jego ramiona i pokrywając pocałunkami ukochaną twarz.

Przywarli do siebie rozpaczliwie, przerażeni, że los może ich rozdzielić i nie pozwolić, by się odnaleźli. Długą chwilę płakali obydwój. Panującą wokół ciszę przerywało tylko cykanie świerszczy.

- Wypowiedzmy życzenie - powiedział Santi, wypuszczając Sofię z objęć i sięgając do kieszeni.

- Jakie życzenie?

- Żebyśmy pewnego dnia znowu znaleźli się tu razem, może o wiele starsi, i rozpoczęli nowe życie w Argentynie jako zaakceptowana przez wszystkich para.

- Przecież ty nie wierzysz w magiczne życzenia. - Roześmiała się gorzko.

- Tonący brzytwy się chwyta, Sofio.

- Więc niech to życzenie się spełni - szepnęła. - Wytnijmy w korze nasze inicjały. "S i S". Santi i Sofia...

Wstali i zacisnęli dłonie na rękojeści noża. Duża, silna dłoń Santięgo przykryła drobną rękę Sofii. Zauważyła, że ręka jej ukochanego drży. Kiedy skończyli, Santi poświecił latarką, wydobywając z mroku ich inicjały, i razem wypowiedzieli życzenie.

- Nie zapomnisz o mnie, prawda? - zapytał ochryple, opierając czoło o jej bark.

Głęboko odetchnęła zapachem jego skóry i zamknęła oczy, pragnąc przeciągnąć w nieskończoność tę cudowną, bezcenną chwilę.

- Och, Santi, czekaj na mnie. To nie potrwa długo. Proszę, czekaj na mnie... Będę pisać, obiecuję. Nie rezygnuj ze mnie!

Znowu się rozpląkała, usiłując zapamiętać każdy rys jego ledwo widocznej w ciemności twarzy, żeby wydobyć z pamięci jej obraz, kiedy znajdzie się w odległości kilku tysięcy kilometrów od niego.

- Chciałbym powiedzieć ci tyle rzeczy, Sofi... - Uśmiechnął się, wyraźnie onieśmielony. - Ucieknijmy stąd i pobierzmy się, dobrze? Wiem, że to nie jest idealny moment, ale jeżeli nie zadam ci teraz tego pytania, nigdy nie przestanę tego żałować. Wyjdiesz za mnie, Chofi?

Pogłaskała go po policzku z czułością matki, dla której nie ma rzeczy, jakiej nie zrobiłaby dla ukochanego dziecka.

- Tak, wyjdę za ciebie, Santi - powiedziała ze smutkiem i pocałowała go, zastanawiając się, jaki sens ma ta obietnica, skoro najwyraźniej wszystko sprzysięgło się przeciwko nim.

- Nie zapomnij napisać, Chofi.

- Nie zapomnę.

- Dobrze, moje kochanie. Do zobaczenia, to potrwa tylko chwilę i znowu się spotkamy. Nie bądź smutna. Wiesz przecież, że żegnamy się na krótko.

Objęli się ostatni raz i cicho wrócili do swoich domów. Ich serca biły mocno, pełne wiary, że już niedługo znowu będą razem.

Rozdział dwudziesty

Jednego dnia Sofia była w Santa Catalina i nic nie zapowiadało, by miała wyjechać, a następnego zniknęła. Kiedy matka powiedziała Marii, że Sofii nie ma, dziewczyna pobiegła do domu kuzynki i zażądała wyjaśnienia. Ciotka Anna miała zaczerwienione oczy i wyglądała na bardzo zmęczoną. Wyjaśniła, że Sofia pojechała z wizytą do przyjaciół w Europie i od nowego roku szkolnego będzie tam uczęszczała na zajęcia. Przez jakiś czas nie wróci do Argentyny. W szkole ostatnio szło jej źle, ponieważ w Buenos Aires więcej czasu poświęcała na rozrywkę niż na naukę i właśnie dlatego rodzice podjęli decyzję o jej wyjeździe. Anna przeprosiła Marię, że nie dała jej szansy pożegnać się z Sofią, ale zaproszenie z Europy nadeszło zupełnie niespodziewanie i trzeba było szybko coś postanowić.

Oczywiście Maria nie uwierzyła w ani jedno jej słowo.

- Czy mogę do niej napisać? - zapytała ze łzami.

- Obawiam się, że nie, Mario. Sofia musi odizolować się od wszystkiego, co odrywało ją od nauki. Bardzo mi przykro.

Anna zakończyła rozmowę, zacisnęła blade wargi i wyszła z pokoju. Po paru dniach Maria zauważyła, że Chiquita nie chodzi już na herbatę do Anny, i wtedy zrozumiała, iż między ich rodzinami wydarzyło się coś złego.

W czasie weekendu po tajemniczym zniknięciu Sofii Paco wybrał się na długą konną przejażdżkę ze swoim bratem Miguelem i wyjaśnił mu, co się stało. Był wczesny ranek, wysoka trawa Iñila w bladym świetle i wielkie króliki niespiesznie przemykały tu i ówdzie po równinie. Paco i Anna postanowili zachować wyłącznie dla siebie wiadomość o ciąży Sofii, by za wszelką cenę zapobiec wybuchowi skandalu. Dlatego Paco podał Miguelowi okrojoną wersję wydarzeń i poinformował go tylko, że Sofia i Santi za kochali się w sobie i dopuścili się stosunków seksualnych.

Miguel był całkowicie zaskoczony i przerażony. Czuł się upokorzony, nie wiedział, jak poradzić sobie z faktem, że jego syn mógł upaść aż tak nisko. Nie chodziło o to, że dwoje kuzynów zakochało się w sobie, bo takie rzeczy się zdarzały, ale nawiązanie romansu było nieodpowiedzialne i niewybaczalne. Miguel za wszystko winił wyłącznie Santiago.

- Jest starszy i powinien być mądrzejszy - oświadczył.

Kiedy dwie godziny później bracia Solanas wrócili z przejażdżki, Miguel był blady z wściekłości. Zamknął się w gabinecie i natychmiast poprosił do siebie Santiago.

- Cała ta sprawa ma pozostać między nami, rozumiesz? - warknął, gdy wszystko zostało już powiedziane.

Chiquita nie mogła powstrzymać łez. Wiedziała, jak bardzo zaszkodzi to ich rodzinie i jak negatywnie wpłynie na jej stosunki z Anną. Czuła się winna, że jej syn dopuścił się czegoś tak godnego potępienia, ale jednocześnie gorąco mu współczuła, chociaż nikomu się z tego nie zwierzała.

Miguel i Chiquita wiedzieli, że Sofia przebywa w Genewie u ich krewnych i w pełni popierali stanowisko Paca i Anny, że młodych kochanków należy przez pewien czas trzymać z dala od siebie, aby pomóc im przetrwać zauroczenie. Rodzice Santiago zobowiązali się dopilnować, by żadne listy od Santiago nie dotarły do rąk Sofii, i mimo błagań nie zdradzili mu, dokąd wysłano dziewczynę.

Anna była tak rozstrojona nerwowo, że zupełnie wycofała się z życia towarzyskiego. Cały czas poświęcała teraz pracom domowym i ogrodniczym, z nikim nie chciała się widywać. Czuła się głęboko zawstydzona i dziękowała Bogu, że Hector już nie żyje i nie może widzieć jej upokorzenia. Paco powtarzał jej łagodnie, że życie toczy się dalej, nie może na zawsze ukryć się w domu, lecz jego słowa prowadziły tylko do kłótni. Anna wybuchała płaczem, wybiegała z pokoju i na długo zamykała się w sobie. Po dwóch tygodniach zdecydowała się napisać do Sofii i w spokojnym tonie wyjaśnić, dlaczego wysłali ją do Europy. „Niedługo wrócisz do Santa Catalina, Kochanie, i wszyscy zapomnimy o tym

nieszczęsnym wypadku”, obiecała, ponieważ sumienie mimo wszystko nie dawało jej spokoju. Sofia nie odpowiedziała ani na ten list, ani na dwa następne. Anna nie mogła tego zrozumieć. Paco także regularnie pisał do córki, z tą różnicą, że nie przestał wysyłać listów długo po tym, jak Anna już się poddała.

- Co mogę zrobić, skoro ona nie odpisuje? - powiedziała gniewnie. - Nie zamierzam marnować atramentu, zresztą Sofia wkrótce wróci do domu.

Miesiące mijały powoli, a Sofia wciąż milczała. Chiquita próbowała zobaczyć się z Anną, lecz ta za wszelką cenę unikała spotkań. Zadzwoiła jeszcze kilka razy, za każdym razem dowiadując się, że Anna nie może z nią rozmawiać. Wreszcie napisała list, błagając w nim o rozmowę, i dopiero wtedy Anna ustąpiła i pozwoliła, żeby szwagierka złożyła jej wizytę. Usiadły naprzeciwko siebie, sztywno wyprostowane, jakby szykowały się do gwałtownej konfrontacji, i przez chwilę rozmawiały o codziennych sprawach, między innymi o nowym mundurku szkolnym małego Panchita. Udawały, że wszystko jest jak dawniej, ale przez cały czas czujnie obserwowały się nawzajem. Ta gra nie mogła trwać w nieskończoność. Chiquita załamała się i wybuchnęła szlochem.

- Och, Anno, tak mi strasznie przykro! - wykrztusiła, wyciągając ramiona do szwagierki. - To wszystko moja wina! Anna otarła łzę z policzka.

- Mnie także jest przykro, Chiquito. Wiem, jaka uparta potrafi być Sofia. Oboje ponoszą winę za to, co się stało.

Chętnie zrzuciłaby całą winę na Santiago, lecz rozumiała, że Sofia nie była przecież bezwolna.

- Powinam była się domyślić - jęknęła Chiquita. - Powinam była zauważyć, ale wydawało mi się, że nie ma nic złego w tym, iż tyle czasu spędzają razem. Zawsze tak było. Nie mogliśmy podejrzewać, że kiedy zostają sami, zachowują się nieodpowiedzialnie.

- Wiem, wiem - odparła Anna. - Teraz najważniejsze, by Sofia spędziła parę lat poza domem, nie kontaktując się z nikim z rodziny. Kiedy wróci, oboje będą już dorośli i zdążą zapomnieć o tym wszystkim.

- Myślę, że teraz jest im po prostu głupio - powiedziała Chiquita z nadzieją. - Są bardzo młodzi, a taka cieleca miłość jest dość typowa dla tego wieku...

Anna natychmiast zeszywniała.

- To nie była cieleca miłość, Chiquito - rzekła chłodno. - Uprawiali miłość fizyczną, nie zapominajmy o tym.

- Masz rację, oczywiście - przytaknęła Chiquita pospiesznie. - Nie wolno traktować tego zbyt lekko.

- Nie wątpię, że Santi miał już pewne doświadczenie w sprawach seksu, natomiast Sofia, mimo wszystkich swoich grzeszków, nadal była dziewicą i powinna była pozostać nią

aż do nocy poślubnej. - Anna westchnęła melodramatycznie. - Niech Bóg ma ją teraz w swojej opiece... Jej mąż będzie musiał przyjąć ją taką, jaka jest, bynajmniej nie niewinną...

Chiquita miała ochotę przypomnieć szwagierce, że żyją w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku, kiedy to sprawy seksu traktowane są nieco inaczej niż w okresie ich młodości, lecz zaraz przypomniawszy sobie, iż zdaniem Anny rewolucja seksualna miała miejsce tylko w Europie i Ameryce Północnej i na szczęście nie dotarła do Argentyny.

- Europejki bez zahamowań zniżają się do poziomu zwykłych dziwek - rzuciła kiedyś ostro. - Moja córka będzie damą, którą mężczyzna będzie szanował i czcił.

- Santi rzeczywiście posiada doświadczenie seksualne, poza tym jest mężczyzną i dlatego bez wahania przyjmuję do wiadomości, że to on ponosi odpowiedzialność za tę sytuację. - Chiquita była gotowa na wszystko, byle tylko naprawić nadwyrężone stosunki z Anną. - Uważam, że musi tu przyjść i przeprosić was za wszystko osobiście...

- W tej chwili nie mam ochoty rozmawiać z Santim, Chiquito. - Ton głosu Anny stał się wręcz lodowaty. - Musisz mnie zrozumieć, mam za sobą ciężkie przeżycia. Nie jestem w stanie spokojnie patrzeć na uwodziciela mojej córki.

Dolna warga Chiquity zadrżała gwałtownie. Mocno zacisnęła zęby, aby powstrzymać się od gwałtownego wystąpienia w obronie syna. Trudno, jeżeli zależy jej na pogodzeniu się z Anną, musi milczeć.

- Obie cierpimy, Anno - zgodziła się dyplomatycznie, - Postarajmy się pomóc sobie nawzajem i nie ranić się oskarżeniami. Co się stało, to się nie odstanie, chociaż zrobiłabym wszystko, że by cofnąć czas.

- Ja także - odparła Anna, myśląc o pozbawionym życia dziecku. - Niech Bóg mi przebaczy... - szepnęła głucho.

Chiquita zmarszczyła brwi. Nie miała pojęcia, co Anna chciała właściwie powiedzieć, więc postanowiła nie prosić o wyjaśnienie. Uśmiechnęła się i spuściła wzrok. Przynajmniej mogły już rozmawiać, ale nie było to łatwe.

Po powrocie do domu Chiquita położyła się i zapadła w niespokojny sen. Zdawała sobie sprawę, że miną lata, nim jej kontakty z Anną znowu będzie można nazwać przyjaźnią.

Rodzice powiedzieli Agustinowi i Rafaelowi, że Sofia zakochała się w kuzynie i została wysłana za granicę, gdzie, jak się spodziewali, zdoła o nim zapomnieć. Paco usiłował zachować pogodny wyraz twarzy, ale obaj chłopcy wiedzieli, że skoro sytuacja była na tyle poważna, aby ich siostra musiała wyjechać z kraju, to musi chodzić o coś więcej niż o zauroczenie. Rafael, czując się zobowiązany do wystąpienia w obronie siostry, oskarżył Santię o brak odpowiedzialności. Santi był starszy, wiele podróżował, mieszkał za granicą, więc powinien był jednoznacznie zniechęcić Sofię do takich głupstw. Sofia była jeszcze prawie dzieckiem i Santi zrujnował jej przyszłość.

- Nie życzę sobie, żebyś zbliżał się do niej, kiedy wróci, rozumiesz? - oświadczył.

Nie wiedział oczywiście, że Sofia nie zamierza wracać, a Santi postanowił dołączyć do niej, gdy tylko otrzyma wiadomość.

Agustin cieszył się ze skandalu. Uwielbiał intrygi i plotki, i z przyjemnością omawiał całą sytuację z Angelem, Sebastianem oraz Niquitem. Dokładał wszelkich starań, by zbliżyć się do Santiago, z nadzieją, że kuzyn otworzy przed nim serce i ze szczegółami opowie o swoim romansie z Sofią. Agustin dałby wszystko, by zyskać pewność, że był to prawdziwy romans. Czy Sofia i Santi spali ze sobą? Co na to jego rodzice? Co zrobi Santi po powrocie Sofii? Czy naprawdę ją kochał? Agustin był jednak skazany na rozczarowanie, ponieważ Santi milczał jak grób.

Fernando nie posiadał się z radości, że jego brat znalazł się w kłopotach. Santi spadł wreszcie z piedestału, i to z wielce satysfakcjonującym hukiem. Nie był już cudownym, złotym chłopcem. Szczerze mówiąc, Fernando nie mógł być bardziej szczęśliwy, ponieważ Sofia także zawsze doprowadzała go do szału. Wiecznie się popisywała, wtrącała do rozgrywek polo i trzymała z Santim. Oboje patrzyli na wszystkich z góry i uważali się za najwspanialsze istoty ludzkie. Cóż, zasłużyli sobie na ten upadek. Fernando czuł, że udało mu się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, i był po prostu zachwycony.

Santi usiłował ukryć swoje cierpienie, lecz jego twarz naznaczona była piętnem bólu i tęsknoty. Utykał gorzej niż zwykle, w nocy płakał i niecierpliwie czekał na list od Sofii. Teraz, gdy wyjechała, potrzebował potwierdzenia, że nadal go pragnie. On też chciał ją zapewnić, że nie może się doczekać spotkania i bardzo ją kocha.

W końcu i Maria się dowiedziała, że jej brat i kuzynka byli kochankami.

- Jak mogłaś mi o tym nie powiedzieć, mamó! - krzyknęła. - Dlaczego pozwoliłaś, żebym dowiedziała się o nich od Encarnacion? Wszyscy od dawna wiedzą, co się stało, tylko ja nie! Nie masz do mnie zaufania?

Wściekła na stryja i jego żonę, nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Winiła brata za to, że postawił jej przyjaciółkę w takiej okropnej sytuacji, i również czekała na list, spodziewając się, że Sofia przeprosi ją, iż nie zwierzyła jej się i wyjechała bez pożegnania. Początkowo nie pojmowała, jak mogła tak długo niczego nie podejrzewać, ale potem ze smutkiem uświadomiła sobie, że od pewnego czasu grała rolę piątego koła u wozu. Santi i Sofia często wykluczali ją ze swoich rozrywek, zostawiając ją z małym Panchitem, gdy szli pojeździć konno lub pograć w tenisa. I tak przyzwyczaiła się do tego stanu rzeczy, że nawet go nie zauważała. Zawsze się cieszyła, kiedy brali ją ze sobą, i nie dziwiła się, gdy znikali z jej pola widzenia. Nic dziwnego, że nic nie zauważyła. Nikt nie zauważył.

Sofia zawsze była dość podstępna, lecz Marii nigdy nie przyszłoby do głowy, że to ona padnie ofiarą jej knowań. Przypomniała sobie, jak pokłóciła się z Sofią przed dwoma laty, kiedy ta wyznała, że zakochała się w Santim. Może gdyby wtedy po słuchała uważnie i postarała się zrozumieć. Sofia zwierzyłaby jej się teraz ze swoich przeżyć. Maria doszła do

wniosku, że częściowo sama ponosi winę za milczenie przyjaciółki, ale nadal czuła gniew i zazdrość, które mimo upływu czasu wcale nie mijały.

Miesiąc później list od Sofii dotarł w końcu do Buenos Aires, był jednak zaadresowany nie do Marii, a do Santiago. Santi codziennie rano tłukł się po holu jak niedźwiedź po klatce, mając nadzieję, że niebieska koperta ze znaczkiem poczty lotniczej uwolni go od cierpienia. Miguel poprosił Chiquitę, by przeglądała listy każdego dnia i usuwała ze stosu w holu te, które mogły być od Sofii. Chiquita nie potrafiła jednak znieść widoku syna, który coraz bardziej pograżał się w swoim samotnym, nie szczęśliwym świecie i z czasem zaczęła zostawiać wszystkie listy na stole w holu wystarczająco długo, by Santi zdążył je obejrzeć.

Santi był wdzięczny matce, ale nigdy z nią o tym nie rozmawiał. Oboje udawali, że niczego nie zauważają. Codziennie rano Santi zbiegał do holu i przeglądał pocztę, a jego nadzieja słabła z każdym odrzuconym listem. Ani Santi, ani Chiquita nie mieli pojęcia, że Maria szuka listów od Sofii jeszcze przed nimi, kiedy rano wychodzi na uniwersytet.

Gdy dziewczyna zobaczyła ten list, podniosła go i uważnie przyjrzała się charakterowi pisma na kopercie. Nie było to pismo Sofii i list został nadany we Francji, lecz Maria była przekonana, że wysłała go przyjaciółka. Santi nie miał żadnych znajomych we Francji, więc po prostu musiał to być list miłosny, zaadresowany i nadany w taki sposób, aby nikt nie zwrócił na niego uwagi. Sofia i Santi znowu wykluczyli ją ze swego życia... Maria poczuła się tak, jakby ktoś wymierzył jej mocny policzek. Gardło ścisnęło jej się z bólu i z trudem łąpała powietrze. Była zbyt wściekła, żeby płakać. Zazdrość ogarnęła ją wielką falą i po chłonęła wszystkie inne uczucia, które mieszkaly w jej sercu. Miała ochotę krzyknąć, głośno skarżyć się na niesprawiedliwość, jaka ją spotkała. Czy nie była wierną przyjaciółką? Dlaczego kuzynka odwróciła się do niej plecami, dlaczego nie chciała po święcić jej ani jednej myśli, ani jednej chwili? Czy lojalność i miłość, jakie jej okazywała, nie miały żadnego znaczenia?

Wróciła z listem do sypialni i zamknęła drzwi. Zdjęła buty i położyła się, podwijając nogi pod siebie. Długą chwilę wpatrywała się w kopertę, zastanawiając się, co robić. Wiedziała, że powinna natychmiast oddać ją Santiemu, ale wściekłość zupełnie ją oślepiła. Doszła do wniosku, że nie pomoże tym dwojgu. Chciała, żeby cierpieli tak jak ona. Gwałtownym ruchem rozdarła kopertę, wyjęła list i od razu rozpoznała nieporządny charakter pisma kuzynki. Przeczytała pierwszą linijkę. „Do mojego Ukochanego...” Nie patrząc na resztę, odwróciła kartkę, żeby sprawdzić, czy znajduje się tam podpis Sofii. Tak, był u dołu strony. „Moje serce bije w oczekiwaniu na Twój przyjazd. Wierzę, że wkrótce będziesz tu ze mną. Bez tej nadziei przestałoby bić, a ja umarłabym z tęsknoty. Sofii”.

Więc to tak, pomyślała z goryczą. Santi jedzie do niej... Nie, to niemożliwe, nie chcę, żeby on także zniknął. Ten list oznacza, że zamierzają uciec i nigdy nie wrócić. Co pomyśla mama i tata? Umrą ze smutku. Nie mogę na to pozwolić. Santi będzie żałował tego kroku do końca życia. Maria ukryła twarz w dłoniach i z mocno bijącym sercem zaczęła obmyślać plan. Jeżeli spali list, Sofia uwierzy, że Santi zmienił zdanie. Jakoś przetrwa trzy lata w Europie, wyrośnie z tego głupiego uczucia i zgodnie z planem wróci do Argentyny. A jeśli

Santi wyjedź teraz w ślad za nią, nie wrócą obydwój, już nigdy. Nie mogła znieść myśli, że straci i Sofię, i Santięgo.

Zapisała adres Sofii w notesie, pisząc go od końca, na wypadek gdyby Santi wpadł na pomysł przejrzenia jej rzeczy, i wsunęła list do koperty. Nie przeczytała ani słowa więcej, ponieważ nawet ciekawość nie zdołała skłonić jej do zadawania sobie takich tortur. Wstała i wyszła na balkon, zabierając po drodze zapalki. Włożyła list do pustej doniczki i podpałała go, a potem starannie rozgniotła poczerńiałe kawałki papieru. Dopiero wtedy osunęła się na podłogę, spuściła głowę i zaczęła płakać. Doskonale wiedziała, że nie powinna była zniszczyć listu, ale próbowała wmówić sobie, że kiedyś Sofia i Santi będą jej za to wdzięczni. Zresztą, nie robiła tego tylko ze względu na siebie czy na nich, ale dla rodziców, którzy nie przeżyliby rozstania z Santim.

Maria nienawidziła Sofii i tęskniła za nią. Brakowało jej kaprysów kuzynki, jej zmiennych nastrojów, inteligencji, dowcipu i humoru. Czuła się zraniona i zdradzona. Dorastały razem i wszystko robiły wspólnie. Sofia zawsze była egoistką, ale nigdy dotąd nie odsunęła jej od siebie, w każdym razie nie w ten sposób. Maria nie mogła zrozumieć, dlaczego Sofia do niej nie na pisała. Czy dlatego, że w oczach przyjaciółki była jak wierny szczeniak, którego obecność cieszy, ale poza tym się go nie za uważa? Cóż, niezależnie od tego, jaka była przyczyna milczenia Sofii, Maria podjęła już decyzję. Sofia będzie cierpiała, zasłużyła na to, skoro sama tak beztrząsco rozdawała cierpienie. Teraz rozumie, co czuje ktoś, kogo traktuje się tak, jakby nie znaczył nic, po prostu nic. Później, kiedy wracała myślami do tego, co zrobiła, ogarniały ją straszne wyrzuty sumienia. Przysięgła sobie, że nigdy nikomu się do tego nie przyzna. Chwilami sama siebie nie poznawała.

Gdy wkrótce potem przyszedł drugi list, Maria była zaskoczona, bo nie spodziewała się, że Sofia napisze jeszcze raz. Pospieszenie ukryła kopertę na dnie torebki, a później spaliła ją na balkonie, nawet do niej nie zaglądając. Od tej pory codziennie rano pojawiała się w holu na dole, podstępna i czujna jak zawodowy złodziej. Schwytana w pułapkę wcześniejszych oszustw, nie po trafiła się z niej wyrwać.

Po wyjeździe Sofii weekendy nie były już takie same. Zostawiła po sobie gorycz i wrogość między członkami rodziny Solanas, a te mroczne uczucia poważnie zagrażały zjednoczeniu i miłości. Lato szybko odeszło i zaczęła się zima. Powietrze przesiąknięte było ciężkim zapachem spalanych liści i wilgotnej ziemi. W Santa Catalina zapanowała melancholijna atmosfera. Każda rodzina trzymała się własnego domu, sobotnie spotkania na barbecue ustały, w miejscu, gdzie zwykle stawiano ruszt, rozlała się wielka kałuża deszczówki. Wszyscy mieli wrażenie, że era szczęścia i spokoju dobiegła końca.

Tygodnie mijały powoli, a Santi nadal nie mógł się doczekać listu od Sofii. Godzinami zastanawiał się, czy rodzina nie przeszkodziła jej w skontaktowaniu się z nim, i nieodmiennie dochodził do wniosku, że było to możliwe. Matka szczerze mu współczuła, ale patrzyła na całą sprawę bardzo realistycznie. Powiedziała mu, że musi wrócić do normalnego życia i zapomnieć o Sofii. Znał przecież mnóstwo dziewcząt, więc dlaczego nie miałby zacząć spotykać się z którąś z nich... Ojciec kazał Santiemu „przestać marzyć i zejść na ziemię”.

- Wpakowałeś się w paskudną kabałę, synu, ale cóż, wszystkim nam się to zdarza w tym czy innym okresie życia - rzekł Miguel. - Musisz przez to przejść, nie masz innego wyjścia. Na razie zajmij się studiami, później wszystko samo się ułoży.

Nie ulegało wątpliwości, że rodzice bardzo się na nim zawiedli, nie mieli jednak zamiaru prawić mu kazań.

- To, co przeżywa, jest dla niego wystarczającą karą - westchnęła Chiquita.

Sofia wypełniała każdą chwilę życia Santiago, niezależnie od tego, czy leżał pogrążony w płytkim, niespokojnym śnie, czy jak szalony galopował po równinie, aby wyładować gniew i tęsknotę. Każdy weekend spędzał na farmie, wszędzie szukając śladów Sofii, ze smutkiem przesuwając dłonią po inicjałach, które oboje wycięli w korze ambu. Torturował się wspomnieniami, a w końcu tracił panowanie nad sobą i płakał jak dziecko, dopóki starczyło mu łez i siły.

W lipcu tego samego roku Juan Domingo Peron, prezydent Republiki Argentyny, zmarł po zaledwie ośmiu miesiącach pełnienia władzy, którą ponownie przejął, wróciwszy z wygnania w październiku roku poprzedniego. Argentyńczycy albo kochali, albo nienawidzili Perona, nikt nie mógł wobec niego pozostać obojętny - prezydent był na to zbyt wielką osobowością. Jego ciało nie zostało zabalsamowane, a pogrzeb był prosty, zgodnie ze wskazówkami, jakie pozostawił. Stanowisko prezydenta objęła druga żona Perona, Isabel, i kraj zaczął staczać się po równi pochyłej. Ponieważ zajmowana pozycja całkowicie przekraczała jej możliwości intelektualne, najczęściej opierała się na opinii swojego doradcy, byłego policjanta i astrologa, Josego Lopeza Regi, o przydomku El Mago (czarodziej), który utrzymywał, że potrafi wskrzeszać zmarłych i rozmawia z archaniołem Gabrielem. Zapewniał też, że duch Perona przekazuje przez niego przemówienia, które wygłasza Isabel. Sytuacja wewnętrzna kraju pogarszała się jednak z miesiąca na miesiąc i ani Isabel, ani Lopez Rega nie umieli temu zaradzić. Wybuchł bunt, który Rega stłumił, wyprowadzając przeciwko protestującym swoje szwadrony śmierci. Paco przewidywał, że pani prezydent zostanie wkrótce obalona.

- Przecież to tancerka z nocnego klubu - powiedział. - Nie mam pojęcia, co robi w polityce. Powinna trzymać się tego, co umie najlepiej.

Miał rację. W marcu 1976 roku w wyniku wojskowego zamachu stanu Isabel została usunięta ze stanowiska i umieszczona w areszcie domowym. Wojskowi, z generałem Videlą na czele, wydali krwawą wojnę wszystkim, którzy występowali przeciwko nim. Podejrzani o działalność antyrządową byli aresztowani, torturowani i zabijani. Nastął czas wielkiego terroru.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Genewa, 1974 rok

Sofia siedziała na ławce na brzegu intensywnie błękitnego Jeziora Genewskiego. Jej oczy, utkwione w szczytach dalekich gór, były czerwone i zapuchnięte od płaczu. Chociaż niebo przybrało cudowny chabrowy kolor, powietrze było bardzo ostre. Dziewczyna otuliła się kożuchem swojej kuzynki i zadrżała. Dominique kazała jej jeść... Co pomyśli Santi, jeżeli Sofia wróci do Argentyny jako cień kobiety, którą pożegnał, pytała. Ale Sofia nie miała apetytu. Postanowiła, że zacznie normalnie jeść, kiedy Santi odpowie na jej list.

Przyjechała do Genewy na początku lutego. Była to jej pierwsza podróż do Europy, więc natychmiast zauważyła różnice między Argentyną a Szwajcarią. Genewa, pedantycznie uporządkowana, miała ulice czyste i równe, wystawy sklepów obramowane ozdobami z wypolerowanego mosiądzu, wnętrza wspaniale udekorowane i pachnące. Nowoczesne samochody lśniły, a domy wydawały się nieskażone bliznami, jakimi burzliwe dzieje naznaczyły budynki Buenos Aires. Mimo tej czystości, zadbania i luksusu Sofia bardzo tęskniła za szaloną, barokową atmosferą rodzinnego miasta. W Genewie restauracje zamykano o dwudziestej trzeciej, podczas gdy Buenos Aires o tej porze dopiero budziło się do nocnego życia, które zamierało przed świtem. Brakowało jej gwarnych kawiarni, wibrującego szumu wielkiego miasta, przyjęć wyprawianych na ulicach, komików i magików, zapachu benzyny i lekko przypalonego karmelu oraz szczekających psów i rozkrzyczanych dzieci, tego wszystkiego, co składało się na niepowtarzalną aurę ulic Buenos Aires. Genewa wydawała jej się cicha i zbyt spokojna. Miła, kosmopolityczna, kulturalna, ale cicha i trochę nudna.

Sofia nie miała wcześniej okazji poznać kuzyna swego ojca, Antoinea, ani jego żony Dominique, chociaż nieraz o nich słyszała. Paco opowiadał jej czasami o swoich „londyńskich czasach”, kiedy to razem z Antoineem wypuszczał się na miasto i cieszył jego urokami, a Anna mówiła jej, że jako narzeczona mieszkała u Dominique i Antoinea w Kensington. Sofia przypominała sobie, że Anna nie była szczególnie zachwycona Dominique i nazywała ją „zbyt spontaniczną”, cokolwiek by to miało znaczyć. Dominique nigdy nie polubiła Anny, ponieważ już na pierwszy rzut oka rozpoznała w niej oportunistkę, natomiast Sofię bez chwili wahania obdarzyła wielką sympatią. Jest taka podobna do ojca, pomyślała z radością.

Sofia ze swej strony odetchnęła z ulgą, stwierdziwszy, że Antoine i Dominique są najsympatyczniejszymi ludźmi, jakich kiedykolwiek spotkała. Antoine był potężnie zbudowany, wesoły i mówił po angielsku z wyraźnym francuskim akcentem. Początkowo Sofia myślała nawet, że kuzyn ojca próbuje ją w ten sposób rozweselić, bo z pewnością bardzo tego potrzebowała, ale okazało się, że Antoine wcale nie udaje.

Dominique miała czterdzieści parę lat, była dość pulchna, o łagodnej, miłej twarzy i dużych niebieskich oczach, które otwierała szeroko za każdym razem, gdy coś wzbudziło jej zainteresowanie. Długie jasne włosy (bynajmniej nienaturalnie jasne, co otwarcie przyznawała) wiązała w koński ogon chusteczkami w kropki, nigdy innymi. Opowiedziała Sofii, że poznała Antoinea właśnie dzięki chusteczce w kropki, którą podał jej podczas spektaklu w paryskiej operze. Siedział w rzędzie za nią i zauważył, że ociera łyzy rękawem

jedwabnej sukni, więc postanowił ją ratować. Od tej pory Dominique zawsze nosiła chusteczkę w kropki dla upamiętnienia tak ważnego dnia.

Dominique mówiła i śmiała się głośno, dużo i szczerze, nosiła luźne spodnie i długie, powiewne koszule w ostrych, pięknych kolorach, które kupowała w egzotycznym sklepie o nazwie Arabesque na londyńskiej Motcomb Street. Na każdym palcu miała pierścionek z barwnym oczkiem.

- W razie potrzeby pełnią rolę złotych kastetów - powiedziała kiedyś i natychmiast opowiedziała Sofii, jak parę lat temu jednym z pierścionków wybiła przednie zęby, skądinąd sztuczne, lubieżnie uśmiechniętemu ekshibicjoniście, który obnażył się przed nią na stacji metra Knightsbridge. - Gdyby natura lepiej go wyposażyła, uścisnęłabym mu rękę - zażartowała. - Londyn to dziwne miejsce. Sofio, jedyne, gdzie próbowano mnie okraść, napaść czy obrazić, zresztą zawsze w metrze. Pamiętam, jak jakiś brudny, zawszony facet, ledwo sięgający mi do pępka, spojrzał na mnie jak na dziwkę i wychrypiał, że ma zamiar mnie pieprzyć. Przyjrzałam mu się z góry i powiedziałam, że jeśli by mu się to udało, a ja dowiedziałabym się o tym, byłabym na niego naprawdę bardzo, ale to bardzo zła. Tak go zaskoczyłam, że na następnej stacji wyskoczył z wagonu jak obłany wrzątkiem kocur.

Dominique uwielbiała szokować. Sofia nie mogła napatrzeć się na fioletowe i pertowoniebieskie cienie, jakimi podkreślała kolor oczu.

- Po co używać naturalnych barw? - mówiła ze śmiechem. - Zostawmy to naturze!

Papierosy wkładała do długiej czarnej cygaretki, podobnie jak księżniczka Małgorzata, siostra królowej Elżbiety II, a paznokcie malowała krwiście czerwonym lakierem. Była pewna siebie, uparta i wyzywająca. Sofia, której podobały się wszystkie cechy nowo poznanej kuzynki, doskonale rozumiała, dlaczego matka nie lubiła Dominique. Sofia i Anna bardzo rzadko zgadzały się na jakikolwiek temat.

Antoine i Dominique mieszkali w luksusowym białym domu na Quai de Coligny, z którego okien roztaczał się wspaniały widok na jezioro. Antoine był doradcą finansowym, jego żona pisała książki. Kiedy Sofia zapytała ją, o czym pisze, Dominique z szerokim uśmiechem odpowiedziała, że głównie o seksie i morderstwach. Dała jej jedną ze swoich powieści do przeczytania, na poprawę humoru, jak stwierdziła. Książka nosiła tytuł Naga podejrzana, ale nawet Sofia, z zupełnie niewyrobnym gustem, szybko się zorientowała, że to bardzo marna rzecz. Mimo to powieści Dominique sprzedawały się świetnie i autorka ciągle biegała na spotkania z czytelnikami i dziennikarzami, gdzie z entuzjazmem rozdawała autografy i udzielała wywiadów. Dominique i Antoine mieli dwoje nastoletnich dzieci, Delfinę i Louisa.

Sofia zaufała Dominique od samego początku, od chwili, gdy ta okazała jej współczucie i zrozumienie.

- Wiesz, cherie, wiele lat temu wdałam się w namiętny romans z pewnym Włochem -

wyznała. - Kochałam go z całego serca, ale moi rodzice uznali, że nie jest wystarczająco dobry dla mnie. Był właścicielem małego sklepu z wyrobami skórzanymi we Florencji, a ja mieszkalam wtedy w Paryżu. Rodzice wysłali mnie do Florencji, żebym studiowała sztukę, nie mężczyzn, ale powiem ci, chérie, że dzięki Giovanniemu poznałam Włochy znaczej lepiej niż na wykładach w auli uniwersyteckiej. - Dominique wybuchnęła głębokim, gardłowym śmiechem. - Teraz nie pamiętam nawet jego nazwiska... Zdarzyło się to tak dawno temu... No, nieważne. Chcę tylko, byś wiedziała, chérie, że rozumiem, co czujesz. Płakałam wtedy przez cały miesiąc.

Sofia płakała już dłużej niż miesiąc. Pewnego deszczowego po południu zwinęła się w kłębek na przykrytym białą jedwabną narzutą łóżku Dominique i opowiedziała jej o wszystkim, zaczynając od chwili, kiedy Santi wrócił do domu z Ameryki, a kończąc na pożegnalnym pocałunku pod drzewem ambu. Bez reszty zagłębiła się we wspomnieniach, a Dominique siedziała obok niej, oparta o poduszki, paląc jednego papierosa za drugim i ze współczuciem słuchając każdego słowa. Sofia nie pominęła żadnego szczegółu, bez zawstyżenia opisując swój związek z Santim. Przeczytała już kilka powieści Dominique i wiedziała, że niewiele rzeczy mogłoby ją zbulwersować.

Dominique wspierała Sofię od pierwszej chwili. Nie rozumiała, dlaczego Anna i Paco nie pozwolili dwojgu młodym pobrać się i założyć rodzinę. Gdyby była matką dziewczyny, na pewno nie stanęłaby na drodze do ich szczęścia. Przyszło jej do głowy, że na decyzję rodziców Sofii musiał wpłynąć jakiś nieznany czynnik i doszła do wniosku, iż winę za to ponosi Anna.

- To zupełnie niepodobne do Paca - mruknął Antoine, kiedy Dominique opowiedziała mu historię Sofii.

Dominique i Antoine rozmawiali też z Sofią o dziecku. Dziewczyna była absolutnie zdecydowana je zatrzymać.

- W liście napisałam Santiemu o dziecku - oświadczyła.- Wiem, że nigdy by się nie zgodził, abym poddała się aborcji albo je oddała. Będzie cudownym ojcem. Wrócę z naszym maleństwem do Argentyny, staniemy się rodziną i rodzice nie zdołają mnie zmusić, żebym się go wyrzekła.

Dominique starała się dodać Sofii odwagi. Ona także była przeciwna aborcji i uważała ją za przejaw barbarzyństwa. Obiecała pomóc Sofii i wspierać ją przez cały okres ciąży, ostrzegła jednak, aby na razie nie zawiadamiała rodziny o swojej ostatecznej decyzji.

- Możesz zostać z nami, jak długo zechcesz - powiedziała. - Będę dbała o ciebie jak o własną córkę.

Pierwsze dni po przyjeździe były dość ekscytujące. Sofia natychmiast napisała do Santiago, a Dominique z radością zaadresowała kopertę, potem zaś zabrała dziewczynę na zakupy do eleganckich sklepów przy rue de Rive i kupiła jej kilka zestawów najmodniejszych strojów.

- Noś je, dopóki możesz - poradziła ze śmiechem. - Nie potrwa to długo...

Na weekendy wyjeżdżali na narty do Verbier, gdzie Antoine miał piękny drewniany domek, przytulony do górskiego zbocza, z widokiem na cudowną dolinę. Louis i Delfinę przywozili ze sobą przyjaciół i dom wypełniał się wesołym gwarem. Gospodarze i goście jeździli na nartach, chodzili na spacer, grali w karty, warcaby i szachy przy kominku. W czasie pierwszej wizyty w Verbier przeszli na drugą stronę granicy i uroczyście wysłali list do Santiago, zadowoleni, że koperta ze stemplem francuskiej poczty nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Sofia nieustannie tęskniła za Santim i wyobrażała sobie, jak odbiera jej list i od razu odpisuje. Razem z Dominique dokładnie wyliczyła, ile czasu upłynie, zanim odpowiedź trafi w jej ręce, i z podnieceniem czekała na list od ukochanego. Przewidywane dwa tygodnie minęły, potem minął miesiąc i zaczął się drugi, lecz Santi milczał. Sofia straciła apetyt, źle spała i wyglądała bardzo blado.

Codziennie chodziła na rozmaite kursy, na które zapisała ją Dominique - języka francuskiego, historii sztuki, muzyki, malowania.

- Jeżeli będziesz zajęta, nie starczy ci czasu, by tęsknić za domem i rozmyślać o Santim.

Sofia zajęła się nauką, pragnąc oderwać się od rzeczywistości i znaleźć ukojenie w sztuce. Utwory muzyczne, jakie grała na fortepianie Dominique, były przejmująco smutne, obrazy, jakie malowała, mroczne i pełne melancholii, a dzieła włoskiego renesansu, omawiane na zajęciach, doprowadzały ją do łez nieprzemijającym pięknem. Czekając na list od Santiago lub na jego przybycie - była bowiem przekonana, że jej ukochany pewnego dnia po prostu zapuka do drzwi Dominique i Antoine'a - posługiwała się sztuką jak narzędziem, wyrażając za jej pośrednictwem ból i coraz bardziej beznadziejną tęsknotę. Napisała do Santiago jeszcze raz, potem trzeci i czwarty, na wypadek gdyby nie otrzymał pierwszego listu, lecz on nie odpowiadał.

Patrzyła w wodę i zastanawiała się, czy wiadomość o jej ciąży mogła aż tak bardzo przerazić Santiago. Może wcale nie chciał wiedzieć o dziecku? Może go nie pragnął? Może uważał, że najlepiej będzie, jeżeli zapomni o Sofii i wróci do normalnego życia. A co z Marią? Czy ona także o niej zapomniała? Sofia chciała napisać do kuzynki, kilka razy zaczynała nawet list, ale za każdym razem miała kartkę papieru i wrzucała ją do ognia. Wstydziła się i nie bardzo wiedziała, co powinna napisać.

Rozejrzała się dookoła i zauważyła, że spod topniejącego śniegu wyrastają małe, delikatne kwiaty. Wiosna była tuż-tuż, w łonie Sofii rozwijało się dziecko, powinna więc być szczęśliwa, ale ona tęskniła za Santa Catalina, upalnymi letnimi dniami i parnymi popołudniami, które razem z Santim spędzała na strychu, gdzie nikt nie mógł im przeszkodzić. Idąc prowadzącą do domu ulicą, dostrzegła Dominique, która z balkonu gorączkowo wymachiwała do niej trzymaną w ręku niebieską lotniczą kopertą. Ruszyła biegiem, jej depresja zniknęła w jednej chwili, płuca wypełniły się świeżym, pachnącym wiosną powietrzem. Dominique uśmiechała się szeroko, a jej białe zęby lśniły w obramowaniu szkarłatnych warg.

- Z trudem powstrzymałam się, żeby go nie otworzyć! - zawołała. - Pospiesz się, Sofio! No, szybciej!

Liczyło się dla niej tylko to, że Santi w końcu napisał i na twarzy Sofii znowu zagości uśmiech.

Sofia chwyciła kopertę i spojrzała na nią uważnie.

- Och, nie! - jęknęła z rozczarowaniem. - To od Marii! Ale może Maria pisze w imieniu Santiago, bo jemu zabronili porozumiewać się ze mną - pocieszyła się zaraz.

Rozdarła kopertę i przebiegła wzrokiem kartkę pokrytą równymi liniami kształtnego, drobnego pisma. Nagle przygryzła dolną wargę i zalała się łzami.

- Co się stało, chérie. - zdenerwowała się Dominique. - Co ona pisze?

Sofia bezsilnie osunęła się na sofę, podając list kuzynce.

- Kto to jest Maxima Marguiles? - zapytała po chwili Dominique.

- Nie wiem - zaszlochała Sofia. - Maria napisała, że Santi z nią chodzi. Jak on może?

Tak szybko?

- Ufasz Marii?

- Oczywiście. To moja najlepsza przyjaciółka.

- Może Santi zaczął się widywać z inną, by przekonać rodzinę, że już się tobą nie interesuje. Może to gra?

Sofia powoli podniosła głowę.

- Tak sądzisz?

- Santi jest sprytny, prawda?

- Tak - odparła Sofia, wyraźnie rozpogodzona. - Ja z tego samego powodu umawiałam się z Robertem Lobitem...

- Z Robertem Lobitem?

- To stara historia. - Sofia machnęła ręką, nie chcąc, aby cokolwiek odwróciło jej uwagę od Santiago.

- Czy powiedziałaś Marii o swoim związku z Santim? - zapytała Dominique.

Sofia skrzywiła się lekko, czując silne wyrzuty sumienia. Powinna była porozmawiać z Marią...

- Nie... To była nasza tajemnica, moja i Santiago. Nie mogłam, nie chciałam nikomu o tym mówić. Nigdy nie ukrywałam niczego przed Marią, ale tym razem... Po prostu nie mogłam, i już.

- Więc należy przypuszczać, że Maria o niczym nie wie, prawda?

- Nie mam pojęcia. - Sofia w podnieceniu przygryzła paznokiec. - Nie, nie wie, bo gdyby wiedziała, nie chciałaby mnie zranić tą wiadomością o Maximie Marguiles. Poza tym na pewno napisałaby coś o mnie i Santim... Zawsze byliśmy najlepszymi przyjaciółkami... Sądzę, że nie wie.

- Myślisz, że Santi mógłby jej się zwierzyć?

- Nie. To bardzo mało prawdopodobne.

- Też tak mi się wydaje - powiedziała Dominique. - Na twoim miejscu zaczekałabym na list od Santiago.

Sofia postanowiła uzbroić się w cierpliwość. Dni robiły się coraz dłuższe, śnieg stopniał i farmerzy wypuścili krowy na górskie łąki, aby pasły się wśród kwiatów i wysokich traw. Nadszedł maj. Sofia była już w piątym miesiącu ciąży, jej brzuch wyraźnie się zaokrąglił, ale poza tym była niepokojąco wychudzona. Lekarz ostrzegł Dominique, że jeżeli Sofia nie zacznie się prawidłowo odżywiać, może poważnie zaszkodzić dziecku. Od tej chwili dziewczyna z trudem wmuszała w siebie zdrowe, pożywne i smaczne rzeczy i piła dużo wody oraz soków owocowych. Dominique nie przestawała martwić się jej stanem ducha i zdrowia i modliła się, żeby ten przekłety Santi w końcu napisał. Po pewnym czasie straciła wszelką nadzieję, chociaż wiedziała, że Sofia w dalszym ciągu czeka na list. Dziewczyna całymi godzinami przesiadywała na ławeczce nad jeziorem, patrząc, jak wiosna odchodzi, ustępując miejsca latu, to zaś cofa się powoli przed jesienią. Czuła; jak część jej serca umiera wraz z latem, a częścią tą była nadzieja.

Dopiero znacznie później, kiedy zdolna już była obiektywniej spojrzeć na fakty, uświadomiła sobie, że skoro Maria znała jej adres, to powinien znać go także Santi. Zrozumiała wtedy, że choć mógł do niej napisać, nie zrobił tego. Z jakiegoś powodu zdradził ją, porzucił, świadomie podjął decyzję, aby zerwać wszelkie kontakty z dziewczyną, którą podobno kiedyś kochał. Usiłowała jeszcze sama przed sobą usprawiedliwić jego postępek, wymyślając najróżniejsze przyczyny, które mogły sprawić, że Santi, tak przecież zakochany, postanowił z nią zerwać.

2 października 1974 roku Sofia urodziła zdrowego chłopca. Rozpłakała się, kiedy pierwszy raz przytuliła go do siebie i na karmiła. Miał ciemne włosy, dokładnie takie jak ona, i niebieskie oczy. Dominique powiedziała jej, że wszystkie dzieci przychodzą na świat z niebieskimi oczami.

- Wobec tego jego oczy będą zielone, po ojcu - orzekła Sofia.

- Albo brązowe, po matce - uzupełniła Dominique.

Poród był trudny. Sofia krzyczała głośno, czując, jak ból rozdziera jej wnętrze. Z całej siły ścisnęła rękę Dominique, i wołała Santiago. W tych niezwykłych chwilach, gdy po walce przychodzi ulga, a w końcu radość, Sofia miała wrażenie, że jej serce staje się równie puste jak łono. Santi przestał ją kochać i ten fakt kładł się cieniem na jej duszy. Straciła nie tylko kochankę, ale i jedyne prawdziwego przyjaciela, nic więc dziwnego, że znowu pogrzeżała się w rozpacz.

Radość, jaka ogarnęła ją, kiedy pierwszy raz przytuliła dziecko, na pewien czas wypełniła pustkę po miłości Santiago. Głaskała delikatną buzię dziecka, z czułością dotykała jego miękkich włosów i wdychała ciepły, rozkoszny zapach niemowlęcia. Gdy jadł, bawiła się małą rączką, która w instynktownie zaborczy sposób chwyciła jej palce i nie chciała ich puścić, nawet we śnie. Sofia czuła, że jest potrzebna swemu synkowi i z przyjemnością obserwowała, jak mały brzusek pęcznieje od mleka, jej mleka, które miało podtrzymać jego życie i sprawić, że będzie росł zdrowo i szybko. Kiedy ssał pierś, w jej brzuchu narastało dziwne, przyjemne uczucie, a gdy płakał, odbierała ten dźwięk, jeszcze zanim dotarł do jej uszu. Postanowiła nadać mu imię Santiguito. Mały Santiago, ponieważ sądziła, że właśnie tak chciałby go nazwać Santi.

Potem jednak pierwsza radość z posiadania dziecka przygasła, Sofia znowu popadła w przygnębienie i nabrała przekonania, że w przyszłości nie czeka ją nic dobrego. Właśnie wtedy przeżyła wielkie załamanie wiary w siebie. Codziennie doświadczała chwil tak ogromnego przerażenia, tak lodowatej paniki, że powietrze uciekało z jej płuc i nie mogła oddychać. Nie była w stanie samodzielnie opiekować się noworodkiem, bo nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Nie miała pojęcia, jak żyć bez Santiago, bez Soledad. Otwierała usta do krzyku, ale wydobywał się z nich tylko długi, cichy jęk. Była sama na świecie i nie potrafiła stawić czoła życiu.

Często myślała o Marii. Całym sercem pragnęła podzielić się swym bólem z przyjaciółką, lecz nie umiała zrobić pierwszego kroku. Czuła się winna. Jeżeli Maria wiedziała o wszystkim, a Sofia coraz częściej podejrzewała, że tak jest, na pewno uznała, że została oszukana. Podejrzenia te zmieniły się w pewność, kiedy Maria nie odezwała się więcej. Sofia nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wielki mur odgradził ją od wszystkiego, co znała i kochała. Usiłowała polubić Genewę, ale to miasto kojarzyło jej się wyłącznie z tęsknotą i cierpieniem. Ze szpitalnego okna widziała lśniące w słońcu góry, lecz potrafiła myśleć tylko o tym, co straciła. Straciła miłość Santiago i przyjaźń Marii, dom, rodzinę i poczucie bezpieczeństwa. Czuła się porzucona i samotna, nie wiedziała, w którą stronę się zwrócić i dokąd pójść. W głębi serca nosiła pewność, że nigdy nie zdoła uciec od siebie, swojego bólu i samotności.

Po tygodniowym pobycie w szpitalu Sofia wróciła z dzieckiem do domu na Quai de Coligny. Leżąc w szpitalnym łóżku, miała mnóstwo czasu, żeby przemyśleć ostatni okres swego życia. Wydawało jej się oczywiste, że Santi nie chce ani jej, ani ich dziecka. Nie mogła wrócić do Argentyny i z całą pewnością nie zamierzała pojechać do Lozanny, jak zaplanowali jej rodzice. Początkowo, jeszcze w marcu, oboje pisywali do niej, próbując wyjaśnić swoje postępowanie i usprawiedliwić się. Listy od ojca przychodziły częściej niż listy od matki, ale

nie odpisała na żaden z nich i po pewnym czasie przestała je dostawać. Może wyobrażali sobie, że po jej powrocie do domu wszystko wróci do normy, lecz ona nie zamierza wracać. Nigdy.

Wy tłumaczyła Dominique, że nie zniesie życia w Argentynie bez Santiago, a Genewa wydaje jej się zbyt spokojnym miejscem, aby mogła rozpocząć tu nowy etap życia. Dlatego postanowiła zamieszkać w Londynie.

- Dlaczego w Londynie? - zapytała Dominique, głęboko rozczarowana, że Sofia i mały Santiguito wkrótce ją opuszczą. - Przecież wiesz, że możesz mieszkać tu z nami, nie musisz wyjeżdżać...

- Wiem, ale muszę oderwać się od wszystkiego, co przypomina mi o Santim. Jest mi tu bardzo dobrze, ty i Antoine jesteście teraz moją jedyną rodziną... Spróbuj mnie jednak zrozumieć - chcę zacząć nowe życie.

Sofia westchnęła i spuściła oczy. Dominique zrozumiała, że dziewczyna, którą z radością przyjęła do swego domu, dorosła i stała się kobietą. Na pewno zawdzięczała tę przemianę narodzinom dziecka, chociaż wcale nie promieniała radością macierzyństwa, typową dla młodych matek. Wręcz odwrotnie, Sofia sprawiała wrażenie smutnej i przygnębionej.

- Mama i tata poznali się w Londynie - ciągnęła. - Mówię po angielsku i dzięki dziadkowi, który pochodził z Irlandii Północnej, mam brytyjski paszport. A najważniejsze, że w Londynie nikt nie będzie mnie szukał. W Genewie, Paryżu czy Hiszpanii - tak, ale nie w Londynie. Podjęłam już decyzję, Dominique. Wyjeżdżam do Londynu.

Londyn zawsze fascynował Sofię. Chodziła do angielskiej szkoły San Andres w Buenos Aires, gdzie uczyła się o angielskich królach i królowych, o ich często tragicznych losach i otaczającej monarchię aurze powagi i ceremonii. Ojciec obiecał jej, że kiedyś zabierze ją do Londynu, więc teraz postanowiła pojechać tam sama.

- Cherie, ale co zrobisz w Londynie sama, z maleńkim dzieckiem na ręku? Nie zdołasz wychować go bez pomocy...

- Nie zabieram go ze sobą - odparła Sofia, wbijając wzrok w perski dywan pod swoimi stopami.

Dominique nie potrafiła ukryć zaskoczenia. Patrzyła na Sofię z żałośnie wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami.

- Więc co masz zamiar z nim zrobić? - wykrztusiła wreszcie. - Zostawić go u nas?

Ogarnęła ją złość, miała ochotę mocno potrząsnąć młodą kobietą, lecz nagle w głowie zaświtała jej myśl, że być może Sofia padła ofiarą depresji poporodowej.

- Nie, nie, Dominique - odpowiedziała Sofia ze znużeniem. - Chcę oddać go jakiejś dobrej, kochającej rodzinie, która zaopiekuje się nim jak własnym synkiem. Najlepiej takiej, która od dawna marzy o dziecku... Proszę, pomóż mi znaleźć takich ludzi.

Sofia nie mogła już płakać, zabrakło jej łez, a serce stało się dziwnie odrętwiałe. Antoine i Dominique usiedli razem z nią przy łóżeczku Santiguito i starali się przekonać ją do zmiany decyzji. Na dworze szalała ulewa, jakby przyroda postanowiła wier nie oddać stan ducha Sofii. Dziecko spało spokojnie, otulone starym kocykiem Louisa. Sofia z uporem powtarzała, że nie może cały czas być z dzieckiem, którego istnienie przypomina jej o zdradzie Santiago. Była zbyt młoda i nie umiała poradzić sobie z tą sytuacją. Przyszłość wydawała jej się wielką czarną dziurą, nie chciała swojego dziecka.

Antoine zauważył surowo, że mówią o ludzkiej istocie, małym człowieku, za którego Sofia ponosi odpowiedzialność. Santiguito nie był zabawką, którą można po prostu oddać. Dominique tłumaczyła, że z czasem zapomni o Santim, a jej dziecko zyska w jej oczach własną osobowość i przestanie być tylko wspomnieniem ojca. Sofia nie słuchała, nie chciała słuchać. Uważała, że jeżeli wyjedzie jak najszybciej, rozstanie z synkiem będzie mniej bolesne, jeśli natomiast zostanie, nigdy już nie zdobędzie się na to, by go zostawić, chociaż wie, że po prostu musi to zrobić. Była zbyt młoda, żeby się nim opiekować, w nowym życiu, jakie pragnęła rozpocząć, nie było dla niego miejsca. Podjęła decyzję i żadne argumenty nie mogły skłonić jej do ponownego rozważenia sytuacji.

Dominique i Antoine całymi godzinami dyskutowali o przyszłości Sofii w czasie, gdy dziewczyna zabierała Santiguito w wózku na spacer by brzegiem jeziora. Żadne z nich nie chciało, aby oddała synka do adopcji, ponieważ wiedzieli, że będzie żałowała tego do końca życia. Bardzo jeszcze młoda, w żaden sposób nie była w stanie przewidzieć swojej przyszłości. Przy braku doświadczenia nie miała pojęcia, że dziewięć miesięcy, gdy nosiła dziecko w sobie, oraz kilka pierwszych tygodni jego życia stworzą między nimi nierozzerwalną więź.

Dominique i Antoine namówili dziewczynę na wizytę u psychiatry, mając nadzieję, że rozmowa z lekarzem trochę ją otrzeźwi. Sofia zgodziła się pójść do specjalisty, ale oświadczyła, że nie zamierza zmienić zdania. Psychiatra, doktor Baudron, niski mężczyzna o siwych, zaczesanych do tyłu włosach i wypiętej do przodu klatce piersiowej, która, zdaniem Sofii, upodabiała go do tłusciutkiego gołębia, odbył z nią kilka rozmów, w czasie których musiała dokładnie zanalizować ostatni rok. Spokojnie opowiedziała mu o wszystkim, co się wydarzyło, czując się trochę tak, jakby to wszystko w ogóle jej nie dotyczyło. Po paru bezowocnych wizytach doktor Baudron powiedział Dominique, że Sofia albo znajduje się w stanie głębokiego szoku, albo należy do najbardziej opanowanych osób, jakie kiedykolwiek spotkał. Był gotów poświęcić jej więcej czasu, ale Sofia uznała, że nie ma to sensu. Nadal obstawała przy swoim, całkowicie zdecydowana na wyjazd do Londynu.

Kiedy zdołała ich wreszcie przekonać, że w żadnym wypadku nie zmieni decyzji, razem zajęli się formalną stroną adopcji. Sofia musiała podpisać wiele dokumentów i umówić się na kilka oficjalnych spotkań. Dominique była zrozpaczona. Usiłowała po wiedzieć Sofii,

że wcześniej czy później gorzko pożałuje tego kroku, ale dziewczyna nie chciała słuchać. Pomyślała wtedy, że nigdy nie spotkała osoby równie upartej i chwilami szczerze współczuła Annie. Gdy sytuacja układała się nie po myśli Sofii, dziewczyna przestawała robić wrażenie delikatnego anioła. Łatwo wpadała w gniew, naburmuszona zamykała się w sobie. Była nie tylko uparta, ale i dumna. Dominique z całego serca pragnęła, żeby Sofia spakowała rzeczy i razem z dzieckiem wróciła do Argentyny, wiedziała bowiem, że po pierwszym szoku burza szybko ucichnie i oboje znajdą tam prawdziwy dom, lecz Sofia nie chciała słyszeć o powrocie. Wracać do rodziców? Nigdy, powtarzała.

Procedura adopcyjna dobiegała końca, Sofia coraz wyraźniej uświadamiała sobie, że wkrótce jej rozstanie z synkiem stanie się faktem. Teraz, gdy to rozumiała, znacznie intensywniej przeżywała każdą chwilę z Santiguitem. Często płakała, myśląc o tym, że nie będzie obecna przy jego dorastaniu, nigdy nie ujrzy go jako dojrzewającego chłopca i mężczyzny, nie będzie miała żadnego wpływu na kształtowanie się jego charakteru oraz przyszłości. Próbowwała wyobrazić sobie, jak będzie wyglądał jako pięcioletnie- czy dziesięcioletnie dziecko, tuliła do piersi jego drobne ciało i przemawiała do niego długo i cierpliwie, jakby miała nadzieję, że chłopiec zapamięta jej głos. A jednak, mimo bólu, jaki odczuwała na myśl o rozstaniu, ani razu nie zwątpiła w słuszność swojej decyzji.

Dominique i Antoine niechętnie omówili z nią szczegóły wyjazdu do Londynu i wręczyli jej pewną sumę na rozpoczęcie życia w nieznanym mieście. Dominique zasugerowała, żeby Sofia zatrzymała się na kilka dni w hotelu, nim zacznie szukać mieszkania do wynajęcia. Wreszcie oboje odwieźli ją na lotnisko.

- Co mamy powiedzieć ojcu? - zapytał Antoine surowym tonem, starając się ukryć głęboki niepokój.

Bardzo polubił Sofię, ale nie był w stanie zrozumieć tego, co postrzegał jako jej emocjonalny chłód wobec małego Santiguity. Jak mogła sama pozbawiać się radości, jaką daje posiadanie dziecka? Delfina i Louis byli dla niego wszystkim, nie wyobrażał sobie życia bez swoich dzieci.

- Nie wiem - odparła Sofia. - Powiedzcie rodzicom, że postanowiłam zacząć od nowa, ale nie mówcie im, dokąd wyjechałam.

- Za jakiś czas wrócisz chyba do domu, prawda. Sofio? - odezwała się Dominique, ze smutkiem potrząsając głową.

Sofia utkwiała wzrok w kołyszące się lekko, długie, stylizowane na indyjskie kolczyki Dominique. Czuła, że będzie bardzo tęsknić za swoimi krewnymi. Z trudem przełknęła ślinę, starając się opanować.

- W Argentynie nie czeka mnie nic dobrego, Dominique - powiedziała drżącym głosem. - Mama i tata pozbyli się mnie, jakbym nic dla nich nie znaczyła.

- Rozmawialiśmy już o tym. Sofio. Musisz im wybaczyć, w przeciwnym razie ta gorycz będzie cię zjadać od środka i przyniesie ci smutek i nieszczęście...

- Nic mnie to nie obchodzi - oświadczyła Sofia twardo.

Dominique westchnęła głęboko i mocno uściskała dziewczynę, która stała się jej bliska jak córka, chociaż Delfine nigdy nie byłaby tak uparta.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, czegokolwiek, kochanie, zawsze możesz do nas zadzwonić. Albo wrócić. Nigdy nie odmówimy ci pomocy, chérie. Będzie nam ciebie brakowało...

Dominique otarła łzy, które zdążyły już rozmazać jej jak zwykle barwny makijaż.

- Dziękuję. - Sofia się rozplakała. - Dziękuję wam obojgu... Och, Boże, a tak starałam się nie płakać... Beksa ze mnie, i tyle... Naprawdę nie wiem, co się ze mną dzieje...

Pociągając nosem, obiecała, że będzie regularnie pisała i na pewno zadzwoni, gdyby potrzebowała pomocy.

Potem ostatni raz ucałowała porośniętą miękkimi włosami główkę Santiguity i odetchnęła jego ciepłym, dziecięcym zapachem. Nie mogła się zmusić, by odłożyć go do wózka i długą chwilę walczyła z sobą, bardzo bliska zmiany decyzji, zaraz jednak przypomniała sobie, że nie może zostać w Genewie i stale żyć wspomnieniami. Musiała zacząć wszystko od nowa. Spojrzała w jego malutką twarzyczkę i na zawsze zatrzymała jej obraz w pamięci. Santiguity odwzajemnił jej spojrzenie, z zaciekawieniem wpatrując się w nią błękitnymi oczkami. Wiedziała, że synek nie zapamięta jej twarzy, w jego podświadomości nie zostanie żadne związane z nią skojarzenie. Szybko wzięła się w garść i przypomniała sobie, co postanowiła. Delikatnie pogładziła palcem cudownie miękkie policzek dziecka, chwyciła torbę i zdecydowanym krokiem podeszła do stanowiska kontroli paszportowej.

Kiedy znalazła się po drugiej stronie, wzięła głęboki oddech, podniosła głowę i przestała płakać. Stała na progu nowego życia. „Życie jest zbyt krótkie, aby żałować straconych szans i złych decyzji”, mawiał dziadek Dwyer. „Będzie takie, jakim sama je uczynisz, Sofio Melody. Szklanka może być do połowy pusta lub do połowy pełna - wszystko zależy od nastawienia. Od pozytywnego nastawienia, Sofio”.

Rozdział dwudziesty drugi

Santa Catalina, 1976 rok

Dwa lata minęły bez żadnej wiadomości od Sofii. Paco rozmawiał z Antoineem, który wyjaśnił mu, że dziewczyna opuściła Genewę, nie zdradzając, dokąd się udaje. Antoine rozumiał, że Sofii zależało, aby rodzice nie wiedzieli, gdzie jej szukać, uznał jednak, że nie powinien pozostawiać ich w całkowitej niepewności co do losów córki i dlatego powiedział, iż Sofia postanowiła zamieszkać w Londynie.

Anna była bardzo zawiedziona, że Sofia nie podjęła nauki w Lozannie, dlatego za wszelką cenę pragnęła skontaktować się z córką i poprosić, aby wróciła do domu. Martwiła się, że Sofia może na zawsze pozostać z dala od rodziny. Zastanawiała się, czy nie była dla niej zbyt surowa, ale powtarzała sobie, że każde dziecko wymaga karcenia i to zadanie, oczywiście między innymi, należy do rodziców. Czego spodziewała się Sofia?, że matka i ojciec poklepią ją po ramieniu i upomną, aby więcej tak się nie zachowywała? Nie, dziewczyna w pełni zasłużyła na to, co ją spotkało, i na pewno zrozumiała, ale teraz wszystko to należało już do przeszłości. Dominique zapewniła Annę, że Sofia „uporała się ze swoim problemem”, dlaczego więc uparta mała nadal dąsała się na rodziców? Anna wysłała ją do Europy dla jej dobra i Sofia na pewno kiedyś będzie jej za to wdzięczna... Dlaczego więc ciągle milczy, dlaczego nie chce nawiązać kontaktu z matką? Nie napisała nic, ani słówka, i to po tych wszystkich listach, które matka do niej wysłała. Anna czuła, że w oczach Sofii musi być chyba potworem. Powtarzała sobie, że córka przechodzi "trudny okres", ale wcześniej czy później wróci do domu. Oczywiście, że wróci, przecież tu się urodziła i wychowała...

- Jest uparta jak jej dziadek! - skarżyła się Anna Chiquicie. - Krew z krwi Dwyerów!

Starła się zachować spokój, lecz w głębi serca coraz częściej odczuwała wyrzuty sumienia. Wiedziała, że postąpiła źle, ale nie potrafiła się do tego przyznać, nawet sama przed sobą.

Chiquita z rozpaczą obserwowała, jak Santi staje się coraz bledszy i bardziej wychudzony. Martwiła się stanem jego nogi, ponieważ mocno utykał, ale on w ogóle z nią nie rozmawiał. Był obecny w domu ciałem, lecz nie duchem. Chiquita mogła więc tylko mieć nadzieję, podobnie jak Anna, że jej dziecko wróci. Fernando studiował na wydziale inżynieryjnym uniwersytetu w Buenos Aires i także przechodził trudny okres. Razem z przyjaciółmi nie przestrzegał godziny policyjnej, zgubił kartę identyfikacyjną i wpakował się w kłopoty z policją. W całej Argentynie ludzie opowiadali sobie o aresztowaniach i tajemniczych zniknięciach przeciwników junty, wśród których znajdowało się wielu studentów. W tych historiach pobrzmiwała nuta prawdziwej grozy. Chiquita niepokoiła się, czy Fernando nie przebywa w towarzystwie nieodpowiedzialnych młodych socjalistów, którzy planowali obalenie rządu.

- Polityka to nie zabawa, Fernando - upomniął ostro syna Miguel. - Jeżeli wpadniesz w tarapaty, możesz to przypłacić życiem.

Fernando w gruncie rzeczy cieszył się, że rodzice poświęcają mu tyle uwagi. Wreszcie go dostrzegli... Często opowiadał im mocno przesadzone historie o swoich wyczynach i prawie chciał, by policja go aresztowała, bo wtedy Chiquita i Miguel musieli by okazać swoje uczucie do niego, dokładając starań, aby wydostać go z aresztu. Ojciec wpadał w złość, słuchając jego opowieści, natomiast Chiquita ocierała łzy ulgi, że syn mimo wszystko bezpiecznie wrócił do domu. Fernando z przyjemnością doprowadzał ją do takiego stanu, ponieważ wtedy czuł się naprawdę kochany. Santi zachowywał się jak duch - pojawiał się i szybko zniknął, zwykle bez słowa. Fernando prawie go nie zauważał. Studiował, zapuszczał

brodę i z wielką satysfakcją przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze. Szczęście wreszcie się do niego uśmiechnęło, a wszystko to dzięki Sofii. Och, tak, Fernando nie miał cienia wątpliwości, że Santi i Sofia są siebie warci...

Kiedy Chiquita powiedziała Marii, że Sofia wyjechała do Londynu, nie zostawiając adresu, dziewczyna wybuchnęła płaczem.

- To wszystko moja wina! - wykrzyknęła, nie chciała jednak wyjaśnić, co miała na myśli.

Matka starała się ją pocieszyć i zapewniała, że Sofia wróci do domu, ale Maria w odpowiedzi tylko uśmiechnęła się gorzko. Chiquita czuła się całkowicie bezradna. Wszystkie jej dzieci były nieszczęśliwe, wszystkie z wyjątkiem małego Panchita, który zawsze się uśmiechał i wydawał się zupełnie zadowolony z życia.

W listopadzie 1976 roku Santiemu brakowało paru miesięcy do dwudziestych trzecich urodzin, ale wyglądał o wiele poważniej. W końcu przyjął do wiadomości, że Sofia nie wróci, i popadł w rezygnację. Nie miał pojęcia, w jaki sposób i w jakim punkcie zawiódł tak starannie przemyślany plan nawiązania kontaktu z ukochaną. Początkowo myślał, że może to ojciec zabiera listy od Sofii, kiedy rano wychodzi do pracy, zaczął więc wstawać bardzo wcześnie i przeglądać pocztę prawie o świcie. Niestety, nigdy nie natrafił na tak oczekiwany list. Sofia milczała.

Wreszcie Santi zdecydował się stawić czoło Annie. Chiquita powtarzała mu, żeby trzymał się z dala od ciotki, ponieważ Anna nie życzyła sobie go widzieć, więc Santi stosował się do tego polecenia, ale po ponad dwóch miesiącach, oszalały z niepokoju, zapukał do drzwi mieszkania Pacy i Anny w Buenos Aires.

Anna siedziała z kucharką, ustalając jadłospis na nadchodzący tydzień, gdy w drzwiach salonu stanęła czerwona jak burak Loreta i wyjąkała, że w holu czeka senior Santiago i stanowczo żąda widzenia się z ciotką. Anna poinstruowała Loretę, aby powiedziała Santiemu, że wyszła i wróci bardzo późno, lecz służąca po chwili wróciła z przepaszającym wyrazem twarzy i oświadczyła, iż senior Santiago nie chce odejść i zamierza czekać tak długo, aż ciotka poświęci mu trochę czasu. Anna z ciężkim westchnieniem odprawiła kucharkę i kazała Lorecie wprowadzić nieproszonego gościa.

Kiedy Santi wszedł do pokoju, wyglądał jak cień samego siebie sprzed paru tygodni. Twarz miał poczerniałą, oczy podkrążone i płonące wściekłością. Zaniedbany, z brodą i długimi włosami, nie był już przystojnym, miłym chłopcem, lecz obcym mężczyzną o złowrogim spojrzeniu. Anna pomyślała, że stał się podobny do Fernanda, który zawsze, nawet jako dziecko, nosił w sobie mnóstwo bynajmniej nie dziecięcej złości i goryczy.

- Siadaj - odezwała się, siłą woli opanowując drżenie głosu.

Santi potrząsnął głową.

- Nie chcę, nie zabawię tu długo - powiedział obojętnym tonem. - Daj mi adres Sofii i zaraz sobie pójdę...

- Doprawdy, Santiago - rzekła Anna ostro. - Jak śmiesz domagać się, abym dała ci adres córki, tobie, który skradłeś jej cnotę?

- Daj mi jej adres i zaraz sobie pójdę - powtórzył Santi, zdecydowany uniknąć sceny. Wiedział, jaka jest ciotka, ponieważ wiele razy udało jej się doprowadzić jego matkę do łez. - Proszę... - dodał z wymuszoną uprzejmością.

- Nie dam ci jej adresu, bo nie chcę, żebyście się spotykali czy kontaktowali - oświadczyła Anna lodowato, przyglądając lśniące, rude włosy, upięte w ciasny węzeł z tyłu głowy. - Na co właściwie liczysz, Santiago? Nie sądzisz chyba, że się pobierzecie? Czyżbyś tego właśnie pragnął?

- Daj mi ten adres, do cholery! - wybuchnął Santi. - To nie twoja sprawa, z kim Sofia zechce się spotkać!

- Jak śmiesz tak do mnie mówić! Sofia jest moją córką! Kiedy pozbawiłeś ją niewinności, była jeszcze dzieckiem, nieletnią dziewczyną! - Anna podniosła głos.

- Pozbawiłem ją niewinności? Boże, zawsze byłaś potwornie melodramatyczna, Anno, ale to już chyba przesada! Najwyraźniej nie masz ochoty myśleć, że sprawiło jej to przyjemność, prawda?

Wargi Anny zadrżały nerwowo.

- Było jej bardzo przyjemnie - ciągnął Santi. - Cieszyła się każdą chwilą, którą spędziliśmy razem, ponieważ kocha mnie, a ja kocham ją! Kochaliśmy się, Anno! Uprawialiśmy miłość, nie wulgarny, brudny seks, ale piękną miłość! Nie oczekuję, że to zrozumiesz, bo jesteś zgorzkniała, wiecznie wszystkim rozczarowana i nigdy nie potrafiłabyś doznać takiej radości! Niech ci będzie, nie chcesz, nie dawaj mi tego adresu, sam się dowiem, gdzie jest Sofia. Znajdę ją, weźmiemy ślub w Europie i nigdy tu nie wrócimy, nigdy! Będziesz jeszcze żałowała, że wygoniłaś ją z domu!

Wyszedł szybko, nie czekając, aż Anna go wyprosi, i mocno zatrzasnął za sobą drzwi. Po tym krótkim sporze Chiquita i Miguel skarcili go za okazaną ciotce nieuprzejmość, a Paco poprosił go na rozmowę i w miarę spokojnie wytłumaczył mu, dlaczego nie powinien komunikować się z Sofią. Santi był zbyt zrozpaczony, by dostrzec cierpienie w oczach stryja i szary odcień jego skóry. Odejście Sofii złamało ich obu, lecz Santi nie chciał się poddać. Sofia prosiła go przecież, żeby nigdy się nie poddawał.

Dwa i pół roku zadręczał się, wymyślając możliwe scenariusze. Może Sofia napisała i list zaginęła po drodze... Może czekała na list od niego... Może ktoś ukradł jej list... Santi cierpiał tak bardzo, że nękana wyrzutami sumienia Maria w końcu nie wytrzymała i wyznała wszystko bratu.

Stało się to pewnej ciemnej, deszczowej zimowej nocy. Santi tkwił na balkonie ze wzrokiem wbitym w gwarne ulice miasta jedenaście pięter pod nim. Jak we śnie przyglądał się światu, który nie zwracał najmniejszej uwagi na jego ból. Maria stanęła w drzwiach, jej blade wargi drżały. Wiedziała, że musi powiedzieć mu prawdę. Jeżeli tego nie zrobię, Santi może skoczyć z balkonu i zabić się, a ja nigdy sobie tego nie wybaczę, pomyślała. Maria patrzyła chwilę na światła samochodów i barwne neony, słuchała dźwięku klaksonów, których Argentyńczycy zwykle używają bez wyraźnego powodu. Potem odwróciła się i spojrzała na mroczny profil Santiiego. Brat nawet jej nie zauważył. Nie przeczuwał, że siostra zamierza wyznać mu swój najbardziej przerażający sekret.

- Santi... - odezwała się, ale głos zawiódł ją i z gardła wydobył się tylko niepewny szept.

- Zostaw mnie w spokoju, Mario. Chcę być sam. - Santi nawet nie drgnął.

- Muszę ci coś powiedzieć. - Tym razem głos Marii zabrzmiał trochę mocniej.

- Więc mów - rzucił, nawet nie zdając sobie sprawy z ostrego tonu, jakim się do niej zwraca.

Własne nieszczęście uczyniło go nieczułym na uczucia innych, zupełnie jakby tylko on jeden na całym świecie pogrążony był w bólu.

- Chcę się do czegoś przyznać - zaczęła Maria, wierzchem dłoni ocierając łzy, które pociekły jej po policzkach ze strachu przed jego reakcją. - Nie... Nie złość się na mnie, pozwól mi wyjaśnić, dlaczego... Dlaczego to zrobiłam...

Santi powoli zwrócił ku niej twarz i zmierzył ją ciężkim spojrzeniem.

- Chcesz mi się do czegoś przyznać? - powtórzył sucho.

- Tak.

- Do czego?

Maria przełknęła łzy i mocno zacisnęła drżące dłonie.

- Spaliłam listy, które napisała do ciebie Sofia.

Kiedy słowa Marii dotarły do świadomości Santiiego, cały jego gniew, ból i tęsknota wybuchnęły z siłą wulkanu. Podniósł rękę i gwałtownie uderzył nią o barierkę, potem zaś chwycił stojącą obok doniczkę i rzucił nią o ścianę. Ciężko dysząc, z nienawiścią spojrzał na siostrę. Po twarzy Marii spływały wielkie łzy.

- Przepraszam, przepraszam... - powtarzała raz po raz, usiłując położyć rozdygotaną rękę na jego ramieniu. - W jaki sposób mogę ci to wynagrodzić?

- Dlaczego? - ryknął Santi i cofnął się o parę kroków. - Dlaczego zrobiłaś coś takiego, Mario? Przecież to do ciebie zupełnie niepodobne! Jak mogłaś?

- Czułam się zraniona, Santi, zapomniana i zraniona - wybełkotała, gotowa na wszystko, byle tylko poruszyć serce brata. - Santi, błagam cię, przebac mi! Zrobię wszystko, co zechcesz, przysięgam!

Ale on stał bez ruchu, nie spuszczał z niej wzroku.

- Mój Boże, Mario, że też właśnie ty zniżyłaś się do takiej podłości! Nie mogę uwierzyć, że jesteś taka mściwa! - Potrząsnął głową, niezdolny pojąć, że to ona wyrządziła mu tak wielką krzywdę.

Maria patrzyła, jak Santi drży z bezsilnej wściekłości. Był młodym mężczyzną, ale wyglądał staro. I to ona ponosiła za to winę, to ona była za to odpowiedzialna. Nigdy sobie tego nie wybaczę, pomyślała.

- To był błąd! - jęknęła żałośnie. - Nienawidzę się za to, Santi! Chcę umrzeć!

Przepraszam cię! Przepraszam!

- Jak znalazłaś te listy? - zapytał, nadal nie do końca jej wierząc.

- Przeglądałam pocztę, wychodząc na uczelnię.

- Boże, Mario, jak mogłaś być taka podstępna! Nigdy bym cię o to nie podejrzewał!

- Nie jestem taka, Santi, naprawdę taka nie jestem! Nie mogłam tylko znieść myśli, że ty także wyjedziesz... Wyobraziłam sobie, co przeżyliby mama i tata, i po prostu nie mogłam pozwolić, żebyś nas zostawił...

- Więc czytałaś te listy, tak?

- Nie, tylko kilka ostatnich linijek.

- Pamiętasz je? - warknął wrogo.

- Pisała, że pragnie, żebyś przyjechał do niej, do Szwajcarii...

- Czekala na mnie - wyszeptał, ponieważ napięcie pozbawiło go głosu, ściskając mu gardło niczym pętla szyję skazanego na śmierć przez powieszenie. - Czekala na mnie... Na pewno myśli, że ją zdradziłem...

- Myślałam, że wróci i wtedy się okaże, że oboje z tego wyrosliście. I że wszystko będzie jak dawniej... Nie przyszło mi do głowy, że wyjedzie na dobre... Och, Santi, coś takiego nawet nie zaświtało mi w głowie! Tak żałuję, że to zrobiłam!

- Ja też - wykrztusił Santi.

Osunął się na mokrą posadzkę i ukrył twarz w dłoniach. Jego ciałem wstrząsnął gwałtowny szloch. Najpierw kilka razy odepchnął siostrę, która próbowała go pocieszyć, ale kiedy nie odeszła, w końcu pozwolił jej otoczyć się ramionami i długo klęczeli obok siebie na balkonie, zrozpaczeni.

Minęły dwa lata, nim Santi całkowicie przebaczył siostrze. Kiedy pewnej zimnej czerwcowej nocy wyruszył razem z Fernandem i kilkoma jego zbuntowanymi przyjaciółmi, aby wyrwać Marię z rąk podłego Facunda Hernandeza, wreszcie przetarł oczy i zobaczył, że za ścianą jego bólu istnieje świat pełen cierpienia innych ludzi. Ocknął się.

Maria zakochała się w Facundzie Hernandezie jesienią 1978 roku, wkrótce po swoich dwudziestych pierwszych urodzinach. Facundo był wysoki i ciemny, w jego żyłach płynęła hiszpańska krew. Miał ciemnobrązowe oczy o długich, czarnych, podwiniętych na końcu rzęsach. Był jednym z młodych oficerów generała Videli i z dumą nosił swój elegancki nowy mundur. Czczył generała z entuzjazmem rekruta i spacerował ulicami Buenos Aires z arogancką pewnością siebie, typową dla ówczesnych przedstawicieli argentyńskiej armii.

Generał Videla przejął władzę w marcu 1976 roku, zamierzając położyć kres chaosowi, jaki ogarnął kraj po śmierci Perona, i dokonać odnowy argentyńskiego społeczeństwa. Nowy rząd wydał krwawą wojnę opozycji, aresztując wszystkich podejrzanych o antyvidelowskie sympatie. Nastąpił czas rewizji, których dokonywano w środku nocy, i aresztowań, po których ludzie znikali w niewyjaśnionych okolicznościach, aby nigdy nie wrócić do swoich rodzin. Czas wielkiego terroru. Liczba „zaginionych” sięgała 20 tysięcy. Nikt nie był pewny dnia ani godziny.

Facundo Hernandez wierzył w demokrację. Uważał, że wojsko kładzie fundament pod nowe, zdrowe rządy, które „będą pasowały do rzeczywistości i reagowały na potrzeby narodu”, jak twierdził. Był tylko małym trybikiem w wielkiej maszynie, której celem działania była odnowa kraju i przeprowadzenie odpowiednich reform. Mówił sobie, że tortury i morderstwa są w tej sytuacji rzeczą nieuniknioną i chyba słuszną, bo przecież cel uświęca środki.

Facundo Hernandez po raz pierwszy ujrzał Marię Solanas w Buenos Aires pewnego kwietniowego, niedzielnego ranka, kiedy wybrała się na spacer po parku w towarzystwie przyjaciółki. Był ciepły dzień, pogodne niebo zdawało się muskać dachy domów wielkiego miasta, a park pełen był bawiących się w słońcu dzieci. Facundowi spodobały się jej lśniąca włosy, opadające ciężką falą na plecy, a także krągłość kształtów. Lubił pulchne, krągłe kobiety, ich pełne pośladki i jędrne uda. Z odległości paru kroków obserwował, jak zgrabnie poruszają się biodra i pupa nieznanym.

Maria i Victoria usiadły przy jednym z małych kawiarnianych stolików i zamówiły dwie butelki coli. Kiedy Facundo Hernandez podszedł do nich, przedstawił się i zapytał, czy może się przysiąść, zmierzyły go podejrzliwym spojrzeniem i nerwowo wyjaśniły, że czekają na kolegę. Facundo przypomniał sobie, że kiedyś widział już Victorię, i natychmiast oświadczył, iż jest przyjacielem jej kuzyna, Alejandra Torredona, a wtedy dziewczęta wyraźnie się uspokoiły i pozwoliły mu zająć miejsce przy stoliku. Maria od razu polubiła Facunda, który potrafił rozbawić ją do łez. Czuli się przy nim atrakcyjni, zwłaszcza że prawie w ogóle nie zwracał uwagi na jej przyjaciółkę. Pod koniec pierwszego spotkania nadal

była ostrożna i nie dała mu swego numeru telefonu, ale zgodziła się umówić w parku następnego dnia o tej samej porze.

Wkrótce ich spacerzy zaczęły kończyć się dopiero po lunchu, a niedługo potem Facundo zaprosił Marię na kolację i nie spotkał się z odmową. Był uroczy, inteligentny i zabawny. Miał odrobinę złośliwe poczucie humoru i uwielbiał drwić z innych. Błyskawicznie dostrzegał śmieszności znajomych i obcych, na przykład to, że jakaś kobieta wyszła z toalety z podwiniętą z tyłu spódnicą lub że staruszek przy sąsiednim stole nie zauważył, iż do policzka przylepił mu się kawałek kotleta. Każdy miał w sobie coś śmiesznego i wartego kpiny, przynajmniej w oczach Facunda. Młody oficer tak bardzo podobał się Marii, że początkowo śmiała się z jego żartów. Dopiero później uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy są okrutne.

Po raz pierwszy pocałował ją w ciemnej uliczce niedaleko domu. Był bardzo czuły i powiedział, że ją kocha. Kiedy Maria zniknęła w holu, postanowił, że ją poślubi, i jeszcze tego samego wieczoru poinformował o tym Manuelę, prostytutkę, z której usług stale korzystał, zapewniając ją, że jego małżeństwo w żaden sposób nie zmieni ich dotychczasowych stosunków.

- Nikt nie potrafi zająć się mną tak jak ty, Manuelo - jęknął, gdy wzięła go w usta.

Maria dość długo myślała, że zasługuje na to, co spotyka ją ze strony Facunda. Wystarczyło drobne nieporozumienie, by wymierzył jej policzek. Była zaskoczona, wytrącona z równowagi, przestraszona. Przepraszała go za zbyt śmiałe odezwania, obiecywała, że będzie traktowała go z większym szacunkiem. Kochała go. Kochała sposób, w jaki ją obejmował, rozmawiał z nią, całował. Był cudowny, nie liczył się z pieniędzmi i kupował jej drogie ubrania, zawsze w tym samym stylu. Złościł się, kiedy przychodziła na randkę w luźnym swetrze.

- Masz piękne ciało - mówił. - Chcę, żeby wszyscy widzieli, co posiadam, i pękali z zazdrości.

Powtarzał, że jest z niej dumny, ale kiedy robiła coś nie tak, jak sobie życzył, bił ją. Maria przyjmowała karę, coraz mocniej przekonana, że na nią zasługuje, i spragniona jego aprobaty. Zaraz potem Facundo wybuchał płaczem, obejmował ją i obiecywał, że nigdy więcej jej nie uderzy. Powtarzał, że nie może bez niej żyć, że jest jedyną, która może go uratować. Maria nie przestawała się z nim spotykać, ponieważ kochała go i chciała mu pomóc.

Zaczęli umawiać się w jego mieszkaniu w San Telmo. Facun do wyznał Marii, że na razie nie zamierza się z nią kochać, ponieważ jest dobrym katolikiem, podobnie jak ona, a stosunki seksualne mają służyć przede wszystkim prokreacji i powinni poczekać z nimi do ślubu. Dziewczyna była wzruszona i wdzięczna, zwłaszcza gdy dodał, że nie chce pozbawić jej dziewictwa, ale z radością będzie ją pieścił i dotykał. Mimo to nie powiedziała rodzicom o Facundzie i nie przedstawiła go im. Później, patrząc na całą sytuację z pewnej perspektywy,

uświadomiła sobie, że w głębi duszy wiedziała, iż rodziców nie uradowałaby jej znajomość z Facundem i nigdy by go nie zaakceptowali.

Chiquita kilka razy zauważyła siniaki na ciele córki. Kiedyś Maria wróciła do domu z rozciętą wargą, kiedy indziej z podbitym okiem. Zawsze tłumaczyła, że to nic takiego, że potknęła się na ulicy lub na schodach na swoim wydziale, ponieważ się spieszyła. Gdy zaczęło się to powtarzać, Chiquita podzieliła się swoimi obawami z Miguelem i oboje uznali, że trzeba coś zrobić.

Pewnego wieczoru pod koniec czerwca Fernando poszedł za Marią aż do zaniedbanej, brudnej kamienicy, w której mieszkał Facundo Hernandez. Zza załomu muru patrzył, jak wchodzi na schody i wyjętym z torebki kluczem otwiera drzwi mieszkania na drugim piętrze. Potem obszedł dom dookoła, wdrapał się na niski mur od strony podwórka, podciągnął na balkon na pierwszym piętrze, a stamtąd wspiał się na drugie. Słońce odbijało się w szybie i oślepiło go, ale kiedy pochylił głowę pod innym kątem, ujrzał, co działo się w środku. W pierwszej chwili odniósł wrażenie; że obcy mężczyzna pożera jego siostrę. Nie kochał się z Marią, lecz ugniatał jej szyję i piersi, osłonięte obcisłą bluzką. Nagle oderwał się od niej i uderzył ją w twarz, krzycząc, że znowu włożyła biustonosz.

- Chyba mówiłem ci, żebyś go nie zakładała! - wrzasnął.

Maria się rozplakała i zaczęła go przeproszać, drżąc na całym ciele. Mężczyzna padł na kolana i przywarł do niej. Całowali się, spleceni w uścisku, kołysząc się monotonicznie.

Fernando poczuł obrzydzenie, zrobiło mu się niedobrze. Chwilę stał oparty plecami o mur, oddychając głęboko. Miał ochotę rozbić szybę i skrócić kark temu przekłętemu draniowi, który obrażał jego siostrę, wiedział jednak, że w ten sposób niczego nie osiągnie. Musiał zachować spokój.

Parę godzin później Fernando dotarł za mężczyzną do burdelu i tam od portiera wyciągnął jego nazwisko. Dowiedział się też, że Facundo jest oficerem, i uznał, że trzeba dać mu odpowiednią nauczkę.

Kiedy Fernando powiedział o wszystkim rodzicom, ci wpadli w rozpacz. Chiquita nie była w stanie pojąć, dlaczego córka zataiła przed nią swój związek i nie poprosiła o pomoc.

- Maria zawsze zwierzała mi się z kłopotów - wyszeptwała, potrząsając głową z niedowierzaniem.

Miguel chciał zabić człowieka, który skrzywdził jego małą dziewczynkę, i Fernando musiał siłą wyrwać ojcu pistolet.

Fernando poczuł, że wreszcie jest bohaterem. To on się dowiedział, co dzieje się z Marią i kim jest jej dręczyciel, to on panował nad sytuacją, to na nim polegali rodzice. Powiedział im, żeby się nie martwili, że sam rozprawi się z Facundem, a oni, ku jego zdumieniu i zachwytowi, przystali na to. Po raz pierwszy patrzyli na niego z dumą. Zasłużył na ich szacunek i było mu z tym dobrze.

Santi, który przez cztery lata tkwił w swoim mrocznym świecie, postanowił wreszcie się z niego wyrwać. Fernando nie bardzo miał ochotę, żeby brat angażował się w sprawę Facunda. Ta chwila należała do niego i nie chciał dzielić się z Santim swoją chwałą, lecz kiedy spostrzegł, że i brat jest pełen podziwu dla niego, ustąpił.

- Możesz pójść ze mną - oświadczył poważnie. - Oczywiście pod warunkiem, że będziesz robił, co każe. I bez żadnych pytań, rozumiano?

Santi się zgodził, wdzięczny za zaufanie. Fernando wiedział, że rozprawa z Facundem będzie niebezpieczna, ale był na to przygotowany. Czuł się silniejszy i pewniejszy siebie niż kiedykolwiek wcześniej.

Obaj bracia usiedli na balkonie i zaczęli omawiać sprawę Marii. Pod ciemnym, rozgwieżdżonym niebem, wysoko nad ruchliwymi ulicami Buenos Aires, rozmawiali o dzieciństwie i przyszłości. Przez głowę Fernanda przemknęła myśl, że między nim a Santim zadzierzgnęła się zupełnie nowa więź, ale prawie nie zwrócił na to uwagi. Rozmawiał z bratem jak równy z równym chyba po raz pierwszy w życiu. Wreszcie mieli wspólny cel.

Zaczekali na odpowiedni moment i razem z dwoma lewicującymi przyjaciółmi Fernanda w środku nocy zakradli się do mieszkania ukochanego Marii. Ryzykowali własne życie, ponieważ w kraju nadal obowiązywała godzina policyjna. Nałożyli na twarze czarne pończochy i wyciągnęli przerażonego Facunda z łóżka, przywiązali go do krzesła i bili tak długo, aż znalazł się na granicy śmierci. Gdy odzyskał przytomność, Fernando ostrzegł go, że jeśli jeszcze raz zbliży się do Marii Solanas, odezwie się do niej lub spróbuje się z nią w jakikolwiek sposób skomunikować, wróć, aby go wykończyć. Facundo zrozumiał każde słowo, lecz zaraz znowu zemdlął z bólu i ze strachu.

Chiquita porozmawiała z córką, chociaż nie przyszło jej to łatwo. W pięknej, przytulnej sypialni Marii powiedziała jej, że wie, jak traktował ją Facundo, a także o tym, że stale utrzymywał stosunki z prostytutką. Maria próbowała go bronić. Z uporem powtarzała, że matka się myli, że Facundo nigdy jej nie uderzył, nigdy, przenigdy. Przyparta do muru, oskarżała rodziców, że ją szpiegują, krzyczała, że nie mają prawa wtrącać się w jej sprawy, że będzie się widywała, z kim zechce. Chiquita nie ustępowała. Wezwała na pomoc Santiago i Fernanda i z ich pomocą, łagodnie i bez wyrzutów, skłoniła wreszcie Marię do kapitulacji. Dziewczyna zwiesiła głowę i rozplakała się.

- Kocham go, mamó - wyznała. - Nie wiem dlaczego, po prostu go kocham...

Stali wokół niej - starali się pocieszyć ją i dodać jej odwagi. Maria rozejrzała się po swoim pokoju, spojrzała na twarze rodziców i braci i znalazła ukojenie w wiernej miłości, jaką ani na chwilę nie przestali ją darzyć. Rodzice pozwolili córce przespać tę noc w swoim łóżku, a rano wezwali lekarza, żeby porozmawiał z Marią i przepisał jej leki, gdyby okazało się to konieczne. Doktor Higgins nie mógł przyjechać, ale przysłał młodego, łagodnego lekarza, którego niedawno zatrudnił w swoim gabinecie, Eduarda Maraldiego.

Życie w Santa Catalina powoli wracało do normy. Zimowe miesiące minęły, dni stawały się coraz dłuższe i cieplejsze. Po wietrze pachniało żyzną ziemią i rozkwitającymi

kwiatami, ptaki głośnym śpiewem obwieszczały nadejście wiosny. Rany zaczęły się zablizniać, gorycz i żal zniknęły wraz z zimowymi mgłami. Santi otworzył oczy i spojrzął na otaczający go świat, który już nie wydawał mu się taki mroczny i ponury. Doszedł do wniosku, że przyszedł czas, by zgolić brodę.

Rozdział dwudziesty trzeci

Eduardo Maraldi był wysoki, bardzo szczupły i inteligentny. Miał długi nos i szare oczy, zdradzające wszystkie emocje. Gdyby nie małe okulary w stylu Trockiego, ludzie, z którymi miał do czynienia, mogliby bez najmniejszego trudu dostrzec, co czuje i myśli. Kiedy pierwszy raz przyjechał do Santa Catalina, Maria od razu zwróciła uwagę na jego łagodny głos, dziwnie nie pasujący do wysokiej postaci, i niezwykle delikatny sposób badania.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie czuje pani ból? - pytał, a ona szybko odkryła, że minimalizuje swoje dolegliwości, żeby go zanedo nie absorbować.

Była przyzwyczajona do lekarzy, którzy traktują pacjentów z dystansem i dość chłodno, i starają się nie angażować w ich problemy.

Za drugim razem opowiedziała mu o Facundzie wszystko, niczego nie ukrywając, nawet to, czego nie odważyła się wyznać matce. Opowiedziała mu, do czego ją zmuszał, gdy był pijany. Nigdy nie chciał się z nią kochać, co to, to nie, wciąż powtarzał, że pozbawi ją dziewictwa dopiero w ich noc poślubną, ale brutalnie obmacywał ją, bił i zmuszał, aby dotykała go i robiła rzeczy, które budziły w niej obrzydzenie. Zwierzyła się młodemu lekarzowi, że Facundo jednocześnie przerażał ją i pociągał. Eduardo Maraldi słuchał cierpliwie i ze zrozumieniem. W pewnej chwili Maria, wzruszona jego współczuciem, zaczęła płakać, a wtedy objął ją ramieniem i nie przekraczając umownej granicy oddzielającej lekarza od pacjenta, zdołał ją pocieszyć.

- Seniorka Solanas, ślady po fizycznych obrażeniach wkrótce znikną i nikt nie pozna, że pani ich doznała - odezwał się, gdy Maria trochę się uspokoiła. - To żaden problem, niepokoi mnie natomiast pani stan emocjonalny. Czy ma pani kogoś, z kim mogłaby pani o tym wszystkim porozmawiać?

- Nikomu o tym nie mówiłam, w każdym razie nie o wszystkich tych rzeczach...

- A pani matka? - Eduardo przypomniał sobie smukłą, delikatną kobietę, którą poznał podczas swojej pierwszej wizyty w Santa Catalina.

- Och, oczywiście, rozmawiam z nią, ale nie tak szczerze jak z panem. - Maria zaczerwieniła się i spuściła oczy.

- Potrzebuje pani opieki i miłości - oświadczył Eduardo.

Na policzki Marii wypełził jeszcze ciemniejszy rumieniec. Miała tylko nadzieję, że młody lekarz tego nie zauważył, ale się myliła. Eduardo dostrzegł jej zmieszanie. Sam również doznawał dziwnych uczuć.

- Mam bardzo kochającą rodzinę, doktorze Maraldi.

- Pani wewnętrzne rany będą goić się bardzo długo. Proszę nie oczekiwać cudów - mogą się pani zdarzać stany silnego przygnębienia, pozornie bez powodu, niewykluczone także, że będzie pani trudno zawierać nowe znajomości. Proszę zachować cierpliwość i nie zapominać, że ma pani za sobą przeżycia, które wywarły na panią głębszy wpływ, niż pani przypuszcza.

- Rozumiem.

- Jeżeli poczuje pani potrzebę, by o tym porozmawiać, zawsze służę pomocą - zaproponował z nadzieją, że Maria przyjmie tę sugestię.

- Chętnie skorzystam, doktorze. Dziękuję bardzo.

Po pożegnaniu z Marią Eduardo oplukał twarz zimną wodą. Czy nie odezwał się do niej zbyt śmiało? Czy jej nie wystraszył? Pragnął wyznać, że jest gotów się nią zaopiekować, ale nie mógł przecież proponować randki pacjentce, bo byłoby to wielce nie stosowne zachowanie. Mógł jedynie liczyć na to, że Maria zjawi się w jego gabinecie. Maria żałowała, że nie może porozmawiać z Sofią. Z nią byłaby zupełnie szczerą. Tęskniła za przyjaciółką, często o niej myślała i zastanawiała się, co się z nią dzieje. Napisała do Sofii, usiłując wyjaśnić, co zrobiła, ale Dominique odesłała jej list z informacją, że Sofia pojechała do Londynu i nie zostawiła adresu. Maria zrozumiała, że Sofia nie chce kontaktować się z rodziną. Najwyraźniej postanowiła odciąć się od nich na zawsze, a wszystko to przez nią. Miała ogromne wyrzuty sumienia. Z jednej strony pragnęła, aby kuzynka wróciła do domu, z drugiej - bałaby się spojrzeć jej w oczy, ponieważ bardzo się wstydziła. Jednego była absolutnie pewna - nigdy nie znajdzie przyjaciółki, która by zajęła miejsce Sofii.

W ciągu następnych dwóch miesięcy Maria myślała o Eduardzie znacznie częściej, niż się spodziewała. Obraz twarzy Facunda stopniowo zbladł w jej pamięci, coraz częściej myślała o Eduardzie. Miała nadzieję, że młody lekarz zadzwoni do niej, ale nie zrobił tego. Wiedziała, że może umówić się na wizytę pod pozorem koniecznej dla jej spokoju rozmowy, lecz bała się, że Eduardo przejrzy jej intencje. Była pewna, że od ich ostatniego spotkania ani razu o niej nie pomyślał.

Właśnie wtedy zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Bóg lub jakaś istota, władająca ludzkimi losami zrozumiała, że jeśli nie skrzyżuje ścieżek tych dwojga nieśmiałych ludzi, to oni sami nigdy się nie odnajdą. Pewnego dnia Maria, zamyślona, z koszykiem pełnym książek w ręku, wracała z wykładu do domu, kiedy nagle wpadła na jakiegoś wysokiego mężczyznę. Oboje w tej samej chwili wyjąkali przeprosiny, podnieśli wzrok i rozpoznali się.

- Seniorita Solanas! - zawołał Eduardo i poczuł, jak jego przygnębienie znika w ułamku sekundy.

Ostatnie dwa miesiące wlokły się bez końca, a on jakoś nie mógł odkryć przyczyny nękającego go smutku. Teraz uśmiechnął się pogodnie, znacznie szerzej niż zwykle.

- Doktor Maraldi! - Maria się roześmiała. - Co za...

- Zbieg okoliczności - dokończył. - Czy właśnie to chciała pani powiedzieć?

- Mam na imię Maria - powiedziała, czerwieniąc się gwałtownie.

- Eduardo. Na dziś zrzekam się funkcji twojego lekarza.

- Doskonale!

- Nie miałybyś ochoty napić się kawy? - zaproponował. - Ale może nie masz czasu...

- Z przyjemnością napiję się kawy - rzekła pospiesznie.

- To świetnie. Niedaleko stąd jest sympatyczna kawiarnia...

Ale zaraz, przede wszystkim daj mi ten koszyk...

Pozwoliła mu wziąć koszyk z grubym podręcznikiem do historii, który przed chwilą kupiła, i powoli ruszyli w dół ulicy. Eduardo szedł od strony krawężnika, jakby podświadomie pragnął chronić ją przed wszelkimi możliwymi zagrożeniami.

W kawiarni Calabria panował miły chłód. Eduardo wybrał stolik w rogu przy oknie i podsunął Marii krzesło, a potem za mówił kawę i dwa ciastka z kremem.

- Och, nie powinnam jeść słodczy! - zaprotestowała w trosce o swoją figurę.

Spojrzał na nią i pomyślał, jak piękne i pełne uroku jest jej ciało. Przypominała mu dojrzałą brzoskwinie. Maria dostrzegła wyraz jego oczu, chociaż zasłaniały je szkła okularów, i natychmiast zmiękła.

- Tym razem chyba jednak się skuszę.

Popijali kawę przez całe popołudnie i opuścili Calabrię dopiero po szóstej. Maria opowiedziała o Sofii, także i tym razem niczego nie ukrywając. Rozumiał ją, potrafił pojąć motywy, którymi się kierowała. Maria była pod dużym wrażeniem jego znajomości psychologii. Powierzyła mu tajemnicę związku swojego brata i kuzynki i wierzyła, że zachowa ją dla siebie.

- Zrobiłam straszną rzecz - wyznała ze smutkiem. - Spaliłam listy Sofii. Nigdy sobie tego nie wybaczę, bo straciłam nie tylko najlepszą przyjaciółkę, ale także brata. Tak, prawie go straciłam...

Eduardo spojrzał na nią ze współczuciem.

- Myślałaś, że postępujesz właściwie. Piekło jest wybrukowane dobrymi chęciami, wszyscy o tym wiemy - powiedział z łagodnym uśmiechem.

- Teraz ja też już to wiem.

- Nie powinnaś była tego zrobić, ale cóż, uczymy się na własnych błędach, i to najczęściej tych bolesnych. Na szczęście z każdej złej, smutnej sytuacji można wyprowadzić coś pozytywnego. Może któregoś dnia Sofia, już jako zadowolona z życia mężatka i matka pięciorga dzieci, podziękuje ci za to, kto wie... Najważniejsze, żebyś przestała się tym zadreć. Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem, Mario, trzeba patrzeć w przyszłość. - Zdjął okulary i starannie przetarł je serwetką.

- Więc nie uważasz, że jestem podła? - zapytała z nieśmiałym uśmiechem.

- Nie. Myślę, że jesteś wspaniałą dziewczyną, która popełniła błąd, ale przecież wszyscy je popełniamy.

Z całego serca pragnął dodać Marii pewności siebie, powiedzieć jej, że jest piękna nie tylko zewnątrz, ale i wewnątrz. Chciał okazać jej tyle miłości, żeby wymazać z jej pamięci poczucie winy, ból i łzy. Przyszło mu do głowy, że gdyby dała mu szansę, potrafiłby uczynić ją szczęśliwą.

Wyznał jej, że dwa lata temu był zaręczony, a kiedy zapytała, dlaczego się nie ożenił, odparł szczerze, że w tamtym związku czegoś mu brakowało.

- Nie rozumieliśmy się bez słów - powiedział. - Może uznasz mnie za nieuleczalnego romantyka, ale w pewnej chwili zrozumiałem, że mógłbym pokochać kogoś mocniej i głębiej niż moją ówczesną narzeczoną...

Od tamtego popołudnia Maria i Eduardo często rozmawiali przez telefon, kilka razy poszli razem do kina i do restauracji, nim młody człowiek ośmielił się ją pocałować. Maria wiedziała, że Eduardo świadomie się nie spieszy i była mu za to wdzięczna, chociaż od dawna pragnęła, aby ją pocałował.

Pewnego wieczoru przyjechał po nią z bukietem słodko pachnących dzikich kwiatów i zawiózł do restauracji na La Costanera, której taras znajdował się tuż nad rzeką. Patrzyli sobie w oczy, rozświetlone blaskiem świec, i rozmawiali bez przerwy. Po kolacji Eduardo zaproponował, żeby przeszli się brzegiem rzeki. Maria przeczuwała, co się wydarzy - była milcząca i stremowana. Długo szli bez słowa, aż wreszcie cisza stała się zbyt trudna do zniesienia. Eduardo ujął obie dłonie dziewczyny i odwrócił ją twarzą do siebie.

- Mario... - odezwał się niepewnie.

- Tak?

- Chciałem... Chciałem...

Oboje nie mogli poradzić sobie z własną nieśmiałością. Maria dałaby wiele, żeby pierwszy pocałunek był już za nimi.

- Eduardo, wszystko w porządku - szepnęła. - Chcę, żebyś mnie pocałował, naprawdę...

Wydawało jej się, że odetchnął z ulgą. Nie potrafiła pozbyć się obaw, że zachowają się sztywno i nienaturalnie, ale kiedy Eduardo dotknął ciepłą dłońią jej policzka i pocałował ją drżącymi wargami, zrozumiała, że nie miała się czego bać. Gdy później powiedziała mu, że w jego pieśszczocie było zdecydowanie, jakiego nie oczekiwała, uśmiechnął się z dumą i wyznał, iż jej zgoda na pocałunek natchnęła go wielką wiarą w siebie.

Chiquita i Miguel wiedzieli o coraz większej bliskości dwojga młodych ludzi i często o nich rozmawiali. Chiquita codziennie się modliła, żeby Eduardo zaopiekował się jej córką i zatarł w jej pamięci wspomnienia o strasznym Facundzie Hernandezie. Modliła się o to tak żarliwie, że czasami budziła się ze złożonymi rękami. Kiedy pod koniec lata Maria i Eduardo powiadomili ją i Miguela o swoich zaręczynach, w myśli podziękowała Bogu i ze łzami wzruszenia objęła córkę.

- Mamo, nie wiem, czym sobie na to zasłużyłam - powiedziała Maria, kiedy po uroczystej kolacji została sama z matką. - W Eduardzie jest wszystko, czego mogłabym zapragnąć. Jest dobry, zabawny i ekscentryczny. Kocham go za to, że jego dłonie drżą, gdy dotyka kruchych, delikatnych rzeczy, że jąka się ze zdenerwowania, że jest taki łagodny i pokorny... Mam ogromne szczęście. Żałuję tylko jednego - że nie ma tu Sofii i nie mogę podzielić się z nią swoją radością. Cieszyłaby się, wiem, że bardzo by się cieszyła. Tęsknię za nią, mamo.

- Wszyscy za nią tęsknimy, kochanie. Wszyscy.

Rozdział dwudziesty czwarty

Londyn, 1974 rok

Sofia przybyła do Londynu w połowie listopada 1974. Wsiadłszy z samolotu, spojrzała na szare, zamglone niebo i natychmiast zatęskniła za swoim krajem. Dominique zarezerwowała dla niej pokój w hotelu Claridges.

- poblizu Bond Street - wyjaśniła pogodnie. - Ulicy, gdzie można zrobić najcudowniejsze zakupy w całej Europie.

Sofia nie zamierzała jednak wybierać się na zakupy. Usiadła na brzegu łóżka i utkwiała wzrok w oknie, za którym padał gęsty, drobny deszcz. Powietrze było wilgotne i zimne. Nie miała najmniejszej ochoty wychodzić i nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić, zadzwoniła więc do Dominique, aby powiedzieć jej, że bezpiecznie dotarła na miejsce. Ledwo się odezwała, gdy z daleka usłyszała płacz małego Santiguita i serce zabolalo ją z tęsknoty. Przypomniała sobie jego drobne rączki i pulchne nóżki i o mały włos nie wybuchnęła płaczem. Kiedy odłożyła słuchawkę, otworzyła walizkę i spomiędzy rzeczy wyjęła

kawałeczek muślinu, który nadal pachniał jej synkiem. Przytknęła szmatkę do nosa, zwinęła się w kłębek na dużym łóżku i z płaczem zasnęła.

Hotel Claridges miał bardzo imponujące wnętrza o wysokich sklepieniach i pięknych gipsowych zdobieniach na ścianach. Uprzedzająco uprzejma obsługa zaspokajała wszystkie jej potrzeby, dokładnie tak, jak powiedziała Dominique.

- Zapytaj o Claude'a, on się tobą zaopiekuje - poradziła.

Sofia usłuchała jej i wkrótce poznała Claudea, niskiego, przysadzistego mężczyznę o lśniącej, łysej głowie, podobnej do piłeczki pingpongowej. Kiedy powołała się na Dominique, twarz i głowa Claudea poczerwieniała aż po błyszczący czubek łysiny. Otarł czoło białą chusteczką i poprosił Sofię, aby zwracała się do niego w każdej, ale to absolutnie w każdej sytuacji, gdy nie będzie mogła sobie poradzić. Jej kuzynka jest klientką wysoko cenioną przez dyrekcję hotelu, a w dodatku czarującą kobietą, oświadczył, dlatego z największą przyjemnością będzie służył pomocą.

Sofia wiedziała, że powinna poszukać sobie mieszkania i pracy, ale wciąż nie miała dość siły, aby się do tego zabrać. Chodziła na długie spacery po Hyde Parku i bez pośpiechu poznawała nowe miasto. Gdyby nie była tak przygnębiona, na pewno cieszyłaby się wolnością i możliwością zwiedzania Londynu bez rodziców i czuwających nad każdym jej krokiem ochroniarzy. Mogła spokojnie zaglądać do wszystkich ciekawych miejsc i rozmawiać z każdym napotkanym przechodniem, jeśli tylko miała na to ochotę. Spacerowała więc ulicami, przyglądała się wystawom, już ozdobionym świątecznymi dekoracjami, odwiedziła nawet parę galerii i wystaw. W małym sklepiku na Piccadilly kupiła parasolkę, która okazała się wyjątkowo przydatnym przedmiotem.

Londyn bardzo różnił się od Buenos Aires i zdaniem Sofii raczej nie przypominał wielkiego miasta. Domy były tu niskie, a wysadzone drzewami ulice kręte, tak że nigdy nie było wiadomo, dokąd doprowadzą. Buenos Aires zbudowane zostało na planie siatki, natomiast w Londynie układ ulic był zupełnie inny. W oczach Sofii Londyn podobny był do pięknej, starannie wypolerowanej perły, w porównaniu z którą jej rodzinne miasto wydawało się brudne i zaniedbane. Tak czy inaczej, Buenos Aires było jej domem i tęskniła za nim całym sercem.

Po paru dniach zaczęła szukać mieszkania. Za radą Claudea skontaktowała się z kobietą imieniem Mathilda, pracującą w agencji wynajmu w Fulham, która znalazła jej małe, jednopokojowe mieszkanie w pobliżu Queens Gate. Zadowolona z nowego lokum, postanowiła kupić kilka rzeczy, które mogłyby dodać mu uroku. Mieszkanie było całkowicie umeblowane, chciała jednak uczynić z niego swoje własne miejsce na ziemi, małą fortecę w obcym kraju. Wybrała nową narzutę na łóżko, dywaniki, komplet talerzy, trzy wazony, poduszki, obrazki oraz trochę książek i czasopism.

Zakupy poprawiły jej nastrój, chociaż w Londynie w tym okresie doszło do serii zamachów bombowych, między innymi w wielkim domu towarowym Harrods i pod słynnym

sklepem Selfridges. Sofia nie miała telewizora i nie kupowała gazet, dla tego wszystkie wiadomości trafiały do niej za pośrednictwem taksówkarzy, którzy byli najpogodniejszymi ludźmi, jakich kiedykolwiek spotkała. Londyńskie taksówki były błyszczące i duże, a autobusy po prostu śliczne, zupełnie jak modele zabawek.

- Cudzoziemka, co? - zagadnął Sofię jeden z taksówkarzy, z akcentem, który mocno utrudniał jej zrozumienie tego, co mówił. - Nie najlepszy czas wybrałaś sobie na wycieczkę do Londynu, kochaniutka. Tam, gdzie mieszkasz, nie ma telewizji i radia, czy jak? Wygląda na to, że to cholerne związki zawodowe rządzą całym krajem. Brak odpowiedniego rządu, ot, i cały nasz problem. Schodzimy na psy, panienczko, wczoraj powiedziałem to samo mojej żonie. Przydałoby się, żeby ktoś wreszcie po rządnie potrząsnął tymi politykami.

Sofia na wszelki wypadek pokiwała głową. I tak nie miała pojęcia, o co chodzi.

Od razu polubiła Londyn z jego przystojnymi policjantami w zabawnych hełmach, wartownikami stojącymi sztywno na warcie, pięknymi, niewysokimi kamienicami i nadrzecznymi bulwarami. Nie przypominał żadnego z miejsc, jakie do tej pory widziała. Miasto pełne domków dla lalek, myślała, przypominając sobie album z fotografiami Londynu, który często oglądała jej matka. Kilka razy przyszła pod pałac Buckingham, zaciekawiona głównie tym, na co z takim napięciem patrzą liczne grupki turystów i gapiów, usiłujących zajrzeć na dziedziniec przez żelazne ogrodzenie. Za drugim razem trafiła na ceremonię zmiany warty, która zafascynowała ją do tego stopnia, że następnego dnia przyjechała specjalnie po to, aby znowu ją obejrzeć. Starła się w ogóle nie myśleć o Santim, Argentynie i synku, i w końcu jej serce zrezygnowało z walki i pogrążyło się w całkowitym odrętwieniu. Zdawała sobie sprawę, że wspomnienia niosą jedynie ból, a tego miała już w nadmiarze. Kiedy pieniądze zaczęły się kończyć, niechętnie zabrała się do szukania pracy. Ponieważ nie miała właściwie żadnych kwalifikacji, zaczęła od wędrowki po sklepach, lecz wszędzie szukano personelu z doświadczeniem.

- Mamy bardzo duże bezrobocie - wzdychali jej rozmówcy. - Jeżeli gdziekolwiek panią przyjmą, może się pani uważać za szczęściarę.

Po trzech tygodniach poszukiwań wpadła w panikę. Pieniądzy ubywało w błyskawicznym tempie, a w najbliższym czasie musiała zapłacić za mieszkanie. Nie chciała dzwonić do Dominique, od której przecież przyjęła już sporą sumę, i w żadnym razie nie chciała rozmawiać o swoim synku, co na pewno okazałoby się nieuniknione.

Któregoś dnia, kiedy wydawało jej się, że nie znajdzie żadnego wyjścia z trudnej sytuacji, weszła do księgarni na Fulham Road. Przy stoliku, za stosem książek, siedział okularnik o miłej twarzy i podśpiewywał nadawaną właśnie przez radio piosenkę. Sofia powiedziała mu, że szuka pracy, ale wszędzie szukają ludzi z doświadczeniem, którego jej brak. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia; więc miała nadzieję, że przy wzmożonym ruchu w sklepach może jednak uda jej się coś znaleźć.

- Przykro mi, ale nie potrzebujemy nikogo. - Mężczyzna potrząsnął głową. - Przykro mi. Sama pani widzi, jaki to mały sklep. Ale zaraz... Tu obok, U Maggie, szukają kogoś do pomocy. Może pani tam spróbuje, bo nie wymagają doświadczenia.

Sofia znowu wyszła na zimną, wilgotną ulicę. Zapadał zmrok. Spojrzała na zegarek. Dopiero pół do czwartej, pomyślała, zdumiewające, jak wcześnie robi się tu ciemno. Okazało się, że U Maggie to salon fryzjerski. Sofia cofnęła się spod drzwi, nawet nie usiłując zajrzeć do środka przez zaparowane okno. Nie było z nią jeszcze źle, nie musiała zniżać się do takiego poziomu... Poszła dalej, zamówiła filiżankę czekolady w pobliskiej kawiarni i usiadła przy stoliku. Długo siedziała ze wzrokiem wbitym w stół, lecz po pewnym czasie podniosła oczy i rozejrzała się dookoła. Ludzie przy innych stolikach rozmawiali z ożywieniem. Niektórzy wracali z przedświątecznych zakupów, o czym wyraźnie świadczyły paczki w błyszczących, kolorowych torbach. Sofia ujęła filiżankę obiema dłońmi, żeby je ogrzać, i zgarbiła się nad stołem. Nagle poczuła się zupełnie osamotniona. Nie miała w tym kraju żadnej przyjaznej duszy.

Och, jak bardzo tęskniła za Santim! Za Santim i za Marią, która od zawsze była jej najbliższą, najwierniejszą przyjaciółką. Wiele by dała, żeby z nią porozmawiać, zwierzyć się ze swoich przeżyć. Szkoda, że nie napisała do Marii. Pomyślała, że kuzynka jest na pewno równie przygnębiona i smutna jak ona. Cóż, teraz było już za późno. Gdyby parę miesięcy temu zdobyła się na napisanie listu, wszystko wyglądałoby inaczej, ale tak... Zmarnowała szansę, straciła nie tylko ukochanego, lecz także osobę, która rozumiała ją i wspierała, chociaż miała zupełnie inne, o wiele łagodniejsze usposobienie. Całe życie spędziły razem i nagle musiały się rozstać. Do filiżanki z gorącą czekoladą wpadła duża łza, której Sofia nie zdążyła otrzeć.

Ulicą przechodziło mnóstwo ludzi, wszyscy się spieszyli, mieli jakiś cel. Może szli na podwieczorek, może do pracy, do przyjaciół, do rodziny... Ona jedna nie miała nikogo, kogo obchodziłby jej los. Mogłaby skonać na zimnym chodniku w tym obcym mieście i nikt nawet by nad nią nie zapłakał. Zaczęła się zastanawiać, jak długo leżałaby w kostnicy, zanim ktoś by się dowiedział, kim była, i zawiadomił jej rodzinę. Może parę tygodni, a może miesięcy, oczywiście zakładając, że temu komuś zależałoby na odnalezieniu jej bliskich. Dzięki dziadkowi miała brytyjski paszport, ale przecież była tu całkiem obca.

Zapłaciła za czekoladę i wyszła. Po drodze znowu minęła zakład fryzjerski U Maggie. Postanowiła zawrócić i zajrzeć do środka. Przez szybę zobaczyła, jak wysoki, chudy mężczyzna obcina włosy klientce, co jakiś czas pochylając się nad nią i żywo gestykulując, chyba po to, żeby barwnie zilustrować opowiadaną historię. Przy biurku z telefonem siedziała młoda blondynka. Wyglądało na to, że jednym uchem słucha opowieści mężczyzny, a jednocześnie stara się zapisać coś w notesie. Dziewczyna z trudem tłumiała śmiech.

Nagle drzwi się otworzyły, na zewnątrz wionął ciepły prąd powietrza przesiąkniętego mocnym zapachem szamponu i perfum, i w progu stanęła rudowłosa kobieta koło pięćdziesiątki. Usta umalowane miała jaskrawoczerwoną szminką, podobnie jak Dominique, a powieki nierówno pokryte cieniem w paskudnym od cieniu przyżółconej zieleni.

- Mogę pani w czymś pomóc? - zapytała.

- Słyszałam, że potrzebują państwo kogoś do pomocy - odezwała się Sofia nieśmiało.

- Zgadza się - powiedziała kobieta. - Proszę wejść. Nazywam się Maggie.

- Sofia Solanas - odparła dziewczyna, kiedy znalazła się w ciepłym pomieszczeniu.

Mężczyzna przerwał rozmowę z klientką i odwrócił się, żeby na nią zerknąć. Miał oczy podobne do oczu węża. Zmierzył ją szybkim, taksującym spojrzeniem, oceniając jej twarz, figurę i ubranie, po czym wydał z siebie pełne aprobaty prychnięcie.

- Piękne imię - rzucił. - Naprawdę, Sofio. Ja jestem Anton, w rzeczywistości Anthony, ale Anton brzmi o wiele bardziej egzotycznie, nie sądzisz? - Zaśmiał się i lekkim, rozkołysanym krokiem podszedł do szafki, z której wyjął słoiczek z żelem.

- Anton to niezły numer. Sofio - rzekła Maggie. - Śmiej się z jego dowcipów, a na pewno cię polubi. Daisy wypróbowała tę metodę na sobie- prawda. Daisy?

Daisy uśmiechnęła się ciepło i podała Sofii rękę zza biurka.

- Pracujemy od dziesiątej do szóstej, skarbie - ciągnęła Maggie. - Do twoich obowiązków będzie należało zmiatanie, zmywanie podłogi, mycie włosów klientek i dbanie o porządek. Nie mogę zapłacić ci więcej niż osiem funtów tygodniowo, plus napiwki, naturalnie. Myślę, że to niezła propozycja. Co ty na to, Anton?

- Świetna propozycja, Maggie - przytaknął z entuzjazmem, rozsmarowując na dłoni substancję, która wyglądała jak zielone gluty.

- Ale ja właśnie tyle płacę za mieszkanie! - zaprotestowała Sofia.

- Na więcej zwyczajnie mnie nie stać - oświadczyła Maggie, zakładając ręce i opierając je na swoim obfitym biuście. - Więc jak, bierzesz tę pracę, czy nie?

- Ja też wynajmuję mieszkanie - wtrąciła z ożywieniem Daisy. - Mogłybyśmy połączyć wysiłki, to znaczy zamieszkać razem, i płacić po połowie, oczywiście jeżeli by ci to odpowiadało...

- Daisy mieszkała w małym, zaniedbanym pokoju w Hammersmith i dojazdy do pracy zabierały jej co najmniej dwie godziny dziennie. - Mieszkasz gdzieś w pobliżu?

- Obok Queens Gate.

- Nic dziwnego, że tyle płacisz za wynajęcie - oświadczyła Maggie. - Skąd jesteś, skarbie?

- Z Argentyny - odparła Sofia, czując, jak jej gardło zaciska się boleśnie. Od tak dawna nie słyszała, aby ktoś głośno wypowiedział nazwę jej kraju...

- Cudownie - mruknął Anton, który nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie znajduje się

Argentyna.

- Więc gdybyś potrzebowała kogoś do wspólnego mieszkania... - odezwała się znowu Daisy.

Sofii nie bardzo podobał się ten pomysł. Nigdy dotąd nie musiała niczym się dzielić, a zwłaszcza pokojem, ale była zdesperowana. Poza tym Daisy miała taką sympatyczną twarz...

I tak Sofia się zgodziła.

- Doskonale! - Maggie ze śmiechem otworzyła szufladę i wyjęła z niej parę monet. - W takim razie twoim pierwszym zadaniem będzie zakupienie butelki dobrego i taniego wina, Sofio. Musimy uczcić tę okazję, prawda, Anton?

- Tak jest - przytaknął fryzjer, nanosząc żel na włosy klientki zadbaną dłonią o starannie przyciętych paznokciach. - Musimy to uczcić, Maggie.

Już po dwóch tygodniach mały salon fryzjerski stał się nowym domem Sofii, a Maggie, Anton i Daisy jej nową rodziną. Dowiedziała się, że Maggie opuściła męża i założyła salon, żeby związać koniec z końcem.

- Głupia dziewczyna - prychnął Anton, rozglądając się, czy Maggie nie ma w pobliżu. - Jej mąż był bardzo bogaty i ustosunkowany.

Anton żył ze swoim chłopakiem imieniem Marcello, ciemnowłosym, przystojnym Włochem o owłosionej piersi, który od czasu do czasu wpadał do zakładu, wygodnie rozsiadał się na sofie obitej tkaniną w gepardzie cętki i słuchał opowieści Antona. Maggie otwierała wtedy butelkę wina, nalewała wszystkim i siadała obok Marcello, ale niezależnie od tego, jak mocno kokietowała Włocha i wachlowała sztucznymi rzęsami, on zupełnie nie zwracał na nią uwagi. Maggie flirtowała także z klientami. Większość przychodzących do salonu mężczyzn była tym zachwycona.

- Rozsiewam wokół nich specjalny pyłek Maggie, skarbie, i odsyłam ich z powrotem do żon - mawiała.

Daisy i Sofia często śmiały się ze złudzeń szefowej przez całą drogę do domu.

Daisy była bystra i dowcipna. Miała grzywę bardzo gęstych, jasnych włosów, skręconych w drobne, lśniące loki, uroczą twarz w kształcie serca, lecz przede wszystkim było w niej mnóstwo ciepła i emanowała dobrą energią. Podzieliły się mieszkaniem i wszystkim, co się w nim znajdowało. Początkowo Sofii trudno było pogodzić się ze świadomością, że miły pokój należy nie tylko do niej, ale stopniowo zaczęła darzyć nową przyjaciółkę coraz większym zaufaniem. Daisy była jej potrzebna, przeganiała samotność i wypełniła w jej życiu lukę, jaka pozostała po Marii.

Rodzice Daisy mieszkali na wsi, w Dorset, które dziewczyna pokazała Sofii na mapie.

- To piękna, zielona i pokryta pagórkami okolica, ale jednak prowincja - powiedziała. - Mnie zawsze pociągały jasne światła miasta.

Jej rodzice byli rozwiedzeni. Ojciec, robotnik budowlany, podróżował po północnej Anglii w poszukiwaniu pracy, natomiast matka, Jean Shrub, mieszkała w Taunton razem z kochankiem, dziwnym zbiegiem okoliczności także murarzem, i zarabiała na życie jako kosmetyczka.

- Zawsze chciałam robić to, co ona - oświadczyła Daisy. - Chodzić do klientek do domu, robić im maseczki i manicure... Niestety, zaraz po ukończeniu kursu, przy pierwszym zleceniu, oblałam woskiem psa pani Hamblewell. To było okropne, mało brakowało, a to biedne zwierzę trzeba by było obedrzeć ze skóry. Po tej katastrofie odłożyłam na półkę narzędzia do manicure i przyjechałam tutaj. Nie mów nic Maggie, ale za jakiś czas chciałabym jeszcze raz rozpocząć praktykę. Zresztą u niej także przy dałaby się kosmetyczka, nie sądzisz?

Zawsze żartowała sobie ze swojego imienia i nazwiska, przedstawiając się: „Daisy, czyli Stokrotka, Shrub, czyli Krzaczek”. Mówiła, że ma szczęście, iż nie wzięła się za ogrodnictwo, bo przecież nikt nie traktowałby jej poważnie. Sama robiła sobie papierosy i paliła je przy uchylonym oknie, ponieważ Sofia nienawidziła dymu. Całymi godzinami rozmawiały o życiu i swoich marzeniach, lecz Sofia nie była szczera wobec nowej przyjaciółki. Nie mogła się zdobyć na to, by powiedzieć jej prawdę o swojej przeszłości.

W salonie U Maggie Sofia, zamiatając podłogę, czasami z podziwem przyglądała się różnobarwnym kosmykom włosów, które na niej znajdowała. Anton uwielbiał farbować włosy, było to jego ukochane zajęcie.

- Wszystkie kolory tęczy, moje kurczątko, to dopiero wybór - mawiał.

Jedną z jego stałych klientek, Rosie Moffat, mniej więcej co dwa tygodnie zmieniała kolor włosów.

- Wypróbowała już wszystkie odcienie - powiedział kiedyś. - Teraz będę chyba musiał zacząć od początku palety albo za każdym razem proponować jej pasemka w nowym kolorze.

Sofia zajmowała się też myciem włosów, czego na początku nie lubiła, ponieważ niszczyła sobie paznokcie. Po pewnym czasie przywykła jednak i do tego, zwłaszcza że mężczyźni zawsze dawali jej duże napiwki.

- Ta dziewczyna nie mówi o sobie zbyt dużo, prawda, Anton? - zauważyła kiedyś Maggie, siadając na krześle i zabierając się do malowania swoich długich sponów.

- Ale jest urocza.

- To prawda, jest urocza.

- I pracowita - dodał Anton, nalewając sobie kieliszek wina. - Szkoda tylko, że zawsze ma taki smutny wyraz oczu.

Było już pół do siódmej, najwyższy czas na drinka.

- Przecież śmieje się z twoich dowcipów, skarbenku - zdziwiła się Maggie.

- Och, tak, lecz ani na chwilę nie rozstaje się ze swoim smutkiem. Po prostu chodząca tragedia, kochanie.

- Prawdziwy z ciebie poeta! - Maggie się zaśmiała i zapaliła papierosa. - Mam nadzieję, że nie zamierzasz zostawić mnie na lodzie i zająć się pisaniem wierszy, co?

- Sam jestem uosobieniem poezji, moje kurczątko. Tak czy inaczej, za nic nie chciałbym pozbawiać pracy wszystkich tych słodkich pismaczków... Anton podał Maggie popielniczkę, a ona zaciągnęła się głęboko, z wyraźną przyjemnością. Jej ramiona natychmiast się rozluźniły.

- Wiesz, dlaczego przyjechała do Londynu?

- Nigdy o tym nie wspominała. Szczerze mówiąc, Maggie, wiemy o niej tyle, co nic, zgodzisz się ze mną?

- Niestety, tak. Aż kręci mnie z ciekawości...

- Och, mnie również, ale dajmy jej trochę czasu. Jestem pewien, że wcześniej czy później poznamy tę fascynującą historię.

Święta Bożego Narodzenia zbliżały się wielkimi krokami. Ulice Londynu lśniły barwnymi światełkami i dekoracjami. Patrząc na nie, Sofia coraz częściej zastanawiała się, czy w domu ktoś za nią tęskni. Wyobrażała sobie, jak jej najbliżsi przygotowują się do świąt i tak bardzo tęskniła za upałem, suchą pampą i eukaliptusami, że prawie czuła ich zapach. Ciekawe, czy Santi wyrzucił mnie ze swoich myśli, jeżeli w ogóle myśli o mnie, pytała samą siebie. Maria nie napisała więcej, a przecież były nie tylko kuzynkami, ale i najlepszymi przyjaciółkami. Czy naprawdę tak łatwo można kogoś zapomnieć? Myśląc o domu, czuła bolesną pustkę w środku.

Daisy pojechała na święta do matki. W dzień po wyjeździe zadzwoniła z wiadomością, że w Dorset spadło mnóstwo śniegu i właściwie nie mogą ruszyć się z domu.

- Mam nadzieję, że śnieżycy potrwa kilka tygodni - powiedziała. - Wtedy Bernard nie będzie jeździł do pracy i odnowi nam dom.

Sofia bardzo odczuła nieobecność Daisy. Nie miała w Anglii żadnej rodziny, którą mogłaby odwiedzić, i samotność mocno jej doskwierała.

Dzień Bożego Narodzenia spędziła razem z Antonem i Marcellem w różowiułkim domu Maggie w Fulham.

- Uwielbiam różowy kolor! - oznajmiła entuzjastycznie gospodyni, oprowadzając Sofię po pokojach w klapkach z różowego futerka.

- Nigdy bym nie zgadła! - roześmiała się Sofia, która zauważyła, że nawet deska klozetowa była tu różowofiołkowa.

Dziewczyna starała się zachowywać pogodnie, ale chwilami miała wrażenie, że jest martwa, a w każdym razie wewnątrz zupełnie odrętwiała. Otworzyli dwie butelki szampana, Anton ruszył w taniec po pokoju, ubrany w dzwony z materiału udającego skórę zebry i w choinkowy łańcuch, obwiązany wokół głowy na podobieństwo rzymskiego wieńca laurowego, Marcello zaś leżał na kanapie, paląc skręta. Maggie spędziła większą część dnia w kuchni, gotując, a Sofia mogła tylko rozpaczliwie tęsknić za domem. Wszyscy kupili sobie nawzajem drobne prezenty. Sofia dostała od Maggie zestaw lakierów do paznokci, których nie zamierzała używać, a od Antona zielony kuferek z lusterkim na kosmetyki. Nie po raz pierwszy przyszło jej do głowy, jak bardzo zmieniała się jej sytuacja życiowa - należała do jednej z najbogatszych rodzin w Argentynie, a nie miała grosza przy duszy.

Po obficie zakrapianej winem kolacji usiedli przy ogniu, patrząc, jak blask płomieni zmienia kolor ścian na pomarańczowy. Nagle Sofia ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Maggie spojrzała na Antona, który kiwnął głową. Wtedy uklękła na podłodze i przytuliła Sofię do swej mocno uperfumowanej piersi.

- Co się stało, skarbie? Możesz nam o wszystkim powiedzieć, jesteśmy twoimi przyjaciółmi...

I tak Sofia opowiedziała im swoją historię, z rozmysłem pomijając miesiące spędzone w Genewie i fakt narodzin Santiguita. Czuła, że ten sekret jest zbyt intymny, ale przede wszystkim bała się, jak nowi przyjaciele zareagowaliby na wiadomość, iż oddała synka do adopcji.

- Mężczyzna, jakże by inaczej! - zdenerwował się Anton, gdy skończyła.

- Cholerny facet!

- Sam jesteś mężczyzną, skarbie - westchnęła Maggie.

- Tylko w połowie, kaczuszek - odparł, wychylając kieliszek i ponownie go napełniając.

Marcello zasnął na kanapie i na pewno śnił o cudownych wzgórzach Toskanii.

- W gruncie rzeczy może i dobrze się stało, kochanie - powiedziała łagodnie Maggie. - Skoro nie potrafił nawet dotrzymać obietnicy, że będzie pisał do ciebie, to lepiej, jeśli zaczniesz nowe życie bez niego.

- Ale ja dalej kocham go tak bardzo, że aż serce mnie boli, Maggie - zaszlochała Sofia.

- Zapomnisz o nim. Wszyscy wcześniej czy później zapominamy o niewiernych kochankach, prawda, Anton?

- Jasne.

- Znajdziesz sobie jakiegoś miłego Anglika, zobaczysz, skarbie...

- Albo Włocha - mruknął Anton.

- Na twoim miejscu trzymałabym się z daleka od Włochów, skarbenku. Miły Anglik, oto, czego ci potrzeba.

Następnego dnia Sofia obudziła się z potwornym bólem głowy, udręczona rozpaczliwą tęsknotą za dzieckiem. Zwinięta w kłębek, długo płakała z muślinową szmatką przyciśniętą do nosa. Po godzinie miała wrażenie, że czaszka pęknie jej na dwoje jak dojrzały melon. Przed oczami miała buzię Santiguita i jego jasnoniebieskie, niewinne oczy, które wpatrywały się w nią z taką ufnością... Zdradziła go. Jak mogła zachować się w tak bezwzględny, samolubny sposób? Jak mogła tak postąpić? I dlaczego Dominique pozwoliła jej oddać dziecko, to życie, które wyhodowała pod sercem? Objęła się ramionami, od nowa oplakując rozstanie z synkiem. Nagle ogarnął ją paraliżujący strach, że nigdy więcej go nie zobaczy. Z gardłem obolałym od płaczu przyciągnęła do siebie telefon i wybrała numer Dominique i Antoina w Szwajcarii.

- Oui?

Sofia przeżyła chwilę gorzkiego rozczarowania, kiedy w słuchawce odezwał się szorstki głos gospodyni jej kuzynów.

- Madame Ibert, mówi Sofia Solanas, dzwonię z Londynu - powiedziała. - Czy mogę rozmawiać z Dominique?

- Niestety nie, panienko. Państwo La Riviere wyjechali na dziesięć dni za granicę.

- Na dziesięć dni? - powtórzyła zaskoczona Sofia.

Ani Dominique, ani Antoine nie wspominali jej o żadnych planach wyjazdowych.

- Tak, na dziesięć dni. - W głosie madame Ibert zabrzmiała nutka zniecierpliwienia.

- Dokąd pojechali? - zapytała Sofia.

- Nie powiedzieli mi, dokąd się wybierają.

- Nie powiedzieli?

- Nie, panienko.

- Więc może zostawili numer telefonu?

- Nie.

- Nie zostawili numeru telefonu, pod którym można by się z nimi skontaktować?

Madame Ibert westchnęła ciężko.

- Nie powiedzieli, dokąd jadą, panienko, i nie zostawili ani numeru telefonu, ani adresu. Uprzedzili mnie tylko, że wrócą dopiero za dziesięć dni. Przykro mi, ale nie mogę panience pomóc.

- Mnie też jest przykro. - Sofia się rozplakała, odkładając słuchawkę.

Za późno. Było już za późno...

Znowu zwinęła się w kłębek na łóżku i podciągnęła kolana pod brodę. Wtuliła nos w kawałeczek muślinu i pomyślała, że od śmierci dziadka Dwyera nigdy nie była tak nieszczęśliwa. Teraz nie miała już wątpliwości, że nigdy więcej nie zobaczy Santiguita, podobnie jak nigdy więcej nie ujrzy ukochanego dziadka. Rozstanie z synkiem okazało się równie ostateczne jak śmierć. Sofia wiedziała, że do końca życia nie wybaczy sobie tego, co zrobiła.

Rozdział dwudziesty piąty

Święta Bożego Narodzenia były dla Sofii wyjątkowo bolesne. Spędziła je w mieszkaniu, płacząc, tęskniąc za całą rodziną i co parę godzin zapadając w sen z wyczerpania.

Anton i Maggie zaglądali do niej codziennie, z determinacją ratując ją przed jeszcze głębszą depresją. Po świętach Sofia z ulgą wróciła do pracy, mimo wszystko pełna nadziei, że rok 1975 okaże się dla niej łaskawszy. Postanowiła więcej nie patrzeć w przeszłość, przekonana, że dziadek, którego tak kochała, poradziłby jej zapomnieć o tym, co przeżyła. Miała wrażenie, że powoli wychodzi na prostą.

Dominique regularnie przyjeżdżała do Londynu, ponieważ Antoine częściej niż poprzednio załatwiał tu interesy. Przy każdej takiej okazji obie jadały w eleganckich restauracjach i wybierały się na zakupy na Bond Street. Sofia przypominała sobie wtedy, że kiedyś prowadziła takie życie na co dzień, ale po wyjeździe Dominique bez specjalnej przykrości wracała do swojego nowego wcielenia.

Rok minął bardzo szybko. Sofia zaprzyjaźniła się z Marmadukiem Huckely-Smithem, sympatycznym okularnikiem, który prowadził księgarnię naprzeciwko salonu U Maggie, on zaś przedstawił ją swoim przyjaciołom. Jeden z nich co jakiś czas umawiał się z Sofią, co stanowiło miłą odmianę, lecz nic więcej. Sofia nie miała zamiaru wdawać się w romans.

W wolnym czasie obie z Daisy wędrowały po Kings Road, szukając czegoś ładnego na wyprzedazach. Etniczne stroje właśnie stały się modne, więc Sofia z przyjemnością kupowała długie, powiewne spódnice firmy Monsoon. Anton zrobił jej dość szerokie rude pasemka, a w chwili wielkiego znudzenia wyprostował jasne loki Daisy, co zupełnie, szczęśliwie na korzyść, odmieniło jej wygląd. Raz w miesiącu chodziły do kina i na West End, gdzie obejrzały Pułapkę na myszy Agaty Christie.

- Wiedziałaś, że ten teatr wybudował pewien bogaty arystokrata, który na zabój zakochał się w aktorce? - mruknęła Daisy, kiedy światła pogaśły i kurtyna poszła w górę. - Nie sądzisz, że to niewiarygodnie romantyczne?

- Może któryś z kochanków Maggie zafunduje jej nowy zakład fryzjerski! - zachichotała Sofia.

Anton zabrał je wszystkie na The Rocky Horror Show. Przyjechał po nie wynajętym różowym cadillakiem, ubrany w pas z podwiązkami i koronkową bielizną, z Marcellem w kombinezonie w tygrysie pręgi. Przerazona Maggie wyraziła nadzieję, że Anton nie zapomni przebrać się przed przyjściem do pracy w poniedziałek rano. Sofia zauważyła, że Włochowi brakuje tylko długiego ogona, na co odparł sarkastycznie, że gdyby pokazał jej swój „ogon”, nie spojrzalaby więcej na żadnego innego mężczyznę.

Daisy udało się dostać tanie bilety na koncert Davida Bowiego na Wembley. Daisy podkochiwała się także w Micku Jaggerze i zawsze bardzo głośno puszczała jego piosenki w salonie, co trochę irytowało Maggie, która wołała znacznie łagodniejszy styl Joni Mitchell.

Ponure zimowe miesiące minęły, a wraz z nimi ból i przygnębienie Sofii. Kiedy ulice zajaśniały różowymi i białymi kwiatami, dziewczyna odkryła w sobie pozytywny stosunek do życia, całkowicie zgodny z filozofią dziadka Dwycera.

Rzuciła się w wir pracy, nawet nie zauważając, że Maggie dała jej podwyżkę. Mieszkanie wspólnie z Daisy sprawiało jej co raz większą frajdę. Wiele wieczorów spędzały w kawiarni Cafe des Artistes, zaśmiewając się nad drinkami. Daisy zawsze piła piwo, które u Sofii budziło obrzydzenie. Nie była też w stanie zrozumieć namiętności Brytyjczyków do napoju marmite. Wyglądało na to, że wszyscy Anglicy wyrosli na marmite.

- Dlatego jesteśmy tacy wysocy - śmiał się Anton, który mierzył blisko metr dziewięćdziesiąt. W sierpniu Maggie zamknęła salon na dwa tygodnie i zaprosiła swoich przyjaciół do domku, który wynajęła w Devonie, z nadzieją, że razem z nią będą się cieszyć morzem. Sofia bawiła się doskonale, chociaż odczuwała brak słońca, bo ciągle padał deszcz. Przypominała sobie opowieści matki o wzgórzach nad Glengariff i zastanawiała się, czy choć trochę przypominają wzgórza w Devonie. Wszyscy pięcioro urządzali sobie pikniki na plaży, kuląc się w kostiumach kąpielowych pod parasolami i strzepując piasek z kanapek. Pogoda im nie sprzyjała, ale byli razem szczęśliwi i śmiali się do łez ze swoich dowcipów oraz z Marcella, który dygotał w grubych welurowych spodniach i swetrze, wyrażając kompletny brak zrozumienia dla szaleństw Anglików.

- Zabierzcie mnie do Toskanii! - jęczał. - Tam zawsze widać niebo i słońce!

- Och, zamknij się, Marcello! - mruknęła Maggie, połykając spory kawał ciasta czekoladowego. - Nie bądź takim Włochem!

- Spokojnie, kaczuszeko - zaprotestował Anton, obejmując przyjaciela ramieniem. - Kocham go właśnie za to, że jest Włochem.

- Marcello ma rację - rzekła Daisy. - Spójrzcie tylko - na tych plażach nie ma nikogo poza Brytyjczykami. Czy to nie śmieszne, że siedzimy tu, zupełnie jakbyśmy byli na południu Francji, chociaż trzęsiemy się z zimna?

- Ale to dlatego wygraliśmy wojnę, skarbie - oświadczyła Maggie, bezskutecznie starając się zapalić papierosa na mocnym wietrze, który natychmiast zdmuchiwał płomyk zapalniczki. - Och, na miłość boską, Anton, Sofio, zapalcie mi tego cholernego papierosa, bo zaraz stracę cierpliwość!

- Nie walczyłaś na wojnie, Maggie! - Anton parsknął śmiechem. - Nie potrafisz nawet zapalić papierosa!

Wetknął sobie papierosa między wargi, odwrócił się plecami do wiatru i zapalił.

- Niesamowite! - prychnęła Maggie. - Że też udało się to tobie, choć jesteś bardziej kobietą niż mężczyzną! Prawie w ogóle się dzisiaj nie odzywasz, Sofio! Co z tobą?

Maggie spojrzała na Sofię, która trzęsała się pod wilgotnym ręcznikiem. Dziewczyna usiłowała uśmiechnąć się zeszywniałymi, posiniałymi wargami.

- Obawiam się, że muszę wziąć stronę Marcello - mruknęła, szcękając zębami. - Jestem przyzwyczajona do plaż Ameryki Południowej.

- Wy dwoje jesteście strasznie wybredni. - Maggie lekko zmarszczyła brwi. - No, ale urlop w tym klimacie dobrze wam zrobi. Przyda się wam spora dawka brytyjskiego twardego. Jesteśmy twardzi i dlatego nasza armia jest najlepsza na świecie. Pod tym względem nikt nie może się z nami równać.

- Z tobą z całą pewnością, Maggie! - roześmiała się Daisy. - Sofio, przyznaj się - nawet nie podejrzewałaś, że znajdziesz się w Devonie, kiedy wylegiwałaś się na tych rozgrzanych do białości plażach w Ameryce Południowej!

- Masz rację.

Pomyślała, że dobrze się składa, iż Devon nawet odrobinę nie przypomina jej kraju. Na tej zimnej, pustej plaży była w zupełnie innym świecie i bardzo ją to cieszyło.

Boże Narodzenie 1975 roku upłynęło Sofii w znacznie przyjemniejszej atmosferze niż poprzednie święta. Spędziła dziesięć dni z Dominique i Antoineem w ich domu w górach, w miejscowości Verbier. Delfine i Louis zaprosili swoich przyjaciół, i dom znowu wypełniły okrzyki radości i śmiech, gdy wszyscy rozpakowywali prezenty i umilali sobie czas grami. W całej dolinie rozbrzmiewał odgłos dzwonek, a świąteczne lampki lśniły bajecznymi kolorami. Pogoda była cudowna, powietrze ostre i czyste, niebo szafirowobłękitne. Śnieg zaczął padać dopiero po wyjeździe Sofii do Londynu. Kiedy wróciła do domu, okazało się, że Nowy Rok przygotował dla niej niespodziankę, której nigdy nie byłaby w stanie przewidzieć.

Daisy zaproponowała, by wybrały się do klubu w Soho, gdzie, jak powiedziała, „często zaglądamy ci wszyscy aktorzy”. Udało im się znaleźć dwa miejsca przy barze, ponieważ jakaś zmęczona czekaniem para postanowiła w końcu opuścić lokal. Kiedy rozejrzały się dookoła, zauważyły dwóch dość znanych aktorów i bardzo popularnego prezentera telewizyjnego. Obie były uderzająco ładne i młode, nie musiały więc długo czekać na obsłużenie. Barman przyglądał długie, czarne, związane z tyłu włosy i w ciągu paru sekund pojawił się przed nimi z uwodzicielskim uśmiechem na twarzy.

Tuż przed północą Daisy na całego flirtowała ze spoconym rzeźbiarzem, który najwyraźniej wypił już trochę za dużo. Najpierw z nieukrywanym zachwytem zaglądał jej w dekolt, a potem zabrał ją do stolika po drugiej stronie sali. Sofia uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Daisy bez skrpułów obdarzała pocałunkami nawet najmniej atrakcyjnych mężczyzn, pod warunkiem, że stawiali jej drinka i poświęcali trochę uwagi. Sofia dalej siedziała na swoim miejscu, spokojnie obserwując otaczających ją ludzi. Wszyscy byli w wysmienitych humorach, a jej wcale nie przeszkadzało to, że jest sama. Zdążyła już do tego przywyknąć.

- Mogę postawić pani drinka?

Odwróciła się i ujrzała dobrze zbudowanego, przystojnego mężczyznę, który właśnie siadał obok niej. Rozpoznała go bez trudu - grał Hamleta, widziała go parę tygodni wcześniej w teatrze. Jej zdaniem odtwarzał swoją rolę ze zbytnią energią i brawurą, ale była przekonana, że te uwagi nie spotkałyby się teraz ze zrozumieniem z jego strony. Skinęła głową i poprosiła o jeszcze jeden dżin z tonikiem. Mężczyzna rozkazującym gestem podniósł rękę, przywołując barmana, który natychmiast do nich podszedł.

- Dżin z tonikiem dla mojej znajomej, dla mnie whisky - rzucił i zaraz odwrócił się do Sofii, opierając łokieć na blacie baru.

- Mój dziadek pijał whisky - odezwała się Sofia.

- To świetny alkohol.

- Pochowano go nawet z „buteleczką” - dodała, doskonale naśladowując irlandzki akcent.

- Dlaczego?

- Ponieważ bał się, że ukradną ją krasnoludki. - Uśmiechnęła się.

Aktor spojrział na nią i roześmiał się w odpowiedzi. Nie ulegało wątpliwości, że ta dziewczyna nie przypomina żadnej z jego przyjaciółek.

- Jesteś Irlandką? - zapytał, bezceremonialnie przechodząc na "ty".

- Moja matka pochodzi z Irlandii, ojciec z Argentyny, tam się urodził, ale ma w sobie hiszpańską krew.

- Dobry Boże! - wykrzyknął ze zdumieniem. - Co cię tu sprowadziło?

- To długa historia - odparła niedbale.

- Chętnie bym ją poznał.

W klubie głośno łomotała rytmiczna muzyka, więc przysunął się bliżej, żeby nie krzyknąć.

- Nazywam się Jake Felton - powiedział.

Mówił z pięknym angielskim akcentem, a jego głos był głęboki i silny.

- Sofia Solanas.

- To brzmi jak doskonały pseudonim sceniczny - stwierdził, nie spuszczając wzroku z jej ślicznej twarzy. - Mam wrażenie, że mogłabyś zrobić prawdziwą karierę.

- Widziałam cię na scenie.

- Naprawdę? - Wyraźnie się ucieszył. - I co, podobało ci się? Jeżeli nie, to lepiej mi nie mów.

- Podobało mi się, nie zapominaj jednak, że jestem cudzoziemką, więc nie do końca rozumiałam wszystkie kwestie.

- Nie przejmuj się. Większość Anglików także nie rozumie Szekspira. Przyjdiesz zobaczyć mnie znowu? W lutym gram w teatrze Old Yicarage.

- Może przyjdę - powiedziała nieśmiało, wychylając do dna swój dzin z tonikiem.

Kiedy po obowiązkowym odliczaniu wybiła wreszcie północ, wszyscy unieśli kieliszki i wymienili pocałunki z partnerami. Jake położył dłoń na policzku Sofii i pocałował ją. Gdyby nie odwróciła twarzy i nie podsunęła mu policzka, jego wargi spoczęłyby na jej ustach. Niedługo potem zapytał, czy mógłby się z nią jeszcze kiedyś spotkać. Dała mu swój numer telefonu.

Zupełnie nieoczekiwanie Jake Felton zadzwonił już parę dni później. Zaprosił ją na kolację do restauracji Daphne na Draycott Avenue. Znał Giordana, ognistego Włocha, który prowadził lokal, dzięki czemu dostali najlepszy stolik na sali. Początkowo Sofia czuła się źle, jakby zdradzała Santiago, lecz szybko przypomniała sobie, że to Santi zdradził ją. Musiała dorosnąć i na prawdę zacząć życie od nowa.

Po kilku miesiącach Jake i Sofia spotykali się regularnie. Maggie i Anton oniemieli z podziwu, gdy Sofia podzieliła się z nimi tą nowiną, i szczerze cieszyli się szczęściem przyjaciółki.

- Jake Felton! - wykrzyknął Anton, odzyskawszy głos. - Bardzo apetyczny facet!

Daisy przykazała Sofii mieć się na baczności, ponieważ, jak to określiła, „Jake Felton jest niezłym bawidamkiem i kobiety go uwielbiają”. Daisy zwykle miała w pracy sporo czasu,

który wykorzystywała na czytanie plotkarskich kolumn towarzyskich w popularnych czasopismach. Sofia odpowiedziała, że wszyscy Latynosi są właśnie tacy, więc Jake niczym jej nie zaskoczy. Wkrótce Sofia zaczęła chodzić na próby, w których uczestniczył Jake, spotykała się z jego przyjaciółmi. Nagle jej mały londyński świat otworzył się szeroko i Sofia znalazła się wśród fascynujących ludzi ze świata artystycznego.

Kiedy uprawiali seks, Sofia zostawiała włączone światło. Lubiła patrzeć na Jake'a, co bardzo mu pochlebiało. Nie mogła mu powiedzieć, że gdy zamyka oczy, widzi Santiago. Jake był pod każdym względem inny od jej ukochanego, ale jej ciało należało do Santiago, bo przecież on pierwszy w nie wszedł. Usiłowała zablokować te myśli, lecz nie mogła nie wspominać mężczyzny, z którym poczęła dziecko. Musiała mieć otwarte oczy, aby przy najmniej spróbować zapomnieć. Jake był czuły, podniecał ją, ale go nie kochała, on natomiast twierdził, że ją kocha, że jego świat zmienił się z jej powodu, i nigdy nie czuł się taki szczęśliwy i spełniony. Sofia nie była w stanie odpowiedzieć mu z równym entuzjazmem. Mówiła tylko, że jest jej bliski, że czuje się przy nim bezpieczna i że zapełnił pustkę, jaka pojawiła się w jej życiu.

Wieczorami oglądała Jake'a w czasie prób, a później recenzowała jego występ. Często zdarzało się też, że pomagała mu uczyć się roli, nawet w łóżku, ponieważ Jake w najmniej spodziewanych sytuacjach zrywał się na równe nogi i wygłaszał swoje kwestie.

- Bądź Julią, moje kochanie - błagał ją czasami w restauracji.

Recytowali wtedy z pamięci lub czytali role, starając się w nie wczuwać, dopóki nie ogarnął ich śmiech.

- Ale czy on kiedykolwiek rozmawia z tobą o tobie, kacuszko? - zapytał Anton pewnego wieczoru, kiedy romans Sofii i Jakea trwał już mniej więcej od miesiąca.

- Oczywiście - obruszyła się Sofia. - Po prostu w tej chwili jego praca jest dla nas sprawą najważniejszą, to wszystko.

Anton prychnął z dezaprobatą, patrząc, jak dziewczyna zamiata zalegające całą podłogę kosmyki włosów.

- Nie chcę ci psuć dobrego nastroju, skarbie, ale kiedy go poznałam, zrobił na mnie wrażenie bardzo aroganckiego człowieka - mruknęła Maggie, strzepując popiół z papierosa na podłogę. Anton zebrał ręczniki i wrzucił je do wysokiego wiklinowego kosza.

- Wydaje się arogancki, ponieważ jest nieśmiały - powiedziała Sofia obronnym tonem.

- Nieśmiały, rzeczywiście! Gdyby był nieśmiały, nie miotałby się tak po scenie - parsknęła Maggie. - Anton, bądź tak dobry i nalej mi jeszcze jedną szklaneczkę wina. W moim wieku kolejna szklaneczka wina to najlepsze, czego można oczekiwać od życia...

- Nie jęcz, Maggie! - skarcił ją Anton, lecz zaraz uśmiechnął się serdecznie. - Nawet się nie zorientujemy, kiedy jakiś przystojniak porwie cię i zacałuje na śmierć, prawda. Sofio?

Sofia z uśmiechem kiwnęła głową.

- David Harrison, producent sztuki Jake'a, zaprosił nas na weekend do siebie na wieś - powiedziała po chwili milczenia, odkładając szcztokę na miejsce i siadając obok Maggie.

- Dobrze wiemy, kto to taki, co, Maggie?

- Oczywiście. David Harrison jest bardzo znaną postacią. Jakies dziesięć lat temu, może więcej, nie przypominam sobie dokładnie, rozwiódł się w atmosferze skandalu. To naprawdę interesujący facet, skarbie, na twoim miejscu zwróciłabym na niego uwagę.

- Nie bądź śmieszna, Maggie! Jestem szczęśliwa z Jakiem!

- Szkoda - wymamrotał Anton.

- Jak chcesz - rzuciła Maggie. - Tylko pamiętaj, że cię ostrzegałam, kiedy Jake ucieknie ze swoją teatralną partnerką, nie mów, że cię to zaskoczyło. Aktorzy... Wszyscy oni są tacy sami, mogę to ocenić, bo z kilkoma miałam do czynienia... Nigdy więcej nie zdecydowałabym się na faceta tego fachu... No, ale David Harrison jest od ciebie sporo starszy, mógłby być twoim ojcem. Chociaż z drugiej strony... Miły, bogaty, starszy mężczyzna jest całkiem w porządku, prawda, Anton?

- Po powrocie musisz nam wszystko opowiedzieć - powiedział Anton i znacząco mrugnął do Sofii.

W sobotę rano Jake przyjechał po Sofię swoim mini-cooperem i prosto z Queens Gate zabrał ją do Gloucestershire. Przez całą drogę mówił wyłącznie o sobie, koncentrując się na drobnej kłótni, w jaką wdał się z reżyserem na temat pewnej sceny w sztuce.

- Jestem przecież aktorem, powiedziałem mu, potrafię więc wyczuć, że mój bohater nigdy nie zareagowałby w ten sposób. Doskonale znam postać, którą odtwarzam!

Sofia natychmiast przypomniała sobie rozmowę z Maggie i Antonem, i ponuro obserwowała przemykające za oknem drzewa, Jake wydawał się nie zauważać jej milczenia - był zbyt pochłonięty narzekaniem na reżysera. Dziewczyna odetchnęła z ulgą, kiedy w końcu zatrzymali się przed znajdującym się na końcu długiego podjazdu jasnym domem Davida Harrisona.

Gospodarz wyszedł im na spotkanie z dwoma pięknymi labradorami o sierści koloru miodu, które na widok samochodu zaczęły merdać ogonami. David był średniego wzrostu, szczupły, o gęstych, jasnobrązowych włosach, lekko siwiejących na skroniach. Nosił małe okrągłe okulary i uśmiechał się przyjaźnie.

- Witajcie w Lowsley - powiedział. - Zostawcie torby w samochodzie i chodźcie się czegoś napić.

Sofia wysiadła z wozu i poszła za Jakiem. Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, a David serdecznie poklepał Jake'a po plecach.

- Miło cię widzieć, Lothario.

- Davidzie, to jest Sofia, Sofia Solanas - rzekł Jake.

Sofia wyciągnęła rękę do Davida.

- Jake dużo mi o tobie opowiadał - zauważył, mocno ściskając jej rękę. - Cieszę się, że mam okazję poznać cię osobiście. Rozgoście się i czujcie się jak u siebie w domu.

Weszli do dużego holu. Ściany były pokryte obrazami różnej wielkości, w wielu miejscach stały też i wisiały półki pełne książek. Podłogę z szerokich desek pokrywały luksusowe perskie dywany, pod ścianami pyszniły się duże rośliny w donicach. Ciepłe powietrze przesiąknięte było zapachem psiej sierści.

David wprowadził ich do salonu, gdzie wokół kominka, na którym wesoło trzaskał ogień, siedziały cztery nieznane Sofii osoby. Ta scena przywiodła jej na myśl dom Chiquity w Santa Catalina i nagle boleśnie zatęskniła za rodziną. David przedstawił ich gościom - swoim sąsiadom. Tomowi Middletonowi, pisarzowi, i jego żonie Zazie, właścicielce małego butikku na Beauchamp Place, oraz Gilbertowi Dorangeowi, francuskiemu dziennikarzowi, i jego żonie Michelle, zwanej Michę. Potem wszyscy usiedli i podjęli przerwana rozmowę.

- Czym się zajmujesz? - zwróciła się Zaza do Sofii, która natychmiast skuliła się wewnątrz.

- Pracuję w salonie fryzjerskim U Maggie - odparła i wstrzymała oddech, pewna, że Zaza uśmiechnie się uprzejmie i pogardliwie, i odwróci się bez słowa.

Ku jej miłemu zaskoczeniu Zaza szeroko otworzyła zielone, starannie umalowane oczy.

- Nie do wiary! - wykrztusiła. - Tony, skarbie! Tony!

Jej mąż przerwał w pół zdania i odwrócił się do niej. Wszyscy umilkli, wyraźnie zaciekawieni.

- Nie uwierzysz, mówię ci! - ciągnęła Zaza. - Sofia pracuje z Maggie!

Tony uśmiechnął się szeroko.

- Ależ ten świat jest mały! - rzekł. - Maggie była żoną mojego ciotecznego brata, Viva.

Dobry Boże, jak jej się powodzi?

Sofia odetchnęła z ulgą i już po chwili doprowadziła wszystkich do śmiechu, naśladując Maggie i Antona. David obserwował ją znad barku i myślał, że nigdy w życiu nie widział piękniejszej istoty. Jej uśmiech był szczery, lecz duże, brązowe oczy miały tragicznie smutny wyraz. Nagle ogarnęło go pragnienie, by chwycić ją w ramiona i chronić przed wszelkim złem. Była znacznie młodsza od jego pozostałych gości, a jednak porozumiewała się z nimi bez trudu. Zauważył też, że umilkła na chwilę, gdy Zaza, która nie ukrywała, że

nowa znajoma podbiła jej serce, najzupełniej niewinnie zadała jej kilka pytań o Argentynę. Po lunchu w nieco zakurzonej jadalni, podanym przez okrągłą panią Berniston, Gilbert i Michę udali się do swego pokoju na sjęstę.

- Ten pudding czekoladowy i wino bardzo, ale to bardzo mnie zmęczyły - oświadczył Gilbert, biorąc swoją drobną żonę za rękę i prowadząc ją na górę.

Jake postanowił pobiegać.

- Czy to dobry pomysł po takim ciężkim posiłku? - zapytała Sofia.

- Nie biegałem dziś rano i chciałbym zdążyć przed zmrokiem - odrzekł, wbiegając na piętro po dwa stopnie.

- Wobec tego może my poszlibyśmy na spacer? - zaproponowała entuzjastycznie Zaza. - W ten sposób trochę się rozruszamy. Przyłączysz się do nas, Davidzie?

Powietrze było lodowato zimne, lecz słońce świeciło jasno na bezchmurnym, chabrowym niebie. Ogród za domem, teraz zarośnięty i zdziczały, świadczył jednak o tym, że kiedyś dbała o niego fanatyczna ogrodniczka, była żona Davida. Tony, Zaza, Sofia i David poszli przecinając ogród ścieżką, wyłożoną kamiennymi płytami, śmiejąc się z tego, jacy ociężali i ospali zrobili się po obfitym lunchu. Nagie drzewa były jeszcze zupełnie uspione, a gnijąca trawa pod ich stopami mokra i gąbczasta.

Sofia wciągnęła duży łyk świeżego powietrza. Już dawno nie była w takim pięknym miejscu. Przypomniała sobie Santa Catalina zimą i gdyby zamknęła oczy i głęboko odetchnęła zapachem wilgotnej ziemi i opadłych liści, mogłaby wmówić sobie, że jest w domu.

Polubiła Davida. Posiadał specyficzną angielską nonszalancję, która bardzo ją pociągała. Był atrakcyjny, wybitnie inteligentny i przystojny. Miał w sobie siłę, zdecydowanie i charyzmę, a jego jasnoblękitne oczy wydawały się dziwnie głębokie, co jednoznacznie świadczyło o tym, że ma za sobą niejedną walkę. Kiedy schodzili z niewielkiego wzgórza w kierunku stajni, serce Sofii zabiło mocno i szybko.

- Mam parę koni, gdyby ktoś chciał się przejechać - rzekł David spokojnie. - Ariella je hodowała. Po jej wyjeździe zamknęliśmy prawie całą stajnię i musiałem sprzedać klacze. To było okropne. Teraz trzymam dwie, tylko dla rozrywki.

Sofia dopiero po chwili spostrzegła, że przyspieszyła kroku, zostawiając swoich towarzyszy na zboczu. Jej gardło ścisnęło się gwałtownie, gdy odsunęła zasuwę w drzwiach. Usłyszała szelest siana, świadczący o obecności konia, i z trudem zapanowała nad emocjami.

Zapach ciepłej, suchej trawy uderzył ją w nozdrza. Wyciągnęła rękę i ze smutnym uśmiechem patrzyła, jak aksamitny pysk zwierzęcia muska jej dłoń z zaciekawieniem. Pogładziła gładką, białą sierść, przez cały czas patrząc w błyszczące oczy konia. W jednej chwili zrozumiała, że w głębi duszy całym sercem tęskniła za końmi. Przytuliła głowę do fba wierzchowca i otarła łzy o jego sierść.

- Kim jesteś? - zapytała, głaszcząc jego uszy. - Jesteś piękny, wiesz? Przepiękny...

Poczuła słone łzy na górnej wardze i pospiesznie je zlizwała. Wydawało jej się, że koń rozumie jej wielki smutek. Sofia zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że znowu jest w domu. Oparta o bok nowego przyjaciela, czując jego aksamitnie ciepłą sierść tuż przy skórze, na parę sekund znowu znalazła się na wilgotnej pampie. Przywołany na pamięć obraz był tak wyraźny i żywy, że otworzyła oczy, aby pospiesznie pozbyć się tego wspomnienia.

Kiedy David wyszedł zza rogu, zobaczył Sofię z twarzą wtuloną w szyję Safari. Miał ochotę podejść do niej, ale czuł, że dziewczyna przeżywa wyjątkowo osobistą chwilę, i taktownie po prowadził Tonyego i Zazę w drugą stronę.

- Czy wszystko z nią w porządku? - szepnęła Zaza, która zawsze miała oczy dookoła głowy.

- Skąd mogę wiedzieć? - odparł David, z niepokojem kręcąc głową. - Dziwna dziewczyna, co?

- Kiedy wcześniej pytałam ją o dom, niewiele powiedziała.

- Może po prostu tęskni - rzekł Tony rozsądnie. - Najprawdopodobniej nie czuje się tu jeszcze zbyt dobrze.

- David! - Odwrócili się i zobaczyli Sofię biegnącą w ich kierunku. - Muszę... To znaczy... Bardzo chciałabym wybrać się na przejażdżkę konno... Mogę?

Zaza i Tony poszli dalej sami. David i Sofia osiodłali konie i ruszyli. Kiedy galopowali po równinie Cotswolds, Sofia poczuła, jak wielki ciężar przestaje wreszcie ugniatać jej serce. Znowu była w stanie normalnie oddychać i radośnie chwyciła powietrze. Jej myśli były jasne i spokojne, nagle znowu wiedziała, kim jest i gdzie jest jej miejsce. Miała wrażenie, że wróciła do domu. Tu, wśród tych łagodnych wzgórz, porośniętych gęstym lasem, czuła się jak u siebie w domu. Pola i lasy rozpościerały się przed nią daleko, aż po horyzont, podobne do patchworkowej narzuty. Uśmiechnęła się. Jej ciało dostało wielki zastrzyk energii, radosnej siły, której brakowało jej od chwili opuszczenia Santa Catalina.

David natychmiast zauważył zmianę, jaka w niej zaszła. Wydawało mu się, że zrzuciła kostium, jak aktorka, która zeszła ze sceny po zakończonym spektaklu, i odsłoniła swoje prawdziwe oblicze, starannie dotąd ukrywane. Kiedy wieczorem zatrzasnęli drzwi stajni i powiesili uprząż w siodłami, śmiali się serdecznie ze wspólnych żartów niczym starzy przyjaciele.

Rozdział dwudziesty szósty

W drodze do Londynu Sofia bardzo poważnie zastanawiała się nad propozycją Davida.

- Chciałbym znowu tchnąć życie w to miejsce - powiedział, gdy zaczęli rozmawiać o jego stajni. - Widzę, że świetnie znasz się na koniach i rozumiesz je. Moja była żona, Ariella, hodowała konie wyścigowe. Dochowała się dobrze zapowiadających się roczniaków, to były naprawdę doskonale konie, ale potem odeszła i wszystko się skończyło. Sprzedałem je, z wyjątkiem Safari i Inki. Naturalnie płaciłbym ci pensję i wynajęłbym ludzi do pomocy. Nie musisz przez cały tydzień siedzieć na wsi, wystarczy, jeśli będziesz nadzorować hodowlę. To miejsce jest martwe bez koni i ludzi. Niedługo popadnie w ruinę i te konie także trzeba będzie sprzedać, a bardzo nie chciałbym tego robić.

Sofia przypomniała sobie jego spokojny, trochę flegmatyczny głos. David mówił konkretnie i zwięźle, lecz jego oczy były pełne ciepła. Wystarczyło samo jego wspomnienie, aby się uśmiechnęła. Pomysł był doskonały, ale wiedziała, że Jake nigdy nie zgodzi się na jej wyjazd z Londynu. Był zbyt zaborczy, lecz cóż... Nie miała przecież nikogo poza nim.

Pewnego kwietniowego dnia, kiedy sztuka Jake'a szła drugi miesiąc, Sofia otworzyła drzwi do jego garderoby i ujrzała, jak Jake pieprzy się z Mandy Bourne, swoją partnerką ze sceny. Spocona, rozpalona Mandy stała oparta o ścianę, a Jake miał spuszczone spodnie i jego białe pośladki zabawnie napinały się i rozluźniały na tle jej osiemnastowiecznego kostiumu. Sofia stała w progu przez parę minut, zanim zdali sobie sprawę z jej obecności. Mandy chrząkała jak głodna świnia, jej twarz wykrzywiał grymas bólu, lecz Sofia doszła do wniosku, że chyba jednak czerpie z tego jakąś przyjemność, ponieważ między chrząknięciami pomiaukiwała rozkosznie.

- Kocham cię, kocham cię... - mamrotał Jake w rytmie pchnięć.

Wszystko wskazywało na to, że jest już bliski orgazmu, kiedy nagle Mandy otworzyła oczy i z jej gardła wydarł się rozpaczliwy wrzask. Jake odwrócił głowę i zobaczył stojącą w drzwiach Sofię.

- O, Chryste! - jęknął, kryjąc twarz w obnażonych piersiach kochanki.

Mandy uciekła z płaczem,

Wszystko odbyło się bez przeprosin, bez poczucia winy. Jake obarczył odpowiedzialnością Sofię, twierdząc, że zdradził ją z Mandy tylko dlatego, iż nie był w stanie przezwyciężyć jej chłodnego dystansu.

- Nie kochasz mnie! - wykrzyknął oskarżycielsko.

- Najpierw musiałabym ci zaufać - odpowiedziała zimno.

Kilka minut później wyszła z teatru i nigdy tam nie wróciła. Nie chciała widzieć Jake'a Feltona ani z nim rozmawiać. Po powrocie do domu podniosła słuchawkę z nadzieją, że David Harrison nie zapomniał o propozycji, którą zrobił jej w lutym.

- Opuuszczasz nas? - wykrzyknął Anton z rozpaczą. - Nie zniosę tego!

- Będę prowadzić hodowlę koni dla Davida Harrisona - wyjaśniła.

- Podstępny człowiek! - prychnęła Maggie, zaciągając się papierosem.

- Och, Maggie, to zupełnie inna sprawa! Muszę jednak przyznać, że jeśli chodzi o Jakea Feltona, to miałaś całkowitą rację. Mężczyźni! Komu oni są potrzebni!

- O, nie, tu się mylisz. Sofio - wtrącił Anton. - Sytuacja trochę się zmieniła. Maggie ma kochanka, prawda, kaczuszek? Poderwała klienta. Najwyraźniej jej magiczny pyłek jednak zadziałał...

Maggie uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Dobra robota, Maggie - pochwaliła ją Sofia. - O, Boże, tak mi smutno, że was zostawiam! - jęknęła. - Na szczęście nie muszę siedzieć w Lowsley przez cały czas. Będziemy w kontakcie.

- Ja myślę! - mruknęła Maggie. - Tak czy inaczej, Daisy będzie nam o wszystkim opowiadać. Tylko nie zapomnij zaprosić nas na ślub.

- Maggie, przecież on jest za stary! - roześmiała się Sofia.

- Uważaj, skarbie, ja też jestem po czterdziestce - zauważyła Maggie. - Zresztą, wkrótce zobaczymy, co z tego wyniknie... - dodała zmysłowym szeptem.

Daisy była zrozpaczona. Wiedziała, że będzie bardzo tęskniła za przyjaciółką, a do tego, jeśli Sofii powiedzie się w nowej pracy, ona będzie musiała poszukać kogoś nowego, z kim mogłaby zamieszkać. Nie miała na to najmniejszej ochoty. Ona i Sofia stały się sobie bliskie jak siostry.

- Czy to znaczy, że jeśli ci się tam spodoba, przeprowadzisz się na wieś? - zapytała Sofię, przerażona myślą o życiu na prowincji, niezależnie od tego, jak bardzo luksusowy byłby dom, w którym miałyby zamieszkać.

- Tak - odpowiedziała Sofia. - Uwielbiam wieś i naprawdę mi jej brakuje.

Lowsley obudziło jej uśpione poczucie jedności z naturą. Teraz zapach miasta znowu budził w niej głęboką odrazę.

- Będę za tobą tęskniła. - Daisy buntowniczo wysunęła do przodu dolną wargę. - I kto będzie ci robił manicure?

- Nikt. Na pewno zacznę znowu ogryzać paznokcie.

- Ani mi się waż, zwłaszcza teraz, kiedy tyle wysiłku włożyłam, żeby wyglądały przyzwoicie!

- Będę teraz pracowała na farmie, przy koniach, więc ładne paznokcie nie będą mi już potrzebne! - Sofia roześmiała się, wyobrażając sobie dni spędzane z końmi i psami wśród tych nie kończących się zielonych pagórków.

Dziewczyny objęły się mocno.

- Masz często dzwonić i przynajmniej od czasu do czasu przyjeżdżać do Londynu - zachlipała Daisy. - Za nic nie chcę stracić z tobą kontaktu! - Pogroziła żartobliwie palcem, aby zamaskować smutek.

Sofia zdążyła już przywyknąć do pozostawiania za sobą dawnych miejsc i bliskich ludzi. Nauczyła się wyłączać emocje i unikać bólu, ale obiecała Daisy, że będzie dzwoniła. Spakowała się i po kilku dniach wyjechała. Jak nomadzi, niecierpliwie czekała na następną przygodę, nie przywiązując zbyt wielkiej wagi do więzi łączących ją z innymi ludźmi.

Kiedy na dobre rozgościła się w małym domku na terenie Lowsley, zrozumiała, że wcale nie czuje potrzeby odwiedzania Londynu. Życia na wsi brakowało jej bardziej, niż sądziła, i teraz, gdy do niego wróciła, nie miała zamiaru znowu go porzucić. Prawie codziennie dzwoniła do Daisy i razem śmiały się z najnowszych plotek z salonu U Maggie. Nie miała jednak wiele czasu na rozmyślanie o dawnych przyjaciółach, ponieważ organizacja hodowli pochłaniała ją bez reszty. Nie zamierzała jej tylko nadzorować, chciała całkowicie zaangażować się w nowe zajęcie i jak najwięcej się nauczyć.

Od pani Berniston dowiedziała się, że kiedy Ariella odeszła, David musiał zamknąć stajnie i zwolnić Freddiego Rattraya, znanego jako Rattie. Rattie był zarządcą hodowli, opiekował się zrebakami i nadzorował kierowanie farmą. Zdaniem pani Berniston, Rattie był prawdziwym specem.

- Nie znajdzie pani lepszego człowieka do tej pracy.

Nie tracąc czasu. Sofia odnalazła i zatrudniła Rattiego oraz jego osiemnastoletnią córkę Jaynie. W osiągnięciu tego celu wydatnie pomogła jej pani Berniston, która regularnie korespondowała z niedawno zmarłą żoną Rattiego, Beryl. Po śmierci żony Freddie pragnął wrócić do Gloucestershire i dawnego życia.

Przyjeżdżającego na weekendy Dawida witał szeroki uśmiech Sofii i jej zaraźliwe poczucie humoru. Dziewczyna ciągle nosiła dżinsy i koszulkę, a w pasie zawsze wiązała stary beżowy sweter, który kiedyś pożyczyła od Davida i nigdy nie oddała. Wiejskie powietrze odmieniło jej cerę i teraz promieniała zdrowiem. Sofia przestała wiązać długie, lśniące włosy z tyłu i zaczęła je nosić rozpuszczone. Oczy jej błyszczały, emanowała energią, która sprawiała, że David czuł się przy niej młodszy. Chętnie spędzał z Sofią czas i zwykle był przygnębiony, gdy w niedzielę wieczorem musiał wracać do Londynu. Nie ukrywał zadowolenia, że Sofia robi postępy z pomocą Rattiego, którego uwielbiała.

- Rattie jest taki angielski - powiedziała kiedyś. - Zupełnie jak ogrodowy krasnoludek z bajki...

- Nie wydaje mi się, aby Rattie był zachwycony taką charakterystyką. - David się roześmiał.

- Och, on chyba nie ma nic przeciwko temu - odparła Sofia. - Czasami nazywam go „gnomem”, a on tylko się uśmiecha. Tak bardzo cieszy się z powrotu tutaj, że spodobałby mu się każdy przydomek.

Rattie był także zapalonym ogrodnikiem i David nie mógł się nadziwić, jak bardzo zmienił się wygląd ogrodu od czasu, gdy zatrudnił Sofię, Rattiego oraz Jaynie. Sofia była niezmordowana. Budziła się wcześniej i robiła sobie śniadanie w dużym domu, ponieważ pani Berniston, która trzy razy w tygodniu przychodziła gotować i sprzątać, zasugerowała, aby korzystała z kuchni pana Harrisona, gdzie lodówka jest zawsze pełna. Po śniadaniu siodłała konia i jechała na wzgórza, potem zaś zaczynała codzienną pracę w stajniach.

Rattie wiedział o koniach dosłownie wszystko i Sofia mogła się od niego wiele nauczyć. W Santa Catalina nie musiała nawet siodłać koni, ponieważ robili to za nią gauczowie. Rattie kpił z niej trochę, powtarzał, że jest rozpieszczona i że to najwyższy czas, aby ktoś sprowadził ją na ziemię. Odpowiadała mu wtedy z uśmiechem, że jest w Lowsley wyłącznie dzięki niej, więc powinien traktować ją z większym szacunkiem. Rattie ze swoim nieco krzywym uśmiechem i mądrą twarzą przypominał jej trochę starego Josego z Santa Catalina. Zastanawiała się, czy Jose chociaż odrobinę za nią tęskni, czy dotarły do niego plotki Soledad i czy teraz jest gorszego zdania o swojej dawnej uczennicy.

Kierując się wskazówkami Rattiego, David i Sofia kupili sześć najlepszej krwi klaczy i zatrudnili dwóch stajennych, którzy mieli pracować z Jaynie.

- Doprowadzenie stajni i hodowli do porządku na pewno trochę potrwa - ostrzegął Rattie. - Cykl rodny trwa jedenaście miesięcy - dodał, zaciskając pomarszczone dłonie na kubku parującej kawy. - Jesień to dobra pora na szukanie ogierów dla naszych klaczy, ogierów z odpowiednim rodowodem, rozumiesz?

Sofia skinęła głową. - Jeżeli chce się wyhodować najwyższej klasy konie wyścigowe, trzeba sprowadzić najwyższej klasy ogiery. Sofia znowu przytaknęła.

- W sierpniu i wrześniu składa się podanie o znalezienie ogiera. Robimy to za pośrednictwem agenta, który negocjuje z właścicielem odpowiedniego konia. Przez ostatnich kilka lat nie zajmowałem się tym, ale w swoim czasie korzystałem z usług Willy'ego Rankina. - Rattiego pociągnął łyk kawy. - Czternastego stycznia zaczyna się sezon. Wtedy zawozimy klacze do ogiera i przywozimy je z powrotem dopiero, gdy się okaże, że są żrebne.

- Kiedy się żrebią? - Sofia starała się zadawać rozsądne pytania, chociaż okazało się to trudniejsze, niż oczekiwała. Cieszyła się, że Rattie wie, co robić.

- Od lutego do połowy kwietnia. To magiczny okres - westchnął Rattie. - Każdy może wtedy na własne oczy zobaczyć, jaką cudotwórczynią jest natura. Dziesięć dni po ożrebieniu klacz i żrebaka, oczywiście jeśli jest zdrowy, zawozi się do ogiera.

- Jak długo tam zostają?

- Do trzech miesięcy. Potem, kiedy klacz znowu jest żrebna, przywozimy ją i żrebaka do domu.

- Kiedy sprzedajemy? - zapytała Sofia, napełniając czajnik wodą i stawiając go na piecyku.

- To wszystko wymaga długiej nauki, prawda? - Rattie zaśmiał się, widząc, że detale zaczynają ją nużyć. - I jest zupełnie niepodobne do życia na... Jakże to się nazywa? Na pampie?

- Tak, na pampie, Rattie. Masz rację, nigdy dotąd nie zajmowałam się takimi sprawami - powiedziała pokornie, otwierając słoik granulowanej kawy.

- Jeżeli ktoś tak kocha konie jak ty, szybko się nauczy - rzekł serdecznie. - W lipcu jest mnóstwo pracy z przygotowaniem roczniaków do wystawienia na sprzedaż. Spodoba ci się to, zobaczysz. Trzeba codziennie je oprowadzać, uczyć, jak nosić uzdę i tak dalej. Potem przyjeżdżają organizatorzy aukcji i oglądają konie, żeby orzec, czy się nadają. Aukcje odbywają się w październiku w Newmarket. To także powinno cię zainteresować. - Rattie podał Sofii pusty kubek. - Nauczę cię wszystkiego, co wiem, ale na pewno nie tutaj, przy kuchennym stole. Nauka to praktyka, tak zawsze uważał mój ojciec. "Dość gadania, czas brać się do roboty", mówił. Dlatego bierzmy się do roboty, młoda damo, dobrze? - Rattie wziął kubek pełen mocnej czarnej kawy, dokładnie takiej, jaką lubił. - Wspaniała - powiedział z uśmiechem.

- Słusznie, Rattie, bierzmy się do roboty - przytaknęła Sofia, pełna obaw, że i tak nie zapamięta tych wszystkich szczegółów.

Z czasem nauczy się tego, co miał jej do przekazania Rattie. Na razie była zadowolona, że może pracować z końmi, bo w stajni czuła się jak w domu.

Lato minęło bardzo szybko. Sofia tylko raz wyrwała się do Londynu. Maggie i Anton byli na nią wściekli, i musiała bardzo się starać, żeby poprawić im humor. Rozmawiała z nimi tylko przez godzinę, ponieważ pragnęła jak najszybciej wrócić do swoich koni. Przyjaciele byli wdzięczni za odwiedziny, czuli jednak, że Sofia oddala się od nich, i bardzo ich to smuciło.

Jeszcze przed końcem lata David zaczął spędzać coraz więcej czasu na wsi. Urządził zastępcze biuro w swoim gabinecie w Lowsley i zatrudnił sekretarkę na pół etatu. Czuł, że jego dom znowu żyje i rozbrzmiewa głosami ludzi i zwierząt. Gdyby był wobec siebie całkowicie szczerzy, musiałby przyznać, że zakochał się w Sofii i coraz gorzej radzi sobie bez niej. Właśnie dlatego za proponował jej pracę. Nie miało znaczenia, ile będzie jej płacił, ponieważ zapłaciłby każdą sumę, byle była blisko niego. W ten sposób mógł ją widywać, nie zabiegając otwarcie o jej względy. David był realistą i uważał, że gdyby wyznał Sofii, co do niej czuje, tylko by ją wystraszył. Dwanaście funtów tygodniowo oraz mieszkanie i wyżywienie było i tak niczym w porównaniu z tym, co chciał jej ofiarować - swoje nazwisko i cały majątek.

Sofia była zachwycona, że David postanowił spędzać więcej czasu w Lowsley. Przywiózł ze sobą psy. Sama i Quida, które towarzyszyły jej przez cały dzień, wodząc za nią swoimi cudownymi oczami klaunów. Wieczory Sofia i David spędzali na rozmowach w ogrodzie. Obserwowali, jak długie, charakterystyczne dla lata cienie skracają się, zwiastując nadejście jesieni, a zmrok zapada coraz wcześniej. David zauważył, że Sofia nigdy nie mówi o swoim domu, i nie zadawał jej żadnych pytań. Nie oszukiwał się, że nie jest ciekawy - chciał przecież wiedzieć o niej wszystko. Pragnął pocałunkami przegnać smutek, który często czyhał tuż pod cienką warstwą jej uśmiechu, szczerze mówiąc, pragnął całować ją za każdym razem, gdy ją widział, ale nie chciał jej przestraszyć. Bał się ją stracić. Od dawna nie był szczęśliwy, więc nie próbował nic zmienić. I właśnie wtedy, gdy Sofii już prawie udało się zapomnieć o przeszłości, w Lowsley zjawił się ktoś, kto przypomniał jej o minionych wydarzeniach.

David od początku lata nie zapraszał gości na weekend. Był szczęśliwy, że może przebywać z Sofią, dopóki Zaza nie uświadomiła mu, że dziewczyna zapewne chciałaby spotykać się z ludźmi w swoim wieku.

- To bardzo atrakcyjna młoda kobieta i na pewno jakiś facet porwie ci ją sprzed nosa, nim się obejrzysz - powiedziała, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo ranią go jej słowa. - Nie możesz ukrywać jej tu w nieskończoność.

David przyglądał się, jak Sofia biega po Lowsley, i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jest szczęśliwa. Nie wyglądała na osobę, której brakuje spotkań z młodymi ludźmi, wydawała się zupełnie zadowolona z pracy i życia. Lecz Zaza nalegała.

- Tylko kobieta potrafi zrozumieć drugą kobietę - oświadczyła.

David doszedł do wniosku, że Zaza może mieć rację - w końcu on był prawie dwadzieścia lat starszy od Sofii i z pewnością nie stanowił wymarzonego towarzystwa dla dziewczyny w jej wieku.

Kiedy Zaza i Tony przedstawili mu Gonzala Segunda, opalonego, bardzo wysokiego Argentyńczyka, który grał w polo i był przyjacielem ich syna, Eddiego, David zrozumiał aluzję i zaprosił ich wszystkich na weekend. Oczywiście nie mógł przewidzieć reakcji Sofii.

- Sofia Solanas! - wykrzyknął Gonzalo, kiedy ich sobie przedstawiono. - Jesteś może krewną Rify Solanasa? - zapytał po hiszpańsku,

Sofia nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Od tak dawna nie rozmawiała po hiszpańsku...

- To mój brat - odparła w końcu i nagle cofnęła się, jakby dźwięki ojczystego języka przywołały wszystkie wspomnienia, które rozproszyły się w jej umyśle jak talia rozsypanych kart.

Potem gwałtownie zbladła i wybiegła z pokoju.

- Czy powiedziałem coś złego? - dopytywał się z niepokojem Gonzalo.

Po paru minutach do drzwi pokoju Sofii zapukał David.

- Nic ci nie jest. Sofio? - odezwał się cicho.

Otworzyła drzwi i David wszedł do środka, a za nim Sam oraz Ouid, które z zaniepokojeniem obwęchały jej nogi. Twarz Sofii była mokra od łez, w jej zaczerwienionych oczach błyskała złość.

- Jak mogłeś? - wybuchnęła. - Jak mogłeś zaprosić go tutaj, nie uprzedzając mnie, że przyjedzie?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Sofio - rzekł David zdecydowanym tonem, usiłując położyć rękę na jej ramieniu. - Uspokój się.

- Nie uspokoję się! - rzuciła z wściekłością.

David zamknął za sobą drzwi. Nie chciał, żeby Zaza usłyszała podniesiony głos Sofii.

- On zna moją rodzinę! - ciągnęła dziewczyna. - Wróci do Argentyny i powie im, że mnie spotkał!

- I to ma takie wielkie znaczenie?

- Oczywiście, że ma! - warknęła, podchodząc do łóżka i siadając obok Davida. - Dla mnie ma to ogromne znaczenie, możesz mi wierzyć...

- Nie wiem, co usiłujesz mi powiedzieć - rzekł David. - nie możesz oczekiwać, że zgadnę, bo nie mam po temu żadnych przesłanek. Myślałem, że rozmowa z kimś z Argentyny sprawi ci przyjemność.

- Och, Dawidzie... - Sofia przełknęła łzy i oparła głowę na jego piersi. David powoli otoczył ją ramieniem. Nie odepchnęła go, więc po prostu siedział bez ruchu, trzymając ją w objęciach. - Wyjechałam z Argentyny trzy lata temu, ponieważ zakochałam się w człowieku, którego moi rodzice nie akceptowali. Od tamtej pory nie wróciłam do domu.

- Nie wróciłaś? - powtórzył David, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Pokłóciłam się z nimi. Nienawidzę ich. Od przyjazdu do Europy nie zamieniłam z nimi ani słowa.

- Moje biedactwo... - mruknął, delikatnie głaszcząc jej włosy.

Bał się, że jakiś nierozważny gest z jego strony może zakłócić tę chwilę.

- Kocham ich i nienawidzę. Tęsknię za nimi i staram się o nich zapomnieć, ale nie mogę, nadal nie potrafię. W Lowsley chwilami już o nich nie myślałam, byłam tu taka szczęśliwa... A teraz ten Gonzalo...

Gdy znowu zaczęła płakać, David nie wiedział, co robić. Tym razem głęboki szloch wrywał się z samej głębi jej istoty. David przytulił ją mocno i starał się pocieszyć. Nigdy nie widział osoby tak nieszczęśliwej. Płakała tak rozpaczliwie, że z ogromnym trudem łapała oddech. David był przerażony, czuł się bezradny. Pomyślał, że może Sofii bardziej przyda się towarzystwo innej kobiety, ale zanim zdążył wstać, żeby pójść po Zazę, Sofia zacisnęła dłonie na jego swetrze i poprosiła, by został.

- To jeszcze nie wszystko, Davidzie - załkała. - Nie odchodź, proszę. Chcę, żebyś o wszystkim się dowiedział...

Co chwilę przerywając, opowiedziała mu o zdradzie Santiiego i o dziecku, nie przyznając się tylko do tego, że Santi był jej stryjecznym bratem.

- Oddałam moje dziecko obcym ludziom - szepnęła bezradnie, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.

David spojrział w jej pełne rozpaczycy oczy i natychmiast zrozumiał jej ból.

Chciał powiedzieć, że da jej tyle dzieci, ile zechce, że będzie ją kochał bardziej niż cała jej rodzina razem wzięta, ale nie wiedział, jak to zrobić. Objął ją mocno i długo siedzieli w milczeniu. W tej przepojonej czułością chwili czuł, że kocha ją całym sercem, bez reszty. Uświadomił sobie, jak samotny był wcześniej, zanim Sofia pojawiła się w jego życiu. Był przekonany, że potrafiłby uczynić ją szczęśliwą.

Sofia odetchnęła z ulgą, podzieliwszy się z nim swoją tajemnicą, chociaż w gruncie rzeczy opowiedziała mu tylko połowę historii. Podniosła głowę i spojrzała na niego innymi oczami. Gdy ich usta się zetknęły, żadne z nich nie było zaskoczone. W ciągu tych kilku minut Sofia zaufała Davidowi bardziej niż komukolwiek innemu, może z wyjątkiem Santiiego. David przygarnął ją do siebie, a ona zapomniała o reszcie świata. Teraz liczyło się dla niej tylko Lowsley i bezpieczny kąt, który tutaj znalazła.

Rozdział dwudziesty siódmy

Kiedy David i Sofia wrócili do pokoju, wszyscy udali, że nic się nie stało. Typowo angielska reakcja, pomyślała dziewczyna. Tam, skąd pochodziła, ludzie przekrzykiwaliby się, pragnąc się dowiedzieć, o co chodzi. Nie ulegało wątpliwości, że Zaza poleciła Gonzalowi i Eddiemu, aby nie denerwowali jej jeszcze bardziej, więc obaj, uśmiechając się przyjaźnie, zaczęli wypytywać ją o konie.

Zaza zapaliła papierosa i wygodnie usadowiła się na sofie, a jej zmrużone oczy szybko biegały od Davida do Sofii i z powrotem. David próbuje coś ukryć, pomyślała, wydmuchując kącikiem ust wąską strużkę dymu, widać to z jego gestów. Potem skupiła się na

obserwowaniu Sofii. Rzęsy ma jeszcze mokre od łez, ale jej policzki płoną rumieńcem podniecenia. Dzieje się tu coś dziwnego, doszła do wniosku.

Gonzalo uznał Sofię za osobę o nieodpartym uroku, i to z dwóch powodów - była postacią tragiczną i należała do najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widział. Słyszał coś o niej w Argentynie. Pod względem towarzyskim Buenos Aires było małym miastem, więc rodzinie Solanas nie udało się utrzymać skandalu w tajemnicy. Gorączkowo próbował sobie przypomnieć, co takiego Sofia zrobiła. Chyba miała romans z jednym ze swoich braci i dlatego wysłano ją do Europy... Nic dziwnego, że nie chciała zostać rozpoznana, bo to przecież straszny wstyd... Tak czy inaczej, ja mógłbym przebaczyć jej wszystko, pomyślał, obserwując jej szeroki uśmiech i drżące wargi.

- Sofio, pokażesz mi okolicę? - zapytał po hiszpańsku. - Moglibyśmy pojechać konno...

Sofia uśmiechnęła się niepewnie i szybko spojrzała na Davida, który lekko uniośł brwi. Teraz, kiedy wyznała mu prawie całą prawdę o sobie, nie chciała oddalać się od niego nawet na chwilę.

- Gonzalo chciałby, żebyśmy wybrała się z nim na przejażdżkę po okolicy - powiedziała z nadzieją, że ktoś zaproponuje inny sposób spędzenia popołudnia.

- Dobry pomysł - rzekł Tony, żując koniec cygara. - Eddie, może pojechałbyś z nimi?

- Koniecznie, kochanie, świeże powietrze dobrze ci zrobi - rzuciła Zaza, nie mogąc się już doczekać, kiedy będzie mogła przesłuchać Davida w cztery oczy.

Eddie, który z rozleniwieniem wygrzewał się w fotelu przy kominku, nie miał najmniejszego zamiaru wychodzić na przenikliwy ziąb. Dzień był paskudny, mglisty i wilgotny, poza tym widział, że Sofia bardzo spodobała się Gonzalowi, i nie chciał wchodzić mu w drogę.

- Nie, dziękuję - westchnął, zagłębiając palce w pudełku z cukierkami toffi, które stało obok niego na stoliku. - Najlepiej jedźcie we dwoje...

- Kochanie, nie możesz siedzieć cały ranek w domu! - zaprotestowała Zaza. - Powinieneś poruszać się trochę, żeby nabrać apetytu na lunch pani Berniston.

- Ale ty i tata zostajecie, prawda? - Eddie zapadł jeszcze głębiej w fotel.

Zaza ze zniechęceniem wyduła wargi. Przesłuchanie będzie musiało poczekać.

David patrzył, jak Sofia wychodzi z Gonzalem, i nie był w stanie stłumić bolesnego ukłucia zazdrości. Wiedział wprawdzie, że Sofia nie ma ochoty na tę wyprawę, ale nie mógł znieść myśli, że wybiera się gdzieś sama ze swoim rodakiem. Gonzalo był młodym, przystojnym mężczyzną, który mówił jej językiem, rozumiał jej kulturę i na pewno potrafił nawiązać z nią lepszy kontakt niż on. Kiedy Sofia wyszła, pokój wydał mu się zimny i pusty.

- Jesteś prawdziwym geniuszem, kochanie - powiedziała Zaza, czujnie obserwując Davida.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytał nienaturalnie pogodnym tonem.

- Bo zaprosiłeś Gonzala.

- I to jest dowód mojego geniuszu?

- Tak! - Zaza się roześmiała. - Widzisz chyba, że Gonzalo i Sofia doskonale do siebie pasują...

Wetknęła hebanową cygarniczkę między czerwone wargi i przez chwilę badała wzrokiem wyraz jego twarzy. David uśmiechnął się obojętnie.

- Zazo, skarbie, w ten weekend nie ma tu miejsca dla Kupidyna - odezwał się Tony. - Ten cholerny Gonzalo doprowadził ją do łez, zapomniałaś? Nie jest to chyba najbardziej romantyczny sposób na podbicie serca kobiety, co?

- Ale o co właściwie chodziło? - zagadnął Eddie, zachwycony, że ojciec sam poruszył ten temat.

Wszyscy troje spojrzeli na Davida, który przysiadł na kracie kominka i pogrzebaczem poprawiał kawałki drewna.

- Sofia tęskni za domem, to wszystko - rzekł krótko.

- Ach, tak... - W głosie Eddiego zabrzmiało rozczarowanie.

Tony ze współczuciem pokiwał głową.

- To naprawdę wszystko? - Zaza nie dawała za wygraną. - A co takiego zrobiłeś, że znowu zaczęła się uśmiechać?

- Po prostu poczuła się lepiej, bo opowiedziała mi trochę o swoim kraju i rodzinie. To wystarczyło...

David wiedział, że nie mówi zbyt przekonująco. Zaza na pewno bez trudu wyczuje kłamstwo.

- Rozumiem - westchnęła. - Cóż, ona i Gonzalo będą mieli okazję poznać się bliżej, kiedy my, dorośli, spuścimy ich z oka... Ach, ci młodzi... Wiele bym dała, żeby znowu być młodą...

David poczuł, jak ogarnia go fala przygnębienia - był przecież prawie dwadzieścia lat starszy od Sofii. Co mu przyszło do głowy, na miłość boską? Zaza ma rację, Gonzalo pasuje do Sofii znacznie lepiej niż on. Może Sofia zrozumie to podczas tej przejażdżki... Od wielu miesięcy nie spotykała się z młodymi ludźmi. Porozmawia z Gonzalem o kraju i uświadomi sobie, że powinna wrócić do Argentyny. Nadal czuł smak jej warg. Czyż by wykorzystał

chwilę słabości? Źle, że pozwolił sobie ją pocałować, należało oprzeć się tej szalonej pokusie... Powinien przecież zachowywać się jak w pełni odpowiedzialny, dorosły człowiek...

Zmienił temat i starał się rozmawiać z gośćmi zupełnie normalnie, lecz słowa z trudem przedostawały się przez jego zaciśnięte gardło. Zaza dostrzegła ból w jego oczach i zrozumiała, że posunęła się za daleko. Zawsze kochała Davida. Była idealnie szczęśliwa z Tonym, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że jej serce nie do końca należy do męża. Teraz miała do siebie żal, że dała upust zazdrości. Próbowwała poprawić Dawidowi humor, opowiadając rozmaite zabawne historyjki, lecz jego śmiech wcale nie brzmiał szczerze. Spojrzała na stojący na kominku zegar i zapragnęła, by Sofia już wróciła i rozproszyła jego smutek.

Gonzalo był doświadczonym jeźdźcem. Sofia widziała, że siedział w siodle pewnie, trochę niedbale, z typową argentyńską pewnością siebie i cudowną, choć nieznośną arogancją, i jej serce zadrżało. Rozmawiali po hiszpańsku i po paru chwilach słowa same płynęły jej z ust, a ramiona unosiły się w ekspresyjnych gestach, typowych dla Latynosów. Nagle poczuła się wolna od ograniczeń, które sama sobie narzuciła. Znowu była Argentynką i samo brzmienie szybko wypowiedzianych słów napełniało ją szczęściem.

Gonzalo rozśmieszył ją paroma dowcipami i historiami. Ostrożnie unikał pytań o jej rodzinę i ona także nie poruszała tego tematu, za to słuchała go z prawdziwą przyjemnością.

- Opowiedz mi coś jeszcze, Gonzalo - prosiła, chłonąc jego słowa z entuzjazmem osoby, która odzyskała słuch po długim okresie głuchoty.

Szli przez zalegające dolinę błoto, prowadząc konie, których podkowy głośno mlaskały o półpłynne podłoże. Mżawka przeszła w deszcz, który spływał im po twarzach i wsiąkał w ubranie. Kiedy znaleźli się na zboczu wzgórza, pogalopowali przed siebie, śmiejąc się i ciesząc wiatrem, który rozwiewał im włosy. Przejechali wiele mil i zatrzymali się dopiero wtedy, gdy gęsta mgła podniosła się z doliny i otoczyła ich ze wszystkich stron.

- Która godzina? - zapytała Sofia, której kieszki grały już marsza z głodu.

- Pół do pierwszej - odpowiedział. - Myślisz, że trafisz do domu w tej mgle?

- Oczywiście! - odparła, chociaż wcale nie była tego pewna. Rozejrzała się dookoła, ale niewiele to pomogło. - Jedź za mną - poleciła, starając się mówić z przekonaniem.

Jechali obok siebie w białych tumanach mgły, z oczyma utkwionymi w ciągnącej się przed nimi wąskiej zielonej ścieżce. Gonzalo nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego, konie także zachowywały się zupełnie spokojnie, z zadowoleniem parszcząc lodowatym powietrzem. Sofia była przemarznięta do kości i z całego serca pragnęła jak najszybciej usiąść przy kominku w Lowsley. Tęskniła za Davidem...

Nagle tuż przed nimi wyłoniły się z mgły szare ruiny starego zamku.

- Czy to ci coś mówi? - zapytał Gonzalo, który zauważył, że jej piękne brwi ściągnęły się lekko. Potrząsnęła głową.

- Dios, muszę być z tobą szczerą, Gonzalo. Nigdy nie widziałam tych ruin. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

- Więc się zgubiliśmy - rzucił niedbale Gonzalo i uśmiechnął się szeroko. - Lepiej zostanmy tu, dopóki mgła nie opadnie. Dobrze chociaż, że możemy schronić się przed deszczem.

Sofia zgodziła się i oboje zeskoczyli z siodeł. Wprowadzili konie pod dach i przywiązali je do kamienia.

- Chodź, znajdziemy jakieś osłonięte od wiatru miejsce - rzekł Gonzalo, biorąc dziewczynę za rękę i ruszając przodem po gruzowisku.

Szedł tak szybko, że ledwo mogła za nim nadążyć i ślizgała się na mokrych kamieniach. Nagle upadła. Wydawało jej się, że to nic, ale kiedy spróbowała się podnieść, ból w kostce przeszył jej całą nogę i z jękiem osunęła się na ziemię. Gonzalo przykucnął obok niej.

- Gdzie cię boli? - zapytał.

- W kostce. O, Boże, chyba nie złamałam nogi, co? - Skrzywiła się żałośnie.

- Wygląda to raczej na zwichnięcie. Możesz poruszyć nogą?

- Bardzo boli - poskarżyła się, ostrożnie poruszając stopą.

- Dobrze, że w ogóle możesz nią ruszyć. Trzymaj się, poniosę cię.

- Jeżeli jękniesz z wysiłku, chyba cię zabiję! - zażartowała, kiedy wziął ją na rękę.

- Nie zrobię tego, obiecuję - powiedział.

Zaniósł ją do mrocznego holu jednej z wież, rozpostarł na wilgotnej trawie swoją kurtkę i posadził na niej dziewczynę.

- W ten sposób może trochę mniej zmarzniesz. - Uśmiechnął się, pomagając jej usadowić się w wygodnej pozycji.

- I tak jestem już kompletnie mokra - zachichotała. - Ale bardzo ci dziękuję, Gonzalo...

- Postaram się zdjąć ci but, ale obawiam się, że później nie uda się go włożyć - ostrzegł.

- To nic. Zrobię wszystko, byle chociaż trochę przestało boleć. Zdejmij but. Jeżeli kostka mi spuchnie, nigdy go nie ściągniemy.

Gonzalo powoli zdejmował but, a Sofia aż skręcała się z bólu.

- Gotowe - powiedział z triumfem, ujmując jej stopę i kładąc ją sobie na kolanach.

Ostrożnie zsunął skarpetę, odsłaniając delikatną różową skórę, która wyglądała dziwnie bezbrinnie na tle wielkich, potrzaskanych gładów.

Sofia westchnęła głęboko i otarła łzy rękawem kurtki.

- Kostka mocno spuchła, ale chyba to przeżyjesz - mruknął, lekko głaszcząc nogę nad kostką.

- Och, jak przyjemnie... - zamruczała, opierając głowę o kamień. - Trochę niżej... Tak, tutaj... - dodała, gdy ostrożnie masował podbicie jej stopy. - Przepadł nam lunch pani Berniston...

- Nie mów mi tylko, że pani Berniston jest dobrą kucharką!

- Najlepszą.

- Chętnie zjadłbym duży, soczysty kawałek lomo. - Gonzalo poczuł nagle dotkliwy głód.

- Ja też, con papasfritas. - Sofia uśmiechnęła się z nostalgią.

Wkrótce oboje zaczęli recytować długą listę argentyńskich potraw, których szczególnie w tej chwili bardzo im brakowało.

- Dulce de leche.

- Membrillo.

- Emapanadas.

- Zapallo.

- Zapallo? - powtórzył Gonzalo, marszcząc nos.

- Jak to, nie lubisz zapallo?

- No, dobrze. Matę.

- Alfajores...

David wbił wzrok w kłębiącą się za oknem mgłę.

- Utknęli gdzieś w tej mgle - odezwał się Tony. - Na twoim miejscu nie martwiłbym się tak bardzo. Sofia jest w dobrych rękach, Gonzalo wygląda na silnego jak wół.

Właśnie to mnie niepokoi, ponuro pomyślał David.

- Jestem głodny - oświadczył Eddie. - Musimy na nich czekać?

- Chyba nie - odparł David.

- Nie możemy pozwolić, żeby lunch pani Berniston się zmarnował - rzekła Zaza. - Jestem pewna, że niedługo wrócą. Sofia doskonale zna te wzgórza, prawda?

- Nie dość dobrze, zwłaszcza w tej mgle - westchnął David. - Jest tak gęsta, że chyba nieprędko ustąpi...

- Och, wkrótce się podniesie - pocieszyła go Zaza. - W tej okolicy mgła nigdy nie utrzymuje się długo.

- Co ty wiesz o mgle, skarbie? - zakpił Tony.

- Po prostu staram się myśleć pozytywnie. David bardzo się niepokoi, nie widzisz?

- Może powinienem ich poszukać... - wymamrotał David.

- Gdzie, na miłość boską? - zdenerwował się Tony. - Nie wiesz nawet, w którą stronę pojechali! Ale cóż... Jeżeli nie wrócą do zmroku, pojedę z tobą.

- Nie umiesz jeździć konno, kochanie. - Zaza nerwowo zapaliła następnego papierosa.

- Pojadę land-roverem.

- I zabuksujesz się w błocie? - odezwał się Eddie.

Tony wzruszył ramionami.

- Tony ma rację - powiedział nagle David. - Zjedźmy teraz lunch, a jeśli Sofia i Gonzalo nie wrócą w ciągu najbliższych trzech godzin, wszyscy pojedziemy ich szukać.

Kiedy ustalili konkretny plan, poczuł się znacznie spokojniejszy. Usiłował nie myśleć o tamtych dwojgu, tulących się do siebie na chłodzie i deszczu, starał się nie poddawać złym przeczuciom. Znał wzgórza Cotswolds lepiej niż ktokolwiek, więc na pewno ich znajdzie. Miał nadzieję, że Sofii nic się nie stało. Doskonale jeździła konno, ale nawet najlepsi jeźdźcy spadają z siodła. Ta głupia dziewczyna nigdy nie wkłada dżokejki, pomyślał z lękiem. Nie rozumie, że tu nie ma pampasów i w Anglii ludzie noszą kaski po to, aby zabezpieczyć się przed skręceniem karku przy upadku. Liczył, że pojechała na Safarim, który był bardzo łagodny i nigdy by jej nie zrzucił. Nie miał takiej pewności, jeżeli chodzi o pozostałe konie. Poprowadził gości do jadalni, ani na chwilę nie mogąc pozbyć się obrazów, które podsuwała mu wyobraźnia.

Sofia rozmawiała z Gonzalem, wspominała i błędziła myślami po pampasach, prawie nie czując, jak jego dłoń delikatnie masuje jej napuchniętą i obolałą kostkę.

- Założę ci teraz skarpetkę - powiedział. - Nie możemy pozwolić, żeby noga ci zmarzła.

- Świetnie sobie radzisz, doktorze Segundo - zażartowała Sofia.

- Doktor Segundo wie, co jest dla ciebie najlepsze, seniorita.

- Ostrożnie... - syknęła, gdy zaczął naciągać skarpetę na stopę.

- I jak? - zapytał po chwili.

- Lepiej - odparła, zaskoczona, że ból okazał się mniej dotkliwy, niż się spodziewała. - Twoje dłonie leczą.

- Nie tylko lekarz, ale i uzdrowiciel, tak? - roześmiał się. - Pochlebiasz mi! Proszę bardzo, wszystko gotowe. Ma pani jeszcze jakieś dolegliwości, którymi powinienem się zająć, seniorita?

- Nie mam żadnych, doktorze.

- A zbolełe serce?

- Zbolełe serce?

- Tak, twoje biedne serce - powiedział poważnie.

Ujął jej twarz w dłonie i jego wargi spoczęły na jej ustach. Nie powinna była pozwolić na ten pocałunek, ale dźwięk hiszpańskich słów, wypowiedzianych z niepowtarzalnym argentyńskim akcentem, buty do konnej jazdy, zapach koni, wirująca mgła, która ukryła ich przed światem, wszystko to razem sprawiło, że Sofia uległa chwilowemu poczuciu zagubienia i odpowiedziała na pieszczotę. Było jej przyjemnie, ale coś było zdecydowanie nie tak. Cofnęła się lekko i zauważyła, że mgła ustępuje.

- Popatrz, przejaśnia się - odezwała się z nadzieją w głosie.

- Wolałbym tutaj zostać - powiedział cicho.

- Jestem przemoknięta, zmarznięta i noga boli mnie jak wszyscy diabli - oświadczyła Sofia. - Proszę, zabierz mnie do domu, Gonzalo.

- Dobrze - westchnął. - Ja jakoś nie dostrzegłem deszczu ani zimna...

Sofia nagle zatęskniła za Davidem. Na pewno zamartwia się o mnie, pomyślała. Gonzalo ostrożnie zniósł ją po kamieniach do koni.

- Wezmę twój but - powiedział, podsadzając ją na siodło.

Droga powrotna była długa i skomplikowana. Sofia ponownie zgubiła drogę, ale postanowiła się nie poddawać i puściła cugle, pozwalając Safariemu odszukać ścieżkę

wiodącą do domu. Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, bezpiecznie doprowadzeni do Lowsley instynktem mądrego konia, zaczęła się zastanawiać, dlaczego od razu tak nie postąpiła.

- No, dobrze, jadę ich szukać - zdecydował David, odwracając się od okna. Było już prawie ciemno, a Sofia i Gonzalo jeszcze nie wrócili. - Wygląda na to, że jednak coś się stało - dodał ze zdenerwowaniem. - Na pewno potrzebują pomocy.

- Pojadę za tobą land-roverem - zaofiarował się Tony.

Eddie zerknął na Zazę, ale żadne z nich nie ośmieliło się odezwać. W czasie lunchu atmosfera była dość napięta. David nie mógł się skupić na rozmowie i ciągle wyglądał przez okno, zupełnie jakby Sofia i Gonzalo mieli niespodziewanie wyłonić się w białego tumanu, w prawdziwie hollywoodzkim stylu. Zaza wiedziała, że Tony i Eddie nie zauważyli, co dzieje się z Davidem. Mężczyźni są czasami gruboskórni jak hipopotamy, pomyślała ze złością, słuchając, jak mąż i syn dyskutują o krykcie. Można by pomyśleć, że nic się nie stało...

David szybkim krokiem wyszedł do holu, chwycił kurtkę i buty do konnej jazdy i gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi. Dokładnie w tej samej chwili kłęby mgły zawirowały i pomiędzy nimi pojawił się Gonzalo z mokrą i drżącą Sofią w ramionach.

- Co się z wami działo, do diabła? - wybuchnął David, który najwyraźniej miał już wszystkiego dosyć.

- To długa historia, opowiemy wam ją trochę później - powiedział Gonzalo. - Teraz muszę zanieść Sofię na górę.

- Skręciłam nogę - wyjaśniła Sofia, kiedy Gonzalo minął Davida w progu.

- Dobry Boże, co się stało? - wykrzyknęła Zaza na widok pary młodych, którzy wyglądali tak, jakby dokładnie wytarzali się w błocie.

- Gdzie jest twój pokój? - zapytał Gonzalo, wnosząc Sofię na schody.

- Idź prosto - powiedziała.

Szukała wzrokiem Davida, ale on nie poszedł za nimi. Gonzalo łokciem otworzył drzwi jej pokoju i delikatnie położył ją na łóżku.

- Ktoś będzie ci musiał pomóc zdjąć te mokre rzeczy - stwierdził. - Zaczekaj, puszcze tylko wodę do wanny...

- Nie przejmuj się mną, dam sobie radę. Nic mi nie jest.

- Doktor Segundo wie, czego ci trzeba - rzekł Gonzalo, ściągając jej drugi but.

- Proszę cię, Gonzalo, daj spokój... Naprawdę dobrze się czuję...

- Dziękuję ci, Gonzalo - odezwał się nagle David. - Idź do siebie i przebierz się w coś suchego i ciepłego. Zachowałeś się jak prawdziwy bohater, ale nawet bohaterowie muszą czasami odetchnąć.

- David! - zawołała z ulgą Sofia.

Gonzalo wzruszył ramionami, uśmiechnął się do Sofii i niechętnie opuścił pokój.

- Co ty wyrabiasz, do diabła? - zapytał David ze złością, wchodząc do łazienki.

Sofia usłyszała odgłos lejącej się do wanny wody i w jednej chwili ogarnęło ją wielkie znużenie.

- Zgubiliśmy drogę we mgle, ale na szczęście dojechaliśmy do zrujnowanego zamku i...

- Jakim cudem dotarliście aż tam, na miłość boską? - warknął David.

- Davidzie, przecież to nie moja wina...

- A co z końmi? Nie zauważyłaś, że podnosi się mgła? Może byłaś zbyt zajęta nowym przyjacielem?

- Nie ja zaproponowałam tę przejażdżkę, w ogóle nie miałam na nią ochoty. Mogłeś nas zatrzymać.

- Rozbierz się z tych mokrych ciuchów, bo zaziębisz się na śmierć - powiedział ostro, podchodząc do drzwi. - Puściłem wodę do wanny.

Sofia uświadomiła sobie, że kieruje nim zazdrość, i uśmiechnęła się lekko.

- Nie rozbiorę się sama - mruknęła słabym głosem.

David odwrócił się. Sofia pomyślała, że jego zagniewana twarz wygląda po prostu cudownie. Miała wielką ochotę pocałunkami przegnać jego wściekłość.

- Zawołam Zazę - rzekł sztywno.

- Nie chcę Zazy - powiedziała powoli i spojrzała w jego udręczone oczy. - Nie chcę też Gonzala. Chcę ciebie.

- Nie było cię przez tyle godzin! - wybuchnął. - Niepokoiłem się! Co miałem myśleć?

- Chyba nie masz o mnie zbyt dobrej opinii, jeżeli wyobrażasz sobie, że zmieniam mężczyzn jak rękawiczki. Nie ufasz mi?

- Przepraszam.

- To dlatego, że on jest Argentyńczykiem, prawda? - zapytała.

- Jest Argentyńczykiem, przystojnym i młodym, a ja jestem prawie dwadzieścia lat starszy od ciebie - wyznał z rozpaczą.

- I co z tego?

- Jestem stary.

- Kocham cię, Davidzie - powiedziała, próbując zdjąć sweter. - Twój wiek nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia...

- Pozwól, że ci pomogę... - Ukląkł przed nią, objął jej twarz dłońmi i pocałował ją.

Jego wargi były miękkie i ciepłe. Sofia miała ochotę zwinąć się w kłębek i przywrzeć do jego piersi, ale odsunął ją delikatnie.

- Jesteś jak mokry psiak. - Roześmiał się, zerkając na ciemną plamę na swojej koszuli. Jednym ruchem zdjął z niej sweter i koszulkę. Sofia zadrżała. Włosy, podobne do długich, ociekających wodą macek, opadły jej na nagi kark i ramiona. David pocałował ją znowu, próbując przywrócić życie jej zsiniałym wargom, ale nadal drżały. Sofia odpięła dzinsy i pozwoliła mu ściągnąć je z siebie ostrożnie. Spodnie były zupełnie mokre i zachlapane błotem.

- Trzęsiesz się z zimna, kochanie - rzekł z czułością. - Zaniosę cię do wanny...

- Jak to? - zachichotała Sofia. - W bieliźnie?

Rozpięła biustonosz. Jej piersi były zdumiewająco duże i krągłe w zestawieniu ze smukłym, drobnym ciałem, i całe pokryte gęsią skórą. Krwiście czerwone sutki napięły się i stwardniały pod wpływem zimna. Zsunęła majtki, wyplątała się z nich jakoś i wyciągnęła ręce do Davida. Chwytał w ramiona jej lodowato zimne ciało i zaniósł ją do łazienki.

- Jesteś piękna. - Musnął wargami jej skroń.

- I zmarznięta. - Przytuliła twarz do jego policzka. - Cudowne bąbelki... - westchnęła, gdy zanurzył ją w gęstej białej pianie, pod którą czekała gorąca woda.

Usiadł na krześle i obserwował, jak jej wargi i policzki odzyskują normalny kolor, a ramiona rozluźniają się powoli. Sofia poczuła, jak ból zapulsował nagle w zwichniętej kostce.

Wreszcie znowu czuła się sobą. Po kąpieli David otulił ją dużym, białym ręcznikiem, przeniósł na łóżko i odwrócił się do drzwi. Zatrzymała go.

- Chcę, żebyś się ze mną kochał, Davidzie - odezwała się, zaplatając dłonie na jego karku.

- A co z tamtymi? - zapytał, gładząc jej wilgotne włosy.

- Sami mogą się sobą zająć. Nie zapominaj, że jestem kontuzjowana.

- Właśnie. Seks na pewno nie poprawi stanu twojej nogi.

- Nie będę kochać się z tobą za pomocą kostki! - zachichotała, kryjąc twarz w załamaniu jego szyi.

Roześmiał się i znowu ją pocałował. Potem zaczął się z nią kochać, pieścić ją, dotykać, cieszyć się jej reakcjami. Sofia zamknęła oczy i z radością odkryła, że wyobraźnia nie podsuwa jej żadnego innego obrazu poza twarzą Davida.

Rozdział dwudziesty ósmy

- Wiedziałam, że coś się dzieje już podczas tamtego weekendu, na który zaprosiłeś nas razem z Gonzalem - rzekła Zaza miesiąc później. - Dostrzegłam to w twoich oczach, Davidzie. Jesteś beznadziejnym aktorem.

Roześmiała się gardłowo.

David zadzwonił do niej tego ranka i zaprosił ją na lunch, ponieważ sprawy zawodowe zmuszały go do spędzenia kilku dni w Londynie.

- Oderwanie się od Sofii przychodzi mi z największym trudem - wyznał i opowiedział jej o swoim związku z Sofią.

- Biedny Gonzalo stracił głowę i serce - dodała teraz Zaza, patrząc na niego przy stoliku w restauracji Ivy i podnosząc kieliszek do szkarłatnych warg.

- Myślałem, że Sofia może się w nim zakochać - zwierzył się David nieśmiało.

- Mnie też przyszło to do głowy i właśnie dlatego zaproponowałam, żebyś go zaprosił. Gdybym podejrzewała, że ty sam coś do niej czujesz, nigdy nie zachowałabym się tak nietaktownie. Wybaczysz mi?

- Jesteś zła do szpiku kości, Zaza, ale mimo wszystko bardzo cię lubię. - David roześmiał się, otwierając menu.

- Więc co teraz zrobicie? - zapytała. - Mam nadzieję, że mogę zapalić, prawda?

- Proszę bardzo.

- No więc?

- Nie wiem.

- Oczywiście ożenisz się z nią - powiedziała, czując, jak jej gardło ścisną twarde pierścienie.

- Nie wiem - powtórzył David i przywołał kelnera, - Co chcesz zamówić, moja droga?

Ale Zazy nie można było zbić z tropu, zwłaszcza gdy miała ważną misję do spełnienia. Pospiesznie zamówiła lunch i wróciła do przesłuchania.

- Sofia na pewno będzie chciała wyjść za mąż. Wszystkie dziewczęta tego pragną. Co z Ariellą?

- Jak to, co z Ariellą? Rozwiedliśmy się siedem lat temu.

- Rozmawiałeś o niej z Sofią? Sądzę, że chciałyby wiedzieć, jaka była jej poprzedniczka...

- Co mógłbym jej powiedzieć o Arielli? Była moją żoną i z pasją zajmowała się ogrodnictwem...

- Była suką, niewiarygodnie piękną suką - rzekła Zaza, z mocą i wyraźną satysfakcją wypływając wyraz „suka”. - Kiedy Ariella dowie się o was, będzie wściekła.

- Nie - odparł. - Ariella spokojnie siedzi we Francji ze swoim kochankiem i nie ma zamiaru się stamtąd ruszać.

Jeszcze stosunkowo niedawno poczułby ból na wspomnienie gładkiego Francuza, który ukradł mu żonę. Wtedy prawie go to załamało, ale teraz sprawa Arielli należała do przeszłości. David kochał Sofię i to uczucie było znacznie silniejsze od miłości, jaką darzył swoją pierwszą żonę.

- Założę się, że wróci, żeby narobić kłopotów - mruknęła zło wieszczko Zaza. - Wystarczy, że dowie się, iż kochasz inną, a już zapagnie cię od nowa. To zabawne, ale Ariella zawsze pragnie tego, czego mieć nie może. Nie będzie ci się mogła teraz oprzeć, Davidzie, więc lepiej miej się na baczności.

- W ogóle nie rozumiesz Arielli - powiedział krótko.

- Ty także nie. Tylko kobieta potrafi zrozumieć drugą kobietę. Rozumiem ją, przynajmniej w pewnym stopniu. Ariella jest podstępna i przebiegła, wiesz? Lubi wyzwania. Uwielbia szokować, zaskakiwać, robić to, czego nikt się po niej nie spodziewa. I lubi wprowadzać zamieszanie. - Zaza zmrużyła powieki. - Zauważ, że zawsze wychodziło jej to bardzo dobrze. Co prawda, nigdy nie zdołała wywołać zamieszania w moim życiu, ale ja po prostu okazałam się dla niej zbyt twardym orzechem do zgryzienia. Ariella wróci, możesz mi wierzyć.

- Temat Arielli już chyba wyczerpaliśmy - orzekł David, od suwając się trochę od stołu, aby kelner mógł przed nim postawić talerz z parującą potrawką z morskich wodorostów. - Powiedz mi lepiej, jak tam Tony?

- A twoja matka? - zainteresowała się Zaza, całkowicie ignorując jego pytanie i pochylając się nad zupą z pasternaku. - Czy Sofia poznała już twoją matkę?

- Nie.

- Wszystko przed nią, tak?

- Nie ma absolutnie żadnego powodu, żeby narażać Sofię na spotkanie z moją matką.

- Nie wątpię, że twoja matka uwielbiała Ariellę - oświadczyła Zaza. - Odpowiednie pochodzenie, właściwe wychowanie... Wykształcona w Oksfordzie, inteligentna, z klasą... Dziewczyna z Argentyny raczej nie przypadnie jej do gustu, bo przecież nie będzie mogła powiedzieć, że ci Solanasowie z Norfolk to zupełnie przyzwoici ludzie. Nie będzie w stanie zaszufladkować Sofii i to ją rozwścieczy, mówię ci. Dobry Boże, czy Sofia jest może katoliczką, kochanie?

- Nie wiem, nie pytałem - odparł David cierpliwie.

- Mam nadzieję, że nie; ale niestety jest to więcej niż prawdopodobne... Tak czy inaczej, jesteś jedynym synem, więc twojej matce chyba zależy na twoim szczęściu, prawda?

- Nie mówiłem jej o Sofii i nie zamierzam tego robić. To nie jej sprawa. Matka potrafi być bardzo nieprzyjemna. Po co stwarzać jej okazję do takiego zachowania?

- Zawsze się zastanawiam, jak to możliwe, że taka ziejąca ogniem smoczyca jak Elizabeth Harrison wydała na świat istotę tak cudowną jak ty, Davidzie. To doprawdy zdumiewające. - Zaza machnęła łyżką jak papierosem.

- Jeżeli już skończyłaś mnie przesłuchiwać, to powiedz, jak czuje się Tony - zaproponował David z uśmiechem.

Był już listopad i David wracał do biura zimnymi, mokrymi ulicami, chowając ręce w kieszeniach i pochylając ramiona, żeby choć trochę ochronić się przed wiatrem. Pomyślał o Sofii i uśmiechnął się. Nie chciała przyjechać do Londynu, wolała zostać na wsi z psami i końmi. Od tamtego okropnego epizodu z Gonzalem byli cudownie szczęśliwi. Przyjaciele przyjeżdżali i wyjeżdżali, lecz oni zawsze tak samo cieszyli się wspólnie spędzonym czasem, przejażdżkami wśród wzgórz, spacerami po lasach i miłością na sofie tuż przed kominkiem, na którym wesoło trzaskał ogień.

David uwielbiał, kiedy Sofia zaglądała do jego gabinetu, stawała za jego plecami i otaczała go ramionami, przytulając swoją gładką twarz do jego karku. Wieczorami zwiјаła się w kłębek na kanapie przed telewizorem, popijając gorącą czekoladę i przegryzając herbatniki.

Oba psy układały się w jej nogach, a David czytał w małym zielonym salonie. Nocami otulała go sobą i czasami grzała tak mocno, że musiał delikatnie wyplątywać się z jej ramion. Jeśli ją przy tym obudził, wracał do poprzedniej pozycji i trwał w niej, dopóki ponownie nie zasnęła. Sofia potrzebowała bliskości i bezpieczeństwa.

Od co najmniej dwóch miesięcy nie rozmawiała z Maggie i Antonem. Daisy starała się utrzymywać kontakt i kilka razy nawet ich odwiedziła. Nadal pracowała w salonie, dzięki czemu Sofia na bieżąco znała wszystkie plotki o Maggie, Antonie i Marcellu. Daisy namawiała ją gorąco, żeby zadzwoniła do Maggie.

- Jeżeli tego nie zrobisz, będzie jej przykro, pomyśli, że zadzieraszą nosa.

Kiedy Sofia opowiedziała Maggie o Davidzie, ta nie była ani trochę zaskoczona.

- A nie mówiłam, że w końcu cię uwiedzie? - roześmiała się.

Sofia usłyszała w słuchawce, jak Maggie zapala papierosa, i zrozumiała, że jej była szefowa ma ochotę na dłuższą rozmowę.

- To prawda, mówiłaś - przyznała z uśmiechem.

- Lubieżny staruch.

- David nie jest staruchem, Maggie. Ma dopiero czterdzieści dwa lata.

- Wobec tego jest lubieżnym mężczyzną w sile wieku, skarbie - zachichotała Maggie. - Poznałaś już jego byłą?

- Ośławioną Ariellę? Nie, jeszcze nie.

- Więc wszystko przed tobą. Byłe żony zawsze psują atmosferę. - Maggie zaciągnęła się głośno.

- Nic mnie to nie obchodzi. Jestem taka szczęśliwa, Maggie, nigdy nie myślałam, że to możliwe...

- Po każdej miłości przychodzi następna, skarbie. Ludzie mówią, że każdemu przeznaczona jest ta jedna, jedyna, wyjątkowa osoba, ale to mit. Ja kochałam kilku facetów i wszyscy byli po prostu cudowni...

- Nawet Viv? - zapytała Sofia, przypominając sobie kuzyna Tonyego.

- Nawet on. Viv jest mężczyzną w wielkim stylu, jeżeli wiesz, co mam na myśli. Dawał mi satysfakcję nawet wtedy, gdy się nienawidziliśmy. Mam nadzieję, że David dba, aby było ci dobrze.

- Och, Maggie!

- Jesteś słodkim niewiniątkiem, skarbie, i między innymi właśnie to stanowi o twoim uroku. Myślę, że David za to cię kocha. Nie trać tej niewinności, bo w naszych czasach to prawdziwa rzadkość. No więc jak, zobaczymy się kiedyś? Anton tęskni za tobą jak porzucony pies.

- Niedługo wpadnę do Londynu, daję słowo. Mam tu mnóstwo roboty i dlatego...

- Byłoby miło, gdybyś zajrzała do nas przed Bożym Narodzeniem.

- Postaram się - obiecała Sofia.

Sofia rozpałała kominek w zielonym saloniku. Kiedy byli sami, ten pokój wydawał się znacznie przytulniejszy niż duży salon, który ożywał tylko podczas większych spotkań towarzyskich. David dzwonił dwa razy, gdy była w stajni, więc teraz oddzwoniła,

przytrzymując słuchawkę ramieniem i karmiąc psy wolną ręką. Tęskniła za nim. Nie było go dopiero półtora dnia, ale już zdążyła przywyknąć do jego stałej obecności i bez niego łóżko wydawało jej się wielkie i zimne.

Ogień trzaskał wesoło. Sofia nastawiła płytę. David lubił muzykę klasyczną, więc wybrała jedną z płyt z utworami Haydna. Może dzięki muzyce będzie miała wrażenie, że David jest w domu... Wieczór zbliżał się szybko i blade światło jesiennego dnia przygasało, wchłonięte przez gęstą mgłę. Zasuwała ciężkie zielone zasłony i pomyślała o Arielli. Nie ulegało wątpliwości, że to ona urządziła ten dom. W każdym pokoju czuło się wpływ kobiecej ręki. David nie należał do mężczyzn, którzy interesują się sztuką dekoracji wnętrz.

Zastanawiała się, jaka jest Ariella. David nie mówił zbyt dużo o byłej żonie, właściwie nie mówił prawie nic poza tym, że miała doskonały gust, świetnie znała się na sztuce i uwielbiała muzykę. Była wykształcona i błyskotliwa. Poznali się na ostatnim roku w Oksfordzie. David nigdy wcześniej nie był celem zabiegów kobiety, ponieważ w jego świecie to mężczyźni zabiegali o względy wybranek. Ariella nie była jedną z tych, które spokojnie czekają, aż mężczyzna okaże im swoje zainteresowanie. Ariella wypuszczała się na łowy i zdobywała to, na co miała ochotę. Początkowo David nie zwrócił na nią uwagi, bo podobała mu się dziewczyna, z którą chodził na zajęcia z literatury, ale Ariella nie poddała się i w końcu zaciągnęła go do łóżka. Nie była dziewicą i w sprawach seksu zachowywała się raczej jak mężczyzna niż kobieta. Pobrali się rok później, a po dziewięciu latach wzięli rozwód. Było to osiem lat temu, w innym życiu, powiedział David. Nie mieli dzieci, ponieważ Arielli wcale na tym nie zależało, wręcz odwrotnie, uważała, że dzieci mogłyby im tylko przeszkadzać w życiu. I tyle.

Sofia nie zadawała żadnych pytań. Była zdania, że nie warto tego robić, zwłaszcza że David także nie wypytywał jej o przeszłość, lecz teraz, gdy została sama w domu, nagle wyczuła obecność Arielli w obiciach mebli i tapetach. Nigdzie nie natknęła się na zdjęcia Arielli, ale w tym nie było nic dziwnego, bo przecież rozwód odbył się w atmosferze skandalu. To Ariella zostawiła Davida, nie odwrotnie.

Sofia zajrzała do kilku szuflad biurka, szukając wśród papierów fotografii z przeszłości Davida. Doszła do wniosku, że nie miałby nic przeciwko temu. Gdyby były w domu, na pewno sam by jej je pokazał. Nie chciała go o to prosić, żeby nie pomyślał, że za bardzo interesuje się Ariellą. Nie ma nic gorszego niż zazdrosna dziewczyna, ale ona nie była zazdrosna, tylko zwyczajnie ciekawa, nic więcej...

Na samym dnie najniższej szuflady znalazła wreszcie coś, co wyglądało na zakurzony album. Wyjęła go ostrożnie. Był ciężki, oprawiony w skórę, z jednym rogami nadgryzionym ostrymi zębami, niewątpliwie psimi. Otworzyła go na chybił trafił, żeby się upewnić, czy trafiła na to, czego szukała. Jej wzrok padł na zdjęcie uśmiechniętego Davida, obejmującego ramieniem ładną blondynkę. Zamknęła album i zaniósła go do zielonego salonu. Wygodnie usadowiła się na kanapie, obok której postawiła talerz z herbatnikami i kubek zimnego mleka, i zaczęła od samego początku. Sam i Quid leżały na podłodze przed kominkiem, od czasu do czasu z zadowoleniem uderzając ogonami o dywan i nie spuszczać czujnych oczu z herbatników.

Na pierwszych stronach rozmieszczono zdjęcia Davida i Arielli z Oksfordu, zrobione chyba na jakimś pikniku. Sofia niechętnie przyznała, że Ariella jest bardzo ładna. Miała długie, proste, prawie białe włosy, jasnoróżową karnację i długą, szczupłą twarz o wyraźnych rysach. Mocno umalowane czarnym tuszem rzęsy podkreślały kolor i lekko skośny kształt zielonych oczu, a zaskakująco wąskie wargi uśmiechały się przebiegle. Była piękna, chociaż żadna z jej cech z osobna nie przyciągała uwagi. Niezwykłe były tylko srebrzyste włosy, pomyślała Sofia, zdecydowana nie przyznać, że Ariella posiada i wielką urodę, i urok.

Przewracała kartki, uśmiechając się na widok fotografii Davida z okresu wczesnej młodości. Był chudym, kościstym młodym człowiekiem, dopiero potem czas i dobrobyt złagodziły jego rysy. Nosił grzywę gęstych, rozjaśnionych słońcem włosów, które opadały na oczy. Zawsze znajdował się w otoczeniu ludzi, uśmiechnięty, radosny i zajęty rozmową lub po prostu rozbawiony, natomiast Ariella stała z boku, spokojnie obserwując innych, co bynajmniej nie zmniejszało jej wielkiego uroku. Na każdym zdjęciu widać było przede wszystkim Ariellę.

Sofia usiłowała znaleźć zdjęcia ze ślubu i wspólnego życia Arielli i Davida, ale bez powodzenia. Najwyraźniej David zachował tylko ten album. Sofia z zadowoleniem odnotowała, że jego okładka pokryta była kurzem - nie ulegało wątpliwości, że David prawie nigdy do niego nie zagląda.

Kiedy David wrócił kilka dni później. Sofia wybiegła na jego spotkanie razem z psami, które skakały na niego z wielkiej radości, zostawiając ślady ubłoconych łap na spodniach. Sofia całowała jego twarz tak długo i namiętnie, że w końcu rzucił torbę na podłogę w holu, chwycił ją na ręce i zaniósł na górę. W atmosferze przedświątecznego podniecenia Sofia szybko za pomniała o Arielli. David, który zwykle spędzał Boże Narodzenie z rodziną, uznał, że nie powinien narażać Sofii nanajazd tyłu obcych osób, i wypracował kompromis.

- Pojedziemy na święta do Paryża - oświadczył przy śniadaniu.

Sofia spojrzała na niego ze zdumieniem.

- To zupełnie niepodobne do ciebie! - wykrztusiła. - Do Paryża? Co ci się stało?

- Chcę być z tobą sam, w pięknym miejscu - wyjaśnił nonszalancko. - Znam cudowny hotelik nad Sekwaną, który na pewno ci się spodoba.

- Co za niezwykły pomysł... Nigdy nie byłam w Paryżu...

- Tym lepiej, bo chciałbym cię po nim oprowadzić. I zabrać cię na zakupy do sklepów przy Champs-Elysees.

- Na zakupy?

- Nie możesz przecież przez całe życie chodzić wyłącznie w dżinsach i koszulkach, prawda? - Spokojnie dopił kawę.

Paryż bez reszty podbił serce Sofii. David podróżował w eleganckim stylu. Polecieli pierwszą klasą, na lotnisku czekał na nich lśniący czarny wóz, którym pojechali prosto do dyskretnego hotelu na nadsekwańskim bulwarze. Ranek był chłodny, po wietrze przyjemnie świeże. Na bladym zimowym niebie świeciło słońce, a chodniki i gałęzie drzew pokryte były cienką warstwą śniegu. Ulice błyszczały od świątecznych dekoracji. Sofia przycisnęła nos do szyby i z podnieceniem przyglądała się wielkim kamiennym mostom, spinającym brzegi lodowatej, szarej rzeki.

Zgodnie z obietnicą David zabrał ją na zakupy. Kiedy wychodzili z hotelu. Sofia spojrzała na niego i doszła do wniosku, że w starym kaszmirowym płaszczu i filcowym kapeluszu wygląda dystyngowanie i wyjątkowo atrakcyjnie. W sklepach siadał na fotelu obok przymierzalni i fachowym okiem oceniał stroje.

- Przyda ci się ładny płaszcz, ale ten jest za krótki - mówił. - Natomiast ta suknia na tobie wygląda olśniewająco.

Zaprowadził ją także do butiku z elegancką bielizną i nie ustąpił, dopóki nie wymieniła swojej zgrzebnej bawełny na jedwab i koronki.

- Kobieta tak piękna jak ty powinna nosić wyłącznie piękne rzeczy - orzekł, polecając sprzedawcom, aby wszystkie zakupy dostarczono do ich hotelu.

- Wydałeś na mnie majątek, Davidzie - powiedziała Sofia przy lunchu. - Nie zasługuję na to.

- Zasługujesz na znacznie więcej, kochanie - odparł, wyraźnie zadowolony, że może ją rozpieszczać. - To dopiero początek.

Po powrocie do hotelu Sofia z radością odkryła, że wszystkie zakupy, zapakowane w błyszczące torby, ułożono w sąsiadującym z sypialnią salonie. David zostawił ją, aby spokojnie obejrzała swoje skarby, i zszedł na dół „rozejrzeć się dookoła”. Sofia rozpakowała wszystkie rzeczy z cieniutkiego, delikatnego papieru i poukładała je na sofach i krzesłach, aż pokój wyglądał jak wystawa eleganckiego butiku. Potem włączyła radio i leżąc w gorącej kąpieli z przyjemnością słuchała zmysłowych francuskich piosenek. Była szczęśliwa - od wielu miesięcy nie myślała ani o domu, ani o Santiguicie, i teraz także nie zamierzała wracać do smutnych wspomnień. Odkąd David pojawił się w jej życiu, przeszłość przestała ją prześladować i dzięki temu mogła bez przeszkód cieszyć się teraźniejszością.

Kiedy David wrócił, czekała na niego przy drzwiach, ubrana w nową czerwoną suknię, mocno wyciętą i odsłaniającą maleńki fragment koronkowej bielizny oraz dolinkę między pierśmi. Długie rozcięcie z boku ukazywało nogę w połyskującej pończosze. Sofia wydawała się wyższa, ponieważ na nogach miała buty na wysokich obcasach, a świeżo umyte, błyszczące włosy opadały falami na ramiona. David oniemiał i podziw w jego oczach sprawił, że serce Sofii z radości zabiło jeszcze mocniej.

Po kolacji w małej, eleganckiej restauracji z widokiem na uroczy plac des Vosges David pomógł jej włożyć nowy płaszcz, wziął ją za rękę i wyprowadził w mroźną, pogodną noc. Na niebie migotały setki maleńkich gwiazd, a księżyc wydawał się zaskakująco ogromny i jasny.

- Wiesz, że dziś Wigilia? - zapytał, kiedy szli powoli przez plac.

- Tak, chociaż od przyjazdu do Anglii tak naprawdę ani razu nie obchodziłam świąt Bożego Narodzenia - odparła bez cienia użalania się nad sobą.

- Za to dzisiaj obchodzisz je ze mną - rzekł David i mocno ścisnął jej dłoń. - Trudno byłoby trafić na piękniejszą noc...

- Jest cudownie. Święty Mikołaj na pewno nie pomyli drogi na tym pogodnym niebie, prawda? - roześmiała się.

Podeszli do pokrytej cienką powłoką lodu kamiennej fontanny i spojrzeli na rzeźbę przedstawiającą stadko dzikich gęsi, zrywających się do lotu.

- Wyglądają tak, jakby ktoś klasnął w dłonie i spłoszył je! - wykrzyknęła Sofia z podziwem. - Piękna rzeźba, nie uważasz?

- Sofio... - odezwał się cicho.

- Te u góry są zupełnie jak żywe! Jakby lada chwila miały się unieść w powietrze!

- Sofio! - powtórzył poważnie.

- Tak? - odpowiedziała, nie odrywając oczu od rzeźby.

- Spójrz na mnie...

Jego głos brzmiał tak dziwnie, że odwróciła się i spojrzała na niego uważnie.

- Co się stało? - zapytała, chociaż wyraz jego twarzy wyraźnie świadczył, że nie jest to nic złego.

Ujął obie jej okryte rękawiczkami dłonie i popatrzył na nią z czułością.

- Wyjdiesz za mnie?

- Czy wyjdę za ciebie? - powtórzyła powoli, ze zdumieniem.

Przez sekundę miała przed oczami pełną niepokoju twarz Santiago i słyszała jego głos.

„Ucieknijmy stąd i pobierzmy się. Wyjdiesz za mnie?” Zaraz potem wszystko znikło i znowu patrzyła na Davida. Poczowała, jak jej oczy wypełniają się łzami, i nie była pewna, czy jest szczęśliwa, czy smutna.

- Tak, Davidzie, wyjdę za ciebie... - wyjąkała.

Odetchnął z ulgą i jego twarz rozjaśnił uśmiech. Wyjął z kieszeni małe czarne pudełeczko i położył jej na dłoni. Otworzyła je ostrożnie. Wewnątrz znajdował się pierścionek z dużym rubinem.

- Czerwony to mój ulubiony kolor - wyszeptła.

- Wiem - odparł cicho.

- Och, Davidzie, jest po prostu piękny... Nie wiem, co powiedzieć...

- Nie mów nic. Włóż go.

Niezgrabnie zdjęła rękawiczkę, na chwilę podając mu pierścionek, żeby go nie upuścić na lśniące chodnikowe płyty. David ujął jej białą dłoń, wsunął na smukły palec pierścionek, potem podniósł ją do ust i ucałował.

- Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, Sofio - oświadczył, a jego niebieskie oczy lśniły miłością.

- Dzięki tobie jestem znowu sobą, Davidzie - rzekła Sofia, za rzucając mu ramiona na szyję. - Nie sądziłam, że jeszcze kogoś pokocham, ale ciebie kocham całym sercem. Naprawdę cię kocham.

Rozdział dwudziesty dziewięty

Santa Catalina, rok 1979

Dopiero na początku 1979 roku Santi pozwolił, aby ktoś obdarzył go miłością. Ten sam rok okazał się fatalny dla Fernanda. Chiquita do końca życia nie zapomniła dnia, kiedy przyjechali do Santa Catalina i odkryli, że ich piękny dom został doszczętnie splądrowany. Takie zniszczenia widywała dotąd tylko na zdjęciach w gazetach lub w telewizji. Zawsze były to domy innych ludzi, nieszczęście, które dotykało kogoś obcego, problem, z którym musiał sobie poradzić ktoś inny. I nagle patrzyła na porozbijane meble w swoim własnym domu, potłuczone szkło i porcelanę, podar te zasłony. Ktoś oddał mocz na narzutę na jej łóżku. Wszystkie pokoje wypełniał odór zagrożenia i niebezpieczeństwa. Stara Encarnacion, nie pojmując tego, co się stało, bezradnie łamała ręce i zanosila się płaczem. Chiquita i Miguel znaleźli ją na tarasie.

- Nie wiem, w jaki sposób dostali się do środka! - jęczała rozpaczliwie. - Nikogo nie widziałam! Kto mógł to zrobić?

Zaraz potem Miguel i Chiquita dowiedzieli się o aresztowaniu Fernanda i zrozumieli, że sami na pewno nie poradzą sobie z tą sytuacją.

Carlos Riberas, przyjaciel Fernanda, zadzwonił do nich z budki telefonicznej i poinformował, że ich syn czynnie zaangażował się po stronie opozycji i został aresztowany. Nie mógł powiedzieć nic więcej. Nie wiedział, dokąd przewieziono Fernanda i kiedy go zwolnią. Jeżeli w ogóle go zwolnią, pomyślał, ale po wstrzymał się od tej uwagi, ponieważ rodzice Fernanda najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy z jego tajnej działalności. Carlos miał nadzieję, że Fernando okaże się twardy i silny i nie wsypie przyjaciół.

Miguel osunął się na krzesło i długą chwilę siedział zupełnie nieruchomo, jakby zamienił się w kamień. Chiquita wybuchnęła płaczem. Łamiąc ręce, chodziła po pokoju i wciąż powtarzała, że nie miała pojęcia o działalności Fernanda, nie wiedziała i nie podejrzewała nic, zupełnie nic.

- Nie znam własnego syna! - szlochała. - Mój syn jest dla mnie obcym człowiekiem!

Ogłuszeni poczuciem całkowitej bezradności, małżonkowie starali się nawzajem podtrzymywać na duchu. Oboje gorzko żalowali, że nie poświęcali synowi więcej uwagi. Skupili się na nieszczęsnym romansie Santiago i Sofii, prawie zupełnie zapominając o młodszym synu. Może gdyby byli lepszymi rodzicami, zauważyliby coś i zdolali go na czas powstrzymać, ale co mieli robić teraz?

Miguel i jego bracia skontaktowali się ze wszystkimi znajomymi, którzy zajmowali jakieś stanowiska w rządzie, lecz nikt nie potrafił im powiedzieć, gdzie jest Fernando. Dowiedzieli się tylko, że prawdopodobnie został uprowadzony przez przedstawicieli paramilitarnej służby bezpieczeństwa. Teraz mogli jedynie starać się, by poznać miejsce pobytu syna.

Cała rodzina Solanas czekała w napięciu. Nad domem Chiquity zgromadziła się mroczna mgła, mgła, która może już nigdy nie miała zniknąć. Chiquita ze łzami doprowadzała dom do porządku i powtarzała sobie, że Solanasowie należą do najbardziej wpływowych rodzin w Argentynie i nikt nie ośmielił się skrzywdzić nikogo, kto nosi to nazwisko. Fernando na pewno wróci do domu i wszystko będzie dobrze. Najprawdopodobniej padł ofiarą straszliwej pomyłki. Niemożliwe, aby jej syn był w ruchu oporu, zupełnie jakby nie zdawał sobie sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa. Fernando nigdy nie naraziłby rodziny na takie ryzyko. Nie, to na pewno pomyłka, wmawiała sobie z uporem. Co jakiś czas odzyskiwała jednak jasność widzenia i wtedy żalowała, że ona i Miguel nie powstrzymali Fernanda przed nawiązaniem kontaktów z tymi nieodpowiedzialnymi młodymi ludźmi. Czy Miguel nie ostrzegał go przed takimi powiązaniem? Tak, Chiquita wyraźnie przypominała sobie, że tak było. Dlaczego nie pilnowali Fernanda, dlaczego nie rozmawiali z nim więcej i częściej? Znowu obwinała się o wszystko i nie przestawała zadręczać się myślami.

Fernando siedział nieruchomo w dusznej celi i czuł się potwornie. Przez małe okienko wpadało trochę światła, więc widział betonowe ściany i podłogę. Nie było tu żadnych mebli, niczego, na czym mógłby się położyć. Podczas przesłuchania był wielokrotnie bity. Miał wrażenie, że złamali mu ze dwa żebra i chyba palec, ale nie był tego pewny, ponieważ całe

ciało miał opuchnięte i obolałe. Twarz pulsowała bólem. Nie wiedział, jak wygląda, lecz musiał być mocno zakrwawiony i posiniaczony. Wzięli go prosto z ulicy. Czarny samochód zahamował przy krawężniku, drzwi się otworzyły, dwóch mężczyzn w garniturach chwyciło go pod pachy i siłą wepchnęło na tylne siedzenie. Wszystko razem trwało najwyżej dwadzieścia sekund. Nikt nic nie zauważył, nikt nic nie widział.

Zawiązali mu opaskę na oczach, przycisnęli pistolet do boku i zawieźli do jakiegoś domu mniej więcej trzydzieści mil za miastem. Było to dwa, może trzy dni temu, Fernando nie mógł sobie przypomnieć dokładnie. Chcieli od niego nazwisk. Powiedzieli mu, że nie jest im niezbędny, nie potrzebują go, ponieważ mają mnóstwo innych ludzi, którzy będą sypać. Fernando im uwierzył. Cały budynek rozbrzmiewał krzykami torturowanych. Zabiją go i nikt tego nawet nie zauważy. Twierdzili, że przyjaciele go zdradzili, więc niby dlaczego miałyby ich chronić?

Kiedy mimo wszystko nie chciał mówić, pobili go do nieprzytomności. Doszedł do siebie, ale zupełnie stracił poczucie czasu. Był zdezorientowany i przerażony. Cela, w której siedział, przesiąknięta była odorem strachu. Rozpaczliwie tęsknił za rodziną i za Santa Catalina. Dlaczego w ogóle przyłączył się do tych głupców, na miłość boską? Udawał, że niepokoi go przyszłość kraju, ale w rzeczywistości wcale tak nie było. Dlaczego po prostu nie siedział spokojnie na tyłku, jak radził mu ojciec? Czuł się taki zadowolony z siebie, taki dumny... Udział w ruchu opozycyjnym dał mu poczucie celu i władzy. Nikt z jego bliskich nie wiedział o jego działalności i ta tajemnica także sprawiała mu przyjemność. Robił coś ważnego, w każdym razie tak mu się wydawało. Było to ekscytujące, trochę jak zabawa w kowbojów i Indian, tyle że stawka znacznie wyższa. Lubił tajne spotkania w piwnicy domu Carlosa Riberasa, uczestniczył w demonstracjach i rozdawał antyrządowe ulotki. Naprawdę wierzył w demokrację, lecz teraz już wiedział, że nie ma takiej rzeczy, dla której warto byłoby narażać życie.

Żałośnie pociągnął nosem. Był tchórzem, ze strachu zsikał się w spodnie. Nie wyobrażał sobie, że można odczuwać tak wielką rozpacz, tak przerażający żal, który dosłownie rozdzierał mu serce na strzępy. Jeżeli mnie zabiją, niech stanie się to szybko i bezboleśnie, pomyślał. Błagam, Boże, byle szybko...

Kiedy usłyszał zmierzające w kierunku jego celi twarde, zdecydowane kroki, ogarnęła go panika. Chciał krzyczeć, ale żaden dźwięk nie wydobywał się z wyschniętych, sklejonych gęstą śliną ust. Drzwi się otworzyły i do środka wszedł jakiś mężczyzna. Fernando zasłonił oczy przed smugą ostrego światła.

- Wstań! - rozkazał tamten.

Z wysiłkiem dźwignął się na nogi. Każdy ruch sprawiał mu ból. Mężczyzna podszedł do niego i wręczył mu szarą kopertę.

- Masz tu nowy paszport i dość pieniędzy, żeby przeprowić się na drugą stronę rzeki, do Urugwaju. Pod domem czeka na ciebie samochód. Masz wyjechać do Urugwaju, nie chcę cię więcej widzieć ani o tobie słyszeć, rozumiesz? Jeżeli wrócisz, zginiesz.

Fernando otworzył usta ze zdumienia.

- Kim jesteś? - zapytał, zaglądając obcemu w twarz. - Dlaczego to robisz?

- To nieistotne. Nie robię tego dla ciebie - odparł sucho mężczyzna i wyprowadził go na zewnątrz.

Dopiero po przybyciu do Urugwaju Fernando przypomniał sobie, gdzie i w jakich okolicznościach widział mężczyznę, który go uratował. Był to Facundo Hernandez.

Na dźwięk głosu syna Chiquita zalała się łzami ulgi. Miguel wyjął słuchawkę z jej ręki i ze ściśniętym gardłem wysłuchał Fernanda.

- Nie mogę wrócić do domu, tato - powiedział na koniec Fernando. - Przyjadę chyba dopiero po zmianie rządu.

Rodzice byli zrozpaczeni, że go nie zobaczą, lecz jednocześnie wdzięczni, że jednak ocalał. Chiquita za wszelką cenę chciała ujrzeć syna i domagała się dowodu, że nic mu nie jest. Dopiero po pewnym czasie uwierzyła, że Fernando mówi prawdę. Dręczące ją noc w noc koszmary ustąpiły po kilku miesiącach, natomiast Fernando do końca życia budził się zlany zimnym potem, przekonany, że znowu tkwi w ciasnej, dusznej celi gdzieś pod Buenos Aires.

Parę miesięcy po wyjeździe Fernanda Santi poznał Claudię Calice. Rodzice poprosili go, żeby zastąpił ich na uroczystej kolacji w Buenos Aires, z której dochód miał być przeznaczony na cele charytatywne. Chiquita wciąż jeszcze nie była w stanie stawić czoła światu w tak krótkim czasie po tym, jak jeden z jej synów został cudem wyrwany śmierci. Santi siedział więc przy stole, tłumiąc ziewanie, słuchając oficjalnych przemówień i wymieniając uprzejme uwagi z przesadnie upudrowaną damą po jego prawej ręce. Z roztargnieniem błędził wzrokiem po sali, prawie nie zatrzymując się na roześmianych twarzach obwieszonych klejnotami kobiet i od czasu do czasu kiwając głową, aby jego towarzyszka z prawej strony miała wrażenie, że jej słucha. Nagle jego spojrzenie spoczęło na pięknej młodej kobiecie, siedzącej po przeciwnej stronie sali, która najwyraźniej spędzała czas w taki sam sposób jak on. Uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo i odwróciła do swego sąsiada, ze zrozumieniem kiwając głową.

Po kolacji Santi zaczekał, aż rozmówca kobiety wstanie od stołu, i przeszedł na drugą stronę sali. Nowa znajoma wskazała mu krzesło, przedstawiła się i szepnęła mu do ucha, że widziała, jak robi się błądy ze znudzenia.

- Ja też ledwo żyję - powiedziała. - Po prawej stronie miałam przemysłowca, który mówił wyłącznie o sobie i nic poza nim samym go nie interesowało.

Santi natychmiast oświadczył, że z wielką ochotą wysłucha wszystkiego, co ona ma do powiedzenia na swój temat.

W ciągu następnych tygodni Soledad zauważyła, że Santi zaczął się uśmiechać. Soledad była dość zaborcza i trochę zazdrosna o Santiago, dlatego nie polubiła wyrafinowanej, eleganckiej Claudii Calice, która z czasem stała się cotygodniowym gościem w Santa Catalina. Służąca ciągle martwiła się losem Sofii, chociaż jej wychowanka nie odezwała się do niej ani razu od swego wyjazdu w 1974 roku. Claudia była połyskliwa, zupełnie jak mokra foka, pięknie się malowała, a jej buty były zawsze wyczyszczone do najwyższego połysku. Soledad zastanawiała się, jak to możliwe, że Claudia jest zawsze taka zadbana i wypielęgowana. Wszystkie szczegóły jej stroju wydawały się starannie przemyślane, a kolor i wzór parasolki idealnie pasował do torebki i paska. Soledad wiedziała, że jej opinia nie ma i nie będzie miała najmniejszego znaczenia, była jednak wdzięczna Claudii za to, że swoją obecnością wprowadzała Santiago w lepszy nastrój. Santi od bardzo dawna nie był szczęśliwy i Soledad bardzo pragnęła, żeby to się zmieniło.

Tęskniła za Sofią tak dotkliwie, że czasami płakała przez sen. Niepokoiliła się o nią i miała nadzieję, że jest szczęśliwa. Czekala na list lub jakikolwiek znak życia, ale Sofia milczała. Soledad nie rozumiała, dlaczego dziewczyna wykreśliła ją ze swego życia. Sofia była przecież dla niej jak rodzona córka. Dlaczego nie pisała? Soledad zapytała seniorę Annę, czy może sama napisać do Sofii, aby przypomnieć dziewczynie, że rodzina i dawna opiekunka nadal ją kochają, ale Anna nie chciała dać jej adresu. Nie powiedziała też, kiedy Sofia wróci do domu, co głęboko zasmuciło Soledad. Jej przygnębienie nasilało się, udała się więc do starej wiedźmy z wioski, ta zaś dała jej biały proszek do rozpuszczenia w herbacie mate. Soledad piła tę miksturę trzy razy dziennie i po pewnym czasie poczuła się lepiej. Mogła już normalnie spać w nocy i trochę się uspokoiliła.

2 lutego 1983 roku Santi poślubił Claudię Calice w małym kościółku pod wezwaniem Nuestra Señora de la Asuncion. Przyjęcie weselne odbyło się w Santa Catalina. Patrząc, jak jego narzeczona zbliża się główną nawą, wsparta na ramieniu ojca, Santi nie mógł nie myśleć o tym, jak inne byłoby jego życie, gdyby miejsce Claudii zajęła Sofia. Jego ciało przeszył nagle dreszcz wielkiej tęsknoty, lecz po chwili Claudia stanęła u jego boku i uśmiechnęła się uspokajająco. Santi poczuł, że ogarnia go fala czułości do tej dziewczyny, która pokazała mu, że jego serce jest jeszcze zdolne do miłości.

Rozdział trzydziesty

- Mario, jaka była Sofia? - zapytała Claudia Calice.

Był piękny letni ranek. Santi i Claudia byli małżeństwem już od ponad roku, lecz do tej pory Claudia nigdy nie ośmieliła się zapytać o Sofię, a z jakiegoś powodu nikt z rodziny Solanas nie mówił o niej w obecności żony Santiago. Santi opowiedział jej o swoim związku z Sofią, wyznał, że kochał kuzynkę, że ich romans był owocem prawdziwego uczucia, nie wulgarnego pożądania. Starał się być z Claudią absolutnie szczery, lecz ciekawość kobiety,

jeżeli chodzi o byłe ukochane męża, nie zna granic i Claudia pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej.

- Jaka jest Sofia - łagodnie poprawiła ją Maria. - Ona żyje i może kiedyś tu wróci - dodała z nadzieją.

- Chyba rozumiesz moją ciekawość - rzekła Claudia, odwołując się do cechy wspólnej wszystkim kobietom.

- Chyba tak... - odparła Maria. - Sofia nie jest zbyt wysoka, ale sprawia wrażenie znacznie wyższej niż jest w rzeczywistości...

Maria odłożyła plik zdjęć, które przeglądała, i utkwiała wzrok w równinie spowitej przezroczystą mgiełką upału. Claudię nie interesował wygląd Sofii, ponieważ dokładnie przejrzała albumy ze zdjęciami i wiedziała, jak wyglądała jej rywalka jako dziecko i młoda dziewczyna. Musiała przyznać, że Sofia była śliczna, ale o wiele bardziej ciekawiła ją jej osobowość. Czym podbiła serce Santiago? I dlaczego, choć się starał - Claudia w to wierzyła - wcale nie przestał jej kochać? Pozwoliła Marii mówić i nie przerywała jej, ponieważ nie chciała stracić takiej okazji. Rzadko miała szwagierkę tylko dla siebie, bez towarzyszących jej prawie zawsze męża, braci, kuzynów, rodziców, stryjów i ciotek. Kiedy tego ranka Claudia zauważyła Marię, siedzącą samotnie na tarasie i spokojnie układającą zdjęcia, postanowiła wykorzystać tę chwilę. Miała nadzieję, że przynajmniej przez pół godziny będą same.

Claudia nie zdawała sobie sprawy, że Maria także pragnie porozmawiać o Sofii, bo nadal tęskniła za przyjaciółką. Uczucie to zmieniło się wprawdzie teraz w tępy ból, który powracał przywoływany pewnymi skojarzeniami, lecz upływ czasu nie zdołał do końca osłabić więzi łączącej je przez cały okres dzieciństwa i młodości. Nikt inny nie chciał rozmawiać o Sofii i jeżeli ktoś w ogóle o niej wspominał, to tylko szeptem, zupełnie jak o zmarłej. Jediną osobą, z którą Maria mogła dzielić się wspomnieniami o Sofii, była Soledad. Soledad mówiła o swojej pupilce głośno, zagniewanym tonem, ale Maria doskonale rozumiała, że ten gniew skierowany jest nie przeciwko Sofii, lecz jej rodzicom. Teraz Claudia chciała dowiedzieć się czegoś o Sofii i Maria z radością na to przystała.

- Wszyscy zawsze mówili o Sofii - powiedziała z dumą, jak by chodziło o jej własną córkę. - Co znowu wymyśli? Czy jej matka była wobec niej niesprawiedliwa, czy też to Sofia zgrzeszyła uporem i złym zachowaniem? Sofia była tak piękna, że wszyscy chłopcy się w niej podkochiwali, a ona umawiała się na randki tylko z najprzystojniejszymi, na przykład z Robertem Lobitem. Roberto mógł mieć każdą dziewczynę, ale nie potrafił zdobyć Sofii. Wykorzystała go i rzuciła, jak starą piłkę do polo. Było to dla niego zupełnie nowe doświadczenie i nie wątpię, że dobrze mu zrobiło, bo sprawiał wrażenie zbyt zadowolonego z siebie...

Maria roześmiała się cicho.

- Nic jej nie przerażało, niczego się nie bała - ciągnęła. Claudia nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jej szwagierka mówi raczej do siebie niż do niej. - Pod tym względem przypominała chłopca. Nie miała żadnych dziewczynskich fobii, uwielbiała pająki i

chrząszcze, żaby, ropuchy i karaluchy, no i grała w polo lepiej niż niejeden chłopak. Bez przerwy wyklócała się o to z Agustinem. Kłóciła się zresztą ze wszystkimi. Nie miała nic złego na myśli, robiła to tylko z nudów, żeby się trochę rozerwać. Gniewali się na nią, bo świetnie wiedziała, czym komu dopiec, znała słabe punkty nas wszystkich. Kiedy była w domu, Santa Catalina pulsowała życiem. Zawsze coś się działo, byliśmy podekscytowani, ożywieni... Teraz wszystko stało się dziwnie nijakie... Oczywiście w Santa Catalina zawsze będzie nam dobrze i miło, to przecież nasz dom, ale nie ma już tej iskry. Myślę jednak, że Sofia wróci, choćby po to, żeby nikt o niej nie zapomniał. Uwielbiała być w centrum uwagi i naturalnie bez specjalnego trudu osiągała ten cel. Ludzie albo ją kochali, albo jej nienawidzili. Dla niej nie miało znaczenia, jakie uczucia budzi, byle ją zauważano.

- Naprawdę uważasz, że wróci? - zapytała Claudia, ogryzając stwardniałą skórkę z boku długiego, starannie pomalowanego paznokcia.

- Oczywiście - przytaknęła Maria. - Jestem tego pewna.

- Ach, tak... - Claudia z trudem zdobyła się na słaby uśmiech.

- Sofia zbyt mocno kochała Santa Catalina, by nigdy tu nie wrócić. - Maria znowu zaczęła przeglądać fotografie.

Przełknęła ślinę, starając się powstrzymać łzy. To niemożliwe, żeby Sofia zostawiła nas na zawsze, pomyślała. Po prostu nie możliwe...

- Co robisz? - zaciekała się Claudia.

- Ostatnio byłam zbyt zajęta, by powkładać zdjęcia do albumów. Dziś nie mam nic specjalnego do roboty, więc postanowiłam się tym zająć. Spójrz, Claudio, to zdjęcie Sofii, dość charakterystyczne... Zrobione tego lata, kiedy wyjechała.

Tego lata, kiedy kochała Santię, gorzko pomyślała Claudia. Wzięła fotografię z rąk szwagierki i spojrzała na opaloną, jaśniejącą energią twarz, zwycięsko uśmiechniętą i szczęśliwą. Pomyślała, że ten uśmiech jest dziwnie przebiegły. Sofia miała na sobie obcisłe białe spodnie i brązowe buty do konnej jazdy. Siedziała na kucu, z młotkiem do gry w polo niedbale opartym o ramię. Włosy ściągnęła w koński ogon. Claudia nie cierpiała koni i nie przepadała za okolicą, w której znajdowała się Santa Catalina. Fakt, że Sofia uwielbiała konie, polo i pampasy, nasilał tylko antypatię, jaką budziła w Claudii.

Przed ślubem włożyła mnóstwo wysiłku w udawanie, że lubi typowy argentyński styl życia, ale była to kompletna strata czasu. Odkryła to pewnego popołudnia, gdy Santi zabrał ją na konną przejażdżkę. Siedziała sztywno w siodle, niezadowolona i wściekła na siebie, i nagle wybuchnęła płaczem. Powiedziała wtedy Santiemu, że nie znosi koni i nie chce więcej jeździć, już nigdy.

Ku jej zaskoczeniu Santi był prawie szczęśliwy. W domu objął ją serdecznie, przytulił i zapewnił, że jeżeli nie ma na to ochoty, to nie musi jeździć i oglądać meczów polo. W pierwszej chwili poczuła ulgę, ale później zaczęła się zastanawiać nad jego reakcją. Konie,

polo, krajobraz wokół Santa Catalina - wszystko to stanowiło część „terytorium” Sofii i Claudia zrozumiała, że jej mąż wcale nie chce, aby ona przekraczała te granice.

- Czy Sofia zawsze była bliska Santiemu? - zapytała ostrożnie.

Maria spojrzała na nią z lękiem.

- Nie wiem - skłamała. - Powinnaś zapytać Santiago.

- Santi nigdy nie mówi o Sofii. - Claudia wzruszyła ramionami i spuściła wzrok.

- No, tak... Cóż, zawsze byli sobie bliscy. Santi był dla niej jak starszy brat, a Sofia była dla mnie jak siostra... - Maria nagle poczuła się trochę nieswojo. Miała wrażenie, że rozmowa wymyka się jej spod kontroli.

- Czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym obejrzała te zdjęcia? - Claudia taktownie zmieniła temat.

Wyczuła, że chyba była zbyt dociekliwa. Nie chciała zaniepokoić Marii, bo wtedy szwagierka mogłaby wspomnieć o ich rozmowie Santiemu.

- Proszę bardzo, już ułożyłam je we właściwej kolejności. - Maria z wyraźną ulgą podała Claudii plik porządnie opisanych na odwrocie fotografii. - Nie pomieszaj ich tylko z pozostałymi, dobrze?

Claudia usiadła wygodnie w fotelu i położyła sobie zdjęcia na kolanach. Maria zerknęła na nią spod oka, kiedy była pewna, że Claudia nie zwraca na nią uwagi. Żona Santiago była od niej tylko parę miesięcy starsza, lecz wydawało się, że ta różnica jest znacznie większa. Sofia powiedziała kiedyś, że ludzie przychodzą na świat w pewnym wieku. Jej zdaniem ona urodziła się jako osiemnastolatka, a Maria jako dwudziestoparolatka. O Claudii na pewno by powiedziała, że jest typową czterdziestolatką. Nie miało to nic wspólnego z jej twarzą, gładką i piękną, ale raczej ze sposobem ubierania się i zachowania. Claudia kilkakrotnie proponowała, że nauczy Marię sztuki makijażu.

- Mogłabym zdziałać cuda z twoją twarzą - powiedziała kiedyś nietaktownie.

Maria była zbyt łagodna i miła, aby się obrazić. Nie chciała tak jaskrawego makijażu, jaki nosiła Claudia, wiedziała zresztą, że Eduardo wcale by się tym nie zachwycił. Czasami zastanawiała się, z nietypową dla siebie złośliwością, czy Claudia śpi w makijażu, a jeżeli nie, to czy Santi jest w stanie poznać ją rano. Miała nawet ochotę go o to zapytać, ale nie śmiała. Kiedyś mogłaby zadać mu każde pytanie, lecz teraz ich wzajemny stosunek uległ zmianie, choć dla postronnych prawie niezauważalnej.

Nikt z rodziny nie rozumiał, dlaczego Santi ożenił się z Claudio. Solanasowie lubili ją, bo była miła, ładna i sympatyczna, lecz wszyscy uważali, że młodzi małżonkowie nie mają ze sobą wiele wspólnego. Zupełnie do siebie nie pasowali. Chiquita cieszyła się, że jej syn w ogóle się ożenił i odzyskał trochę radości życia, i była za to Claudii wdzięczna. Jak na ironię, jedyną osobą, z którą Claudio coś łączyło, okazała się Anna. Obie miały chłodny

temperament i nienawidziły koni. Spędzały ze sobą dużo czasu i Anna dokładała starań, aby okazywać Claudii sympatię.

- Dlaczego tak mi się przyglądasz? - zapytała nagle Claudia, nie odrywając wzroku od zdjęć.

Maria się przestraszyła, że dziewczyna przez cały czas była świadoma jej taksującego spojrzenia.

- Bardzo pięknie się malujesz - odparła bezradnie.

- Dziękuję - rzekła Claudia z uśmiechem. - Proponowałam, że cię nauczę...

- Wiem. - Maria uśmiechnęła się słabo. - Chyba w końcu skorzystam z twojej propozycji, Claudio.

- Dios, jak ty wyglądasz? - wykrzyknął z przerażeniem Eduardo, kiedy jego żona weszła do jadalni z twarzą sprzedawczyni z salonu kosmetycznego firmy Revlon.

- Claudia udzieliła mi lekcji makijażu. - Maria mrugała długimi, ciężkimi od tuszu rzęsami.

- Zastanawiałem się, co tam razem robicie.

Eduardo zdjął okulary i z roztargnieniem wytarł je brzegiem koszuli. W tej chwili do jadalni wkroczyła Claudia, ubrana w długą czarną suknię na dwóch delikatnych srebrzystych ramiączkach.

- Ślicznie wyglądasz, kochanie - powiedział Santi, podnosząc się z krzesła i całując żonę w policzek. Nie widział się z nią od rana.

- Może jednak mógłbyś się od czasu do czasu przebrać do obiadu? - syknęła mu do ucha. - Te dżinsy nie są w najlepszym stanie, a poza tym cuchniesz koźmi.

- Mamie nie będzie to przeszkadzać - odrzekł Santi, siadając. - Zdażyła się już do mnie przyzwyczaić.

Claudia wcisnęła się obok niego, chociaż na fotelu mieściła się tylko jedna osoba. Santi pogładził ją po włosach.

- Mi amor, umyj ręce, jeżeli chcesz mnie dotykać. Jestem świeżo po kąpieli i...

Santi uśmiechnął się trochę złośliwie, przyciągnął ją do siebie i mocno uściskał.

- Brzydzisz się mężczyzny z krwi i kości? - zakpił.

- Nie, skądże - roześmiała się nieszczerze, siadając prosto i delikatnie odsuwając go od siebie. - Nie mam wielkich wymagań, ale proszę cię, Santi, umyj ręce...

Santi wstał niechętnie i wyszedł z pokoju. Po paru minutach wrócił świeżo ogolony, w czystej koszuli i spodniach.

- Lepiej? -zapytał, unosząc brew.

- Lepiej - odparła, robiąc mu miejsce obok siebie.

Obiad podano na tarasie, w świetle czterech dużych latarni. Miguel, Eduardo i Santi dyskutowali o polityce, natomiast Chiquita, Maria i Claudia rozmawiały o swoich mężach. Chiquita cieszyła się obecnością prawie całej rodziny i z radością obserwowała ich twarze w ciepłym blasku lamp. W sercu zawsze nosiła tęsknotę za Fernandem, który przebywał w Urugwaju, ale na szczęście oboje z Miguelem często jeździli do niego w odwiedziny. Fernando nie otrząsnął się jeszcze ze strasznych przeżyć. Zapuścił włosy, które sięgały mu do ramion i lśniły jak krucze pióra. Chiquita z nostalgią wspominała długie letnie wakacje jego chłopięcych lat, kiedy życie było jeszcze zupełnie niewinne, a gry i zabawy, którym Fernando się oddawał, kończyły się po kolacji. Teraz był daleko od domu i żył jak włóczęga. Chiquita serdecznie pragnęła jego powrotu do Santa Catalina, wiedziała jednak, że powinna być wdzięczna Bogu za ocalenie życia syna, a nie przejmować się drobiazgami.

Panchito, teraz smukły szesnastolatek, spędzał dużo czasu w domach kuzynów i przyjaciół w swoim wieku. Chiquita zachęcała go, aby zapraszał znajomych do siebie, lecz Panchito wolał chyba przebywać poza domem. Kiedy nie szalał na boisku, grając w polo, szukał towarzystwa gdzie indziej i w rezultacie Chiquita najczęściej nie wiedziała, gdzie i z kim jest jej najmłodszy syn.

- Jaki był Miguel, kiedy go poznałaś? - zapytała Claudia.

Chiquita się roześmiała.

- Był wysoki i...

- Włochaty - uzupełnił Santi.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Włochaty - zgodziła się Chiquita. - Ale nie tak włochaty jak teraz.

- Czy był podobny do wilka, mamó? Czy ścigał cię i siłą zaciągnął do swego legowiska?

- Och, Santi, czasami jesteś bardzo zabawny. - Chiquita uśmiechnęła się pogodnie.

- Więc jak to było, tato?

- Za twoją matką uganiali się dosłownie wszyscy - powiedział Miguel, porozumiewawczo mrugając do żony. - Ale ja miałem szczęście...

- Obydwoje mieliście szczęście - orzekła dyplomatycznie Claudia.

- Szczęście nie miało z tym nic wspólnego. - Miguel się zaśmiał. - Musiałem złożyć ofiary ambu...

- Ambu? - zapytała ze zdziwieniem Claudia.

Maria zerknęła na Santiago i dostrzegła, że mięśnie jego szczęk napięły się mocno. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił.

- Chcesz powiedzieć, że Santi nie zaprowadził cię do ambu? - spytała niedowierzająco Chiquita. - Kiedy był chłopcem, spędzał całe dni na gałęziach ambu.

- Nie, nie zabrał mnie tam - odparła Claudia. - Czy to jakieś wyjątkowe drzewo?

Jej ostatnie pytanie skierowane było do Santiago, ale on milczał.

- Często wypowiadaliśmy przy ambu swoje życzenia, ponieważ wierzyliśmy w magiczną moc drzewa, ale tak naprawdę nie ma w nim nic specjalnego. - Maria pospieszyła z wyjaśnieniem, starając się obrócić całą historię w żart.

- Ależ to jest wyjątkowe drzewo - powiedział poważnie Miguel. - To część naszej młodości. Jako dzieci bawiliśmy się w cieniu ambu, a później umawialiśmy się tam na randki. Nie chcę być niedyskretny, ale właśnie pod ambu pierwszy raz pocałowałem waszą matkę.

- Naprawdę? - zdumiała się Maria, której nikt nigdy o tym nie opowiadał.

- Tak jest. Dlatego dla mnie i dla mamy ambu nie jest po prostu jakimś tam drzewem.

- Zabierzesz mnie tam, Santi? Teraz aż płonę z ciekawości - powiedziała Claudia.

- Kiedyś na pewno tam pojedziemy - wymamrotał niewyraźnie.

W migotliwym blasku świec jego twarz wydawała się śmiertelnie biała i groteskowo wychudzona.

- Dobrze się czujesz, mi amor? - zaniepokoiła się Claudia. - Bardzo pobladłeś...

- Kręci mi się trochę w głowie. To przez ten upał, cały dzień przebywałem na słońcu. - Santi zdusił papierosa i wstał. - Nie, nie, nie musisz iść ze mną, będę zadowolony, jeżeli spokojnie zjesz kolację. Nic mi nie jest, przejdę się i wszystko będzie w porządku.

Claudia rzuciła mu rozczarowane spojrzenie, ale postąpiła zgodnie z jego życzeniem i z powrotem rozłożyła serwetkę na kolanach.

- Jak chcesz, Santi - odparła chłodno.

Po chwili Santi zniknął w ciemności. Claudia znowu miała wrażenie, że słyszy drwiący śmiech Sofii, dobiegający z czarnej, pustej przestrzeni, otaczającej ją i Santiago.

Santi ruszył przez pampę do ambu. Niebo było pogodne i rozgwieżdżone, więc bez trudu dotarł do drzewa. Bez pośpiechu wspiął się na najwyższą gałąź i oparł się plecami o

gruby pień. Krtań go bolała, jakby miał za ciasną koszulę, chociaż po drodze ją rozpiął. Usiłował odetchnąć głęboko, ale miał wrażenie, że jakiś potężny ciężar ugniata mu pierś. Czuł mdłości, bolała go głowa. Spojrzał w niebo, wspominając, jak kiedyś siadywał tu razem z Sofią, wpatrując się w błyszczące nad nimi gwiazdy. Zastanawiał się, czy Sofia ma teraz nad sobą to samo niebo i czy czasami patrzy w nie i myśli o nim.

Nagle zaczął płakać. Starał się opanować, ale płacz wylewał się z niego nieposkromioną falą. Płakał po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna. Jeszcze parę godzin temu żył złudzeniem, że w końcu udało mu się znaleźć szczęście u boku innej kobiety. Claudia nauczyła go uśmiechać się od nowa, była miła i wyrozumiała, niewymagająca i mało skomplikowana. Robiła wszystko, żeby sprawić mu przyjemność, i bardzo rzadko traciła cierpliwość. Była chłodna i opanowana, lecz to nie znaczyło przecież, że czuła mniej niż inni. Nie okazywała tylko swojego niepokoju. Była spokojna i pełna godności, piękna i zadbana, więc dlaczego, do diabła, ciągle tęsknił za chaosem, egoizmem i namiętnością, które kojarzyły się z Sofią? Dlaczego po prawie dziesięciu latach Sofia nadal potrafiła zmusić go do płaczu?

- Cholera jasna, Chofi! - krzyknął w ciemną, upalną noc. - Idź do diabła!

Claudia chciała założyć rodzinę, pragnęła mieć dziecko, ale Santi nie był jeszcze gotowy. Jak mógłby sprowadzić na świat dziecko Claudii, skoro ani na chwilę nie stracił nadziei, że Sofia wróci? Gdyby zdecydował się na dziecko z Claudią, oznaczałoby to związek na całe życie. Pojawienie się dzieci odmieniało rzeczywistość, a Santi liczył, że pewnego dnia Sofia znowu zajmie swoje miejsce w jego życiu. Wszyscy uważali, że zapomniał o niej, lecz on wiedział, że nigdy o niej nie zapomni. Jak mógłby zapomnieć, kiedy wszędzie widział jej twarz? Wspomnienia o niej czyhały w każdym zakątku Santa Catalina. Nie był w stanie przed nią uciec, zresztą w gruncie rzeczy wcale nie chciał uciekać. Sofia dręczyła go i dawała pocieszenie.

Kiedy wrócił do domu, Claudia czekała na niego w sypialni. Siedziała na łóżku w koszuli nocnej, z napiętą, niespokojną twarzą, z której zdążyła już zmyć makijaż. Bez szminki i cieni do oczu wydawała się prawie naga.

- Gdzie byłeś? - zapytała.

- Poszedłem na spacer.

- Jesteś zdenerwowany.

- Wszystko w porządku, Claudio - powiedział, wyciągając koszulę ze spodni i rozpinając ją. - Musiałem odetchnąć świeżym powietrzem, to wszystko.

Nie spuszczała z niego uważnego, czujnego spojrzenia.

- Wybrałeś się do tego drzewa, prawda?

- Dlaczego tak sądzisz? - Odwrócił się twarzą do niej.

- Ponieważ tam często chodziłeś z Sofią.

- Claudio...- zaczął z nieukrywaną irytacją.

- Oglądałam zdjęcia Marii. Na wielu z nich siedzisz na tym drzewie razem z Sofią. Nie oskarżam cię, mi amor, usiłuję ci pomóc. - Claudia wyciągnęła rękę do Santiago, ale on dalej się rozbierał, rzucając części garderoby na podłogę.

- Nie potrzebuję pomocy i nie chcę rozmawiać o Sofii - rzekł zimno.

- Dlaczego nie? - zapytała Claudia, nie poznając własnego głosu. - Dlaczego nigdy ze mną o niej nie rozmawiasz?

- A chciałabyś tego? Wolałabyś, żebym ciągle o niej mówił? Sofia to. Sofia tamto... O to ci chodzi?

- Czy nie rozumiesz, że ona tkwi między nami jak duch właśnie dlatego, że o niej nie mówisz? - Głos Claudii zadrżał. - Zawsze kiedy próbuję się do ciebie zbliżyć, czuję, że ona nas rozdziela...

- Ale co chcesz wiedzieć? Opowiedziałem ci wszystko, co...

- Nie chcę, żebyś ją przede mną ukrywał - przerwała mu.

- Nie ukrywam jej przed tobą, chcę o niej zapomnieć, Claudio. Chcę zbudować moje życie z tobą, nie z nią.

- Nadal ją kochasz? - zapytała nagle.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - Usiadł obok Claudii na łóżku i spojrzał na nią niepewnie.

- Byłam cierpliwa - odparła łamiącym się głosem. - Nigdy o nią nie pytałam, chciałam zostawić ten fragment twojego życia w spokoju...

- Więc dlaczego teraz straciłaś cierpliwość i pewność siebie? - zapytał łagodnie, biorąc ją za rękę.

- Bo na każdym kroku wyczuwam jej obecność, ona jest nawet w chwili ciszy, gdy ktoś bierze głębszy oddech... Wszyscy boją się o niej mówić. Co takiego zrobiła, że ludzie tak się zachowują? Nawet Anna o niej nie mówi. Można by pomyśleć, że Sofia nie żyje. To milczenie czyni ją bardziej niebezpieczną. Czuję, że ona mi ciebie odbiera. Nie chcę cię stracić, nie chcę przegrać walki o ciebie z duchem...

Z trudem przełknęła ślinę, zaskoczona własną szczerością.

- Nie stracisz mnie, tamta sprawa zakończyła się wiele lat temu.

- Ale ty wcale nie przestałeś jej kochać - powiedziała.

- Kocham wspomnienie, Claudio - skłamał. - Gdyby Sofia wróciła, okazałoby się, że obydwójce zmieniliśmy się nie do poznania. Nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi...

- Mówisz prawdę?

- Co mam zrobić, żeby cię o tym przekonać? - zapytał, biorąc ją w ramiona.

Ale dobrze wiedział, co powinien zrobić.

Nagle przyciągnął ją do siebie i pocałował głęboko, mocno przyciskając wargi do jej ust i dotykając językiem jej zębów i dziąseł. Claudia ostro wciągnęła powietrze. Nigdy dotąd nie całował jej tak namiętnie i gwałtownie. Popchnął ją na łóżko i podciągnął jedwabną nocną koszulę. Spojrzał na miękką krągłość jej brzucha i w milczeniu położył na niej otwartą, gorącą dłoń. Claudia otworzyła oczy i natychmiast dostrzegła dziwny wyraz, jaki przybrała teraz jego twarz. Lekko zmarszczyła brwi, lecz on się zorientował, że próbuje odgadnąć jego myśli, i uśmiechnął się trochę kpiąco. Zaraz potem ukrył twarz między jej piersiami. Całował ją, lizał i pieścił tak długo, aż wreszcie z jej gardła wyrwał się krzyk rozkoszy. Jego ręce dotykały ją między nogami z ogromnym wyczuciem, a ona wiała się z pożądania, nabrzmiała pragnieniem jak nigdy wcześniej. Santi rozpiął spodnie, rozsunął jej uda i wszedł w nią jednym ruchem.

- Nie używasz dziś kondomu? - zapytała, zdyszana i zaczerwieniona.

- Chcę zasiać nasienie, Claudio - odparł bez tchu, patrząc na nią poważnie. - Chcę zbudować z tobą przyszłość.

- Och, Santi, kocham cię - westchnęła z zadowoleniem. Oplotła go ramionami i nogami jak ośmiornica, przywarła do niego całym ciałem.

Teraz wreszcie musisz mnie puścić, Sofi pomyślał Santi. Teraz wreszcie o tobie zapomnę

Rozdział trzydziesty pierwszy

Anglia, rok 1982

- „Ribby przyglądała się temu ze zdumieniem. Coś takiego! A więc to naprawdę był garnuszek? Ale wszystkie moje garnuszki są w kuchennym kredensie. Niemożliwe! Kiedy następnym razem będę chciała wydać przyjęcie, zaproszę kuzynkę Tabithę Twitchit!” - Sofia skończyła czytać i zamknęła książeczkę Beatrix Potter.

- Jeszcze raz - poprosiła Jessica sennym głosem, nie wyjmując kciuka z buzi.

- Raz chyba wystarczy, nie sądzisz?

- Może jeszcze Bajkę o kotku Tomie - zaproponowała dziewczynka, wygodnie układając się na kolanach Sofii.

- Nie, nie, ta jedna to dosyć - powiedziała Sofia, całując gładki, różowy policzek dziecka. - Uściskaj mnie na dobranoc.

Jessica przytuliła się do niej mocno. Nic nie wskazywało, by pozwoliła odejść swojej dorosłej przyjaciółce.

- A co z czarownicami? - zagadnęła, kiedy Sofia otulała ją kołderką.

- Nie ma żadnych czarownic, w każdym razie na pewno nie tutaj. Spójrz, to jest specjalny czarodziejski miś. - Położyła misia na poduszce obok dziewczynki. - Nawet gdyby jakaś czarownica spróbowała się do ciebie zbliżyć, miś rzuci na nią urok i czarownica zniknie w jednej chwili.

- Mądry miś - powiedziała Jessica z satysfakcją.

- Bardzo mądry - przytaknęła Sofia. Schyliła się i z czułością pocałowała małą w czoło. - Dobranoc, kochanie.

Kiedy odwróciła się do drzwi, ujrzała stojącego w progu Davida, który obserwował ją w milczeniu, z zamyślnym uśmiechem.

- Co robisz? - szepnęła, wychodząc na palcach z pokoju i cichutko przymykając za sobą drzwi.

- Obserwuję cię.

- Rzeczywiście! - roześmiała się. - Dlaczego to robisz?

David objął ją i pocałował w czoło.

- Masz naturalny talent do postępowania z dziećmi - powiedział niskim głosem.

Sofia doskonale wiedziała, do czego prowadzą takie rozmowy.

- Wiem, Davidzie, ale...

- Kochanie, nie będziesz przecież sama. - David zajrzał w jej przestraszone oczy. - Mówimy o naszym dziecku, odrobinie ciebie i mnie, jedynej istocie, która będzie należała wyłącznie do nas. Myślałem, że tego właśnie pragniesz...

Sofia zaczekała, aż znaleźli się u szczytu schodów, w pewnej odległości od sypialni dziewczynki.

- Kocham dzieci i kiedyś, w niezbyt odległej przyszłości, chciałabym mieć ich całą gromadkę - powiedziała. - Malutkie cząstki nas obojga... Wiem, że to będzie cudowne i romantyczne, ale jeszcze nie teraz... Proszę, Davidzie, daj mi jeszcze trochę czasu...

- Nie mam czasu, o który prosisz, Sofio. Robię się coraz starszy, nie młodszy, i chcę cieszyć się rodziną, dopóki jestem w pełni sił - rzekł z westchnieniem, próbując pozbyć się natrętnego uczucia deja vu.

Ileż to razy rozmawiał o tym z Ariellą...

- Niedługo będę gotowa, kochanie - powiedziała, odrywając się od niego. - Naprawdę niedługo. Za chwilę zejdę na dół. Powiedz Christinie, że mała już zasypia, więc może przyjść i ucałować ją na dobranoc.

Sofia cicho zamknęła drzwi swojej sypialni. Chwilę stała bez ruchu, pragnąc upewnić się, że David nie wejdzie tu za nią. W korytarzu panowała zupełna cisza. David na pewno zszedł na dół. Podeszła do łóżka, wsunęła rękę pod materac i wyjęła zakurzony kawałek muślinu. Usiadła po turecku na podłodze, zbliżyła szmatkę do nosa i zamknęła oczy. Mijające lata zniszczyły materiał i pozbawiły go tego szczególnego, jedynego w swoim rodzaju aromatu, lecz Sofia nadal uważała strzęp muślinu za swój najcenniejszy skarb.

Kiedy wtulała weń twarz, miała wrażenie, że włącza projektor filmowy. Zamykała wtedy oczy i oglądała „zdjęcia” swojego dziecka, tak żywe i wyraźne, jakby zrobiono je poprzedniego dnia. Nadal pamiętała jego maleńkie stopki z cudownymi różowymi paluszkami, miękkie, puszyste włoski i gładką, gładziutką skórę. Pamiętała uczucie, które ogarniało ją, gdy ssał jej pierś, pamiętała szczęśliwy wyraz jego buzi, kiedy napełniał mlekiem swój okrągły brzuszek. Pamiętała wszystko, bardzo dbała o to, aby pamiętać. Bezustannie przegrywała taśmę pamięci, przestraszona, że mogłaby zapomnieć o jakimś szczególe.

Ona i David byli małżeństwem już od czterech lat i wszyscy ich przyjaciele i znajomi chcieli wiedzieć, kiedy wreszcie zdecydują się na dziecko. Tyle że to nie ich sprawa, pomyślała ze złością. Był to problem jej i Davida, chociaż Zaza z jakiegoś powodu uważała, że ma coś do powiedzenia. Sofia kilka razy dość ostro dała jej do zrozumienia, co myśli o natrętnych uwagach, ale Zaza miała skórę grubą jak nosorożec i po prostu nie reagowała. Tylko David, Dominique i Antoine rozumieli, dlaczego Sofia nie chce mieć dziecka. Dominique i Antoine przylecieli na ślub Sofii i Davida. Od czasu jej pobytu w Genewie stali się dla niej lepszymi rodzicami niż Anna i Paco, w każdym razie ona tak uważała. Kiedy myślała o swoich rodzicach, widziała ich blade twarze w chwili, gdy kazali jej spakować rzeczy i przygotować się do wyjazdu. Dominique często dzwoniła do Sofii, zawsze wyrozumiała i gotowa ją wesprzeć. Pamiętała o jej urodzinach, przysyłała prezenty z Genewy oraz pocztówki z Verbier i zwykle wyczuwała, kiedy jest Sofii najbardziej potrzebna.

- Chcę mieć dziecko, Dominique, ale bardzo się boję - wyznała Sofia poprzedniego dnia.

- Cherie, wiem, że się boisz. David rozumie twoje zahamowania, lecz nie możesz w nieskończoność kurczowo trzymać się wspomnień. Santiguito jest już teraz postacią nierzeczywistą, on przestał istnieć, kochanie. Wracając do tamtych dni, zadajesz sobie wielki ból.

- Wiem. Ciągle to sobie powtarzam, ale gdzieś wewnątrz jestem zupełnie zablokowana. Wystarczy, że wyobrażę sobie siebie z wielkim brzuchem i natychmiast wpadam w panikę. Nie potrafię zapomnieć o tamtych przeżyciach

- Uda ci się to tylko wtedy, gdy urodzisz dziecko mężczyźnie, którego kochasz i który nigdy cię nie opuści. To dziecko przyniesie wam obojgu wielką radość, a ty zapomnisz o bólu i smutku, który towarzyszył narodzinom Santiguity.

- David jest cudowny - westchnęła Sofia. - Zdaję sobie sprawę, że stale o tym myślę...

Widzę to w jego oczach, kiedy na mnie patrzy, i czuję się winna...

- Niepotrzebnie. Jestem przekonana, że niedługo dasz mu dziecko i uczynisz w pełni szczęśliwym. Jeszcze trochę cierpliwości, Sofio. Czas naprawdę leczy rany, to nie banał.

- Ty leczysz moje rany, Dominique! Od razu jest mi lżej na sercu.

- Jak czuje się David? - zapytała Dominique.

Była szczęśliwa, że Sofia zakochała się i zostawiła przeszłość za sobą. No, prawie...

- Dobrze, jak zwykle - odparła Sofia. - Mam wielkie szczęście, że David mnie kocha...

- Nie martw się, jesteś młoda, David tryska energią i macie jeszcze mnóstwo czasu na dzieci - powiedziała Dominique.

Zdawała sobie sprawę, co czuje Sofia, ale rozumiała także obawy Davida i szczerze mu współczuła.

Ostatnie pięć lat Sofia przeżyła w pełni świadomie. Ani na chwilę nie zapomniała o bólu, który jak gęsta mgła wisiał nad pierwszymi latami jej wygnania. Santi nauczył ją żyć teraźniejszością, a David udowodnił, że jest to możliwe. Miłość, jaką Sofia darzyła swego męża, była trwała i niezachwiana. David był pewny siebie i zdecydowany, lecz pod tą warstwą Sofia wyczuła delikatność i łagodność, które budziły w niej głęboką czułość. David rzadko mówił jej o swojej miłości, nadużywanie wielkich słów po prostu nie było w jego stylu, ale Sofia wiedziała, że bardzo ją kocha. Rozumiała go.

Swoją teściową, Elizabeth Harrison, spotkała na szczęście tylko raz. David przedstawił jej siebie tydzień przed ślubem na podwieczorku w hotelu Basil Street. Uprzedził Sofię, że najlepiej będzie, jeżeli do spotkania dojdzie na neutralnym gruncie, ponieważ w ten sposób jego matka nie będzie mogła wywołać nieprzyjemnej sceny ani wyrządzić przyszłej synowej przykrości.

Spotkanie trwało krótko i Sofia nie zachowała go w miłej pamięci. Elizabeth Harrison, starsza dama o surowych rysach, sztywnych szpakowatych włosach, wąskich fioletowych wargach i wylupiastych, bladych oczach, była najwyraźniej przyzwyczajona do wymuszania na innych swojej woli i czynienia ich równie nieszczęśliwymi jak ona sama. Nigdy nie wybaczyła Davidowi rozwodu z Ariellą, którą ceniła raczej za pochodzenie niż za osobowość, a także tego, że zajął się wystawianiem sztuk, pod czas gdy ona radziła mu, żeby podjął pracę

w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, podobnie jak jego ojciec. Usłyszawszy obcy akcent Sofii, prychnęła pogardliwie, gdy zaś dziewczyna powiedziała, że pracowała jako pomocnica w salonie fryzjerskim na Fulham Road, wstała od stołu i wyszła z godnością, podpierając się laską. David nie pobiegł za nią i to zirytowało ją najbardziej. Był to oczywisty dowód, że syn nie potrzebuje jej i nie liczy się z jej opinią. Elizabeth Harrison z goryczą przygryzła wargi i wróciła do swojego zimnego domu w Yorkshire, wściekła i głęboko niezadowolona. David obiecał Sofii, że nigdy więcej nie będzie musiała się z nią spotykać.

Sofia żyła więc terazniejszością, ale złośliwa przeszłość od czasu do czasu dawała o sobie znać, obudzona jakimiś skojarzeniami. Wystarczyły długie cienie drzew na trawniku w letni wieczór, wyjątkowo jasna tarcza księżyca lub brylantowe krople rosy na płatkach kwiatów, aby wracała myślami do Argentyny. Najbardziej niebezpieczny pod tym względem był jednak zapach eukaliptusa. Sofia z trudem zniosła miesiąc miodowy nad Morzem Śródziemnym, właśnie z powodu wilgotnego powietrza i gajów eukaliptusowych. Czuła, jak jej serce kurczy się boleśnie i ogarnia ją tak wielka tęsknota, że prawie nie mogła oddychać. David natychmiast wyczuł, że dzieje się z nią coś złego, i nakłonił ją do rozmowy. Nie miała na to ochoty, ale David przekonał ją, że zamykanie się w sobie jest złym przyzwyczajeniem, i na mówił, aby podzieliła się z nim najbardziej bolesnymi wspomnieniami.

Okazało się, że Sofia najczęściej wraca do dwóch przeżyć - chwili, gdy odrzucili ją rodzice, oraz rozstania z małym Santiguitem.

- Pamiętam wszystko tak, jakby to wydarzyło się wczoraj - rozplakała się. - Mama i tata czekali na mnie w salonie, atmosfera była ciężka i nieprzyjemna. Strasznie się bałam, czułam się jak przestępczyni... Oboje zachowywali się jak obcy ludzie... Z ojcem zawsze łączyły mnie bardzo silne więzi, a tu nagle zupełnie przestałam go rozumieć. Nie wiedziałam, co się dzieje... Potem wypędzili mnie z domu, powiedzieli, że mam wyjechać do Europy... Odepchnęli mnie...

Płakała długo, wreszcie napięte mięśnie rozluźniły się i znowu mogła normalnie oddychać. Ból rozstania z Santim był przeżyciem, o którym nie potrafiła rozmawiać z mężem, przede wszystkim dlatego, że bała się go zranić. Te łzy wypłakiwała w samotności, nieświadomie pozwalając cierpieniu na dobre zapuścić korzenie w duszy.

Po ślubie prawie w ogóle nie myślała o Arielli. Kiedyś poszła na poddasze, aby poszukać lampy, o której mówił jej David, i odkryła pokaźny stos obrazów Arielli pod ścianą, ale nie sprawiło jej to przykrości. David obejrzał je pobieżnie i ponownie przykrył płócienną płachtą.

- Ariella całkiem dobrze malowała - rzekł spokojnie.

Sofia zabrała lampę, zamknęła drzwi i razem z Davidem zeszła na dół. Nie domagała się od męża żadnych zwierzeń i nie zastanawiała się, co dzieje się z Ariellą. Przyjęcie towarzyskie w Londynie było z pewnością ostatnim miejscem, gdzie spodziewałaby się ją spotkać.

Sofia nie lubiła przyjęć i zawsze miała przed nimi tremę. Tym razem także nie chciała iść, ale David nalegał i tłumaczył, że nie może ukrywać się bez końca.

- Nikt nie wie, jak długo potrwa ta wojna. Wcześniej czy później będziesz musiała stawić czoło światu.

Kiedy Wielka Brytania w kwietniu wypowiedziała wojnę Argentynie z powodu konfliktu o Wyspy Falklandzkie, Sofia po czuła się rozdarta. Była Argentynką i chociaż uznała swoją przeszłość za zamknięty rozdział, doskonale wiedziała, że nic nie jest w stanie osłabić jej miłości do ojczystego kraju. Każdy nagłówek prasowy palił ją żywym ogniem, każdy okrutny komentarz bo lał jak otwarta rana. Argentyńczycy byli jej rodakami, ale nie miało najmniejszego sensu, by stawała w ich obronie po tej stronie Atlantyku, ponieważ Anglicy żądali krwi. David poradził jej serdecznie, żeby nie reagowała na uwagi pod adresem

Argentyńczyków, jeżeli nie chce co chwilę wdawać się w bardzo nieprzyjemne kłótnie. Przychodziło jej to z ogromnym trudem, zwłaszcza że Anglicy okazali się zupełnie pozbawieni taktu. Na przyjęciach gburowaci mężczyźni walili pięścią w stół, wykpiwając „cholernych Argoli”. Argentyńczycy z dnia na dzień stali się Argolami, a Wyspy Falklandzkie, o których istnieniu przed wojną prawie nikt nie słyszał, najbardziej znanym miejscem na świecie.

Sofia musiała zaciskać pięści, żeby nie okazać zdenerwowania. Po wszystkich takich towarzyskich okazjach przytulała się do Davida i rozpaczliwie szlochała na jego piersi. Martwiła się o swoją rodzinę. Czasami miała ochotę wywiesić argentyńską flagę z dachu Lowsley, aby pokazać wszystkim, jak bardzo dumna jest ze swego pochodzenia. Pragnęła, by ludzie wiedzieli, że nie wyrzekła się swojej narodowości.

Przyjęcie, które odbyło się w niezwykle upalny majowy wieczór, wydawali Ian i Alice Lancasterowie, dawni przyjaciele Davida. Był to uroczysty obiad, jeden z tych, o których mówi się kilka miesięcy przed i po fakcie. Sofia wydała majątek na czerwoną suknię bez ramion, która świetnie się komponowała z jej oliwkową skórą. David był pod wielkim wrażeniem i uśmiechał się z dumą, kiedy inni goście z podziwem zerkali na jego żonę.

Zwykle na tego rodzaju przyjęciach małżonkowie obracali się w osobnych kręgach, lecz tym razem Sofia, z obawy, że ktoś może zacząć rozmowę na temat wojny, wzięła Davida za rękę i nie odstępowała go ani na krok. Błyszczące od brylantów kobiety miały sztywne fryzury, kanciaste poduszki na ramionach i ostre makijaże. Jediną ozdobą Sofii był prosto szlifowany brylant, lśniący na jej brązowej skórze, urodzinowy prezent od Davida. Zauważyła, że na jej widok ludzie wymieniali szeptem jakieś uwagi i szybko milkli. Nikt nie wspominał o wojnie.

W ogrodzie na tyłach wspaniałego domu Lancasterów w Hampstead rozbito wielki namiot w niebiesko-białe pasy. Na wszystkich stołach piętrzyły się wymyślne bukiety, a namiot wypełniał blask tysiąca świec. Kiedy podano kolację, Sofia z ulgą odkryła, że ona i David mają miejsca przy tym samym stole, w pobliżu gospodarzy. Siadając, mrugnęła do

David, aby zapewnić go, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. David najwyraźniej znał upudrowaną damę po swojej lewej ręce, natomiast krzesło z jego prawej strony było jeszcze wolne.

- Cieszę się, że znowu cię widzę! - wykrzyknął mężczyzna siedzący po jej lewej stronie.

Był łysy jak kolano, miał okrągłą, pogodną twarz, wąskie wargi i jasne, rozbiegane oczy. Sofia zerknęła na kartkę przed jego talerzem. Jim Rice, przeczytała. Rzeczywiście, spotkała go już kiedyś. Należał do tych niepozornych osób, których nazwiska nigdy nikt nie pamięta.

- Ja także bardzo się cieszę. - Uśmiechnęła się, usiłując sobie przypomnieć, gdzie go poznała. - Kiedy widzieliśmy się ostatnio?

- zapytała.

- Na przyjęciu promocyjnym książki Clarissy - odparł.

- Ach, tak, naturalnie! - Sofia nie miała zielonego pojęcia, kim jest Clarissa.

- Boże, kto to jest? - wyjąkał nagle mężczyzna, wpatrując się w wysoką, smukłą jak brzoza kobietę, która wdzięcznie sunęła w ich stronę między stolikami.

Sofia zacisnęła zęby w obawie, że mogłaby zbyt szeroko otworzyć usta i już ich nie zamknąć. Nie ulegało wątpliwości, że cudowna istota w prostej, białej sukni to Ariella. Sofia w milczeniu przyglądała się, jak kobieta zbliża się do stołu. Dostrzegła, że krzesło po prawej ręce Davida jest nadal puste. Boże, tylko nie to, jęknęła bezgłośnie, tylko nie obok Davida...

- Czy to nie jest Ariella Harrison, była żona Davida? - wykrztusił w końcu drugi sąsiad Sofii. - Co za laska! - wymamrotał, kiedy Ariella przywitała się z kompletnie zaskoczonym Davidem i zajęła miejsce obok niego.

- George! - rzucił Jim ostrzegawczym tonem, starając się powstrzymać nietaktownego znajomego.

- Cholera jasna, co za laska! - powtórzył tamten, oblizując wargi. - Myślisz, że Ian i Alice zrobili to celowo? - zwrócił się nagle do Sofii.

- George! - jęknął Jim.

- Niezły numer, co, Jim? - George uśmiechnął się bez troski.

- George, chciałbym przedstawić cię Sofii Harrison, żonie Davida Harrisona. Sofio, oto George Heavyweather.

- O, kurwa... - mruknął George.

- Byłem pewien, że to powiesz - westchnął Jim.

- Strasznie mi przykro - bąkał George. - Naprawdę... Zrobiłem z siebie potwornego idiotę...

- Nie przejmuj się, George - powiedziała Sofia, jednym okiem zerkając na George'a, którego twarz przybrała kolor dojrzałej papryki, a drugim obserwując Ariellę.

Pierwsza żona Davida wyglądała po prostu olśniewająco. Jej bardzo jasne, prawie białe włosy upięte były w gładki kok i ta fryzura podkreślała długą szyję oraz ostry zarys kości szczękowej. Była chłodna, lecz piękna. David odchylił się w krzesło do tyłu, jakby chciał zwiększyć odległość między sobą i była żoną, natomiast Ariella nachyliła się ku niemu i przekrzywiła lekko głowę, mówiąc coś z przepaszającym wyrazem twarzy. David skinął głową ku Sofii i Ariella spojrzała na nią z uprzejmym uśmiechem. Sofia zdołała uśmiechnąć się słabo w odpowiedzi i zaraz odwróciła głowę, żeby ukryć czający się w jej oczach lęk.

- Bardzo cię przepraszam za George'a - powiedział Jim, popijając wino. - Niestety, straszny z niego dureń. Najpierw mówi, potem myśli. Zawsze można się spodziewać, że palnie coś szalenie nietaktownego. Na ostatnim przyjęciu podszedł do Duggiego Crichtona i powiedział: „Mam chęć przelecieć tę wulgarną blondyneczkę i założę się, że nie będzie się wzbraniała”. Zaraz potem odkrył, że mówi o nowej dziewczynie Duggiego. Oczywiście wyszedł na kompletnego głupka, ale cóż, George taki już jest...

Sofia się roześmiała, pragnąc okazać wdzięczność Jimowi, który natychmiast rozpoczął następną opowieść o George'u. Na podstawie gestów doszła do wniosku, że David nie odnosi się już do Arielli z tak wyraźną wrogością, jak na początku. Miała nadzieję, że Ariella zakrzusi się łososiem lub rozleje czerwone wino na swoją białą jak śnieg suknię. Przez chwilę wyobrażała sobie ich rozmowę: „A więc to jest twoja mała Argolka, Davidzie. Jaka słodka, zupełnie jak mały psiak...” Nienawidziła Arielli i nienawidziła Davida za to, że był dla niej tak miły. Dlaczego nie wstanie i nie oświadczy, że nie ma ochoty siedzieć obok niej? Przecież go zostawiła, prawda? Spojrzała na Iana Lancastera, pogrążonego w poważnej rozmowie z różową, kościstą damą. Wygląda jak kabanos, suszący się pod sufitem wiejskiego domu w Szwajcarii, pomyślała złośliwie, zanim znowu zaśmiała się uprzejmie w odpowiedzi na jakąś uwagę Jima.

Kolacja ciągnęła się jak puszczone w zwolnionym tempie film. Wszyscy jedli, pili i rozmawiali, jakby nie zamierzali wychodzić stąd przed świtem. Kiedy wreszcie podano kawę i niektórzy goście zapalili papierosy. Sofia miała już tylko jedno pragnienie - jak najszybciej wrócić do domu. Zaraz potem Ian Lancaster przypuścił atak na Argentyńczyków i Sofia zamarła na swoim krześle jak przerażone zwierzę.

- Cholerni Argole! - zawarczał, przytrzymując cygaro nieco obwisłymi wargami. - Tchórze, jeden w drugiego. Uciekają przed brytyjskimi kulami, mądrale.

- Wszyscy wiemy, że ten głupi Galtieri zaatakował nasze terytorium, aby odwrócić uwagę Argentyńczyków od beznadziejnej polityki wewnętrznej - oświadczył George.

Jim z rozpaczą przewrócił oczami.

- Chwileczkę - odezwał się David, zerkając na Sofię, która już szykowałą się do walki po drugiej stronie stołu. - Wydaje mi się, że większość z nas ma dosyć dyskusji o wojnie.

- Och, tak, oczywiście - parsknął złośliwie gospodarz przyjęcia. - Przepraszam! Zapomniałem, że ożeniłeś się z Argolką.

- Z Argentynką - powiedziała dobitnie Sofia. - Jesteśmy Argentyńczykami i Argentynkami, nie Argolami i Argolkami.

- Tak czy inaczej, zaatakowaliście brytyjskie terytorium i musicie ponieść konsekwencje - bić się albo uciekać. - Lancaster zaśmiał się niemiło.

- Tam walczą dzieci, piętnastoletni rekruci - rzekła Sofia, nie panując nad oburzeniem.

- Dziwisz się, że są przerażeni?

- Galtieri powinien był o tym pomyśleć wcześniej, zanim wpakował się w to gównu. Cała ta sytuacja woła o pomstę do nieba... Ale nieważne, zagonimy ich wszystkich do morza, niech się potopia...

Sofia spojrzała bezradnie na Davida, który uniósł brwi i westchnął. Przy stole zapadła cisza, wszyscy z zażenowaniem utkwili wzrok w talerzach. Goście przy sąsiednich stołach, którzy przysłuchiwali się atakowi Iana, czekali, co będzie dalej. I wtedy ogólne milczenie przerwał niezbyt mocny głos.

- Muszę cię pochwalić za niezwykłą uprzejmość i wrażliwość - odezwała się Ariella.

- Za uprzejmość i wrażliwość? - powtórzył niepewnie Ian.

- Tak.

- Nie rozumiem, o czym mówisz...

- Och, daj spokój, Ianie, nie bądź taki skromny!

- Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi, Ariello! - zniecierpliwził się Lancaster.

Ariella rozejrzała się dookoła, pragnąc upewnić się, czy wszyscy słuchają. W takich chwilach uwielbiała mieć liczną widownię.

- Chodzi mi o twój takt, dyplomatyczny takt. Jesteśmy w samym środku wojny z Argentyną, a tymczasem ty i Alice zdecydowaliście się ugościć nas pod namiotem w barwach argentyńskiej flagi. - Zerknęła w górę, na szerokie niebiesko-białe pasy. Wszyscy poszli za jej przykładem. - Uważam, że należy się wam ogromne uznanie. Żałuję, że nie wszyscy możemy poszczycić się takim taktem. Oto kpimy z Argentyny i jej obywateli w obecności osoby, która pochodzi z tego kraju. Sofia jest Argentynką i nie wątpię, że kocha swoją ojczyznę równie mocno jak my Wielką Brytanię. To doprawdy tragiczne, że okazaliśmy się tak nieokrzesani, aby nazywać ich Argolami i tchórzami przy twoim stole, drogi Ianie. Co za wstyd, że wspaniały gest twój i Alice poszedł na marne, bo ktoś wypił za dużo wina... Tak czy inaczej,

pragnę wnieść toast za wasz takt i wycucie chwili, bo przecież w ostatecznym rozrachunku liczy się szlachetna myśl, prawda, łanie?

Ariella spokojnie uniosła kieliszek do bladych ust. Ian Lancaster zakrztusił się dymem z cygara i krew napłynęła mu do twarzy, nadając jej intensywny odcień purpury. David i pozostali goście ze zdumieniem spojrzeli na Ariellę. Sofia rzuciła jej pełne wdzięczności spojrzenie i przełknęła swoją wściekłość wraz z łykiem czerwonego wina.

- A teraz. Sofio, chyba pójdziemy poprawić makijaż, co ty na to? - ciągnęła Ariella, podnosząc się z krzesła. - Trochę zmęczyło mnie towarzystwo przy tym stole.

Mężczyźni zerwali się na równe nogi, patrząc na nią z nieukrywany szacunkiem. Sofia podeszła do Arielli z wysoko podniesioną głową. Starsza kobieta wzięła ją za rękę i przeprowadziła obok wciąż milczących z wrażenia gości do drzwi. Kiedy znalazły się na zewnątrz namiotu, wybuchnęła śmiechem.

- Pompatyczny kretyn! - parsknęła. - Muszę zapalić, a ty?

- Nie wiem, jak ci dziękować - odezwała się Sofia, która nadal drżała na całym ciele.

Ariella podsunęła jej paczkę papierosów, lecz Sofia odmówiła.

- Nie dziękuj mi - powiedziała Ariella. - Dało mi to mnóstwo radości. Nigdy nie przepadałam za Ianem Lancasterem i nie rozumiałam, co David w nim widzi, nie wspominając już o biednej żonie tego idioty. Noc w noc znosić jego sapanie, czerwoną gębę i oddech cuchnący cygarem, ble...

Podeszły do ławki i usiadły. Namiot świecił od wewnątrz i znowu szumiał gwarem wielu głosów, jakby ktoś podsycił przygasający ogień. Ariella zapaliła papierosa i założyła nogę na nogę

- Nie masz pojęcia, ile mnie to kosztowało, żeby zachować się w dystyngowany sposób - westchnęła, trzymając papierosa między dwoma długimi palcami, ozdobionymi różowymi paznokciami.

- Ale byłaś naprawdę bardzo dystyngowana. Lancaster oniemiał z wściekłości.

- I dobrze. Jak on śmiał! - wykrzyknęła Ariella, zaciągając się dymem.

- Wszyscy zachowali się mniej więcej tak samo - rzekła Sofia ze smutkiem. - Nie chciałam tu dziś przyjść, ale...

- Szczerze ci współczuję, bo to musi być dla ciebie paskudny okres. I podziwiam cię. Ja na pewno nie zdecydowałabym się przyjść.

- David chciał być na tym przyjęciu.

- No, tak... Mówiłam już, że nigdy nie rozumiałam, co on widzi w tym idiocie.

- Wydaje mi się, że teraz zmieni o nim opinię. - Sofia się za śmiała.

- Na pewno więcej się do niego nie odezwie. - Ariella wydmuchała dym kącikiem ust i popatrzyła na Sofię spod gęstych czarnych rzęs.

- David ma szczęście, że znalazł kogoś takiego jak ty. Jest teraz innym człowiekiem, szczęśliwym, spełnionym... Wygląda młodo i atrakcyjnie. Masz na niego pozytywny wpływ, jestem prawie zazdrosna...

- Dziękuję ci.

- Ja i David niszczyliśmy się nawzajem. - Strząsnęła popiół na trawę. - On ciągle miał mi coś za złe, a ja wymagałam od niego niestworzonych rzeczy i zachowywałam się jak rozpuszczony bachor. Żałuję, że go zraniłam, ale jestem szczęśliwa, że każde z nas poszło własną drogą. Niektórzy ludzie po prostu do siebie nie pasują, lecz ty i David... Zawsze widzę, czy jakiś związek przetrwa próbę czasu, czy nie. Wasz przetrwa ją na pewno. Uleczyłeś jego serce, zrobiłeś coś, co mnie nigdy by się nie udało...

- Jesteś dla siebie bardzo surowa - rzekła Sofia, zastanawiając się, dlaczego kiedykolwiek czuła się zagrożona obecnością Arielli w życiu Davida.

- Nie lubiłam jego przyjaciół. Zaza doprowadzała mnie do szału. Ta kobieta zawsze chciała mieć Davida dla siebie. Na twoim miejscu uważałabym na nią...

- Och, Zaza dużo gada i we wszystko się wtrąca, ale ją lubię.

- Mnie zwyczajnie nienawidziła. No, właśnie, sama widzisz, jak to jest. Ty i David jesteście dla siebie stworzeni. Tak czy inaczej, teraz wreszcie będziemy mieli coś wspólnego - antypatię do lana Lancastera.

- Na pewno. - Sofia westchnęła. - Myślałam, że mieszkasz we Francji, Ariello.

- Bo tak było. - Ariella roześmiała się gorzko. - Mieszkałam z Alainem, cudownym mężczyzną... To jeszcze jeden z moich związków, który nie wytrzymał próby czasu. Czasami myślę, że trwały związek nie jest mi pisany.

- Gdzie jest teraz Alain?

- Nadal w Prowansji. Ciągle jest dobrze zapowiadającym się fotografem, zbuntowanym i roztargnionym. Bardzo, bardzo roztargnionym... Nie dam głowy, czy zauważył moje odejście.

- Nie wyobrażam sobie, aby ktokolwiek mógł cię nie zauważyć.

- Nie znasz Alaina. Nieważne, doszłam do wniosku, że o wiele lepiej mi będzie bez mężczyzn, związków z nimi i zobowiązań.

Widzisz, w głębi serca jestem Cyganką, zawsze taka byłam. Maluję i podróżuję - oto całe moje życie.

- Widziałam kilka twoich obrazów na poddaszu w Lowsley. Są bardzo dobre.

- Słodka z ciebie dziewczyna. Sofio. Dziękuję. Powinnam zabrać te obrazy. Może wypiliśmy razem herbatę...

- Z przyjemnością.

- Świetnie. - Uśmiechnęła się. - Postaram się wpaść któregoś dnia. Czy ty i David zamierzacie mieć dzieci?

- Może.

- Och, nie wahaj się zbyt długo! Uwielbiam dzieci, to znaczy dzieci moich przyjaciół i znajomych. Sama nigdy nie chciałam ich mieć, natomiast Davidowi bardzo na tym zależało. Ciągłe się o to kłóciliśmy. Biedny David, dużo przeze mnie wycierpiał... Pamiętaj, że nie robi się coraz młodszy. Będzie cudownym ojcem. Pragnie tego z całego serca...

Gdy Sofia usłyszała te słowa, podniosła głowę i spojrzała w niebo. Pomyślała o młodych mężczyznach, umierających wśród falklandzkich wzgórz. Wszyscy oni mieli matki, ojców, braci, siostry i dziadków, którzy płakali nad ich losem. Przypomniała sobie, w jaki sposób ojciec próbował wytłumaczyć jej śmierć, kiedy była małą dziewczynką - powiedział, że każda dusza staje się gwiazdą na niebie. Uwierzyła mu wtedy i nadal chciała w to wierzyć.

Popatrzyła na wszystkie dusze, lśniące na cichym nieboskłonie. Dziadek Dwyer powiedział kiedyś, że życie, które sprowadza się do kwestii zachowania gatunku i prokreacji, trzeba karmić miłością, bo bez niej nie jest w stanie przetrwać. Sofia kochała Davida, lecz oto teraz, patrząc na miliardy dusz nad swoją głową, zrozumiała, że miłość musi zataczać coraz szersze kręgi, że trzeba obdarzać nią następne pokolenia. Uświadomiła sobie, że wreszcie jest gotowa urodzić dziecko. Santiguito jest dla mnie jak jedna z tych gwiazd, bo przecież nigdy go nie zobaczę, pomyślała ze smutkiem. Przypomniała sobie radę Dominique i postanowiła uwolnić się od bolesnej tęsknoty.

Rozdział trzydziesty drugi

Najbardziej satysfakcjonującym aspektem nawiązania kontaktów z Ariellą było nieprzyjemne zdziwienie, jakim na ten fakt za reagowała Zaza. Sofia z ogromną radością streściła Zazie brawurowe wystąpienie Arielli podczas przyjęcia i patrzyła, jak ta po gardliwie marszczy nos, który uwielbiała wtykać w nie swoje sprawy. Od przyjęcia minął już ponad miesiąc, lecz ciekawość Zazy, jeśli chodzi o Ariellę, była po prostu nienasycona, więc Sofia musiała przy każdym spotkaniu powtarzać wszystko ze szczegółami.

- Jak możesz mówić, że ją lubisz? Przecież to wredna suka! - jęknęła Zaza, przez pomyłkę zapalając dwa papierosy jednocześnie. - Cholera jasna! - wykrzyknęła, wrzucając jednego do pustego kominka. - Czy ja naprawdę to zrobiłam?

- Ariella była fantastyczna. Na zimno wdeptała lana Lancastera w ziemię. Zachowała się z ogromną godnością, chociaż bez względu, szkoda, że jej nie widziałeś. Wiesz, że ten wstrętny robak przeprosił mnie później? Oczywiście potraktowałam go bardzo uprzejmie, bo nie mogłabym zniżyć się do jego poziomu, ale nigdy więcej nie chcę go widzieć - zakończyła Sofia wyniośle.

- I David naprawdę przyrzekł, że nigdy więcej się z nim nie spotkacie?

- Tak jest, to koniec naszej znajomości. - Sofia roześmiała się i żartobliwym gestem przejechała palcem po szyi. - W zeszłym tygodniu Ariella wpadła po swoje obrazy i została nie tylko na podwieczorek, ale na noc. Gadałyśmy bez końca. Wcale nie chciałam, żeby wyjeżdżała.

Zaza skrzywiła się lekko, co naturalnie nie uszło uwagi Sofii.

- A David?

- Co było, to było, powiedział.

- Nie do wiary! Po prostu nie do wiary! - westchnęła Zaza, zdrapując kawałek szkarłatnego lakieru z paznokcia. - Oboje jesteście wyjątkowo ekscentryczni.

- Och, zrobiło się już strasznie późno! - Sofia z przerażeniem zerknęła na zegarek. - O czwartej umówiłam się z Davidem w jego biurze, a wcześniej mam jeszcze spotkanie... Muszę lecieć, Zazo.

- Jakie spotkanie? - zainteresowała się Zaza. - To znaczy... Chyba dobrze się czujesz, prawda?

- Doskonale. Muszę tylko wpaść do dentysty, nic więcej - odparła nonszalancko Sofia.

- Ucałuj ode mnie Davida - powiedziała Zaza, mierząc Sofię baczny spojrzeniem spod umalowanych na zielono powiek.

Do dentysty, akurat, pomyślała. Ciekawe... Może ma to coś wspólnego z ginekologiem...

Sofia zjawiła się w biurze Davida o czwartej trzydzieści. Była blada, drżąca, ale mimo wszystko uśmiechnięta, z miną kogoś, kto właśnie poznał cudowną tajemnicę. Sekretarka szybko odłożyła słuchawkę, przerywając rozmowę ze swoim chłopakiem, i entuzjastycznie przywitała żonę szefa. Sofia, nie czekając, weszła prosto do gabinetu męża. David podniósł wzrok znad biurka, a ona oparła się o drzwi i uśmiechnęła do niego.

- O, Boże, więc to prawda... - rzekł powoli, badając spojrzeniem jej twarz. - To prawda... Proszę, powiedz mi, że tak jest... - Drżącą ręką zdjął okulary.

- Tak, jestem w ciąży. - Sofia się roześmiała. - Z radości nie wiem, co ze sobą zrobić...

- Ale ja wiem - powiedział David, podchodząc do niej i chwytając ją w ramiona. - Mam nadzieję, że urodzi nam się mała dziewczynka - szepnął. - Miniaturowa Sofia...

- Broń Boże! - zachichotała Sofia.

- Nie mogę w to uwierzyć. - David westchnął i odsunawszy Sofię na odległość ramion, delikatnie położył dłoń na jej brzuchu. - Mieszka w tobie mała ludzka istota, która każdego dnia będzie coraz większa...

- Przez najbliższe dwa miesiące na wszelki wypadek nie powinniśmy jeszcze nikomu o tym mówić - ostrzegła go Sofia i w tej samej chwili przypomniała sobie wyraz twarzy Zazy. - Zaza zaprosiła mnie do siebie na lunch - powiedziała. - Udałam, że spieszę się do dentysty, ale wiesz, jaka ona jest. Wydaje mi się, że zaczęła coś podejrzewać.

- Nie martw się, poradzę sobie z Zazą. - Pocałował ją w czoło.

- Chciałabym jednak zawiadomić Dominique.

- Doskonały pomysł. Powiedz wszystkim bliskim, którym masz ochotę zdradzić nasz sekret.

Sofia nie skarżyła się na poranne mdłości. Ku swemu zaskoczeniu czuła się wyjątkowo dobrze i tryskała energią. David starał się dbać o nią jeszcze bardziej niż zwykle i być dla niej prawdziwym wsparciem. Pierwsza ciąża była dla niej dość przykrym doświadczeniem, natomiast ta okazała się zupełnie inna. Była tak radosna, że wspomnienie Santiguita zaczęło powoli znikać we mgle zapomnienia. David rozpuszczał ją i spełniał wszystkie zachcianki. Kupował jej tyle pięknych rzeczy, że po paru tygodniach poprosiła, aby przestał, bo już nie wiedziała, gdzie je upychać. Codziennie rozmawiała przez telefon z Dominique, która obiecała, że postara się przyjechać do Anglii co najmniej na miesiąc.

Kiedy minęły trzy miesiące, Sofia i David poinformowali wszystkich o swoim szczęściu. W odpowiedzi na tę cudowną wiadomość Sofia otrzymała mnóstwo kwiatów od przyjaciół i krewnych Davida. Ponieważ musiała zrezygnować z jazdy konnej, zaczęła brać lekcje gry na fortepianie, których trzy razy w tygodniu udzielał jej niezwykle żywotny starszek o twarzy żółwia. Regularnie umawiała się na wizyty u ginekologa w Londynie i wydawała setki funtów na ubranka dla dziecka, bo na ich widok po prostu traciła głowę. Była przekonana, że urodzi córeczkę, więc wybierała najpiękniejsze ciuszki dla dziewczynki, jakie mogła znaleźć. Poprosiła też Ariellę, żeby na ścianach dziecięcego pokoju namalowała głównych bohaterów Kubusia Puchatka.

- Chcę, żeby moja córeczka miała pogodny, jasny pokój - powiedziała.

Dzieło Arielli podobało się wszystkim tak bardzo, że zapoczątkowało nowy trend. Ariella, jego twórczyni, przez wiele miesięcy podróżowała po całym Gloucestershire, ozdabiając dziecięce sypialnie wizerunkami postaci ze sławnej książki.

W lutym podekscytowana Zaza przyjechała na podwieczorek z całym bagażnikiem starych ubranek. Usadowiła się na sofie, jak najbliżej kominka, i zapaliła papierosa srebrną zapalniczką, którą dostała od Tony'ego na Boże Narodzenie.

- Strasznie tu zimno, kochanie - poskarżyła się, drżąc na całym ciele. - Co się stało z waszym ogrzewaniem?

- Jest mi ciągle gorąco, to chyba z powodu ciąży - wyjaśniła Sofia, która miała na sobie tylko koszulkę polo bez rękawów.

- Możliwe, ale co z nami wszystkimi? Dziwię się, że David to wytrzymuje.

- David jest aniołem. W ubiegłą niedzielę pojechał do sklepu specjalnie po słoiczek oliwek, bo miałam na nie ochotę. Po prostu musiałam je zjeść.

- Nigdy nie lubiłam oliwek - oświadczyła Zaza. - Moim zdaniem są obrzydliwe... No, ale do rzeczy. Otwórzmy tę walizkę, żebym mogła pokazać ci, co przywiozłam. Nie, skarbie, ty siedź spokojnie, sama się tym zajmę.

Zaza ostrożnie otworzyła walizkę, trzymając suwak między poduszczką kciuka i knykciem palca wskazującego, żeby uniknąć połamania paznokci.

- Te spodnie nosił kiedyś Nick - powiedziała, podnosząc do góry parę spodni z czerwonego sztruku. - Śliczne, prawda?

- Idealne dla dwuletniego chłopca. - Sofia się roześmiała. - A to jest dziewczynka - dodała, kładąc dłoń na wypukłości brzucha.

- Nie bądź taka pewna - rzekła Zaza. - Kształt brzucha wskazuje na chłopca, mówię ci.

Pamiętam, że mój był podobny, kiedy byłam w ciąży z Nickiem. Ach, Nick był naprawdę cudownym dzieckiem...

- Ale ja wiem, że urodzę dziewczynkę. Czuję to.

- Ubranka nie mają znaczenia, w każdym razie do pewnego wieku - powiedziała Zaza autorytatywnie.

- Dla mnie mają - odparła spokojnie Sofia. - To jest prześliczne - dorzuciła, wyciągając spod stosu rzeczy małą białą sukieneczkę. - Coś dla dziewczynki... - To sukienka Angeli, rzeczywiście bardzo ładna. Szkoda, że dzieci tak szybko wyrastają z tych rzeczy...

- Bardzo miło z twojej strony, że chcesz mi je pożyczyć - powiedziała Sofia, oglądając parę malutkich niebieskich bucików.

- Nie pożyczam, ale daję ci je, głuptasie. Nie będą mi już potrzebne, nie sądzisz?

- A Angela? Te rzeczy mogą się jej w przyszłości bardzo przydać.

- Dobry Boże! - prychnęła Zaza. - Angela! Angela przechodzi teraz etap buntu, mówi, że nie cierpi mężczyzn i że kocha się w dziewczynie imieniem Mandy.

- Prawdopodobnie robi to głównie po to, żeby cię zirytować.

- I świetnie jej się to udaje, chociaż oczywiście nie przejmuję się tą całą Mandy...

- Nie?

- Nie. Kiedyś sama miałam słabość do kobiet, ale przeszło mi to jeszcze w szkole. Znacznie bardziej martwią mnie zmienne nastroje Angeli. Jest niegrzeczna, wręcz opryskliwa, nie okazuje nam nawet odrobiny szacunku, wydaje nasze pieniądze i ciągle chce więcej. Uważa, że świat powinien leżeć u jej stóp. Wolałabym wychować dziesięciu Nicków niż jedną Angelę. Sądząc po jej obecnym stosunku do życia, te rzeczy nigdy nie będą jej potrzebne. - Zaza wbiła pomalowane na ostrą czerwień paznokcie w zrobione na drutach małe kapciuszki. - Pod tym względem liczę na Nicka, ale naturalnie na razie jestem jeszcze dużo za młoda i za atrakcyjna, żeby zostać babcią. Widziałas ostatnio Ariellę?

- Nie. Jest bardzo zajęta, dostaje zlecenie za zleceniem.

- Ten wasz dziecięcy pokój jest piękny jak marzenie - rzekła Zaza, podnosząc wyskubane brwi i z podziwem kiwając głową. - Ariella naprawdę ma wielki talent.

- Obiecała przyjechać na ostatni weekend w marcu - powiedziała Sofia. - Może wpadniecie z Tonym? David bardzo się ucieszy. Przyjadą też moi przybrani rodzice, Dominique i Antoine. Na pewno nie będziemy się nudzić. Założę się, że polubisz Dominique...

- Och, sama nie wiem... Ariella i ja nigdy nie byliśmy ze sobą w zbyt dobrych stosunkach. Nie lubiłam jej, jeśli mam być szczerą.

- To było wiele lat temu, teraz obie jesteście innymi osobami. Skoro ja polubiłam Ariellę, to ty także poczujesz do niej sympatię, zobaczysz. Przyjedźcie, proszę. Nie mogę jeździć konno, a poza lekcjami fortepianu nie mam właściwie nic do roboty, więc potrzebuję dobrego towarzystwa.

Zaza zastanawiała się przez chwilę.

- Dobrze, z radością przyjedziemy - powiedziała wreszcie. - Przynajmniej przez trzy dni nie będę musiała wykłócać się z Angelą. Dzieciaki będą miały dom tylko dla siebie.

- Więc wszystko ustalone - rzekła Sofia. - Świetnie.

Marzec mijał powoli, przeganiany przez niecierpliwą wiosnę, która zasypała ogród zawilcami i wczesnymi żonkilami. Brzuch Sofii uwypuklał się coraz bardziej, pełen rozwijającego się błogosławieństwa. Dziecko poruszało się i kopało zwykle wtedy, gdy Sofia siedziała spokojnie. Czasami widziała, jak mała piąstka lub stopa napina skórę na jej brzuchu,

kiedy indziej czuła, że dziecko tańczy w rytm melodii, które grała na fortepianie podczas lekcji. "Żółw", Harry Humphreys, z wyraźnym przerażeniem obserwował spod oka, jak bluzka Sofii porusza się w tajemniczy sposób. David lubił przytulać głowę do jej brzucha i słuchać, jak maleństwo wykonuje rozmaite ewolucje. Całymi godzinami rozmawiali o dziecku, zastanawiając się, jakie cechy odziedziczy po każdym z nich.

- Będzie miała twoje głębokie, brązowe oczy - mówił David, całując powieki Sofii.

- Nie, twoje, piękne i niebieskie - odpowiadała.

- Twój nos.

- Na to się zgadzam. - Sofia się śmiała, z czułością całując duży nos męża.

- Twoje wargi.

- Oczywiście. Ale twoją inteligencję.

- Jasne.

- Moje ciało...

- Mam nadzieję, bo przecież ma być dziewczynką. Twój talent jeździecki i twoją odwagę.

- Twój łagodny charakter zamiast mojego uporu.

- I twoją dumę.

- Dobrze, już dobrze, nie wytykaj mi mojej dumy!

- Twój zabawny sposób chodzenia.

- Wcale nie jest taki znowu zabawny...

- Ależ jest! - zawołał David. - Chodzisz jak kaczką!

Sofia roześmiała się głośno.

- Naprawdę? - zapytała, chociaż doskonale wiedziała, że David ma rację.

Santi zarzucał jej czasami, że chodzi w ten sposób, aby zwrócić na siebie uwagę. Twierdził, że ten specyficzny chód sprawia, iż Sofia wygląda na bardzo zadowoloną z siebie i trochę arogancką, lecz ona po prostu nie umiała chodzić inaczej.

- Jeżeli to chłopiec...

- To nie jest chłopiec, ale dziewczynka - powiedziała z naciskiem. - Wiem, że to dziewczynka.

- Druga Sofia! Niech Bóg nam pomoże!

Sofia zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała w delikatne miejsce za uchem. David przytulił ją mocno. Miał nadzieję, że pragnienie Sofii spełni się i wkrótce będą cieszyć się obecnością maleńkiej dziewczyneczki, równie cudownej i uroczej jak jej matka.

Ariella przyjechała jako pierwsza. Z trudem powstrzymała wściekłość, kiedy Sofia powiedziała jej, że Zaza także będzie w Lowsley.

- Cóż, jakoś to zniosę - westchnęła ciężko, kiedy David zaniósł jej walizkę do pokoju na górze.

Sofia asystowała jej przy rozpakowywaniu, leżąc na łóżku i wydając instrukcje, gdy szczekanie psów obwieściło pojawienie się samochodu. Wyrzała przez okno i pomachała do Zazy oraz Tony'ego.

- David jest na dole - powiedziała, wracając do łóżka.

- Nie schodźmy do nich na razie, dobrze? - zaproponowała Ariella. - Dziwnie się czuję, kiedy przyjeżdżam tutaj i uświadamiam sobie, że ten dom nie należy do mnie. Jest taki piękny, że chwilami się zastanawiam, dlaczego w ogóle stąd wyjechałam - zażartowała.

- Za to ja cieszę się, że to zrobiłaś, więc nie zmieniaj zdania, bardzo proszę.

- Dobrze, skoro nalegasz...

Do pokoju wpadły psy, prowadząc Davida, Tony'ego i Zazę.

- Ariello, kochanie, tak dawno się nie widziałyśmy! - wykrzyknęła Zaza, rozciągając wargi w sztucznym uśmiechu.

Ariella uśmiechnęła się chłodno.

- Parę lat. Jak się masz, Zazo? Widzę, że nadal jesteś z Tonym - rzekła, patrząc, jak mężczyźni przechodzą do następnego pokoju.

- Och, Tony jest tak dobry i kochany, że trudno byłoby znaleźć kogoś lepszego. - Zaza zaśmiała się nerwowo. - Doskonale wyglądasz, Ariello - dodała.

Mogła powiedzieć o Arielli wiele złych rzeczy, ale nie byłaby w stanie skrytykować jej wspaniałej, świetlistej urody.

- Dziękuję, ty także - odparła uprzejmie Ariella, smukłą białą dłonią przyglądając srebrzyste włosy.

- Świetnie ci wyszedł ten pokój - skomplementowała ją Zaza. - To był naprawdę błyskotliwy pomysł...

- Na to wygląda, bo teraz nie mogę opędzić się od zamówień - powiedziała Ariella.

- To wspaniale, kochanie. Jesteś wybitnie utalentowaną osobą. Nie miałam pojęcia, że tak dobrze malujesz.

- Ilustracje dla dzieci nie są moją specjalnością, ale to coś nowego, a ja lubię nowe rzeczy.

- Właśnie - przytaknęła Zaza.

Sofia zaprowadziła Zazę do jej pokoju, zostawiając Ariellę samą, aby mogła spokojnie skończyć rozpakowywanie rzeczy.

- Skarbie, dlaczego mi nie powiedziałaś, że ona jest taka śliczna! - syknęła Zaza, kiedy wyszły na korytarz.

- Przecież ją znasz, i to od wielu lat.

- Tak, ale teraz jeszcze wypiękniała! Nigdy dotąd nie promieniała tak wielką urodą! Wygląda znakomicie i jest znacznie miłsza niż kiedyś!

- To dobrze - powiedziała Sofia, z zainteresowaniem obserwując, jak Zaza wpada w nieco dziecinne podniecenie.

Dominique i Antoine przyjechali ostatni. Ich samolot bardzo się spóźnił; wysiedli z samochodu mocno zmęczeni, ale mimo wszystko w dobrym nastroju. - Antoine przyrzekł, że kupi mi odrzutowiec - oświadczyła Dominique, wchodząc do holu i przepychając się między psami. - Uroczyście obiecał, że już nigdy więcej nie będę musiała podróżować zwykłymi liniami. Za bardzo mnie to stresuje i źle wpływa na mój wygląd...

- Tak jest - potwierdził Antoine z wyraźnym francuskim akcentem. - Jeżeli kupię odrzutowiec, zresztą dlaczego tylko jeden, przecież mogę kupić dziesięć, poza Dominique będą mogli nimi podróżować jej wszyscy znajomi i przyjaciele.

Sofia podeszła, aby ich uściskać, chociaż przyszło jej to z widocznym trudem.

- Jeszcze tydzień lub dwa i będę mogła przytulić was z bliska - zażartowała, wdychając znajomy zapach perfum Dominique.

- Kiedy dziecko ma się urodzić? - zapytał Antoine.

- Cher Antoine, mówiłam ci już wiele razy, mniej więcej za dziesięć dni - wtrąciła Dominique. - A ściślej rzecz biorąc, w każdej chwili...

- Mam nadzieję, że jesteś gotowy zakasać rękawy, kochanie - powiedziała Zaza do Davida.

- Ja też jestem gotowy - rzucił żartobliwie Tony. - Byłem przy narodzinach mojej dwójki, chociaż od tamtego czasu mogłem trochę wyjść z wprawy.

- To nie jedyna rzecz, w której przydałaby się wprawa - wymamrotała pod nosem Zaza.

Ariella uśmiechnęła się lekko i zerknęła na Tony'ego. Uwaga Zazy bynajmniej jej nie zaskoczyła. Tony wyglądał na faceta, który znacznie lepiej czuje się wśród kolegów niż z żoną. Jej uwagę odwrócił nagle Quid, który zdecydowanym ruchem wetknął nos między jej uda.

- Na miłość boską! - jęknęła, starając się odepchnąć psa. Niewiele to dało, ponieważ Quid zaparł się łapami i z wyraźną satysfakcją pomachał ogonem.

- Przestań, Quid! - rozkazał mu z rozbawieniem David. - Quid! Przepraszam cię, Ariello, on po prostu nie przywykł do tak intensywnie pachnących kobiet. Dajże spokój, Quid, zachowuj się jak należy! Nie powinieneś traktować w ten sposób dam, dżentelmen tak nie postępuje!

- Dlaczego nie możesz nauczyć się mówić do swoich psów jak należy, Davidzie? - zirytowała się Ariella. - Przecież to nie są ludzie, słowo daję!

Z westchnieniem otrzepała spodnie i przemaszerowała przez hol do salonu, gdzie zrzuciła buty i usiadła na sofie, podwijając nogi pod siebie, aby uniknąć wszelkiego kontaktu z okropnym Quidem, który obserwował ją łakomie zza Davida. Dominique, ubrana w obszerne zielone spodnie i jasny kwiecisty sweter do kolan przysiadła obok parawaniku przed kominkiem i zaczęła bawić się koralami, które zwisały jej z szyi niczym kolekcja lśniących czerwonych żuków. Zaza stanęła z drugiej strony kominka, usiłując przybrać wdzięczną pozę, w każdym razie tak to oceniała Sofia. W jednej wysoko uniesionej dłoni trzymała papierosa w hebanowej cygaretkce, drugą delikatnie poprawiała krótkie brązowe włosy przycięte na gładkiego pazia. Jej zielone oczy czujnie rozglądały się po pokoju spod lekko przymrużonych powiek. Raz po raz zerknęła na Ariellę, wołała bowiem mieć się na baczności. Doskonale pamiętała, że Ariella ma język ostry jak zęby rekina i jest równie krwiożercza. David, Antoine i Tony stali przy oknie i toczyli rozmowę o ogrodzie.

- Może macie ochotę zapolować na króliki? - zaproponował David. - W ogrodzie jest ich mnóstwo, a chętnie pozbylibyśmy się chociaż części tych szkodników.

- Nie bądź niedobry! - zawołała Sofia z łóżka. - Biedne maleństwa...

- Jak to, biedne maleństwa? - zaprotestował David. - Zjadają wszystkie cebulki! Więc jak, panowie?

- Jestem gotowy - zaofiarował się Tony.

- Comme vous voulez. - Antoine lekko wzruszył ramionami. - Jeżeli chcecie...

Następny dzień był bardzo łagodny jak na marzec. Słońce przegoniło zimowe mgły i świeciło jasno, zadowolone, że wreszcie udało mu się przedrzeć przez chmury. Ariella i Zaza zjawiły się na śniadaniu elegancko ubrane w weekendowe stroje. Spodnie i żakiet z zielonego tweedu, które miała na sobie Zaza, wyglądały na kupione dwa dni temu, natomiast plisowana spódnica i kamizela Arielli należały jeszcze do jej babki i lata nadały im przyjemnej

miękkości i barwy. Zaza z zazdrością spoglądała na Ariellę, która uśmiechała się, emanując pewnością, że niezależnie od okazji zawsze wygląda doskonale.

David otworzył szafkę z bronią i wybrał wiatrówki dla siebie oraz dla Antoinea i Tonyego. Wszystkie stanowiły kiedyś własność jego dziadka, znanego myśliwego, i na kolbach miały pięknie wygrawerowane inicjały E.J.H. - Edward Jonathan Harrison.

Sofia otuliła się kożuchową kurtką Davida i wzięła długą laskę, aby z jej pomocą trzymać psy na dystans. Gdy wszyscy zgromadzili się na wyźwirowanym podjeździe przed wejściem, z domu wyłoniła się Dominique w jaskrawoczerwonym płaszczu, szalu w żółto-niebieskie pasy i białych butach do tenisa.

- W tym stroju wystraszysz wszystkie zwierzęta w okolicy - zażartował śmiało Tony, spoglądając na nią z udawanym przerażeniem.

- Z wyjątkiem byków. - Ariella się roześmiała, - Uważam, że wyglądasz cudownie.

- Cherie, może lepiej pożycz jakiś płaszcz od Sofii, co? - zaproponował Antoine.

- Oczywiście, jeśli chcesz - powiedziała Sofia. - Ale ja wolałabym, żebyś się nie przebierała, bo na twój widok wszystkie króliki będą się miały na baczności, a o to chodzi...

- Skoro Sofia chce, żebym poszła w czerwonym płaszczu, to tak właśnie zrobię - zdecydowała Dominique. - A teraz chodźmy wreszcie. Muszę się przejść po tych wszystkich grzankach i wielkiej porcji jajecznicy. Naprawdę, nie ma to jak angielskie śniadanie...

Poszli doliną w kierunku lasów. Kilka razy mężczyźni zauważyli króliki i zatrzymywali panie, aby stały nieruchomo do chwili, kiedy wreszcie padał celny strzał.

- Gdybyście przestały gadać, może udałoby mi się coś ustrzelić - syknął Tony, który dotąd ciągle chybiał.

- Przepraszam, kochanie - powiedziała Zaza. - Zachowuj się tak, jakby nas tu nie było.

- Na miłość boską, Zazo, słychać was nawet w Stratfordzie!

Cała grupka powoli ruszyła dalej, podobna do pociągu osobowego, który zatrzymuje się na każdej stacji. Sofia pilnowała psów, od czasu do czasu drapała je laską po grzbietach i przywoływała do nogi. Kiedy wszystkie króliki pochowały się już w norach, spłoszone strzałami lub może intensywnymi kolorami stroju Dominique, David i Antoine wetknęli wiatrówki pod pachę i ogłosili koniec polowania. Tony, który nadal nie zdołał nic ustrzelić, gorączkowo rozglądał się za jakimś celem. W końcu wziął na muszkę pulchnego, nisko lecącego gołębia, nacisnął spust i z satysfakcją patrzył, jak w powietrzu wiruje kilka piórek. Ptak poleciał dalej.

- Zaraz spadnie - obwieścił triumfalnie.

- Chyba z głodu - mruknęła Ariella.

- No, dobra, mam już tego dosyć - warknął Tony. - Chodźmy lepiej na spacer. Część z nas powinna mniej gadać i więcej się ruszać. - Odwrócił się do Arielli, która śmiała się tak serdecznie, że musiała chwycić Zazę za ramię, aby nie upaść. - Kobiety... - westchnął. - Jak łatwo je rozbawić...

Do niedzieli Zaza i Ariella zdążyły się już zaprzyjaźnić, lecz równowaga ich przyjaźni była chwiejna. Zaza, która wciąż nie dowierzała, że Ariella nie robi jej jakiegoś złośliwego psikusa, jednocześnie podziwiała ją z całego serca i patrzyła w nią jak w obraz. Śmiała się ze wszystkich jej dowcipów, a kiedy sama coś powiedziała, natychmiast zerknęła, żeby nie przegapić reakcji Arielli. Zaza bawiła Ariellę, ale nic poza tym. Ariella świetnie zdawała sobie sprawę z władzy, jaką daje jej wielka uroda, i z nieukrywaną przyjemnością obserwowała olśnioną nią Zazę. Sofia z uśmiechem przyglądała się tej grze. Widziała, z jaką łatwością Ariella bawi się Zaza, i polubiła ją za to jeszcze bardziej.

Kiedy wieczorem Sofia wchodziła na górę, usłyszała, jak Zaza i Tony kłócą się w swoim pokoju, pakując rzeczy przed wyjazdem, i przystanęła na podeście schodów.

- Nie zachowuj się w tak idiotyczny sposób! - odezwał się Tony pobłaźliwie, zupełnie jakby mówił do córki. - Po co ci to wszystko, Zazo?

- Przykro mi, kochanie, ale wcale nie oczekiwałam, że mnie zrozumiesz - odparła Zaza.

- Jak mogę cię zrozumieć? Jestem mężczyzną.

- To nie ma nic wspólnego z płcią. David na pewno by zrozumiał, o co mi chodzi.

- Usiłujesz się popisać, i to za wszelką cenę.

- Nie chcę rozmawiać o tym tutaj - syknęła Zaza, która najwyraźniej obawiała się, że ktoś ich podsłucha.

Sofia poczuła się winna, ale wyrzuty sumienia zaraz minęły.

- Więc dlaczego poruszyłaś ten temat? - zapytał Tony.

- Nie mogłam się powstrzymać.

- Jesteś strasznie dziecinna, moja droga. Zupełnie jak Angela.

- Nie porównuj mnie z Angelą! - warknęła Zaza.

- A na czym polega różnica? Ty chcesz uciec do Francji z Ariellą, Angela kocha się w Mandy...

- Różnica polega na tym, że ja jestem dość dorosła, żeby wiedzieć, co robię.

- To potrwa najwyżej miesiąc - westchnął Tony. - Jedź, jeśli chcesz, ale Ariella rzuci cię jak gorący kartofel, kiedy się tobą znudzi.

Dokładnie w tej chwili Sofia poczuła ostry ból w dole brzucha. Oparła się o ścianę i krzyknęła głośno. Tony i Zaza wyjrżeli z pokoju, żeby zobaczyć, co się dzieje i rzucili się jej na pomoc.

- O, Boże, dziecko! - zawołała podniecona Zaza.

- Niemożliwe - wydyszała Sofia. - Do daty porodu brakuje jeszcze dziesięciu dni.

Och, jak boli! - jęknęła, zginając się wpół.

Tony runął w dół po schodach, wołając Davida, a Dominique i Ariella wybiegły z salonu do holu. Antoine poszedł za przykładem Tonyego i zaczął szukać Davida. Chwilę później David wypadł z pokoju na dole, gdzie czyścił wiatrówkę, i zobaczył, jak zdenerwowana do nieprzytomności Zaza sprowadza po schodach jego żonę. Rzucił na ziemię nasączoną smarem szmatę i z wyciągniętymi ramionami podbiegł do Sofii. Sam i Ouid skakały podekscytowane, z nadzieją, że ktoś weźmie je na jeszcze jeden spacer.

- Dominique, weź płaszcz Sofii - wykrztusił David, obmacując swoje kieszenie. - Gdzie kluczyki? Wszystko w porządku, kochanie?

Sofia skinęła głową, żeby go uspokoić.

- Weź moje! - Ariella rzuciła mu kluczyki do swojego samochodu, nie spuszczając wzroku z Quida.

- Dziękuję!

- Nie ma za co - odpowiedziała Ariella.

Ouid ruszył ku niej, najwyraźniej zdecydowany na wszystko.

Dominique pomogła Sofii włożyć płaszcz.

- Jadę z wami - powiedziała. - Antoine, musisz sam wrócić do Paryża. Ja zostaję tutaj.

- Jak długo zechcesz, cherie - odparł serdecznie.

- Ouid, nie! - wrzasnęła Ariella, rozpaczliwie szukając wzrokiem Davida.

Niestety, David był już w samochodzie, o czym dobitnie świadczył dźwięk włączonego silnika. Ariella zrozumiała, że będzie musiała sama poradzić sobie z psem.

- Rozegramy to między sobą, pieseczku! - warknęła. - Tylko pamiętaj, że nie biorę jeńców

- To naprawdę niezwykle - oświadczyła Zaza. - Pierworodne dzieci zawsze się spóźniają.

Sofia była przerażona. Nie miało to nic wspólnego z porodem, nie bała się ani o siebie, ani o dziecko. Wiedziała, że wszystko jest w porządku i maleństwo po prostu straciło cierpliwość, czemu wcale się nie dziwiła. Lęk budziła w niej wyłącznie myśl, że przecież może urodzić chłopca.

- Gdzie jest Dominique? - zapytała niespokojnie, kiedy wwieziono ją na salę porodową.

- Czeka na dole - odparł David drżącym głosem.

- Boję się... - wyjąkała Sofia.

- Kochanie...

- Nie chcę chłopca - jęknęła ze łzami. - Co ja zrobię, jeśli będzie podobny do Santiguita? Chyba tego nie zniosę...

David mocno ścisnął jej rękę.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - powiedział łagodnie, starając się zachować spokój.

Jeszcze nigdy nie był tak zdenerwowany, jego żołądek podskakiwał jak piłeczka tenisowa. Sofia była nieszczęśliwa, a on nie potrafił jej pomóc, nie wiedział nawet, jak ją pocieszyć. I w do datku było mu słabo. Skupił całą uwagę na żonie, lecz Sofia wcale nie sprawiała wrażenia uspokojonej. Pamięć ciągle podsuwała jej obraz małej, okrągłej buzi Santiguita. Jak mogła pomyśleć, że uda jej się pokochać inne dziecko? Może w ogóle nie powinna zachodzić w ciążę...

- Boję się, Davidzie - powtórzyła.

Usta miała zupełnie wyschnięte, chciało jej się pić.

- Proszę się niczym nie denerwować, pani Harrison - odezwała się pielęgniarka. - To pani pierwsze dziecko, więc nic dziwnego, że odczuwa pani pewien niepokój...

To nie jest moje pierwsze dziecko, chciała zawołać Sofia, lecz z jej gardła wydobył się tylko krzyk bólu. Nagle okazało się, że nie ma już czasu myśleć o synku. Zaczęła przeć i z całej siły wbiła paznokcie w dłoń Davida, pozostawiając na jego skórze krwawe ślady. Pierwszy poród był długi i bolesny, tymczasem teraz dziecko, ku jej wielkiemu zaskoczeniu, wy dostało się na świat z prędkością i zdecydowaniem osoby, która pragnie jak najprędzej znaleźć się w nowym, bardziej ekscytującym miejscu. Przyjmujący poród lekarz lekko klepnął dziecko w pośladki, salę wypełnił ostry, krótki krzyk. Potem noworodek złapał oddech i przestał krzyczeć.

- Ma pani śliczną małą córeczkę, pani Harrison - powiedział, podając dziecko pielęgniarce.

- Córeczkę? - zapytała Sofia słabym głosem. - Och, to dziewczynka... Dzięki Bogu...

- To była naprawdę szybka akcja! - odezwał się David, usiłując opanować ściskające go za gardło wzruszenie. - Bardzo szybka...

Pielęgniarka położyła owinięte w cienką pieluszkę dziecko na piersi matki, aby Sofia mogła przytulić małą i spojrzeć w jej czerwoną, pomarszczoną twarzyczkę. Była przyzwyczajona do takich sytuacji, więc odwróciła się taktownie, dając dumnemu ojcu parę chwil na rozmowę z żoną.

- Mała dziewczynka... - westchnął David, delikatnie odchylając rąbek pieluszki. - Bardzo podobna do swojej mamy...

- Jeżeli tak właśnie wyglądam, to chyba powinnam się poddać, Davidzie - zażartowała Sofia.

- Byłaś bardzo dzielna, kochanie - szepnął. - Dokonałaś cudu...

Wargi mu drżały, kiedy patrzył na maleńką ludzką istotę, przytuloną do matki.

- To prawdziwy cud - zgodziła się Sofia, czule całując wilgotne czołko córeczki. - Popatrz, jaka jest śliczna... Ma taki malutki nosek, zupełnie jakby Bóg zapomniał o nim i przylepił go dopiero w ostatniej chwili...

- Jak ją nazwiemy? - zapytał David.

- Wiem tylko, jakiego imienia na pewno jej nie damy.

- Elizabeth? - Roześmiał się. - Jak nazywała się twoja babka ze strony ojca?

- Honor. Może wolałabyś imię twojej matki albo babki?

- Honor... - powtórzyła Sofia.

- Bardzo ładne imię. I bardzo angielskie. Podoba mi się.- Honor Harrison... - powiedział David.

- Tak, mnie też się podoba. Matka wpadnie w furię - nienawidziła swojej teściowej.

- Więc jednak coś mnie z nią łączy - mruknęła Sofia z ironią.

- Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że to możliwe.

- Honor Harrison, będziesz piękna, zdolna, inteligentna i dowcipna. - Sofia się uśmiechnęła. - Masz najlepsze cechy nas obojga i możesz być pewna, że zawsze będziemy cię kochać. Powiedz Dominique, że chciałabym się z nią zobaczyć, Davidzie. Jest tu ktoś, kogo chciałabym jej przedstawić.

Następnego dnia w szpitalu zjawili się objuczeni prezentami i kwiatami Daisy, Anton,

Maggie i Marcello. Anton przyniósł nożyczki, żeby podciąć Sofii włosy, a Maggie miniaturowy zestaw do manicure, aby pomalować jej paznokcie. Marcello wdzięcznie osunął się na krzesło i siedział nieruchomo, milczący i piękny, jakby właśnie pozował do portretu. Daisy przysiadła na brzegu łóżka, z pełnym uwielbienia wyrazem twarzy zaglądając do malutkiego łóżeczka obok.

- Udajemy dziś Trzech Króli, skarbie - oświadczyła Maggie. - Przynieśliśmy dary dla nowego Mesjasza, chociaż chyba nie wpadliśmy na ten pomysł jako pierwsi - dodała, zerkając na rozsiane po całym pokoju bukiety i podarunki.

- Ale przecież jest was czworo - zauważyła Sofia.

- Nie, Marcello się nie liczy - odparła Maggie. - Jest obecny ciałem, lecz nigdy duchem.

- Przyjechaliśmy dopieścić mamusię - rzekł Anton, szczotkując włosy Sofii. - Nie wiem, jak to jest urodzić dziecko, ale widziałem kiedyś film dokumentalny o porodzie i o mało mnie to nie wykończyło.

- Nie przejmuj się tak, przecież nigdy nie będziesz musiał przez to przechodzić - powiedziała Sofia, przyglądając się, jak kosmyki jej włosów opadają na pościel lekko jak piórka.

- I dzięki Bogu! - Maggie parsknęła śmiechem. - Wyobrażasz sobie te jęki i zawodzenie? Gdyby mężczyźni rodzili dzieci, nawet tacy półmężczyźni jak Anton, zaludnienie spadłoby do jednej dziesiątej. Miejmy nadzieję, że nauka nie zrobi aż takich postępów, w każdym razie nie za mojego życia...

- Nie ten fioletowy lakier, Maggie, błagam! - zaprotestowała Sofia. - Może jasnoróżowy?

- Naturalny? - Maggie była zdumiona.

- Tak, bardzo proszę. Jestem teraz matką - odparła z dumą Sofia.

- Cały ten urok macierzyństwa wkrótce zblednie, możesz mi wierzyć - oznajmiła Maggie. - Po kilku tygodniach nieustających wrzasków będziesz gotowa zrobić wszystko, żeby wepchnąć ją sobie z powrotem do brzucha. Pamiętam, że Lucien doprowadzał mnie do rozpacz. O mały włos nie podałam go jako dodatku do niedzielnej pieczeni. Jeszcze trochę i będziesz modliła się o dawną niezależność, skarbie. Kiedy zapragniesz fioletowych paznokci i zielonych włosów, pamiętaj, że ja i Anton jesteśmy zawsze gotowi pospieszyć ci z pomocą, prawda, Anton?

- Oczywiście, Maggie. Ludzie są teraz nieprawdopodobnie nudni, w najlepszym razie chcą trochę rozjaśnić sobie włosy, macie pojęcie? I co w tym jest ekscytującego, pytam?

- Nie powiedziałaś nam jeszcze, jak się czujesz, skarbie - rzekła Maggie. - Na pewno jesteś cała obolała. Dziwię się, że możesz usiąść. Ja jeszcze nie doszłam do siebie po

urodzeniu Luciena, chociaż było to ponad dwadzieścia lat temu. Ciało nigdy nie wraca do dawnej formy, kochanie. To smutne, ale prawdziwe. Viv uwielbiał moje ciało, dopóki nie urodziłam Luciena. Potem zaczął rozglądać się za kimś jędrniejszym w odpowiednich miejscach. Podobno skóra i mięśnie są jak guma, i szybko przyjmują pierwotny kształt, lecz najwidoczniej moje ciało nie ma nic wspólnego z gumą. Kiedyś mogłam bez trudu dosięgnąć palców u nóg, a teraz nawet nie mogę ich dostrzec. Myślę, że to wszystko właśnie z powodu ciąży. Tak jest, obwiniam za to Ewę. Gdyby to ten tchórz Adam zjadł jabłko, nie byłybyśmy dziś tłuste i zwiotczałe, prawda?

- Mów za siebie, Maggie - odezwała się Daisy, szeroko uśmiechając się do przyjaciółki. - Sofia jest w świetnej formie. Jak się czujesz, kochanie? Czy poród jest naprawdę taki straszny, jak mówi Maggie?

- Maggie zawsze przesadza - roześmiała się Sofia. - Szczerze mówiąc, wszystko poszło szybko i łatwo. David ma podrapaną rękę, ale poza tym jest szczęśliwy i dumny, podobnie jak ja.

- Gdzie jest cudny David? - zapytał z udawaną zmysłowością Anton. - Zawsze miałem pewną słabość do twojego mężusia... - Zerknął na Marcella, który nawet nie drgnął, odkąd zajął miejsce na krześle.

- Niedługo wróci - powiedziała Sofia. - Nie może dojść do siebie, biedak.

- Ona jest taka słodka - zaświergotała Daisy, zaglądając do łóżeczka małej. - Cichutka jak mała myszka.

- Nie powinnaś nazywać ją „myszką”, skarbie - zirytowała się Maggie. - Matki zawsze uważają, że ich dzieci są najpiękniejsze na świecie. Ja też byłam tego zdania, dopóki Lucien nie dorósł.

- Jeżeli chcesz porównać ją do jakiegoś zwierzątka, wykaż się większą wyobraźnią, kaczuszek - zasugerował Anton, cofając się o parę kroków, żeby lepiej ocenić swoje dzieło. - Porównanie do myszki jest strasznie trywialne.

W tej chwili drzwi otworzyły się szeroko i stanęła w nich Elizabeth Harrison. Jej głęboko osadzone oczy obiegiły pokój, szukając wśród obcych twarzy Sofii, a chuda, pomarszczona szyja, podobna do szyi żółwia, poruszała się w tę i z powrotem pod wysuniętym podbródkiem.

- Czy to jest pokój pani Harrison? - szczerknęła. - Kim są ci wszyscy ludzie?

Sofia zerknęła na Maggie, która właśnie dmuchała na jej świeżo pomalowane paznokcie.

- Przyszła zła wiedźma z Północy - syknęła.

Maggie spokojnie podniosła wzrok.

- Naprawdę? Jesteś pewna, że to ona? Przypomina mi kogoś ze znajomych Antona...

- Chcę zobaczyć moją wnuczkę - oznajmiła Elizabeth, nie witając się z synową, i przeкуstykała przez pokój w stronę łóżka. - To jest szpital, nie jakiś wulgarny salon fryzjerski - prychnęła pogardliwie.

- Przydałoby ci się dobre strzyżenie, kaczuszko. - Anton po kiwał głową, kiedy przechodziła obok niego. - Ta fryzura jest już niemodna i tylko podkreśla twój wiek.

- Kim pan jest, na Boga? - Elizabeth nerwowo szarpnęła się do tyłu. - Kim są ci ludzie?

- To moi przyjaciele, Elizabeth. Anton, Daisy, Maggie i... I Marcello, ale na Marcella nie zwracaj uwagi, bo on nie życzy sobie, aby z nim rozmawiać, wystarcza mu, kiedy się go podziwia. - Sofia zachichotała. - A to moja teściowa, Elizabeth Harrison.

Elizabeth ominęła Marcella dużym łukiem i pochyliła się nad łóżeczkiem. Sofia instynktownie przyciągnęła małą do siebie, jakby obawiała się, że babka może rzucić na nią zły urok.

- Jak ma na imię? - zapytała Elizabeth ostrym tonem.

- Honor - odrzekła Sofia z uśmiechem.

- Honor? - ze złością powtórzyła stara kobieta. - Okropne imię. Honor, też coś!

- To piękne imię. Nazwaliśmy ją tak na cześć babki Davida, pani teściowej. Powiedział mi, że bardzo ją kochał.

- Honor to idealne imię dla aktorki lub piosenkarki, nie sądzisz, Anton? - odezwała się Maggie.

- Na pewno dla kogoś, kto będzie występował na scenie - po twierdził Anton.

- Gdzie jest David? - rzuciła starsza pani Harrison.

- Wyszedł - odparła Sofia zimno.

Prawdopodobnie wyczuł, że przyjdiesz, ty okropna, cuchnąca stara bestio, pomyślała.

- Powiedz mi, że tu byłam - poleciała Elizabeth i utkwiła wzrok w twarzy Sofii. - David jest moim jedynym synem - rzekła powoli zachrypniętym głosem, załamującym się z powodu nadmiaru wydzieliny w oskrzelach. - A ta mała moją jedyną wnuczką. Wolałabym, żeby ożenił się z kimś ze swojej klasy i ze swojego kraju. Ariella była idealną żoną dla kogoś takiego jak on, ale oczywiście okazał się za głupi, żeby to dostrzec. Jego ojciec był taki sam. Trudno. Tak czy inaczej, dałaś mu dziecko. Szkoda, że to nie chłopiec, który odziedziczyłby nazwisko i zapewnił trwałość linii, ale sądzę, że następnym razem urodzisz syna. Nie podobasz mi się ani ty, ani twoi przyjaciele, lecz muszę przyznać, że trochę się starasz. Powiedz mi, że cię odwiedziłam - powtórzyła.

Odwróciła się i opuściła pokój, lecz za moment drzwi znowu się otworzyły i Elizabeth

stanęła w progu.

- Zapomniała o miotle - burknął Anton.

- Może jednak chce rzucić urok - dodała Sofia.

- Powiedz też Davidowi, że nie będę nazywać dziecka imieniem, które wybraliście - oświadczyła staruszka. - Niech wymyśli jakieś inne.

I ponownie zamknęła za sobą drzwi.

- Jaka miła starsza dama! - zakpiła Daisy.

- Cóż ja bym zrobił z jej włosami... - zacmokał David.

- Szkoda zachodu, skarbie - powiedziała Maggie. - Ona nie długo kopnie w kalendarz.

Wtedy, ku zaskoczeniu wszystkich, Marcello poruszył się na krześle.

- Porca miserial - przemówił leniwie. - Ta baba kopnęła w kalendarz już dawno temu.

Kiedy David przyszedł do szpitala dwie godziny później. Sofia karmiła małą Honor. Stanął w nogach łóżka i obserwował ją z uszczęśliwionym wyrazem twarzy. Oboje uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo. David nie potrafił znaleźć właściwych słów, żeby wyrazić swój podziw dla potęgi natury, i nie chciał za kłócić tej chwili przyziemnymi uwagami. Stał więc spokojnie i w milczeniu przyglądał się, jak umacnia się tajemnicza więź między matką i córką. Sofia z czułością wpatrywała się w twarzyczkę Honor, ciesząc się każdym ruchem małej i idealną wyrazistością jej rysów.

Honor skończyła jeść, więc Sofia owinęła ją w pieluszkę oraz kocyk i ułożyła do snu.

- Prawie nie mogę się zdobyć, aby wypuścić ją z ramion - szepnęła, delikatnie głaszcząc palcem aksamitną główkę dziecka.

- Mam dla ciebie zaskakującą wiadomość - rzekł David, siadając na brzegu łóżka i całując żonę.

- Ja dla ciebie też - odparła Sofia. - Ale mów pierwszy.

- Nie wiem, czy zdołasz w to uwierzyć. Zaza rzuciła Tony'ego i wyjechała do Prowansji z Ariellą.

- Masz rację, to niewiarygodne! - wykrztusiła Sofia. - Nie zdążyłam ci o tym powiedzieć przed wyjazdem do szpitala, ale usłyszałam, jak Zaza i Tony kłócili się w swoim pokoju. Nie rozumiałam, o czym mówią, lecz teraz wszystko jest jasne. Czy to pewna wiadomość, kochanie?

- Tony zadzwonił godzinę temu, żeby mi o tym powiedzieć.

- Jak to ujął?

- Zwyczajnie - że uciekły razem, i tyle. Uważa, że Zaza wróci przed upływem miesiąca, bo Ariella znudzi się nią i poszuka sobie kogoś bardziej interesującego.

- Był zły?

- Nie, raczej zirytowany. Mówi, że Angela jest wściekła i oburzona, ponieważ wyczyn matki przyćmił jej wybryki. Wyznała Tony'emu, że tak naprawdę nigdy nie czuła nic do Mandy i kocha chłopca imieniem Charlie. Natomiast Nick przyjął to bardzo spokojnie.

- Wcale mnie to wszystko nie dziwi - westchnęła Sofia.

- Tak czy inaczej, Tony nie ma Zazie za złe tego eksperymentu. Powiedział, że kiedy Zaza spadnie z chmur na ziemię, co wcześniej czy później się zdarzy, pomoże jej wrócić do równowagi. Ariella bawi się Zazą jak podstępna biała kocica, która zapędziła dużą, tłustą myszkę do kąta. Nie wątpię, że czerpie z tego sporo satysfakcji. Nigdy nie lubiła Zazy, co prawdopodobnie do daje smaczku całej aferze.

- Myślisz, że skontaktują się z nami? - zapytała Sofia, która bardzo chciała dowiedzieć się czegoś więcej.

- Oczywiście. Będą chciały ci pogratulować. A jaka jest twoja nowina? - David wziął Sofię za rękę i pogłaskał ją czule.

- Teściowa z piekła rodem zjawiała się tu dziś rano.

- Ach, tak... - powiedział David ostrożnie.

- Zgadnij, kto tu był, kiedy przysłała.

- Nie zgadnę. Kto?

- Anton, Maggie, Marcello i Daisy. - Sofia uśmiechnęła się trochę złośliwie.

- O, Boże! - westchnął David. - Musiała być przerażona.

- Masz rację, była. Powiedziała, że nie podoba jej się imię Honor, więc będziesz musiał wymyślić inne, zupełnie jakbym ja nie miała nic do powiedzenia w tej sprawie.

- Zgodnie z jej sposobem myślenia, nie masz.

- Wydaje mi się, że spłoszyliśmy ją, ale nie jestem pewna.

- Nie przejmuj się, ja się nią zajmę.

Wiedział już, że będzie musiał zadzwonić do matki i stoczyć z nią kolejną bitwę w wojnie, którą toczyli od wielu lat. Bezsensowny konflikt, który wybuchł, ponieważ matka nie była w stanie kontrolować jego życia, płonął wciąż żywym ogniem podsycanym narastającą zgorzkniałością, zżerającą duszę staruszki. Najgorsze, że jedynym rozwiązaniem tej sytuacji wydawała się jej śmierć. David wyobraził sobie nagle, jak jego biedny ojciec drży w

zaświatach, przerażony myślą, że pewnego dnia jego żona, podobna do czarnej chmury, dołączy do niego.

Ciszę rozdarł dzwonek telefonu.

Sofia szybko podniosła słuchawkę.

- Zaza! - wykrzyknęła z podnieceniem.

David uniósł brwi.

- Och, kochanie, odwaliłaś kawał dobrej roboty! - szczebiotała Zaza. - Wiem już, że urodziłaś dziewczynkę i że nazwaliście ją Honor - to takie śliczne imię... Na pewno oboje szalejecie z radości.

- Tak, jesteśmy bardzo szczęśliwi. Jak się czujesz? Gdzie jesteś? - zapytała Sofia niecierpliwie, ciekawa nowin Zazy.

Była już odrobinę znudzona opowiadaniem o narodzinach Honor wszystkim przyjacielom, którzy do niej dzwonili.

- Jestem we Francji.

- Z Ariellą?

- Tak. Na pewno Tony wyplakał się już Davidowi w rękaw, to typowe dla niego. - Zaza westchnęła melodramatycznie. - Plotki rozeszły się już po całym Londynie, prawda?

- Nie, nie sądzę - odparła Sofia, porozumiewawczo mrugając do męża. - David jest uosobieniem dyskrecji.

- No, tak. - Zaza powiedziała to z wyraźnym rozczarowaniem. - Ariella stoi obok mnie i chce z tobą porozmawiać. Świetnie się bawimy i myślimy o was i o waszej córeczce. Pozdrów Davida, Sofio. Nie mogę teraz z nim rozmawiać, bo Ariella jest tutaj... - Zaza zniżyła głos. - Wiesz, o co mi chodzi...

- Wiem i na pewno przekażę mu pozdrowienia - powiedziała Sofia. - Daj mi Ariellę, dobrze?

- Gratuluję ci. Sofio. - W słuchawce zabrzmiał spokojny głos Arielli.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała poważnie Sofia.

- Och, robię sobie krótką przerwę.

- Kiedy zamierzasz wrócić?

- Kiedy odzyskam Alaina. Wtedy odeślę też Zazę do Tony'ego. Mam wrażenie, że jej powrót zdoła go trochę rozgrzać. - Roześmiała się lekko.

- Jesteś zepsuta do szpiku kości - powiedziała Sofia, nie ukrywając rozbawienia.

- Wcale nie jestem zepsuta, po prostu robię im obojgu dużą przysługę. Zaza potrzebuje ekscytującej przygody, a Tony'emu potrzebna jest nowa Zaza. Zresztą Zazie też przyda się nowa Zaza, możesz mi wierzyć.

- Chyba powinnam być ostrożniejsza, kiedy jesteś w pobliżu - roześmiała się Sofia.

- Nie martw się, nie jesteś w moim typie. Jesteś zbyt inteligentna. Nie, ty nie dostarczyłabyś mi ani trochę rozrywki.

Tej nocy Sofia miała dziwny sen. Siedziała na łóżku w szpitalnym pokoju, rozmawiając z Ariellą i Zazą, które usiłowały przekonać ją, żeby zostawiła Davida i wyjechała z nimi do Prowansji. Sofia śmiała się i kręciła głową, a one pogodnie i również ze śmiechem powtarzały, że jednak powinna z nimi pojechać, bo nowe życie bardzo by się jej spodobało. Nagle drzwi otworzyły się i do pokoju wkroczyła kobieta, cała w czerni. Była przygarbiona, przypominała wronę i utykała, ciągnąc za sobą jedną nogę. Widocznie cuchnęła, ponieważ Ariella i Zaza cofnęły się, zatykając nosy, i rozplynęły się we mgle. Wtedy kobieta sięgnęła do łóżeczka i chwyciła małą Honor. Sofia z krzykiem złapała córeczkę pod paszki i starała się wyrwać ją kobiecie, która była tak brzydka i zdeformowana, że w ogóle nie sprawiała wrażenia ludzkiej istoty.

- Obiecałaś dać mi swoje dziecko - powiedziała do Sofii. - Nie możesz teraz złamać słowa. Niespodziewanie przemieniła się w Elizabeth Harrison i utkwiała w Sofii wodniste, wyłupiaste oczy, które pływały w oczodołach jak dziwaczne ostrygi.

Pielęgniarka musiała obudzić Sofię, która rzucała się po łóżku i krzyczała, zlane zimnym potem. Kiedy się ocknęła, popatrzyła na pielęgniarkę dużymi, przerażonymi oczami, jakby jeszcze nie do końca rozumiała, że wyrwała się z koszmarne snu i jest już bezpieczna.

- Wszystko w porządku, pani Harrison? Śniło się pani coś złego - powiedziała pielęgniarka ze współczuciem.

- Chcę wrócić do domu - zaszlochała Sofia. - Chcę do męża...

Następnego dnia David zabrał ją do domu. Kiedy znalazła się w bezpiecznych murach Lowsley, szybko zapomniała o złym śnie i wiedźmie, która usiłowała porwać jej dziecko. Często siadała przy ogniu, wesoło rozmawiając z Hazel, opiekunką do dziecka, która trzymała Honor na rękach i usypiała łagodnym kołysaniem. Sam i Quid układały się u jej stóp, z zadowoleniem stukając ogonami o podłogę, David pracował w gabinecie za ścianą i Sofia cieszyła się powrotem do normalnego życia. Czasami myślała o Zazie i Tonym, i zastanawiała się, czy dla nich życie kiedykolwiek będzie takie jak dawniej.

Rozdział trzydziesty czwarty

Honor czołgała się dookoła stołu w jadalni w kostiumie lwiątko, który Sofia kupiła dla niej w Hamleys, gniewnie rycząc na swoją przyjaciółkę Molly. Molly biegła tuż przed Honor, piszcząc z udawanego przerażenia. Inne dzieci, które przyszły na przyjęcie z okazji trzecich urodzin Honor, skupiły się w kuchni, nieśmiało zerkając na Sofię zza nóg swoich mam. Ale Honor nie bała się niczego. Często znikwała na całe godziny i Sofia odnajdywała ją leżącą na brzuszku w trawie i obserwującą gąsienicę lub ślimaka, które wzbudziły jej zaciekawienie. Fascynowało ją wszystko, szczególnie przyroda, i zawsze była pewna, że matka lub niania w końcu po nią przyjdą.

Mama powiedziała, że dziś jest zupełnie wyjątkowy dzień, jej urodziny. Honor umiała śpiewać Happy Birthday i często robiła to w domach innych dzieci, ale dzisiaj to jej goście zaśpiewają dla niej. Potem będzie mogła zdmuchnąć świece na własnym torcie. Honor uwielbiała zdmuchiwać świece i zdarzało się, że ku zażenowaniu matki robiła to w czasie przyjęć urodzinowych swoich koleżanek i kolegów, którzy wtedy zaczynali głośno płakać i trzeba było zapalać świece od nowa. Dziś jednak mogła zdmuchnąć świece bez żadnych obaw.

Urodziny Honor były dla Sofii i Davida okazją do uczczenia trzech lat radości, jakie podarowała im córka. W ciągu tych lat serce Sofii wprost rosło ze szczęścia. Dziadek Dwyer zawsze mawiał, że celem życia jest dawanie miłości, przekazywanie jej innym ludziom. Sofia wierzyła, że dziadek byłby z niej dumny, ponieważ jej serce dosłownie pulsowało teraz miłością. Z każdym dniem kochała swoją córkę coraz mocniej, z wielką radością obserwując, jak Honor zmienia się i buduje własną, bardzo silną osobowość. Spędzała z nią wiele godzin, rysując, czy tając, zabierając na długie spacerunki po łąkach i polach i wożąc ją na małym kucyku imieniem Jeż, którego Honor dostała na ostatnią Gwiazdkę. Dziewczynka była ciekawa świata i odważna. Zawsze miała przy sobie swoją najlepszą przyjaciółkę Hoo, chusteczkę z niebieskiego jedwabiu, którą prawie dwa lata temu po darował jej David, i której bliskość dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Kiedy Hoo czasami gdzieś się zapodziała, wszyscy szukali jej tak długo, aż się znalazła i mogła wrócić do zaniepokojonej właścicielki, która nie mogła bez niej zasnąć.

- Honor! - zawołała Hazel najgłośniejszym głosem, czyli nie zbyt głośno, bo była dość leciwa.

Hazel zjawiła się w Lowsley zaraz po narodzinach Honor, początkowo na miesiąc. Po miesiącu David i Sofia poprosili, żeby została z nimi i na stałe zaopiekowała się ich dzieckiem. Hazel potraktowała to jako wielki komplement i zgodziła się, ponieważ w krótkim czasie serdecznie polubiła podopieczną i jej rodziców.

Nieco później, kiedy poznała Freddiego Rattraya, mogła tylko pogratulować sobie tej decyzji. Freddie Rattray był wdowcem i prowadził farmę razem z córką Jaynie. Sofia i wszyscy inni nazywali go „Rattie”, lecz Hazel nie mogła zdobyć się na tak poufale zwrot. Dla niej Rattie był Freddie, i to tylko dlatego, że błagał ją, aby nie zwracała się do niego per „panie Rattray”.

- Czuję się wtedy bardzo staro - zwierzył jej się w końcu. - „Fredzie” to ktoś, kto ma jeszcze przed sobą sporo dobrych lat, a ja wcale nie zamierzam szybko przechodzić na tamtą stronę.

Hazel zaśmiała się lekko w odpowiedzi i przyglądała wilgotną dłonią lśniące siwe włosy, które zawsze ściągała w porządną kok na karku. Bardzo często zabierała Honor do stajni i towarzyszyła Freddiemu, gdy brał dziewczynkę na przejażdżki na Jeżu. Sofia, która zwykle szybko wyczuwała rozwijające się uczucia, była tym razem zbyt zajęta córką, by zwrócić uwagę na czułe spojrzenia i zalotny śmiech, dobiegający ze stajni.

- Honor, czas na podwieczorek! - zawołała Hazel, wkraczając do jadalni, gdzie dwie dziewczynki beztrąsko goniły się dookoła stołu.

Chwyliła Honor, która usiłowała przegalopować obok niej, i pomogła małej wyplątać się z kostiumu. Honor prosiła wcześniej, aby przebrać ją w „ładną sukienkę” przed podwieczorkiem i Sofia śmiała się z jej wyczucia okazji.

- Chodźmy zobaczyć, co przygotowała mamusia - powiedziała Hazel, kiedy Honor była już gotowa.

- Czekoladowe chrupki! - zawołała Honor, wytrzeszczając z radości niebieskie oczy.

- Czekoladowe chrupki! - powtórzyła Molly, biegnąc za przyjaciółką.

W kuchni Sofia pomagała innym mamom sadzać dzieci przy stole. Johnny Longacre płakał, ponieważ Samuel Pettit uderzył go w nos, a Quid zdążył już polizać małą Amber Hopkins po buzi, co jej matka uważała za wysoce niehigieniczne i niezdrowe. Biegała po kuchni zła jak osa, szukając czystej ściereczki, żeby mogła wytrzeć policzek córki.

- Usiądź, Honor, moje kochanie - powiedziała spokojnie Sofia. - Spójrz, czy te kanapki w kształcie motylków nie są zabawne?

- Mogę wziąć czekoladową chrupkę? - zapytała Honor, wyciągając rączkę po ulubiony przysmak.

- Nie, najpierw musisz zjeść kanapkę z marmite - oświadczyła Sofia, krzywiąc się z niesmakiem, ponieważ jej palce nadal pachniały pastą marmite.

- Sofio, czy mogłabyś zabrać stąd psa? - jęknęła matka Amber. - Usiłuje zjeść kanapkę mojej córki...

Sofia poprosiła Hazel, żeby zamknęła Quida w gabinecie.

- Mnie też mogłabyś tam umieścić! - roześmiała się. - W ten sposób uniknęłabym całej góry kłopotów.

- Sofio, Joey nie dostał pianki - poskarżyła się matka Joey'a. - Nie ma już ani jednej, a on uwielbia pianki.

Na jej twarzy malował się wyraz okropnego niepokoju na myśl, że jej ukochany synek będzie musiał obejść się bez pianki. Sofia pomyślała, że twarz mamy Joey'a przypomina jedną z tych śmiesznych mordek, jakie Honor malowała na podawanych na śniadanie jajkach na twardo.

W tej chwili drzwi kuchni otworzyły się i do środka weszła Zaza, ubrana w jasnobrązowe zamszowe spodnie i tweedowy żakiet. Jej umalowane jaskrawoczerwoną szminką wargi wygięły się żałośnie, kiedy zobaczyła pomieszczenie pełne rozwrzeszczanych dzieci i ich nadopiekuńczych mamus.

- Dobry Boże, co się tutaj dzieje? - wysapała z przerażeniem, całując policzek Sofii, która przedarła się między dziećmi, aby ją przywitać. - Jeżeli to są przyjaciele Honor, to mam nadzieję, że z czasem nauczy się wybierać takich, którzy zachowują się trochę ciszej.

Zaza wytrzymała sześć tygodni w Prowansji z Ariellą i Alainem.

- Zorientowałam się, że już nie jestem jej potrzebna - wyznała Davidowi. - Alain był cudowny, chociaż bardzo roztargniony. Prawie nigdy nie zauważał naszej obecności, ale cóż, Ariella za nim szaleje. Spełniłam swoje zadanie i zostawiłam ich samych.

Tony powiedział Zazie, że wróciła jako o wiele bardziej interesująca kobieta, cokolwiek to miało znaczyć, i dodał żartobliwie, że zastanawia się, czy w następnym roku nie wysłać jej na drugi taki kurs. Sofia cieszyła się, że wszystko wróciło do normy, i była zaskoczona tym, jak bardzo brakowało jej obecności Zazy.

- To przyjęcie przeradza się w prawdziwy koszmar - westchnęła, patrząc, jak dzieci opychają się czekoladą. - Dam sobie rękę uciąć, że jedno z nich zaraz zwymiotuje...

Zaza przezornie cofnęła się o kilka kroków.

- Byle nie na moje zamszowe spodnie, bo skręcę kark - powiedziała groźnie.

- Usiądź sobie w salonie, tam jest najbezpieczniej - poradziła Sofia.

- Szczerze mówiąc, przyjechałam tylko po to, by ci powiedzieć, że Tony postanowił wydać duże przyjęcie z okazji moich pięćdziesiątych urodzin. - Uśmiechnęła się szeroko. - Nie wiem, czy powinnam się cieszyć, czy popełnić samobójstwo. Tak czy inaczej, oboje chcielibyśmy zaprosić was na lunch, już teraz, chociaż będzie to dopiero za dwa miesiące.

- Z radością przyjedziemy.

Na szczęście nie mieszkamy daleko od siebie, prawda?

- Na szczęście. A teraz, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chyba rzeczywiście ucieknę do salonu i tam przeczekaam to pandemonium. Przyjdź do mnie, kiedy wszyscy wreszcie pójdą.

Rozradowana buzia Honor była umazana czekoladą i oblepiona okruchami tortu. W jej jasnych, kręconych włosach tkwiło mnóstwo owocowych drażetek, którymi ozdobił je

zakochany w Honor Hugo Berrins. Ten sam Hugo obrzucał teraz galaretką pozostałe dzieci. Sofia przewróciła oczami i oparła się o kuchenny blat obok Hazel.

- Myślisz, że Honor będzie jeszcze kiedyś wyglądać jak normalne, czyste dziecko? - zapytała ze zmęczeniem. Zauważyła, że ostatnio ciągle czuła się zmęczona. Hazel uśmiechnęła się i oparła dłonie na rozłożystych biodrach.

- Gdyby nie ten mały potworek - rzekła, wskazując Hugona Berrinsa - byłaby czyściutka jak po kąpielu. Kiedy dzieci pójdą, natychmiast zabiorę ją na górę i zmyję z niej te wszystkie słodczyce.

- Ale jest zadowolona, prawda?

- Uwielbia znajdować się w centrum uwagi i uważa, że wszyscy powinni ją podziwiać.

- O, Boże! - jęknęła Sofia. - Dobrze wiem, po kim to odziedziczyła!

Wreszcie znużone matki otuliły swoje dzieci ciepłymi kurtkami, płaszczami i wyprowadziły je w chłodny marcowy wieczór, żegnając się z Sofią i Honor do najbliższego poniedziałku. Sofia pomachała wszystkim, zachwycona, że przyjęcie już się skończyło, i postanowiła inaczej zorganizować czwarte urodziny Honor.

- Nie przeżyję jeszcze jednego takiego piekiełka - powiedziała do Hazel. - Może w przyszłym roku urządzimy tylko skromny podwieczorek?

- Och, przeżyje pani jeszcze niejedne takie urodziny, pani Harrison. Zawsze mnie zdumiewało, że te biedne matki rok po roku decydują się na coś takiego, ale cóż, dzieci są tym zachwycone.

Hazel wzięła śpiącą Honor za rękę i ruszyła z nią ku schodom na górę. Sofia pocałowała małą w nosek, który był jedyną częścią twarzy nie pokrytą czekoladą i galaretką, i poszła do salonu w poszukiwaniu Zazy.

Zaza siedziała przy kominku, paląc papierosa i czytając książkę o argentyńskich posiadłościach wiejskich.

- Co tam masz? - zapytała Sofia, siadając obok niej.

- Książkę pod tytułem Argentyńskie posiadłości wiejskie. Pomyślałam, że może chciałabyś ją przejrzeć.

- Od kogo ją dostałaś?

- Od Nicka. Właśnie stamtąd wrócił, zachwycony polo i całą resztą.

- Naprawdę? - zapytała Sofia obojętnym tonem.

- To piękna książka. Czy twój dom był taki jak te na zdjęciach?

- Tak, dokładnie taki.

- Nick grał w polo z jednym z twoich znajomych. Mówił mi, że rozmawiali o tobie. Ten Argentyńczyk przyjechał teraz do Anglii razem z żoną. Zawodowo gra w polo i podobno dość dobrze cię zna.

- Jak się nazywa? - zapytała Sofia, nie do końca pewna, czy chce usłyszeć odpowiedź.

- Roberto Lobito - odparła Zaza, spod zmrużonych powiek obserwując twarz Sofii.

Nick powiedział jej, że Sofia miała skandaliczny romans z kimś, kogo jej rodzice nie byli w stanie zaakceptować, i że właśnie dlatego wyjechała z Argentyny. Zaza zastanawiała się, kim był ten mężczyzna. Kiedy po jej nowinie Sofia wyraźnie się odprężyła, Zaza pospiesznie skreśliła Roberta Lobita z listy podejrzanych.

- Ach, Roberto... - Sofia się zaśmiała. - Zawsze doskonale grał w polo.

- Jego żona to olśniewająca piękność. Wydaje mi się, że zamierzają zostać tu do jesieni. Zaprosiłam ich na swoje urodzinowe przyjęcie - mam nadzieję, że nie sprawiłam ci przykrości...

- Skądże znowu.

Zaza wydmuchała nosem spory kłęb dymu i zaraz zaczęła machać dłonią, aby przegnać dym sprzed twarzy Sofii, która nienawidziła papierosów.

- Chyba nigdy nie widziałam tak pięknej kobiety jak Eva Lobito - westchnęła, znowu zaciągając się papierosem.

- Eva Lobito? - powoli powtórzyła Sofia.

Natychmiast przypomniała sobie Evę Alarcon i przyszło jej do głowy, że może to być ta sama osoba. Była to jedyna Eva, jaką знаła.

- Jak wygląda? - zapytała z zaciekawieniem.

- Bardzo jasne, srebrzyste włosy, pociągła twarz, oliwkowa skóra, zgrabne, długie nogi. Ładnie się śmieje i mówi po angielsku z wyraźnym akcentem. Po prostu urocza.

Teraz Sofia nie miała już żadnych wątpliwości - ten opis pasował wyłącznie do Evy Alarcon. Po tych wszystkich latach miała znowu zobaczyć Evę i Roberta. Wiedziała, że ich widok wywoła wiele szczęśliwych wspomnień i naturalnie nieunikniony smutek, ale była ich ciekawa, i ta ciekawość okazała się silniejsza od obaw. Niecierpliwie czekała na przyjęcie u Zazy, niczym pijak spragniony alkoholu, choć wiedziała, że ceną za krótką chwilę przyjemności będzie ostry ból głowy i złe samopoczucie.

Sofia posadziła sobie Honor na kolanach, objęła ją mocno, zgodnie z wieczornym rytuałem, i pocałowała jasny, aksamitny policzek.

- Mamo, kiedy urosnę, będę taka jak ty - odezwała się dziewczynka.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się Sofia.

- A kiedy urosnę jeszcze bardziej, będę taka jak tatuś.
- Chyba jednak nie, kochanie.
- Ależ tak, na pewno - oświadczyła Honor. - Będę taka sama jak tatuś.

Sofia roześmiała się cicho, zaskoczona wizją procesu dorastania, jaką stworzyła jej córeczka.

Kiedy o dziewiątej trzydzięci wreszcie wsunęła się pod kołdrę, David pocałował ją w czoło.

- Ostatnio szybko się męczysz - zauważył.
- To prawda. Nie wiem dlaczego.
- Może znowu jesteś w ciąży?

Sofia spojrzała na niego ze zdumieniem.

- W ogóle o tym nie pomyślałam - powiedziała. - Byłam tak pochłonięta Honor i końmi, że zapomniałam o liczeniu dni cyklu. Och, Davidzie, niewykluczone, że masz rację. Mam nadzieję, że rzeczywiście jestem w ciąży.

- Ja też mam taką nadzieję. - Uśmiechnął się i pochylił nad nią, żeby znowu ją pocałować. - Może czeka nas następny cud...

Rozdział trzydziesty piąty

Sofia przysiadła na pniu drzewa, które kiedyś górowało nad tymi wzgórzami. Ubiegłej jesieni powalił je silny październikowy wiatr. Nic nie jest niezwyciężone, pomyślała, a przyroda jest potężniejsza od nas wszystkich. Rozejrzała się dookoła, ciesząc się cudownym czerwcowym porankiem. Położyła dłoń na brzuchu. Nie posiadała się z radości, że rozwija się w niej nowe życie, lecz chwilami ogarniał ją wielki smutek na myśl, że jej rodzina nie wie, jaka jest szczęśliwa. Przywoływała na pamięć twarze Roberta Lobita i Evy Alarcon, takie, jakie zapamiętała sprzed dwudziestu laty i usiłowała wyobrazić sobie, jak bardzo się zmienili.

Niepokoili ją nie myśl, że ma się z nimi spotkać, ale że mogłaby ich nie zobaczyć. Gdyby w ostatniej chwili zrezygnowali z udziału w przyjęciu, czułaby się bardzo rozczarowana. Od kilku tygodni przygotowywała się na to popołudnie i jej ciekawość rosła z każdym dniem. Przyjęła do wiadomości fakt, że wkrótce pozna nowiny z kraju i teraz nie potrafiła znieść myśli, że Eva i Roberto mogliby się nie pojawić u Zazy i Tony'ego. Pragnęła za wszelką cenę dowiedzieć się, co dzieje się z Santim.

Po powrocie do domu miała jeszcze trochę czasu, aby wziąć kąpiel i wybrać odpowiedni strój. Spędziła godzinę, przymierzając sukienki i kostiumy pod okiem zdeorientowanych Sama i Ouida. Psy patrzyły na nią z czułością i entuzjastycznie machały ogonami, niezależnie od tego, co włożyła.

- Wcale mi nie pomagacie! - zawołała Sofia, rzucając kolejny komplet na łóżko.

Kiedy David stanął w progu, Sofia, odwrócona do niego plecami, gorączkowo usiłowała naciągnąć suknię na biodra. Chwilę obserwował ją niepostrzeżenie, lecz radość psów zdradziła jego obecność.

- Jestem gruba! - wymamrotała, ze złością odrzucając następną suknię.

- O co chodzi? - zapytał David, stając za nią i obejmując ją ramionami.

Zmierzyła krytycznym spojrzeniem ich wspólne odbicie w lustrze.

- Jestem gruba - powtórzyła.

- Nie jesteś gruba, kochanie, jesteś w ciąży.

- Nie chcę być taka gruba. Nic na mnie nie wchodzi.

- W czym czujesz się najbardziej swobodnie?

- W piżamie - odparła zbuntowanym tonem.

- Więc włóż piżamę. - David pocałował ją i poszedł do łazienki.

- To wcale nie jest taki zły pomysł - radośnie stwierdziła Sofia, wyjmując białą jedwabną piżamę z komody.

Gdy David wrócił do pokoju, stanęła przed nim w spodniach od piżamy i luźnej koszulce.

- Jesteś genialny, Davidzie - oświadczyła z uśmiechem, podziwiając swoje odbicie.

David skinął głową, lawirując wśród leżących na podłodze butów i sukien, aby dostać się do swojej garderoby. Sam i Quid przyglądały się Sofii z wyraźną aprobatą.

Tony rozbił wielki biały namiot w ogrodzie, prawdopodobnie na wypadek deszczu, lecz dzień był pogodny i gorący, więc goście stali w słońcu, ubrani w kwieciste suknie i jasne garnitury, popijając szampana i podziwiając duży dom z czerwonej cegły oraz kwiaty, które rosły dosłownie wszędzie. Zaza podbiegła, żeby ucałować Davida i Sofię, lecz zaraz znikła, starając się dogonić i zatrzymać jednego z kelnerów, który przedwcześnie wyłonił się z domu z tacą zastawioną półmiskami z wędzonym łososiem.

Zaza nie umiała wypracować własnego stylu, ale była dość bystra, by rozpoznać rzeczy w dobrym guście. Wydała wiele tysięcy ciężko zapracowanych przez Tony'ego funtów na dekoratorów wnętrz i specjalistów od planowania terenów zielonych, pragnąc przeistoczyć dom w rezydencję, której fotografie mogłyby śmiało trafić na stronie modnego magazynu „Domy i Ogrody”. Sofia doceniała estetyczną perfekcję Pickwick Manor, lecz uważała, że Zaza przykłada zbyt wielką wagę do detali.

Wkrótce Sofia wsiąkała w tłum gości i zaczęła z niepokojem szukać wzrokiem twarzy Ewy i Roberta.

- Sofio, cudownie, że znowu cię widzę - zaczepił ją jakiś obcy mężczyzna.

Pochylił się, żeby pocałować ją w policzek, i Sofia poczuła nieprzyjemny zapach łososia i szampana. Cofnęła się i zmarszczyła lekko brwi.

- George Heavyweather - przedstawił się, wyraźnie rozczarowany. - Chyba pamiętasz, gdzie się poznaliśmy?

Sofia westchnęła z irytacją, przypominając sobie pozbawionego taktu idiotę, obok którego siedziała na przyjęciu cztery lata wcześniej.

- Na przyjęciu u lana Lancastera - odparła obojętnie, wpatrując się w tłum za jego plecami.

- Właśnie! Strasznie dawno się nie widzieliśmy! Gdzie się podziewałaś? Może nie zauważyłaś, że wojna się skończyła. - George roześmiał się, rozbawiony swoim dość marnym żartem.

- Przepraszam cię - powiedziała Sofia, decydując się odłożyć dobre maniery na półkę.
- Właśnie zauważyłam kogoś, z kim chciałabym porozmawiać...

- Cóż, trudno... - wyjąkał jowialnie. - Pogadamy później. Na pewno nie, jeżeli będę mogła temu zaradzić, pomyślała, przeciskając się przez tłum.

Sofia i David przyjechali dość późno. Sofia przez całe pół godziny szukała wszędzie Ewy i Roberta, by wreszcie się dowiedzieć, że jej dawni znajomi zdecydowali się inaczej spędzić po południe. Znalazła ławkę w cieniu gałęzi pięknego cedru, z dala od tłumy, i usiadła na niej, zmęczona i rozdrażniona. Czas płynął powoli, zbyt powoli. Miała ochotę wrócić do domu i zastanawiała się, czy ktoś zauważyłby, gdyby niepostrzeżenie wymknęła się z ogrodu.

- Sofia? - odezwał się nagle ciepły, niski głos za jej plecami. - Szukałam cię.

- Eva? - Sofia szybko wstała i zamrugała ze zdumieniem, wpatrując się w elegancką, srebrzystowłosą kobietę, która nie spodziewanie stanęła przed nią.

- Hace anos, tyle lat! - westchnęła, serdecznie obejmując Sofię i całując ją w policzek.

Sofii zakręciło się w głowie, kiedy poczuła zapach wody toaletowej Evy, ten sam cytrynowy aromat, który pamiętała sprzed dwunastu lat.

Obie usiadły na ławce.

- Myślałam, że nie przyjdziecie - odezwała się Sofia po hiszpańsku, ujmując dłoń Evy i ściskając ją mocno, jakby obawiała się, że ta może w każdej chwili zniknąć.

- Spóźniliśmy się, bo Roberto nie mógł znaleźć drogi - Eva roześmiała się dźwięcznie.

- Tak się cieszę, że cię widzę - powiedziała Sofia, ogarniając spojrzeniem nadal młodzieńczo piękną twarz Evy. - W ogóle się nie zmieniłaś...

- Ty także nie.

- Kiedy wyszłaś za Roberta? - zapytała Sofia. - Gdzie on jest?

- Gdzieś w tym tłumie przed nami. Pobraliśmy się trzy lata temu. Po skończeniu szkoły wyjechałam do Buenos Aires i tam spotkałam Roberta na jakimś przyjęciu. Mamy synka, który także ma na imię Roberto - jest cudowny. Ach, widzę, że jesteś w ciąży. - Położyła dłoń na ledwie zauważalnej krągłości brzucha Sofii.

- Mam już trzyletnią córeczkę. - Sofia się uśmiechnęła.

Twarzyczka Honor natychmiast wyłoniła się z mgły, która w tajemniczy sposób spowijała głowę Sofii od początku rozmowy z Evą.

- Como vuela el tiempo, jak ten czas leci! - Eva z nostalgią po kręciła głową.

- To prawda. Od naszego spotkania tamtego lata minęło już dwanaście lat. Dwanaście lat... Kiedy patrzę na ciebie, wydaje mi się, że to było wczoraj.

- Sofio, nie mogę udawać, że nie wiem, dlaczego opuściłaś Argentynę. Gdybym tak się zachowała, nasza przyjaźń byłaby podszyta fałszem. - Jasnoniebieskie oczy Evy pytająco patrzyły w twarz Sofii. Wzięła jej rękę między długie, śniade palce i uścisnęła ją mocno. - Z całego serca proszę cię, żebyś wróciła do domu - powiedziała łagodnie.

- Jestem tu szczęśliwa, Evo. Poślubiłam wspaniałego człowieka, mamy córkę i drugie dziecko w drodze. Nie mogę teraz wrócić. Moje miejsce jest tutaj. - W głosie Sofii zabrzmiała nuta paniki.

Nie spodziewała się, że Eva tak szybko nawiąże do przeszłości.

- Ale czy nie mogłabyś przynajmniej ich odwiedzić albo dać znać, że nie dzieje ci się nic złego? Zostaw przeszłość za sobą. W ciągu ostatnich dziesięciu lat wydarzyło się mnóstwo rzeczy, więc jeżeli nie odezwiesz się do nich teraz, może być za późno. Co będzie, jeśli już nigdy nie będziesz w stanie nawiązać z nimi kontaktu. Mimo wszystko to twoja rodzina...

- Powiedz mi, co u Marii. - Sofia spróbowała skierować rozmowę na interesujący ją temat.

Wiedziała, że Eva nigdy nie zrozumie, dlaczego tak naprawdę zerwała stosunki z rodzicami.

Eva cofnęła ręce i złożyła je na kolanach.

- Wyszła za mąż - odpowiedziała.

- Za kogo?

- Za Eduarda Maraldiego, lekarza. Rzadko ją widuję, ale kiedy spotkałyśmy się ostatnim razem, miała dwoje dzieci i chyba oczekiwała trzeciego, już nie pamiętam. Teraz wszyscy znajomi mają dzieci, dlatego trudno mi zapamiętać, kto ile ma. Wiesz, że Fernando jest uchodźcą i przebywa w Urugwaju?

- Uchodźcą?

- Tak. Zaangażował się w ruch oporu przeciwko Videli. Jest zdrowy i mógł wrócić do Argentyny po zmianie rządu, ale wydaje mi się, że więzienne przeżycia tak nim wstrząsnęły, że woli mieszkać i pracować w Urugwaju. Był torturowany i...

- Torturowali go?

Eva opowiedziała Sofii, jak służba bezpieczeństwa splądrowała dom Miguela i Chiquity i jak aresztowany Fernando w cudowny sposób zdołał przedostać się do Urugwaju. Sofia siedziała bez ruchu, przerażona tym, co usłyszała, i przejęta żalem, że w tych ciężkich chwilach nie mogła wesprzeć swojej rodziny.

- To było okropne - ciągnęła Eva. - Roberto i ja odwiedziliśmy go kiedyś. Ma dom w Puma del Este, nad samym brzegiem morza. Jest innym człowiekiem - dodała, przypominając sobie zbuntowanego, wiecznie nadąsanego chłopaka, który teraz żył jak hipis, pisząc artykuły do rozmaitych urugwajskich gazet.

- A Santi? - zapytała Sofia niespokojnie, zastanawiając się, jak odbiła się na nim ta tragedia. - Co z nim?

- Santi jest żonaty. Czasami widuję go w mieście. Nadal jest bardzo przystojny. - Eva zaczerwieniła się i z roztargnieniem przeciągnęła długim palcem po wargach. Nie zapomniała pocałunków Santiago. - Z jakiegoś powodu utyka gorzej niż kiedyś i postarzał się, ale to do niego pasuje. Dalej jest tym samym miłym Santim...

- Z kim się ożenił? - Sofia bez wielkiego powodzenia usiłowała zapanować nad demaskującym drżeniem głosu. Odwróciła wzrok i utkwiała go w koronach drzew.

- Z Claudią Calice - odparła Eva, pytająco spoglądając na Sofię.

- Nie znam jej. Jaka ona jest?

Walczyła z dobrze znanym uczuciem pustki, które znowu próbowało nią zawładnąć. Wiadomość, że Santi związał się z kimś innym, zupełnie ją przygniotła. Przed oczami jej wyobraźni natychmiast pojawiła się tamta chwila pod drzewem ambu, kiedy Santi błagał, aby uciekła z nim i wyszła za niego. W zakamarkach jej pamięci nadal brzmiało ciche echo jego słów.

- Jest bardzo elegancka, zadbana, ma ciemne, błyszczące włosy, po prostu typowa Argentynka - rzekła Eva, zupełnie nieświadoma tego, co dzieje się w sercu Sofii. - Czarująca, bardzo towarzyska, znacznie lepiej czuje się w mieście niż na wsi. Chyba nie lubi Santa Catalina i kiedyś zwierzyła mi się, że nie znosi koni. Powiedziała, że musiała ukrywać to przed Santim, który, jak wszyscy wiemy, żyje dla koni. Nie wiedziałaś, że Santi jest żonaty, Sofio?

- Oczywiście, że nie. Nie rozmawiałam z nim od... Od mojego wyjazdu. - Odchrząknęła i spuściła wzrok.

- Chyba nie z powodu Santiego nie wróciłaś do Argentyny?

- Nie, nie - odpowiedziała trochę za szybko Sofia. - Skądże znowu...

- I w ogóle z nikim się nie kontaktowałaś?

- Nie.

- Nawet z rodzicami?

- Zwłaszcza z nimi...

Eva wyprostowała się i obrzuciła Sofię zdumionym spojrzeniem.

- Nie tęsknisz za krajem? - zapytała. - Nie tęsknisz za nimi wszystkimi?

- Na początku bardzo za nimi tęskniłam, ale nawet sobie nie wyobrażasz, jak szybko można zapomnieć, kiedy jest się tak daleko od najbliższych - skłamała Sofia pospiesznie. - Zmusiłam się, żeby zapomnieć... - dodała.

Parę chwil siedziały w milczeniu. Eva zastanawiała się, jakie powody mogły skłonić Sofię do tego dobrowolnego wygnania, a Sofia myślała o Santim i jego życiu z Claudią. Próbowała wyobrazić go sobie starszego, mocniej utykającego, ale nie mogła. W jej pamięci Santi pozostał wiecznie młody.

- Agustin mieszka obecnie w Ameryce, w Waszyngtonie, wiesz? - odezwała się Eva. - Ożenił się z Amerykanką.

- Naprawdę? A Rafa? - Sofia usiłowała okazać większe zainteresowanie, niż czuła.

- Rafa już dawno temu poślubił Jasmine Penę, jakoś tak nie długo po twoim wyjeździe. Są bardzo szczęśliwi. Nie spotykam się z nimi zbyt często, bo większość czasu spędzają w Santa Catalina. Rafael zajmuje się farmą. Zawsze go lubiłam, był spokojny i

odpowiedzialny, w przeciwieństwie do innych chłopców. - Eva przypomniała sobie nieproszone zaloty Agustina.

W Buenos Aires Agustin wyrobił sobie opinię prawdziwego uwodziciela. Umawiał się z wieloma dziewczynami, czasami z kilkoma naraz. Matki ostrzegały przed nim córki, które z kolei powtarzały te uwagi swoim przyjaciółkom. Nic dziwnego, że Agustin ożenił się z Amerykanką, pomyślała Eva. Teraz ma nowy teren, na którym może prowadzić swoje łowy.

- Czy Santi jest szczęśliwy? - zapytała nagle Sofia, przygryzając dolną wargę.

- Tak, chyba tak. Wiesz, jak to jest - ludzie się żenią, mają dzieci i dość często traci się z nimi kontakt. Niekiedy widuję Santię i jego żonę, ale dużo podróżuję z Robertem. Jeżdżę z nim na mecze polo, które przecież odbywają się we wszystkich zakątkach świata. Dostyc rzadko bywam w Buenos Aires, a Santa Catalina nie widziałam od wyjazdu Fernanda. Fernando i Roberto byli sobie bardzo bliscy, lecz teraz nie bardzo mamy czas nawet na spotkania z Ferchem. Ostatni raz widziałam Santię na ślubie w Buenos Aires - przypomniała sobie.

- Opowiesz mi o tym? - poprosiła Sofia, wiedząc, że Eva może domyślić się jej uczuć.

Postanowiła jednak zaryzykować. Eva spojrzała na nią z zaciekawieniem. Nie było dla niej tajemnicą, że Sofię wysłano do Europy, aby zapomnieć o zauroczeniu kuzynem, nie miała jednak pojęcia o sile uczucia, jakie ich połączyło. Jak mogła przypuszczać, że w głębi duszy Sofia nadal opłakuje rozstanie z Santim i codziennie od nowa odkrywa, że nie jest w stanie o nim zapomnieć.

- Dobrze... Był to ślub kuzyna Roberta, który ma piękną farmę w pobliżu Santa Catalina, jakieś dwie godziny jazdy samochodem od Buenos Aires. Santi ożenił się z Claudią dwa lata wcześniej, ale ja nie miałam okazji jej poznać. Tak, pobrali się w 1983 roku, a tamten ślub odbył się zeszłego lata. Santi był bardzo spięty, musieli pokłócić się przed wyjazdem na uroczystość, bo prawie w ogóle się do siebie nie odzywali. Claudia przez cały czas bawiła się z małymi dziećmi. Ma do nich świetne podejście, zauważyłam, że biegały za nią jak szczenięta. Ja także uwielbiam dzieci. Oboje z Robertem bardzo pragnęliśmy wtedy dziecka i mam wrażenie, że Claudia i Santi także. Byli małżeństwem już od dwóch lat i Claudia patrzyła na dzieci z ogromną tęsknotą w oczach... Tak czy inaczej, rozmawiałam wtedy z Santim. Powiedział mi, że nadal często gra w polo, oczywiście nie zawodowo, tak jak Roberto. Szczerze mówiąc, Santi nie przepada za Robertem. - Eva uśmiechnęła się do siebie, zastanawiając się, czy ta antypatia nie jest przypadkiem spowodowana tym, że Santi kiedyś bardzo się nią interesował. Znowu przypomniała sobie jego pocałunki i jej policzki oblał lekki rumieniec. - To, co mówię, zapewne o niczym nie świadczy - ciągnęła. - Wydaje mi się, że Santi jest bardzo szczęśliwy z Claudią. Wtedy mieli chyba po prostu zły dzień. Twoi rodzice także tam byli. Sofio. Zawsze lubiłam ich oboje, a szczególnie twoją mamę. Jest taka ciepła i dobra...

Gdyby Sofia słuchała Ewy, na pewno zdumiałaby ją ta charakterystyka matki, lecz Sofia bujała w obłokach, pogrążona w myślach o Santim. - Zupełnie nie rozumiem, dlaczego

nie możesz wrócić - rzekła Eva. - Najtrudniejszą chwilą będzie powitanie po tylu latach, ale potem wszystko szybko wróci do normy. Nie mam cienia wątpliwości, że przyjmą cię z otwartymi ramionami.

- Ach, jest Roberto! - zawołała Sofia, widząc zmierzającego ku nim mężczyznę.

Roberto trochę się postarzał. Wysunięta dolna szczęka mocno się uwydatniła, ściągając w dół kąciki ust, przez co twarz wydawała się dziwnie ociężała, choć nadal był bardzo przystojny.

- Widzę, że poznałaś już moją żonę - powiedział, muskając dłonią długie, jasne włosy Evy.

- Poznałyśmy się dawno temu, w Santa Catalina.

- Nigdy nie kochałem żadnej kobiety tak jak kocham Evę - rzekł z naciskiem. - Dzięki niej zrozumiałem, jak piękne może być życie.

Sofia się uśmiechnęła. Roberto nigdy nie był zbyt wyrafinowany i teraz też starał się dać jej do zrozumienia, że ich dawny związek nie miał dla niego najmniejszego znaczenia. Niepotrzebnie się trudził, bo dla Sofii nigdy nie był ważny. Po krótkiej rozmowie okazało się, że właściwie nie mają sobie nic do powiedzenia.

Eva i Roberto patrzyli, jak Sofia odchodzi w kierunku namiotu, gdzie właśnie zaczęto podawać przekąski.

- Nadal jest bardzo piękna - odezwała się Eva. - Dziwna dziewczyna... Czy wyobrazasz sobie, że mógłbyś bez słowa opuścić swój dom i nigdy nie wrócić?

- Zawsze była uparta jak osioł. - Roberto wzruszył ramionami. - Rozpuszczona i niezależna. Fercho jej nie znosił.

- Wobec mnie była bardzo miła i serdeczna. Kiedy przyjechałam z wizytą do Santa Catalina, nie szczędziła wysiłków, by umilić mi czas. Nigdy tego nie zapomnę. Naprawdę ją lubię, zresztą lubię całą jej rodzinę.

- Zamierzasz powiedzieć im, że ją widziałas?

- Oczywiście, powiem Annie. - Eva zamyśliła się na chwilę. - Może się mylę, ale wydaje mi się, że Santi nie jest jej obojętny. Pytała mnie o niego, wyraźnie zależało jej, żeby się dowiedzieć, co się z nim dzieje.

- Po tylu latach? To chyba niemożliwe...

- Bardzo się mylisz, kochany. Takie rzeczy są możliwe, na prawdę. Może ona nie chce wrócić właśnie z jego powodu?

- Nie. Fercho mówił mi, że pokłóciła się z matką i ojcem. Uważał, że to oni ponoszą winę za jej wyjazd do Genewy. Jego zdaniem Sofia chciała zademonstrować swoją

niezależność i trochę ich podręczyć. Wierz mi, dobrze ją znam. Ona nie jest zdolna do spokojnego życia. Zawsze sprawiała wszystkim problemy i teraz też się nie zmieni, niezależnie od tego, jak wspomniała jest jej mąż.

- Jesteś niesprawiedliwy, Roberto. - Eva potrząsnęła głową. - Zamierzam powiedzieć Annie, że Sofia jest zdrowa i szczęśliwa. Poproszę Zazę, żeby dała mi jej adres, wtedy Anna, jeśli zechce, będzie mogła do niej napisać. Wszystko to jest takie niepotrzebne... - Westchnęła, wstając z ławki. - Ja nigdy bym cię nie zostawiła, za żadne skarby - dodała, obejmując go mocno.

- Amorcita, nie zostawiłabyś mnie, bo nigdy bym ci na to nie pozwolił. - Roberto uśmiechnął się i pocałował ją.

Zza jego ramienia Eva widziała, jak Sofia wychodzi z namiotu z mężczyzną, który musiał być jej mężem. Oboje nieśli talerze z kurczakiem i sałatką. Przez pogodną twarz Evy przemknął wyraz zaniepokojenia. Pomyślała o bólu, jaki Sofia musi znosić z powodu swego wygnania, i postanowiła położyć mu kres.

Eva miała dobre chęci, ale niewiele wiedziała o osobach, którym chciała zrobić przysługę. Kiedy Anna otrzymała list, w którym Eva opisała swoje spotkanie z Sofią, ujęła w długie, białe palce kartkę z adresem córki i zamyśliła się głęboko. Eva nie przewidziała, że matka może być równie uparta jak córka.

Anna czuła się zraniona zachowaniem córki i uważała, że została przez nią odepchnięta. Dlaczego, na miłość boską, to ona miała teraz wywieszać białą flagę? Sofia nie zadzwoniła do nich nawet w czasie wojny falklandzkiej, nie zadzwoniła także, żeby powiedzieć jej i ojcu, że zostali dziadkami, co tu zresztą dużo mówić - nie zadzwoniła ani razu. Wiedziała, gdzie są jej bliscy, znała ich numer telefonu, a jednak nie zrobiła nic, zupełnie nic. Teraz zaś spodziewała się, że to rodzice pierwsi wyciągną do niej rękę. O, nie, życie nie jest takie proste. Czy Sofia wyobrażała sobie, że oni nie mają serca? Czy myślała, że jej los nic ich nie obchodzi? Zawsze była trudna i uparta, ale to, że wyjechała na drugi koniec świata i zerwała z nimi wszelkie kontakty, było okrutne, Anna nie mogła nazwać tego inaczej.

Paco nigdy nie odzyskał pogody ducha. Zestarzał się, stał się milczący i zamknięty w sobie. Czasami Anna myślała, że sytuacja była bardziej bolesna, niż gdyby Sofia umarła. Wtedy mogliby przynajmniej opłakiwać ją otwarcie, pocieszać się wzajemnie i nie zdręzczać brakiem jakichkolwiek wiadomości. Śmierć nie jest odrzuceniem, natomiast zniknięcie Sofii z ich życia było nim, Anna nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Sofia zraniła całą rodzinę, wstrząsnęła jej fundamentami i raz na zawsze przekreśliła jej jedność. Nie, to nie Anna powinna pierwsza uczynić gest pojednania, lecz Sofia.

Starannie złożyła list od Evy i schowała go do szuflady, w której przechowywała swoje najbardziej prywatne skarby. Postanowiła nie wspominać o nim mężowi. Paco starałby się nakłonić ją, żeby skontaktowali się z córką, a Anna nie miała ochoty na następną kłótnię z powodu Sofii.

Rozdział trzydziesty szósty

Listopad 1997 roku

To bardzo dziwne, ale naprawdę można kochać kogoś przez całe życie. Niezależnie od tego, jak daleko znajduje się ukochana osoba, jej wspomnienie zawsze nosi się w sercu. Tak właśnie było z Sofią. Nigdy nie przestała kochać Santiago i małego Santiguita. Wiedziała, że powinna zapomnieć o nich i mocno za trzasnąć drzwi, odgradzając się od tamtego rozdziału życia, ale nie potrafiła tego zrobić. Pamięć o nich zamknęła w specjalnej szkatułce, którą złożyła na dnie duszy, ale pewne sprawy nigdy nie umierają, co najwyżej przycichają na pewien czas.

Opuściła Argentynę jesienią 1974 roku, zrozpaczona i pełna złych przeczuć, ale nawet przez chwilę nie myślała, że wróci dopiero po dwudziestu czterech latach. Czas mijał tak szybko i oto nagle pewnego dnia przeszłość wezwała ją do powrotu do domu.

Buenos Aires, 14 Pazdziernika 1997

Najdroższa Sofio!

Przepraszam, że tak długo do Ciebie nie pisałam. Wiem, że Ty i Maria straciłyście ze sobą kontakt wiele lat temu i właśnie dlatego piszę. Nie znam słów, które mogłyby złagodzić wiadomość, jaką muszę Ci przekazać- Maria umiera na raka. Codziennie patrzę, jak po woli odchodzi. Nie masz pojęcia, jakie to trudne, kiedy ktoś, kogo kochasz z całego serca, znika Ci z oczu, a Ty nic nie możesz na to poradzić. Czuję się zupełnie bezużyteczna.

Zdaję sobie sprawę, że Wasze drogi się rozeszły, ale Maria nadal bardzo Cię kocha i Twoja obecność byłaby dla niej wielkim pocieszeniem i ukojeniem. Wyjeżdżając, zostawiłaś po sobie okropną pustkę i smutek, wszyscy boleśnie to odczuliśmy. Ani przez chwilę nie przypuszczaliśmy, że na zawsze wykreślisz nas ze swego życia. Żałuję, że nikt nie zrobił wysiłku, aby przekonać Cię do powrotu. Nie wiem, jak to się stało i mam ogromne wyrzuty sumienia. Znam Cię, Sofio, i zdaję sobie sprawę, że to "wygnanie" musiało Ci sprawić wielki ból.

Proszę Cię, moja droga, wróć do domu. Maria Cię potrzebuje. Życie jest kruche i trzeba je cenić, choroba Marii nauczyła mnie tego. Powinnam była napisać do Ciebie o wiele wcześniej.

Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami,

Chiquita

List Chiquity stał się kolcem, który przekłuł wrzód, zawierający wszystkie stłumione siłą wspomnienia Sofii. Zalał ją potok gorączkowych obrazów, niosących ze sobą gorycz i żal. Maria umiera, Maria umiera, powtarzała tak długo, aż w końcu te słowa stały się nieznaczącymi, pustymi sylabami. Nie mogła jednak zapomnieć, co naprawdę znaczą. Dziadek Dwyer mówił, że życie jest zbyt krótkie, aby wypełniać je nienawiścią i pretensjami. Co było, to było, powtarzał i dodawał, że do przeszłości nie należy wracać. Sofia bardzo tęskniła za dziadkiem, zwłaszcza w chwilach takich jak ta, nie umiała jednak postępować zgodnie z jego radami, bo przeszłość przenikała do teraźniejszości i atakowała wszystkie jej zmysły. Teraz żałowała, że nie zdecydowała się wrócić wcześniej. Eva miała rację, nie należało z tym zwlekać. Sofia miała czterdzieści lat. Czterdzieści! Gdzie się podziały te wszystkie lata? Nawet Maria wydawała jej się dziś zupełnie obcą osobą.

Przeczytała list z drżącym sercem. Zastanawiała się, w jaki sposób Chiquita ją odnalazła. Adres na kopercie był bardzo dokładny, łącznie z kodem pocztowym. Sofia obracała list w rękach, zachodząc w głowę, skąd Chiquita go wzięła. Wreszcie przypomniała sobie spotkanie z Evą i zrozumiała, że to ona musiała poprosić Zazę o adres. Kręciło jej się w głowie. Po wielu latach Argentyna wreszcie ją odnalazła. Nie musiała się już ukrywać i była za to wdzięczna losowi.

Dziesięć lat temu siedziała pod cedrem w ogrodzie Zazy i rozmawiała z Evą. Dziesięć lat temu... Jakże inaczej mogłoby wyglądać jej życie, gdyby wtedy posłuchała Ewy i odwiedziła rodziców. Nie zrobiła tego i teraz ostatnie dziesięć lat w połączeniu z poprzednimi czternastoma dawało dwadzieścia cztery. Dwadzieścia cztery lata rozłąki, całe życie. Czy po takim czasie można jeszcze powstrzymać rozpad łączących ludzi więzi? Czy jej bliscy jeszcze ją pamiętają?

Osiadła konia i pojechała na smagane lodowatym wiatrem wzgórze. Cała okolica sprawiała wrażenie zasypanej drobnymi kryształkami, chociaż słońce powoli podnosiło się coraz wyżej, przynajmniej do zmroku przeganiając mróz. Bezchmurne niebo lśniło akwamarynowym błękitem. Myślała o ostatnich dziesięciu latach swego życia. Zimą 1986 roku urodziła się India, którą Honor pokochała gorąco, chociaż początkowo nie zdradzała zainteresowania małą siostrzyczką. Teraz, mimo trzyipółletniej różnicy wieku, były najlepszymi przyjaciółkami. Honor niezależna i wygadana, India spokojna, cicha i trochę nieśmiała.

Lata małżeństwa z Davidem były radosne i słoneczne, lecz pod cienką warstwą szczęścia kryło się bolesne wspomnienie Santiago. Niemal każdego dnia jakiś drobiazg przypominał jej o nim. Najczęściej były to ulotne myśli, szybko spychane w głąb podświadomości, lecz tak czy inaczej nie mogła o nim zapomnieć. Pod materacem nadal przechowywała kawałek muślinu, który kiedyś pachniał Santiguitem. Czasami sięgała po niego, bardziej z przyzwyczajenia niż z przywiązania, bo przecież miała dwie córki, które kochała całym sercem. Santiguito przebywał gdzieś w świecie, wiedziała, że nigdy go nie odnajdzie. A jednak nie mogła zapomnieć. Muślinowa szmatka była wszystkim, co zostało jej po synu, a także, co wydawało jej się bardzo dziwne, po Santim.

Galopując wśród wzgórz, całą sobą czuła, że żyje. Myślała o życiu z całą jego energią, uczuciami i przygodami. Maria miała wkrótce zostawić to wszystko i odejść. I nagle Sofia zrozumiała, że przeszłość jest dla niej ogromnie ważna, ponieważ nie ma żadnej przyszłości, którą mogłaby podzielić się z Marią. Chciała zatrzymać przeszłość, lecz ta przesypywała się jej przez palce jak piasek, każąc jej iść naprzód. Muszę pojechać do Marii, pomyślała. - Bardzo mi przykro, że twoja kuzynka jest chora, ale jednocześnie cieszę się, że wreszcie coś skłoniło cię do powrotu do domu - powiedział David, kiedy podzieliła się z nim wstrząsającą wiadomością.

Sofia nie chciała zostawiać dzieci, lecz David zdecydował, że zajmie się nimi w czasie jej nieobecności. Podróż Sofii miała i dla niego ogromne znaczenie, chciał zatem, żeby ten czas przeznaczyła wyłącznie dla siebie. Sofia pragnęła jechać, a jednocześnie niepokoili ją, co czeka ją w domu. David znał tylko połowę jej historii - nie miał pojęcia, że człowiek, którego kochała i straciła, mieszkał w Santa Catalina. Gdyby o tym wiedział, na pewno nie wysyłałby jej tam z taką gotowością. Sofia zastanawiała się, czy jej decyzja, aby nie mówić mężowi o Santim, nie była czasem podświadomym pragnieniem, by zostawić sobie otwarte drzwi. Właśnie dlatego postanowiła nie mówić Dominique o swojej podróży do Argentyny.

David nalegał, aby wyjechała jak najszybciej. Jego zdaniem nie należało marnować cennego czasu na rozważania, co ją spotka na miejscu. Poradził jej, by była realistką. Wracała, żeby zobaczyć się z Marią, i nie powinna wybiegać myślami dalej. Odwiózł ją na lotnisko razem z Honor i Indią, którym lotniska kojarzyły się wyłącznie z wakacjami i podróżami do słonecznych krajów, kupując jej na drogę zdecydowanie za dużo czasopism. Była świadoma, że David jest wzruszony. Kiedy ogarniał go niepokój, zawsze mówił krótko i zwięźle, trochę za szybko, i usiłował skupić uwagę na nieistotnych szczegółach.

- Chcesz jakąś powieść, kochanie? - zapytał, sięgając po najnowszą książkę Jilly Cooper, aby przeczytać streszczenie na okładce.

- Nie, te magazyny zupełnie mi wystarczą - odparła i odwróciła się do Indii, która próbowała włożyć jej do kieszeni duże opakowanie snickersów. - Nie zjem tego, skarbie. Jeżeli poprosicie tatę, na pewno pozwoli wam wybrać coś dla siebie - dodała, patrząc na Honor, która właśnie kończyła torebkę rodzyneków w czekoladzie.

Trudno jej było rozstać się z nimi. Pożegnanie przeciągało się i w rezultacie przejęta India wybuchnęła płaczem. Miała prawie jedenaście lat, lecz nadal nie potrafiła obyć się bez matki. Ich najdłuższe rozstanie trwało najwyżej parę dni. Honor, która była bardzo niezależna i pewna siebie, objęła młodszą siostrę i obiecała, że w samochodzie postara się ją rozweselić.

- Nie wyjeżdżam na długo, kochanie - rzekła Sofia, obejmując zapłakaną dziewczynkę. - Wrócę, zanim zdążysz za mną zatęsknić. Och, bardzo cię kocham... - szepnęła, całując mokry po liczek córki.

- Ja też cię kocham, mamó - zaszlochała India, uwieszona szyi Sofii jak duży miś koala. - Nie chcę, żebyś wyjeżdżała!

- Tata będzie się wami opiekował, a już niedługo zacznie się przerwa semestralna -
pocieszała ją Sofia. - Czekają was mnóstwo atrakcji, zobaczysz.

India skinęła głową i otarła łzy. Starła się być dzielna. Honor z uśmiechem ucałowała matkę i życzyła jej bezpiecznego lotu. Potem wyprostowała się i jak dorosła poklepała Indię po drżącym ramieniu. David objął żonę i mocno ją pocałował.

- Zadzwoń zaraz po przylocie, dobrze? - poprosił. W myśli modlił się, żeby wróciła do niego szczęśliwie i szybko.

Sofia ruszyła w kierunku stanowiska kontroli paszportowej, odwróciła się i pomachała swojej małej rodzinie. India zmusiła się do uśmiechu, ale gdy matka znikła, znowu załapała się łzami. David wziął ją za rękę i wszyscy troje poszli do samochodu.

Sofia zdała sobie sprawę z powagi sytuacji dopiero na krótko przed lądowaniem w Buenos Aires. Przez dwadzieścia cztery lata ani razu nie kontaktowała się z nikim z rodziny, chociaż Dominique mówiła jej, że na początku Anna i Paco za wszelką cenę usiłovali ją znaleźć. Sofia odcięła się od rodziców i wszystkich krewnych. Znienawidziła ich za to, że wysłali ją z domu do obcej Europy i myśl o ich cierpieniu sprawiała jej perwersyjną przyjemność. Dominique nie zdradziła nikomu miejsca jej pobytu. Czas mijał i Sofia coraz trudniej znosiła tęsknotę za ojczyzną. W końcu musiała przyznać sama przed sobą, że jedyną przeszkodą na drodze do powrotu do Argentyny jest jej własna duma.

David wielokrotnie namawiał ją, żeby odwiedziła Santa Catalina. - Pojadę z tobą i nie odstąpię cię nawet na krok - mówił. - Przejdziemy przez to razem. Musisz uwolnić się od tej goryczy, kochanie.

Ale nie była w stanie tego zrobić. Nie potrafiła schować dumy do kieszeni. Teraz zastanawiała się, jak rodzina zareaguje na jej widok.

W pamięci zachowała obraz i zapach takiej Argentyny, jaką pożegnała dwadzieścia cztery lata temu, i nie była przygotowana na zmiany. Kiedy samolot zaczął schodzić do lądowania, zobaczyła, że rysująca się na niebie linia miasta pozostała mniej więcej taka sama, i ogarnęło ją wielkie wzruszenie. Wracała do domu.

Na lotnisku nikt na nią nie czekał, ale to nic dziwnego, bo nikogo nie uprzedziła o swoim przyjeździe. Zdawała sobie sprawę, że powinna była zadzwonić, lecz do kogo? Ostatecznie nie zrobiła tego. Kiedyś na pewno zadzwoniłaby do Santiago, ale tamte dni należały do przeszłości.

Gdy wysiadła z samolotu, wciągnęła w nozdrza znajomy zapach karmelu i wilgoci. Jej skóra natychmiast stała się wilgotna, a zmysły pogrążyły się w morzu wspomnień. Rozejrzała się dookoła. Po hali przylotów kręcili się przejęci swoją rolą urzędnicy w sztywnych od krochmalu uniformach. Czekając na bagaż, dyskretnie przyglądała się innym podróżnym i przysłuchiwała się rozmowom prowadzonym po hiszpańsku, z charakterystycznym argentyńskim akcentem. Dopiero teraz czuła, że naprawdę wróciła do domu. Jak wąż zrzuciła

swoją cienką angielską skórę i przeszła przez kontrolę celną z pewną siebie miną prawdziwej Argentynki.

Po drugiej stronie kłębił się ocean brązowych twarzy, tablic z nazwiskami niecierpliwie wyczekiwanych gości, dzieci, szczekających i popiskujących psów, stęsknionych krewnych i przyjaciół. Ich ciemne oczy obserwowały Sofię, która przepchnęła swój wózek przez tłum, rozstępujący się przed nią powoli, jak Morze Czerwone.

- Taksówkę, seniora? - zapytał czarnowłosy Argentyńczyk, leniwie podkreślając końce wąsów. Sofia kiwnęła głową.

- Al Hospital Aleman, do Szpitala Niemieckiego - rzuciła.

- Skąd pani pochodzi?

Kiedy wyszli na słońce, on popychając wózek z jej bagażami, ona z torbą na ramieniu, skrzywiła się boleśnie, niepewna, czy oślepił ją blask argentyńskiego dnia, czy przypuszczenie taksówkarza, że może być cudzoziemką.

- Z Londynu - odpowiedziała z wahaniem. Najwyraźniej mówiła po hiszpańsku z obcym akcentem.

Usiadła na tylnym siedzeniu czarno-żółtej taksówki, tuż przy oknie, i odkręciła szybę do końca. Kierowca zapalił papierosa i włączył radio. Nim przekręcił kluczyk w stacyjce, jego szczupłe brązowe dłonie dotknęły wiszącej przy lusterku figurki Madonny.

- Interesuje się pani piłką nożną? - krzyknął przez ramię. - Argentyna zwyciężyła Anglię w rozgrywkach o mistrzostwo świata w 1986 roku. Chyba słyszała pani o Diegu Maradonie?

- Mieszkam w Anglii od dwudziestu czterech lat, ale jestem Argentyнкą - wyjaśniła Sofia ze zniecierpliwieniem.

- Niemożliwe! - wykrzyknął ze zdumieniem.

- Możliwe.

- Nie do wiary! - Kierowca był wstrząśnięty przypuszczeniem, że ktokolwiek mógłby z własnej woli opuścić Argentynę. - Jak się pani czuła w czasie wojny o Malwinę? - zapytał, obserwując jej twarz w lusterku.

Sofia zdecydowanie wołałaby, żeby patrzył, jak jedzie, ale długie lata przebywania wśród Brytyjczyków złagodziły jej porywczosć. Gdyby była prawdziwą Argentyнкą, złażałaby go bez wahania. Kierowca zatrąbił na samochód, który zwolnił tuż przed nim, wyminał go po niewłaściwej stronie i zaczął wygrażać wysuniętą przez okno pięścią właścicielowi wozu.

- Kretyn! - Potrząsnął głową i zaciągnął się papierosem, zwisającym z kącika jego ust. - Więc jak się pani czuła?

- Nie było mi łatwo. Mój mąż jest Anglikiem i dla nas obojga był to trudny okres. Żadne z nas nie chciało przecież tej wojny.

- Jasne, wojny toczą rządy i zwykle nie ma to nic wspólnego z tym, czego naprawdę chcą ludzie. To ten gówniarz Galtieri wpędził nas w tę sytuację. W 1982 roku stałem na Plaža del Mayo i oklaskiwałem go za zajęcie Malwin, a parę miesięcy później domagałem się jego krwi. To była niepotrzebna wojna. Tyle przelanej krwi, po co to wszystko? Dla odwrócenia uwagi, ot po co. Dla odwrócenia uwagi.

Jechali drogą prowadzącą do centrum Buenos Aires. Sofia wyglądała przez okno i widziała świat, bardzo podobny do tamtego starego, znajomego, lecz mimo wszystko inny. Miała wrażenie, że ktoś zbudował coś nowego na fundamencie jej wspomnień. Kiedy przedzierał się przez miasto, zauważyła, że parki są cudownie czyste i pełne starannie zadbanych kwietników i klombów. Wystawy sklepowe miały mosiężne obramowania i ukazywały najnowsze europejskie kolekcje. Wszystko to razem wyglądało raczej na Paryż niż na południowoamerykańskie miasto.

- Zdumiewające... - odezwała się. - Miasto jest teraz takie... Takie zamożne...

- No tak, przecież nie było tu pani przez dwadzieścia cztery lata! Nie widziała pani kraju w okresie rządów Alfonsina, kiedy inflacja osiągnęła taki poziom, że codziennie musiałem drukować nowy cennik, czasami nawet dwa razy dziennie. Doszło do tego, że kazałem sobie płacić w dolarach. Ludzie z dnia na dzień tracili oszczędności całego życia, to było straszne. Teraz sytuacja znacznie się poprawiła. Menem okazał się dobrym prezydentem, naprawdę dobrym. - Kierowca z aprobatą pokiwał głową. - W miejsce australa wprowadzono peso - jeden peso za dolara. Wszystko od razu się zmieniło, mamy stabilną walutę i jesteśmy z tego dumni. Jeden peso za dolara, wyobraża sobie pani? - Ulice wyglądają fantastycznie. Te eleganckie butiki...

- Musi pani zobaczyć wielkie centra handlowe. Patio Bulrich i to nowe Paseo Alcorta. Można odnieść wrażenie, że to Nowy Jork - fontanny, kawiarnie, sklepy... Mnóstwo bogatych obco krajowców chce inwestować w Argentynie, to po prostu niewiarygodne.

Sofia popatrzyła na wspaniały park, który właśnie mijali.

- Większością parków opiekują się firmy - ciągnął taksówkarz. - Dla nich to świetna reklama, a dla mieszkańców miasta czysty zysk - parki są czyste i dzieci mogą się w nich bezpiecznie bawić - dodał z dumą.

Sofii kręciło się w głowie, kiedy wdychała zapach benzyny zmieszany z aromatem zieleni i kwiatów z pobliskiego parku oraz czekolady i churros ze stojących tu i ówdzie kiosków. Zauważyła brązowoskórego chłopca, który szedł w stronę parku, prowadząc na smyczach około dwudziestu rasowych psów. Kierowca przełączył radio na transmisję meczu między drużyną Boca, której najwyraźniej kibicował, oraz River Plate, i przestał interesować się Sofią. Kiedy zespół Boca strzelił gola, zjechał na boczne pasmo tak gwałtownie, że gdyby jadące przed nim i za nim samochody zrobiły to samo, doszłoby do karambolu. I tym razem wysunął przez okno zaciśniętą pięść i zatrząbił głośno, dając wyraz swojej radości. Sofia

obserwowała małą porcelanową figurkę Madonny, kołysząc się na tle lusterka, i po chwili całkowicie uległa temu hipnotyzującemu rytmowi.

W końcu taksówka zatrzymała się pod Hospital Aleman i Sofia zapłaciła kierowcy nieznanymi peso. Kiedyś nie wysiadłaby z wozu, dopóki kierowca nie wystawiłby jej bagaży na ulicę, z obawy że odjedzie razem z walizkami, ale teraz spieszyło jej się, żeby rozprostować nogi. Miała serdecznie dosyć siedzenia, najpierw w samolocie, teraz w samochodzie. Taksówkarz postawił obie jej torby na chodniku i szybko wrócił do swojego meczu. Patrzyła chwilę, jak dojeżdża do głównej ulicy i włącza się w sznur aut.

Zmęczona trzynastogodzinnym lotem i bardzo wzruszona, weszła do środka i w rejestracji zapytała o Marię Solanas. Kiedy wymieniła jej nazwisko, pielęgniarka lekko zmarszczyła brwi, lecz zaraz skinęła głową.

- Ach, tak - powiedziała, nieprzyzwyczajona do osób używających panińskiego nazwiska Marii. - Pani musi być jej kuzynką. Dużo o pani mówiła.

Sofia zaczerwieniła się lekko i zaczęła się zastanawiać, co mówiła o niej Maria.

- Ma pani szczęście, bo seniora Maraldi dziś po południu wychodzi do domu - ciągnęła pielęgniarka. - Jeszcze parę godzin i nie zastałaby jej pani...

- Och, rozumiem - powiedziała Sofia, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

- Jest jeszcze bardzo wcześnie, zwykle nie wpuszczamy gości przed dziewiątą.

- Przyjechałam prosto z Londynu - wyjaśniła Sofia ze znużeniem. - Maria nie spodziewa się mnie. Chciałabym spędzić z nią trochę czasu przed przybyciem rodziny, na pewno mnie pani rozumie.

- Oczywiście. - Pielęgniarka ze współczuciem skinęła głową. - Widziałam panią na zdjęciach. Maria uwielbia pokazywać nam fotografie. Wygląda pani... - Zawahała się, jakby nagle uświadomiła sobie, że lada chwila popełni nietakt.

- Starzej? - podsunęła Sofia.

- Może... - wymamrotała pielęgniarka, której policzki wyraźnie się zaróżowiły. - Na pewno bardzo ucieszy się z pani przyjazdu. Proszę wjechać na górę - drugie piętro, pokój 207.

- Jak ona się czuje? - ośmieliła się zapytać Sofia. Wołała wcześniej przygotować się na to, co ją czeka.

- Pani kuzynka jest wyjątkowo dzielną kobietą i cieszy się ogólną sympatią. Wszyscy bardzo ją polubiliśmy.

Sofia skierowała się ku windzie. Seniora Maraldi... To nazwisko brzmiało zupełnie obco i nagle Maria oddaliła się od niej, jak mała łódka, szybko znikająca we mgle. W Anglii, choć przyjęła do wiadomości fakt jej choroby, to był on dziwnie odległy i nierealny. Dopiero teraz straszna prawda dotarła do niej z całą mocą. Zapach detergentu, odgłos jej własnych

kroków na błyszczącej plastikowej podłodze w korytarzu, widok pielęgniarek, przechodzących szybkim krokiem z tacami pełnymi lekarstw, ponura szpitalna atmosfera, wszystko to razem dobitnie uświadomiło jej, gdzie się znajduje i dlaczego tu przyjechała. Nagle przestraszyła się tego spotkania. Ogarnęło ją przerażenie, że może nie pozna Marii albo zostanie przez nią chłodno potraktowana.

Zawahała się przed drzwiami, nie wiedząc, co zobaczy po drugiej stronie. Z trudem zmobilizowała odwagę i weszła do środka. W szarawym świetle wczesnego poranka dostrzegła leżącą pod białą pościelą nieznaną postać i pomyślała, że pomyliła pokoje i jak ostatnia idiotka zakłóciła spokój jakiejś biednej chorej. Zażenowana własnym gapiostwem, szybko wymamrotała przeprosiny i odwróciła się do drzwi. W tej samej chwili usłyszała swoje imię, wymówione słabym, trochę drżącym głosem.

- Sofia?

Odwróciła się i zamrugła niepewnie.

Na łóżku leżała jej ukochana przyjaciółka, wychudzona i blada jak prześcieradło, lecz radośnie uśmiechnięta. Sofia zakrzuszyła się łzami, gwałtownie przypadła do łóżka, uklękła i ukryła twarz w wyciągniętej dłoni Marii. Maria była zbyt wzruszona, aby cokolwiek powiedzieć, Sofia zbyt wstrząśnięta, żeby na nią spokojnie popatrzeć. Długo klęczała bez ruchu, przygnębiona tym, co zobaczyła. Choroba bardzo zmieniła Marię. Gdyby nie głos, nigdy by jej nie poznała.

Zebrała siły i spojrzała na kuzynkę, lecz zaraz znowu zasłoniła sobie oczy jej dłonią. Maria pozwoliła jej, by ochłonęła. Kiedy wreszcie podniosła wzrok i utkwiała załzawione oczy w twarzy przyjaciółki, wychudzona Maria uśmiechnęła się pogodnie, jakby nie miała za złe losowi, że obarczył ją chorobą, która po woli wysysała z niej życie.

- Miałam nadzieję, że wrócisz. Bardzo mi ciebie brakowało, Sofio - szepnęła, nie dlatego, by nie miała siły mówić głośniej, lecz nie chciała zakłócić tej wyjątkowej chwili.

- Och, Mario, ja także za tobą tęskniłam. - Sofia pociągnęła nosem. - Nie masz pojęcia, jak bardzo...

- To zabawne, ale mówisz po hiszpańsku z angielskim akcentem!

- Naprawdę? - zapytała Sofia, zasmucona, że wraz z naturalnym akcentem zagubiła jeszcze jeden fragment poprzedniego życia.

- Kto ci powiedział? - zapytała Maria, patrząc w załzawione oczy kuzynki.

- Twoja mama. Napisała do mnie.

- Mama? Nawet nie wiedziałam, że ma twój adres. Widocznie wolała trzymać to w tajemnicy, na wypadek, gdybyś nie przyjechała. To cudowne...

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, jak osoba, która docenia każdy serdeczny gest, ponieważ w obliczu śmierci tylko miłość może przynieść pewne pocieszenie.

- Świetnie wyglądasz - powiedziała, ocierając łzy z policzków Sofii. - Nie bądź smutna, jestem silniejsza, niż ci się wydaje. Wyglądam jak duch, to prawda, ale głównie dlatego, że wypadły mi włosy. Nie muszę się już męczyć z ich myciem - co za ulga!

- Wyzdrowiejesz, zobaczysz - rzekła Sofia.

Maria ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Niestety nie. Jestem tak beznadziejnym przypadkiem, że wypisują mnie ze szpitala, żebym mogła wrócić do Santa Catalina.

- Na pewno można coś zrobić! Lekarzom nie wolno się poddawać! Masz dla kogo żyć, Mario!

- Wiem. Mam dzieci i bezustannie się o nie martwię. Wierzę jednak, że będą dorastały w atmosferze miłości, bo Eduardo jest najlepszym człowiekiem pod słońcem. Nie ma sensu ulegać takim negatywnym myślom. Sofio. Wróciłaś do domu i teraz tylko to się liczy. Jestem taka szczęśliwa... - W dużych oczach Marii zabłyśły łzy.

- Mam wrażenie, że Straciłam te wszystkie lata twojego życia. Opowiedz mi o swoim mężu.

- Eduardo jest lekarzem, jest wysoki, bardzo szczupły i ma złote serce. Nie mogłabym kochać żadnego mężczyzny mocniej niż jego. Dzięki niemu nigdy nie przestałam się uśmiechać. I jest taki dzielny...

- A wasze dzieci?

- Mamy czworo.

- Czworo! - wykrzyknęła Sofia ze zdumieniem.

- Chyba pamiętasz, że w tym kraju to zupełnie przeciętna liczba?

- Po prostu trudno mi uwierzyć, że twoje drobne ciało było w stanie wydać na świat tyle dzieci.

- Kiedy byłam w ciąży, wcale nie było takie drobne. - Maria się roześmiała.

- Chcę ich wszystkich poznać. Przecież to moja rodzina!

- Poznasz ich wszystkich, gdy pojedziemy do Santa Catalina. Przychodzą tu codziennie, Eduardo powinien zjawić się lada chwila. Wpada do mnie rano, a potem po lunchu i spędza ze mną większą część wieczoru. Muszę wyganiać go do pracy albo do domu. Jest bardzo zmęczony, martwię się o niego. Ciągłe myślę i myślę, jak sobie poradzi, kiedy mnie już nie będzie. Na początku to on był dla mnie oparciem, ale teraz, mimo choroby, wydaje mi się, że to ja wspieram jego. Nie wyobrażam sobie, jak go tu zostawię, nie chcę zostawiać go samego.

- To niesamowite, że tak spokojnie myślisz o śmierci - powiedziała Sofia cicho, czując, jak jej serce zalewa fala miłości i smutku.

Zdumiona odwagą Marii, z niechęcią myślała o swojej samolubnej dumie, której małostkowość wydawała jej się zwyczajnie zła. Och, jakże frustrujące jest spoglądanie wstecz, które pozwala dostrzec wszystkie popełnione błędy w chwili, gdy jest już za późno, aby je naprawić, pomyślała z żalem.

Żadna z nich nie ośmieliła się wspomnieć o Santim.

- A co się stało z Sofią, która dorastała razem ze mną? - odezwała się Maria. - Kto złamał twój dziki upór?

- Mario, przecież ty nigdy nie byłaś taka silna. Por Dios. Z nas dwóch to ja wydawałam się tą silniejszą.

- Nie, ty tylko udawałaś, że jesteś silna. Byłaś zbuntowana i źle się zachowywałaś, ponieważ pragnęłaś zwrócić na siebie uwagę matki, która dostrzegała wyłącznie twoich braci.

- Może masz rację...

- Wierz mi, miałam chwile załamania i przerażenia. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego spotkało to właśnie mnie, co zrobiłam, żeby zasłużyć na taki żalony koniec, ale prędzej czy później trzeba to zaakceptować i postarać się przeżyć ostatnie dni we względnym spokoju i szczęściu. Zaufałam Bogu. Wiem, że śmierć to tylko przejście do nowego życia. Trzeba się pożegnać z bliskimi, to prawda, lecz tylko na krótko. Mam wiarę.

Sofia zrozumiała, że Maria rzeczywiście posiadała jakiś rodzaj wewnętrznego wyciszenia i spokoju.

- Wyszłaś za producenta teatralnego, prawda?

- Skąd wiesz? - zapytała zdumiona Sofia.

- W czasie wojny falklandzkiej w jednej z gazet ukazał się artykuł o tobie.

- Naprawdę?

- Tak. Krótki reportaż o Argentynie mieszkającej w Londynie podczas konfliktu. Zamieszczono też zdjęcie, wszyscy je oglądaliśmy.

- Jakie to dziwne... Dużo o was wtedy myślałam. Wydawało mi się, że zdradzam własny kraj - wyznała Sofia, wspominając ten trudny okres, kiedy czuła się rozdarta między Argentyną i nową ojczyzną, którą sama wybrała.

- Stałaś się bardzo angielska, wiesz? Kto by pomyślał... Jaki on jest?

- Dużo starszy ode mnie, dobry, spokojny, bardzo inteligentny, cudowny jako mąż i ojciec. Traktuje mnie jak księżniczkę. - Sofia powiedziała to z dumą, oczyma wyobraźni widząc wrażliwą, myślącą twarz Davida.

- To wspaniale. Ile macie dzieci?
- Dwie córki. Honor i Indię.
- Jakie piękne imiona - Honor i India... Bardzo angielskie.
- To prawda - odparła Sofia i pomyślała o zapłakanej Indii.

Na chwilę ogarnął ją niepokój i wielka tęsknota, lecz pytania Marii szybko przywołały ją do rzeczywistości,

- Zawsze wiedziałam, że będziesz miała coś wspólnego z teatrem. Byłaś i jesteś urodzoną primadonną, Sofio. Pamiętasz sztuki, które wystawialiśmy w dzieciństwie?

- Zwykle grałam chłopca. - Sofia parsknęła śmiechem.

- Tak, bo chłopcy nigdy nie chcieli włączyć się do zabawy - westchnęła Maria. - Kazałyśmy dorosłym płacić sobie za obejrzenie spektaklu, pamiętasz?

- Oczywiście. Co robiłyśmy z tymi pieniędzmi?

- Teoretycznie miałyśmy przekazywać je na cele charytatywne, ale tak naprawdę wydawałyśmy je na słodycze.

- A pamiętasz, jak Fercho przekupił Agustina, żeby wybiegł nago na scenę podczas naszego finałowego tańca?

- Jak mogłabym o tym zapomnieć. Kochany Fercho... - Maria posmutniała. - Wiesz, że mieszka teraz w Urugwaju?

- Słyszałam. Spotkałam kiedyś Evę Alarcon, pamiętasz Evę, prawda?

- Naturalnie. Wyszła za twojego Roberta.

- Nigdy nie był „moim” Robertem - zaprotestowała Sofia. - Tak czy inaczej, spotkałam ich w Anglii i dzięki temu dowiedziałam się, co się z wami działo.

- Agustin nadal jest w Waszyngtonie. Przyjeżdża mniej więcej raz w roku, chociaż jego żonie niezbyt się to podoba. Biedny Agustin, zawsze zjawia się sam, a i to na krótko, bo żona nie pozwala mu zostać tu dłużej. To chyba raczej niesympatyczna osoba. Agustin zasługuje na kogoś lepszego. Natomiast Rafa mieszka tutaj, razem ze swoją Jasią. Mają cudowne, śliczne dzieci. Na pewno polubisz Jasię.

Starła się powiedzieć Sofii jak najwięcej o przeszłości, miała bowiem nadzieję, że dzięki temu Sofia znowu poczuje się częścią rodziny i minione lata nie będą wydawały jej się tak długie. Sofia słuchała, często ze wzruszeniem, czasami z rozbawieniem, podczas gdy jej kuzynka streszczała losy całej rodziny od chwili jej wyjazdu z kraju.

Kiedy skończyła. Sofia nadal klęczała przy łóżku, trzymając jej wychudzoną rękę. W dawnych, dobrych czasach Maria była krągła, pulchna i bardzo kobieca, jak mawiał Paco, teraz potwornie wychudła i straciła włosy. Tylko jej uśmiech pozostał taki sam. Sofia zrobiłaby wszystko, by cofnąć zegar i wrócić do chwil, które przeżywały razem.

- Sofio, minęło tyle lat... - Maria westchnęła ze smutkiem.

- Teraz nie warto już o tym mówić. - Sofia uciszyła ją machnięciem ręki.

- Tak mi przykro, kochanie...

- Mnie także. Nie powinnam była tak długo zwlekać z powrotem.

- Pozwól mi dokończyć. Nie znasz całej prawdy. - Spojrzała na Sofię z wyrazem głębokiego zawstydzenia na twarzy.

- O czym ty mówisz? Jakiej prawdy?

Maria pochyliła głowę i z trudem przełknęła ślinę, usiłując zapanować nad emocjami i poczuciem winy, które od lat zatruwały jej sumienie.

- Okłamałam cię. Sofio. Okłamałam ciebie i okłamałam Santięgo.

Odwróciła głowę. Nie mogła spojrzeć przyjaciółce w oczy, za bardzo się wstydziła.

- Jak to? O czym ty mówisz? - Sofia nagle poczuła, że całe jej ciało ogarnia dziwny chłód, zupełnie jakby przez szparę w drzwiach do pokoju przedostawał się zimny powiew.

Zadrzała. Tylko nie ty, Mario, modliła się w myśli. Tylko nie ty...

- Kiedy się dowiedziałam, że ty i mój brat byliście kochankami, wpadłam w złość. Zawsze mówiłaś mi o wszystkim, a tym razem zupełnie odsunęłaś mnie od siebie. Poznałam prawdę o was jako ostatnia, chociaż podobno byliśmy najlepszymi przyjaciółkami. - Po jej twarzy potoczyły się wielkie łzy.

- Mario, nie mogłam ci o tym powiedzieć, zresztą nikomu innemu też nie powiedziałam. Przypomnij sobie, jak zareagowali na tę wiadomość moi rodzice. Nie było żadnej szansy, aby pozwolili mi poślubić stryjecznego brata, nikt z rodziny by się na to nie zgodził. Uważali, że to skandaliczny związek.

- Wiem, ale wtedy wydawało mi się, że odepchnęłaś mnie z rozmysłem. A potem wyjechałaś i nie odezwałaś się ani słowem. Pisałaś tylko do Santięgo. Czułam się tak, jakbym nic a nic dla ciebie nie znaczyła.

Sofia nagle zrozumiała, co Maria próbuje jej powiedzieć.

- Postarałaś się, żeby nie dostał moich listów, tak? - odezwała się powoli, chociaż w jej głowie kotłowało się tysiąc gorączkowych myśli.

Nigdy by nie uwierzyła, że to Maria przejmowała jej listy. Taka mściwość zupełnie do niej nie pasowała. Ale Sofia poczuła, że nie może znienawidzić przyjaciółki. Maria umierała i potrzebowała miłości, nie nienawiści.

- Widziałam, jak ta sprawa dręczyła mamę. Była niepokieszona. Wszyscy czuliśmy się zdradzeni i głęboko zasmuceni. Mama i Anna prawie nie rozmawiały ze sobą przez cały rok, życie wróciło do normy dopiero po kilku latach, nie przesadzam. Sofio! Santi miał przed sobą wspaniałe perspektywy. Tata był zrozpaczony, że mój brat chce zrezygnować ze wszystkiego z twojego powodu. Więc napisałam do ciebie i...

- I zawiadomiłaś mnie, że Santi zakochał się w Maximie Marguiles.

Tamten list roztrzaskał jej wszystkie marzenia, stał je na proch. Rok spędzony w Genewie był najbardziej ponurym okresem w jej życiu. Teraz rozumiała, dlaczego Santi do niej nie na pisał - czekał przecież na wiadomość, nie miał pojęcia, gdzie szukać dziewczyny, którą kochał. Więc czekał, czekał tak jak ona. Wcale nie przestał jej kochać...

Te rewelacje zmiażdżyły krnąbrnego ducha Sofii. W milczeniu siedziała na podłodze, pozbawiona wszelkich uczuć. Oddała swoje dziecko, ponieważ uwierzyła, że Santi ich nie chce, tym czasem on gotów był na wszystko, aby się z nimi połączyć. Ostatnie dwadzieścia cztery lata przeżyła tak, a nie inaczej z powodu kłamstwa. Maria nigdy nie zrozumie, co tak naprawdę zrobiła.

- Proszę, przebac mi. Sofio. Postaraj się zrozumieć, dlaczego to zrobiłam. Okłamałam ciebie i Santię. On nawet nie znał żadnej Maximy Marguiles. - Maria odetchnęła głęboko i za mknęła oczy.

Jej cera była szara, pozbawiona życia i kiedy tak leżała z zamkniętymi powiekami, krucha i bardzo zmęczona, wyglądała na umarłą. Wrażenie to rozwiewało tylko rytmiczne wznoszenie się i opadanie jej piersi. Sofia oparła głowę o krawędź łóżka, przypominając sobie te długie godziny, podczas których modliła się żarliwie, aby Santi przyjechał, odnalazł ją. Nic dziwnego, że jej najgorętsze pragnienie nigdy się nie spełniło.

- Mogłaś przecież wrócić, Sofio. Nie musiałaś uciekać z domu na zawsze...

- Wcale nie uciekałam z domu - rzuciła ostro Sofia. - Wyjechałam, zostałam wysłana za granicę wbrew własnej woli!

- Ale nie wróciłaś. Dlaczego tak długo zwlekałaś z powrotem? Błagam, powiedz mi, że to nie tylko przeze mnie! - Maria otworzyła oczy i utkwiła w Sofii żalosne spojrzenie. - Powiedz mi, że nie tylko mój list zniechęcił cię do powrotu...

- Nie wracałam tak długo, bo...

- Miałaś tu wszystko, czego dusza zapagnie, wszyscy cię kochaliśmy, więc dlaczego zdecydowałaś się przeciąć łączące cię z nami więzy?

- Ponieważ... - Sofia rozpaczliwie szukała w myśli właściwych słów.

- Dlaczego nie wróciłaś, kiedy uczucie twoje i Santiago osłabło? Tak długo męczyły mnie wyrzuty sumienia. Nie chcę dłużej myśleć, że może czułaś do mnie zbyt wielką pogardę... Dlaczego, Sofio, dlaczego?

- Bo kiedy zrozumiałam, że nie mogę mieć Santiago, nie chciałam ani Argentyny, ani Santa Catalina. Bez niego cały ten świat stracił dla mnie wszelką wartość.

Maria spojrzała na Sofię i jej udręczona twarz przybrała wyraz zdumienia.

- Więc aż tak bardzo kochałaś mojego brata? - odezwała się cicho. - Przepraszam cię. Sofio...

Sofia nie mogła wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. Maria wpatrywała się w przyjaciółkę pełnymi współczucia oczami.

- Wobec tego to moja wina - powiedziała ze smutkiem. - Postąpiłam bardzo źle.

Nie miałam prawa ingerować w twoje życie. Nie miałam prawa odbierać ci miłości.

Sofia potrząsnęła głową i uśmiechnęła się gorzko.

- Nikt nie odebrał mi miłości, Mario. Będę kochała Santiago do końca życia.

Ledwo wypowiedziała te słowa, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Santi. Sofia nadal siedziała na podłodze, mrużąc oczy porażone blaskiem słońca. W pierwszej chwili jej nie poznał. Uśmiechnął się uprzejmie, chociaż w jego zielonych oczach krył się smutek, którego Sofia nigdy w nich nie widziała. Urok młodości zastąpiły zmarszczki i bruzdy, które naznaczyły jego twarz dojrzałą mądrością. Choć trochę cięższy niż kiedyś, nadal był tym samym, niezastąpionym Santim.

Nagle w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. Policzki pociemniały mu gwałtownie i równie szybko zbladły.

- Sofio? - szepnął.

- Santi...

Pragnęła rzucić się w jego ramiona, wdychać znajomy zapach skóry, ale nim zdążyła to zrobić, za plecami Santiago pojawiło się dwoje ludzi: drobna, ciemnowłosa kobieta i wysoki, bardzo szczupły mężczyzna. Sofia nie miała wyboru - musiała pozostać u boku Marii.

- Sofio, chcę ci przedstawić Claudię, żonę Santiago, oraz Eduarda, mojego męża - odezwała się Maria, wyczuwając zagubienie kuzynki.

Sofia była zupełnie nieprzygotowana na tę chwilę. Od lat wiedziała, że Santi jest żonaty, lecz w jej snach zawsze czekał na nią, niezmiennie wierny. Mimo to mężnie ukryła rozczarowanie i szybko podniosła się z podłogi. Przywitała się z przybyłymi uściskiem dłoni,

świadomie ignorując argentyński zwyczaj wymieniania pocałunków na powitanie. Nie była w stanie ucałować kobiety, która zajęła jej miejsce w sercu Santiiego.

- Muszę już iść, Mario - powiedziała, pragnąc jak najszybciej znaleźć się z dala od tego pokoju.

Potrzebowała chwili samotności, aby spokojnie przemyśleć to wszystko.

- Gdzie się zatrzymałaś? - zapytała Maria.

- W hotelu Alvear Palace.

- Może Santi zawiózłby cię do Santa Catalina? Co ty na to, Santi?

Santi skinął głową, nie spuszczać wzroku z twarzy Sofii.

- Oczywiście - wymamrotał.

Gdy mijają go w drodze do drzwi, ich oczy spotkały się na ułamek sekundy, podobnie jak wiele razy w przeszłości, i Sofia bez trudu rozpoznała Santiiego, z którym dorastała i którego kochała. W tej krótkiej chwili uświadomiła sobie, że powrót przyniesie jej więcej bólu niż wyjazd, do którego została zmuszona dwadzieścia cztery lata temu.

Rozdział trzydziesty siódmy

Czwartek, 7 listopada 1997 roku

Sofia wróciła do hotelu Alvear Pałace zupełnie rozbita emocjonalnie. W pokoju zrzuciła ubranie, pogniecione i wilgotne od potu po podróży, i postanowiła natychmiast wziąć prysznic. Pozwoliła, aby gorąca woda długo masowała jej skórę i otoczyła ją kłębam pary. Chciała zatracić się, zapomnieć, zatrzeć obraz twarzy Santiiego, ale okazało się, że potrafi tylko bezradnie szlochać. Pozwoliła sobie na luksus porządnego wyflakania się w samotności. Kiedy w końcu wyszła z kabiny, jej skóra była pomarszczona od wody, a oczy zaczerwienione od łez.

Nie spodziewała się, że zobaczy Santiiego w szpitalu. Zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później się spotkają, ale nie oczekiwała, że stanie się to w niecałe dwie godziny po przyjeździe. Jej nerwy nie były przygotowane na podwójny szok, traumatyczna rozmowa z umierającą Marią była wystarczająco silnym przeżyciem. Sofia miała nadzieję, że zobaczy go później, w mniej zaskakującej sytuacji. Na pewno wyglądała okropnie... Skrzywiła się lekko. Zawsze była próżna i chociaż ich drogi rozeszły się dawno temu, nadal chciała, aby jej pragnął.

Przez te wszystkie lata myślała, że Santi ją zdradził. Ze słów Marii wynikało, że on myślał tak samo o niej. Ale teraz znał już prawdę. Co myślał? A jeżeli, czekając tak długo, w

końcu na prawdę uwierzył, że Sofia o nim zapomniała? Nie mogła o tym myśleć. Chciała objąć go mocno i opowiedzieć mu o długich miesiącach, podczas których czekała na jego list.

Tyle zmarnowanych lat... I co teraz?

Sięgnęła po słuchawkę. Zapragnęła zadzwonić do Davida tylko po to, aby usłyszeć jego głos. Czuła, że następne spotkanie z Santim może być dla niej niebezpieczne, i nie ufała sobie. Miała już wybrać numer, kiedy nagle zadzwonił telefon. Z westchnieniem podniosła słuchawkę.

- Przyszedł senior Rafael Solanas i chce się z panią zobaczyć - usłyszała głos recepcjonistki.

Nie ulegało wątpliwości, że w Buenos Aires wiadomości rozchodzą się błyskawicznie.

- Proszę przysłać go na górę - odpowiedziała.

Narzuciła na siebie puchaty biały szlafrok, który znalazła w łazience, i przeczesała mokre włosy, ściągając je do tyłu. Przyjrzała się odbiciu swojej opuchniętej twarzy. Jak Rafael miałby ją poznać, skoro ona nie poznawała samej siebie...Co powie jej brat? Nie widziała go i nie miała z nim żadnego kontaktu od dwudziestu czterech lat...

Rafael zapukał, lecz ona czekała, wpatrując się w drzwi, jakby miała nadzieję, że same się otworzą. Kiedy zapukał znowu, tym razem ze zniecierpliwieniem, musiała jednak podejść i otworzyć. Rafael wszedł do pokoju i oboje krótką chwilę przyglądali się sobie na wzajem. Upływające lata nie zmieniły go, można by nawet powiedzieć, że teraz wyglądał lepiej niż kiedykolwiek. Nie ulegało wątpliwości, że był szczęśliwy i to szczęście promieniowało z niego niczym przyjazna, dobra aura, obejmując także i Sofię. Z uśmiechem chwycił ją w ramiona i uniósł wysoko w powietrze, tak że jej stopy zwisały na wysokości jego kolan. Mimo woli zareagowała równie serdecznie i objęła go mocno. Pomyślała, że przepaść, jaką wyłobit między nimi mijający czas, istniała chyba tylko w jej umyśle.

Po chwili oboje roześmieli się głośno, wsparci czołem o czoło.

- Tak się cieszę, że cię widzę! - wyjąkali równocześnie i znowu parsknęli śmiechem.

Rafael wziął ją za rękę i oboje usiedli na brzegu łóżka. Następne kilka godzin rozmawiali bez przerwy, o dawnych czasach, o teraźniejszości i straconych latach. Rafael był szczęśliwym, zadowolonym z życia człowiekiem. Opowiedział jej o Jaśminie, o tym, jak zakochał się w niej na początku lat siedemdziesiątych, kiedy Sofia była jeszcze w Santa Catalina. Przypomniał, że jego żona była córką znanego adwokata, Ignacia Peny.

- Mama mdlała z rozkoszy - uśmiechnął się lekko. - Zawsze podziwiała Alicję Penę, matkę Jaśminy.

Sofia skrzywiła się na wspomnienie snobizmu Anny, lecz Rafael wydawał się po prostu nie zauważać takich drobnostek. Z jego pięciorga dzieci najstarsze miało czternaście

lat, najmłodsze dopiero dwa miesiące. Zdaniem Sofii Rafael wcale nie wyglądał na ojca czternastoletniej córki.

- Wiesz, że Maria dziś wieczorem wraca do Santa Catalina? - zapytał w końcu.

Oboje długo unikali tego tematu, lecz teraz musieli stawić czoło okrutnej rzeczywistości.

- Wiem - odparła, czując, jak cała radość z ich spotkania znika na wspomnienie wizyty w szpitalu.

- Obawiam się, że Maria umrze, Sofio - powiedział.- Ale dla niej będzie to wielka ulga. Jest nieuleczalnie chora i bardzo cierpi.

- Mam potworne wyrzuty sumienia, Rafa. Gdybym wiedziała, że będzie miała tak krótkie życie, nie byłabym taka samolubna i nie zwlekałabym tak długo z powrotem. Naprawdę żałuję, że nie przyjechałam wcześniej.

- Miałaś swoje powody - rzekł bez cienia goryczki.

- Mogłam przecież dzielić jej życie, uczestniczyć w nim. Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Mam poczucie wielkiej straty.

- Dziadek często mawiał, że życie jest zbyt krótkie, by zadręczać się wyrzutami sumienia, pamiętasz?

Sofia kiwnęła głową.

- Teraz jesteś tutaj, prawda? - Rafael spojrzał na nią z czułością i uśmiechnął się. - Nie musisz wracać do Anglii, tu jest twój dom.

- Och, za jakiś czas będę musiała wrócić, w przeciwnym razie dziewczynki doprowadzą Davida do szaleństwa!

- Twoje córki są moimi siostrzenicami, moją bliską rodziną. One także powinny przyjechać do Santa Catalina. Tu jest wasze miejsce, Sofio. Powinniście tu zamieszkać, wszyscy czworo.

Sofia pomyślała, że Rafael mówi dokładnie tak jak ich ojciec.

- To niemożliwe. Rafa. Teraz mój dom jest w Anglii, przecież wiesz o tym.

- Wcale nie musi tak być. Widziałaś już Santiogo?

Policzki zapiekły Sofię na sam dźwięk tego imienia, lecz usiłowała zachowywać się naturalnie.

- Tak, w szpitalu - odparła niedbale. - Oczywiście tylko przez chwilę.

- Poznałaś Claudię?

- Jego żonę? Tak. Robi wrażenie bardzo... Bardzo miłej osoby.

Rafael nie zauważył, jak trudno było jej mówić o Santim, a tym bardziej o jego żonie. W oczach Rafaela ich romans należał do innej epoki, epoki, którą przeżywali wspólnie, lecz która dobiegła końca tak dawno temu, że wszystko, co się w niej wydarzyło, nie miało już najmniejszego znaczenia. Nawet przez chwilę nie podejrzewał, że płonąca w niej miłość do Santiago nigdy nie zgasła.

- Dziś po południu jadę do Santa Catalina - powiedział spokojnie. - Pojedziesz ze mną?

Sofia poczuła ulgę na myśl, że nie będzie musiała korzystać z uprzejmości Santiago. Nie była jeszcze przygotowana na tę konfrontację.

- Nie wiem - odrzekła. - Od lat nie widziałam rodziców, zresztą oni nie mają pojęcia, że tu jestem.

- Wobec tego czeka ich niespodzianka. - Rafael uśmiechnął się pogodnie.

- Podejrzewam, że niezbyt miła. Ale... Tak, pojedę z tobą. Ze względu na Marię.

- Świetnie. Dotrzemy tam na późny lunch. Jasmina i dzieci są już na farmie. Dziś jest czwartek, więc musieliśmy zwolnić je ze szkoły, żeby były na miejscu na przyjazd Marii.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy wszystkich zobaczę. - Sofia starała się, aby w jej głosie brzmiało choć trochę entuzjazmu.

- Pokochają cię od pierwszej chwili, zobaczysz. Dużo o tobie słyszały.

Sofia zaczęła się zastanawiać, co właściwie słyszały o niej dzieci Rafaela, ale szybko dała temu spokój.

Tuż przed opuszczeniem hotelu zadzwoniła do Davida. Powiedziała mu, że bardzo za nim tęskni, co było całkowicie zgodne z prawdą, i nagle pożałowała, że nie przyleciał tu razem z nią.

- Kochanie, chyba jednak lepiej, że wybrałaś się tam sama - rzekł David, wzruszony, że jest jej potrzebny, chociaż w gruncie rzeczy nie wiedział nawet, jak bardzo. - Powinnaś spędzić trochę czasu sama ze swoją rodziną.

- Nie wiem, czy tego właśnie chcę - powiedziała, nerwowo ogryzając paznokieć kciuka.

- Ależ naturalnie, że chcesz, kochanie. Jesteś po prostu zdenerwowana i przestraszona.

- Wolałabym, żebyś był tu ze mną. Nie chcę przechodzić przez to sama.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Zresztą, gdyby okazało się, że coś się nie układa, zawsze możesz wrócić najbliższym samolotem.

- Masz rację, Davidzie - odparła z ulgą.

Jeśli sprawy się skomplikują, w każdej chwili może wyjechać, jakie to proste! David przekazał słuchawkę Honor i Indii, które rozgadały się radośnie, nieświadome kosztów połączenia. Dougal, niedawno przyjęty do rodziny szczeniak, rudy spaniel, zjadł prawie wszystkie skarpetki Davida i nadgryzł kabel telefoniczny.

- To cud, że w ogóle się do nas dodzwoniłaś, mamusi! - zachichotała Honor.

Kiedy Sofia odłożyła wreszcie słuchawkę, czuła się o wiele silniejsza.

Buenos Aires wprowadziło ją w stan dziwnego niepokoju. Nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że jest tylko turystką w mieście, które kiedyś było jej drugim domem. Znała tu każdą boczną uliczkę i teraz patrzyła, jak cienie przeszłości snują się wśród placów i skwerów, odgrywając sceny sprzed wielu lat. Zastanawiała się, czy Santa Catalina wzbudzi w niej podobne odczucia. Niepokoiło ją to do tego stopnia, że zaczęła żałować decyzji o przyjeździe.

Tymczasem ku jej wielkiej radości podróż do Santa Catalina przyniosła same przyjemne wrażenia. Szybko zostawili za sobą wielkie, rozrastające się jak złośliwy wrzód miasto, minęli zabudowane niewielkimi domami przedmieścia i ruszyli przed siebie długą, prostą drogą, przecinającą równiny niczym blizna, drogą, którą tak dobrze pamiętała z okresu dzieciństwa i wczesnej młodości. Wreszcie mogła odetchnąć znajomymi zapachami trawy, kurzu i jedynego w swoim rodzaju eukaliptusa.

Gdy zwolnili przed bramą wiodącą do Santa Catalina, Sofia pomyślała, że minione dwadzieścia cztery lata były chyba snem. Nic się tu nie zmieniło. Zapachy, promienie słońca, przeświecające przez korony klonów, którymi wysadzono aleję, chude psy, pola, na których wypasały się stada kuców, i wreszcie dom, jej dom - to wszystko było dokładnie takie samo jak w dniu wyjazdu.

Nic się nie zmieniło.

Rafael zaparkował wóz w cieniu jednego z eukaliptusów. Sofia zauważyła grupkę małych dzieci, huśtających się w parku. Na widok samochodu, który niewątpliwie świetnie znali, ruszyły pędem w ich stronę i o mały włos nie przewróciły Rafaela, rzucając mu się w ramiona. Sofia natychmiast rozpoznała, że dwoje z nich było dziećmi jej brata. Dziewczynka była jasną blondynką o szelmowskim uśmiechu, a młodszy od niej chłopiec miał rude włosy swojej babki.

- Clara, Felix, przywitajcie się grzecznie z ciocią Sofią.

Chłopiec przezornie ukrył się za ojcem, więc Sofia tylko uśmiechnęła się do niego, natomiast dziewczynka podeszła do niej bez wahania i wspięła się na palce, żeby ją ucałować.

- Jeżeli jesteś moją ciocią, to jak to się stało, że nigdy dotąd cię nie widziałam? - zapytała, patrząc Sofii prosto w oczy.

- Ponieważ mieszkam w Anglii.

- Babcia mieszkała kiedyś w Irlandii. Znasz naszą babcie?

- O, tak, znam waszą babcie. To moja mama. A twój tata i ja jesteśmy rodzeństwem, tak jak ty i Felix.

Clara zmrużyła lekko oczy i zmierzyła ją baczny spojrzeniem.

- Więc dlaczego nikt z nami nigdy o tobie nie rozmawiał?

Sofia zerknęła na Rafaela i z wyrazu jego twarzy wyczytała bez trudu, że mała Clara sprawiała rodzicom spore kłopoty.

- Nie wiem tego, Claro, ale daję ci słowo, że od dziś wszyscy będą o mnie mówić.

Oczy dziecka rozszerzyły się radosnym oczekiwaniem na coś niezwykłego. Clara z entuzjazmem chwyciła Sofię za rękę i oświadczyła, że dziadkowie piją herbatę na tarasie.

Sofia zdumiała się, że obecność dziewczynki, najwyżej dziesięcioletniej, dodała jej pewności siebie i odwagi. Może stało się tak dlatego, że Clara była trochę podobna do niej w tym samym wieku - rozpieszczona i nieprzewidywalna. Pomyślała, że sposób życia tych dzieci stanowi wierne odbicie jej własnego dzieciństwa. Pamiętała przecież, że ona także bawiła się na huśtawkach i wraz z braćmi i kuzynami biegała po ogrodzie. Santa Catalina pozostała wciąż ta sama, zmienili się tylko ludzie. Pojawiło się nowe pokolenie, dorastające w tych samych warunkach, zupełnie jak by życie w Santa Catalina było teatralną sztuką, wystawianą wciąż od nowa, na tle tych samych dekoracji.

Sofia weszła do domu, mocno ściskając rękę Clary. Później śmiała się pogodnie, przypominając sobie twarze rodziców, siedzących spokojnie wśród długich popołudniowych cieni i wpatrujących się w ciągnące się aż po horyzont równiny. Na pewno myśleli, że czeka ich już tylko przyjemny koniec typowego dnia na farmie, nic niezwykłego, nic, co mogłoby zakłócić codzienną rutynę. Ich widok natchnął Sofię nagłą odwagą i bez wahania podeszła do stołu.

Kiedy Anna zobaczyła córkę, porcelanowa filiżanka wypadła jej z dłoni, rozpryskując się na kawałki. Długie białe palce rozpaczliwie zacisnęły się na pięknym naszyjniku. Spojrzała na Paca, jakby szukała u niego ratunku w tej niezwykłej chwili. Paco poczerwieniał i zerwał się na równe nogi. Wyraz smutku w jego oczach wystarczył, żeby poruszyć serce Sofii.

- Sofia! Nie wierzę własnym oczom! - powiedział z trudem, idąc ku niej z otwartymi ramionami. - Czy to naprawdę ty?

Objął ją i mocno przytulił do piersi. Podobnie jak w czasie spotkania z Rafaelem, Sofia i tym razem zareagowała ze spontaniczną serdecznością.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo czekaliśmy na tę chwilę - ciągnął Paco. - Jak za tobą tęskniliśmy... Jestem taki szczęśliwy, że wreszcie wróciłaś do domu.

Sofia zauważyła, że ojciec mocno się postarzał i ta świadomość sprawiła, iż jej gorycz rozplynęła się w jednej chwili.

Anna nie podniosła się z krzesła. Chciała objąć swoje dziecko, mnóstwo razy wyobrażała sobie scenę powitania, lecz teraz, gdy córka stanęła przed nią niespodziewanie, wpatrując się w nią przenikliwym wzrokiem, zupełnie nie wiedziała, co robić.

- Witaj, mammo - odezwała się Sofia po angielsku.

Ponieważ matka nie wstała, aby ją ucałować, nie zbliżyła się do niej.

- Sofio, zrobiłaś nam ogromną niespodziankę. Szkoda, że nie uprzedziłaś nas o przyjeździe - rzekła Anna niepewnie i natychmiast pożałowała tych słów.

Nie chciała, żeby zabrzmiały tak sztywno i oficjalnie. Nerwowym ruchem przygładziła rude włosy, ściągnięte w luźny kok na karku. Sofia zdążyła zapomnieć, jak zimne były jej niebieskie oczy. Chociaż długie lata rozstania powinny były zneutralizować dzielące je różnice, nadal nie mogła wzbudzić w sobie czułości w stosunku do matki, która nagle wydała jej się kimś zupełnie obcym. Obcą osobą, jedynie zewnętrznie trochę podobną do kobiety, która kiedyś była jej matką.

- Wiem, ale nie miałam czasu was zawiadomić - odparła chłodno, nie do końca pewna, jak zinterpretować pozorną obojętność Anny. - Przyjechałam ze względu na Marię.

- Oczywiście. - Anna powoli odzyskiwała kontrolę nad sobą i nową sytuacją.

Przez chwilę Sofii się wydawało, że w oczach Anny dostrzegła rozczarowanie. Silny rumieniec załął policzki Anny, ogarniając czerwoną falą przejrzystą skórę jej szyi.

- Widziałaś ją już? - zapytała Anna ze smutkiem. - Bardzo się zmieniła...

Utkwiła wzrok w równinie, jakby pragnęła znaleźć się gdzieś daleko, między wysoką trawą pampy i mieszkającymi wśród niej stworzeniami, jak najdalej od niekończącego się ludzkiego cierpienia.

- Tak, widziałam się z nią - odpowiedziała Sofia.

Spuściła oczy i nagle gardło ścisnęło jej przytłaczające poczucie straty. Maria pokazała jej, jak kruche i cenne jest życie. Spojrzała na matkę i jej niechęć trochę osłabła. W tej chwili na taras wybiegła Soledad, a tuż za nią podekscytowana Clara.

- Żałuj, że nie widziałaś twarzy babci, Soledad - paplała mała. - Najpierw zbladła jak prześcieradło, a potem upuściła filiżankę, wyobrażasz sobie?

Soledad nie zestarzała się, ale jeszcze nabrała ciała, niczym przygotowywana do wystawienia na targach jałówka. Na widok Sofii z jej brązowych oczu popłynęła rzeka łez, chociaż szerokie usta rozchyliły się w uśmiechu. Przygarnęła Sofię do obfitej piersi i rozszlochała się na dobre.

- Nie mogę w to uwierzyć... Dzięki Ci, Boże. Dzięki Ci za to, że oddałeś mi moją Sofię! - zawołała.

Clara podskakiwała jak na sprężynie, w przeciwieństwie do pozostałych dzieci, które stanęły dookoła dorosłych i obserwowały ich w milczącym zdumieniu.

- Claro, biegnij powiedzieć wszystkim, że Sofia wróciła - rzekł Rafael do córki, która natychmiast podeszła do swoich towarzyszy i zleciła im to ważne zadanie.

Dzieci rozeszły się niechętnie, nawołując chodzące za nimi krok w krok stadko chudych psów.

- Ciociu Sofio, wszyscy bardzo się cieszą, że przyjechałaś - szczebiotała Clara.

Soledad wypuściła wychowankę z objęć i rozdygotanymi rękami zaczęła zbierać potrzaskane kawałki porcelany.

Sofia usiadła przy stole - tym samym, który zapamiętała - i wzięła Clarę na kolana. Anna patrzyła na nią niepewnie, a Paco ciągle ścisnął rękę córki, nie mogąc znaleźć słów, którymi mógłby wyrazić swoje uczucia. Oboje siedzieli w milczeniu, lecz łzy Paca powiedziały Sofii więcej, niż mógłby wyrazić słowami. Rafael spokojnie nałożył sobie na talerzyk kawałek ciasta.

- Dlaczego dziadzio płacze? - szepnęła Clara do ojca.

- Z radości, Claro. Bardzo długo nie widzieliśmy cioci Sofii.

- Dlaczego?

Sofia zorientowała się, że to pytanie jest skierowane bezpośrednio do niej.

- To długa historia, kochanie, ale może kiedyś ci ją opowiem - powiedziała, kątem oka ostrzegając spojrzenie Anny. - Byłoby to całkowicie niewłaściwe, nie sądzisz? - dodała po angielsku, lecz Anna nie miała zamiaru jej karcić, wręcz odwrotnie, próbowała okazać poczucie humoru.

- Zrozumiałam, co powiedziałaś! - Clara się roześmiała, najwyraźniej ta scena bardzo się jej podobała.

Dziewczynka czuła w powietrzu jakąś intrygę i z każdą chwilą coraz bardziej lubiła świeżo poznaną ciotkę.

Zanim rozmowa z Clarą stała się dla Sofii zbyt kłopotliwa, ze wszystkich zakątków farmy zaczęli napływać krewni. Grupki zaciekawionych dzieci, bratanków i bratanic Sofii, a na końcu Chiquita, bardzo wysoki Panchito i, o zgrozo, promienna i piękna Claudia. Sofia była wzruszona gorącym, serdecznym powitaniem, na które, prawdę mówiąc, wcale nie liczyła. Ciotka Chiquita objęła ją i długą chwilę trzymała w ramionach. W jej oczach Sofia dostrzegła wdzięczność za to, że przyjechała pocieszyć Marię w ostatnich dniach jej życia. Wyglądała na zmęczoną i pełną napięcia, a jej kiedyś piękna twarz naznaczona była wyrazem

smutku i przygnębienia. Zawsze była tak spokojna, jakby okrutny świat nigdy nie zdołał naruszyć jej pełnej radości egzystencji, lecz choroba Marii całkowicie ją załamała.

Sofia musiała zauważyć urodę i wdzięk Claudii, która wydawała się być wszystkim, czym Sofia nie była. Bardzo kobieca, miała na sobie sukienkę podobną do tej, w jakiej Sofia powitała powracającego z Ameryki Santiago, a której szczerze nie cierpiała. Jej długie ciemne włosy były rozpuszczone i falujące, a twarz perfekcyjnie i w żadnym razie nie przesadnie umalowana. Jeżeli Santi pragnął znaleźć kobietę jak najmniej podobną do Sofii, to z całą pewnością tak się stało. Sofia natychmiast pożałowała, że po narodzinach Indii nie włożyła więcej wysiłku w odzyskanie smukłej sylwetki.

Chociaż Claudia trzymała się na dystans. Sofia czuła każdy jej ruch. Nie miała pojęcia, czy Santi opowiedział żonie całą prawdę o ich związku, lecz miała nadzieję, że to zrobił. Chciała, aby Claudia była świadoma, że Santi zawsze przeznaczony był jej. Sofii, a ona stała się tylko substytutem. Nie mogąc zdobyć się na rozmowę z żoną Santiago, usiłowała skupić uwagę na dzieciach, ale Claudia wciąż zerknęła na nią nieufnie, spod zmrużonych powiek.

Sofia bez trudu rozpoznała po chodzie jednego z synów Santiago. Szedł niespiesznie, rozluźnionym, pewnym siebie krokiem. Poza tym był w każdym calu podobny do matki. Musiał mieć najwyżej dziesięć lat. Sofia nachyliła się w stronę Clary i szepnęła jej do ucha, aby przywołała chłopca.

- Założę się, że jesteś synem Santiago - rzekła do niego, usiłując stłumić ostry ból w piersi, ponieważ w tym dziecku ujrziała cząstkę życia, które ją ominęło.

- Tak. A ty kim jesteś? - zapytał arogancko, odgarniając jasne włosy z czoła.

- Twoją kuzynką Sofią.

- Jak to, moją kuzynką?

- To moja ciocia, ciocia Sofia! - zaśmiała się Clara, serdecznie ściskając drobnymi palcami rękę Sofii.

Chłopiec podejrzliwie zmrużył duże, zielone oczy.

- Ach, tą ciotką Sofią, która mieszka w Anglii... - powiedział.

- Właśnie - odparła Sofia. - Jak masz na imię?

- Santiago.

Krew w jednej chwili odpłynęła z twarzy Sofii.

- To chyba trochę mylące, bo przecież twój ojciec nosi to samo imię...

- Może i trochę mylące.

- Więc jak do ciebie mówią?

- Santiguito.

Sofia z trudem przełknęła ślinę, próbując zapanować nad uczuciami.

- Santiguito? - powtórzyła powoli. - na pewno dobrze grasz w polo, podobnie jak twój ojciec? - wykrztusiła, obserwując, jak chłopiec przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

- Nieźle. Dziś po południu będę grał razem z tatą. Jeżeli chcesz, możesz popatrzeć.

- Bardzo chętnie - odpowiedziała Sofia.

Syn Santiago uśmiechnął się nieśmiało i spuścił oczy.

- Co jeszcze robisz, poza grą w polo? - zapytała Sofia. - Kiedy ja byłam dzieckiem, często zapisywaliśmy swoje specjalne życzenia na korze drzewa ambu, wiesz? Czy wy także to robicie?

- Nie, tata nie pozwala nam tam chodzić - odrzekł. - Wycieczki do ambu są zabronione.

- Zabronione? Dlaczego?

- Ja tam byłam - szepnęła Clara z dumą. - Nasz tatuś mówi, że stryj Santi jest zły na drzewo ambu, bo kiedyś poprosił je o coś i to życzenie się nie spełniło. Dlatego nie pozwala nam tam chodzić. To życzenie musiało być dla niego bardzo ważne, skoro tak się zezłościł.

Sofii nagle zrobiło się słabo. Poczuła, że musi wyjść. Delikatnie zsunęła Clarę z kolan i szybkim krokiem ruszyła w kierunku kuchni. Zaraz za zakrętem korytarza wpadła na Santiago.

Rozdział trzydziesty ósmy

- Santi! - krzyknęła cicho i zamrugła nerwowo, usiłując pozbyć się ograniczającej zdolność widzenia mgły przed oczami.

- Czy coś się stało. Sofio? - zapytał.

Zacisnął dłonie na jej przedramionach mocniej, niżby sobie tego życzył, a jednocześnie wpatrywał się w jej twarz tak intensywnie, jakby pragnął zgłębić jej myśli.

- Och, nie, nic mi nie jest... - wyjąkała.

Musiła walczyć ze sobą, aby nie rzucić mu się w objęcia. Miała wrażenie, że minione dwadzieścia cztery lata w jednej chwili przestały istnieć.

- Przyjechałaś z Rafaelem, prawda? Dzwoniłem do hotelu, ale powiedziano mi w recepcji, że już cię nie ma. - Nie potrafił ukryć rozczarowania.

- Tak - odparła niepewnie. - Przepraszam, nie wiedziałam, że...

- Wszystko w porządku, nie przejmuj się.

Nastąpiła długa chwila kłopotliwego milczenia, podczas której oboje gorączkowo zastanawiali się, co powiedzieć. Sofia bez radnie popatrzyła na Santiago, a on uśmiechnął się z zażenowaniem, nie bardzo wiedząc, jak jej pomóc.

- Dokąd tak się spieszysz? - zapytał w końcu.

- Chciałam zobaczyć się z Soledad, bo zdążyłam z nią zamienić tylko parę słów. Na pewno pamiętasz, że byliśmy sobie bardzo bliskie...

- Doskonale pamiętam - odrzekł.

Spojrzenie zielonych jak morze oczu przeszło ją niczym promień światła z latarni morskiej, witającej przybywających z dalekiej podróży.

Było to pierwsze odwołanie do przeszłości, jakie pojawiło się w ich rozmowie. Sofia poczuła nagle, że ma zupełnie suche gardło. Przypomniała sobie, że to właśnie Soledad dostarczyła Santiemu jej krótki list tamtej nocy, kiedy spotkali się po raz ostatni. Podniosła wzrok i natychmiast zatonęła w oczach Santiago. Próbował przekazać jej coś bez słów, których najwyraźniej nie umiał znaleźć. Chciała pomówić z nim o przeszłości - a miała mu tyle do powiedzenia - wiedziała jednak, że nie jest to odpowiedni moment. Czuła na sobie dwadzieścia par oczu, obserwujących ich z tarasu, i wiedziała, że powinna zachowywać się całkowicie naturalnie. Widziała cierpienie długich lat samotności, wpisane w bruzdy na czole Santiago i zmarszczki wokół jego oczu, i pragnęła wygładzić je palcami. Chciała zapewnić go, że ona również bardzo cierpiała.

- Poznałam twojego syna, Santiguita - powiedziała, przerywając przeciągające się milczenie. - Jest do ciebie podobny.

Santi przygarbił się, przygnębiony, że ich rozmowa przeistoczyła się w uprzejmą, zdawkową wymianę zdań.

Zamknął się w sobie, osłonił tarczą sztucznej obojętności. Natychmiast wyrósł między nimi gruby mur. Sofia nie wiedziała, dlaczego tak się stało.

- Tak, to dobry chłopak - odparł sucho. - Dobrze gra w polo.

- Mówił mi, że jutro po południu zagracie obaj.

- Wszystko zależy od tego, jak będzie czuła się Maria.

Sofię tak pochłonęły własne problemy, że zupełnie zapomniała o Marii, której choroba była przecież głównym powodem jej przyjazdu.

- Kiedy przywiozą ją do domu? - zapytała.

- Wczesnym wieczorem. Wpadniesz, prawda? Na pewno zechce zobaczyć się z tobą.

- Oczywiście.

Santi przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą i utkwiał spojrzenie w płytach posadzki.

- Jak długo zamierzasz zostać?

- Nie wiem, jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Przyjechałam do Marii, żeby spędzić z nią trochę czasu zanim... - Przerwała i instynktownie dotknęła jego dłoni. - Tak mi przykro, Santi... Wiem, że to okropny okres dla ciebie i całej rodziny...

Cofnął się o krok i spojrzał na nią chłodno, chociaż jeszcze przed chwilą w jego oczach malowało się ogromne wzruszenie.

- Zobaczymy się później. Sofio - powiedział.

Odwrócił się i szybko wyszedł na taras. Sofia zauważyła, że utyka bardziej niż przed laty. Chwilę przyglądała mu się ze smutkiem. Nagle poczuła się bardzo samotna. Nim poszła do kuchni, zajrzała do swojego dawnego pokoju i odkryła, że wszystko wygląda tu dokładnie tak jak dwadzieścia cztery lata temu. Nic się nie zmieniło.

Serce biło jej mocno i szybko. Miała wrażenie, że otworzyła drzwi prowadzące do przeszłości. Przekroczyła próg pokoju i weszła do środka. Otworzyła szafę, zajrzała do szuflad komody - wszystkie jej rzeczy nadal tu były. Nawet kosmetyki i perfumy, których wtedy używała, wciąż stały na toaletce. Najgłębiej wstrząsnął nią widok koszyczka pełnego czerwonych wstążek, które zawsze wplatała we włosy. Usiadła przed lustrem i powoli rozpuściła włosy. Nie były tak długie jak dawniej, ale udało jej się zapleść je w warkocz. Związała go czerwoną wstążką i utkwiała wzrok w swoim odbiciu.

Musnęła palcami twarz, która kiedyś promieniała darem młodości. Teraz skóra była miejscami cieńsza i przesuszona, a zmarszczki wokół oczu świadczyły o latach smutku i radości. Każde przeżycie w jakiś sposób utrwaliło się w jej rysach, które stały się fizycznym paszportem, oznaczonym pieczętkami od wiedzonych miejsc, cudownych, pełnych radości i spokoju, ale też piekielnych dolin rozpacz. Na jej twarzy odcisnęły piętno łzy, śmiech, gorycz, wreszcie pokorna rezygnacja, która przychodzi w chwili, gdy człowiek uświadamia sobie, że walka z życiem jest bezskuteczna i wyniszczająca. Sofia wiedziała, że nadal jest atrakcyjna, ale też miała świadomość, iż młodość jest czymś, co docenia się dopiero z perspektywy mijających lat. Kiedyś była młoda, odważna i uparta... Spojrzała w lustro i zrozumiała, że dałaby wszystko, aby przedostać się na jego drugą stronę i ponownie przeżyć młodość.

Każdy przedmiot w tym pokoju przypominał spokojne, gorące dni w Santa Catalina i radość, jaką jej dawały. Każda wisząca w szafie część ubrania miała swoją historię, zupełnie jakby dawna sypialnia stała się muzeum jej dawnego życia. Roześmiała się na widok nieporządnie rzuconej na półkę białej sukienki, którą włożyła na powitanie Santiiego, oraz

równowiszących par dżinsów. Było to fascynujące uczucie. Oczywiście, teraz nie zmieściłaby się w żadną z tych rzeczy, ponieważ po narodzinach Indii mocno przytyła. Może jednak zdoła włożyć jakąś bluzkę koszulową lub sweter... Nagle zapragnęła przebrać się w strój z lat młodości i wrócić na taras.

- Kiedy wysłaliśmy cię do Europy, ani przez chwilę nie podejrzewałam, że nie wrócisz.

Sofia odwróciła się gwałtownie i zobaczyła stojącą na progu matkę.

- Dlatego nie pozwoliłam tu niczego zmienić - ciągnęła Anna po angielsku, nie kryjąc ulgi, że wreszcie może porozmawiać z kimś w swoim ojczystym języku. Podeszła do okna i przesunęła dłonią po zasłonach. - Lata mijały, ale ja nie mogłam się zdobyć na uporządkowanie tego pokoju. Zawsze istniała szansa, że jednak zmienisz zdanie. Nie wiedziałam, co zrobić z twoimi rzeczami. Nie chciałam niczego wyrzucać, na wypadek gdyby... - Umilkła.

- Wszystko jest tak jak w dniu mojego wyjazdu - powiedziała Sofia, siadając na łóżku.

- Tak. Tak się jakoś złożyło, że nikt inny nigdy nie korzystał z tego pokoju. Rafael wybudował sobie dom, Agustin zamieszkał w Stanach, więc Paco i ja zostaliśmy sami... Możesz zostać, jak długo zechcesz, chyba że wolałabyś zatrzymać się gdzieś indziej...

- Nie, raczej nie. Nie zastanawiałam się nad tym, więc chętnie skorzystam z tej możliwości. Dziękuję. Będzie zupełnie jak dawniej...

Nie mogła się powstrzymać, żeby nie dodać tego ostatniego zdania. Kiedy się odwróciła, ze zdumieniem spostrzegła, że twarz matki złagodniała i pojawił się na niej leciutki uśmiech.

- Mam nadzieję, że nie - odparła Anna.

Gdy nieco później tego samego dnia Sofia zamknęła za sobą drzwi sypialni i wolnym krokiem poszła do domu Chiquity, wróciła myślami do tamtych idyllicznych dni, kiedy jej związek z Santim był jeszcze ich ściśle strzeżoną tajemnicą, a ona i matka były przyjaciółkami. Tamto lato było najszcześniejszym okresem jej życia. Pamiętała je bardzo dokładnie i czuła budzące się pragnienie, aby przeżyć je raz jeszcze.

Maria siedziała na łóżku w jasnoniebieskiej koszuli nocnej. Wyglądała jak anioł - chociaż nie miała włosów, jej twarz promieniała wewnętrznym światłem, a orzechowe oczy lśniły radością.

- Cudownie jest być w domu - powiedziała pogodnie, przytulając dwójkę najmłodszych dzieci i z miłością całując ich opalone buzie. - Eduardo, przynieś album ze zdjęciami. Chcę, żeby Sofia obejrzała fotografie z lat, kiedy jej tu nie było.

Marię otaczała tu atmosfera prawdziwego szczęścia inaczej niż w szpitalu. Dom Chiquity pełen był ciepła, muzyki i śmiechu. Upalna noc pachniała wilgotną trawą i

jaśminem. Santi i Claudia, którzy nie mieli własnego domu na wsi, zawsze mieszkali tutaj w czasie weekendów i szkolnych wakacji. Sofia świetnie rozumiała, dlaczego Santi nie chciał pożegnać się z tym miejscem. Tu był jego dom, wśród tych ścian nadal brzmiało echo cudownych lat dzieciństwa.

Santi i Sofia zamienili ze sobą zaledwie parę słów. Sofia starała się skupić całą uwagę na Marii i Chiquicie, lecz oboje co jakiś czas spoglądali na siebie ukradkiem. Kobiety śmiały się z dawnych przygód, jedna historia prowadziła do następnej i lata oddalenia stopniowo topniały. Kiedy wreszcie zostawili Marię, która zasnęła w swoim jasnym, pełnym kwiatów pokoju. Sofia miała wrażenie, że nigdy nie rozstawała się z rodziną.

- Wiesz, Chiquito, tak się cieszę, że zobaczyłam Marię - rzekła Sofia, wchodząc wraz z innymi do salonu. - Dobrze, że przyjechałam.

- Marii naprawdę to pomogło. Bardzo za tobą tęskniła i wydaje mi się, że twój przyjazd dał jej wolę życia, pragnienie, aby przynajmniej na krótko zmobilizować siły.

Sofia mocno uściskała ciotkę.

Lęk i niepewność ostatnich kilku miesięcy zgasiły pogodę ducha Chiquity. Była przygnębiona i wewnętrznie krucha jak cienka gałązka. - Maria poczuła się lepiej, bo wróciła do domu, do ciebie i rodziny.

- To wy dajecie jej siłę i chęć do życia. Ostatnie dni upłyną jej w atmosferze spokoju i radości.

- Masz rację, Sofio - odparła Chiquita, ocierając łzy. - A co zrobimy z tobą, kochanie?

- zapytała szeptem.

- Co masz na myśli? Niedługo wrócę do swojej rodziny, to chyba oczywiste.

Chiquita ze zrozumieniem skinęła głową.

- Tak - powiedziała z łagodnym uśmiechem, lecz spojrzała na Sofię tak badawczo, jakby chciała odczytać jej uczucia.

Santi i Claudia siedzieli w milczeniu, pogrążeni w lekturze gazet. Panchito, teraz dorosły dwudziestoosmioletni mężczyzna, oglądał telewizję, wygodnie rozparty na sofie. Sofia pomyślała, że bardzo przypomina Santię. Miał długie, chude nogi i był wyjątkowo atrakcyjnym młodym człowiekiem. Wyglądał jak młodszy, pozbawiony skaz wieku wizerunek starszego brata. Oczy miały ten sam morski odcień, chociaż brakowało im głębi spojrzenia, charakterystycznej dla Santię, a gładka twarz po zbawiona była wyrazistości rysów Santię. Wystarczyło spojrzeć na Santię, by zrozumieć, że przeszedł przez piekło, ale przetrwał i wrócił do życia.

Kiedyś Santi emanował pewnością siebie i wiarą, że zdoła nagiąć życie do swoich wymagań i potrzeb, los nauczył go jednak, iż nie można zwyciężyć tego, czego nie da się

utrzymać pod kontrolą. Można tylko nauczyć się żyć w harmonii z przeznaczeniem. Z czasem pozbył się wrodzonej arogancji, lecz nie przyszło mu to łatwo.

- Santi, podaj Sofii kieliszek wina - poprosiła Chiquita. - Białe czy czerwone.

Sofio?

- Czerwone - rzekł Santi, automatycznie odpowiadając na pytanie matki. Czerwony zawsze był ulubionym kolorem Sofii.

- Tak, dziękuję - odparła Sofia ze zdumieniem.

Claudia podniosła wzrok znad czasopisma i przez chwilę przyglądała się, jak mąż nalewa wino do kieliszka. Sofia czekała na wyraz niepokoju, jaki lada chwila mógł pojawić się na jej twarzy, ale jeżeli nawet Claudia poczuła ukłucie lęku, nie okazała tego.

- Jak długo zamierzasz zostać w Argentynie, Sofio? - zapytała Claudia, przenosząc na nią spojrzenie swych obojętnych, niebieskich oczu.

- Nie wiem, nie mam żadnych konkretnych planów.

- Zdaje się, że masz dzieci i męża, prawda?

- Tak. David jest w tej chwili zajęty sztuką, którą wystawia, i dlatego nie mógł ze mną przyjechać. Zresztą, tak czy inaczej, byłoby to dla niego trochę trudne, ponieważ nie zna nikogo z was i nie mówi po hiszpańsku. Zgodził się, żebym została tak długo, jak zechcę.

- Wszyscy czytaliśmy o tobie w gazetach - wtrąciła Chiquita. - Obok artykułu zamieszczono zdjęcie, pięknie na nim wypadłaś, naprawdę. Mam tę fotografię, pokażę ci ją.

Santi podał Sofii kieliszek. Próbowwała przechwycić jego spojrzenie, ale nie zareagował.

- Powinnaś była zostać aktorką - ciągnęła Chiquita. - Już jako dziecko zachowywałaś się jak prawdziwa gwiazda, zawsze skupiałaś na sobie uwagę całej rodziny. Dziwię się, że mąż nie obsadził cię w jednej ze sztuk, które wystawia. Wiesz, Claudio, Sofia uwielbiała się popisywać i na scenie czuła się jak ryba w wodzie. Kiedyś w San Andres na zakończenie roku szkolnego wystawiono sztukę. Sofia powiedziała, że nie wystąpi w niej, ponieważ reżyser nie zaproponował jej głównej roli. Pamiętasz to, Santi? Płakała przez cały tydzień i powtarzała, że jest lepsza od całej reszty.

- Tak, pamiętam - rzekł Santi.

- Sofia zawsze stawiała na swoim. Biedny Paco nie potrafił jej niczego odmówić.

- Dziadek także nie - nieśmiało przyznała Sofia, uśmiechając się lekko. - Mama wpadała w furię i powtarzała, że sprzysięgliśmy się przeciwko niej...

- Ach, twój dziadek... To był naprawdę niezwykły człowiek.

- Nadal za nim tęsknię. Brakuje mi jego poczucia humoru. Nigdy nie zapomnę, jak kiedyś zatrzymano go w szpitalu w Buenos Aires, ponieważ zapadł na jakąś wyjątkowo zakaźną chorobę. Bóg jeden wie, co to było, w każdym razie lekarze nie byli w stanie postawić jednoznacznej diagnozy. Mówili, że to chyba jakiś rodzaj ameby, ale nie byli pewni, pamiętasz, Chiquito?

Chiquita zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

- Nie, Sofio, akurat tego zupełnie sobie nie przypominam...

- Nie szkodzi. Lekarz prowadzący zabronił dziadkowi wychodzić z pokoju, więc kiedy dziadek chciał wyjść za potrzebą, dzwonił po pielęgniarkę, która przynosiła mu basen. Pewnego dnia dzwonił i dzwonił, ale pielęgniarka nie reagowała, więc dziadek wyszedł na korytarz i przemierzył całe piętro w poszukiwaniu toalety. Dopiero kiedy wrócił, zauważył, że na drzwiach jego pokoju wisi kartka: „UWAGA! NIE WCHODZIĆ! W POKOJU ZNAJDUJE SIĘ PACJENT CHORY NA CHOROBE ZAKAŹNĄ!”. Dziadek uznał, że nie może wejść do środka, ponieważ w ten sposób sprzeciwiłby się wyraźnym zaleceniom lekarzy. Więc co zrobił, jak myślicie? Ruszył w obchód po całym szpitalu, zarażając, kogo się dało, aż wreszcie natknął się na pielęgniarkę, która natychmiast odprowadziła go do pokoju. Jego „wycieczka” wywołała prawdziwą panikę. Znając dziadka Dwyera, można śmiało przypuszczać, że zrobił to celowo. Po tym incydencie pielęgniarki i lekarze biegli do niego na złamanie karku, ledwo zadzwonił.

- I na pewno odetchnęli z ulgą, kiedy wyszedł ze szpitala. - Santi zaśmiał się, kręcąc głową. - Przypomniałem sobie właśnie, jak po kolejnej kłótni z Anną spakowałaś swoje rzeczy i przyszłaś do nas z wielką torbą, oświadczając, że chcesz, żeby nasza mama cię adoptowała. Pamiętasz, Sofio?

- Nie jestem pewna, czy chcę o tym pamiętać, bo niezbyt dobrze to o mnie świadczy - wyznała Sofia.

- Santi i Maria byli zachwyceni twoją propozycją - powiedziała Chiquita. - Cieszyli się na myśl, że zostaniesz z nami na zawsze.

- Jak zareagowali na to moi rodzice? - zapytała Sofia,

- Chwileczkę, niech no sobie przypomnę... - Chiquita lekko zmrużyła oczy. - Twój ojciec... Tak, Paco przyszedł po ciebie i spokojnym tonem poinformował cię, że jeżeli nie chcesz mieszkać w domu, to w Argentynie jest mnóstwo dobrze prowadzonych domów dziecka. Dodał, że jesteś zbyt niezdolna i rozpuszczona, żeby mógł zrzucić odpowiedzialność za twoje wychowanie na kogoś z rodziny.

- Naprawdę? - zachichotała Sofia.

- Tak. I miał sporo racji, bo rzeczywiście zawsze sprawiałaś rodzicom sporo problemów. Cieszę się, że w końcu się ustakowałaś.

Przez cały czas Claudia milczała, uważnie przysłuchując się rozmowie teściowej i Sofii.

- Trudno w to uwierzyć, ale ta dziewczyna grała w polo z chłopcami - dorzuciła Chiquita, z podziwem kręcąc głową.

- Dios, ile to już lat... - Sofia się uśmiechnęła. - Nie wiem nawet, czy pamiętam, jak się gra w polo...

- Grałaś równie dobrze jak chłopcy? - odezwała się wreszcie Claudia, postanawiając włączyć się do rozmowy.

- Gorzej niż Santi, ale równie dobrze jak Agustin - odparła Chiquita zgodnie z prawdą.

- Chciałam robić to samo co chłopcy - powiedziała Sofia. - Zawsze wydawało mi się, że oni mają o wiele ciekawsze życie niż dziewczęta.

- Byłaś kimś w rodzaju honorowego chłopca, co, Chofi? - parsknął śmiechem Santi.

Sofia się zawahała. Pierwszy raz po jej przyjeździe nazwał ją tak, jak dawniej. Chiquita udała, że nic nie zauważyła, lecz Sofia dostrzegła jej niespokojne spojrzenie, które najpierw spoczęło na Santim, a zaraz potem na niej. Oczywiście Claudia ani na chwilę nie straciła opanowania i dalej spokojnie sączyła wino, zupełnie jakby mąż nie powiedział nic niezwykłego.

- Sofia naprawdę była nieznośną panienką - podjęła Chiquita nieco nerwowo, pragnąc przerwać milczenie.

Claudia spojrzała na zegarek.

- Santi, powinniśmy powiedzieć dobranoc dzieciom - oświadczyła chłodno.

- Teraz? - zapytał.

- Naturalnie. Będą bardzo rozczarowane, jeżeli do nich nie zajrzysz.

- Ja też powinnam się już pożegnać. - Sofia podniosła się z fotela. - Muszę wracać do rodziców. Mam za sobą długi dzień i jestem trochę zmęczona. Do zobaczenia jutro.

Claudia i Santi także wstali. Santi nie pocałował Sofii, przed wyjściem z pokoju skinął jej tylko głową, natomiast Chiquita uściskała ją serdecznie.

- Porozmawiaj z Anną, Sofio - powiedziała.

- Słucham?

- Po prostu z nią porozmawiaj, kochanie. I nie zapominaj, że ona także przeżyła trudne chwile.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Sofia bez pośpiechu poszła do domu, po drodze wspominając, ileż to razy w przeszłości przemierzała ten fragment parku. Tu był jej dom. Aromat eukaliptusa wisiał w wilgotnym powietrzu, kuce parskały na pobliskiej łące, cykady grały rytmicznie. Pomyślała, że te owady są równie nierozdzieloną częścią Santa Catalina, jak drzewo ambu. Bez ich muzyki atmosfera wieczoru była by zupełnie inna. Głęboko odetchnęła zapachem pampy i pograżyła się w gorzko-słodkich wspomnieniach dzieciństwa.

Kiedy dotarła do domu, była już prawie chora z nostalgii. Czuła, że musi mieć trochę czasu, aby spokojnie przemyśleć wszystko, co się wydarzyło. Spodziewała się, że po tylu latach Santa Catalina okaże się zupełnie innym, nowym miejscem, więc odkrycie, że jej dom jest taki jak dawniej, trochę wytrąciło ją z równowagi. Miała wrażenie, że oto nagle wróciła do lat dzieciństwa w ciele dojrzałej kobiety, obciążona doświadczeniami z innego życia i kraju. Rozejrzawszy się dookoła, zrozumiała, że Santa Catalina tkwi w odrębnej, własnej rzeczywistości, której świat zewnętrzny nie jest w stanie naruszyć. Zbliżyła się do basenu. Wspomnienia sypały się na nią niczym krople gęstego deszczu. Wszystko, na co spojrzała, wiązało się z ja kimś zdarzeniem z przeszłości. Kort tenisowy, na którym tak często grywała z Santim, wychynął nagle z ciemności i przez chwilę miała wrażenie, że słyszy echo roześmianych, radosnych głosów.

Usiadła na brzegu basenu i skupiła myśli na Davidzie. Przywołała jego twarz, jego jasnyniebieskie oczy i prosty, arystokratyczny nos, który tak często całowała. Tak, kochała go, ale inaczej niż Santiago. Wiedziała, że to źle, że nie powinna pragnąć innego mężczyzny, jego warg i pieszczot, a jednak nigdy nie przestała kochać człowieka, który w jakiś tajemniczy sposób wydawał się stanowić część jej duszy. Pragnęła Santiago i siła tego pragnienia zapierała jej dech w piersiach. Mimo upływu dwudziestu czterech lat tamta rana wcale się nie zagoiła.

Było już zupełnie ciemno, gdy weszła do domu. Uspokoila się, oddychała głęboko, zrobiła wszystkie te rozsądne rzeczy, które w chwilach wzburzenia zalecał dziadek Dwyer. Zajrzała do kuchni, gdzie Soledad właśnie przygotowywała mus dulce de leche, i usiadła na swoim dawnym miejscu przy kuchennym stole. Doszła do wniosku, że pogawędka z nianią jest dokładnie tym, czego jej w tej chwili potrzeba.

- Seniorita Sofia, dlaczego tak długo nie wracałaś do domu? Nawet do mnie nie napisałaś! Dlaczego? Jak mogłaś? Myślałaś, że nie będę za tobą tęskniła? Nie będzie mi przykro? Oczywiście, że było mi przykro, płakałam z tęsknoty. Byłam pewna, że nic cię już nie obchodzi, i to po wszystkim, co dla ciebie zrobiłam. Płakałam i płakałam, a przecież powinnam być na ciebie wściekła, wtedy i teraz. Ale nie mogę... Jestem zbyt szczęśliwa, że wróciłaś, żeby się na ciebie gniewać. - Soledad rzuciła Sofii pełne wyrzutu spojrzenie i pochyliła się nad parującym garnkiem zupy zapallo.

Sofia poczuła nagle wielki smutek. Soledad kochała ją jak własne dziecko, tymczasem ona nie myślała o niej zbyt często.

- Och, Soledad, nigdy o tobie nie zapomniałam, ale po prostu nie mogłam wcześniej wrócić! Zaczęłam nowe życie w Anglii...

- Senior Paco i seniora Anna... Cóż, po twoim wyjeździe oboje bardzo się zmienili. Nie pytaj, co się stało. Nie lubię wtrącać się w nie swoje sprawy, ale potem nigdy już nie było między nimi tak jak dawniej. Ty wyjechałaś, a oni poszli w przeciwne strony i już do siebie nie wrócili. Wszystko się zmieniło. Bardzo mnie to przygnębiało, nie podobała mi się atmosfera w domu. Modliłam się, żebyś wreszcie przyjechała, ale ty nawet nie napisałaś... Ani słowa, nic!

- Przepraszam cię, Soledad, zachowałam się bezmyślnie. Jeżeli jednak mam być szczerą, a tobie zawsze mówiłam całą prawdę, to muszę powiedzieć, że nie chciałam myśleć o Santa Catalina, żeby nie cierpieć. Bardzo za wami wszystkimi tęskniłam, tak bardzo, że nie potrafiłam się zmusić, by napisać. Wiem, że powinnam była to zrobić, ale łatwiej było zapomnieć.

- Jak można zapomnieć o swoich korzeniach, Sofio? - Soledad potrząsnęła siwą głową. - Przecież to niemożliwe...

- Kiedy jesteś na drugim końcu świata, Argentyna wydaje się tak daleka, że aż nieosiągalna. Pochłonęło mnie nowe życie, choć doskonale wiem, że już dawno powinnam była się do was odezwać.

- Jesteś tak samo uparta jak twój dziadek.

- Chociaż późno, to jednak wróciłam i jestem - powiedziała Sofia w taki sposób, jakby jej słowa mogły pocieszyć Soledad.

- Tak, ale nie zostaniesz, bo nie masz po co, prawda? Senior Santiago jest żonaty. Znam cię i wiem, że nie zostaniesz...

- Ja też mam rodzinę, Soledad. Bardzo kocham mojego męża.

- Ale twoje serce jest z nami, w Santa Catalina. - Soledad westchnęła. - Dobrze cię znam, Sofio. Nie zapominaj, że to ja cię wychowałam.

- Jaka jest Claudia? - zapytała nagle Sofia, trochę wbrew sobie.

- Nie lubię źle mówić o kimkolwiek z rodziny Solanas, bo wszyscy jesteście mi bardzo bliscy. Nie ma chyba bardziej lojalnej osoby niż ja, gdybym taka nie była, odeszłabym stąd wiele lat temu. Nieważne. Teraz rozmawiam z tobą, więc mogę ci powiedzieć, co myślę. Ona nie jest jedną z was i wydaje mi się, że on jej nie kocha. Moim zdaniem jego serce wciąż należy do innej, ale nie chcę się wtrącać, to nie moja sprawa. Po twoim wyjeździe snuł się po Santa Catalina jak duch. Stara wiedźma z wioski twierdziła, że jego aura pociemniała i stała się mglista. Chciała, żeby do niej przyszedł i na pewno by mu pomogła, ale on nigdy nie

interesował się światem pozazmysłowym. Po tych strasznych wydarzeniach z seniorem Fernandem senior Santiago zaczął zapraszać seniorkę Claudię do Santa Catalina na weekendy i znowu zaczął się uśmiechać, chociaż myślałam, że nigdy do siebie nie dojdzie. Potem się z nią ożenił. Gdyby jej nie spotkał, pewnie by się po prostu poddał, zrezygnował z dalszej walki. Tak czy inaczej, z jego strony raczej nie jest to miłość. Obserwuję wszystko, więc widzę, co się dzieje. Oczywiście, to nie moja sprawa. Szanuje ją, bo to matka jego dzieci, ale nie jest pokrewną mu duszą. Stara wiedźma uważa, że każdemu przeznaczona jest tylko jedna jedyna osoba.

Sofia uważnie słuchała opowieści Soledad i z każdą chwilą co raz mocniej pragnęła uwolnić Santiago od cierpienia. Była trochę rozbawiona, że Soledad tak dużo wie. Na pewno zbierała wszystkie plotki, jakie powtarzali sobie służący i gauczowie.

Rafał i jego żona Jasmina usiedli z Sofią i jej rodzicami do kolacji na tarasie. Sofia cieszyła się z ich towarzystwa. Jasmina była ciepłą, serdeczną osobą, a jej pulchne ciało emanowało aurą dojrzałej płodności, której brakowało chłodnej Claudii. Sofii bardzo podobało się jej dosadne poczucie humoru.

Jasmina przyniosła ze sobą zawiniętą w szal dwumiesięczną córeczkę i dyskretnie nakarmiła ją przy stole. Sofia zauważyła, że Anna tego nie aprobuje, ale bardzo stara się ukryć swoje uczucia. Jasmina najwyraźniej znała teściową wystarczająco dobrze, aby dostrzec oznaki niezadowolenia z jej strony, była jednak dość inteligentna, by je zignorować.

- Rafa nie chce mieć więcej dzieci, mówi, że piątka zupełnie mu wystarczy. - Jasmina uśmiechnęła się szeroko, a jej jasnozielone oczy zaśmiały pogodną złośliwością. - Moi rodzice mają trzynaścioro, wyobrażasz to sobie?

- Naprawdę, mi amor, trzynaścioro dzieci to wielkie wyzwanie w tych czasach - odparł Rafał, z miłością spoglądając na Jasminę. - Musiałbym je wszystkie wykształcić, prawda?

- No, zobaczymy! - Jasmina się roześmiała. - Nie widzę żadnego powodu, żeby poprzestać na piątce. - Na moment odchyliła bluzkę i zerknęła na spokojnie ssące niemowlę. - Kiedy są takie maleńkie, zupełnie tracę dla nich głowę. Potem szybko dorastają i rodzice są im coraz mniej potrzebni...

- Nie zgadzam się. - Paco położył dużą, szorstką dłoń na rękę Sofii. - Jeśli rodzice starają się stworzyć dzieciom dom pełen miłości, one zawsze do niego wracają.

- Ty też masz dzieci, prawda, Sofio? - zapytała Jasmina.

- Tak, dwie córki.

Sofia nie odsunęła ręki, lecz miała ochotę to zrobić. Pomyślała, że w dawnych czasach dotyk ojca sprawiał jej przyjemność, ale teraz było inaczej.

- Szkoda, że nie przywiozłaś ich ze sobą - rzekła Jasmina. - Clara i Elena cieszyłyby się ze spotkania z kuzynkami. Muszą być mniej więcej w tym samym wieku. A ja byłabym zachwycona, że mają okazję rozmawiać po angielsku.

- Powinny częściej do mnie wpadać, Jasmino - odezwała się Anna.

- Na pewno, ale wiesz, jakie są dzieci. Nie sposób zmusić ich do czegoś, na co nie mają wielkiej ochoty.

- Może powinniście być dla nich trochę bardziej surowi - zasugerowała Anna. - Dzieci nie wiedzą przecież, co dla nich dobre.

- Och, nie, w żadnym razie nie chciałabym ich denerwować. Po szkole wracają do domu, w którym powinny czuć się zawsze swobodnie i bezpiecznie. W domu jest czas na zabawę, nie na naukę.

Sofia szybko pojęła, że tej bitwy jej matka na pewno nie wygra. Jasmina wiedziała, jak przeciwstawić się Annie, i robiła to w łagodny, delikatny sposób. Sofia szczerze ją za to podziwiała. Sprawiała wrażenie miękkiej, uległej osoby, ale była twarda jak stal.

Soledad wykorzystywała każdą okazję, żeby wyjść na taras - podawała kolejne dania, zabierała brudne talerze, przynosiła musztardę i dzbanek ze świeżą wodą, a kilka razy zjawiała się, pytając, czy seniora Anna dzwoniła. Przez cały czas uśmiechała się szeroko, odsłaniając spore ubytki w uzębieniu. Sofia z coraz większym trudem ukrywała rozbawienie i w końcu parsknęła śmiechem w serwetkę. Soledad najwyraźniej płonęła z ciekawości, żeby zobaczyć ją razem z rodzicami. Później będzie mogła podzielić się nowinami z wszystkimi pozostałymi służącymi z Santa Catalina, pomyślała Sofia.

O jedenastej Jasmina poszła do domu z córeczką, znikając w mrocznym parku jak biały anioł. Paco i Rafael dalej rozmawiali przy stole, od czasu do czasu oganiając się od much i ciem, które zlatywały się, zwabione światłem ogrodowych lamp. Anna oświadczyła, że jest już stara, i udała się na spoczynek, chociaż Paco usiłował ją zatrzymać. Sofia odetchnęła z ulgą, ponieważ nie bardzo wiedziała, o czym rozmawiać z matką. Miała do niej zbyt wielki żal, żeby poruszyć temat przeszłości, a o terażniejszości umyślnie nie chciała z nią mówić. Kiedy Anna odeszła, nastrój Sofii zdecydowanie się poprawił, stała się swobodniejsza i zaczęła rozmawiać z ojcem i bratem jak dawniej. Z nimi z przyjemnością wracała do przeszłości. Dochodziła już północ, gdy wreszcie wszyscy rozeszli się do swoich pokojów.

Następnego dnia Sofia obudziła się bardzo wcześnie z powodu różnicy czasu. Przespała noc spokojnie i głęboko, nie dręczyły ją żadne sny, nawet o Santim. Cieszyła się z tego, bo ostatnio czuła się zupełnie wyczerpana i fizycznie, i emocjonalnie. Ale kiedy się już ocknęła, nie potrafiła spokojnie uleżeć. Na palcach zakradła się do kuchni, gdzie biały blask świtu padał na stół i kafle posadzki. Natychmiast przypomniały jej się czasy, gdy w pośpiechu chwyciła coś do jedzenia z dobrze zaopatrzonej lodówki i wybiegała na dwór, żeby trenować grę w polo pod okiem Josego. Rafael powiedział jej, że Jose nie żyje już od dziesięciu lat. Bez Josego Santa Catalina przypominała uśmiech, odsłaniający szczerbę w miejscu górnej jedyńki.

Wzięła jabłko z lodówki i zanurzyła palec w misie z dulce de leche. Żaden przysmak nie mógł się równać z dulce de leche, które Soledad robiła z gotowanego na wolnym ogniu mleka z cukrem. Sofia próbowała przyrządzić ten deser dla swoich córek, ale nigdy nie smakował tak wspaniale jak ten przygotowany przez Soledad. Zjadła jeszcze trochę i przez salon wyszła na taras, spowity o tej porze cieniami wysokich drzew, pogrążony w oczekiwaniu na pojawienie się słońca. Ugryzła spory kęs jabłka, czując w ustach słodki smak karmelowego musu. Na widok porannej mgły, wiszącej nad rozległymi równinami, ogarnęło ją pragnienie, aby dosięść kuca i pogalopować przed siebie. Ruszyła przez park w kierunku puesto, niskich stajni, w których Jose umieszczał na noc konie.

Pablo przywitał ją, wycierając ręce w brudną szmatę, i uśmiechnął się, odsłaniając krzywe, poczerńiałe zęby. Sofia uściśniła mu dłoń i wyraziła żal z powodu śmierci jego ojca. Pablo z powagą skinął głową i podziękował.

- Ojciec szczerze panią lubił, seniora Sofia.

Sofia zauważyła, że zwraca się do niej "seniora" zamiast "seniorita". Odniosła wrażenie, że ta zmiana stwarza między nimi dystans, który nie istniał wiele lat temu, kiedy razem grywali w polo.

- Ja także byłam do niego przywiązana - odparła, rozglądając się i widząc obserwującą ją przez okna stajni obce, brązowe twarze. - Bez niego w Santa Catalina nigdy nie będzie tak jak dawniej...

- Chce się pani przejechać, seniora Sofia? - zapytał Pablo.

- Nie chcę grać, ale może rzeczywiście trochę się przewietrzę. Bardzo dawno nie jeździłam po pampie.

- Javier! - zawołał Pablo.

Ze stajni wybiegł młody mężczyzna w luźnych spodniach. Srebrne monety na jego pasie zalśniły w bladym świetle.

- Dobrą klacz dla seniory Sofii, szybko. Nie Aztecę, Javier! - krzyknął, kiedy chłopak ruszył w kierunku ciemnej klaczy. - La Purę! Dla seniory wszystko, co najlepsze, a La Pura nie ma równych sobie - dodał z uśmiechem.

Javier doprowadził jasnokasztanową klacz i osiodłał ją. Sofia pogładziła aksamitnie miękkiego nos zwierzęcia. Wskoczyła na siodło, podziękowała Javierowi i wyjechała truchtem na łąkę. Czuła się doskonale, znowu mogła oddychać pełną piersią. Napięcie ściskające jej krtań i klatkę piersiową ustąpiło, mięśnie się rozluźniły w łagodnym rytmie galopu. Spojrzała na dom Chiquity i pomyślała o Santim, śpiącym u boku żony. Później Santi powiedział jej, że stał wtedy przy oknie i patrzył, jak galopuje po równinie, zastanawiając się jednocześnie, co ma zrobić ze swoim życiem. Wraz z przyjazdem Sofii wszystko się pogmatwało.

Sofia nie widziała Santiiego przez cały dzień. Kiedy zjawiła się w domu Chiquity, aby odwiedzić Marię, dowiedziała się, że pojechał z dziećmi do miasteczka. Wrócił dopiero po jej wyjściu. Sofia czuła, jak na widok każdego nadjeżdżającego samochodu serce podskakuje jej z radości, ponieważ miała nadzieję, że to Santi wraca do domu. Starła się zachować spokój, ale żal jej było mijającego czasu, wiedziała przecież, że jej pobyt w Santa Catalina niedługo dobiegnie końca. Za wszelką cenę chciała zobaczyć się z Santim w cztery oczy i porozmawiać z nim o ich wspólnej przeszłości. Pragnęła raz na zawsze uporać się z przeszłością.

Rozdział czterdziesty

Chiquita poprosiła Sofię, żeby została na obiad. Wprawdzie Maria nie była w stanie usiąść do stołu razem ze wszystkimi, ale zależało jej, żeby Sofia pozostała jak najdłużej w pobliżu.

- Nie chcę stracić nawet sekundy z twojego pobytu - powiedziała Chiquita. - Niedługo wyjedziesz i Bóg jeden wie, kiedy cię znowu zobaczymy.

Ponieważ Sofia poprzedniego dnia jadła obiad z rodzicami, miała nadzieję, że nie będą mieli nic przeciwko temu.

Obiad podano na dworze, wśród cykad i powarkujących na siebie psów. W migotliwym blasku osłoniętych szklanymi kloszami świec Eduardo wyglądał mizernie i blade. Odzywał się rzadko i tylko od czasu do czasu spoglądał na pozostałych zza okrągłych okularów. Nawet szkła nie mogły zamaskować smutku, osiadłego w drobnych zmarszczkach wokół oczu. Santi i Sofia wymieniali wspomnienia z Chiquitą i Miguelem, natomiast Claudia znowu słuchała z lekkim uśmiechem, który dziwnie nie pasował do jej poważnej twarzy. Najwyraźniej nie chciała sprawiać wrażenia ani zainteresowanej, ani nie uprzejmie obojętnej, siedziała więc wyprostowana, jedząc makaron z sosem i co chwilę ocierając kąciki ust białą serwetką.

Sofia rzadko używała serwetki. Anna zawsze nalegała, aby córka zachowywała się „jak dama”, ale dziadek Dwyer nie odmiennie stawał w jej obronie.

- Dlaczego serwetka ma być czymś niezbędnym, Anno Melody? - pytał. - Osobiście uważam, że bardziej przydaje się rękaw, bo przynajmniej zawsze wiem, gdzie go mam.

Narzekał, że serwetki głównie spadają z kolan na podłogę. Sofia spojrzała na swoje kolana i przekonała się, że dziadek Dwyer jak zwykle miał rację - jej serwetka zniknęła gdzieś pod stołem. Kiedy schyliła się, żeby ją odzyskać, Panchito, który siedział po jej prawej ręce, uśmiechnął się porozumiewawczo i podniósł serwetkę czubkiem buta.

Chiquita i Miguel byli szczerze dumni z Panchita, wysokiego, przystojnego chłopca, równie czarującego jak Santi. Kiedy Panchito się uśmiechał, do złudzenia przypominał brata.

Nietrudno było spostrzec, w jaki sposób niespokojne, pogmatwane losy starszych braci wywarły wpływ na jego życie. Dorastał jako idealne dziecko, które miało zrekompensować rodzicom błędy i niedociągnięcia starszego rodzeństwa. Panchito był świadkiem, jak jego matka cierpi po skandalicznym romansie Santiiego i ucieczce Fernanda do Urugwaju, i rzeczywiście ze wszystkich sił starał się ją uszczęśliwić. Zawsze usiłował być blisko Chiquity, podobnie jak wszystkie jej dzieci. Matka kochała je z całego serca i zawsze mogły na nią liczyć, nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Santi, Fernando, Maria i Panchito byli jej życiem, więc żyła dla nich.

Panchito mógł się poszczycić dziewięcioma trafieniami w meczu polo i chociaż kariera zawodowego gracza nie była uważana za zbyt odpowiednią dla młodego człowieka z dobrej rodziny, rodzice zgodzili się, aby grał profesjonalnie. Nie potrafili mu tego odmówić, ponieważ sami widzieli, że ma ogromny talent. Chiquita zbyt angażowała się w życie najmłodszego syna. Sofia bez trudu wywnioskowała z rozmowy z ciotką, że ta wcale nie chciała, aby jej Panchito dorósł. Prawie wszyscy krewni nazywali go teraz Pancho, nie Panchito (mały Pancho), lecz dla matki miał na zawsze pozostać małym chłopcem, który wciąż potrzebował jej pomocy. Był najmłodszy i rozpaczliwie trzymała się jego dzieciństwa. Gdyby rozluźniła uchwyt, odkryłaby, że w zaciśniętych dłoniach nie ma nic prócz powietrza. Jej Panchito wyfrunął z gniazda wiele lat wcześniej.

Soledad szepnęła Sofii, że Panchito w tajemnicy romansuje z córką Encarnacion, Marią (nazwaną tak ze względu na Marię Solanas), mężatką i matką kilkuletniej dziewczynki. Soledad twierdziła, że ojcem dziecka mógł być każdy mężczyzna z pueblo.

- Przyzwoity młody człowiek, taki jak Pancho, nie może przecież chodzić do burdelu - powiedziała Soledad, najwyraźniej czując się w obowiązku bronić chłopaka. - On dopiero uczy się postępować z kobietami.

Sofia spojrzała na Pancha i pomyślała, że wiele wskazuje na to, iż dawno już nauczył się postępować z kobietami. Najprawdopodobniej jego edukacja trwała od chwili, gdy dowiedział się, do czego służy penis.

W czasie obiadu Santi i Sofia rozmawiali niewiele. Nikt obcy nie zgadłby, ile wysiłku kosztuje ich udawanie starych, dobrych przyjaciół. Śmiali się, kiedy łyzy nabiegały im do oczu, i odzywali się spokojnie, prawie obojętnie, gdy chciało im się krzyknąć z bólu.

Wreszcie Sofia podniosła się zza stołu i ucałowała wszystkich na dobranoc. Claudia stała sztywno na tle francuskich okien, pragnąc jak najszybciej schronić się w domu i zabrać ze sobą męża.

- Do zobaczenia jutro. Sofio - rzekła z uśmiechem, chociaż jej oczy pozostały chłodne.

Właśnie w tej chwili Santi wcisnął kawałek papieru do ręki Sofii. Spojrzał na nią z tęsknotą wypisaną na twarzy i pocałował ją w policzek. Claudia nie zauważyła tego, ponieważ była odwrócona do nich plecami.

Sofia zbiegła po schodach tarasu prosto w noc, mocno przyciskając do piersi otrzymaną od Santiago kartkę. Niecierpliwie rozprostowała papier i wtedy spostrzegła, że jest to ta sama wiadomość, którą dwadzieścia cztery lata temu wysłała Santiemu przez Soledad. Drżąc ze wzruszenia, znowu przeczytała tamte słowa: „Spotkajmy się o północy pod drzewem ambu”. Znowu ogarnęło ją dobrze już znane uczucie żalu, poszła jednak dalej, nie wypuszczając z dłoni cennej kartki. Nie mogła usiąść, aby odzyskać panowanie nad sobą - była zbyt poruszona.

Uczucie Santiago nie uległo zmianie. Zatrzymał przesłaną przez nią wiadomość, bo nie potrafił o niej zapomnieć, a teraz dał jej, by zrozumiała, jak bardzo chce się z nią zobaczyć. Pragnął Sofii, a ona nigdy nie przestała pragnąć jego. Nie mogła nic na to poradzić.

Zdawała sobie sprawę, że postępuje źle, ale nie umiała się powstrzymać. Serce bolało ją na myśl o tym, jak inaczej mogły ułożyć się ich losy.

Znowu czuła się jak dziecko, które łamie określone przez starszych zasady. Kiedy szcztokowała i zaplatała włosy przy swojej dawnej toalecie, wydawało jej się, że ma osiemnaście lat. Wróciła do życia tak różnego od tego, jakie dzieliła z mężem i córkami, że chwilami miała wrażenie, iż w tej nowej, przypominającej wytwór fantazji egzystencji po prostu nie ma dla nich miejsca. W tej chwili liczył się dla niej tylko Santi i nikt więcej. Uważała, że tak jest dobrze, bo przecież Santi należał do niej, stanowił część jej duszy, tę część, na którą z utęsknieniem czekała dwadzieścia cztery lata.

Miała już wyjść z pokoju, gdy nagle usłyszała pukanie do drzwi. Spojrzała na zegar - była za kwadrans dwunasta.

- Proszę! - zawołała ze zniecierpliwieniem. Drzwi otworzyły się powoli.

- Och, tata...

Paco niepewnie stał w progu. Sofia nie miała ochoty go zapraszać, pragnęła jak najszybciej znaleźć się pod drzewem ambu. Nie chciała nawet myśleć o tym, że mogłaby spóźnić się na spotkanie z Santim, nie po tak długim oczekiwaniu.

- Wolałem sprawdzić, czy niczego nie potrzebujesz - powiedział z wahaniem i nerwowo rozejrzał się po pokoju, jakby obawiał się popatrzeć jej w oczy.

- Wszystko w porządku, tato, niczego mi nie trzeba.

- Matka i ja jesteśmy bardzo szczęśliwi, że znowu mamy cię w domu - rzekł Paco.

Wyglądał dziwnie krucho i staro. Najwyraźniej nie był pewny, co powinien powiedzieć, a przecież pamiętała, że dawniej zawsze był zdecydowany.

- Jakaś część mojego serca zostanie tu na zawsze - powiedziała.

Nagle zrobiło jej się przykro, że nie potrafi pokonać dzielącej ich przepaści. Ludzie tak łatwo zmieniają się na skutek życiowych przeciwności, pomyślała. Podeszła do ojca i objęła

go. Trzymając go w ramionach, zerknęła na zegarek. Kiedyś nic nie było dla niej ważniejsze od jego miłości...

- Czas iść spać i trochę odpocząć - zauważyła, łagodnie, lecz zdecydowanie prowadząc go ku drzwiom. - Mamy mnóstwo czasu na rozmowę. Jestem zmęczona po tym pełnym wydarzeń dniu. Porozmawiamy jutro.

- Bueno, dobrze. Dobranoc, kochanie - szepnął, nie kryjąc rozczarowania.

Przyszedł powiedzieć jej coś ważnego, coś, co przez wiele lat kładło się cieniem na jego sumieniu. Zwierzenia będą jednak musiały poczekać. Niechętnie opuścił pokój córki. Kiedy zniknął za zakrętem korytarza, uświadomiła sobie, że całując ją, po zostawił na jej policzku gorącą łzę.

Tej nocy Sofia nie potrzebowała pochodni - księżyc świecił bardzo jasno i rzucał srebrne cienie na trawę w ogrodzie i na łąki. Biegając przed siebie, miała wrażenie, że znalazła się w nie rzeczywistym świecie. Przypomniała sobie, jak dwadzieścia cztery lata temu tą samą ścieżką pędziła na ostatnie spotkanie z Santim. Teraz słyszała dobiegające z oddali szczekanie psów i płacz małego dziecka. Przestraszyła się dopiero w chwili, gdy dostrzegła sylwetkę drzewa ambu, wyraźnie rysującą się na tle lśniącego od gwiazd, granatowego nieba.

Zwolniła kroku. Rozejrzała się dookoła, ale Santiago nie było. Wyobrażała sobie, że już z daleka dojrzy blask jego pochodni, tak jak wtedy. Tamte chwile na zawsze wryły się w jej pamięć, lecz dziś było tak jasno, że bez trudu dostrzegła wskazówki na tarczy zegarka. Spóźniła się. Czyżby nie poczekał? Zrobiło jej się zimno, gardło ścisnął strach. I wtedy nagle wyłonił się zza drzewa jak czarny cień. Spojrzeli na siebie. Próbowwała odczytać wyraz jego twarzy, ale nie potrafiła. W tym momencie instynkt przewyciężył wszystkie wątpliwości i zahamowania, uwalniając ich od ciężaru racjonalnego myślenia. Padli sobie w ramiona, ciesząc się dotykiem, zapachem, rytmem oddechu, płacząc i ocierając sobie nawzajem łzy. Każdy ich gest mówił więcej niż słowa, którymi nigdy nie zdołaliby wyrazić długich lat tęsknoty, smutku i żalu. Sofia zrozumiała, że dopiero teraz naprawdę wróciła do domu. Nie wiedziała, ile czasu minęło do chwili, gdy wreszcie z po czuciem spełnienia i ogromnego szczęścia wyciągnęli się obok siebie na trawie. Nie liczyła minut. Była świadoma jedynie do tyku jego dłoni, bawiącej się pasmami jej włosów, które wysunęły się z warkocza. Z twarzą przytuloną do jego piersi z rozkoszą wdychała korzenny zapach skóry. Na czole czuła ciepły oddech, na policzku ostry zarost podbródka. Napawała się zmysłową radością tej chwili, w której nie istniał dla niej nikt poza Santim.

- Powiedz coś, Chofi - odezwał się w końcu. - Co wydarzyło się po twoim wyjeździe?

- Dios, nie wiem, od czego zacząć...

- Co mogłem zrobić? Tyle razy zadawałem sobie to pytanie...

- Przestań, Santi, nie dręcz się już. Ja także o mało nie oszalałam, próbując znaleźć właściwą odpowiedź. - Podniosła się na łokciu i położyła palec na jego wargach.

Chwycił jej dłoń i ucałował ją.

- Dlaczego musieli wysłać cię aż do Szwajcarii? Mogli przecież załatwić ci miejsce w jakiejś argentyńskiej szkole z internatem, więc dlaczego aż tam? Nie wiedziałem, gdzie cię szukać...

Sofia spojrzała w jego zbolaną twarz i pełne smutku zielone oczy. Wyglądał jak zrozpaczone dziecko. Serce pękało jej z bólu na myśl o jego udreće.

- Wysłali mnie do Europy, ponieważ spodziewałam się twojego dziecka, Santi - powiedziała drżącym głosem.

Patrzył na nią w milczeniu, z niedowierzaniem.

- Pamiętasz, że dwa dni przed wyjazdem źle się poczułam? - ciągnęła. - Myślałam, że to zatrucie. Mama posłała po doktora Higginsa, który natychmiast stwierdził, co mi dolega. Mama wpadła w furję, ojciec był bardziej wyrozumiały, ale też wściekły. Doszli do wniosku, że istnieje tylko jedno wyjście. Nie byli w stanie zaakceptować naszego związku. Naturalnie, mama martwiła się tylko tym, że sprowadzę wstyd na rodzinę, nic poza tym nie miało znaczenia. Myślę, że uznała mnie wtedy za wcielonego szatana... Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy, gdy na mnie patrzyła...

- Powoli, Chofi, nie tak szybko! Nic nie rozumiem... Co przed chwilą powiedziałaś?

- Że byłam w ciąży, kochany.

- Nosiłaś w sobie moje dziecko? - rzekł powoli, jakby nie mógł zrozumieć, co te słowa znaczą.

Usiadł gwałtownie i potarł czoło otwartą dłonią.

- Tak - odparła ze smutkiem, pozwalając mu wziąć się w ramiona.

- Och, Chofi, dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Mama i tata wymusili na mnie obietnicę, że nikt się o tym nie dowie. Wysłali mnie do Genewy, żebym usunęła ciążę. Bałam się, że jeżeli ci powiem, będziesz domagał się rozmowy z moimi rodzicami i... Sama nie wiem, bałam się i tyle... Nie miałam odwagi, by sprzeciwić się ich życzeniu. Tamtej nocy byli innymi ludźmi, powinienesz był ich wtedy zobaczyć... Postanowiłam napisać do ciebie z Europy, czułam, że kiedy znajdę się z dala od nich, będzie mi łatwiej...

Nie znalazła w sobie dość odwagi, by mu wyznać, że urodziła dziecko i oddała je do adopcji. Wstydziała się. Jak mogła powiedzieć, że zaczęła żałować swojej decyzji w chwili, gdy oprzytomniała tamtego ponurego zimowego ranka? Czy uwierzyłby jej, że każdego dnia myślała o Santiguicie i zastanawiała się, gdzie jest i co robi? Jak mogła powiedzieć mu to wszystko? Nie chciała, że by uznał ją za gruboskórną, okrutną i bezmyślną, bo przecież nie taką ją zapamiętał. Dlatego uznała, że lepiej będzie pozostawić Santię w przekonaniu, iż usunęła ciążę. Stłumiła ból i postanowiła dalej samotnie dźwigać swoje brzemię.

- Maria... - rzucił sucho Santi.

- To wszystko zdarzyło się tak dawno temu - powiedziała cicho Sofia, czując, że nie powinni krytykować umierającej.

Santi przytulił ją mocno i wtedy zrozumiała, że to, co mu wyjawiała, jeszcze bardziej zbliżyło ich do siebie. Na pewno myślał teraz o tym, jak mogłoby potoczyć się ich życie, gdyby nie interwencja rodziców. Czuła jego wielki żal, wierne odbicie własnej rozpacz.

- Czy właśnie dlatego nie wróciłaś wcześniej? - zapytał, wtulając twarz w jej włosy. - Dlatego, że straciłaś nasze dziecko?

- Nie. Nie wróciłam, bo uwierzyłam, że mnie nie chcesz, że postanowiłeś o mnie zapomnieć i znalazłeś sobie kogoś innego. Nie chciałam wracać do Argentyny, skoro nie mogłam mieć ciebie. Urażona duma nie pozwoliła mi nawiązać z wami kontaktu. Teraz wiem, że czekałam zbyt długo...

- Chyba miałaś do mnie trochę zaufania?

- Chciałam ci ufać, ale po pewnym czasie straciłam nadzieję. Byłeś tak daleko - nie wiedziałam, co myślisz. I czekałam, tak długo czekałam...

- Trzeba było wracać, Chofi! Przekonałabyś się, że umierałem bez ciebie, byłem zupełnie zagubiony. Czułem się całkowicie bezużyteczny. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteś, nie mogłem do ciebie napisać...

- Teraz wiem, jak było naprawdę. Ani razu nie przyszło mi do głowy, że Maria mogła zniszczyć moje listy.

- Właśnie. Ponieważ do mnie nie dotarły, nie mogłem odpisać. Maria wyznała mi wszystko wiele lat temu, ale wtedy było już za późno. Wiem, uważała, że postępuje właściwie. Do dziś zdręcza się tamtym postępkim i dlatego przestała do ciebie pisać. Nie mogła się zmusić, żeby powiedzieć ci, co zrobiła, spojrzeć ci prosto w oczy. - Santi uśmiechnął się gorzko i potrząsnął głową. - W końcu się poddałem. Musiałem, w przeciwnym razie bym oszalał. Ja również myślałem, że znalazłaś sobie kogoś innego. Jaki mógł być inny powód twojego upartego milczenia? Potem pojawiła się Claudia. Stałem wobec wyboru - albo ułożyć sobie życie z nią, albo nadal czekać na ciebie. I podjąłem decyzję...

- Jesteś szczęśliwy?

- Szczęście to pojęcie względne. Do wczoraj byłem przekonany, że jestem szczęśliwy, ale nagle zobaczyłem cię w szpitalu i moje szczęście okazało się złudzeniem.

- Tak mi przykro, Santi...

- W tej chwili jestem naprawdę szczęśliwy.

- Jesteś pewny?

- Jak najbardziej - odpowiedział, ujmując jej twarz w dłonie i całując ją w czoło. - Czuję tylko ból na myśl o tym, ile wycierpiałaś, sama w Szwajcarii. Chcę wiedzieć, co się z tobą działo, pragnę podzielić się z tobą każdą minutą tych straconych lat. Muszę poczuć, że znam twoje życie tak dokładnie, jakbym ani na chwilę cię nie opuszczał.

- Opowiem ci o Szwajcarii. Opowiem ci o wszystkim...

- Powinnaś teraz odpocząć.

- Chciałabym spędzić z tobą całą noc.

- Wiem. Ciągle nie mogę uwierzyć, że naprawdę wróciłaś. Tyle razy o tym śniłem...

- Śniło ci się, że będzie właśnie tak?

- Nie, wyobrażałem sobie, że będę wściekły, ale kiedy cię zobaczyłem, poczułem się tak, jakbyśmy rozstali się wczoraj. W ogóle się nie zmieniłaś, ani odrobinę.

Spojrzał na nią z taką czułością, że łzy zakręciły jej się w oczach.

- Kocham to stare drzewo - powiedziała, odwracając twarz, żeby ukryć wzruszenie. - Było świadkiem naszego dorastania, naszego bólu, miłości, rozkoszy... Nikt nie wie o nas tyle, co ono...

Santi westchnął głęboko i przytulił ją do piersi.

- Moje dzieci nigdy tu nie przychodzą - rzekł. - Nie pozwalam im.

- Wiem. Twój syn mi o tym opowiedział.

- Zdaję sobie sprawę, że to głupie, ale... Nie mogę oprzeć się wrażeniu, żeambu mnie zawiodło. Nie chciałem, żeby moje dzieci żyły w świecie magii i nadziei na cudownie spełniające się życzenia, tak jak my.

Sofia odwzajemniła uścisk.

- Rozumiem cię, chociaż dla mnieambu zawsze było czymś więcej - naszą kryjówką, małym królestwem, a także symbolem idyllicznego dzieciństwa. Drzewoambu towarzyszy wszystkim moim wspomnieniom, dosłownie wszystkim. A teraz będzie pojawiać się w jeszcze jednym, prawda?

Roześmiali się oboje i cień smutku po raz pierwszy zniknął z twarzy Santiiego.

- Chyba postąpiliśmy nierozsądnie - powiedział.

- Nie, to nieprawda. I wiesz co? Myślę, że nie stanie się nic złego, jeżeli pozwolisz dzieciom tu przychodzić. Pamiętasz, jak lubiliśmy wspinać się na to drzewo?

- Tak. W tamtych czasach byłaś naprawdę wysportowana.

- W tamtych czasach, też mi coś! Założę się z tobą o kilka pesetów, że teraz też wdrapię się na sam czubek!

Szybko wspięli się na najwyższe gałęzie drzewa. A kiedy znaleźli się na szczycie, ujrzeli rozjaśniony światem horyzont, ubarwiony czerwonymi jak krew smugami, które przenikały przez noc i powoli ją pokonywały.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Sobota, 8 listopada 1997

Sofia obudziła się w południe. Przez chwilę leżała bez ruchu, słuchając głośnego śpiewu ptaków, ogarnięta niesamowitym uczuciem, że minione dwadzieścia cztery lata były tylko długim snem. Wdychała zapach pampy, eukaliptusa i wilgoci, usiłując przedłużyć ten cudowny moment. Myślami wróciła do lat dzieciństwa i bez reszty pogrążyła się w miłych wspomnieniach. Jeszcze niedawno bała się stawić czoło przeszłości, przekonana, że jeśli ulegnie nostalgii, tęsknota za minionym czasem pochłonie ją jak potężna fala, lecz teraz te obawy wydały jej się całkowicie bezpodstawne. Tkwiła w przyjemnym transie, pozwalając, by umysł opanowały ulotne obrazy z wczesnych lat jej życia. Tak długo broniła im dostępu do siebie, że teraz przelatywały przed oczami jak klatki filmu, puszczonego w przyspieszonym tempie. Nie miała ochoty wstawać. Serce pragnęło, aby przeszłość stała się terażniejszością. Dałaby wiele, by w stajni znowu czekał na nią Jose, gotowy osiodłać jej ulubionego kuca.

Zaraz po przebudzeniu jej wzrok padł na walizkę, ale potem poczuła na skórze zapach Santiago, zasłoniła więc twarz dłońmi i odetchnęła głęboko, ciesząc się każdą sekundą wspomnień ostatniej nocy. Wróciła. Santi nadal ją kochał. Ale... Ale Maria umierała... Sofia gwałtownie wróciła do rzeczywistości.

Zjadła śniadanie w jadalni i nawet nie przyszło jej do głowy, że ojciec siedzi na tarasie i czeka na nią. Soledad powiedziała jej o tym dopiero później. Sofia myślała wyłącznie o Santim. Było jej przykro, że sprawiła ojcu zawód, ale tylko przez chwilę. Zaraz potem uczucie żalu zniknęło i poszła do domu Chiquity. Po drodze minęła pogrążoną w lekturze Annę. Ludzkie przyzwyczajenia prawie się nie zmieniają, pomyślała. Anna podniosła wzrok znad książki i uśmiechnęła się. Sofia niepewnie odwzajemniła uśmiech i pomachała jej ręką. Matka wiedziała, dokąd się wybiera, nie musiała jej nic mówić. Sofia po prostu wróciła na swoje miejsce w życiu rodziny Solanas.

Już z daleka usłyszała radosne dźwięki utworów Straussa. Muzyka napełniła ją uczuciem takiej pogody, że mało brakowało, a zatańczyłaby w jasnym blasku słońca. Maria leżała na tarasie, przykryta lekkim kocem, z głową dyskretnie osłoniętą niewielkim kapeluszem w kwiaty. Sofia zauważyła, że na jej policzkach pojawiły się pierwsze zwiastuny

rumieńców, a oczy błyszczały radością. Na widok Sofii uśmiechnęła się czule i wyciągnęła do niej rękę.

- Sofio! - powiedziała ciepło.

- Wyglądasz dziś o wiele lepiej. - Sofia nachyliła się i pocałowała kuzynkę w policzek.

- I czuję się silniejsza.

Patrząc na mizerną, lecz promieniejącą radością twarz Marii, Sofia była pewna, że jej przyjaciółka będzie żyła. Nie mogła uwierzyć, że ktoś tak dobry jak Maria może zostać zabrany im wszystkim, zwłaszcza teraz, kiedy ona zaczęła ponownie odkrywać przyjaźń.

Chiquita chodziła po domu, podlewając kwiaty, a młodsze dzieci Marii bawiły się na huśtawkach razem ze swoimi kuzynami.

- Starsze szaleją na korcie tenisowym i na basenie - wyjaśniła Maria. - Jeżeli masz ochotę, możesz do nich dołączyć.

- Czy męczyci cię, że wszyscy ciągle się koło ciebie kręcą? - zapytała Sofia.

Nie chciała, żeby kuzynka czuła, że musi zabawiać ją rozmową.

- Trochę. Wiem, że mają najlepsze intencje, ale czasami wydaje mi się, że czekają na moją śmierć... Zaśmiała się smutno i spuściła wzrok.

- Cuda naprawdę się zdarzają, Mario - powiedziała Sofia z nadzieją w głosie. - Wyglądasz bez porównania lepiej, więc...

- Bardzo bym chciała, żeby zdarzył się cud. - Maria westchnęła. - Byłaby to najcudowniejsza niespodzianka. Muszę przyznać, że rzeczywiście czuję się znacznie lepiej. Może to dzięki temu, że wróciłam do domu, bo w szpitalu wydawało mi się, że już jestem martwa...

- Nie mówmy o tym, kochanie. Porozmawiajmy o dawnych czasach, dobrze?

- Nie. Wolę, żebyś opowiedziała mi, co działo się z tobą przez te dwadzieścia cztery lata. Zamknę teraz oczy i posłucham twojej historii.

Sofia usiadła w fotelu i zaczęła opowiadać o swoim życiu, żałując, że dopiero teraz dzieli się nim z Marią.

Jak zwykle w sobotę w Santa Catalina przygotowano barbecue. Powietrze wypełniły dobrze znane zapachy pieczonego mięsa i drewna, cała rodzina zgromadziła się pod wysokimi eukaliptusami. Maria była zbyt znużona, aby im towarzyszyć, i wróciła do swojego pokoju, gdzie zajęła się nią pielęgniarka. Sofia, która zdążyła zapomnieć, jakie gwarne są sobotnie spotkania rodzinne, pomyślała, że hałas, ruch i zamieszanie pozbawiłyby jej przyjaciółkę resztki sił.

Nie zmieniło się nic poza tym, że twarze bliskich się postarzały, a koło nich pojawiły się nowe, do których jeszcze nie przywykła. Clara zażądała, aby przydzielono jej miejsce koło cioci Sofii. Potem wzięła nową ciotkę za rękę i poprowadziła ją w kierunku zastawionych jedzeniem stołów, z wielką satysfakcją opowiadając, jak przyrządzono poszczególne potrawy. Z całą powagą poradziła też Sofii, żeby najpierw wybrała sobie kawałek świeżo upieczonego mięsa, a następnie nałożyła na talerz porcję sałatki i ziemniaków. Sofia zmierzyła spojrzeniem wszędobylską smarkulę i nagle z całego serca zatęskniła za swoimi córkami. Clara zauważyła wyraz czułości na jej twarzy i uśmiechnęła się szeroko. Po chwili pobiegła do drugiego stołu, żeby nie przeoczyć żadnego z ulubionych dań.

Gdyby Sofia więcej myślała o pozostawionej w Anglii rodzinie, prawdopodobnie usłyszałaby cichy głos sumienia, ale ona nie miała na to czasu. Santi przyszedł razem z Panchitem i wszyscy troje zaczęli rozmawiać o Santa Catalina oraz bliższych i dalszych krewnych. Sofia była doskonale świadoma każdego gestu Santiiego. Prawie nie słyszała własnych słów - uznała, że żyją własnym życiem i powinna im na to pozwolić.

Santi i Sofia nie zapomnieli sztuki milczącego porozumiewania się za pomocą spojrzeń. Sofia zdawała sobie sprawę, że ani na chwilę nie opuszcza ją poczucie *deja vu*. Oboje wrócili do przeszłości, chociaż wszyscy dookoła nich jednak się zmienili. Sofia czuła, że jest taka sama jak dawniej, Santa Catalina wyglądała i pachniała tak samo, ale jednak była inna. Problem w tym, że Sofia nie była gotowa przyjąć tego do wiadomości. Dopóki Santi był blisko niej, wierzyła, że wszystko jest takie, jakie być powinno.

Clara była zafascynowana ciotką Sofią, lecz jak większość dzieci, pragnęła przede wszystkim mówić o sobie. Bardzo chciała zrobić na Sofii wrażenie i w pewnej chwili zerwała się od stołu i zaczęła chodzić na rękach. Jej matka roześmiała się i kazała dziewczynce zachować te występy na później, kiedy ryzyko kłopotów żołądkowych trochę się zmniejszy. Sofia szczerze podziwiała spokój Jaśminy. Clara roześmiała się i posłusznie stanęła na nogi. Sofia nie oparła się pokusie opowiedzenia Clarze kilku historii z własnego dzieciństwa. Nie mogła marzyć o lepszym audytorium. Dziewczynka słuchała z zapartym tchem, pełna za chwyty i niedowierzania, że Sofia, osoba dorosła, była kiedyś aż tak niegrzeczna. Jednak Clarę dość szybko znudziło przysłuchiwanie się cudzym opowieściom i postanowiła ponownie skupić na sobie uwagę obecnych, przy czym słowa sypały się z jej ust tak szybko, że Sofia z trudem mogła je zrozumieć.

Sofia obserwowała jednak nie tylko Clarę. Pozwoliła dziewczynce mówić, potakując jej lub wydając okrzyki zachwyty w odpowiednich momentach, jednocześnie starając się słuchać rozmów przy stole. Kątem oka od czasu do czasu zerkała na Claudię, świeżą i nieco sztywną w jasnoblękitnej bluzce koszulowej i džinsach. Była świadoma, że Claudia też jej się przygląda, chociaż usiłuje maskować ciekawość. Kilka razy pochwyciła jej spojrzenia, lecz Claudia natychmiast odwracała wzrok, jakby czuła się zażenowana.

Tematem wszystkich rozmów była Maria. Chiquita opowiadała obecnym, że córka wygląda dziś o wiele lepiej i może właśnie w domu dane jej będzie odzyskać siły. Delikatna twarz Chiquity wyrażała nadzieję, lecz w jej oczach Sofia widziała jedynie bezbrzeżny smutek. Potem wszyscy zaczęli wspominać. Sofia czuła się nieswojo, słuchając rozmów o

wydarzeniach, które miały miejsce podczas jej długiej nieobecności. Nic nie wiedziała o tych sprawach i po raz pierwszy doznała dziwnego uczucia wyobcowania. Z jednej strony nie opuszczała ją pewność, że oto wróciła do domu, na swoje miejsce, z drugiej wyraźnie zdawała sobie sprawę, że jedyną osobą, z którą nadal wiele ją łączy, jest Santi. Naturalnie, krewni chcieli wiedzieć, jak spędziła ostatnie dwie dekady, lecz jej życie było tak odległe od ich egzystencji, że wystarczyło kilka zdań, by zaspokoiła ogólną ciekawość. Tylko Santi i ona w ogóle się nie zmienili, kiedy więc Santi zaproponował jej krótki trening z piłką po meczu polo, przystała na to z prawdziwą ulgą. Claudia mogła jedynie przyglądać im się bezradnie. Santi oświadczył, że nie wybiera się na mszę do kościoła, ponieważ chce zostać z siostrą, lecz Sofia dobrze знаła prawdziwy powód tej decyzji. Zauważyła przeblysłok zrozumienia i niepokoju na bladej twarzy Chiquity, która musiała wszystkiego się domyślić lub przynajmniej podejrzewała, co się dzieje. Chiquita nie zapomniła o przeszłości i znała syna lepiej niż ktokolwiek inny.

Sofia postanowiła nie zwracać uwagi na podejrzliwe spojrzenia i wróciła do pokoju na sjęstę. Z okna widziała, jak starsze dzieci biegną nad basen, przebrane w kostiumy kąpielowe. Przez chwilę miała nawet ochotę dołączyć do nich, lecz była zbyt zmęczona upałem i śpiącą. Nagle poczuła się staro. Powrót do Santa Catalina w roli osoby dorosłej okazał się jednak trudnym do świadczeniem.

- Santiguito dobrze sobie radzi na boisku, prawda? - rzekł z dumą Santi, kiedy jego syn wyjechał zza bramki, prowadząc przed sobą piłkę.

- Prawie tak samo dobrze jak jego ojciec - odparła Sofia.

- To miłe wspomnienia.

- Bardzo.

Patrzyła, jak wyjeżdża na boisko, a mięśnie jego pleców i karku napinają się sprężysto, gdy unosi taco. Zapragnęła znowu być młodą dziewczyną i wskoczyć na grzbiet kuca, lecz w porę przypomniała sobie, że jest już o wiele starsza. Nie była pewna, czy jeszcze pamięta, jak należy grać.

Usiadła na trawie razem z Chiquitą. Po chwili, ku jej wielkiemu zdziwieniu, dołączyła do nich Anna. Atmosfera początkowo była trochę napięta, lecz gdy znalazła je Clara, trzy kobiety skupiły uwagę na dziewczynce, która skakała i biegała dookoła nich jak małpeczka.

- Ty też taka byłaś. Sofio - odezwała się Chiquita, kiedy Clara przemknęła obok niej z radosnym piskiem.

- To prawda - przytaknęła Anna. - Uwielbiałaś się popisować, a ja po prostu nie wiedziałam, co z tobą zrobić,

- Byłam aż tak okropna? - zapytała Sofia, zadowolona, że Anna włączyła się do rozmowy.

Matka krótko kiwnęła głową, lecz Sofia zauważyła, że bardzo stara się okazać jej serdeczność.

- Byłaś trudna - przyznała.

Sofii niezbyt łatwo rozmawiało się z matką. Obie zdawały sobie sprawę, że wielu tematów nie są w stanie poruszyć, więc omijały je umiejętnie, niczym para doświadczonych łyżwiarek, które obawiają się załamania trzeszczącego pod nimi lodu. Sofia ciągle postrzegала Annę jako osobę odpowiedzialną za swoje „wygnanie” i winiła ją za długie lata spędzone poza domem. Nie mogła jej tego wybaczyć. Rozmawiały uprzejmie, zmieniając temat za każdym razem, gdy zbyt blisko zbliżyły się do zamkniętych w klatkach demonów przeszłości.

- Jakie są twoje dzieci, Sofio? - zapytała Chiquita.

- Och, oczywiście cudowne i bardzo angielskie. David jest fantastycznym ojcem i strasznie je rozpieszcza. Dziewczynki są jęgo małymi księżniczkami i zawsze znajduje jakieś usprawiedliwienie dla ich wybryków.

- A ty? - odezwała się Anna.

- Cóż, ja widzę, że potrafia być równocześnie czarujące i niezdolne - odparła Sofia, uśmiechając się na wspomnienie córek. - Honor jest narwana i nieobliczalna jak ja, a India najbardziej lubi siedzieć w domu oraz zajmować się końmi.

- Więc teraz już wiesz, z czym musiałam sobie poradzić - po wiedziała Anna i rzuciła córce szybki uśmiech.

- Tak, wiem. W postępowaniu z dziećmi nie ma żadnego cudownego środka, prawda? Nawet jako zupełnie maleństwa mają własne osobowości, nad którymi nie można zapanować.

- Właśnie - przytaknęła Anna.

Nagle obie uświadomiły sobie, że po długich latach wreszcie znalazły coś, co je łączy - były matkami.

- W ogóle na mnie nie patrzysz, babciu! - poskarżyła się Clara, robiąc kolejny mostek.

Wszystkie trzy natychmiast spojrzały na dziewczynkę. Sofia w gruncie rzeczy była zadowolona, że nie musi mówić o sobie. Nie miała ochoty na rozmowę o swoim życiu w Anglii, bo każda myśl o Davidzie i dziewczynkach budziła w niej ogromne poczucie winy.

Po chwili Anna odeszła, a Clara oparła się plecami o ciotkę i zapadła w drzemkę. Chiquita próbowała wrócić do rozmowy o przeszłości Sofii, lecz ta wolała mówić o Marii. Ten temat uważała za całkowicie bezpieczny.

Kiedy mecz dobiegł końca, niezmordowany Santi podjechał do nich z uśmiechem.

- Mamo, bądź aniołem i pożycz mi na chwilę Sofię - powiedział. - Sofio, kazałem osiodłać dla ciebie kuca.

- Bueno, Santi - odparła Chiquita, podnosząc się z trawy. Zrobiła krótki gest, jakby chciała coś dodać, ale się rozmyśliła. - Nie, to nic ważnego - rzekła w odpowiedzi na pytające spojrzenie Sofii. - Pójdę sprawdzić, jak czuje się Maria. Zobaczymy się później...

Zabrała jeszcze trochę zaspaną Clarę i poszła w kierunku domu. Santi ruszył za Sofią do ogrodzenia, przy którym czekał Javier z osiodlaną La Purą. Javier podał Sofii taco i Santi z błyskiem w oku wyjechał na boisko, prowadząc przed sobą piłkę. Sofia pomyślała, że cudownie jest znowu znaleźć się w siodle, poczuć rozwiewający włosy wiatr i dawno zapomniane pragnienie doścignięcia piłki. Oboje śmiali się głośno, jak dawniej ścigając się po utwardzonej ziemi.

- To zupełnie jak z jazdą na rowerze! - zawołała podniecona Sofia, widząc, że wcale nie zapomniła, jak grać w polo.

- Trochę jednak zardzewiałaś, dziewczyno! - zakpił Santi, mijając ją w pędzie.

- Jeszcze ci pokażę, staruszk!

- Staruszk? Ja ci dam staruszka!

Gdy ruszył w jej stronę, zawróciła konia w kierunku drzewa ambu.

Santi wiedział, dokąd go prowadzi i chętnie włączył się do gry. Sofia mknęła przez pola i łąki, pokryte długimi wieczornymi cieniami. Ogromna kopuła nieba lśniła pomarańczowym blaskiem, a słońce wisiało nisko, podobne do wielkiej, dojrzałej brzoskwini. Santi dogonił Sofię i teraz jechali strzeżem w strzeżem, uśmiechnięci i niezdolni do rozmowy ze szczęścia.

W końcu zwolnili i zatrzymali się pod gałęziami ambu. Konie drżały z podniecenia i parskały cicho, cykady grały, ukryte głęboko w trawie. Sofia pełną piersią wdychała aromat Argentyny, za którym tak bardzo tęskniła.

- Pamiętasz tę historyjkę o poszukiwaniu szczęścia? - zapytała, przeciągając się z zadowoleniem.

- Jasne.

- Nareszcie wiem, że szczęście można znaleźć tylko w takiej chwili i żyję nią, naprawdę nią żyję.

- Ja także - rzekł cicho, stając za nią i obejmując ją mocno. Długo w milczeniu obserwowali zmieniający barwy horyzont.

- Teraz dostrzegam wszystkie drobiazgi - odezwała się wreszcie Sofia. - Cykady, niebo, płaską równinę, zapachy... I zdaję sobie sprawę, jak mi tego brakowało...

Santi pocałował ją w szyję i potarł policzkiem o jej kark.

- Pamiętam, co czułem po powrocie z Ameryki - powiedział. - Argentyna wydawała mi się inna, ale to ja patrzyłem na wszystko inaczej, z większym skupieniem.

- Rozumiem, o co ci chodzi.

- Cieszę się, że czegoś cię nauczyłem - zażartował, lecz żadne z nich się nie roześmiało.

Sofia nie chciała o tym myśleć, nie mogła jednak pozbyć się bolesnej świadomości, że za jakiś czas znowu będzie musiała zostawić wszystko, co kochała.

Wreszcie Santi odwrócił ją twarzą do siebie. Patrząc w jego pełne czułości zielone oczy, miała wrażenie, że oboje widzą swoje dusze. Wiedziała, o czym myśli, i rozumiała głębię jego miłości. Był smutny, bo miłość często niesie ze sobą smutek, i obydwójce pozwolili się ogarnąć melancholii. Kiedy ją pocałował, było to tak poruszające, że gdyby nie oparli się o pień ambu, osunęłyby się na ziemię. Pachniał potem i zdrowym wysiłkiem. Nie mogli ściągnąć wysokich butów z jego nóg, ale to nie przeszkodziło im się kochać. Tak robią to namiętni kochankowie i cudzołożnicy, pomyślała Sofia. W ich żądry było coś cudownie surowego, nieokielznanego. Tym razem mieli więcej do stracenia niż kiedyś i na pewno dlatego kochali się w pośpiechu, ciesząc się skradzionymi chwilami. Niewinność młodości ustąpiła miejsca światowemu wyrafinowaniu, które wydało się Sofii niewiarygodnie podniecające i jednocześnie tragiczne.

- Dios, chętnie poszedłbym teraz popływać - powiedział Santi, zapinając spodnie.

- Wspaniały pomysł! Sądysz, że ktoś będzie teraz na basenie?

- Mam nadzieję, że nie. - Położył dłoń na jej wilgotnym policzku i znowu ją pocałował. - Znowu czuję, że naprawdę jestem sobą.

Zanim zaprowadzili konie z powrotem do stajni i dotarli nad basen, słońce już zaszło. Powietrze było słodkie od wilgoci i pachniało eukaliptusem oraz jaśminem. Ku ich wielkiej uldze, na basenie nikogo nie zastali. Powierzchnia ciemnej wody była idealnie gładka. Cicho zrzucili z siebie ubrania, tłumiąc śmiech, kiedy wreszcie z trudem udało im się uwolnić Santię od butów. Ostrożnie, starając się nie robić hałasu, ześlizgnęli się z brzegu do wody.

- Co powiesz, kiedy zapytają cię, gdzie byłeś? - zapytała Sofia po chwili.

Żadne z nich nie miało pojęcia, która jest godzina.

- Mama i tak odgadnie. - Santi się uśmiechnął. - Powiem jej prawdę, ale oczywiście ominę nielegalne fragmenty.

- A Claudia?

Santi z niepokojem potrząsnął głową.

- Przykro mi, że ją oszukuję - rzekł. - Zawsze była dla mnie bardzo dobra i wyrozumiała.

Sofia natychmiast pocałowała, że wspomniała o jego żonie.

- Wiem - westchnęła. - Ja także czuję niesmak, okłamując Davida. Nie zastanawiamy się nad tym teraz. Żyjmy chwilą, dobrze?

Starła się mówić pogodnym tonem, czuła jednak, że czar prysnął. Pływali w milczeniu, walcząc z wyrzutami sumienia, potem usiedli na jeszcze ciepłych od słońca płytach, aby wyschnąć.

- Nie ma to jak poczucie winy, co? - szepnęła współczująco.

- Właśnie - odrzekł, obejmując ją ramieniem i przyciągając bliżej. - Ale ja niczego nie żałuję.

- Niczego?

- Niczego. Przyjdź jutro wcześniej, dobrze?

- Oczywiście. Chcę spędzić jak najwięcej czasu z Marią. Wyglądała dziś dużo lepiej niż w szpitalu.

- To prawda, Chofi, ale...

- Tak?

- Ona umrze - dokończył drżącym głosem.

- Cuda...

- ...się zdarzają - wykrztusił.

Kiedy go objęła, zaczął płakać. Nie potrafiła znaleźć słów, którymi mogłaby go pocieszyć. Wątpiła, by takie słowa w ogóle istniały, a zdawała sobie sprawę, że tych, które pragnął usłyszeć, nie powinna wypowiedzieć. Przytuliła go więc tylko do piersi i dała mu czas, by wypłakał swój ból.

- Santi, kochanie, wyrzuć z siebie to wszystko. Potem poczujesz się znacznie lepiej...

Sama także płakała, cicho, usiłując panować nad sobą. Gardło bolało ją z napięcia, ale wiedziała, że jeżeli pozwoli, by ogarnęła ją fala rozpacz, nie zdoła się z niej wydobyć. Co więcej, była w pełni świadoma, że płakałaby nie tylko z powodu Marii.

Rozdział czterdziesty drugi

Kiedy Sofia wróciła do domu, było już późno i rodzice czekali na nią na tarasie wraz z Rafaelem i Jasminą. Wyjaśniła im, że musi się wykąpać i przebrać, i zapytała, czy może zadzwonić do domu. Szczerze mówiąc, nie miała na to wielkiej ochoty, ale wiedziała, że David zacząłby się niepokoić, gdyby nie zatelefonowała.

- Jak czuje się twoja kuzynka? - zapytał zaraz na początku rozmowy.

- Jej dni są policzone - odparła ze smutkiem. - Ale przynajmniej mogę spędzić z nią trochę czasu.

- Posłuchaj, kochanie, możesz zostać w Santa Catalina, jak długo zechcesz. Dziewczynki są zdrowe, wszystko jest w porządku...

- A konie?

- Nie dzieje się nic nowego. Dziewczynki tęsknią za tobą, ale to normalne.

- Ja także za nimi tęsknię - powiedziała Sofia, zawstydzona, że jej własne kłopoty uczuciowe przyćmiły tęsknotę za córkami.

- Honor dostała główną rolę w szkolnym przedstawieniu. Jest zachwycona, bo w obsadzie są w większości siedemnastoletnie dziewczęta, a ona jest przecież o trzy lata młodsza. Obawiam się, że woda sodowa trochę uderzyła jej do głowy.

- Wyobrażam sobie. - Sofia się uśmiechnęła.

- Chciałaby z tobą porozmawiać, więc oddaję jej słuchawkę...

Na dźwięk wysokiego głosu Honor gardło Sofii ścisnęło po czucie winy i tęsknota za domem.

- Cześć, mamó! Dostałam główną rolę w Białej czarownicy.

- wykrzyknęła triumfalnie.

- Wiem, tata wszystko mi już powiedział. Gratuluję, córeczko.

- Mam mnóstwo tekstu do nauczenia się na pamięć, naprawdę bardzo dużo, więcej niż ktokolwiek inny. Dostanę specjalny kostium, który uszyje panna Hindlip, i będę chodziła na lekcje wymowy, żeby nauczyć się właściwej emisji głosu.

- Będziesz bardzo zajęta, prawda?

- Bardzo. Chyba zabraknie mi czasu na naukę.

- To nic nowego! - Sofia parsknęła śmiechem. - Jak tam India?

- Tata mówi, że będzie lepiej, jeżeli nie da jej słuchawki, bo mogłaby się zupełnie rozkleić. - Honor była najwyraźniej bardzo przejęta rolą starszej i bardziej odpowiedzialnej córki.

- Rozumiem. Ucałuj ją mocno ode mnie, dobrze? Ogromnie za wami tęsknię.

- Niedługo wracasz, tak?

- Oczywiście, kochanie, już wkrótce - powiedziała Sofia, starając się ukryć wzruszenie. - Daj mi jeszcze tatę, skarbie. Całuję was obie.

Honor głośno cmoknęła w słuchawkę i oddała ją ojcu.

- Czy z Indią na pewno wszystko w porządku? - Sofia była za niepokojona.

- Tak, skarbie. Tęskni za tobą, ale nie martw się, wszystko jest pod kontrolą. Najważniejsze wydaje mi się teraz to, że jesteś taka przygnębiona. Bardzo mi przykro, że nie mogę być przy tobie.

David mówił z wielkim współczuciem, ale Sofię z jakiegoś powodu to zirytowało. Była dziwnie rozdrażniona.

- Muszę już kończyć - powiedziała. - Ta rozmowa będzie kosztować majątek. Ucałuj dziewczynki, Davidzie.

- Oczywiście. Uważaj na siebie, kochanie.

Przez chwilę czuła się źle, sumienie mocno ją dręczyło, a rozmowa z mężem i córkami pozostawiła po sobie gorzki posmak. Pomyślała, że jest zwykłą oszustką, która potrafi wyjątkowo przekonująco kłamać. Przywołała na pamięć obraz ufnych, pełnych miłości twarzy swoich dziewczynek i poczuła pogardę dla samej siebie. David szczerze jej współczuł i był dla niej bardzo dobry, co w gruncie rzeczy wcale nie poprawiło jej samopoczucia. Kiedy jednak parę minut później przebrana i odświeżona pojawiła się na tarasie, Anglia była już dla niej jedynie dalekim tłem, bo ona znowu żyła cenną chwilą, cieszyła się zapachem ciepłej, wilgotnej nocy i myślą, że oddycha tym samym powietrzem co Santi.

Późny obiad zjedli w bardzo miłej atmosferze. Na stole paliły się dwie świece, a przez otwarte okna salonu dobiegały dźwięki Requiem Mozarta. Sofia zdążyła już polubić Jasminę i teraz obie rozmawiały szczerze i serdecznie, jak stare przyjaciółki.

- Żyjemy w okropnym stanie zawieszenia - powiedziała Jasmina. - Życie dzieci toczy się zupełnie normalnie i chyba nawet nie do końca zdają sobie sprawę, co się dzieje. W poniedziałek zawsze wracają do miasta i szkoły, tymczasem my czekamy, świadomi, że niedługo Maria zostanie nam zabrana... Nikt nie wie, jak długo to potrwa.

- Co zrobicie? - zapytała Sofia. - Wyjeżdżacie do Buenos Aires?

- Nie. Jutro wieczorem dzieci wrócą tam z Juanem Pablem, naszym szoferem, a my zostaniemy tutaj.

- Będzie mi smutno, kiedy Clara wyjedzie. Zaprzyjaźniłyśmy się bardzo.

- Jej także będzie ciebie brakowało. Patrzy w ciebie jak w obraz. - Jasmina zaśmiała się ciepło.

- Clara wróci na następny weekend i bardzo szybko zamęczy cię na śmierć, zobaczysz.
- Nie sądzę. Jest naprawdę urocza.
- Rafa mówi, że do złudzenia przypomina cię w tym samym wieku.
- Mam nadzieję, że nie skończy jak ja - zażartowała smutno Sofia.
- Byłabym dumna, gdyby wyrosła na taką kobietę jak ty - rzekła Jasmina z naciskiem.
- Twój przyjazd uszczęśliwił Marię. Bardzo za tobą tęskniła i często wspominała o waszych wspólnych wyczynach.
- Byłyśmy sobie bardzo bliskie. To smutne, kiedy życie układa się inaczej, niż marzyliśmy. - Sofia westchnęła.
- Życie zawsze przynosi nieoczekiwane wydarzenia, ale właśnie dlatego jest ciekawe. Nie myśl o tym, co straciłaś, Sofio, ale o tym, co osiągnęłaś...
- Jasmina przerwała na widok Soledad, która stanęła w drzwiach z półmiskiem pełnym bananów i naleśników z musem, ulubionego deseru Sofii.
- To dla seniority Sofii - oznajmiła z dumnym uśmiechem, umieszczając półmisek na środku stołu.
- Jesteś cudowna, Soledad. Nie wiem, jakim cudem przetrwałam bez tego przez te wszystkie lata - odparła Sofia ze spodziewanym zachwytem.
- Teraz na pewno go już panience nie zabraknie.
- Jak długo zamierzasz zostać? - zapytał Rafael, nakładając sobie dużą porcję naleśników.
- Nie wiem - odpowiedziała szczerze.
- Dopiero przyjechała, kochany, więc nie pytaj, kiedy wyjedzie - skarciła męża Jasmina.
- Zostań jak najdłużej, Sofio - odezwał się Paco. - Tu jest twój dom, twoje miejsce na ziemi.
- Oczywiście, tato - przytaknął Rafael. - Mówiłem jej, że powinna sprowadzić do Argentyny męża i dzieci.
- Dobrze wiesz, że to niemożliwe, Rafa! - Sofia się roześmiała. - Co robiłby tu David?
- Chodzi mi tylko o to, że nie możesz zniknąć na ponad dwadzieścia lat, a potem się zjawić i zaraz znowu nas opuścić!

Sofia zerknęła na siedzącą po przeciwnej stronie stołu matkę. W tej samej chwili Anna podniosła wzrok i zauważyła jej spojrzenie. Sofia próbowała odgadnąć jej myśli, lecz twarz matki była pozbawiona wszelkiego wyrazu.

- Miło mi, że tak mówisz - powiedziała do Rafaela, przysuwając sobie deser. - Naprawdę.

- Agustín też zostawił nas i wyjechał do Ameryki. - Paco pokręcił siwą głową. - Nie mam pojęcia, dlaczego młodzi ludzie tak dziwnie się dziś zachowują... W moich czasach rodzina trzymała się razem.

- W twoich czasach, tato, sytuacja w kraju była na tyle trudna i skomplikowana, że po prostu musieliście trzymać się razem - rzekł trzeźwo Rafael. - Nigdy się nie wiedziało, kiedy ktoś z rodziny zniknie bez śladu - dodał, myśląc o Fernandzie. - To były ciężkie czasy. - Z dzieciństwa zapamiętałem, że ciągle się o nas niepokoiście - ciągnął Rafael.

- Porwania były na porządku dziennym - odezwała się Anna. - Dlatego rzeczywiście często się denerwowaliśmy, zwłaszcza z powodu Sofii, która stale znikwała z Santim i Marią.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że było aż tak źle - powiedziała Sofia. - Myślałam, że po prostu masz obsesję na tym punkcie, mamo.

- Oj, chyba nie tylko. Myślałaś też, że lubię psuć ci zabawę. Ciężko było się z tobą porozumieć, Sofio.

W głosie Anny nie było cienia humoru, chociaż na pewno nie chciała, by jej słowa zabrzmiały tak gorzko.

- Przepraszam, mamo...

Sofia zaskoczyła samą siebie tymi szczerymi przeprosinami. Nigdy dotąd nie patrzyła na siebie oczami matki, lecz teraz, kiedy miała córki, o które także bezustannie się troszczyła, po raz pierwszy zrozumiała intencje matki. Spojrzała na Annę i nagle zrobiło jej się bardzo smutno.

Tego wieczoru wcześniej udała się na spoczynek. Zostawiła swoich bliskich na tarasie, pochłoniętych rozmową, z twarzami raz po raz rozjaśnianymi migotliwym blaskiem świec, sama zaś poszła przez wysrebrzony księżycem i ozdobiony wiszącymi doniczkami geranium dziedziniec do swojego pokoju. Położyła się i bezskutecznie usiłowała zasnąć. Pragnęła bliskości Santiago, zastanawiała się, ile czasu im zostało. Wiedziała, że nadejdzie chwila, w której będzie musiała od niego odejść. A może mieli jednak szansę na rozpoczęcie wspólnego życia? Chyba zasłużyli na to takim długim rozstaniem... Jej umysł przerzucał myśli jak bezużyteczne przedmioty, próbując ułożyć je w spójną całość.

W końcu, podenerwowana i zmęczona, zerwała się z łóżka. Musiała zobaczyć się z Santim. Musiała dowiedzieć się, dokąd zmierza ich historia teraz, kiedy znowu się odnaleźli. Otuliła się cienkim szlafrokiem i wyszła prosto w noc. Ogromny jasny księżyc wisiał wysoko na niebie. Sofia przesłuchiwała z jednej plamy cienia na drugą, zupełnie jak żaba, jej stopy

były mokre od rosy. Nie miała pojęcia, czy znajdzie Santiago i jak go obudzi, nie wrywając ze snu jego żony.

Dotarła do domu Chiquity i Miguela i zaczęła na palcach przesuwając się pod ścianą, zaglądając do okien i usiłując odgadnąć, który należy do Claudii i Santiago. Ten dom, w przeciwieństwie do jej własnego, był parterowy, miała więc łatwy dostęp do okien. Większość z nich zasłaniały okiennice - zdążyła już za pomnicę o namiętym upodobaniu Argentyńczyków do tego udogodnienia. Ponieważ nie miała szans, by cokolwiek zobaczyć, okrążyła dom i weszła na taras, nie bardzo wiedząc, co dalej począć. Miała już się poddać, kiedy nagle jej uwagę zwrócił punkcik czerwonego światła tuż pod werandą. Zmrużyła oczy i zobaczyła, że jest to koniec papierosa.

- Rzuciłem palenie wiele lat temu - odezwał się cichy głos.

- Santi! - wyszeptała z ulgą. - Co ty tutaj robisz?

- Jestem u siebie, ale co ty tutaj robisz?

- Przyszłam się z tobą zobaczyć - odparła odrobinę głośniejszym głosem i podeszła na palcach, żeby usiąść obok niego na ławce.

- Jesteś szalona - zaśmiał się. - I za to cię kocham.

- Nie mogłam zasnąć.

- Ja również.

- Co zrobimy, Santi?

- Nie wiem - westchnął.

Zgniół papieros obcasem i przyciągnął ją do siebie, przytulając nieogoloną twarz do jej twarzy i lekko drażniąc skórę.

- Nie mogę znieść myśli, że to wszystko się skończy, nie teraz, kiedy wreszcie znowu jesteśmy razem - wymamrotała.

- Ja też ciągle o tym myślę - odparł. - Żałuję, że nie uciekliśmy wtedy, dwadzieścia cztery lata temu.

- Och, gdybyśmy tylko...

- Dostaliśmy wtedy szansę od losu, ale jej nie wykorzystaliśmy - przerwał jej Santi.

- Nie mów tak! - syknęła. - Każdy sam stwarza sobie szansę!

- Jesteś naprawdę okropna, że tu przyszłaś - rzekł, z czułością pocierając podbródkiem o czubek jej głowy. - Mam nadzieję, że wszyscy poza nami spokojnie poszli spać...

- Ty i ja zawsze potrafiliśmy porozumiewać się bez słów.

- I na tym polega problem. Zawsze będzie nam brakować tej drugiej połowy duszy, obojętnie, gdzie się znajdziemy.

- Ile mamy czasu? - zapytała z wymuszonym spokojem, starając się nie okazywać rozpaczy.

- Jutro wieczorem Claudia zabiera dzieci do Buenos Aires - odpowiedział.

Sofia nie wiedziała, czy rzeczywiście nie zrozumiał jej pytania, czy tylko usiłował sprawić takie wrażenie.

- Więc będziemy mieli kilka dni dla siebie, tak?

- Claudia ciężko to znosi.

- Co takiego?

- Twój niespodziewany przyjazd.

- Czy ona wie o nas? - Sofia pomyślała, że nie miałaby nic przeciwko temu, gdyby rzeczywiście tak było.

- Wie, że kiedyś byliśmy kochankami, bo sam jej o tym powiedziałem. Wszyscy o tym wiedzą. Nie sądzisz chyba, że można było ukryć taki skandal. Wolałem, żeby dowiedziała się tego ode mnie, nie chciałem, by myślała, że był to trywialny romans. Claudia zasługiwała na to, aby poznać całą prawdę. Wypełniła puste miejsce w moim życiu, Chofi. Dała mi odrobinę szczęścia wtedy, gdy myślałem, że już nigdy nie będę szczęśliwy.

- Co próbujesz mi powiedzieć? - zapytała powoli, lecz w gruncie rzeczy świetnie wiedziała, o co mu chodzi.

Santi pocałował ją w skroń. Poczuła, jak jego pierś rozszerza głębokie westchnienie.

- Nie wiem, Chofi. Nie chcę jej zranić, to wszystko.

- Nie zastanawiajmy się nad tym teraz - zaproponowała odważnie. Uważała, że nadzieja istnieje tak długo, dopóki nie za padną ostateczne decyzje. - Nie musimy przecież podejmować żadnych decyzji. Cieszymy się, że jesteśmy razem. I że możemy być z Marią...

- Oczywiście, nie musimy podejmować decyzji - powtórzył. Sofia miała nadzieję, że niepewność dręczy go tak samo jak ją.

Kiedy wróciła do swojego pokoju, świt malował już niebo całą gamą odcieni błękitu i różu. Próbowwała nie myśleć o przyszłości, ponieważ bała się tego, co nieuniknione.

Obudziła się późno, lecz tym razem dokładnie wiedziała, gdzie się znajduje. Włożyła krótką letnią sukienkę i zdecydowanym ruchem zamknęła za sobą drzwi pokoju. Powietrze rozgrzane bezlitosnym argentyńskim słońcem było bardzo gorące. Sofia przypomniała sobie, że dawniej spędzała prawie całe lato wyciągnięta na leżaku nad basenem. W Anglii brakowało jej upałów i zupełnie zapomniała, że niebo może być aż tak pogodne i błękitne.

Na tarasie Jasmina, Rafael oraz Anna i Paco czytali gazety pod rozłożystymi parasolami, a dzieci rysowały, siedząc na ziemi. Cała scena tchnęła spokojem i Sofia poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Czy tak wyglądałoby jej życie, gdyby wróciła? Czy ona i Santi mogliby mimo wszystko żyć tu razem z małym Santiguitem? Nagle ogarnęła ją wręcz fizyczna tęsknota za synem i córkami. Zaczęła się zastanawiać, gdzie jest teraz Santiguito. To już dwudziestotrzyletni młody mężczyzna i nawet gdyby ją zobaczył, byłaby dla niego całkowicie obca. Tak, byłiby sobie obcy...

Tłumiąc znajomy ból, przywitała się z rodziną i usiadła przy stole. Wkrótce Soledad postawiła przed nią herbatę, grzanki, membrillo i ser. Sofia zauważyła, że najmłodsze dziecko Jaśminy śpi z główką opartą o pierś matki, przykryte ślicznym białym szalem. Jasmina jedną ręką trzymała głowę niemowlęcia, a w drugiej otwartą książkę. Sofia pomyślała, że gdyby umiała rysować, naszkicowałaby portret Jaśminy, spokojnej i pięknej jak Matka z dzieckiem Sorolli.

Sofia nie potrafiła zapanować nad tęsknotą za Santim. Pragnęła, aby nadszedł już wieczór i żeby Claudia odjechała do miasta, zostawiając ich samych. Przy stole panowało milczenie, wszyscy wydawali się pochłonięci własnymi sprawami. Sofia doskonale pamiętała niewinne dni młodości, kiedy sama stanowiła część tego świata. Spod oka przyglądała się matce, której twarz ocieniona była szerokim rondem kapelusza. Letnie kapelusze zawsze były "znakiem firmowym" Anny. Sofia nie mogła sobie przypomnieć, co matka nosiła zimą - jej wspomnienia związały się wyłącznie z latem. Paco czytał niedzielną gazetę przez okulary w okrągłych oprawkach, tkwiące na garbie wydatnego nosa. Poczawszy na sobie spojrzenie córki, podniósł wzrok i posłał jej serdeczny uśmiech. W jego oczach zaśniła czułość. A jednak nie mogła pozbyć się uczucia, że nie pasuje do tej sceny. Wszyscy mieli tu swoje miejsce, dzielili poczucie wzajemnej bliskości, w którym słowa są zbędne. Kiedyś i ona także była tu u siebie, lecz teraz uczucie przynależności zbladło i nie pamiętała już, jak to było.

W milczeniu sęczyła herbatę. Po chwili podbiegła do niej Clara, żeby pokazać swój obrazek. Jak na dziecko w tym wieku był bardzo interesujący, pełen jasnych kolorów i uśmiechniętych twarzy. Kreska Clary była śmiała i dość ciekawa. Sofia spojrzała na małą z podziwem.

- Świetna z ciebie malarka! - zawołała z entuzjazmem. - Kto nauczył cię rysować?

Clara uśmiechnęła się dumnie.

- Nikt, po prostu lubię rysować. Rysuję najlepiej w klasie.

- Zostaniesz malarką, kiedy dorośniesz? - zapytała Sofia, wpatrując się w delikatną buzię dziewczynki.

- Nie. - W głosie Clary nie było cienia wahania. - Zostanę aktorką.

- Myślę, że będziesz świetną aktorką, Claro.

- Naprawdę? - ucieszyła się mała, skacząc na jednej nodze.

- Jaki jest twój ulubiony film?

- Mary Poppins.

- A kogo chciałabyś zagrać?

- Mary Poppins, oczywiście. Znam słowa wszystkich jej piosenek!

I Clara zaczęła śpiewać Łyżeczkę cukru...

- Rzeczywiście znasz te piosenki! - Sofia się roześmiała.

- Mama mówi, że to dobry sposób, by nauczyć się angielskiego.

- I ma rację.

- Dzisiaj wieczorem wracam do Buenos Aires - jęknęła Clara, robiąc zabawną minę.

- Ale przecież lubisz szkołę i wrócisz tu na przyszły weekend, prawda?

- Będziesz tu jeszcze, ciociu?

- Naturalnie.

Nie chciała rozczarować dziewczynki. Nie miała pojęcia, kiedy wyjedzie i na razie nie zamierzała o tym myśleć.

- Zamieszkasz teraz w Santa Catalina? Tata tak mówi...

Sofia spojrzała na Rafaela, który podniósł wzrok znad gazety i uśmiechnął się niepewnie.

- Raczej nie - powiedziała szczerze. - W każdym razie nie na zawsze. Musisz przyjechać do mnie do Anglii, Claro. Spodoba ci się tam, zobaczysz. Najlepsze teatry na świecie są właśnie w Anglii...

- Och, wiem wszystko o Anglii - przerwała jej Clara. - Mary Poppins mieszkała w Londynie.

- Właśnie.

- Spójrz, ciociu Sofio, bryczka!

Spomiędzy drzew wyjechała zaprzężona w jednego konia bryczka z Pablem na koźle. Sofia przypomniała sobie, jak dawno temu jeździła po Santa Catalina z babką. Babcia Solanas zawsze powtarzała, że jedną z największych przyjemności jej życia są przejażdżki po pampie i obserwowanie krajobrazu. Kiedy bryczka zbliżała się do wyboistego fragmentu drogi, cichym, lecz zdecydowanym głosem kazała Josemu zwolnić, a czasami wysiadała na chwilę, żeby przyjrzeć się jakimś interesującym roślinom czy ptakom. Powiedziała Sofii, że w latach swojej młodości jeździła bryczką do miasta. Sofia zauważyła, że taka wyprawa musiała trwać kilka godzin, na co babka odparła, że dawniej życie toczyło się o wiele wolniej.

- Ludzie nie spieszyli się tak jak teraz - powiedziała z dezaprobatą. - Zanim zdążysz nacieszyć się młodością, już się zestarzejesz.

Sofia pamiętała, że podczas tych wycieczek zawsze chciała, by Jose popędził konie, lecz babcia Solanas wołała niespieszne przejażdżki. Uwielbiała obserwować pampę i zwykle zamieniała kilka słów z każdym z gauczów, którzy mijali ich po drodze.

Paco podszedł do konia, poklepał go po szyi i powiedział coś do Pabla.

- Pojedziesz ze mną, Sofio? - zawołał.

- Ja też pojedę, ja też! - wykrzyknęła Clara, rzucając na ziemię blok rysunkowy i biegnąc do dziadka.

- Z przyjemnością - odpowiedziała Sofia.

Pablo zeskoczył z kozła i Paco podniósł Clarę z równą łatwością jak małego psiaka. Sofia i Clara usiadły po obu stronach Paca, który podał dziewczynce cugle, cierpliwie tłumacząc, jak należy powozić. Wszyscy troje pomachali Rafaelowi, Jaśminie i Annie, która odłożyła książkę i uśmiechnęła się do nich spod szerokiego ronda kapelusza.

- Patrzą na mnie? - pisnęła z przejęciem Clara, uważnie zawracając konia na podjeździe. - Patrzą?

- Nie widzą nikogo poza tobą, kochanie - rzekł Paco. Sofia przypomniała sobie, że kiedyś ją uspokajał w podobny sposób.

Równym truchtem ruszyli przez park. Sofia z żalem zerknęła w kierunku domu Chiquity i Miguela. Za wszelką cenę pragnęła spotkać się z Santim i nie potrafiła skupić myśli na niczym innym. Przyjemność przejażdżki szybko zbladła, podobnie jak wiele lat temu. Paco słuchał cierpliwie gadaniny wnuczki, która nie przestawała mówić nawet dla złapania oddechu. Gdy Clara wreszcie się zmęczyła, spojrzął na Sofię i położył dłoń na jej splecionych na kolanach rękach.

- Kiedyś uwielbiałaś powozić.

- Pamiętam, tato.

- Ale dużo lepiej grałaś w polo...

- Bo grę w polo lubiłam najbardziej ze wszystkiego.

- Pamiętasz mecz o Puchar Santa Catalina? - Paco uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Jak mogłabym zapomnieć? Dzięki Bogu, że Agustinowi wtedy się nie powiodło - inaczej nigdy nie wpuściłbyś mnie na boisko.

- Dobrze wiesz, że od samego początku chciałem, byś za grała.

- Naprawdę?

- Tak, ale zdawałem sobie sprawę, że twojej matce bardzo by się to nie spodobało. Mama nie mogła pogodzić się z faktem, że duszą i ciałem należysz do rodziny Solanas, ponieważ ona sama nigdy nie czuła się tu do końca akceptowana.

Sofia spojrzała ojcu w oczy i dostrzegła w nich żal.

- A jednak zdecydowała się tutaj zamieszkać... - wymamrotała, odwracając głowę.

- Claro, spójrz, dzieci bawią się na huśtawkach - rzekł Paco, wyczuwając znudzenie małej, która teraz przestała być głównym ośrodkiem zainteresowania dorosłych. - Może pobiegiesz do nich?

- Mogę? - zapytała z radością.

Paco zatrzymał bryczkę i dziewczynka ruszyła w stronę innych dzieci, zabawnie podskakując.

Sofia zrozumiała, że ojciec chce porozmawiać z nią sam na sam. Czekwała, aż zacznie, pełna wahań i niepewności. Paco popędził konia i cichy brzęk uprzęży wypełnił chwilę niewygodnego milczenia.

- To nie było łatwe - przemówił w końcu, wpatrując się w drogę przed nimi.

- Co nie było łatwe, tato?

Zastanawiał się nad czymś w skupieniu.

- Kocham twoją matkę - powiedział. - Mimo tego przeżyliśmy sporo złych chwil. Twój wyjazd i zerwanie kontaktów z nami sprawiły, że zamknęła się w sobie. Wiem, że wydaje się zimna i obojętna, ale ona nie czuje się dobrze sama ze sobą. Ty jeszcze powiększasz jej poczucie zagrożenia...

- Co masz na myśli? - zapytała ze zdumieniem.

- Zawsze czułaś się tu doskonale - ona nigdy. Wszyscy cię kochali, a jej trudno było kochać innych...

- Czy kiedykolwiek mnie kochała? - Sofia miała wrażenie, że te słowa wypowiedział ktoś inny, nie ona.

- Kochała cię i nadal kocha, ale...

- Tak? - wpatrywała się w zwróconą ku niej profilem twarz ojca, przekonana, że lada chwila pozna jakąś straszną tajemnicę swoich rodziców.

- Obawiam się, że ponoszę pewną winę za twoje skomplikowane stosunki z matką - rzekł poważnie. - Już dawniej chciałem ci o tym powiedzieć.

- Ty ponosisz za to winę? Jak to? Przecież zawsze stawałeś po mojej stronie, starałeś się mnie zrozumieć, może nawet trochę mnie rozpieszczęłaś...

- Kiedy mama miała cię urodzić, nasze małżeństwo przeżywało kryzys. - Paco usiłował znaleźć właściwe słowa. - W domu panowała atmosfera pełna napięcia, a ja nie mogłem sobie z tym poradzić. Oboje byliśmy bardzo nieszczęśliwi.

- Miałaś romans? - zapytała szybko Sofia.

Przygarbił się, spuścił głowę. Zapewne odetchnął z ulgą, że to ona poruszyła ten temat.

- Tak - odparł.

Sofia bez trudu pojęła, że ojca nadal dręczą wyrzuty sumienia. To chyba jakaś okropna rodzinna tradycja, pomyślała. Boże, co ja robię?

- Zakochałem się w twojej matce, bo nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ona - ciągnął Paco. - Była świeża, beztraska, miała w sobie spontaniczność, którą nawet trudno opisać. Kiedy przywiozłem ją do Argentyny, wszystko się zmieniło. Stała się kimś innym. Usiłowałem zatrzymać tę dawną Annę, ale ona co raz bardziej oddalała się ode mnie. To, co straciłem, odnalazłem w ramionach innej kobiety. Anna nigdy nie wróciła do równowagi po mojej zdradzie.

Jechali dalej w ciężkim milczeniu. Sofia nagle uświadomiła sobie, dlaczego rodzice tak surowo ją potraktowali. Karząc Sofię, Anna wymierzyła mężowi karę za to, że pokochał inną, a biedny Paco był zbyt przygnieciony wyrzutami sumienia, by stawić jej opór.

- Jak mogła winić własne dziecko za to, że przyszło na świat w trudnym dla niej okresie? - zapytała. - Nie potrafię uwierzyć, że znenawidziła mnie, bo przypomiinałam jej o twojej niewierności...

- Matka nigdy cię nie nienawidziła. Sofio. Było jej trudno nawiązać z tobą serdeczny kontakt, to wszystko, ale bardzo się starała, żebyście znalazły wspólny język. Była o ciebie zazdrosna, ponieważ ja darzyłem cię bezwarunkową miłością, podobnie zresztą jak jej ojciec, dziadek Dwyer. Uważała, że ukradłaś dwóch najważniejszych mężczyzn jej życia.

- Najważniejszymi mężczyznami w życiu mamy byli Rafa i Agustin - wybuchnęła z goryczą Sofia. - wcale nie mam wrażenia, że rzeczywiście starała się ze mną porozumieć.

- Mama bardzo żałuje przeszłości.

- Naprawdę?

- Z całego serca pragnęła twojego powrotu.

- Nie rozumiem tego wszystkiego, tato. Byłam jeszcze dzieckiem, kiedy wysłaliście mnie do Europy. Czułam się odrzucona, odepchnięta przez was. Nie chciałam odwracać się do was plecami, ale sądziłam, że niewiele was to obchodzi. Miałam okropne wyrzuty sumienia, że wpakowałam się w taką sytuację. Byłam świadoma, że sprawiłam wam zawód, więc myślałam, że najlepiej będzie, jeżeli już nigdy was obojga nie zobaczę.

- Tak mi przykro, kochanie... Nie da się cofnąć czasu, zapewniam cię jednak, że dałbym wszystko, aby to zrobić. Musimy żyć ze swoimi błędami. Sofio. Drogo zapłaciłem za własne pomyłki.

- A ja za swoje - odparła zachrypniętym głosem, nie spuszczać wzroku z rozciągającej się przed nimi równiny.

- Podwieźć cię do domu Chiquity? - zapytał po chwili milczenia. - Na pewno chcesz zobaczyć się z Marią...

Kiedy zatrzymali się na podjeździe. Sofia odwróciła się twarzą do ojca. Ku swemu zaskoczeniu i uldze zobaczyła w jego oczach znajomy błysk i po raz pierwszy od powrotu poczuła, że znowu mogą porozumiewać się bez słów, zupełnie jak dawniej. Myślała, że jest już na to za późno, ale na szczęście się myliła. Paco uśmiechnął się do niej z czułością, a ona w ostatniej chwili powstrzymała łzy. Gdy dotknął jej ręki, zrozumiała, że znowu stała się nierozdzieloną częścią jego życia. Objęła go mocno, bez wahania. Paco odwzajemnił uścisk i jak dawniej przytulił ją do piersi.

Rozdział czterdziesty trzeci

Sofia patrzyła, jak Paco zawraca konia i wjeżdża pomiędzy drzewa. Jako dziecko wierzyła, że jej rodziców łączy coś niewyobrażalnego. Wydawało jej się naturalne, że rodzice są razem, głównie po to, aby dbać o potrzeby dzieci, i chociaż jej stosunki z matką zawsze były dość napięte, nigdy nie podejrzewała, że między Anną i Pacem mogą istnieć jakies nieporozumienia. Szczerze mówiąc, w tamtych czasach raczej nie zaprzętała sobie głowy myśleniem o kimkolwiek poza sobą, zbyt zajęta roztrząsaniem własnych drobnych nieszczęść.

Było bardzo gorąco. Zbliżało się południe i słońce paliło bezlitośnie. Sofia zmrużyła oczy. Jej skóra kleiła się nieprzyjemnie, pomyślała więc, że dobrze byłoby wziąć prysznic albo wskoczyć do basenu. Z dzieciństwa pamiętała takie uciążliwe, narastające z dnia na dzień upały, które nieuchronnie kończyły się potężną burzą. Burze na pampie były wyjątkowo przerażające. W dzieciństwie uważała, że niebo rozbrzmiewa ciężkimi krokami szarych potworów, które wysoko nad nią rozgrywają jakąś straszną bitwę.

Weszła do domu i natychmiast ogarnął ją kojący chłód i cisza. Oczy dopiero po chwili przyzwyczyły się do przyjemnego półmroku. Potem usłyszała szmer głosów, dobiegający z końca korytarza. Powoli ruszyła w kierunku pokoju Marii. Jedne z drzwi po prawej stronie były otwarte, ale Sofia zauważyła to dopiero w chwili, gdy czyjaś silna dłoń chwyciła ją za przegub ręki i wciągnęła do środka. Zanim zdążyła się przestraszyć, usta Santiago spoczęły na jej wargach, tłumiąc krzyk, który mógłby się z nich wyrwać. W pokoju panował mrok, ponieważ zamknięto okiennice. Sofia o mało nie parsknęła śmiechem prosto w ciepłe, zmysłowe usta ukochanego. On także był mokry od potu.

- Mówiłaś, że przyjdiesz wcześniej - szepnął jej do ucha. - Gdzie byłaś?

- Pojechałam na przejażdżkę z tatą - odparła i zaśmiała się cicho, kiedy pocałował ją w szyję. - Łaskoczesz mnie...

- Czekałem na ciebie przez cały ranek - wymamrotał gorąco. - Umiesz zwodzić, Chofi, to pewne...

- Nie zrobiłam tego celowo, Santi. Tata chciał, żebym mu towarzyszyła, i bardzo się z tego cieszę.

Wsunął dłonie pod sukienkę, budząc w niej dreszcz rozkoszy.

- Wszystko poszło dobrze? - szepnął, kryjąc usta w jej włosach.

- Znowu czuję, że jest mi bliski. Nie rozwodził się nad przeszłością, to typowe dla niego, ale znowu dobrze się rozumiemy.

Santi podciągnął jej sukienkę do pasa i wtulił twarz we włosy, przyciskając rozgrzane ciało do jej ciała.

- Pragnę cię, Chofi... - wyszeptał, opierając ją o chłodną ścianę. - Muszę cię mieć, teraz, natychmiast...

- Nie możemy! - zaprotestowała słabo. - Nie pod tym samym dachem, gdzie przebywa Maria...

Jego dłonie przebiegały po jej skórze z gwałtownością zrodzoną ze świadomości, że ktoś może ich w każdej chwili przyłapać. Oboje się bali, lecz nie potrafili odrzucić tej szansy. Dłonie Santiiego odnalazły drogę do wszystkich tajemnych miejsc jej ciała. Obezwładniona jego dotykiem, nie mogła się przeciwstawić. Ciszę przerywał tylko przyspieszony oddech Santiiego i szelest sukienki Sofii. Czowała, że jest bezwstydnie namiętna, lecz podniecenie zmiotło wszystkie jej zahamowania. Było jej obojętne, czy zostaną odkryci, miała ochotę krzyczeć z rozkoszy. Santi przywrócił jej młodość, energię i pewność siebie, dzięki niemu znowu była tą Sofią, która przetrwała w jej wspomnieniach, i to napełniało ją wielką, uskrzydającą radością. Dotykał ją w śmiały, pozbawiony wstydu sposób i każde muśnięcie jego dłoni nie prawdopodobnie ją podniecało. Pieścił ją namiętnie, cieszył się jej zapachem i smakiem ze zwierzęcą, niepohamowaną spontanicznością. Kiedy kochali się, oparli o ścianę, świat Sofii zawężił się do rozmiarów tego niewielkiego pokoju.

- Nie mogę teraz pójść do Marii - wyszeptała bez tchu, gdy było już po wszystkim. - Nie jestem w stanie...

- Ciii... - Zakrył jej usta dłonią i podejrzliwie zmrużył oczy.

W korytarzu rozległy się kroki.

Santi lekko popchnął Sofię na ścianę, ani na chwilę nie przestając patrzeć jej w oczy. Kroki się zbliżały, lekkie, chyba kobiece. Sofia wstrzymała oddech. W wyobraźni już widziała tę scenę - przerażenie i obrzydzenie na twarzy Claudii, rozczarowanie w oczach Paca... Widziała samą siebie, jak w niełasce i potępieniu znowu opuszcza Santa Catalina. Serce waliło jej z przerażenia, lecz po paru sekundach przechodząca korytarzem osoba minęła drzwi i poszła dalej.

Sofia bezwładnie opadła na pierś Santiiego, który odetchnął głęboko i pocałował jej wilgotne czoło.

- Mieliśmy szczęście - szepnął.

- O, Boże, co my robimy, Santi?

- To, czego najwyraźniej nie powinniśmy robić. A teraz zmykajmy stąd.

- Chcę się zobaczyć z Marią - powiedziała cicho. - Po to przecież przyszłam, prawda?

Santi rzucił jej kpiący uśmiech i pokręcił głową.

- Ale najpierw zobaczyłaś się ze mną - mruknął, patrząc na nią z miłością. - Wyglądasz co najmniej podejrzanie, Chofi. Chyba nie możemy pozwolić, żeby ktoś zobaczył cię w takim stanie...

- Dokąd pójdziemy? Ktoś nas na pewno zobaczy!

Zastanawiał się przez chwilę.

- Musisz iść do łazienki i przede wszystkim zrobić coś z włosami - zdecydował. - Jesteś bardzo potargana. Wyglądasz cudownie zmysłowo, lecz Maria natychmiast by odgadła, co się stało. Spotkamy się w jej pokoju.

- Dobrze.

- Sprawdzę, czy droga wolna - powiedział, nadal nie ruszając się z miejsca.

- Chodźmy - ponagliła go.

Ujął jej twarz w dłonie i znowu ją pocałował.

- Nie chcę nigdzie iść - wymamrotał i położył jej rękę na swoich spodniach. - Popatrz, mógłbym to zrobić jeszcze raz...

Roześmiała się cicho, przytulając głowę do jego piersi.

- Ty też nie możesz się tak nikomu pokazać, głuptasie!

Oboje parsknęli śmiechem, rozbawieni swoją absurdalną sytuacją. Wiedzieli, że mogą zrujnować życie własne i wielu innych osób, a jednak potrafili śmiać się jak para uczniów. W końcu Santi podszedł na palcach do drzwi i wyjrzał na korytarz.

- Chodź, Chofi! - szepnął.

Wstrzymując oddech, przebiegli przez korytarz, przerażeni jeszcze bardziej niż przed chwilą. Za rogiem Sofia wpadła do łazienki, a Santi poszedł dalej, prosto do pokoju siostry.

Sofia oparła się o drzwi i wreszcie odetchnęła pełną piersią. Nadal czuła dłonie Santiago na swoim ciele, cała jej skóra wibrowała z rozkoszy. Potem spojrzała w lustro i zrozumiała, co Santi miał na myśli. Jej policzki były czerwone, oczy lśniły jak gwiazdy. Miała twarz namiętnej, bezwstydnej kochanki i ten widok sprawił jej przyjemność. Pospiesznie obmyła policzki zimną wodą i ułożyła włosy.

Kiedy stanęła w drzwiach pokoju przyjaciółki, brązowe oczy Marii rozbłysły radością. Sofię nagle ogarnęły wyrzuty sumienia, że kochała się z Santim w domu umierającej kuzynki.

Czuła, że zrobiła coś złego i wyobraziła sobie ojca Julia, grożącego jej chudym palcem z połączanego krzesła w niebie.

Santi siedział w fotelu, powoli sącząc kieliszek wina. Na jego twarzy nie malował się nawet cień poczucia winy. W nogach łóżka Marii siedział Eduardo, Claudii nie było. Sofia odetchnęła z ulgą. Przywitała się z Santim tak, jakby nie widziała go od poprzedniego dnia. Gdy nachyliła się, by pocałować go w policzek, dwa razy ścisnął lekko jej ramię - był to jeden ze znaków tajemnego szyfru, którym posługiwali się w dawnych czasach. Odpowiedziała tym samym.

Eduardo wyglądał źle. Uśmiechał się, lecz w jego oczach można było bez trudu wyczytać brak nadziei. Sofia szczerze bolała nad losem Marii i jej męża. Jak mogła oddać się Santiemu i czuć radość w tym pełnym smutku domu... Maria była słaba, ale szczęśliwa. Wszyscy rozmawiali pogodnie, ani słowem nie wspominając o jej chorobie. Chcieli podtrzymać w sobie nadzieję, że Maria wyzdrowieje. Nikt nie był w stanie spojrzeć w twarz okrutnej prawdy. Mówili o powrocie dzieci do szkoły. Maria wolałaby, żeby zostały przy niej, lecz zdawała sobie sprawę, że ich życie powinno toczyć się tak normalnie, jak to tylko możliwe, miały więc wieczorem pojechać do Buenos Aires razem z Claudią i jej dziećmi. Sofia zerknęła na Santiago w chwili, gdy Maria wymieniła imię jego żony, ale z jego twarzy wyczytała tylko, że z nie mniejszą niż ona niecierpliwością czeka na możliwość następnego spotkania.

Maria szybko się zmęczyła. Kiedy powieki zaczęły jej opadać, postanowili zostawić ją samą i przenieśli się na taras. Na ławce pod werandą siedziała jak zwykle elegancko ubrana Claudia, trzymając na kolanach córeczkę. Sofia powitała ją nieco sztywnym uśmiechem, spodziewając się bardzo chłodnej reakcji, lecz ku swemu zaskoczeniu w oczach żony Santiago wyczytała wyraźny niepokój, wręcz lęk. Claudia wyprostowała się, zsunęła dziewczynkę z kolan i szepnęła jej coś do ucha. Ponieważ pozostali zatrzymali się w salonie, aby zrobić sobie drinki. Sofia nie mogła uniknąć rozmowy z Claudią.

- Więc dziś wieczorem wracasz do Buenos Aires, prawda? - zaczęła.

- Tak - odparła Claudia, spuszczaając oczy.

Nastąpiła chwila niewygodnego milczenia. Sofia podeszła do barierki, nie bardzo wiedząc, co robić.

- Do której szkoły chodzą wasze dzieci? - zapytała. - San Anders?

- Tak. - Claudia wyraźnie nie miała zamiaru pomóc Sofii w tej trudnej chwili.

- Ja też się tam uczyłam.

- Wiem, Santi mi mówił.

- Właśnie...

- Stworzyliśmy z Santim wspólny związek - oświadczyła nagle Claudia. - Jesteśmy bardzo szczęśliwi.

- Santi opowiadał mi, jaka byłaś dla niego dobra - wykrztusiła Sofia przez zaciśnięte zęby. - Naprawdę go uszczęśliwiłaś.

- Nie mogłabym znaleźć lepszego męża i ojca dla moich dzieci. - Claudia utkwiała twarde spojrzenie w twarzy Sofii. - Santi chce zostać w Santa Catalina ze względu na Marię. Bardzo ją kocha. Kiedy ona odejdzie, będzie niepokieszony, ale życie wcześniej czy później wróci do normy. Ty wkrótce wybierasz się z powrotem do Anglii...

- Tak, oczywiście - rzekła Sofia, chociaż niczego nie pragnęła tak bardzo, jak zostać w Santa Catalina razem z Santim.

- Jak się tu teraz czujesz po tak długiej nieobecności? - zapytała Claudia, pozwalając sobie na lekki, zwycięski uśmiešek.

- Mam wrażenie, że nic się nie zmieniło. To zdumiewające, że tak łatwo można wrócić na miejsce, które kiedyś się zajmowało...

- I co? Rzeczywiście na nie wróciłaś? - W głosie Claudii brzmiała jedwabiście uprzejma ciekawość.

- Naturalnie.

- Mimo wszystko ludzie się zmieniają, prawda? Pozornie czujesz się tu zupełnie swobodnie, ale podejrzewam, że w gruncie rzeczy męczy cię świadomość braku prawdziwego domu, prawdziwej ojczyzny.

- Raczej nie - skłamała Sofia. - Nie czuję się obco ani tu, ani w Anglii.

- W takim razie masz ogromne szczęście. Niewiele osób w twojej sytuacji mogłoby powiedzieć to o sobie. Trochę się dziwię, że nie odczuwasz zmian, jakie tu zaszły. Pojawiło się tyle nowych twarzy, odmienna hierarchia... Właściwie nie należysz już do Santa Catalina. Ze słów Santiiego wywnioskowałam, że kiedyś byłaś głównym tematem rozmów swoich bliskich, ale teraz nikt o tobie nie mówi...

Sofia zmarszczyła brwi, zaskoczona otwartym atakiem Claudii.

- Nie zależy mi na tym, żeby o mnie mówiono - rzekła lodowatym tonem. - Wróciłam z powodu Marii, ze względu na naszą przyjaźń, której nigdy nie zrozumiesz, Claudio. To, co o mnie myślisz, jest całkowicie nieistotne. Moje korzenie w Santa Catalina sięgają znacznie głębiej niż twoje, jeśli w ogóle je tu zapuściłaś.

- Ale to ja tu mieszkam, Sofio. Santi jest moim mężem. Ty wcześniej czy później wyjedziesz do swojej rodziny. W Santa Catalina nie ma już dla ciebie miejsca.

W tej chwili w szeroko otwartych drzwiach salonu stanął Santi wraz z Miguelem, Panchitem, Eduardem i Chiquitą. Natychmiast zauważył mocno zaróżowione policzki Claudii i szybko przeniósł zaniepokojone spojrzenie na Sofię.

- Zostaniesz z nami na lunch, Sofio? - zapytała Chiquita. - A może i na kolację?

- Obiecałam zjeść lunch z rodzicami, ale z przyjemnością przyjdę do was na kolację. - Sofia uśmiechnęła się do ciotki i jeszcze raz odwróciła się twarzą do Claudii. - Do widzenia, Claudio. Nie sądzę, żebyśmy się jeszcze dzisiaj zobaczyły. - Z satysfakcją dostrzegła gniewny błysk w jej oczach. - Życzę ci przyjemnej podróży do Buenos Aires.

Idąc do domu, z trudem się powstrzymywała, żeby nie skakać z radości. Miała wrażenie, że odniosła zwycięstwo. Claudia zaatakowała ją, czuła się przez nią zagrożona, co oznaczało, że małżeńskie sprawy Santiago nie układają się zbyt dobrze. Claudia wypełniła lukę w życiu Santiago, ale ja już wróciłam i nic nie może tego zmienić, pomyślała triumfalnie.

Dochodziła piąta po południu, kiedy dwa samochody ruszyły w kierunku Buenos Aires. W jednym jechały dzieci Rafaela i Jaśminy, w drugim Claudia z dziećmi swoimi i Marii. Kurz nie zdążył jeszcze opaść na drodze, gdy zadowolona Sofia pobiegła do domu Chiquity.

Zjadła kolację z rodziną Santiago, potem wszyscy wygodnie rozsiedli się na tarasie. Wieczorem zrobiło się jeszcze duszniej i może dlatego pogodny nastrój szybko się rozwiął. Siedzieli w ciemności, chwilami czując na sobie baczny wzrok mieszkających na pampie zwierząt, i otwarcie rozmawiali o Marii. Sofia starała się nie patrzeć na łagodną, pełną rozpaczny twarz Eduarda. Ona także cierpiała, lecz szczerą oceną stanu zdrowia przyjaciółki była oczyszczającym i mimo wszystko pozytywnym przeżyciem. Jej bliscy również byli realistami. Wiedzieli, że Maria niedługo odejdzie. Miguel zatelefonował do Fernanda, który postanowił po raz pierwszy od chwili ucieczki do Urugwaju wrócić do Argentyny, aby pożegnać się z siostrą. Ze względu na nią chciał przewyciężyć swój strach i może uwolnić się od spowijającego jego życie cienia.

Chiquita i Miguel trzymali się za ręce. Od wielu tygodni, nawet miesięcy przygotowywali się na trudne chwile, ale to wcale nie łagodziło ich bólu. Teraz od śmierci córki dzielili ich zaledwie dni. Sofia czuła mocną więź, łączącą ją z rodziną. Mieli wspólną przeszłość i miłość, jaką darzyli Marię, i nic nie mogło tego zmienić.

Później, kiedy prawie wszyscy udali się na spoczynek, Santi i Sofia usiedli na ławce, jak poprzedniej nocy. Milczeli i było im z tym dobrze. Czerpali pocieszenie z wzajemnej bliskości. Santi objął Sofię i przyciągnął ją do siebie. Sofia nie wiedziała, jak długo tak siedzieli, lecz w końcu rozbolały ją mięśnie pleców i karku.

- Muszę się wyprostować, Santi - powiedziała, przeciągając się leniwie. Była senna i smutna. - Powinam iść spać, oczy same mi się zamykają.

- Chcę spędzić tę noc z tobą, Chofi. Muszę być blisko ciebie...

Sofia zajrzała w jego naznaczoną niepokojem twarz. Był dojrzałym mężczyzną, ale dziś wydał jej się kruchy i słaby.

- Nie możemy zostać tutaj - szepnęła.

- Wiem, to byłoby niewłaściwe. Pójdę z tobą.

- Naprawdę tego chcesz?

- Naprawdę. Potrzebuję cię, Chofi. Jestem bardzo przygnębiony.

Objęła go czule, a on przytulił się do niej. W jego ufnym uścisku było coś głęboko wzruszającego. Serce Sofii ścisnęło się z bólu.

- Nie możemy jej pomóc - powiedział Santi. - Czuję się zupełnie bezradny, beзуżyteczny... Czasami zastanawiam się, co bym zrobił, gdyby taki los spotkał jedno z moich dzieci. Jak bym sobie z tym poradził? I jak radzą sobie z tym moi rodzice?

- Nie mają wyboru. To boli i nigdy nie przestanie boleć, Santi. Musisz być silny. Takie sytuacje stanowią próbę dla nas wszystkich i chyba mają być czymś w rodzaju ważnego egzaminu. Nie wiemy, dlaczego tak się dzieje, i buntujemy się, ale musimy pogodzić się z tym, że Bóg chce zabrać Marię do siebie. I musimy być wdzięczni, że tak długo pozwolił nam cieszyć się jej obecnością. - Przełknęła łzy i uśmiechnęła się lekko.

Te słowa zabrzmiały zupełnie tak, jakby wyszły z ust jej matki, i to ją trochę zaskoczyło. Czyżby to znaczyło, że filozofia Anny nie była jej obca?

- Chodźmy, Santi. Jesteś zmęczony, rano na pewno poczujesz się spokojniejszy i silniejszy.

Szli między drzewami, trzymając się za ręce. Powinni być uszczęśliwieni, że mogą spędzić tę noc razem, lecz ich serca były ciężkie i puste.

- Nigdy nie zastanawiałem się nad śmiercią - odezwał się Santi. - Nie musiałem. A teraz jestem przerażony, boję się naszej kruchości.

- Wiem - odparła Sofia. - Kiedyś wszyscy stąd odejdziemy.

- Patrzę na moje dzieci i zadaję sobie pytanie, co im powiem, kiedy zapytają, gdzie jest ich ciotka. Chwilami mam wrażenie, że w nic już nie wierzę.

- To dlatego, że gniewasz się na Boga. Ja przez sporą część życia wściekałam się na Niego, bo moja matka była fanatyczką i bardzo mnie to irytowało. Ale teraz wierzę w Niego, wierzę, że naszym życiem musi kierować jakaś wyższa siła.

- Muszę być silny ze względu na mamę, lecz w głębi duszy czuję się słaby jak dziecko
- wyznał z bólem.

- Przede mną nie musisz udawać silniejszego, niż jesteś.

Santi mocno ścisnął jej rękę.

- Cieszę się, że wróciłaś - powiedział. - Przyjechałaś wtedy, gdy najbardziej cię potrzebowałem.

Sofia zamknęła drzwi pokoju i podeszła do okna, żeby zaciągnąć zasłony.

- Posłuchaj, jak głośno grają cykady - szepnęła. Była dziwnie zdenerwowana.

Kochali się już wiele razy, lecz tej nocy mieli robić to powoli i bez podświadomego lęku. Santi objął ją i delikatnie pocałował w szyję. Sofia oparła się o niego i zamknęła oczy. Dłonie Santiago wślizgnęły się pod jej bluzkę, przemknęły po brzuchu, a potem ujęły jej piersi, tak lekko, że ledwo czuła ich dotyk. Jego zarośnięty policzek łaskotał kark. Westchnęła z rozkoszy. Odwróciła się twarzą do niego i jego usta natychmiast spoczęły na jej wargach. Santi całował ją tak namiętnie, jakby pragnął zapomnieć o wszystkim, co go bolało. W końcu mogli bez reszty oddać się sobie, bez obawy, że ktoś ich zaskoczy. Była szczęśliwa, że ma Santiago wyłącznie dla siebie.

- Czy jestem stara? - zapytała, kiedy potem zauważyła, że przygląda się jej ciału.

- Ty? Nigdy nie będziesz stara - odparł z czułością. - Najwyżej trochę starsza.

Rozdział czterdziesty czwarty

Poniedziałek, 10 listopada 1997

Fernando schodził z promu, który przewiózł go na argentyński brzeg błotnistej rzeki, czując, jak pot ścieka mu strumyczkiem po plecach. Od ucieczki do Urugwaju minęło prawie dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat temu brał udział w demonstracjach przeciwko wojskowym, którzy objęli władzę 24 marca 1976 roku. Chociaż sam przewrót odbył się bezkrwawo, w ciągu następnych pięciu lat blisko dziesięć tysięcy ludzi zniknęło bez śladu. Mało brakowało, by i on został jednym z nich.

Spojrzał na brunatną wodę i pogрузzył się we wspomnieniach. Przerażony i pokonany, przysięgł wtedy sobie, że nigdy więcej nie stanie na argentyńskiej ziemi. Widział zbyt dużo okrucieństwa i przemocy, aby kiedykolwiek ponownie podjąć ryzyko.

W tamtym okresie wiele się o sobie dowiedział. Nie spodobało mu się to, co odkrył w głębi swego serca. Był tchórzem. W niczym nie przypominał tych odważnych mężczyzn i kobiet, którzy nie wahali się poświęcić życia dla dobra kraju, demokracji i wolności. Miał niewiele wspólnego z tymi, którzy na Plaža de Mayo protestowali przeciwko polityce generała Videli i jego rzeźników. To oni byli bezimiennymi bohaterami Argentyny, to ich w środku nocy wywlekano z domów, to oni ginęli bez śladu. Czasami myślał, że lepiej by było, gdyby zniknął razem z nimi i spoczął na dnie morza. Gdyby funkcjonariusze videlowskiej służby bezpieczeństwa zdawali sobie sprawę, jak bardzo był głupi i nieszkodliwy... Butne przechwałki i gniewne hasła wykrzykiwał tylko na pokaz, by poprawić sobie samopoczucie. Miało mu to zrekompensować życie w cieniu brata, którego gwiazda lśniła tak jasno, że dla gwiazdy Fernanda po prostu zabrakło już miejsca. Był nikim, dopóki nie poznał Carlosa Riberasa i nie przyłączył się do jego podziemnego ruchu. Dopiero tam mógł zabłysnąć własnym światłem.

W Urugwaju kupił mały, zniszczony dom na plaży, zapuścił brodę i włosy, zabiegi higieniczne ograniczył do kąpieli w morzu. Zupełnie stracił szacunek dla siebie. Znienawidził się tak dogłębnie, że usiłował ukryć twarz za gęstą czarną brodą, która rozrosła się we wszystkie strony, podobna do kolczastych krzewów z bajki o Śpiącej Królownie. Wiedział, że nie znajdzie się żadna królowna, która pocałunkiem obudzi go do życia. Unikał kobiet. Był do niczego, więc dlaczego ktoś miałby go kochać?

Pisywał artykuły dla różnych urugwajskich gazet i czasopism, usiłując kontynuować przerwana walkę. Nie potrzebował pieniędzy, ponieważ rodzina dbała, by niczego mu nie brakowało. Miał więcej, niż potrzebował, i często wspomagał bezdomnych, którzy waleśali się zakurzonymi ulicami, zwykle pijani, ściskając w ręku butelkę najtańszego wina, owiniętą w brązową papierową torbę. Nie poprawiało mu to samopoczucia, nie przydawało pewności siebie. Czuł, że jest w środku martwy.

Pewnej nocy ocknął się z kolejnego koszmaru, zlany potem, na mokrym materacu, i doszedł do wniosku, że dłużej tego nie zniesie. Wstał, spakował trochę rzeczy do plecaka i zamknął za sobą drzwi małego domu. Przez następne pięć lat podróżował po całej Ameryce Południowej. Był w Boliwii, Meksyku i Ekwadorze, nad chilijskimi jeziorami i w górach Peru, lecz wszędzie podążał za nim cień strasznych przeżyć.

Stojąc na szczycie Machu Picchu i patrząc na niebo nad sobą i spowitą mgłą ziemię pod stopami, zrozumiał, że nie ma już dokąd uciec. Doszedł do kresu drogi. Pozostały mu tylko dwie możliwości - albo przekroczyć granicę krainy bogów, albo wrócić na ziemię i nauczyć się żyć z samym sobą. Był to trudny wybór. Mgła kłębiła się pod nim w hipnotycznym tańcu, kusząc go, aby rzucił się w dół, w słodką ciszę i zapomnienie. W ciszę śmierci, w zapomnienie o świecie i sobie. Ale taki krok także byłby ucieczką, postępkiem tchórza, podobnie jak opuszczenie Argentyny. Byłoby to proste, zbyt proste rozwiązanie. Taka śmierć nie przyniosłaby mu chwały, wręcz odwrotnie.

Osunął się na trawę i ukrył twarz w dłoniach. Najtrudniejsze w życiu jest samo życie - pomyślał z bólem, przyjmując do wiadomości fakt, że najprawdopodobniej ma przed sobą jeszcze wiele lat cierpienia. Mogę przeżyć je bezmyślnie i nieświadomie, jak duch, w każdej

sekundzie pragnąc śmierci, lub rzucić się w jego nurt i postarać się uczynić je lepszym, powiedział sobie.

Kiedy przekroczył próg swojego domku na plaży, zadzwonił telefon. Telefonował ojciec, który od kilku tygodni bezskutecznie usiłował się z nim skontaktować. Maria umierała na raka. Fernando postanowił wrócić do domu.

Zaraz po przyjeździe do Buenos Aires poprosił kierowcę, żeby zawiózł go pod Casa Rosada na Plaža de Mayo. Chciał stanąć pod tym gmachem i sprawdzić, czy nadal budzi w nim lęk. Rządowy budynek, otynkowany różową mieszanką bydlęcej krwi, tłuszczu oraz glinki górował nad placem, otoczony gmachami Banku Narodowego i Rady Miasta. Tuż obok stała katedra metropolitalna. Piękny plac zdobiły wysokie palmy, wspaniałe klomby i inne budynki w stylu kolonialnym, lecz w oczach Fernanda było to najbardziej ponure miejsce na świecie, scena jego wielkiego cierpienia i rozczarowania.

Kiedy samochód zbliżał się do placu, Fernando poczuł, jak strach żelazną ręką ścisną mu żołądek i osiada w gardle niczym gruby, ohydny kozuch. Dłonie miał mokre od potu, oddech płytki i urywany. Ale gdy samochód objechał plac, skąpany w jasnym letnim słońcu, poczuł nagle, że jego strach się roztopia. Cienie przeszłości zniknęły. Argentyna była teraz demokratycznym krajem i Fernando miał wrażenie, że dostrzega tę zmianę w beztroskich twarzach przechodniów. Wydawało mu się, że nawet powietrze pachnie inaczej. Kwitnące miasto uśmiechało się do niego. Odrzucił lęki jak znoszony płaszcz, ciężki i niepotrzebny w ciepłym klimacie.

- Wystarczy - powiedział do szofera. - Proszę zawieźć mnie do Santa Catalina.

Przyjazd Fernanda był świętem dla całej rodziny. Wszyscy zgromadzili się na tarasie, podobnie jak wiele lat temu, na powitanie powracającego ze Stanów Santiago. Różnica polegała jednak na tym, że Fernando przybył, aby pożegnać się z umierającą siostrą.

- Fernando bardzo się zmienił, Sofio - powiedziała Chiquita ze smutkiem. - Możesz go nie poznać... Sofia lekko ścisnęła rękę ciotki.

- Myślisz, że przyjechał na stałe? - zapytała, żeby okazać zainteresowanie, chociaż w gruncie rzeczy plany Fernanda w ogóle jej nie interesowały.

Spojrzała na Santiago, który rozmawiał z ojcem i Eduardem. Miguel od kilku dni obawiał się, że Fernando może nie zdążyć, ponieważ Maria szybko traciła siły. Na twarzach wszystkich zebranych malował się niepokój. Usiłowali rozmawiać lub przechadzali się po tarasie. Niepokój udzielał się nawet psom, które kręciły się gorączkowo, usiłując znaleźć sobie wygodne miejsce w cieniu.

Gdy taksówka zajechała przed dom, powoli i z godnością, trochę jak karawan, wszyscy odetchnęli z ulgą. Fernando wyjrzał przez okno i poczuł, jak jego serce zalewa fala czułości i słodkiej melancholii. Wrócił do miejsca, gdzie się urodził i dorastał. Także i w jego oczach Santa Catalina pozostała taka sama jak dawniej.

Wysiadł z samochodu i wpadł prosto w ramiona matki. Potem uściskał ojca, Panchita i pozostałych bliskich. Wszyscy dziwili się zmianie w jego wyglądzie i głośno dawali temu wyraz. Fernando rzeczywiście zmienił się nie do poznania. Na widok Sofii na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania.

- Nie sądziłem, że cię jeszcze kiedyś zobaczę - rzekł, wpatrując się w kobietę, trochę podobną do kuzynki, której z całego serca nie znoził.

Teraz oboje byli innymi ludźmi. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ich dzieciństwo i młodość zeszyły ze sceny życia jak sztuka, która przestała cieszyć się popularnością.

- Cieszę się, że cię widzę, Fercho - odezwała się Sofia, nie bardzo wiedząc, co mogłaby powiedzieć człowiekowi, który był jej zupełnie obcy.

Nagle Fernando zobaczył przed sobą Santię i zrobił coś, co całkowicie zaskoczyło ich obu. Rozpłakał się. W Santim widział przyjaciela, z którym dawno temu, pewnej zimowej nocy wyruszył, aby ukarać Facunda Hernandez. Płakał nie dlatego, że później Facundo uratował mu życie, i nie dlatego, że on i Santi wyrwali Marię z rąk niewłaściwego człowieka. Płakał, ponieważ w szczerych, zielonych oczach brata widział lata zmarnowane przez zazdrość, niechęć i strach. Płakał, bo wrócił do domu i gdy patrzył za siebie, już nie widział dręczących go zjaw.

Chiquita zaprowadziła Fernanda do pokoju Marii. Santi pochwycił spojrzenie Sofii - oboje wiedzieli, że ta chwila należy wyłącznie do Fernanda, który potrzebował teraz czasu na spokojną rozmowę z siostrą.

- Jedźmy do miasta - zaproponował Santi. - Teraz, gdy Fercho wrócił, nikt nie zauważy naszej nieobecności.

- Fernando jest zupełnie inny niż kiedyś - rzekła Sofia, idąc za nim przez park. - Mam wrażenie, że nigdy go nie znałam.

- Ja także. Wszyscy mamy takie wrażenie.

- Powinam cieszyć się z jego powrotu, ale nic nie czuję - po wiedziała, zastanawiając się nad zagadką przemijania. - Dziwne, że z niektórymi ludźmi bez trudu nawiązuje się kontakt mimo długiego rozstania, a z innymi nie...

- Fernando dużo przeżył, Chofi, i rzeczywiście jest innym człowiekiem. Będziesz musiała poznać go od nowa, podobnie jak ja.

Fernando z przerażeniem patrzył na wyniszczoną chorobą siostrę. Czuł ogromną pokorę wobec jej odwagi. Twarz Marii była wychudzona, kości policzkowe ostro rysowały się pod skórą. Wyglądała jak więzień obozu koncentracyjnego. Straciła włosy, co podkreślało kształt jej czaszki, obciągniętej cienką skórą. Siła ducha Marii była jednak tak wielka, że wygląd nie miał żadnego znaczenia. Wydawało się, że jej uśmiech rozświetla cały pokój. Wyciągnęła do niego kościstą dłoń i spojrzała mu w oczy. Fernando upadł na kolana i ucałował jej rękę, pełen podziwu dla tak wielkiej odwagi i świadomy własnej słabości.

- Och, jak ty wyglądasz! - Roześmiała się z czułością. - Co ty z sobą zrobiłeś, Fercho?

Fernando nie mógł wydobyć z siebie głosu. Wargi mu drżały, ciemne oczy pełne były łez.

- Robię straszne wrażenie, prawda? - uśmiechnęła się Maria. - Mój widok zapiera wszystkim dech... - Kpiła z samej siebie, ale nie mogła ukryć łez, które spływały po jej zapadniętych policzkach. - Głuptas z ciebie, Fercho - ciągnęła załamującym się głosem.

- Dlaczego zostawiłeś nas na tak długo? Co tam robiłeś, skoro my, którzy cię kochamy, byliśmy tutaj i cały czas tęskniliśmy za tobą? A ty? Tęskniłeś za nami? Wróciłeś na dobre czy tylko na chwilę?

- Na dobre - wykrztusił Fernando. - Żałuję, że...

Maria uciszyła go ruchem ręki.

- Wymyśliłam nową zasadę postępowania. Żadnych wyrzutów, żadnego roztrząsania błędów przeszłości. Rozmawiałam już o tym z Sofią, która także porzuciła nas na bardzo długo. Oboje jesteście głuptasami, kochany. W tym domu żyjemy terazniejszością i cieszymy się sobą nawzajem. Nie przywołujemy smutnych wspomnień, tylko radosne. Bo przecież byliśmy szczęśliwi wszyscy razem, prawda?

Fernando bez słowa skinął głową.

- Pamiętasz tę moją koleżankę, w której się podkochiwałeś? Nazywała się Silvia Diaz. Pisywałeś do niej listy miłosne. Ciekawe, co się z nią teraz dzieje...

- Nigdy się jej nie podobałem - rzekł Fernando, uśmiechając się do wspomnień z tamtych niewinnych dni.

- Ależ tak, podobałeś się jej, tylko była nieśmiała! Na lekcjach często czytała twoje listy, niektóre czytała mi na głos. Były bardzo romantyczne.

- Naprawdę?

- Tak. Pamiętam, że bardzo mnie to dziwiło i doszłam nawet do wniosku, że niewiele o tobie wiem. Ale potem obie z Sofią podejrzaliśmy, jak na basenie całowałaś się z Rominą Blaquier.

- Wiedziałem, że schowałyście się za krzakiem - roześmiał się.

- Wcale nie zauważyliśmy, żebyś był zmieszany!

- Oczywiście, że nie. Byłem zadowolony, że na moment znalazłem się w centrum waszej uwagi.

- Och, tak jest o wiele lepiej! - powiedziała Maria. - Śmiech niesie pocieszenie, łączy tylko smutek...

Oboje uśmiechnęli się do siebie ze zrozumieniem.

Rozdział czterdziesty piąty

- Pamiętasz, jak w każdą sobotę wieczorem przyjeżdżaliśmy tu na mszę? - Głos Sofii odbił się echem od zimnych kamiennych murów kościoła Nuestra Señora de la Asunción.

- Potem jechaliśmy do nocnego klubu - zachichotał Santi. - Nie byliśmy zbyt pobożni...

- Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób - wyznała. - Szczerze mówiąc, msza była dla mnie jeszcze jednym obowiązkowym zajęciem...

- Wciąż chichotałaś pod pulpitem ławki.

- Bo trudno było zachować powagę, kiedy ojciec Julio jękał się i zacinał.

- Ojciec Julio zmarł parę lat temu.

- Nie mogę nawet powiedzieć, że jest mi przykro - mruknęła.

- Ale powinnaś, bo w końcu jesteś w jego kościele.

- Myślisz, że może mnie usłyszeć? Ciekawe, czy w niebie ludzie też się jękają... Jakoś nigdy nie słyszałam o aniołach jękałach...

Przeszli główną nawą, cicho stąpając po kamiennej posadzce. Kościół był mały i dość surowy, zupełnie inny niż te w Buenos Aires. Prosty ołtarz przykryty białym obrusem i przybrany kwiatami. Powietrze przesiąknięte ciężkim zapachem kadzidła, ponieważ nigdy nie otwierano tu okien. Słońce wpadało do środka przez witrażowe szyby za ołtarzem, rzucając plamy kolorowego światła na posadzkę i ściany. W smugach jasnego światła powoli wirowały drobinki kurzu. Wśród figur wielu świętych wisiały obrazy przedstawiające Matkę Boską z Dzieciątkiem, oświetlone płomykami świec. Ławki były dokładnie takie, jak je zapamiętała - twarde i dość niewygodne, aby nikomu nie udało się w nich zasnąć podczas kazania.

- Pamiętasz ślub Pilar, siostrzenicy Soledad? - zapytała z uśmiechem.

- Jak mógłbym zapomnieć? - Santi uderzył się otwartą dłonią w czoło.

- Ojciec Julio pomylił ją z jej siostrą i zwracał się do niej per „Lucia”!

Oboje z trudem stłumili wybuch śmiechu.

- Dopiero pod koniec, kiedy pobłogosławił związek Roberta i Lucii, zorientował się, że coś jest nie tak! - wykrztusiła Sofia. - Pilar strasznie się zdenerwowała, a my pękaliśmy ze śmiechu!

Gdy stanęli przed ołtarzem, śmiech zamarł im na ustach. Spadła na nich wielka cisza. Po obu stronach ołtarza znajdowały się stoliki, na których płonęły świece różnego kształtu i wielkości. Myśleli teraz tylko o Marii. Santi wziął jedną z leżących na stoliku świec i zapalił ją.

- W intencji mojej siostry - powiedział cicho i przymknął oczy.

Wzruszona Sofia poszła za jego przykładem. Ona także zapaliła świeczkę i odmówiła modlitwę za zdrowie kuzynki. Ręka Santiiego zacisnęła się na jej dłoni. Długą chwilę w milczeniu stali przed ołtarzem. Sofia pomyślała, że nigdy w życiu nie modliła się równie szczerze i gorąco. Nurtowało ją tylko, że modlitwa nie jest całkowicie bezinteresowna - dopóki żyła Maria, ona miała wymówkę, by pozostać w Santa Catalina.

- Zastanawiam się, czy Bóg ma nam za złe, że zwracamy się do niego wyłącznie w godzinie próby - powiedział cicho Santi.

- Myślę, że jest do tego przyzwyczajony.

- Mam nadzieję, że nasze modlitwy odniosą skutek.

- Ja także.

- Czuję się winny, że przychodzę tu dopiero teraz. Nie zasługuję na cud.

- Może późno, ale jednak przyszedłeś. Wydaje mi się, że dla Boga nie ma znaczenia, kiedy wzywamy go na pomoc. Jesteś tu i tylko to się liczy.

- Może masz rację. Kiedyś nie potrafiłem zrozumieć ludzi, którzy codziennie chodzą do kościoła. Dziś wiem, że jest to dla nich pocieszeniem i daje im siłę.

- Doznałeś pocieszenia?

- W pewnym sensie. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się lekko. - Powinniśmy byli pobrać się w tym kościele, wiesz?

- A ceremonię ślubu odprawiłby ojciec Julio. „Czy t-t-ty, S-s-santi b-b-bierzesz s-s-sobie S-s-sofię...”

Zaśmiał się cicho.

- Jeśli o mnie chodzi, mógłby nawet nazwać mnie F-f-fernandem! - powiedział, biorąc ją w ramiona i muskając wargami czoło.

W jego objęciach Sofia czuła się kochana i potrzebna. Objęła go i stali tak nieruchomo, w całkowitym milczeniu. Czuła smutek, a jednocześnie radość płynącą z bliskości Santiiego. Zdawała sobie sprawę, że ta chwila szybko minie, więc przywarła do jego piersi, ciesząc się jej trwaniem.

- Czy spowiadałaś się ojcu Juliowi z tego, że byliśmy kochankami? - zapytał Santi, odsuwając się lekko, żeby zajrzeć jej w twarz.

- Oszalałeś? Oczywiście, że nie! A ty?

- Nie. Spowiadałaś się kiedyś naprawdę, tak zupełnie szczerze?

- Nie, większość grzechów zmyślałam. Ojciec Julio tak cudownie się gorszył, że nie mogłam oprzeć się pokusie.

- Jesteś niepoprawna. - W uśmiechu Santiego czaił się cień smutku.

- Dopóki tu nie wróciłam, byłam przekonana, że jednak trochę się poprawiłam, ale teraz wiem, że w głębi duszy wciąż jestem taka sama.

- Powinienem mieć wyrzuty sumienia. - Santi bezradnie po kręcił głową. - Ale nie mam i nic na to nie poradzę. Nasz związek wydaje mi się dobry i nieunikniony...

- Bo jest dobry - powiedziała Sofia, biorąc go za rękę. - Powinniśmy być razem.

- Wiem, ale jednak męczy mnie ten brak wyrzutów sumienia. Przeraza mnie, że przy tobie potrafię o wszystkim zapomnieć.

- Mówisz o Claudii?

- O Claudii i dzieciach. Kiedy jestem z tobą, zwyczajnie o nich nie myślę.

- Ze mną jest podobnie - westchnęła.

Nie była to prawda. Za każdym razem, gdy pamięć podsuwała jej twarz Davida i córek, pospiesznie spychała ten obraz w głąb podświadomości. Zwykle jej się to udawało, ale David potrafił być naprawdę uparty...

- Chodźmy, bo lada chwila przyłapie nas tu ojciec Juan - rzekł Santi, prowadząc ją do wyjścia.

- Nie robimy przecież nic złego. Jesteśmy kuzynami, pamiętasz?

- Nie potrafię o tym zapomnieć, Chofi. Myślę, że Bóg postawił cię na mojej drodze jako kuzynkę po to, aby ukarać mnie za grzechy popełnione w poprzednim życiu.

- A może po prostu ma niezdrowe poczucie humoru... - wymamrotała Sofia.

Gdy wyszli na zewnątrz, musieli osłonić oczy przed oślepiającym blaskiem. Sofii aż zakręciło się w głowie, zanim jej wzrok przyzwyczaił się do słońca. Powietrze było gorące i wilgotne.

- Idzie wielka burza, Chofi, czujesz?

- Tak. Uwielbiam burze, bardzo mnie podniecają.

- Kiedy kochaliśmy się pierwszy raz, szalała burza.

- Pamiętam. Nigdy tego nie zapomnę.

Wyszli na plac. Biegąca przez miasteczko droga nadal była niewyafaltowana, taka sama jak w czasach ich dziadków i pradziadków. Główny plac otaczały wysokie drzewa, których pnie jak dawniej bielono wapnem, chroniącym przed szkodnikami. Zakurzone okna małych domów i sklepów słabo połyskiwały w słońcu. Na rogu znajdował się wciąż ten sam bar, w którym gauczowie pili herbatę matę i grali w karty. Paco spędzał tu kiedyś każdy niezmierny ranek, spokojnie przeglądając gazety przy filiżance kawy. Być może nadal to robił, wierny swoim przyzwyczajeniom.

Było popołudnie, więc wszystkie sklepy zamknięto na czas sjeisty i na placu panowała cisza. Sofia i Santi podeszli do jednej ze stojących w cieniu ławek, kiedy nagle usłyszeli, że ktoś ich woła. Odwrócili się i z przerażeniem spostrzegli siedzącą na sąsiedniej ławce sławną „starą wiedźmę” z miasteczka.

- Dzień dobry, seniora Hoffstetta - odezwał się Santi uprzejmie.
- Nie przypuszczałam, że stara wiedźma jeszcze żyje! - szepnęła Sofia.
- Czarownice nie umierają - odszepnął Santi.

Staruszka jak zwykle ubrana była w długą czarną suknię. Sofia pomyślała, że może między innymi dlatego wszyscy uważają ją za czarownicę. Przypomniała sobie, że kiedyś naprawdę się jej bała. Twarz starowiny była drobna, pomarszczona i brązowa jak łupina orzecha, oczy czarne, podobnie jak zęby, a otaczający ją zaduch można było poczuć już z daleka. W długich, powykręcanych przez artretyzm palcach ścisnęła brązową papierową torbę.

Sofia i Santi usiedli, starając się ją zignorować, lecz Sofia przez cały czas czuła na plecach przenikliwe spojrzenie.

- Wciąż na nas patrzy? - zapytała.
- Tak - mruknął Santi. - Udawajmy, że jej nie widzimy.
- Ale ja czuję jej obecność! Och, niechże już sobie pójdzie!
- Nie przejmuj się, przecież ona nie jest prawdziwą czarownicą.
- Chyba sam nie bardzo wierzysz w to, co mówisz. W porównaniu z nią czarownice z bajek to prawdziwe królowe Śnieżki. Założę się, że wie, o czym rozmawiamy...
- Jeżeli jest czarownicą, to na pewno wie.
- Chodźmy stąd! - Sofia podniosła się z ławki. - Nie mogę tego wytrzymać.
- Hej! - krzyknęła stara wiedźma.

Zignorowali ją i bez słowa przyspieszyli kroku.

- Hej, wy! - powtórzyła. - Zły los! Mielicie swoją szansę! Zły los!

Sofia i Santi przystanęli i spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Santi miał już zawrócić w stronę starej kobiety, lecz Sofia chwyciła go za ramię i pociągnęła za sobą.

- Pokrewne dusze! - Niósł się za nimi zachrypnięty głos staruszki. - Widzę waszą aurę, pokrewne dusze!

- Boże, teraz naprawdę mnie przestraszyła! - powiedziała Sofia. - Uciekajmy!

- Jak ta stara plotkara śmie nas zaczepiać! - zirytował się Santi. - To właśnie tacy jak ona sprawiają kłopoty innym!

- Nikt mnie nie przekona, że ona nie jest czarownicą.

- Więc niech lepiej wsiada na swoją miotłę i leci na sabat - parsknął Santi.

Oboje wybuchnęli nerwowym śmiechem.

Kiedy myśleli, że już się od niej uwolnili, nagle pojawiła się przed nimi, podobna do wielkiego, włochatego nietoperza, przygięta do ziemi i cuchnąca. Powoli podeszła do Sofii i wcisnęła jej do ręki papierową torbę. Sofia ujęła ją w dwa palce, jakby była pewna, że wewnątrz znajduje się coś obrzydliwego. Spojrzała w czarne oczy staruszki i wpadła w panikę, lecz wiedźma tylko pokiwała głową i kilka razy wymamrotała słowa: „Sofia Solana”.

Potem odwróciła się i pokuśtykała przez plac.

Gdy wsiedli do samochodu. Sofia pospiesznie zatrzasnęła drzwi i zamknęła okno. Drżała na całym ciele.

- Co jest w tej torbie? - zapytał Santi, którego cała sytuacja zaczęła już bawić.

- Nie wiem, z czego się śmiejesz. Skoro jesteś taki ciekawy, to sam ją otwórz!

Santi powoli rozchylił papier i ostrożnie zajrzał do środka, jakby spodziewał się, że zobaczy coś wyjątkowo paskudnego. Po chwili roześmiał się głośno, z wyraźną ulgą.

- No i co? - ponagliła go Sofia.

- Nigdy byś nie uwierzyła! To sadzonka. Sadzonka drzewa ambu.

- Sadzonka ambu? Co mam z nią zrobić?

- Nie mam pojęcia. W Anglii na pewno się nie przyjmie.

- Co za dziwna kobieta! Ile ona może mieć lat? Już dawno temu powinna przenieść się na tamten świat!

- Dlaczego dała ci tę sadzonkę? - Santi lekko zmarszczył brwi. - I skąd wiedziała, kim jesteś?

Przekręcił kluczyk w stacyjce i wyjechał na drogę. Sofia odetchnęła z ulgą, kiedy wreszcie zostawili miasteczko daleko za sobą.

- O co jej chodziło z tymi pokrewnymi duszami? - zapytała po chwili.

- Nie wiem.

- W pewnym sensie miała rację, bo rzeczywiście jesteśmy pokrewnymi duszami... Niesamowita starucha... Problem polega na tym, że niektórzy jej wierzą, na przykład Soledad...

- Och, a ty nie? - Kąciki ust Santiiego uniosły się lekko.

- Oczywiście, że nie! - mruknęła.

- Więc dlaczego w ogóle o niej rozmawiamy? Skoro nie wierzysz w jej nadprzyrodzone zdolności, to po prostu przestań o niej myśleć, i tyle.

- To bez sensu. Nie wierzę jej i uważam, że nie powinna straszyć Bogu ducha winnych ludzi. Nie wmawiaj mi, że wierzę w czarownice!

- Ale wierzysz w magiczne właściwości ambu, prawda?

- To co innego! - Sofia się oburzyła.

- Wcale nie!

- Właśnie że tak! Ta kobieta jest szalona, powinni zamknąć ją w jakimś zakładzie. ambu skupia w sobie magię przyrody.

- Chofi?

- Słucham? - wymamrotała niechętnie.

Zerknęła na niego i zobaczyła, że się uśmiecha.

- Czy drzewo ambu spełniło jakieś twoje życzenie? - zapytał, wpatrując się w drogę z takim skupieniem, jakby musiał skoncentrować się na czymś, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Tak.

- Jakie?

- Pragnęłam, żebyś się we mnie zakochał - oznajmiła z triumfalnym uśmiechem.

- Myślę, że akurat to nie miało nic wspólnego z ambu.

- Nie masz o tym zielonego pojęcia! - wykrzyknęła. - Nie rozumiesz potęgi przyrody!

Wiesz co? Założę się, że ta sadzonka przyjmie się w Anglii!

Spojrzała na niego i zorientowała się, że dławi się ze śmiechu.

- Śmiejesz się ze mnie? - prychnęła. - Zatrzymaj samochód!

- Co takiego?

- Zatrzymaj się, ale już!

Santi zjechał z drogi i zatrzymał pikapa między drzewami na skraju pola. Wyłączył silnik i odwrócił się do niej. Roześmiane spojrzenie jego zielonych oczu zupełnie ją rozbroiło.

Jej złość zniknęła w jednej chwili.

- Ona naprawdę była dziwaczna - powiedziała w końcu.

- To prawda, była, ale przecież nie ma nic złego w tym, że nazwała nas pokrewnymi duszami. - Santi pocałował ją w szyję.

- Powiedziała, że mieliśmy swoją szansę...

- No to co? - Bez pośpiechu rozpiął jej sukienkę. - To tylko stara wiedźma...

Kiedy gorące usta spoczęły na jej wargach, natychmiast zapomniała o staruszce z miasteczka. Jego ślina miała lekko słony posmak, skóra pachniała potem i upałem. Usiadła mu na kolanach, twarzą do niego, z zapartym tchem usiłując znaleźć najwygodniejszą pozycję między kierownicą i skrzynią biegów. Santi podciągnął jej sukienkę do góry i przesunął dłońmi po delikatnej skórze wewnętrznej strony lepkich od potu ud. Odsunął figi na bok i wszedł w nią jednym pchnięciem. Obejmując jej ramiona, nadawał rytm jej ruchom. Sofia oddychała ciężko, owładnięta podnieceniem i rozkoszą, jaką dawało jej łamanie zasad.

Rozdział czterdziesty szósty

Po powrocie do Santa Catalina oboje z przyjemnością zanurzyli się w basenie. Słońce wisiało nisko nad zachodnią linią horyzontu, podobne do rozżarzonego węgla. Między drzewami unosiły się chmury komarów, z ogrodu docierał mocny zapach zasadzonych przez Antonia róż i krzaków janowca. Sofia i Santi podpłynęli do brzegu i oparli się ramionami o krawędź basenu.

- Brakuje mi Josego - odezwała się Sofia. - Pablo jest wspaniały, ale ja byłam bardzo przywiązana do Josego...

- Jose był mądrym staruszkiem.

- Kto to jest ten Javier? Bardzo przystojny chłopak...

- To syn Soledad i Antonia - odparł Santi, nie kryjąc zaskoczenia. - Nie mówiła ci?

- Syn Soledad? Jesteś pewien?

- Oczywiście! Nie mogę uwierzyć, że nic ci nie powiedziała! Może sądziła, że wiesz...

- Jestem okropna! - mruknęła Sofia. - Od chwili, gdy przyjechałam, rozmawialiśmy tylko o mnie!

- Javier jest prawdziwym bohaterem.

- Jak to?

- Kilka lat temu pomagał ojcu przy sadzeniu roślin wokół basenu. Pewnego dnia wszyscy siedzieliśmy na brzegu, opalając się i rozmawiając. Clara i Felix bawili się na trawie razem z innymi dziećmi. Nikt nie zauważył, że Felix podpełzł do wody, żeby zanurzyć w niej rączki. Javier przypadkiem spojrzął w tamtą stronę i zobaczył jakiś szary cień na dnie. Bez wahania skoczył do wody, zanurkował i wyciągnął Felixa na brzeg. Nie ulega wątpliwości, że uratował małemu życie. W nagrodę za ten czyn Paco podarował mu nowe siodło, ozdobione srebrną plaketką z wygrawerowanymi inicjałami Javiera. Twój ojciec zawsze bardzo go lubił, ale po tym wydarzeniu jego sympatia jeszcze wzrosła.

Niedługo potem Sofia pobiegła do domu i zajrzała do kuchni, gdzie Soledad przygotowywała kolację.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że masz syna? - zapytała z wyrzutem, starając się zrekompensować opiekunce brak zainteresowania jej sprawami. - I to takiego przystojnego?

- Myślałam, że wiesz.

- Teraz już wiem. Santi opowiedział mi, jak Javier uratował Felixa. Musisz być bardzo dumna z syna.

- Oboje jesteśmy z niego dumni. Javier codziennie czyści siodło, które dostał od seniora Paca. To najcenniejsza rzecz, jaką posiada. Senior Paco był wobec niego bardzo hojny.

- Javier w pełni na to zasłużył.

Zanim Sofia przebrała się do kolacji, wzięła długą kąpiel. Leżąc w ciepłej wodzie, myślała o Santim i swojej przyszłości, a także o Davidzie, który uratował ją w chwili, gdy czuła się zagubiona i słaba. David był dla niej bardzo dobry... Odetchnęła z ulgą, gdy jej rozmyślenia przerwało ciche pukanie do drzwi. Na progu stała Soledad, której okrągła twarz była blada i mokra od łez. Sofia natychmiast wyskoczyła z wanny, narzuciła na siebie szlafrok i podprowadziła nianię do łóżka.

- Co się stało, Soledad? - zapytała.

Soledad próbowała odpowiedzieć, ale jej głos załamał się i znowu załapała się łzami. Wreszcie, po długich namowach ze strony Sofii, wyznała, że ma tajemnicę, której obiecała dotrzymać.

- Ale ty jesteś moją Sofią! - zaszlochała rozpaczliwie. - Nie mogę dłużej ukrywać tego przed tobą!

Sofia nie była szczególnie zaciekawiona, ponieważ z doświadczenia wiedziała, że sekrety Soledad dotyczą zwykle dość błahych spraw, chciała jednak za wszelką cenę ulżyć starej przyjaciółce.

- Chodzi o Javiera - zaczęła niepewnie Soledad.

- Chyba nic mu nie dolega, co? - Zaniepokoiła się, że może syn Soledad jest chory. - Nie, nie, Javier jest zdrowy. Antonio i ja bardzo go kochamy. Daliśmy mu dom i obserwowaliśmy, jak wyrasta na wspaniałego mężczyznę. Jesteśmy z niego dumni...

- Więc dlaczego płaczesz? Masz szczęście, że trafił ci się taki syn.

- Och, wiem o tym, seniora Sofia. To takie trudne... - Z piersi Soledad wyrwało się ciężkie westchnienie. - Senior Paco kazał nam przysiąc, że będziemy milczeli i przez dwadzieścia cztery lata dotrzyaliśmy obietnicy... Myśleliśmy, że wcześniej wrócisz do domu... Mówiliśmy sobie, że jesteśmy tylko jego opiekunami i tak właśnie było... To ty jesteś jego prawdziwą matką.

- O czym ty mówisz, Soledad? - wyszeptała Sofia.

- Nie wiń mnie za to, proszę. Spełniłam prośbę seniora Paca, to wszystko. Senior Paco przywiózł twoje dziecko ze Szwajcarii i powiedział, że zależy mu, aby miało normalny dom i dobrych rodziców. Że niedługo wrócisz i wtedy będziesz mogła odzyskać swego synka... Nie chciał, żeby jego wnuka wychowywali obcy ludzie...

- Javier jest moim synem? - zapytała powoli Sofia. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu, poza swoim ciałem, a jej słowa wydobywają się z ust kogoś innego.

- Javier jest twoim synem - potwierdziła Soledad i zaczęła zawodzić jak ranne zwierzę.

Sofia wstała, podeszła do okna i wbiła wzrok w pogrążoną w mroku pampę.

- Javier to Santiguito? - szepnęła, nie mogąc w to uwierzyć.

W szklanej tafli widziała jego małe ręce i nóżki, zabawny nosek, który tyle razy pokrywała pocałunkami. W ustach miała dziwny słony smak. Nagle wróciła do rzeczywistości i ujrzała swoje odbicie, odbicie zgiętej w pół z bólu kobiety. Potem nie widziała już nic, bo jej oczy wypełniły się gorącymi łzami.

- Wiemy o tym tylko senior Paco, ja i oczywiście Antonio - dobiegł ją głos Soledad. - Seniora Anna nic nie wie, ale ty masz prawo wiedzieć, jesteś przecież jego matką. Jeżeli zechcesz powiedzieć o wszystkim Javierowi, nie będę cię powstrzymywać. Może powinien poznać prawdę o swoich rodzicach, dowiedzieć się, że należy do rodziny Solanas...

Rozdział czterdziesty siódmy

Sofia wybiegła do parku, zostawiając płaczącą Soledad w swojej sypialni. Było już prawie ciemno. Nie wiedziała, co mu powie, ale czuła, że musi go zobaczyć i porozmawiać z nim. Każdy ma prawo wiedzieć, kto nosił go pod sercem, myślała. Oczami wyobraźni widziała, jak zarzuca mu ramiona na szyję i przytula go do siebie. „Mój synu, nazywasz się Santiguito i jesteś dzieckiem, które straciłam, dzieckiem, którego miałam więcej nie zobaczyć...” Łzy obeschły jej na policzkach, czuła dziwną lekkość, zdumiewającą radość życia.

Już z daleka dostrzegła czerwony blask płonącego między stajennymi barakami ogniska. Ktoś grał na gitarze i kilka męskich głosów podjęło melodię, coraz głośniejszą i głośniejszą. Z rozczerwienieniem zobaczyła grupkę gauczów, siedzących wokół ogniska. Śmiali się i popijali wino, migotliwe płomienie oświetlały ich brązowe twarze. Przystanęła za pnem drzewa i wyjęła wzrok. Szukała twarzy syna i znalazła ją. Siedział w środku, między Pablem i jakimś nieznanym jej mężczyzną, z entuzjazmem śpiewając razem z innymi. Co jakiś czas uśmiechał się i wtedy jego białe zęby lśniły w mroku. Nie widziała go zbyt dobrze, więc nie mogła się zorientować, czy jest bardziej podobny do niej, czy do Santi. Zmarszczyła brwi i zmrużyła oczy, mając nadzieję, że w ten sposób zobaczy coś więcej.

Nagle jakaś smukła kobieta otworzyła drzwi jednego z baraków i podeszła do ogniska z tacą pełną jedzenia. Sofia zauważyła biegnącego za nią chudego psa. Przykucnęła za pnem, aby lepiej widzieć całą scenę. Psiak podniósł głowę, wężąc z zainteresowaniem i szczekając, i ruszył w stronę kryjówki Sofii. Kobieta odwróciła głowę za głosem ujadającego psa i powiedziała coś do mężczyzn. Gauczowie zerwali się, chwytając za noże. Musiała wyjść zza drzewa, nie miała wyboru. Zawstydzona stanęła przy ognisku, czując na sobie zaskoczone spojrzenia.

Javier opuścił spoczywającą na rękojeści noża rękę i podszedł do niej.

- Dobry wieczór, seniora Sofia - rzekł uprzejmie. - Czy coś się stało? Szuka pani kogoś?

Sofia przyglądała mu się uważnie. Był wysoki, zgrabny, szeroki w ramionach jak jego ojciec. Poruszał się podobnie jak Santi, na lekko zgiętych kolanach, ale nie było w tym nic dziwnego, bo przecież on także prawie całe życie spędził w siodle. Zauważyła, że włosy ma ciemne, takie jak ona.

Stanął przed nią, najwyraźniej czekając, żeby się odezwała. Chciała powiedzieć mu, że jest jego matką, ale nie mogła wydobyć głosu z gardła. Jej radosne uniesienie zniknęło. Spojrzała na zgromadzonych przy ognisku gauczów i zrozumiała, że jej syn jest wśród nich szczęśliwy. Nie znał swojego prawdziwego pochodzenia i właśnie dlatego był szczęśliwy. Posiadał to, co ona sama zagubiła dawno temu - poczucie przynależności. Jego miejsce było tu, w Santa Catalina, wśród podobnych do niego ludzi. Jak na ironię właśnie on wydawał się w pełni zadowolony ze swego życia. Osiągnął stan, który był obcy i jej, i jej matce. Ze

smutkiem zrozumiała, że zburzenie świata, w którym dorósł i żył, byłoby po prostu okrutne i samolubne. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się słabo.

- Za życia Josego często tu przychodziłam - przemówiła, starając się zacząć rozmowę.

- Wiem od matki, że długo nie było pani w Santa Catalina.

- Tak. Nie potrafię nawet powiedzieć, jak bardzo tęskniłam za domem.

- Czy to prawda, że w Anglii zawsze pada? - zapytał z nieśmiałym uśmiechem.

- Nie bez przerwy. Zdarzają się dni równie piękne jak w Argentynie - odparła.

Miała nadzieję, że nie zauważył, jak uporczywie przygląda się jego twarzy.

- Nigdy nie wyjeżdżałem z Santa Catalina.

- Chciałabym znaleźć się na twoim miejscu. Dużo podróżowałam, ale mogę ci szczerze powiedzieć, że nigdzie nie widziałam miejsca tak pięknego, jak Santa Catalina.

- Zamieszka tu pani na stałe? Moja matka ma taką nadzieję.

- Raczej nie. - Sofia potrząsnęła głową. - Twoja mama jest bardzo sentymentalna i...

- Wiem - roześmiał się.

- I na pewno jest najlepszą matką pod słońcem - dokończyła.

- Tak.

- Dla mnie też była bardzo dobra. Współuczestniczyła we wszystkich moich drobnych przestępstwach.

Po chwili uświadomiła sobie, że Javier ma ochotę wrócić do swoich przyjaciół. Nie zdziwiło jej to - była przecież córką właściciela majątku, należeli do dwóch różnych światów.

Pożegnała się z nim i zawróciła w kierunku domu. Tak, Javier z całą pewnością był jej synem. W ciemności nie widziała koloru jego oczu, ale była przekonana, że są ciemne. Gdyby były zielone, jak oczy Santiago, już wcześniej zwróciłaby na to uwagę. W jego wyglądzie nie było nic uderzającego. Był przystojny, został wychowany jako gauczo i doskonale pasował do swego otoczenia. Nie mogła powiedzieć mu, kim naprawdę jest.

Soledad nadal siedziała na brzegu łóżka, skulona i pokonana, z mocno splecionymi dłońmi na kolanach. Powoli podniosła czerwone od łez i otepiałe z bólu oczy. Na jej twarzy malowała się rozpacz, bezgraniczne cierpienie kogoś, kto w jednej chwili został pozbawiony motywacji do życia. Sofia także cierpiała, lecz widok złamanej Soledad umocnił ją w podjętej decyzji. Postąpiła tak, jak należało.

Gdy powiedziała, że nie mogła zdradzić Javierowi tajemnicy jego pochodzenia, twarz Soledad rozjaśnił błysk nadziei. Całe jej ciało rozluźniło się w poczuciu ulgi. Rozpłakała się,

ale tym razem były to łzy radości. Przygarnęła Sofię do piersi, dziękując za to, że oddała jej syna.

- Każdego dnia powtarzałam sobie, że Javier nie należy do mnie - wyszlochała. - Mówiłam sobie, że tylko go wychowuję, czekając na chwilę, kiedy jego rodzona matka wróci po niego...

- Javier jest twoim synem, Soledad - powiedziała Sofia ze smutkiem. - Nie ma znaczenia, kto go urodził. To twoje dziecko. Jest nawet do ciebie podobny.

- Jest przystojnym chłopcem, ale to nie moja zasługa - Soledad ledwo powstrzymywała pełen dumy uśmiech.

Sama najlepiej wiedziała, że w tym niewielkim pokoju nie ma miejsca na jej dumę.

- Jak to się stało? - zapytała Sofia. - Jak to możliwe, że nikogo nie zdziwiło to, że w waszym domu nagle pojawiło się dziecko?

- Senior Paco przyszedł do nas i powiedział, że my stworzymy najlepszy dom twojemu dziecku, ponieważ ty i ja zawsze byliśmy sobie bardzo bliskie, seniorita. Przecież opiekowałam się tobą od najwcześniejszego dzieciństwa.

Sofia się zamyśliła. A więc Dominique i Antoine musieli odegrać ważną rolę w planowaniu przyszłości małego Santiguíta. Powinna być im wdzięczna - zadbali, aby miał dobrych rodziców i szczęśliwe dzieciństwo. I dom, który ona straciła... Uśmiechnęła się gorzko.

- Co jeszcze powiedział wam mój ojciec?

- Że pewnego dnia wrócisz, ale na razie nie możesz opiekować się dzieckiem. Nie zadawałam żadnych pytań. Uwierzyłam mu i starałam się wychować Javiera tak, żeby nie przyniósł ci wstydu. - Głos Soledad załamał się nagle.

- Wiem, Soledad. Za nic cię nie winię, chcę tylko wiedzieć, jak to było - powiedziała Sofia uspokajająco, ściskając rękę opiekunki.

Soledad odetchnęła głęboko.

- Wymyśliliśmy historyjkę o siostrzenicy Antonia, która umarła, oddając mu swojego synka pod opiekę. Nikt tego nie kwestionował, ponieważ takie rzeczy zdarzają się dość często. Wszyscy cieszyli się, że Bóg po tylu latach oczekiwania jednak obdarzył nas dzieckiem. - Po jej policzku spłynęła duża łza. - Mały Javier był śliczny. Miał duże brązowe oczy, dokładnie takie jak twoje, i delikatną skórę. Pokochałam go od pierwszej chwili i nigdy nie przestałam dziękować Bogu za jego dobroć. To był cud, prawdziwy cud...

- Poza tobą i Antoniem wie o tym tylko mój ojciec, tak?

- Tak.

- Jak mój ojciec odnosił się do Javiera? Czy było mu ciężko?

- Zawsze traktował go z wielką dobrocią i serdecznością. Dzieciak chodził za nim po całej farmie jak mały psiak. Są do siebie przywiązani, ale Javier to gauczo. Lepiej czuje się z nami niż ze swoją prawdziwą rodziną. Wie, gdzie jest jego miejsce. W miarę jak dorastał, między nim i seniorem Pacem powstawał naturalny dystans, lecz senior Paco zawsze był dla niego wyjątkowo dobry, jak już mówiłam...

- Jaki był w dzieciństwie? - Ośmieliła się zapytać, chociaż wiedziała, że niczyje słowa nie przywrócą jej bezpowrotnie straconych lat.

- Uparty jak osioł, nieustępliwy. Miał zmienne nastroje, jak ty, i zdolności seniora Santiago. Zawsze był we wszystkim najlepszy. Najlepszy na koniu, najlepszy w szkole.

- Ja nigdy nie byłam dobrą uczennicą, więc tego na pewno nie odziedziczył po mnie.

- Javier jest po prostu sobą, seniorita.

- Wiem, zauważyłam to. Spodziewałam się, że jest podobny do mnie albo że utyka jak Santi, wiesz, o co mi chodzi... Ale on jest po prostu sobą, masz rację. Jestem dla niego obca, chociaż przez dziewięć miesięcy nosiłam go w sobie i urodziłam. - Po policzkach Sofii popłynęły łzy. - Potem go porzuciłam... Przynajmniej teraz będę wiedziała, co się z nim dzieje... Jestem szczęśliwa, że ty zostałam jego matką, Soledad, bo dla mnie także byłaś jak matka...

Sofia rozplakała się z głową opartą o ramię służącej. Oplakiwała wszystko, co straciła i co odzyskała. Nie wiedziała, nad czym bardziej płacze.

Tej nocy prawie nie spała, lecz senne wizje nawiedzały ją także na jawie. Śniła, że kocha się z Santim i widzi, jak jego twarz nagle przeobraża się w twarz Javiera. Ocknęła się, zapaliła lampę i czekała, aż jej serce przestanie galopować jak oszalone. Czuła się bardzo samotna. Pragnęła powiedzieć Santiemu prawdę o ich synu, rozumiała jednak, ile cierpienia spowodowałoby jej wyznanie. Zastanawiała się, dlaczego Dominique milczała i jak inaczej potoczyłoby się jej życie, gdyby tamtego dnia zdołała po rozmawiać z kuzynką, a nie z wiecznie niezadowoloną gospodynią, która poinformowała ją, że państwo La Riviere wyjechali za granicę.

Wtedy, dwadzieścia trzy lata temu, bała się powiedzieć Dominique i Antoineowi, że zmieniła zdanie, ponieważ nie chciała przyznać się do błędu. Ostrzegali ją przecież, ale ona nie słuchała. Gdyby wtedy wyznała, co czuje, może powiedzieliby, gdzie jest Santiguito. Kto wie, czy nie wróciłaby wtedy do Argentyny, by wbrew wszystkim zbudować swoją przyszłość razem z Santim. Teraz była pewna tylko jednego - ojciec sprowadził jej syna do Santa Catalina z miłości do niej i była mu za to wdzięczna. Paco postarał się, aby Santiguito miał dom i kochających rodziców. Na pewno liczył, że ona niedługo wróci do Argentyny. Teraz było już za późno. Na wszystko.

Rozdział czterdziesty ósmy

Wtorek, 11 listopada 1997

Następnego dnia rano Sofia spędziła trochę czasu z Marią i poszła odwiedzić grób dziadka Dwyera. Położyła skromny bukiet u stóp kamienia nagrobnego, porośniętego zielonym mchem. Wszystko wskazywało na to, że nikt tu nie przychodził, bo grób robił wrażenie zaniedbanego. Sofia przesunęła dłonią po wykutych w kamieniu literach i pomyślała, jak niewiele łączy ją teraz z Santa Catalina. Dziadek często powtarzał, że życie jest jak szkoła i nic nie przychodzi w nim bez trudu. Rzeczywiście, była to twarda szkoła.

Zamierzała już odejść, kiedy nagle zza drzew wyszła jej matka, ubrana w powiewne białe spodnie i starannie wyprasowaną białą bluzkę koszulową. Rozpuszczone włosy opadały na ramiona w rdzawych lokach. Wyglądała staro.

- Przychodzisz tu czasem, żeby porozmawiać z dziadkiem? - zapytała Sofia po angielsku.

Anna wsunęła ręce do kieszeni, zbliżyła się powoli i przystanęła w cieniu eukaliptusa, osłaniającego grób przed kapryсами pogody.

- Teraz raczej rzadko, chociaż kiedyś przychodziłam tu prawie codziennie - powiedziała ze smutnym uśmiechem. - Na pewno zaraz wypomnisz mi, że nie opiekuję się jego grobem.

- Nie, nie, nawet mi to przez myśl nie przeszło - zaprotestowała Sofia. - Dziadek zawsze wolał dziką przyrodę...

- Twój bukiet bardzo by mu się podobał - rzekła Anna i pochyliła się trochę sztywno, żeby powąchać kwiaty.

- Nie sądzę! - Sofia się roześmiała. - Prawdopodobnie w ogóle nie zwróciłby na niego uwagi!

- Nie wiem. - Anna położyła kwiaty na grobie. - Był pełen niespodzianek, chociaż rzeczywiście nie przepadał za kwiatami - dodała, przypominając sobie, jak dziadek bezlitośnie ścinał sekatorem główki świeżo rozkwitłych kwiatów.

- Brakuje ci go? - zapytała nieśmiało Sofia.

- Tak, bardzo. - Anna westchnęła głęboko.

W milczeniu wpatrywała się w córkę, jakby zastanawiała się, co powinna jej powiedzieć. Stała nieruchomo, z rękami w kieszeniach i pochylonymi ramionami.

- Żałuję wielu rzeczy, Sofio - rzekła z wahaniem. - Między innymi tego, że straciłam rodzinę.

- Ale przecież dziadek mieszkał tu, w twoim domu...

- Tak, później tak. - Anna bezradnie potrząsnęła głową. - Widzisz, żałuję, że od nich uciekłam.

Sofia zauważyła, że matka unika jej wzroku.

- Uciekłaś od nich? - powtórzyła ze zdumieniem. Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby z takiego punktu widzenia spojrzeć na małżeństwo matki. - Dlaczego?

- Pragnęłam lepszego życia, chyba to był główny powód. Byłam egoistką, rozpuszczoną jedynaczką. Uważałam, że zasługuję na coś lepszego. Zazwyczaj myśli się, że wraz z upływem czasu ból maleje, ale to nieprawda, czas nie ma tu żadnego znaczenia. Czuję się teraz dokładnie tak samo jak czterdzieści lat temu, tylko wyglądam inaczej...

- Kiedy zaczęłaś żałować?

- Zaraz po twoim urodzeniu moi rodzice przyjechali tu z wizytą.

- Tak, pamiętam, opowiadałaś mi o tym.

- Właśnie wtedy zrozumiałam, jak szybko odzwyczajamy się od tych, którzy są daleko. Odzwyczaiłam się od swoich najbliższych. Moi rodzice nigdy tego nie przeboleli. Potem spostrzegłam, że ty popełniasz te same błędy, i bardzo pragnęłam cię powstrzymać, ale nie udało mi się. Ty też uciekłaś od rodziny, zupełnie jak ja, chociaż zawsze sądziłam, że jesteś podobna do swojego ojca...

- Och, mammo, wcale nie chciałam tak długo zwlekać z powrotem! - W oczach Sofii zabłyśły łzy.

Jak mogła wyjaśnić matce, co przeżyła i co czuła? W jaki sposób opowiedzieć jej, jak żyła?

- Dobrze o tym wiem, dziewczyno. - Anna pokiwała głową. - Wszystko przez tę twoją przekłętą dumę - twoją i moją.

- Zdaje się, że jesteśmy siebie warte, prawda? - Sofia uśmiechnęła się przez łzy.

- Żałuję, że tak surowo cię traktowałam...

- Mammo, nie musisz mi tego mówić - przerwała jej, zażenowana, że matka obnaża przed nią duszę. - To nie spowiedź...

- Nie, ale chcę ci to powiedzieć. Widzisz, my dwie niezbyt dobrze się rozumiemy, ale myślę, że mimo wszystko mogłybyśmy zostać przyjaciółkami. Usiądźmy, dobrze?

Sofia usadowiła się na suchej trawie naprzeciwko matki, uradowana, że dziadek Dwyer jest obecny przy ich rozmowie.

- Kiedy wychodziłam za twojego ojca, wyobrażałam sobie, że bez trudu rozpocznę nowe życie w nowym, pięknym kraju, u boku ukochanego mężczyzny. Myliłam się. Okazało się, że nic nie jest tak proste, jak mi się wydawało, a moim najgorszym wrogiem jestem ja sama. Teraz dobrze o tym wiem, ale wtedy... Z czasem zdobywamy trochę mądrości, ale na ogół bierze się ona ze świadomości własnych błędów. Ojciec często mi o tym mówił, lecz ja nigdy nie przywiązywałam wagi do jego słów. Tego także bardzo żałuję.

Przerwała na chwilę i potrząsnęła głową. Już dawno postanowiła, że pogodzi się z córką, i teraz nie mogła pozwolić sobie na słabość. Odetchnęła głęboko i odrzuciła do tyłu opadające na czoło włosy.

- Nie oczekuję, że mnie zrozumiesz. Sofio - ciągnęła. - Najczęściej sami nie rozumiemy swoich uczuć i nie dostrzegamy ich źródła, więc jak moglibyśmy pojąć cudze? Nie pasowałam do życia w Santa Catalina. Próbowałam się dopasować, ale to wszystko było dla mnie za trudne. Ludzie o południowym temperamentcie, konie... Mój Boże, nie mogłam tego znieść! Popełniałam błędy i nie potrafiłam się do nich przyznać. Nawet przed sobą nie przyznawałam się, że tęsknię za zielonymi wzgórzami Glengariff, za humorzastą ciotką Dorothy, a przede wszystkim za moją cudowną, słodką mamą, którą zwyczajnie opuściłam...

Głos Anny zadrżał, lecz szybko przywołała się do porządku. Jej oczy utkwione były gdzieś daleko, w rozległej równinie. Sofia miała wrażenie, że matka mówi nie tylko do niej, ale i do siebie.

- Mam nadzieję, że mama wybaczyła mi tę zdradę - szepnęła Anna.

Sofia słuchała z szeroko otwartymi oczami, obawiając się, że jeśli je przymknie, okaże się, że to wszystko po prostu się jej przyśniło. Anna nigdy nie była wobec niej tak szczerą. Gdyby otworzyła się wcześniej, w okresie, gdy Sofia dorastała, na pewno już wtedy zostałyby przyjaciółkami.

Nagle Anna zaskoczyła samą siebie.

- Byłam o ciebie zazdrosna, Sofio.

Sofia poczuła, jak jej gardło zaciska się boleśnie. Była pełna podziwu dla odwagi i uczciwości matki.

- Zazdrosna? - wykrztusiła.

- Tak, bo tobie wszystko przychodziło tak łatwo. Chciałam podciąć ci skrzydła, ponieważ sama nigdy nie nauczyłam się latać.

- Zachowywałam się fatalnie, bo chciałam zwrócić na siebie twoją uwagę - odezwała się Sofia. - Ale ty widziałaś tylko moich braci...

- Wiem. Nie potrafiłam nawiązać z tobą kontaktu, chociaż próbowałam.

- Tak chciałam, żebyś była moją przyjaciółką. Obserwowałam ciocię Chiquitę i Marię, i z całego serca pragnęłam, żebyśmy i my były sobie tak bliskie. Kiedy wyjechałam do Londynu, myślałam przede wszystkim o tym, żeby sprawić ci ból. Tobie i ojcu. Wiedziałam, że będziecie cierpieć, jeśli nie wrócę. Chciałam, żebyście za mną tęsknili, żebyś zrozumiała, że jednak mnie kochasz...

Zamilkła. Nie mogła mówić dalej.

- Chodź tutaj. Sofio. Bardzo cię kocham. Żałuję, że nie potrafiłam ci tego okazać i teraz nie chcę zmarnować tej szansy, bo może Bóg nie da mi następnej...

Sofia przysunęła się do matki i pozwoliła się objąć. Anna przytuliła policzek do twarzy córki i nie powstrzymywała już łez.

- Kocham cię, Sofio. - Anna zaśmiała się przez łzy. - Jesteś moją córką.

Jak mogłabym cię nie kochać?

- Ja też cię kocham, mamó - chlipnęła Sofia.

- Najwspanialszym aspektem chrześcijaństwa jest nauka wybaczenia, wiesz? Musimy nauczyć się wybaczać, ty i ja.

- Postaram się.

- Tacie także musisz spróbować wybaczyć - dodała nieśmiało.

- Wybaczyć tacie?

- Tak, wybaczyć...

Anna mocniej objęła córkę i westchnęła.

- Masz rację. Sofio. Spróbuję mu wybaczyć.

Parę godzin później Sofia wybrała się na konną przejażdżkę z Santim i Fernandem. Ciągle myślała o słowach Anny. Powoli zaczynała rozumieć jej poczucie izolacji, ponieważ teraz sama także nie czuła się tu zupełnie swobodnie. Kiedyś zazdrość Anny o miejsce Sofii w Santa Catalina stała się przyczyną ich wzajemnego niezrozumienia, teraz wyobcowanie Sofii przyczyniło się do ich pogodzenia...

Musiła spokojnie obserwować, jak Santi wydaje polecenia Javierowi. W oczach Santiago Javier był zwyczajnym służącym, podobnie jak Pablo i wielu innych. Odnosił się do młodego człowieka miło, lecz zdecydowanie. Sposób bycia Fernanda i Miguela był trochę sztywny i surowy. Skąd mogli wiedzieć, że Javier jest jednym z nich? Uśmiechnęła się do niego, kiedy przyprowadził osiodłanego konia, a on odpowiedział szczerym uśmiechem. Sofia nie robiła sobie złudzeń - Javier traktował ją podobnie jak wszystkich członków rodziny Solanas, może nawet trochę chłodniej, ponieważ jej nie znał. Nie zdawał sobie sprawy, że ma jej włosy i oczy oraz uśmiech i sposób poruszania się Santiago. Między nimi trojgiem nie

było żadnej więzi. Mogła marzyć, że Javier dostrzeże u siebie fizyczne cechy jej czy Santiago, ale wiedziała, że są to tylko marzenia. Javier na prawdę przypominał Soledad i Antonia, swoich przybranych rodziców. Zastanawiała się, jak by wyglądał, gdyby dorastał obok niej i Santiago, lecz nigdy nie miała się tego dowiedzieć.

- Co dzisiaj robiłaś? - zapytała Maria, kiedy po kolacji zostały same na tarasie.

Robiła wrażenie zdecydowanie silniejszej i mogła nawet usiąść ze wszystkimi do stołu. Powietrze było parne i gorące, zbierało się na burzę.

- Odwiedziłam grób dziadka - odparła Sofia.

Maria uśmiechnęła się do niej w ciemności, lecz Sofia natychmiast pożałowała, że wspomniała przy niej o śmierci.

- Jak się czujesz? - zapytała, pospiesznie zmieniając temat.

- Dużo lepiej. Po raz pierwszy od bardzo dawna wydaje mi się, że jestem prawie zdrowa. Może to zasługa świeczek, które zapaliliście wczoraj w mojej intencji...

- Chciałabym, żeby tak było. Chyba nigdy nie modliłam się tak żarliwie...

Długą chwilę siedziały w milczeniu. Sofia wiedziała, że najbliżsi podarowali im możliwość spokojnej rozmowy, i była im za to wdzięczna.

- Co zamierzasz zrobić, Sofio? - zapytała Maria ostrożnie.

- Nie rozumiem. - Próbowала udawać niewiniątko, lecz Maria знаła ją lepiej niż ktokolwiek inny.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Wcześniej czy później będziesz musiała wrócić do domu.

Sofia z trudem przełknęła ślinę.

- Tak, ale na razie wolę o tym nie myśleć.

- Nie wolno ci o tym nie myśleć. Masz męża i dwie córki. Nie kochasz ich?

- Kocham ich, i to bardzo, lecz teraz jestem daleko od nich...

- Santi też ma żonę i dzieci, których kocha.

- Nie tak, jak kocha mnie! - wybuchnęła.

- Ale z tobą nie może być. Nie rozumiesz? To po prostu nie możliwe.

Sofia wiedziała, że Maria ma rację, nie chciała jednak tego przyznać. Wszystko było przecież wspaniale. Byli ze sobą tacy szczęśliwi... Nie wyobrażała sobie, aby ich szczęście mogło się skończyć.

Maria ujęła jej rękę i mocno ścisnęła.

- W tej chwili może ci się wydawać, że jest dobrze, bo życie jak we śnie. Zastanów się jednak, co zrobisz po mojej śmierci. Santi będzie musiał wrócić do Buenos Aires, do pracy. Wszystko potoczy się dawnym torem, a co stanie się z tobą? Chcesz już zawsze uciekać przed życiem? Zostawić rodzinę?

- Nie! Tak! Sama nie wiem...

- Ty i Santi jesteście dla siebie stworzeni, lecz wasz czas już minął. Bardzo kocham mojego brata i ciebie, i dałabym wszystko, żebyście byli szczęśliwi. Pamiętaj jednak, że nie można bezkarnie niszczyć życia innych ludzi. Jeżeli to zrobisz, nigdy nie będziesz mogła spojrzeć na siebie bez obrzydzenia. Nie można szanować osoby, która jest w stanie porzucić swoje dzieci. Czy naprawdę chcesz budować swoje szczęście na tragedii innych?

- Kocham go, Mario, i tylko to mnie obchodzi. Budzę się i za sypiam, myśląc o nim. Oddycham nim, muszę z nim być. Nie chcę bez niego żyć! O mało nie umarłam, kiedy musiałam go zostawić! Nie przeżyję tego!

- Rób, co chcesz - rzekła Maria łagodnie. - Ale zastanów się nad tym, co ci powiedziałam, dobrze?

Sofia objęła przyjaciółkę, tak kruchą i jednocześnie tak silną. Bardzo ją kochała.

Kiedy biegła do domu, na ziemię spadały pierwsze krople deszczu.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Środa, 12 listopada 1997

Grzmot przetoczył się po niebie jak ryk rozwścieczonego lwa. Sofia pragnęła schronić się w ramionach Santiago. Deszcz siekł o szyby, wydobywając z nich żałosne dźwięki. Stała przy oknie i wpatrywała się w ciemność. Co parę minut pokój rozjaśniały błyskawice, rysujące się zygzakami na ciężkim od chmur niebie. Nie bała się, czuła jedynie smutek.

Nie mogła uwolnić się od słów Marii. Czy naprawdę ona i Santi raz na zawsze zaprzepaścili szansę na wspólne życie? Czy rzeczywiście nie powinni być razem? Starła się zasnąć, długo przewracała się z boku na bok, w końcu wyszła przed dom, nie bacząc, że wielkie krople biły w nią niemiłosiernie. Ciemność i deszcz niosły pewne ukojenie. Zawsze lubiła ciemność. Spacerując po dziedzińcu, rozmyślała nad swoim losem. Czy kochała Santiago dość mocno, aby pozwolić mu odejść?

Spojrzała na zegarek. Była trzecia nad ranem. Jej ciało przeszył nagły dreszcz. Czuła, że stało się coś złego.

Zmagając się z wiatrem i ulewą, pobiegła do domu Chiquity. Nie wiedziała, co zrobi, gdy dotrze na miejsce, po prostu biegła przed siebie. Krople wody ściekały jej po twarzy, koszula lepiała się do ciała. Biegła coraz szybciej i po chwili, zdyszana, załomotała do drzwi stryja. Kiedy na progu stanął zaniepokojony Miguel, wpadła prosto w jego ramiona.

- Coś się stało! - krzyknęła.

Miguel spojrział na nią, nic nie rozumiejąc, lecz zanim zdążył się odezwać. Sofia już biegła korytarzem. Nagle dom ożył, Santi wyszedł ze swojej sypialni i bez słowa podążył za Sofią. Kiedy wpadła do pokoju Marii, zrozumiała, że jej lęk był uzasadniony. Przyjaciółka nie żyła.

Sofia była niepocieszona.

Miguel i Chiquita siedzieli nieruchomo, mocno objęci, jakby ich życie zależało od siły tego uścisku, Panchito i Fernando płakali cicho. Santi klęczał na podłodze obok łóżka, głaszcząc dłoń siostry. Jego twarz była zupełnie szara. Eduardo, który przez cały czas był przy żonie, otępiłym wzrokiem wpatrywał się w ciemne okno. A Sofia? Sofia nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Stała pod ścianą, bosa i mokra, i miała wrażenie, że wszystkie jej marzenia rozsypały się w proch.

Spojrzała na przyjaciółkę, która wydała jej się jeszcze piękniejsza po śmierci niż za życia. Skórę miała gładką i białą jak porcelana, na twarzy malował się spokój. Sofia zdawała sobie sprawę, że udęczone chorobą ciało Marii było tylko skorupą, powłoką, z której dusza wreszcie się wyzwoliła. Cieszyła się, że Maria jest już wolna od cierpienia, ale to nie koło bólu ani jej, ani zrozpaczonych bliskich.

Miguel ucałował zimne czoło córki i razem z Chiquitą, Fernandem i Panchitem opuścił pokój, zostawiając Eduarda samego z żoną. Santi podszedł do Sofii, objął ją i wyprowadził na korytarz, gdzie oboje rozplakali się cicho. Ujął twarz Sofii w dłonie i kciukami otarł łzy z jej policzków. Jego oczy były pełne czułości.

- I co teraz? - wyszeptła, kiedy udało jej się opanować drżenie głosu.

Potrząsnął głową, z jego piersi wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Nie wiem, Chofi. Nie wiem.

Ale Sofia wiedziała już, co robić. Maria miała rację.

Od tej chwili wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Na pogrzebie Sofia i Santi prawie na siebie nie patrzyli. Claudia wróciła, przywożąc ze sobą dzieci Marii. Nad Santa Catalina zawisła martwa cisza. Burza oczyściła powietrze, lecz widok słońca, które wkrótce wychynęło zza chmur, nikomu nie przyniósł radości.

Sofia siedziała z rodzicami w niewygodnej ławce, słuchając kazania ojca Juana, które wszystkich wzruszyło do łez. Zauważyła, że Anna i Paco trzymają się za ręce, kilka razy wymienili też czułe spojrzenia. Miała nadzieję, że odejście Marii pozwoli im znowu się

odnaleźć. Wszyscy krewni z ciężkim sercem żegnali młodą kobietę, która miała tyle powodów, by żyć. Sofia ze smutkiem patrzyła na rodzinę przyjaciółki. Dzieci Marii nawet nie zdążyły pożegnać się z matką.

Pochowali ją w niewielkim rodzinnym grobowcu, obok dziadków i innych członków rodziny Solanas. Sofia położyła kwiaty na płycie grobowca i zmówiła krótką modlitwę. Jeszcze niedawno myślała, że ona także zostanie złożona na wieczny spoczynek w tym miejscu, teraz wiedziała już, że jej własna rodzina pochowa ją gdzie indziej, daleko od Santa Catalina.

Claudia popatrzyła na nią przez łzy. Sofia odgadywała, o czym myśli żona Santiago. Maria umarła, więc nie było już żadnego powodu, aby została tu dłużej.

Po pogrzebie objęła Chiquitę i podziękowała jej za list, który sprowadził ją do Santa Catalina.

- Cieszę się, że do mnie napisałaś - powiedziała szczerze. - I cieszę się, że przyjechałam...

- Ja także bardzo się z tego cieszę - odrzekła Chiquita. - Ale to nie ja wysłałam do ciebie list.

W pierwszej chwili słowa Chiquity nie dotarły do świadomości Sofii. Minęło kilka minut, zanim zadała sobie najważniejsze pytanie: kto powiadomił ją o chorobie Marii, skoro nie zrobiła tego Chiquita?

Gdy wracali do samochodów, pod kościołem zatrzymała się taksówka i wysiadł z niej mężczyzna, którego Sofia bez trudu rozpoznała. Był to jej brat, Agustin. Uściskał Chiquitę i Miguela, i złożył im serdeczne wyrazy współczucia. Potem podszedł do Paca i Anny.

- Wróciłem - oznajmił pogodnie. - Zostawiłem Mariannę i dzieci i wróciłem do domu.

Z chłodną uprzejmością obcego człowieka przywitał się z Sofią, która właśnie wtedy zdała sobie sprawę, jak wielką krzywdę wyrządziły jej długie lata rozstania z rodziną. Odmieniły ją i sprawiły, że Santa Catalina przestała być jej domem.

Wieczorem zadzwoniła do Davida.

- Maria nie żyje - powiedziała ze smutkiem.

- Tak mi przykro, kochanie...

- Wracam do domu, Davidzie.

- Daj mi znać, kiedy przylecisz. Przyjedziemy po ciebie.

- Och, tak - westchnęła z ulgą, czując, jak w jej sercu odżywa tęsknota. - Koniecznie po mnie przyjdźcie...

Potem musiała tylko spakować rzeczy i przygotować się do długiej podróży. Santa Catalina wydała jej się nagle odległa i obca, jakby w ten sposób broniła się przed bólem rozstania. O piątej po południu, kiedy cienie drzew zaczęły się wydłużać, podjechał po nią samochód. Gotowa do wyjazdu wyszła, by pożegnać się z ojcem.

- Wszystko stało się tak szybko - wymamrotał Paco, starając się ukryć ból. - Kiedy cię znowu zobaczymy?

Sofia zrozumiała, że ojcu trudno będzie pogodzić się z jej wyjazdem.

- Nie wiem, tato - powiedziała. - Santa Catalina nie jest już moim domem. W Anglii czeka na mnie mąż i dwie córki.

- Nawet się z nikim nie pożegnałaś...

- Nie mam siły na pożegnania. Lepiej będzie, jeżeli zniknę po cichu, chyba pierwszy raz w życiu - zażartowała.

- Twój dom jest tutaj. Sofio.

- Już nie, tato, chociaż jakaś częśćka mojego serca pozostanie tu na zawsze - odparła, widząc, jak jego wzrok biegnie w kierunku boiska do gry w polo.

- To prawda - przyznał z ciężkim westchnieniem.

- Dziękuję ci, tato - szepnęła Sofia. Paco odwrócił się ku niej niepewnie. Nie wiedział, za co mu dziękuję. - Dałeś dom mojemu dziecku - dodała. - Mój syn jest u siebie w Santa Catalina, lecz ja nie potrafię już tu żyć. Ironia losu, prawda? Paco spojrział na nią ze wzruszeniem, szukając odpowiednich słów. - Wiem, że zrobiłeś dobrze - rzekła pośpiesznie. - Żałuję tylko, że sama tu z nim nie wróciłam, bo wtedy nigdy nie czułabym się obco wśród ludzi, których kocham.

Paco długo trzymał ją w ramionach, odgadła bez trudu, że stara się ukryć łzy. Jak zwykle nie chciał, żeby widziała jego wzruszenie.

Nagle z domu wyszła blada jak duch Anna. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny ciemnymi kręgami podkreśliły jej duże oczy. Wyglądała na śmiertelnie znużoną i przygnębioną.

- Mamo! - wykrzyknęła Sofia ze zdumieniem, niechętnie uwalniając się z objęć ojca i ocierając policzki drżącą dłonią.

- Żałuję, że nie możesz zostać - odezwała się Anna cicho. Wyszła z cienia na słońce i z łagodnym uśmiechem wyciągnęła ręce do córki. - Maria odeszła do Boga.

- Wiem. - Sofia skinęła głową. - Jest teraz z dziadkiem.

- Zadzwoń do nas, kiedy dotrzesz do domu? - zapytała Anna. Jej chłodne, błękitne oczy były pełne łez.

- Tak. Chciałabym, żebyście poznali moje dzieci.

- Ja też bardzo bym tego chciała - odrzekła Anna. - Twój pokój zawsze będzie na ciebie czekał, ale wydaje mi się, że przyszedł już czas, żeby go odnowić, nie sądzisz?

Sofia kiwnęła głową. Czuła, że Anna toczy z sobą wewnętrzną walkę, i postanowiła sama zrobić pierwszy krok. Objęła matkę i przytuliła ją do siebie. Anna nie opierała się. Gdy odwzajemniła uścisk córki, Sofię ogarnęła nagle fala prawie zapomnianego ciepła. Matka pachniała tak samo jak wtedy, gdy dawno, dawno temu brała małą Sofię w ramiona. Ciężar długo pielęgowanych wzajemnych niechęci opadł z nich obu. Może naprawdę nauczyliśmy się wybaczać, pomyślała Sofia.

- Jestem szczęśliwa, że przyjechałaś. - Anna się uśmiechnęła.

Sofia przypomniała sobie nagle tamten list. Skoro nie napisała go Chiquita, musiała zrobić to matka. Więc Anna jednak chciała ją zobaczyć... Podpisała list imieniem szwagierki, bo obawiała się, że jeśli umieści pod nim własne, Sofia nie przyjedzie.

- To ty wysłałaś do mnie list! - powiedziała. - Bardzo sprytnie, mamo!

- Potrafię być przebiegła! - Anna się roześmiała. - Zaczekaj jeszcze chwilę, dobrze? Mam coś dla ciebie. - Powiedziała to z zupełnie nietypowym dla niej ożywieniem. - Powinnaś była dostać to dawno temu... Zaczekaj, zaraz wrócę!

Poszła do domu szybkim, lekkim krokiem. Patrzącemu na nią Pacowi przypomniała dawną Anę Melodię, którą stracił. Sam już nawet nie pamiętał, kiedy... Poczul nadzieję, że może znowu ją odnajdzie, i usta zdrząły mu ze wzruszenia. Po paru minutach Anna wybiegła, niosąc w ręku pakunek zawinięty w czerwony papier. Podała córce, która przyjrzała mu się uważnie i zaczęła rozdzierać opakowanie.

- Otwórz w samochodzie - poprosiła Anna. - W środku jest coś, co będzie ci o nas przypominać.

Sofia zamrugwała niepewnie, by przegonić gorące łzy. Paco objął ją ostatni raz, szczęśliwy, że tajemnica, której strzegł od dwudziestu czterech lat, wreszcie przestała być jego ciężarem. Teraz między nim i Sofią nie było już żadnego muru.

Sofia uściskała go mocno, świadoma, że nieprędkiem zobaczą się znowu. Spojrzała na dom i pomyślała, że Santa Catalina mimo wszystkich zmian przetrwa w jej sercu i pamięci, nienaznaczona piętnem czasu, niczym sepiowe fotografie z odległej, szczęśliwszej przeszłości. Wśród tych obrazów była też pogodna twarz Marii, uśmiechająca się do niej spomiędzy gałązek hibiskusa.

Wsiadła do samochodu i pomachała rodzicom, którzy po latach rozstania odzyskali i od nowa poznali swoją córkę. Potem niecierpliwie rozdarła czerwony papier. Co takiego mogła ofiarować jej matka? Kiedy wyjęła ze środka czarny skórzany pas ze srebrną klamrą, ozdobioną jej inicjałami, nie zdołała powstrzymać łez.

Wóz wjechał w aleję wysokich drzew, dom został daleko z tyłu, w gęstniejącym mroku.

- Przy końcu alei proszę skręcić w lewo - powiedziała do szofera. - Jest jeszcze jedno miejsce, które chciałabym pożegnać przed wyjazdem.

Po paru chwilach samochód zatrzymał się w pobliżu drzewa ambu.

Rozdział pięćdziesiąty

Sofia wysiadła i pokonała resztę drogi pieszo. Powietrze było przyjemnie chłodne, trawa zazieleniła się po deszczu, którego tak łaknęła wyschnięta ziemia. Sofia szła z ciężkim sercem, mając wrażenie, że jej nerwy przestały odbierać jakiegokolwiek bodźce.

Wreszcie dotarła do drzewa, które pomogło jej przetrwać wiele przeciwności. Stało majestatyczne i dumne, dobry, stary przyjaciel, który nigdy nie osądza, lecz patrzy na wszystko z serdecznym zrozumieniem. Czule pogłaskała gruby pień, wspominając, jak spotykała się tu z Santim. Rozejrzała się dookoła i zobaczyła w oddali grających w polo gauczów, których opalone torsy wydawały się zupełnie brązowe w zachodzącym słońcu. Wśród grających dostrzegła też Javiera. Nie widziała go wyraźnie, ale on tam był.

Nagle drgnęła, wyczuwając czyjaś obecność. Odwróciła się i spojrzała w smutną twarz Santiago. Wyglądał na równie zaskoczonego tym spotkaniem jak ona.

- Powiedzieli mi, że już wyjechałaś! - wykrzyknął z bólem. - Nie miałem pojęcia, co robić!

- Nie mogłam znieść myśli, że znowu będę musiała się z tobą pożegnać - szepnęła.

- Dopiero cię odzyskałem - rzekł Santi. - Nie mogę cię teraz stracić...

- To niemożliwe, prawda? Gdybyśmy tylko...

- Przestań - wykrztusił. - Jeżeli zaczniemy się zastanawiać nad swoimi błędami, umrzemy z rozpacz.

Zanurzył twarz w jej włosach, jakby chciał w ten sposób ukryć się przed tym, co nieuniknione.

- Gdybym zostawiła swoje dzieci, nie byłabym kobietą, którą kochasz - powiedziała ze smutkiem, przypominając sobie rozmowę z Marią.

Pomyślała o Javierze i wspomnienie tamtego rozstania przeszło ją nagłym bólem, jakby los karał ją za porzucenie synka.

- Chcę oddychać tym samym powietrzem, co ty - westchnął.

- Wiem, ale nasze życie jest teraz zupełnie inne. Oboje mamy rodziny, które kochamy.

Nie wolno nam ich niszczyć. Maria miała rację...

- Tak. A jednak nic nie poradzę, że wciąż szukam sposobu, by zostać przy tobie.

- Nie ma takiego sposobu. Moje miejsce jest teraz gdzie indziej.

- Twoje miejsce jest przy mnie, Chofi. Należymy do siebie.

- To piękne marzenie Santi, tyle że niemożliwe do spełnienia. Niemożliwe, kochany.

Skinął głową i westchnął ciężko, z rezygnacją.

- Wobec tego pozwól, bym nauczył się twojej twarzy na pamięć - poprosił poważnie, muskając palcami jej policzek.

Całował jej oczy, „słodkie jak brązowy cukier”, jej nos, skronie, czoło i podbródek. Po każdym pocałunku wyjaśniał, za co kocha tę część jej twarzy. Wreszcie dotarł do ust.

- Nigdy nie zapomnę, jak smakujesz i pachniesz, Chofi - rzekł, czując na języku słone łzy.

Objęli się mocno. Patrząc w jego zielone jak toń morza oczy, nie miała cienia wątpliwości, że zostanie w nich na zawsze, a nocami, kiedy marzenia i rzeczywistość stają się jednym, będzie wyłaniać się z jego wspomnień i kochać się z nim aż do świtu. Ostatni raz pocałowała jego wargi i szybko pobiegła do samochodu. Kiedy była już daleko, odwróciła się i ujrzała jego samotną postać u stóp potężnego drzewa. Wsiadła do samochodu i odjechała. Ten obraz - Santi siedzący pod drzewem ambu - zawsze pojawiał się przed jej oczami, ilekroć przymknęła powieki.

Ostrzegano mnie, że sadzonka drzewa ambu nie przyjmie się w Anglii. Niezrażona, wybrałam dla niej zaciszne miejsce w kącie naszego ogrodu w Gloucestershire i zasadziłam ją tak, by słońce aż do zachodu ogrzewało ją swymi promieniami.

Przyjęła się.